



Nadwiślańskie serca

— — — — —

KATARZYNA ARCHIMOWICZ

— — — — —



Katarzyna Archimowicz

Nadwiślańskie serca



Wołowiec 2017

Rozdział 1

Na schodach i placu przy kościele farnym gromadziło się coraz więcej odświętnie ubranych ludzi. Przystawali w kilku- lub kilku-nastoosobowych grupkach, witali się, spoglądali na miasto w dole, po czym rozpoczynali kurtuazyjne pogawędki. Tylko nieliczni wysiadali z samochodów, reszta przybywała pieszo z różnych stron Kazimierza. Przyczyną tego zgromadzenia mogło być święto Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski, ale balony zawieszane u klamek niektórych aut, bukiety dzierżone przez panie i panów oraz liczne torebki z prezentami wskazywały raczej na inny powód. Gdyby chodziło o zwykłą mszę, ludzie znikaliby od razu we wnętrzu kościoła, tymczasem z ich niecierpliwych spojrzeń rzucanych wokół jasno wynikało, że na coś czekają.

Janusz Bilski, siedząc przy piwie w pubie Mars, miał dobry widok na tłum gęstniejący pod świątynią. Mimo woli zaczął czekać razem z nim i raz po raz się rozglądał, czy przypadkiem z którejś uliczki nie wyjeżdża limuzyna z młodą parą. Po kilkunastu minutach powstało wyraźne zamieszanie i wszyscy zgromadzeni spojrzeli w kierunku ulicy Nadwiślańskiej. Janusz odruchowo powiódł wzrokiem w tę samą stronę i po chwili dostrzegł idącą spacerem młodą parę. Narzeczeni szli, trzymając się za ręce, a za nimi podążało jeszcze kilkanaście osób. Kilkuletnia dziewczynka próbowała nadażyć za młodymi, podtrzymując tren sukni panny młodej i jednocześnie z trudem zachowując równowagę na kazimierskim bruku.

Janusz był w swoim życiu na kilkunastu ślubach, ale nigdy nie widział ani nie słyszał, by państwo młodzi pieszo wędrowali do kościoła. Widok był niecodzienny, ale bardzo urokliwy, zapewne także dzięki czarowi i klimatowi Kazimierza.

Młodą parę powitano u bram kościoła gromkimi brawami, po chwili w wejściu pojawił się ksiądz i przy dźwiękach marsza Mendelssohna poprowadził narzeczonych do ołtarza. Bilski dopił piwo i zamierzał wrócić do hotelu, lecz po chwili namysłu zamówił jeszcze jedno. Pogoda w ten długi majowy weekend dopisywała, lekki wiatr wiał chłodem od Wisły, ale słońce jeszcze całkiem mocno grzało. Słowem: było tak przyjemnie, że Januszowi wcale nie chciało się iść do pokoju. Poza tym miał wielką ochotę powtórnie przypatrzeć się nowożeńcom, kiedy będą wychodzić z kościoła. Powoli sączył piwo, rozmyślając o mającym się odbyć za cztery miesiące własnym ślubie.

Niecałą godzinę później z kościoła dobiegły dźwięki skrzypiec i trąbki, a delikatny dziewczęcy głos z powagą i w skupieniu zaśpiewał *Ave, Maria*. Po chwili ze świątyni wysypał się tłum poprzedzany młodą parą. Janusz z niesłabnącym zainteresowaniem przyglądał się temu widowisku, aż do momentu, kiedy cały orszak weselny zniknął z pola widzenia. Zwrócił szczególną uwagę na parę idącą tuż przy pannie młodej. Byli to młodzi ludzie, którzy właściwie niczym specjalnym się nie wyróżniali spośród barwnego tłumu. Może po prostu przechodzili najbliżej Bilskiego i dlatego ich zauważył? A może w dziewczynie dostrzegł coś innego niż w pozostałych kobietach? Była nieco bardziej naturalna, mniej ufryzowana i zwiewnie ubrana, przez co sprawiała wrażenie, jakby jej gibkiej postaci nic nie mogło ograniczyć i skrępować. Albo może jednak wzrok Janusza przykuł towarzyszący jej młody mężczyzna, który kilkakrotnie próbował chwycić ją za

rękę, ale ona wciąż robiła uniki? Może to przez niego i jego górującą nad pozostałymi sylwetkę Bilski zatrzymał spojrzenie właśnie na tej parze?

Orszak weselny przeszedł przez cały rynek, śmiejąc się i wesoło gawędząc, aż zniknął gdzieś w jednej z wąskich uliczek. Prawdopodobnie przyjęcie weselne będzie się odbywać na tyle blisko kościoła, że nie warto było wsiadać do samochodów. Tylko nieliczni odłączyli się od pochodu, by odstawić auta, którymi przyjechali, zapewne pod dom weselny.

Wieczór robił się już naprawdę chłodny. Janusz zapłacił za piwa i ruszył w kierunku hotelu Dwa Księżycy, w którym zatrzymał się na dwa noclegi. Kazimierz Dolny był miastem jego dzieciństwa, tu spędzał każde wakacje i święta, bo z tych okolic pochodzili jego dziadkowie. Odkąd jednak skończył liceum, przyjeżdżał tu coraz rzadziej, a od śmierci dziadków prawie wcale. Ich opuszczony dom stał po drugiej stronie Wisły, w Janowcu, z dala od ludzkich obejść, i coraz bardziej chylił się ku upadkowi. Gdyby nie przymusowy wyjazd służbowy, Janusz pewnie nieprędko zawitałby znów w te strony, zwłaszcza że ostatnio zajęty był pracą, a także organizacją ślubu.

Bez pośpiechu dotarł do hotelowego pokoju, zdjął polarową bluzę, rzucił ją na szerokie małżeńskie łóżce, po czym otworzył na oścież drzwi tarasowe. Do środka natychmiast wdarło się rześkie wieczorne powietrze. Z ochotą wyszedł na zewnątrz i ogarnął wzrokiem wijącą się nieopodal wstęgę Wisły. Zbliżała się dwudziesta i zachodzące słońce oblewało okolicę malowniczym ciepłym światłem. Janusz nie mógł się powstrzymać, by nie uwiecznić tego widoku. Sięgnął do kieszeni po telefon i lekko wychyliwszy się poza poręcz, zrobił parę zdjęć. Następnie wybrał numer Doroty. Odezwała się po kilku sygnałach.

– Dobry wieczór, kochanie – przywitał się ciepło.

– Cześć – odpowiedziała uprzejmie, choć z charakterystycznym dla siebie dystansem. – Jak ci minęła podróż?

– W porządku – odparł – ale już za wami tęsknię. – Mówił to jak najbardziej szczerze.

– Przecież wyjechałeś zaledwie kilka godzin temu – w głosie Doroty pojawiło się jakby niedowierzanie.

– Ale i tak już tęsknię – upierał się Janusz.

– Tatusiu, tatusiu, wracaj szybciej, bo chcę ci coś pokazać! – W słuchawce rozszczebiotał się piskliwy dziewczęcy głosik. – Jak ja bym chciała być teraz z tobą – wyznało dziecko.

– Skarbie, ja też bym chciał, żebyś była tu ze mną. – Janusz poczuł, że naprawdę już tęskni. – Wracam pojutrze, wytrzymamy bez siebie?

– Wytrzymamy – westchnęła dziewczynka.

Gardło ścisnęło mu się z rozczulenia i miłości. W jego sercu znalazło się dość miejsca dla dwóch kobiet. Jedną z nich była Dorota, drugą – jej siedmioletnia córka Julia. Obie kochał ogromnie i bez wahania poszedłby za nimi w ogień. Gdyby tylko mógł, przychyliłby im nieba. Były dla niego wszystkim i nie wyobrażał sobie życia bez nich. Uważał się za bardzo szczęśliwego człowieka dlatego właśnie, że kiedyś spotkał Dorotę i niejako w bonusie dostał Julkę. Więcej od życia nie chciał, scenariusz na pozostałe dni

miał od dawna ułożony w głowie i od siedmiu lat konsekwentnie go realizował.

Dorotę poznał prawie osiem lat temu w Chorwacji, dokąd ze swoją ówczesną dziewczyną i dwójkiem innych przyjaciół wybrał się na urlop. Dorota Zagórna pracowała całe lato w tamtejszym hotelu jako przewodnik do wynajęcia. Zauroczyła Janusza prawie od pierwszego wejrzenia, i to tak bardzo, że nie mógł przestać o niej myśleć. Na pozór sprawiała wrażenie wyniosłej i niedostępnej, wydawała się nieco posągowa i brakowało jej spontaniczności. Ale była piękna. Jej długie kasztanowe włosy opadały falami na plecy, ciemne oczy podkreślała starannym makijażem, a usta miała karminowe. Perfekcyjnego wyglądu dopełniały zawsze świetnie na niej leżące stroje porządnej marki oraz niesłychanie wyprostowana sylwetka. Dorota nigdy, nawet na chwilę, nie przygarbiła pleców. Dziś, po kilku latach znajomości, nie zmieniła się wcale. Wciąż była tą samą dystygowaną damą, zadbaną, nieco sztywną w obejściu i nadal piękną. Przyjaciele Janusza długo, a niektórzy nawet do dziś uznawali ją za oziębłą, i mieli sporo racji. Dorota bowiem skrywała swoje uczucia i z pewnością mogła sprawiać wrażenie nieczulej. Janusz jednak tego jakby nie dostrzegał. Wystarczyły mu jej lakoniczne zapewnienia o jej zadowoleniu i zawoalowane przejawy miłości. Bo Dorota bardzo rzadko mówiła wprost, że kocha. Trzeba było się raczej tego domyślać, niż oczekiwać od niej takich wyznań.

Dorota w chwili poznania Janusza wiedziała, że jest w ciąży, ale przez czas pobytu w Chorwacji nie dzieliła się z nikim tą wiadomością. Po zakończonym urlopie Bilski wciąż się nią interesował, zapraszał na kolacje i spacer, a ona – porzucona przez kochankę – dość chętnie poświęcała mu czas. Wreszcie nieśmiało się przyznała, że oczekuje dziecka. Sądziła, że będzie to równoznaczne z definitywnym zakończeniem ich znajomości. On nawet jakby trochę się stropił tą nowiną, ale był już w niej tak zakochany, że postanowił zaryzykować i mimo wszystko chciał spróbować ułożyć sobie z nią życie. Co prawda trochę się obawiał narodzin dziecka, zupełnie nie wiedział, czy da radę je zaakceptować, pokochać i wychować jak swoje, ale gdy tylko Julka się pojawiła na świecie, stracił dla niej głowę. Ubóstwiał tę małą od momentu, kiedy po raz pierwszy spojrzał w jej niebieskie oczka. Od tamtej chwili nie wyobrażał sobie już życia bez Doroty i przede wszystkim bez Julii. Nabral niezachwianej pewności, że chce z nimi być na zawsze, i wtedy po raz pierwszy poprosił Dorotę o rękę. Ona jednak odmówiła. Tłumaczyła, że ślub niczego nie zmieni, że nie jest im do niczego potrzebny, że dziecko jest jeszcze zbyt małe, jak podrośnie, to wrócą do tego tematu. Sprawiała mu tym ogromną przykrość, ale nie nalegał. Poprosił jedynie, by podała go w urzędzie jako ojca Julki. Tego jednak też odmówiła, a on poczuł się niezwykle dotknięty. Właściwie do dziś nie rozumiał jej decyzji, która przez lata kładła się cieniem na ich związku. Mimo wszystko nadal kochał Dorotę tak samo jak w pierwszych miesiącach, a od narodzin Julii nawet mocniej. Obie stanowiły cały jego świat i wypełniały go absolutnie, po same brzegi.

Po zakończonej rozmowie Bilski wrócił do pokoju, włączył telewizor i próbował skupić uwagę na zmieniających się na ekranie obrazach. Po pewnym czasie znudził się i zaległ na łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit. Wreszcie wstał i znów wyszedł na taras. Spojrzał na wyświetlacz komórki, schował ją do kieszeni i zapatrzył się za linię Wisły, gdzieś lekko w lewo, w kierunku Janowca. Choć nie spodziewał się, że dojrzy siedlisko swoich dziadków, nie mógł się oprzeć i wciąż tam patrzył. Wystarczyła mu sama

świadomość, że niedaleko stąd jest kraina jego dzieciństwa. Stał tak przez chwilę, po czym szybko się odwrócił, wszedł do pokoju, chwycił polar i niemal biegiem opuścił hotel. Nie wiedział, która dokładnie jest godzina, do północy brakowało pewnie jeszcze godziny, a może dwóch, ale on miał w tym momencie ochotę na spacer. Bliskość nabrzeżnej promenady zdecydowała, że wybrał ten właśnie kierunek. Światła lamp i księżyc pięknie odbijały się w spokojnych wodach Wisły, ścieżką spacerowali nieliczni turyści pozostali w mieście po długim weekendzie. Janusz głęboko zaczerpnął świeżego powietrza, spojrzął w wody rzeki, po czym obejrzał się na przycupnięte na wzgórzu miasteczko. Ten widok zachwycał go zawsze i chyba nigdy mu się nie znudzi. Po chwili kontemplacji i marszu usiadł na ławce. Znow odetchnął głęboko, a potem przymknął powieki. Dookoła panowała cisza przerywana jedynie dalekim stukotem kobiecych obcasów i cykaniem owadów.

Kilka minut później usłyszał dobiegające z dala ludzkie głosy. Nabierały wciąż na sile i w końcu dostrzegł dwoje ludzi idących promenadą i prowadzących ożywioną konwersację. Przeszli obok niego, wciąż rozmawiając, a on odruchowo odprowadził ich wzrokiem. Bez cienia wątpliwości rozpoznał parę spod kościoła: swobodną i naturalną dziewczynę oraz przygarbionego dryblasę, który jej wtedy towarzyszył. Zatem wesele musiało trwać w najlepsze gdzieś niedaleko stąd.

Już prawie z powrotem przymknął oczy, by oddać się rozmyśleniom, gdy do jego nozdrzy wdarł się nieoczekiwany zapach. Za odchodzącą parą rozsnuwał się niezwykle świeży aromat mięty i herbaty. Janusz zaciągnął się głęboko i oprócz zapachu wody oraz świeżej majowej trawy rozpoznał jeszcze raz rześką woń zielonej herbaty. Docierała do niego jakby ze zdwojoną siłą, na rękach poczuł gęsią skórę. Olejki eteryczne z bergamotki, herbaty, mięty i cytryny jeszcze przez chwilę przyjemnie drażniły jego zmysły, aż w końcu zanikły zupełnie, ustępując miejsca typowym kazimierskim zapachom. Dopiero wtedy mógł znow spokojnie przymknąć powieki i skupić się na swoich myślach.

– Jest świetnie – odezwał się wysoki mężczyzna. – Nawet nie wyobrażasz sobie, jak ja się tu relaksuję... Uwielbiam Kazimierz, a ciebie kocham – pochylił się nad dziewczyną i cmoknął ją w policzek.

Jej jedyną reakcją był wymuszony śmiech. Podzielała jego zdanie, że jest świetnie. Ślub był piękny, wesele bardzo udane, pogoda dopisała, no i widoki – urocze jak zawsze.

– Kocham cię – powtórzył i znow się pochylił, by ją pocałować, ale ona tym razem zrobiła wyraźny unik.

– Rafał, przestań – poprosiła.

– No co? Wszystko psujesz – naburmuszył się, choć doskonale wiedział, że Marta nie lubi, kiedy on przekracza określoną dawkę alkoholu.

Właśnie po to wyciągnęła go na spacer, aby zrobić sobie choć krótką przerwę w picu i trochę się przewietrzył. Po jednym piwie czy nawet dwóch zachowywał się zupełnie normalnie, ale już po kolejnych stawał się zrzędlawy, rozpamiętywał jakieś zadawnione sprawy, roztrząsał wyimaginowane krzywdy i czasami Marta odnosiła wrażenie, że jeszcze chwila, a będzie bardzo nieprzyjemny.

Byli razem zaledwie od dwóch miesięcy i wciąż jeszcze nie dość dobrze się poznali,

by z całą pewnością stwierdzić, czy chcą ze sobą dzielić życie. Na razie ona wiedziała na pewno, że Rafała lubi. Czy go kocha? Raczej nie. W każdym razie jeszcze nie. Nie zgadzała się z ogólnie przyjętym truizmem, że kocha się za nic. Gotowa była się zgodzić, że rodziców można kochać bez powodu, za samo to, że są, uważała jednak, że mężczyzna na jej miłość powinien sobie zasłużyć. Ona także zamierzała ciężko pracować na to, by w przyszłości ktoś ją pokochał, tak naprawdę, szczerze i na zawsze. Dla niej miłość to uczucie zdobyta nagroda za określone postępowanie wobec drugiej osoby. Jak dotąd nie zauważyła u siebie żadnych symptomów zakochania. Owszem, Rafał mógł się podobać kobietom, z pewnością mogły brać go pod uwagę jako kandydata na męża, ale Marta na razie w ten sposób o nim nie myślała. Po prostu go lubiła. Zachowywała przy tym sporą czujność i bardzo wnikliwie obserwowała jego zachowania. Podskórnie czuła, że być może wcale nie z takim człowiekiem chce dzielić swoje życie. Pierwszym sygnałem ostrzegawczym było jego zachowanie po alkoholu. Niby nic złego się nie działo, ale wyczuwała w nim coś na kształt tłumionego rozdrażnienia, jakby miał ochotę wyrzucić z siebie nadmiar złych emocji, lecz powstrzymywał się ze względu na nią. Kolejną rzeczą, która ją hamowała, było nadmierne, według niej, marudzenie. Zrędził często i prawie na wszystko. Przeważnie na sytuację polityczną i gospodarczą, na dziury w jezdniach i na zbliżającą się ponoć do Polski falę emigrantów. Nie podobały mu się też własne zarobki, ale nie zrobił nic, by zmienić pracę albo w jakikolwiek sposób spróbować polepszyć swoją sytuację.

Trudno jest kochać takiego człowieka. Na szczęście poza tymi wadami miał także kilka zalet. Umiał być czuły, opiekuńczy i romantyczny, co Marta naprawdę doceniała.

Chociaż chwilami utyskiwała na niego w głębi ducha, musiała jednak przyznać, że dzisiejszy dzień i wieczór były całkiem przyjemne. Adorował ją, komplementował jej wygląd, był ciepły i kulturalny. Może jeszcze coś z tego będzie?

– Wracajmy – powiedziała, kiedy uznała, że już wystarczająco ochłonął i może znów bawić się na weselu.

W poniedziałkowy poranek przez kazimierski rynek przechodzili prawie wyłącznie tutejsi mieszkańcy. Jeden z pierwszych w tym roku weekendowy najazd turystów właśnie się skończył. Janusz, po sutym śniadaniu, wyszedł z hotelu i pieszo wyruszył na Senatorską, gdzie w Urzędzie Miasta miał sporą robotę do wykonania. Firma, którą prowadził wraz z przyjacielem, przed kilkoma miesiącami wygrała przetarg na obsługę informatyczną tutejszego magistratu i od tego momentu zajmowała się modernizacją miejscowej sieci, oprogramowaniem oraz szkoleniami dla urzędników. W związku z tym co najmniej kilka najbliższych godzin wypełni mu praca. Wieczorem właściwie mógłby już wrócić do domu, postanowił jednak poczekać z wyjazdem do jutra, żeby dać trochę czasu pracownikom urzędu na sprawdzenie, czy wszystko w komputerach działa jak powinno. Zdarza się bowiem, że ktoś ma z czymś kłopot lub coś szwankuje i wtedy trzeba wracać do klienta. Aby sobie oszczędzić podróży, zamierzał nieco przedłużyć pobyt w Kazimierzu. Zwłaszcza że czuł do tego miejsca ogromny sentyment.

Przed czternastą wyszedł wreszcie z magistratu. Był zmęczony i głodny. Napięte mięśnie karku nieprzyjemnie ciągnęły. Sięgnął lewą ręką do prawej łopatki, ucisnął bolący mięsień i spróbował się rozprostować. Niewiele to jednak pomogło, zignorował

więc dyskomfort i poszedł w kierunku rynku, gdzie na straganie zamierzał kupić pyszne kazimierskie koguty. Wypiekany z drożdżowego ciasta, maślany w smaku i trochę przypominający chałkę okazały ptak z pieczęcią od dawna był wizytówką Kazimierza, a dla Janusza dodatkowo nieodłącznym wspomnieniem dzieciństwa. Coraz bardziej zgłodniały dotarł przed stragan ze świeżutkimi kogutami i od razu kupił sześć. Pulchne ciasto ugięło się pod palcami, ale, o dziwo, nie wydzielało aromatu. Nie dowierzając, Janusz wetknął nos do foliowego worka i zaciągnął się mocno. A jednak pachniały. Pachniały jak dawniej, jak należy, jak wtedy, gdy babcia wróciwszy z zakupów, wyjmowała je z ciężkich, wyładowanych po brzegi toreb.

Nie mógł się powstrzymać i jeszcze stojąc przy sprzedawczyni, odpakował jednego i zachłannie wepchnął sobie spory kawałek do ust. Cudo! Ledwie przełknął pierwszy kęs, już wbił zęby w koguci grzebień. Delektował się tym znajomym smakiem z takim upojeniem, że aż na chwilę przymknął powieki. A gdy je otworzył, dostrzegł dziewczynę z wesela. Tę, która minionego wieczoru na promenadzie roztaczała za sobą tę cudowną woń zielonej herbaty. Był absolutnie pewien, że ją rozpoznał. Wyszła właśnie z galerii Lawenda i ślicznie się uśmiechała, rozmawiając przez telefon. Przechodząc obok, na sekundę zatrzymała na nim swój wzrok. Zauważył, że miała urocze dołeczki w policzkach, które pięknie się odznaczały przy uśmiechu, oraz nietypowe skośne oczy. Lekko skośne, ale to wystarczało, by dodać jej buzi nieco egzotyki i wiele oryginalności. To była niebanalna twarz okolona burzą gęstych, niesfornych, choć krótkich włosów. Dziewczyna minęła go, wciąż rozmawiając przez komórkę. Na chwilę przestał przeżuwać, coś kazało mu się za nią obejrzeć, jednak ona szybko zniknęła wśród przechodniów. Wsunął niedojedzonego koguta do reklamówki i nie wiadomo dlaczego wszedł do galerii, którą przed chwilą opuściła nieznajoma. Już od progu uderzył go mocny aromat lawendy, tak intensywny, że aż przesadny. Sklep był pełen bibelotów i rozmaitych artykułów. Głównie chyba interesujących dla kobiet, bo Janusz nie bardzo wiedział, czy cokolwiek stąd mogłoby mu się przydać. Skoro już tu jednak wstąpił, postanowił rozejrzeć się za jakimiś drobnymi suvenirami dla swoich pań. Po długim zastanowieniu dla Doroty wybrał elegancko zapakowaną w szklany flakonik sól do kąpieli oraz mydło lawendowe, a dla Julci mały bukiet suszonej lawendy.

Zadowolony z zakupów wrócił na hotelowy parking, schował prezenty do bagażnika, a koguty położył na siedzeniu pasażera. Następnie wskoczył za kierownicę i ruszył ulicą Krakowską w kierunku przystani, skąd promem zamierzał przedostać się na drugi brzeg, do Janowca.

Kilkadziesiąt minut później wjeżdżał na polną drogę, która prowadziła prosto do domu jego dzieciństwa. Było to obejście leżące na skraju Janowca, kiedyś w niedalekim sąsiedztwie innych gospodarstw, ale dziś, z powodu rozplenionej wokół dzikiej roślinności, sprawiało wrażenie, jakby odsunięto je od ludzi całkiem daleko. Spoza rozrastających się wokół krzewów, traw i drzew niewiele już można było dostrzec, dom wyglądał na wybudowany w zupełnej dzicy i na kompletnym odludziu. Janusz śmiało jechał drogą doszczętnie porośniętą bujną trawą, zostawiając za sobą odcisnięte w niej ślady kół. Po chwili zatrzymał się przed starym drewnianym płotem z powyłamywanymi sztachetami. Pomiędzy zmurszałymi deskami dostrzegł niewielki bielony wapnem dom.

Na jego widok poczuł w piersi ucisk. Wzruszenie ścisnęło mu gardło, a oczy zaszklily się łzami. Bilski był twardym facetem, ale wobec ogromu miłości, jakiej doznawał w tym miejscu przez tyle lat, zawsze był bezradny i rozczulał się jak dziecko.

Sięgnął dłonią do schowka pod przednią szybą i wyszperał stary klucz z przytroczonym do niego plecionym, brudnym od używania sznurkiem. Otworzył drzwi mercedesa GLK i wysiadł z samochodu. Podszedł do wykoślawionej furtki zamkniętej jedynie na zardzewiały haczyk i otworzył ją przy akompaniamencie lekko zgrzytających żelaznych zawiasów. Zanim zdążył wejść na podwórze, dostrzegł wylaniające się zza ściany domu jakieś zwierzę. W pierwszym odruchu z powrotem domknął furtkę, ale już po chwili jego oczom ukazał się w całej okazałości duży rudy pies. Prawdopodobnie zareagował na skrzypnięcie bramki i wyszedł wiedziony instynktem lub ciekawością. Janusz zupełnie nie wiedział, co o tym sądzić. Dom od kilku lat był niezamieszany i z całą pewnością nie powinien się tu znajdować żaden pies. Ani jakiegokolwiek inne zwierzę domowe. Stali naprzeciw siebie, w niedużej odległości, oddzieleni furtką, i wnikliwie przyglądali się sobie nawzajem. Janusz miał trochę obaw, czy aby pies nie jest groźny, zwierzę zaś nieśmiało zaczynało merdać ogonem i śmiesznie przekrzywiała głowę, obserwując nieznanego człowieka. Żaden z nich nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku.

Nabrawszy nieco odwagi, Janusz powoli otworzył bramkę. Pies ani drgnął. Zrobił więc krok naprzód, potem drugi, zwierzę zaś wciąż stało bez ruchu, jedynie koniec ogona falował delikatnie. Prawdopodobnie nie był to pies z rodowodem, bo takiego nikt by raczej nie wyrzucił, ale z pewnością był to długowłose owczarek szkocki. Miał piękne rudo-białe umaszczenie, lekko skośne brązowe oczy i długą kufę. Był duży, ale wyglądał bardzo łagodnie. Janusz nie miał pomysłu, co z nim zrobić. Jedno wiedział na pewno: to pies wyrzucony, a on nie zamierza go przygarnąć. Ale zostawić go na pastwę losu także nie mógł. Najlepiej by było, gdyby zwierzę po prostu sobie poszedł, rozpląnął się w powietrzu, jakby nigdy nie istniał. W przypływie bezradności Bilski tupnął nogą. Owczarek w popłochu uciekł gdzieś za dom.

Janusz postać jeszcze chwilę, po czym podszedł wreszcie do drzwi wejściowych, wsunął klucz w zamek i przekręcił go z chrobotem. Stare drzwi szybko ustąpiły i niemal natychmiast uderzyła go woń dawno niewietrzonych pomieszczeń. We wnętrzu było przygnębiająco, dość ciemno i zimno. Wszedł do sieni, potem do kuchni. Przystanął pośrodku, spojrzał na zatrzymany nie wiadomo kiedy zegar wiszący nad kredensem, dotknął zimnych kafli pieca i westchnął mimowolnie na wspomnienie niezwykłego dobra, jakiego tu kiedyś zaznał. Po ludziach, których kochał, zostało tylko tych parę marnych sprzętów i stęchły zapach wilgotnych murów. Po co właściwie tu przyjechał? Nic go tutaj już nie trzymało, a mimo wszystko tu jest. Z własnej woli, wiedziony potrzebą duszy, która tęskni i nie może pogodzić się z nieuniknionym.

Rozejrzawszy się po kuchni, otworzył drzwi do jedynej sypialni i wszedł do niej. Spojrzał na starą szafę, wersalki i niemodną serwantkę. Na ścianach wciąż wisiły monidło dziadków i fotografie rodzinne sprzed wielu lat, a na parapetach dwóch maleńkich okien stały wyblakłe sztuczne pelargonie. Zbliżył się do pożółkłej żakardowej firanki i spojrzał przez zakurzoną szybę. Jego oczom ukazał się widok dziko

rozkrzewionej tarniny oraz kawałek starego sadu i puste poletko, na którym babcia zwykła sadzić warzywa. Pod jednym z orzechów dostrzegł zwiniętego w kłębek psa. Zrobiło mu się niewymownie przykro i jakiś potężny żal ścisnął mu serce. Odwrócił się szybko od okna, zaklął siarczyście i wyszedł z domu. Podbiegłszy do samochodu, wyjął torbę z kazimierskimi kogutami i głośno zagwizdał. Owczarek przydreptał prawie natychmiast, znów machając ogonem. Janusz rwał ciasto na kawałki i rzucał mu, a on łakomie chwycił kęsy i połykał prawie bez przeżuwania. Nasycił się dopiero pod koniec drugiego koguta. Pozostałe Bilski podrobił i zostawił pod ścianą domu, po czym wszedł do środka, zdjął z suszarki na ścianie starą blaszaną miskę, nalał do niej wody i wyniósł na zewnątrz. Pies pił zachłannie, rozchlapując wodę na boki.

Owczarek był piękny, ale zaniedbany i wychudzony. Janusz nie mógł pojąć, jakim trzeba być potworem, by skazać zwierzę na tak okrutny los. I co on w ogóle ma teraz z nim począć? Jak zapewnić mu dalsze życie, nie biorąc go pod swoją opiekę? Bilski był w rozterce. Im dłużej patrzył w skośne psie oczy, tym bardziej był poruszony jego marnym żywotem. W końcu w poczuciu bezradności wsiadł szybko do auta i odjechał. We wstecznym lusterku widział jeszcze przez chwilę, jak pies śledzi jego ucieczkę.

Do Kazimierza musiał wracać okrężną drogą, przez most w Puławach, ponieważ spóźnił się na prom. Ani po drodze, ani w hotelu nie potrafił skupić się na niczym innym – bez przerwy myślał o podrzyconym psie. Humoru nie poprawiła mu nawet rozmowa z Julką. Wyszedł po niej na rynek, usiadł u Fryzjera i zamówił gęsi pipek oraz piwo. Choć kolacja była naprawdę smaczna, jakoś nie sprawiła mu większej przyjemności.

Następnego ranka nie śpieszył się z wyjściem z łóżka. Jeszcze leżąc, sprawdził pocztę, odpisał na zaległe e-maile i przejrzał internet. Potem wziął długą kąpiel i dopiero około dziesiątej zszedł do sali restauracyjnej na śniadanie. Tu też się nie śpieszył, jadł spokojnie i z nieco większym apetytem niż podczas ostatniej kolacji.

Po jedenastej był gotowy do wyjścia. Chciał wstąpić do Urzędu Miasta i sprawdzić, czy wszystkie komputery działają jak należy, po czym zamierzał wrócić do Warszawy. W magistracie wszystko było w porządku. Spędził w nim około godziny i wyszedł znowu na rynek. Dokupił jeszcze kilka kogutów dla Julci, Doroty i ewentualnie dla swojego współnika Mateusza, po czym ruszył w drogę.

Wyjechał z Kazimierza i po kilkunastu kilometrach był już w Puławach. Zamiast odbić w prawo na Żyrzyn, skręcił w Piłsudskiego, a potem skierował się na most na Wiśle. Zdał sobie sprawę, że od wczorajszego wieczoru jedna rzecz nie daje mu spokoju i że musi coś z nią zrobić. Jeszcze nie wiedział co, ale coś musi. Po niedługim czasie znów był pod domem dziadków. Bez wahania wysiadł z samochodu i od razu wszedł na podwórze. Pies biegł w jego kierunku od strony stodoły. Dziś też nie zaszczekał, choć z pewnością go rozpoznał, bo był bardziej radosny niż wczoraj. Janusz wyciągnął do niego rękę, a on od razu zaczął ją lizać. Po chwili odważył się położyć dłoń na psiej głowie i przesunął ją po grzbiecie. Wyczuł pod palcami ostre kostki kręgosłupa i sterczące żebra.

– Ale z ciebie bida – westchnął smutno, na co pies zamerdał ogonem.

Głaskał go coraz pewniej i z każdym kolejnym ruchem dojrzywała w nim odważna decyzja. Wrócił do samochodu po klucze do domu, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Od razu wmaszerował do pokoju i skierował się w stronę szafy. Uchylił drzwi, rozejrzał się i z dolnej półki wyjął dwa koce. Co prawda nieprzyjemnie zalatywały stęchlizną, mimo to rozłożył je na tylnym siedzeniu auta, po czym obejrzał się za siebie. Pies uważnie go obserwował.

– Chodź – klepnął kanapę.

Pies zamerdał mocniej, przygarbił się trochę i niepewnie ruszył w kierunku Janusza.

– Śmiało – zachęcił jeszcze raz, a kiedy owczarek oparł o siedzenie przednie łapy, Bilski podrapał go delikatnie po grzbiecie.

Gdy usadowił się już na kanapie, Janusz zamknął za nim drzwi i odetchnął z ulgą. Zdawał sobie sprawę, że łatwo nie będzie, odtąd jego życie nieco się zmieni, poczuł jednak zadowolenie i był pewien, że postępuje dokładnie tak, jak należy.

– No, stary, nie wiem, jak to z nami będzie, bo mam uczulenie na psy – odezwał się ze śmiechem, kiedy już usiadł za kierownicą. Pies w odpowiedzi ni to parsknął, ni kichnął.

Przed piętnastą Marta z Rafałem pożegnali się obok przystanku na Wojska Polskiego w Puławach, skąd odjeżdżał autobus do Wrocławia. Rozstawali się w zgodzie, choć nie bez cienia jednostronnej goryczy. Wywołanej bynajmniej nie żalem z powodu czekającej ich rozłąki, ale zasianymi w Marcie wątpliwościami co do osoby jej chłopaka. On nie miał sobie niczego do zarzucenia, miniony weekend uznawał za bardzo udany; był coraz bardziej oczarowany Martą i już nie mógł się doczekać kolejnego spotkania. Żałował nawet, że dzieli ich pół Polski, i prawie snuł plany przeprowadzki do Warszawy, gdzie Marta mieszkała, pracowała i studiowała.

Ona początek weekendu także uznała za przyjemny. Rafał był uczuciowy, wesele udane, ale w poniedziałkowy wieczór zdarzyło się coś, na co nie zamierzała nigdy więcej pozwolić. Z kilkorgiem jej przyjaciół ze szkolnej ławy wybrali się do pubu na piwo. Kiedy późnym wieczorem wracali do domu jej rodziców, Rafał, trochę na rauszu, podekscytowany przyjemnym wieczorem i skory do amorów, przytulił się do Marty, pocałował ją za uchem i skomplementował po raz nie wiadomo który tego dnia. Miło mu podziękowała, uśmiechnęła się zalotnie i odrobinę się w niego wtuliła. Nie pozostało to bez echa, ponieważ przyjaciele, z którymi wciąż szli przez miasto, zadziornie skomentowali ich umizgi. Nie było w tym niczego złego ani złośliwego, chodziło o zwykłe przekomarzanie się wśród gromkich śmiechów. Marta odebrała to oczywiście jako niewinny żart, Rafał natomiast potraktował to zupełnie inaczej. Bynajmniej nie bawiło go, że drwi się z jego uczuć. Wprawdzie przemilczał zaczepne uwagi, lecz wyraźnie sposepniał i już do samego domu prawie się nie odzywał. Marta zauważyła w nim tę nagłą zmianę, ale nic nie powiedziała. W środku jednak aż kipiała ze złości, że prawie trzydziestoletni facet zachowuje się jak gówniarz. Była od niego o pięć lat młodsza, za to o wiele dojrzała.

I to był początek późniejszych nieprzyjemności. Kiedy pożegnawszy resztę towarzystwa, pod samym domem zostali już sami, Rafał zaczął jej robić szczeniackie wymówki, że lepiej traktuje kolegów niż jego, że bardziej zależy jej na ich towarzystwie niż na nim. Te absurdalne oskarżenia zdenerwowały ją jeszcze mocniej, nie chciała jednak

dać się sprowokować, ponieważ wiedziała, że Rafał tylko na to czeka, by przypuścić ostateczny szturm. Milczała więc, wobec czego on krzyknął:

– Jasne, nie odzywaj się! Strzelaj teraz babskie fochy!

– Rafał, uspokój się – poprosiła delikatnie, by go bardziej nie rozdrażnić. – Nie rób scen i wejdźmy do domu.

– Ja robię sceny?! – zawołał z takim niedowierzaniem, jakby naprawdę sądził, że to nie on rozpoczął tę absurdalną wymianę zdań.

I w tym momencie posunął się o krok za daleko, bo zbliżył się do Marty, chwycił ją za ramię i boleśnie przyciągnął do siebie. Zaciśnęła zęby z bólu, wściekłości i upokorzenia, po czym wolną ręką rozwarła palce jego zaciśniętej dłoni i wyswobodziła się z niechcianego uścisku. Cały czas patrzyła mu przy tym głęboko w oczy.

– Zrobiłeś to pierwszy i ostatni raz, rozumiesz? – syknęła, wciąż nie spuszczać z niego wzroku.

Przestraszył się, ale nie wiedziała, czy samego siebie, czy też jej reakcji. Otrząsnął się, zamrugał nerwowo i zaczął ją przeproszać, obiecując, że to się już nigdy nie powtórzy.

– Nie wątpię – odpowiedziała ostro. – Nie jestem twoją własnością. Ani ty, ani nikt inny nie będzie traktował mnie przedmiotowo. Nigdy więcej nie podnoś na mnie ręki!

Ta noc i kolejny dzień były nieprzyjemne i ciągnęły się w nieskończoność. Gdyby Rafał był miejscowy, Marta po prostu nie wpuściłaby go więcej za próg, ale ponieważ przyjechał aż spod Legnicy, jako gospodyni czuła się w obowiązku zajmować się nim aż do odjazdu. Tak więc przemęczyła się jeszcze kilkanaście godzin, a teraz oddychała pełną piersią, stojąc na puławskiej ulicy i ciesząc się, że Rafał jest już daleko od niej. A będzie jeszcze dalej... I to ją bardzo uspokajało.

Pokręciła się chwilę wśród kilku wystaw sklepowych, po czym ciągnąc za sobą walizkę, ruszyła w kierunku dworca PKP. Za kilkanaście minut rozsiadła się w pociągu i wróci do stolicy, w której zamierzała znaleźć dla siebie miejsce. Na razie miała tam małe wynajęte mieszkanie i monotonną pracę w sklepie, ale na początek dobre i to. Ważne, że już udało jej się uniezależnić od rodziców. Na jeszcze lepsze czasy będzie musiała trochę zapracować, lecz znając swój upór w dążeniu do celu, niczego się nie obawiała. Wierzyła w siebie i swoje siły.

W drodze na stację stanęła na chwilę na skraju chodnika, czekając na zmianę sygnalizacji. Samochody się zatrzymały, zanim jednak Marta ruszyła przez jezdnię, odruchowo rozejrzała się na boki i dostrzegła przed sobą mercedesa GLK, a w nim mężczyznę, który tak zabawnie opychał się kogutem w Kazimierzu. Zapamiętała jego twarz, bo, po pierwsze, był wtedy rozkosznie pochłonięty jeźdzeniem, a po drugie, był po prostu przystojny. W każdym razie jej bardzo się spodobał.

Obróciła głowę lekko w bok i zatrzymała na nim spojrzenie. Zobaczył ją i także zaczął jej się przyglądać. Chyba nawet uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła uśmiech i spuściwszy wzrok, ruszyła wraz z innymi na drugą stronę ulicy.

– Dziewczyna z wesela – powiedział Janusz ni to do siebie, ni do psa, który węszył niecierpliwie na tyłnej kanapie.

Ucieszył go jej widok. Nie potrafił sobie wyjaśnić dlaczego, ale było w jej wyglądzie coś, co go zachwycało. Być może chodziło o tę naturalność i swobodę ruchów,

której nigdy nie widział u dystygowanej Doroty.

Resztę drogi do Warszawy zastanawiał się głównie nad tym, jak wprowadzi do domu nowego lokatora, ale przemknęła mu też myśl o figlarnych dołeczkach w policzkach i skośnych oczach, bynajmniej nie psich.

Rozdział 2

Dzwonek telefonu oderwał Martę od przeglądania makaronów ustawionych na sklepowej półce. Sięgnęła do kieszeni, po czym zerknęła na wyświetlacz komórki.

– Dzień dobry, panie Stasiu – rozpoczęła uprzejmie.

– Dzień dobry – odpowiedział życzliwy męski głos. – Marta, czy ty jesteś w domu?

– Nie – zaprzeczyła. – Będę za jakąś godzinę. A o co chodzi?

– To nie na telefon – rzekł. – Zajrzę do ciebie wieczorem, -dobrze?

– Oczywiście, ale czy coś się stało? – zaniepokoiła się.

– Nie, mam po prostu pewną sprawę do ciebie – odparł mężczyzna. – Ale pogadamy o tym później. Do zobaczenia.

Stanisław Kaczewski był właścicielem mieszkania, które Marta od kilku lat wynajmowała. Nigdy dotąd nie prosił ją o spotkanie. Owszem, widywali się z rzadka, od czasu do czasu osobiście odbierał od niej pieniądze za czynsz, ale przeważnie dokonywała płatności przelewem. Ona nie była trudnym lokatorem, a on wścibskim gospodarzem, tak więc nie wchodzili sobie w paradę, wszelkie formalności załatwiając przez internet.

Późnym popołudniem Kaczewski zadzwonił do drzwi Marty. Otworzyła i gestem zaprosiła go do środka. Chociaż na jej twarzy malował się uprzejmy uśmiech, serce jednak biło szybciej z niepokoju, że zaraz usłyszy wypowiedzenie mieszkania. Od telefonu Kaczewskiego nie mogła się skupić na niczym innym poza deliberowaniem nad powodami jego wizyty. I cały czas przychodził jej do głowy tylko jeden: z pewnością zaraz się dowie, że musi się wynieść z mieszkania. Ta uparcie powracająca myśl nie dawała jej spokoju i choć nie była podyktowana żadną racjonalną przyczyną, i tak drażyła jej mózg i burzyła spokój.

– Napije się pan czegoś? – spytała grzecznie, jakby chciała odwlec nieprzyjemną chwilę.

– Nie, dziękuję. – Kaczewski był nieco zdenerwowany. – Widzisz, Marta, jest taka sprawa... Mam pewien kłopot i w związku z tym... – zająknął się.

Marta milcząco wpatrywała się w niego, czym wcale nie ułatwiała mu zadania.

– Chodzi o to – podjął znowu – że moja matka miała udar...

– Przykro mi – to było jedyne, co przyszło jej do głowy.

– Nie, nie... – machnął ręką – już jest lepiej, ale to właśnie z jej powodu przyszedłem do ciebie. Chcę cię o coś prosić... A właściwie poinformować...

Marta niewiele z tego rozumiała. To znaczy rozumiała, że Kaczewski ma chorą matkę, ale nie miała pojęcia, czego w tej sytuacji może od niej chcieć. A może chodzi o rehabilitację?... Cierpliwie i w milczeniu czekała na dalsze wyjaśnienia.

– Muszę cię prosić, żebyś opuściła to mieszkanie.

A jednak. Czyli miała trafne przeczucia. Przeniosła wzrok z Kaczewskiego na ścianę i próbowała zebrać myśli. Wiedziała już, że przed nią stoi trudne zadanie znalezienia nowego lokum i także niełatwe logistycznie przeniesienie wszystkich swoich rzeczy, których przez tych prawie pięć lat w Warszawie sporo się już nazbierało.

- Ile mam czasu? – odezwała się wreszcie.
- A gdzie ty chcesz iść? – trochę głupio zapytał Kaczewski.
- Nie wiem, panie Stasiu, czegoś sobie poszukam.
- Nie, nie! – zakrzyknął i aż podniósł się z fotela. – Ja cię wcale nie wyganiam, tylko chcę, żebyś zamieniła się ze mną.
- Jak to? – Marta nie kryła zdziwienia.
- To mieszkanie będzie mi dużo łatwiej dostosować do wózka matki niż mój dom. Tu są szerokie drzwi, nie ma progów ani pięt, a na Saskiej Kępie wszystko starodawne. Wysokie schody, wąskie korytarze, sama rozumiesz... – tłumaczył.
- No właśnie nie bardzo – odpowiedziała.

Stanisław Kaczewski cierpliwie wyłuszczył Marcie swój plan. Przypuszczalnie za jakieś dwa tygodnie, może wcześniej, jego matka opuści szpital i będzie potrzebowała odpowiednich warunków. A w ich dotychczasowym domu niestety takich nie ma. Mieszkanie, które wynajmuje Marcie, jest o wiele bardziej ustawne, choć ma mniejszy metraż. W tej sytuacji Kaczewski chciałby przenieść się tu wraz z matką i na czas jej rekonwalescencji proponował Marcie swój dom na Saskiej Kępie.

Marta niewiele miała do powiedzenia. Było dla niej jasne, że mieszkanie musi opuścić, a skoro przy tym zapewniano inny dach nad głową, to na plan Kaczewskiego przystała od razu. Co do czynszu za nowe mieszkanie, ustalili, że nic się w tej kwestii nie zmieni. Marta odetchnęła z ulgą, bo w którymś momencie przemknęło jej przez myśl, że dom pewnie będzie dużo droższy od mieszkania. Kaczewski nie był jednak typem dorobkiewicza, tylko statecznym panem po sześćdziesiątce i zupełnie nie zależało mu na wielkim zarobku. Znał Martę od kilku lat i jak dotąd nie miał z nią żadnych kłopotów. Uznał, że taki odpowiedzialny lokator to skarb, dlatego chętnie i bez obaw zaproponował jej przeprowadzkę do swojego domu. Owszem, mógł jej wypowiedzieć mieszkanie i po prostu się z nią pożegnać, ale nie widział takiej konieczności. Ustalili zatem, że jeśli zdrowie i sprawność jego matki będą się poprawiać, to być może w niedługim czasie znów zamienią się na mieszkania. Dla Marty oznaczało to co prawda trochę zachodu, ale i tak była zadowolona, że ma się gdzie podziać.

Pani Kaczewska była nadal w szpitalu, dlatego on mógł zaoferować Marcie pomoc przy przeprowadzce. Wprawdzie nie kazał jej się wyprowadzać natychmiast, ale wobec podjętych decyzji nie było sensu tego odwlekać. Tak więc przez następne dwa dni, w popołudnia i wieczory, Marta w mieszkaniu na Bemowie skrupulatnie pakowała wszystkie swoje rzeczy do walizek oraz pudeł, nie mogąc się przy okazji nadziwić, w jaki sposób udało jej się zgromadzić w ciągu kilku zaledwie lat tak pokaźny dobytek. Stanisław Kaczewski podobnie spędzał czas na Pradze-Południe i równie mocno się dziwił. Z tym że jemu dwa dni nie wystarczyły na spakowanie siebie i matki. Zajęło mu to prawie tydzień, aż wreszcie zadzwonił do Marty i rozpoczęli żmudną operację przewożenia pudeł. Była mu ogromnie wdzięczna, że znalazł czas i pomógł jej w transporcie rzeczy. Bez niego zmuszona byłaby wynająć jakąś firmę przeprowadzkową, co oczywiście oznaczałoby dodatkowe koszty. A Kaczewski pomógł jej bezinteresownie. W ramach rewanżu wspierała go także przy jego przeprowadzce. Kierując się jego uwagami i wskazówkami, rozłożyła garderobę pani Kaczewskiej w szafie i komodzie,

a garnki, talerze i sztuce – w szafkach kuchennych.

W obu mieszkaniach pozostało jeszcze sporo do porządkowania, ale już można było w nich zamieszkać. Marta wzięła ze sobą wszystkie swoje rzeczy i na Bemowie nie zostało nic, czego byłaby właścicielką. Kaczewski natomiast zabrał jedynie niewielką część swego dobytku, nie sposób bowiem przenieść wszystkiego ze sporego domu jednorodzinnego do średniej wielkości mieszkania w bloku. Wziął to, co najbardziej niezbędne, zapowiadając, że w razie potrzeby będzie przyjeżdżał po resztę.

Półtora tygodnia później Marta rozsiadła się wieczorem w dużym, wygodnym fotelu i popijała latte z ekspresu. Dom Kaczewskich wydawał jej się ogromny i całkiem przytulny. Stał przy Zakopiańskiej, która nie miała w sobie nic z wielkomiejskich tłocznych i gwarnych ulic. Przeciwnie, okolica była nieco ospała, przepelniona majową zielenią drzew i krzewów, z dość ciasną zabudową, w większości z lat trzydziestych ubiegłego wieku. Do domu należały dwa ogródki. Frontowy wypełniały stojące tuż przy płocie, wysokie na kilkanaście metrów świerki serbskie, naturalnie odgradzające od wszystkiego, co się działo na ulicy. Tylny obfitował w różne gatunki lilaków, które teraz właśnie bujnie i wonnie kwitły. Poza nimi rosły tam również krzewy jaśminu, berberysu, azalii i hortensji. Słowem: trochę natury w sercu Warszawy. Marta była urzeczona domem i zielenią. Znajdowała zaledwie jeden minus swojej przeprowadzki: z Bemowa miała bliżej do pracy i na uczelnię. Uczelni co prawda nie przeniesie bliżej Zakopiańskiej, ale o zmianie pracy już zaczęła rozmyślać.

Marta Żmigrodzka była dziewczyną niezwykle ambitną i pracowitą. Spędziwszy całe dzieciństwo w Kazimierzu Dolnym, miała mnóstwo czasu, by przyjrzeć się swojej rodzinie i w końcu dojść do wniosku, że są to ludzie mało wymagający od życia. Zaspokajali jedynie podstawowe potrzeby codziennej egzystencji, nawet nie marząc o niczym więcej. Z sześciorga dzieci państwa Żmigrodzkich jedynie Marta chciała czegoś ponad skromne życie w starej wiejskiej chacie, tylko ona odważyła się marzyć o świecie większym niż Kazimierz i jego okolice, i wreszcie – tylko ona chciała się uczyć. Technikum fryzjerskie wybrała wprawdzie zgodnie ze swoimi predyspozycjami, ale bez większego przekonania. Od zawsze miała wręcz fenomenalne zdolności manualne, wycucie smaku i wysublimowany zmysł artystyczny. Jej oko doskonale wychwytywało wszelkie przejawy piękna, a zręczne palce w okamgnieniu potrafiły wykonywać przeróżne cudeńka. Marta świetnie też piekła, gotowała i szyła. Podążając za swoimi zdolnościami, skończyła technikum w klasie fryzjerskiej, doskonale zdała maturę i od razu złożyła dokumenty do Wyższej Szkoły Rehabilitacji w Warszawie, kierunek fizjoterapia. Chociaż to nieco odległe od fryzjerstwa, jednak w dużej mierze wciąż robiła to, w czym była naprawdę dobra, ciągle ćwiczyła zręczność swych dłoni oraz podnosiła kwalifikacje.

Doskonale wiedziała, od czego chce uciec. Nie zamierzała powielać schematu swoich rodziców i siostr, który od lat wyglądał mniej więcej w ten sposób: wyjść za męża, znaleźć jakiegokolwiek lokum (może być do spółki z teściami), jak najszybciej postarać się o dziecko, jeśli się uda, to znaleźć pracę, a jeśli nie, to też nie będzie źle, no i oczywiście kupić jakiś samochód. Samochód musi być. Niekoniecznie nowiutki, ale im młodszy, tym lepszy, rzecz jasna. No i jeszcze duży, płaski telewizor z pakietem wielu kanałów do

wyboru. Tak, to były priorytety jej sióstr. To właśnie przekazali swoim córkom rodzice, taki dali przykład, tak też tworzyła się rodzinna tradycja bylejakości. Ona jedyna wyłamała się z modelu takiej rodziny. I doskonale wiedziała, że jeśli chce coś w życiu osiągnąć, to musi liczyć wyłącznie na siebie i być przygotowana na ciężką pracę. I była. Zaraz po maturze wyjechała do Warszawy, znalazła jakiś ciasny pokoik na Ursynowie i od razu pobiegła do najbliższej galerii handlowej, rozpytując w butikach o pracę. Szybko stwierdziła, że praca jest. Przeważnie mało płatna i pochłaniająca dużo czasu, ale jest. Na początek tyle jej wystarczyło. Z czasem trafiały się też drobne fuchy, na przykład uczesanie koleżanki na ślub czy na sylwestra, potem ktoś ją komuś polecił, zrobiła raz i drugi piękny makijaż, manicure czy uszyła z frędzli lub resztek jakiś bibelot, no i wpadały kolejne drobne kwoty. Niby nic wielkiego, ale starczało do pierwszego. Wkrótce przeniosła się na Bemowo, a teraz trafiła na Saską Kępe.

Maj niósł się tu zapachem bzów i świeżych traw. Gęstwina drzew i krzewów stanowiła doskonale miejsce do gniazdowania przeróżnego ptactwa, toteż oba ogródki przy Zakopiańskiej, a także wszystkie sąsiednie, rozbrzmiewały świergotem i śpiewem ptaków.

Wieczór był chłodny, ale Marta zupełnie na to nie zważała. Pootwierała okna wychodzące na ulicę oraz drzwi tarasowe do tylnego ogródka, owinęła się w mięciutki szlafrok i zasiadła w wiosennym przeciągu w fotelu pani Kaczewskiej. Szklanekę aromatycznej latte co chwilę unosiła do ust i przymykając skośne oczy, delektowała się jej smakiem. W salonie szybko się wyziębiło, położyła więc zmarznięte stopy na fotelu i okryła je szczelnie połą szlafroka.

Przesiedziała tak prawie do północy, słuchając treli kosów, -trznadli i słowików, a nawet w którymś momencie odniosła wrażenie, że rozpoznaje głos pokląskwy, choć wiedziała, że to nie miejski ptak. Być może bliskie sąsiedztwo Wisły sprawiało, że wiele gatunków chętnie gniazdowało w tych okolicach. Dobiegające gdzieś z traw melodyjne cykanie świerszcza domowego dodatkowo potęgowało w Marcie doznanie, że jest daleko od miasta.

Już drugiego dnia pobytu na Zakopiańskiej zrobiła szybkie rozeznanie okolicy, zastanawiając się, gdzie by tu spróbować znaleźć jakąś pracę. Jej wybór prawie od razu padł na centrum handlowe przy Ostrobramskiej. Do tej pory pracowała już w kilkunastu sklepach, doskonale znała specyfikę takich lokali i wiedziała, że większość młodziutkich sprzedawczyń to studentki, które nigdy nie pozostają długo w jednym miejscu, uważając, że sklep jest jedynie chwilowym przystankiem w drodze ku ich wielkiej karierze. Sama zresztą wyznawała podobną zasadę i dlatego nie wątpiła, że zdoła się zaczepić choć na chwilę w którymś ze sklepów w galerii. Miała także świadomość, że praca będzie na zmiany, męcząca i mało płatna. Godziła się jednak na to, bo nie należała do osób wybrednych, i wiedziała, że w jej sytuacji, bez jakichkolwiek znajomości i tak zwanych pleców, nie osiągnie szczytów swych marzeń w inny sposób, niż tylko przez żmudne wspinanie się po kolejnych szczeblach. Na razie była jeszcze zupełnie nisko, ale mierzyła niezwykle wysoko. Wierzyła przy tym, że jej plany są jak najbardziej realne. Była zdeterminowana nie powielać schematu egzystencji swoich rodziców i sióstr.

W poniedziałkowe popołudnie, w drugiej połowie maja, Marta wyszła z uczelni,

przespacerowała się do przystanku, wsiadła w autobus linii 523 i po ponad czterdziestu minutach wysiadła na Saskiej. Stąd miała jeszcze ponad trzy kilometry do Ostrobramskiej. Ten ostatni odcinek postanowiła przebyć pieszo, licząc na to, że być może po drodze do galerii handlowej natrafi na coś wartego uwagi i również tam rozpyta o pracę.

Szła powoli, delektując się słońcem i świeżą zielenią drzew i krzewów przy Kanale Wystawowym. Potem trasa stała się znacznie mniej przyjemna – szerokie, hałaśliwe i zatłoczone jezdnie raczej nie sprzyjały kontemplacji. Marta przestała zachwycać się wiosną i skupiła uwagę na pobliskich budowlach, rozważając, czy nie warto by spróbować złożyć gdzieś swoje CV. Doszła w ten sposób do budynków Polsatu, ale nie odważyła się tam wstąpić. Nie sądziła, by udało jej się coś znaleźć w telewizji. Chociaż, kto wie, jest przecież naprawdę dobrą fryzjerką, a ktoś musi czesać dziennikarzy i gwiazdy. Nieopodal telewizji znajdowało się Atrium Promenada, cel jej wędrówki. Tu wkroczyła bez oporów i śmiało, dumnie podnosząc głowę i prostując plecy. Była gotowa na szukanie pracy.

Najpierw przeszła przez większość sklepów. W każdym się rozejrzała, od niechcienia przerzuciła towar na wieszakach, po czym ukradkiem zerknęła na twarze sprzedawców. Doskonale знаła takie klimaty, w dużych centrach handlowych pracowała już kilka-krotnie. Potrzebowano w nich młodych, obrotnych, dyspozycyjnych i uprzejmych ludzi. Po półtorej godziny wyjęła z przepastnej torebki teczkę, w której trzymała swoje CV. Weszła ponownie do czterech czy pięciu sklepów z odzieżą, do dwóch z asortymentem dla dzieci oraz do salonu jubilerskiego. W każdym z tych miejsc uprzejmie pytała, czy nie poszukują pracowników, i na wszelki wypadek zostawiała swój życiorys; w jednym skierowano ją nawet do kierownika, ale na razie niczego konkretnego jej nie zaoferowano, tylko obiecano się z nią skontaktować. Była dobrej myśli.

Od rana była na nogach. Zmęczenie i głód odezwały się niemal jednocześnie, atakując jej organizm i próbując powalić tu i teraz, czyli w drodze powrotnej na Zakopiańską. Osłabiona, ale z poczuciem zadowolenia Marta zmierzała do domu. Jakiś szósty zmysł podpowiadał jej, że dzisiejszy trud nie był daremny. Miała naprawdę ogromną nadzieję na pracę w Atrium.

Zanim dotarła do domu, wstąpiła do niewielkiego sklepu mięs-nego, w którym za szybko lodówki szczególnie dobrze prezentowały się wątróbki wieprzowe. Była tak głodna, że zjadłaby chyba wszystko, ale czuła, że wątróbka to najlepszy wybór. Nie potrafiła jej się oprzeć i do swojej nowej kuchni wróciła z siatką pełną produktów potrzebnych do zrobienia smażonej wątróbki z jabłkami.

Pod kuchennym kranem szybko umyła ręce, równie szybko popędziła na górę, by przebrać się w wygodny podkoszulek i dżinsy, po czym po dwa stopnie naraz zbiegła z powrotem na dół i znów stanęła w kuchni. Umyła i osuszyła wątróbkę, pokroiła ją na mniejsze kawałki, włożyła do miski i zalała mlekiem. Obrala i pokroiła w piórka dwie cebule, potem to samo zrobiła z dwoma kwaśnymi jabłkami, z tą różnicą, że pokroiła je w ósemki. By nie ściemniały, pokropiła sokiem z cytryny. Zaparzyła sobie zielonej herbaty i od czasu do czasu popijała ją małymi łykami. Była tak głodna, że wyjęła wątróbkę z mleczonej kąpieli przed czasem, mając nadzieję, że nie zaszkodzi to smakowi całej potrawy. Dobrze pamiętała z dzieciństwa, że matka nigdy nie moczyła jej w mleku,

a mimo to zawsze była smaczna. Niewykluczone więc, że jej dzisiejszy obiad też się uda. Wrzuciła podroby na rozgrzany olej, podsmażyła, po czym wyjęła z patelni. Na tym samym oleju zeszkliła cebulę i do niej znów włożyła wątróbkę. Podlała wszystko odrobiną wody i nakryła patelnię pokrywką, aby danie powoli się dusiło.

Po całym domu rozeszły się aromaty cebuli i smażeniny. Marta już nie mogła się doczekać, kiedy zasiądzie do obiadu. Najwyraźniej jednak smakowite zapachy dotarły także na zewnątrz, bo w kilka minut od wrzucenia wątróbki na patelnię usłyszała niecierpliwe skomlenie dochodzące gdzieś spod kuchennego okna otwartego na oścież. Szybko podeszła do okna i wychyliwszy się przez parapet, ujrzała zniecierpliwionego owczarka szkockiego, który przysiadł na zadzie, zadzierał głowę do góry i przestępując z łapy na łapę, zupełnie nie kontrolował wydobywającej się z pyska śliny. Widok był tak zabawny i rozculający, że Marta aż się do siebie uśmiechnęła. Owczarek był rudy, z białym krawatem, i wyglądał na bardzo głodnego. Skąd się wziął w jej ogródku, tego Marta nie wiedziała. Żadna z furtek, ani frontowa, ani tylna, nie była dziurawa, płoty także wydawały się kompletne, a Kaczewski nie wspominał, że ma psa. Zresztą gdyby to był jego pies, zorientowałyby się zapewne, bo przecież mieszkała tu już od kilku dni. Zatem pies należał do kogoś innego i zupełnie nie wiadomo, jak się tutaj dostał. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że jest głodny, a wątróbka pachniała coraz intensywniej.

Marta zlitowała się nad zwierzakiem: wyjęła kawałek z patelni, podmuchała na niego solidnie i wyrzuciła przez okno, wprost pod psie łapy. Owczarek zerwał się z miejsca i radośnie warknąwszy, przypadł do skromnej porcji. Pochłonął ją w okamgnieniu i poszczekując, domagał się więcej. Choć był dużym psem, sprawiał wrażenie łagodnego i przyjaznego, może tylko trochę zbyt niecierpliwego i łapczywego.

Ostatecznie z patelni całkiem sporo ubyło i danie, jakie pozostało, to była raczej cebula i jabłka z wątróbką niż wątróbka z cebulą i jabłkami. Pies chyba wreszcie zaspokoił apetyt i zrobił się nieco spokojniejszy, toteż Marta mogła dalej zająć się swoim obiadem. Co chwilę jednak wychylała się przez okno i rozglądała na boki, chcąc dojrzeć, w którym kierunku pies się oddali. Zakładała, że skoro przyszedł, to musi też gdzieś odejść.

Na drugiej patelni podsmażała jabłka posypane obficie majerankiem i szczyptą kurkumy. Na koniec przełożyła je do wątróbki i jeszcze przez chwilę dusiła wszystko razem, dodając soli i pieprzu do smaku. Po minucie danie było gotowe i mogła wreszcie zasiąść do jedzenia.

Gdy spojrzała jeszcze raz przez okno, zobaczyła psi zad w krzewach bzów. Wystarczyła krótka chwila, by zniknął bez śladu w ich gąszczu. Przez zieloną ścianę nie sposób było dostrzec, czy siatka oddzielająca posesję Kaczewskich od sąsiedniej jest cała, ale zniknięcie owczarka oznaczało raczej, że ogrodzenie jest dziurawe. Wyglądało na to, że zwierzę po prostu się najadło i wróciło do swojego domu. Czyli Marta dokarmiła psa sąsiada.

Teraz sama zajęła się jedzeniem. Obiad był wyśmienity. Mięciutka, bo niezbyt wysmażona wątróbka w połączeniu z winnymi jabłkami smakowała wyśmienicie, a jej zapach unosił się w domu jeszcze całkiem długo.

Pełny żołądek sprawił, że Marta poczuła się trochę rozleniwiona i nabrała ochoty

na błogie polegiwanie w przytulnym salonie, ale gdy podniosła się od stołu, ruszyła jednak w przeciwnym kierunku. Od kilku dni rozpracowywała wszystkie funkcje fantastycznego ekspresu do kawy, codziennie serwując sobie inny napój. Dziś przyszła kolej na mokkę i był to świetny wybór. Na wierzchu zrobiła kleks bitej śmietany i posypała ją cynamonem. Kolejne cudowne aromaty rozeszły się po kuchni i salonie. Dziś tyle wystarczyło Marcie do szczęścia.

Kawa postawiła ją na nogi – ustąpiło zmęczenie, ulotnił się też ból nadwyreżonych stóp i kolan. Wstała z fotela, odstawiła filiżankę do zmywarki i podeszła do okien, aby je po kolei pozamykać. Pogoda, choć wiosenna, jeszcze nie sprzyjała takiemu wietrzeniu domu, jakie od trzech dni urządziła Marta. Tak bardzo jednak chciała nieustannie czuć tę wspaniałą woń świeżej trawy i bzów, że nie potrafiła się oprzeć i po pokojach oprócz upojnych zapachów błąkał się także chłód rześkiego majowego powietrza.

Kiedy już pozamykała wszystkie okna, wyruszyła na dokładne rozpoznanie domu. Dotychczas zaledwie pobieżnie orientowała się w jego topografii. Stanisław Kaczewski oznajmił wprost, że wolno jej korzystać ze wszystkiego, co znajdzie i co będzie jej potrzebne. Ufał jej chyba bezgranicznie, a ona nie miała najmniejszego zamiaru nadużywać jego zaufania. Skoro jednak nie zamknął przed nią na klucz żadnych drzwi, postanowiła się nieco rozejrzeć.

Dom był duży i stary, ale w bardzo dobrym stanie. Widać, że właściciel wkładał serce w jego utrzymanie. Wszędzie było czysto i na swój sposób gustownie, choć wystrój na pewno nie odpowiadał najnowszym trendom. Meble były niezniszczone, dywany bez plam, ściany bez zalegających pod sufitem pajęczyn, a parkiet najwyraźniej niedawno cyklinowano i lakierowano, bo lśnił jak nowy. Aż trudno uwierzyć, że samotny, owdowiały i bezdzietny mężczyzna opiekujący się schorowaną matką miał czas i ochotę dbać tak o dom.

Marta szła od pokoju do pokoju, podchodziła do szaf i regałów, nieśmiało wyciągała dłoń i otwierała niedomknięte drzwiczki. Początkowo czuła się jak intruz, ale doznanie to szybko ustąpiło miejsca ciekawości. Każda rzecz i każdy najmniejszy drobiazg pozostawione w tym domu stanowiły część czyjegoś życia, miały do opowiedzenia jakąś historię, były przeszłością i nie wiadomo, czy posłużą jeszcze komuś w przyszłości. Co do Kaczewskiego, Marta wiedziała, że prędzej czy później wróci tutaj, do tych wszystkich przedmiotów i sprzętów, ale czy to samo można powiedzieć o jego chorej matce?

Zajrzała do szafy. Ubrania na półkach leżały złożone w równiutką kostkę. Dotknęła jakiegoś swetra, potem przesunęła dłoń w dół, na chłodną żorzetę, ale niczego nie wyjęła. Przeszła do kolejnego pokoju, w którym całą jedną ścianę zajmował stary kredens z przeszklonymi witrynami. Za szybami zobaczyła mnóstwo porcelany i kryształów. Stały tam serwisy obiadowe, kawowe, szklanki, kieliszki i kilka porcelanowych figurek. Otworzyła drzwiczki i ostrożnie sięgnęła po maleńką filiżankę z bardzo cienkiej porcelany. Przejechała palcem po złożonym brzegu i odstawiła ją na miejsce. Sama nie wiedziała, dlaczego to robi, dlaczego zagląda do cudzych rzeczy. Nie sądziła, że zdolna jest do takiej niedyskrecji, ale ciekawość okazała się silniejsza. Zbliżyła się jeszcze do komody, uchyliła dębowe drzwiczki i poczuła zapach krochmalu. Na półkach leżało kilka

lub kilkanaście kompletów śnieżnobiałej pościeli. Krochmalona bielizna pościelowa to nieodłączna część jej dzieciństwa. Do dziś z rozrzewnieniem wspominała każdą pierwszą noc po powleczeniu nowych poszew na poduszkach i kołdrze. Niemal czuła charakterystyczny szelest sztywnego materiału i zapach świeżości. Już od dawna nie spała pod taką pościelą.

Zamknęła komodę i wtedy jej wzrok padł na stojące na niej spore drewniane pudełko. Wyglądało, jakby wiele lat temu przywieziono je z Podhala, a w środku była zapewne jakaś biżuteria albo drobne pamiątki. Marta podniosła wieczko i ujrzała całkiem pokaźny zbiór srebrnych przedmiotów. Prawie wszystkie pokryte były wieloletnią patyną, leżały w nieładzie, łańcuszki splątały się ze sobą i z pierścionkami, a kolczyki pogubiły pary. Marta wzięła pudełko do rąk i usiadłszy na miękkim dywanie, wysypała srebrną biżuterię. Powoli i z namaszczeniem rozplątała każdy łańcuszek, znalazła parę każdemu kolczykowi i porozkładała wszystko na kupki wedle rodzaju. Oczy same się uśmiechały do tych precjozów. Większość z nich pochodziła z wytwórni Warmet, ale były też filigranowe pierścionki i także kolczyki z Imago Artis. Piękna, stara robota, kamienie ujęte w srebro, ogniwa łańcuszków ręcznie wykute, krzyżyki nieco niesymetryczne przez to, że były pracą ludzkich rąk, a nie wytworem bezdusznej maszyny. Marta była urzeczona zawartością tej szkatułki. Niektóre pierścionki pozwoliła sobie przymierzyć, a kolczyki przykładała do ucha i przeglądała się w szkle witryny. Sporo czasu zajęło jej to podziwianie, wreszcie jednak powkładała wszystkie przedmioty ostrożnie do pudełka i odstawiła je na miejsce.

Dom był już prawie rozpoznany. Kuchnię i obie łazienki obejrzała od razu pierwszego dnia po przybyciu. Zostały jej jeszcze garaż i piwnica. Te dwa pomieszczenia akurat nieszczególnie ją interesowały, ale skoro już zrobiła sobie wycieczkę po domu, postanowiła zajrzeć i tam. Garaż miał wejście od zewnątrz, ale można było się do niego dostać również od środka, schodami, po drodze do piwnicy. Było to typowo męskie królestwo, w którym dominowały skrzynie z narzędziami i zapach smarów. Na dawno bielonych ścianach wisiały powtykane pomiędzy cienkie gwoździe całe szeregi przeróżnych dwustronnych płaskich kluczy oraz wiele innych przedmiotów, których przeznaczenia Marta nie знаła; z pewnością były to narzędzia do męskich robót wszelakich. W najdalszym kącie stał komplet opon samochodowych i oparty o niego rower miejski. Jego jasnoróżowy kolor i biały wiklinowy koszyk zawieszony nad przednim kołem stanowiły jaskrawy kontrast na tle wszystkich zgromadzonych tu gratów. Marta ledwie spojrzała na jednoślad, od razu wiedziała, że wcześniej czy później zadzwoni do Kaczewskiego i poprosi go, żeby pozwolił jej się na nim przejechać.

Poza rowerem nic ją tam nie zainteresowało, opuściła więc garaż i wróciła do kuchni. Z oglądania piwnicy całkowicie zrezygnowała, uznając, że i tak już wystarczająco wtargnęła w cudze życie. Skoro Kaczewscy umieścili cokolwiek w piwnicy, to zapewne z zamiarem, by tam pozostało.

Tego wieczoru całkiem wcześnie zdecydowała się na kąpiel; spędziła w wannie tyle czasu, że kiedy wyszła z łazienki, w domu panował już półmrok. Owinęła się dokładnie ciepłym szlafrokiem, po skrzypiących schodach weszła na piętro i zajrzała do jednego z pokoiów, który wyglądał jak gabinet albo biblioteka. Włączyła światło,

podeszła do regału z książkami i przyjrzała się im uważnie. Na jej oko mogło tam być z tysiąc tytułów, dlatego wybór nie był wcale łatwy. Zastanawiała się przez kilkanaście minut, zdejmując z półek niektóre książki, aż wreszcie zdecydowała się na *Prokurator Alicję Horn*. Znała tę powieść doskonale, ale Dołęga-Mostowicz zachwycał ją od lat i zawsze z jednakową ciekawością wracała do jego prozy. Cieszyła się na myśl, że spędzi wieczór z książką. Zeszła na dół; po chwili w kuchni rozszedł się zapach gorącej czekolady, którą właśnie nauczyła się przygotowywać w ekspresie.

Kiedy zmierzała z filiżanką i książką do salonu, zadzwoniła jej komórka. Spojrzawszy na wyświetlacz, bez jakiegokolwiek radości odebrała połączenie.

– Cześć, kochanie – w słuchawce rozległ się przymilny głos Rafała.

– Cześć – przywitała go uprzejmie, choć z pewnością nie tak, jak on by tego chciał.

Zadzwonił bez powodu, chyba tylko po to, by niezobowiązująco pogadać, usłyszeć coś miłego, powiedzieć, że ją kocha, i być może doczekać się w zamian identycznego wyznania. Ot, zwykła rozmowa o niczym, której celem jest podtrzymanie i umocnienie więzi. Tylko że Marta żadnej więzi z nim nie czuła. Jeszcze kilka tygodni wstecz gotowa była się postarać, by wykrzesać z siebie coś na kształt uczucia. Naprawdę chciała poczuć do Rafała coś szczególnego. Myślała nawet, że z czasem jej się to uda, że potrafi się zaprogramować na tego faceta. Dziś już wiedziała, że nie wszystkiego można się nauczyć, a miłość jest właśnie jedną z tych rzeczy, które nie wymagają nauki.

Rafał tymczasem miał odmienne zdanie. Choć Marta nie oszukiwała go i powiedziała mu wprost, że nie sądzi, by kiedykolwiek chciała stworzyć z nim związek, uparcie twierdził, że z czasem na pewno się to zmieni, niech tylko da mu szansę na kolejne spotkanie. Słowem: bez pardonu próbował wprosić się do niej z wizytą, by móc podtrzymywać, a nawet zacieśniać więzi, których ona nie czuła, a on przeciwnie – aż nadto. Dzięki asertywności udało jej się jednak wykręcić od niewygodnego dla niej spotkania z natrętnym chłopakiem. Nie chciała mu powtarzać, że nie ma na co liczyć, ponieważ przestał ją zupełnie interesować, na szczęście zdołała się wymówić natłokiem obowiązków na uczelni i pracą. Nie uznała za konieczne poinformować go, że chwilowo nie ma pracy, wierzyła bowiem głęboko, że niebawem się to zmieni. Tak więc rozmowę zakończyli bez porozumienia, ale i bez kłótni, a ona mogła wreszcie wrócić do aromatycznej, pysznej czekolady i zagłębić się w lekturze.

Chwila relaksu nie trwała jednak zbyt długo, bo gdy czekolada prawie sięgała już dna filiżanki, z przyjemnego zaczytania wyrwał ją dzwonek u drzwi. Stanisław Kaczewski stał w nich, jakby był tu gościem, lekko zmieszany, że przeszkadza.

– Zapraszam, panie Staszku, niechże pan wchodzi. – Marta poczuła się jakoś nieswojo, zapraszając go do jego własnego domu. – W czym mogę panu pomóc? Jak zdrowie pańskiej mamy? – Zupełnie nie wiedziała, czym jest podyktowana jego wizyta ani też jak powinna się właściwie zachować.

– A dziękuję, Martusiu – odpowiedział ciepło i radośnie. – Wygląda na to, że mama zdrowieje. Przeszedłem wziąć jeszcze parę jej rzeczy, trochę więcej bielizny, jakieś bluzki, ręczniki... Pozwolisz, że pójde na górę?

Mówiąc to, był już wprawdzie na schodach, ale jego ton wskazywał, że naprawdę oczekuje zgody Marty.

– No co też pan, panie Stanisławie? – roześmiała się serdecznie. – Przecież jest pan u siebie.

– No tak, tak! – krzyknął z któregoś pokoju na górze. – Ale teraz to i trochę u ciebie!

Na kilka minut zaległa cisza. Marta usiadła z powrotem w fotelu i czekała, aż Kaczewski wróci na dół. Zszedł po kilku minutach i odezwał się, jakby kontynuując rozpoczętą wcześniej rozmowę:

– Właściwie to powinienem zadzwonić i uprzedzić, że przyjdę. – Trzymał w dłoni sporą torbę, w której zapewne były rzeczy matki.

– Proszę przychodzić, kiedy tylko się panu to podoba – odparła Marta. – To ja jestem tu gościem, nie pan.

– Eee... dajmy już spokój tym grzecznościom.

Marta znów się uśmiechnęła. Było w tym mężczyźnie coś, co sprawiało, że czuła do niego dużą sympatię. Odkąd go poznała kilka lat temu, nigdy nie sprawił jej żadnych przykrości. Nie podniósł czynszu z dnia na dzień, nie był wścibskim gospodarzem, nie nachodził jej bez powodu, a kiedy już się spotykali, był kulturalny, szczerzy i dowcipny. Marta uważała go za porządnego i uczciwego człowieka.

Przez chwilę rozmawiali o tym i owym, aż wreszcie Marta, słysząc o polepszającym się stanie zdrowia pani Kaczewskiej, zaproponowała mu swoją pomoc przy rehabilitacji. Uważała, że wobec całego dobra, jakiego od niego doznała, przynajmniej w ten sposób będzie mogła się trochę odwdziżyć.

– Naprawdę, chciałabyś nam pomóc? – Kaczewski był bardzo uradowany. – A znajdziesz na to czas?

– Dla pana zawsze – odpowiedziała zupełnie szczerze. – Z prawdziwą przyjemnością. Proszę tylko powiedzieć, kiedy mam przyjść.

– Oj, na razie to jeszcze nic nie wiem. Mama jest wciąż w szpitalu i tam ją trochę rehabilitują, ale jak tylko przyjdzie czas na dodatkową rehabilitację, to zadzwonię do ciebie. Mogę?

– Koniecznie, panie Staszku. Będę czekała. Ale czas na rehabilitację to już z pewnością jest. – Była przecież pilną studentką fizjoterapii i wiedziała, że ćwiczenie sparaliżowanych mięśni należy zaczynać niemal od razu.

Zanim pożegnała się z Kaczewskim, poprosiła go jeszcze o zgodę na korzystanie z jego roweru.

– A bierz go, kiedy chcesz – machnął lekceważąco ręką. – Tylko się na nim nie połam – dodał na odchodnym.

Następnego dnia odpowiedziano na jej CV. Dzwonili z Atrium, ze sklepu dziecięcego, z propozycją pracy. Od razu po skończonych zajęciach na uczelni pojechała podpisać umowę. Proponowane warunki finansowe niczym ją nie zaskoczyły, czyli były na poziomie tych, które już знаła ze swoich poprzednich prac. Po szybkich obliczeniach doszła do wniosku, że może spodziewać się nieco ponad półtora tysiąca pensji na rękę plus premie od paragonu. Była to kwota raczej niewielka, niewystarczająca na przeżycie miesiąca w stolicy, ale Marta mogła liczyć także na dodatkowe zarobki. Dzięki swej pracowitości, dużym zdolnościom manualnym i poczuciu estetyki potrafiła sobie dorobić

na fryzjerstwie, masażach czy też różnych drobnych zleceniach krawieckich. Do tych wszystkich dochodów dochodziło też stypendium naukowe, które całkiem znacząco poprawiało stan jej finansów. Jeśli chodzi o jakość życia, sporo zawdzięczała także Stanisławowi Kaczewskiemu. To dzięki niemu mogła sobie pozwolić najpierw na dwupokojowe nowe mieszkanie, a teraz na bardzo przyjemne wielometrowe lokum. Gdyby nie dobroć Kaczewskiego i brak chęci zysku z jego strony, zapewne byłaby zmuszona do wynajmowania pokoju w jakiejś studenckiej wspólnotce. Na szczęście udało jej się trafić na człowieka, któremu bardziej zależało na odpowiedzialnym lokatorze niż na dużym zarobku.

Około siedemnastej dotarła na Zakopiańską. Postanowiła sobie, że dzisiejsze popołudnie przeznaczy na rozpoznanie najbliższej okolicy i znalezienie wszelkich możliwych skrótów z wykorzystaniem roweru Kaczewskiego. Spacerowanie na piechotę przez nieznaną część Warszawy uznała bowiem za męczące i zbyt czasochłonne. Przy jej intensywnym trybie życia oszczędność czasu uznała za konieczność. Zdecydowała zatem, że po szybkim obiedzie wyjmie rower z garażu i zwiedzi okolicę, by opracować jak najszybszy sposób przemieszczania się do nowej pracy. Musi też znaleźć jakiś bazarek w pobliżu z niedrogimi świeżymi produktami. Najlepiej takimi prosto ze wsi.

Weszła do kuchni, postawiła na stole siatkę z zakupami, umyła szybko ręce, potem biorąc po dwa schody naraz, pobiegła na górę przebrać się w coś wygodniejszego. Zanim wzięła się do przygotowania obiadu, spojrzała na ekspres i szybko zmieniła plany. Jedzenie może chwilę poczekać, najpierw kawa z cieplutkim spienionym mlekiem.

Kwadrans później po domu rozchodził się oszałamiający aromat świeżo mielonej kawy, a Martę ogarnęło błogie lenistwo. Rozsiadła się wygodnie w głębokim fotelu, podciągnęła nogi na siedzisko i położyła głowę na wysokim oparciu. Od czasu do czasu pociągała łyk pachnącej kawy i z rozkoszy mrużyła oczy, pozwalając sobie nawet na przyjemne pomruki. Z tego miłego stanu rozleniwienia wyrwał ją dzwonek u drzwi. Podniosła się leniwie i poszła otworzyć.

W progu zobaczyła drobną dziewczynkę z uśmiechem na twarzy, który jednak zniknął natychmiast z chwilą otwarcia drzwi. Najwyraźniej zaskoczył ją widok Marty.

– Tata kazał mi tu przyjść – odezwało się zaskoczone dziecko.

– Tata?

– Tak, bo mama nie przyszła.

Marta nie rozumiała nic a nic z tych dziecięcych wyjaśnień. Dopiero pytanie zadane po chwili przez małą pozwoliło jej się domyślić, że jednak jest w nich jakiś sens.

– Gdzie jest pan Stasio?

– Wyprowadził się – Marta odpowiedziała chyba zbyt pochopnie, bo natychmiast dostrzegła w oczach dziewczynki łzy.

– Jak to? – spytało dziecko łamiącym się głosem. – To gdzie ja mam teraz pójść?

Marta poczuła ukłucie w sercu na widok wystraszonej i bezradnej dziewczynki, która jeszcze przed chwilą uśmiechała się szeroko, a teraz gotowa była wybuchnąć płaczem.

– Sama tu przyszłaś? Czy pan Stasio wiedział, że go odwiedzisz?

– Nie wiedział. Bo wcale nie miałam tu przychodzić – dziewczynka tłumaczyła

najlepiej, jak umiała, ale Marta i tak nic z tego nie rozumiała.

– Skoro jesteś znajomą pana Stasia, to wejdź do środka i opowiedz mi, o co chodzi – otworzyła szerzej drzwi, zapraszając ją, by weszła.

Mała wyglądała jednak na nieufną albo co najmniej zdeorientowaną. Mimo zachęcającego gestu, wciąż stała w progu.

– Czy ty się przypadkiem nie zgubiłaś? – Marta ponownie próbowała nawiązać kontakt.

– Nie – odparła dziewczynka. – Mieszkam tutaj – wskazała małą dłonią na gęstwinę bżów, za którymi był cudzy ogródek i dom.

– A, w takim razie jesteś moją sąsiadką? – Marta uśmiechnęła się najcieplej, jak potrafiła.

– Taak?

– No chyba tak. Bo jeśli ja mieszkam tu, a ty obok, to musimy być sąsiadkami. Jestem Marta – wyciągnęła dłoń w jej kierunku.

– A ja Julka – dziewczynka lekko się uśmiechnęła i nieśmiało odwzajemniła uścisk.

– Odprowadzić cię do domu, Julka? – Marta wciąż się nie domyślała, dlaczego sąsiadka nie poszła do siebie, tylko wstąpiła do Kaczewskich.

– Nie, bo w domu jest tylko Bida – wyjaśniło dziecko.

– Bida? – wyobraźnia podpowiadała Marcie straszne obrazy, aż serce podeszło jej do gardła.

– Tak, Bida – potwierdziła Julka. – A poza tym ja nie mam kluczy.

– Aha, no i wreszcie wszystko jasne. – Marta znów się uśmiechnęła. – W takim razie musisz do mnie wejść i poczekać na rodziców. Czy o to chodziło? Po to przyszedłeś do pana Stasia?

– Po to.

– Posłuchaj, Julka, skoro u ciebie jest taka bida, to może byś coś zjadła? – Marta skierowała dziewczynkę do środka i wreszcie zamknęła drzwi frontowe.

Julia weszła dalej i całkiem swobodnie rzuciła plecak na kanapę, a sama rozsiadła się w fotelu. Przez chwilę przyglądała się Marcie uważnie, po czym, jakby po namyśle, odezwała się do niej:

– Nie wiem, co Bida ma wspólnego z jedzeniem, ale może faktycznie bym coś zjadła.

O ile dotychczasowa konwersacja z dziewczynką wydawała się Marcie całkiem rzeczowa, to jej ostatnie zdanie uznała za bezsensowne. To przecież oczywiste, że bieda ma wiele wspólnego z głodem, ale by nie upokarzać i nie zawstydzać dziecka, postanowiła nie drażnić tematu. Pomyślała jedynie, że znając dobroć Kaczewskiego, mogło się już niejednokrotnie zdarzyć, że mała przychodziła tu na obiad.

– Czy gorąca czekolada i pyszne kanapki mogą być? – zaproponowała.

– Mogą, ale bez wędliny i w ogóle nic na słono – odparła dziewczynka.

– Nie możesz jeść soli?

– Mogę, ale przecież do czekolady mięsko nie będzie pasowało.

– Aha – Marta była zaskoczona i rozbawiona elokwencją kilkulatki. – Wobec

takiego dictum kanapki muszą być pewnie na słodko?

– Najlepiej by było – skwitowała Julia. – A co to jest dictum?

– To taki rodzaj stanowczości – Marta po zastanowieniu udzieliła odpowiedzi, choć nie była pewna, czy trafiła w sedno.

Po kilku minutach na kuchennym stole stały dwie aromatyczne czekolady i talerz pełen kanapek.

– Czy to na pewno da się zjeść? – powątpiewała Julia.

– Spróbuj – zachęciła ją Marta, troszkę obrażona niedowierzaniem małej w jej zdolności kulinarne.

Dzisiejszy obiad był bardzo prosty i może nawet nie powinien nazywać się obiadem, tylko raczej kolacją, ale za jego smak Marta gotowa była ręczyć własną głową. Jej siostrzeńcy przepadali za tym jedzeniem i była skłonna zaryzykować tezę, że Julka za chwilę także rozplynie się w uwielbieniu. Był to stos świeżutkich, chrupiących pająd chleba posmarowanych masłem, na którym leżały pokrojone w plasterki banany i truskawki. Jeśli czegoś Marta nie była tu pewna, to jedynie tego, czy truskawki są wystarczająco słodkie, ponieważ to jeszcze nie był sezon na rodzime owoce, kupiła koszyczek hiszpańskich. Kiedy jednak wgryzła się w pierwszą kromkę, uznała z ulgą, że jest okej. Julka przez chwilę trzymała kanapkę przed nosem, uważnie się jej przyglądając, ale przymuszona głodem i skuszona zapachem oraz zadowolonym pomrukiwaniem Marty, odgryzła pierwszy kęs i delikatnie obróciła go w ustach. Z kolejnymi nie zwlekała już tak długo i pochłaniała chleb ze smakiem, od czasu do czasu popijając czekoladą. Marta robiła to samo.

– No i jak? Da się zjeść?

– I to jeszcze jak! – pochwaliła ją Julka. – Muszę powiedzieć o tym tacie. Jemu też będzie smakować.

– Jasne – roześmiała się Marta. – To każdemu smakuje.

W trakcie posiłku Marta dowiedziała się, że Julka chodzi do pobliskiej szkoły i zazwyczaj po lekcjach odbiera ją tata, ale dziś miała po nią przyjść mama. Ponieważ okazało się, że nie może wyjść z pracy, zadzwoniła do taty, żeby to jednak on odebrał ją ze szkoły. Tylko że dzisiaj i on też nie mógł.

– No i wiesz, w końcu zostałam sama na świetlicy i pani zadzwoniła do taty, żeby mnie zabrał – tłumaczyła dziewczynka. – Ale on jest gdzieś pod Warszawą i nie zdążyłby przed zamknięciem świetlicy. I dlatego kazał mi przyjść do pana Stasia.

– Teraz już wszystko rozumiem – odpowiedziała Marta.

Przez kolejną godzinę małej buzia się nie zamykała od ciągłego trajkotania. Opowiedziała o swojej najlepszej przyjaciółce ze szkolnej ławki, odrobiły razem pracę domową z matematyki, a na koniec Marta zaproponowała, że może zrobić jej piękny warkoczek, jeśli tylko ma ochotę.

– Naprawdę? – dziewczynka była zachwycona. – Potrafisz pleść takie super ekstra?

Marta nie miała pojęcia co znaczy „super ekstra”, ale ufała swoim możliwościom i zdolnościom.

– Sprawdźmy, czy ci się spodoba. Siadaj! – zrzuciła dla Julki poduszkę na

podłogę, sama zaś usiadła na kanapie.

Dziewczynka miała długie i gęste jasne włosy, z których można by ułożyć wiele pięknych fryzur. Marta zdjęła gumkę z jej kucyka i przeczesała włosy palcami. Były miękkie, proste i zdrowe. Podzieliła je na pięć pasm i w ciągu kilku minut uplotła warkocz, jakiego dotąd Julka na pewno nie widziała. Był dużo szerszy od tradycyjnego, a jego splot kojarzył się Marcie z krajką, którą z zielonych łądzynek żyta lub pszenicy plótł przed laty jej dziadek, by robić z niej dla wnuczki kapelusze.

– Śliczny jest! – Julka stała w łazience przed lustrem i mizdrzyła się od dłuższej chwili. – Jak ty to zrobiłaś?

– Po prostu – odparła tajemniczo Marta i mrugnęła do lusterka.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Marta zostawiła Julię w łazience, a sama poszła otworzyć. Spodziewała się, że to ktoś po dziewczynkę, ale nigdy w życiu by nie zgadła, że odwiedzi ją mężczyzna z kogutem. Rzecz jasna, był bez koguta, ona jednak doskonale zapamiętała jego twarz, kiedy przed kilkunastoma dniami szła kazimierskim rynkiem, a on z wyjątkowym apetytem zajadał się tradycyjnym miejscowym wypiekiem. Teraz stał w progu i wyraźnie zaniemówił. Nie wiedziała tylko z jakiego powodu: czy dlatego, że ją rozpoznał, tak jak ona jego, czy też dlatego, że spodziewał się zobaczyć tu wyłącznie Stanisława Kaczewskiego. W każdym razie stał w drzwiach i dopiero po długiej chwili się odezwał:

– Przepraszam panią bardzo, czy jest pan Stanisław?

– A nie wolałby pan przypadkiem zastać Julii? – Przeczuwała, że to może być spóźniony ojciec dziewczynki.

– Tak, oczywiście – odparł zdezorientowany. – Ja po Julię... Ale kim pani jest?

Marta stanęła nieco z boku, by przepuścić gościa w drzwiach i zaprosić go do środka.

– Marta Żmigrodzka – wyciągnęła do niego dłoń. – Chwilowo będę tu mieszkać.

– Taak? – zapytał dosyć głupio i dopiero po chwili dodał: – Janusz Bilski, bardzo mi miło.

– Zapraszam, Julka jest w łazience.

Kiedy szedł za nią do salonu, od razu dotarł do niego zapach, który kilkanaście dni temu oszołomił go nad Wisłą. Niewątpliwie była to ta sama zielona herbata, tylko nie miał jeszcze pewności, czy kobieta też była ta sama. Przez dłuższą chwilę nie spuszczał z niej oczu, aż wreszcie odważył się zadać pytanie:

– Przepraszam, czy my się...? Czy pani...? Czy ty...?

– Kazimierz? – Marta postanowiła nie męczyć biedaka i mu pomóc.

– No właśnie... Czy myśmy się nie spotkali w Kazimierzu?

– Owszem, widziałam cię, jak z wielkim apetytem jadłeś koguty na rynku – mówiąc to, roześmiała się na wspomnienie jego rozanielonej miny.

– A ja cię wtedy nie widziałem. Ale szłaś na ślub, a potem zobaczyłem cię jeszcze nad Wisłą.

– Wtedy to ja ciebie nie widziałam – znów się roześmiała.

Przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, aż wreszcie przypomniał sobie, po co przyszedł.

– Przepraszam, a co z Julką?

– Julia, ktoś do ciebie! – Marta zawołała w kierunku łazienki.

Po chwili dał się słyszeć gorączkowy tupot i rozległ się radosny wrzask:

– Tato, popatrz, jak ładnie wyglądam! Marta jest super! A gdzie ty do tej pory byłeś i gdzie jest mama?

– Przepraszam, kochanie, ale naprawdę nie mogłem wcześniej. I mama też nie. Chodź, nie będziemy dłużej pani przeszkadzać.

– Julia to przemiła dziewczynka. – Marta pogłaskała ją po ramieniu.

– Bardzo przepraszam za kłopot. Myślałem, że w domu będzie Stanisław.

– Pan Kaczewski od kilku dni mieszka na Bemowie.

Bilskiego kompletnie zaskoczyła ta informacja. Wiedział o chorobie matki sąsiada, ale jakoś w ogóle nie zauważył jego nieobecności. W myślach skarcił się za to zabieganie i gonitwę, które sprawiły, że nawet nie dostrzegł wyprowadzki Kaczewskiego, co mogło sugerować dopadającą go znieczulicę i egoizm. Obiecał sobie solennie, że odwiedzi sąsiada na Bemowie i zaoferuje mu wszelką pomoc, jeśli tylko będzie potrzebna.

Tymczasem teraz pożegnał się z Martą, podziękował za opiekę nad córką, zarzucił plecak Julki na ramię i wyszedł z nią na zewnątrz. W nozdrzach wciąż jeszcze czuł zapach zielonej herbaty, a w uszach słyszał niekończący się potok słów zachwytu Julki nad umiejętnościami Marty.

Rozdział 3

Około pierwszej w nocy w domu Bilskich zazgrzytał klucz w zamku. Czujna Bida zerwała się z legowiska i niemal bezszelestnie pobiegła do drzwi, w których właśnie stała Dorota Zagórna. Była bardzo zmęczona, ale elegancka jak zawsze. Tylko nieznaczące cienie pod oczami zdradzały, że od kilkunastu godzin nie zaznała ani chwili spokoju. Najciszej, jak potrafiła, zamknęła za sobą drzwi i z lekkim brzękiem odłożyła klucze na szafkę. Wysoka Bida uparcie i z radością wciskała swój nos pod rękę pani, nie doczekała się jednak od niej żadnej pieśczoćoty i po chwili zrezygnowana wróciła na swoje posłanie. Przy Dorocie stanął tymczasem wyrwany z płytkiego snu Janusz, który czekając na nią, zdrzemnął się w salonie.

– Jesteś głodna? – Jego głos był czuły i aksamitny, a dłonie, którymi zdejmował z Doroty żakiet, bardzo delikatne. – Mogę zaraz podgrzać ci kolację. – Pocałował ją w kark i przytulił się do niej.

– Dziękuję, jadłam w hotelowej restauracji – uśmiechnęła się lekko i pogłaskała go po dłoni.

Oboje zawsze dużo czasu spędzali w pracy, ale w ciągu ostatnich tygodni Dorota wyraźnie jeszcze bardziej zwiększyła tempo i coraz rzadziej bywała w domu. Poza pilotowaniem wycieczek i usługami przewodnickimi udało jej się niedawno nawiązać kontakt z kilkoma poważnymi korporacjami i od paru miesięcy była także tłumaczką. Często zdarzało się także, że delegacje obcokrajowców po załatwieniu interesów miały życzenie, by się zrelaksować, i wtedy Dorota kilku- lub kilkunastoosobową grupę oprowadzała po Warszawie, jej modnych klubach, lub wyjeżdżała z klientami do Krakowa czy Gdańska. Stąd brały się jej coraz późniejsze powroty do rodziny i domu.

– Dorota, ta praca cię wykańcza. Nie bierz tyle zleceń, przecież nie można bywać gościem we własnym domu.

– Już o tym rozmawialiśmy – Dorota była wyraźnie poirytowana i niezadowolona. – Dajmy temu spokój.

– Kochanie, są już pierwsze ofiary – Janusz mówił bardzo spokojnie, by nie wyprowadzić jej z równowagi. – Julka drugi raz w tym miesiącu sama wracała ze szkoły. Tak nie może być, jest jeszcze na to za mała.

– Nie rób mi wyrzutów – powiedziała ostro. – Przypominam ci, że ty także po nią nie poszedłeś.

– Bo to ty miałaś ją odebrać. Przecież wiesz, że nie zawsze mogę tak niespodziewanie wyjść z pracy. Ale dziś ty obiecałaś ją odebrać – powtarzał bezradnie.

– Janusz, nie mogłam przecież zostawić Niemców w połowie negocjacji. Zrozum to.

– A kolacji też nie mogli zjeść bez ciebie?

– Tyle razy ci mówiłam, że przy nieformalnych spotkaniach często klarują się ważne decyzje. Czasem ważniejsze niż przy stole konferencyjnym. Musiałam dotrzymać im towarzystwa przez cały wieczór. I nie mam ochoty dłużej ci się tłumaczyć. Jestem zmęczona i marzę tylko o kąpieli. – Powiedziawszy to, Dorota zostawiła Janusza

w przedpokoju i poszła do łazienki.

Powiesił jej zakiet na wieszaku, poprawił rzucone przy drzwiach szpilki i przeszedł do kuchni. Tam zdjął z kuchenki mały garnek, w którym czekała kolacja dla Doroty, i wstawił go do lodówki. Na koniec napił się jeszcze wody. Idąc boso do sypialni, czuł nieprzyjemny chłód terakoty. Chwilę później siedział już po swojej stronie łóżka.

Znał Dorotę tak dobrze, że wiedział, iż kłótnia z nią nie doprowadzi do niczego dobrego, a jest wielce prawdopodobne, że skończy się upartym milczeniem z jej strony, być może przez wiele dni, a tego nie chciał. Jej silny charakter i upór, którym wyróżniała się spośród znanych mu ludzi, sprawiały, że trudno się z nią pertraktowało i trzeba było mieć naprawdę mocne argumenty, by ją przekonać do własnego zdania. Poza nią znał tylko jedną równie bezkompromisową i stanowczą kobietę. Była nią jego matka.

Szum lejącej się do wanny wody wyrwał go z zamyślenia. Podniósł się z łóżka i podszedł pod niedomknięte drzwi łazienki. Popchnął je delikatnie i zajrzał do środka. Dorota stała odwrócona tyłem i rozbierała się. Na posadzce leżały już spódnica, bluzka, pończochy i stanik. Schyliła się, by zdjąć także figi, po czym weszła do wanny.

– Mogę ci umyć plecy? – Janusz bezszelestnie wślizgnął się do łazienki i zamknął za sobą drzwi.

– Ale tylko plecy – Dorota odparła spokojnie i bez emocji, co równie dobrze mogło oznaczać dokładnie tyle, ile powiedziała lub, przeciwnie, mogło być obietnicą czegoś więcej.

Opanowanie, powściągliwość i towarzyszący im zwykle chłód nie były dla Janusza niczym nowym, już dawno przywykł do takich zachowań. Dorota albo nie chciała, albo nie umiała okazywać pozytywnych uczuć. Z negatywnymi szło jej o wiele lepiej, zupełnie jakby coś ją hamowało przed okazywaniem radości, zadowolenia, fascynacji, namiętności, zachwytu, zauroczenia czy miłości. Bez problemu natomiast komunikowała otoczeniu, a najczęściej Januszowi, swoją niecierpliwość, rozdrażnienie, znużenie i obojętność. Słowem: była piękną, ale zimną kobietą i bardzo siebie taką lubiła. Czuła się wtedy silna i świetnie zabezpieczona przed ewentualnym atakiem na jej suwerenność. Kto i dlaczego miałby ją atakować, tego nie wiedziała chyba nawet ona sama. Na wszelki wypadek zachowywała jednak dystans w kontaktach z wieloma ludźmi. Była uprzejma w relacjach zawodowych, ale surowa wobec najbliższych, nie wyłączając nawet córki. Ani Janusz, ani tym bardziej Julia nigdy nie znali innej Doroty, więc tym łatwiej taką ją akceptowali. Julia kochała matkę z bezgraniczną dziecięcą szczerością, sądząc, że wszystkie matki są właśnie takie, a Janusz uwielbiał swoją narzeczoną za jej urodę, inteligencję, a przede wszystkim za to, że wpuściła go do swego życia, dając mu tym samym możliwość wychowywania i kochania najstarszego dziecka, jakie znał, czyli Julki.

– A kark mogę ci wymasować? – wyszeptał jej do ucha, kiedy już też wszedł do wanny.

Jedynie mruknęła coś w odpowiedzi i łaskawie pozwoliła na pieszczoty. Janusz usiadł za nią i odsłonił jej szyję, odsuwając włosy na lewe ramię, a potem delikatnie musnął ustami wilgotną skórę. Położywszy dłoń na jej brzuchu, przysunął ją mocno do siebie tak, że przywierała do niego całym ciałem. W obszernej narożnej wannie poziom

wody podniósł się niebezpiecznie, grożąc przelaniem, i wytwarzając sejszę, która na szczęście zaraz się rozeszła. Dorota chwyciła dłońmi za brzegi wanny, a Janusz coraz goręcej ją całował i przytulał. Dwa kochające się ciała pulsowały rytmicznie, aż w końcu woda zaczęła jednak wylewać się na podłogę.

Rano tuż przed wyjściem do pracy Janusz zajrzał jeszcze do sypialni z nadzieją, że Dorota nie będzie już spała. Było kilka pilnych kwestii do omówienia i ustalenia, ale od paru tygodni oboje wciąż tylko się mijali gdzieś między swymi obowiązkami i naprawdę niewiele czasu spędzali razem.

Musiała go chyba usłyszeć, bo podniosła powieki, zdobyła się na lekki uśmiech na jego widok i rozkosznie przeciągnęła się jak kotka. Pochylił się nad nią i pocałował ją najpierw w policzek, a potem długo w usta. Najchętniej wskoczyłby z powrotem do łóżka, uznał jednak, że rzeczowa rozmowa jest w tym momencie ważniejsza.

– Może uda ci się wcześniej dziś wrócić? Ja też się postaram. Musimy wreszcie ustalić szczegóły ślubu.

– Raczej nie dzisiaj, kochany – pokręciła głową, przybierając niewinną minkę. – Dziś znów tłumaczę dla Niemców. Ale może jutro, co ty na to?

– Kochanie, czy ty chcesz wziąć ze mną ten ślub? – niby żartował, lecz jeszcze kilka takich odmów z jej strony i naprawdę zacznie się niepokoić.

– Nie, ale skoro nalegasz... – Dorota zawiesiła głos, próbując stopniować napięcie. Dopiero po chwili wybuchła śmiechem i pociągnęła Janusza za marynarkę tak, że aż upadł tuż obok niej.

– Wariatka – wtulony w jej kark szepnął z ogromną miłością.

Datę ślubu mieli wyznaczoną już od dawna i z grubsza wiedzieli, jak ma się wszystko odbyć, ale zostało jeszcze do dopięcia sporo szczegółów. Janusz uważał, że to właśnie rola dla kobiety, bo jemu jest naprawdę obojętne, jaki będzie wzór na zaproszeniach i co podadzą na obiad. Dorota obiecywała, że wszystkim się zajmie, tylko jakoś dotąd się nie złożyło. Ciągłe czymś pochłonięta, ślubne plany przekładała z dnia na dzień. Niby mieli jeszcze trochę czasu, ale z każdym dniem go ubywało. Poza tym była kwestia Julki i sprawnej opieki nad nią. Dorocie po raz kolejny zdarzyło się wczoraj nie odebrać jej ze szkoły, a gdyby dała znać trochę wcześniej, mógłby przecież poprosić ojca lub choćby matkę o zajęcie się nią. Uważał, że jest jeszcze za mała na to, żeby samodzielnie wracać ze szkoły, i to do sąsiadów. Zupełnie jakby była bezpańskim dzieckiem.

Wyglądało na to, że niestety także tym razem nie uda mu się niczego ustalić z Dorotą, bo na dłuższe dysputy on nie miał teraz czasu, a wieczorem znów jej nie będzie w domu. Takie życie stawało się cokolwiek nieznośne. W każdym razie nie takiego oczekiwał Janusz. Pamiętał doskonale, że może być inne, bo kilka lat temu byli przecież jacyś mniej zabiegani, a przy tym szczęśliwsi.

– A dzisiaj kto odbiera Julkę? – spytał tylko *pro forma*.

– Ty – odpowiedziała krótko. – Ja nie dam rady wyrwać się przed wieczorem.

Byli zatem umówieni, choć on też chętnie zostałby kilka godzin dłużej w pracy, bo od paru miesięcy szukał sposobu na rozwinięcie biznesu i właśnie chyba go znalazł. Wraz ze współnikiem prowadzili prężnie działającą firmę informatyczną, zatrudniali kilkunastu

świetnych programistów i chociaż mieli dobrze ugruntowaną pozycję i niezłe dochody, wciąż poszukiwali nowych szans rozwoju. W pierwszych zamysłach chcieli się otworzyć na klienta brytyjskiego lub z jakiegoś innego kraju Unii, ale po pewnym czasie zmienili kurs na wschodni. Zaczęło się właściwie od przypadku i teraz już zupełnie poważnie myśleli o rynku ukraińskim. Jakies półtora roku temu jego wspólnik Mateusz pojechał na wycieczkę do Lwowa i między intensywnym zwiedzaniem klubów i innych miejsc hulaszczej rozrywki usłyszał od przewodniczki jedno krótkie zdanie: Lwów zaczyna być miejscem bardzo pożądanym przez zachodnich inwestorów i można tu świetnie zarabiać. W pierwszej chwili nie uwierzył, ale nie byłby sobą, gdyby nie dopytał. Przewodniczka twierdziła, że na nieszczęście wschodniej Ukrainy zaczyna korzystać zachodnia. Po pierwszych miesiącach walk na wschodzie i destabilizacji życia kraj popadł co prawda w chaos, lecz rozpedzona machina gospodarki bynajmniej nie zwalnia, jedynie zmienia lokalizację. I tak wiele firm ze wschodu przenosi działalność właśnie tutaj. Do Lwowa ciągną biznesmeni, obcy kapitał i mnóstwo młodych zdolnych ludzi, którzy szukają tu pracy. I jeśli tylko są dobrzy w tym, co robią, naprawdę nie mogą narzekać. Przewodniczka twierdziła, że nawet żebracy, których pełno na starym mieście, całkiem niezłe się mają. Na wschodzie pomarliby z głodu, a tutaj kwitną. I niech nikogo nie zwiedzie ich żebraczy strój, bo to uniform jak każdy inny.

Żebrakom oczywiście Mateusz dał spokój, ale o możliwościach lwowskiej gospodarki jakoś nie mógł zapomnieć. Drażył temat dość wnikliwie, podpytywał znajomych biznesmenów w kraju i za granicą, dwukrotnie wrócił jeszcze do Lwowa, za trzecim razem wyciągnął tam także Janusza i teraz właśnie szykowali się do otwarcia swojej filii. Co prawda on nie był aż takim entuzjastą tego pomysłu jak Mateusz, ale musiał przyznać, że też ma ochotę na coś nowego. Trochę się tylko obawiał, czy nie przeszarżowali z tym projektem, czy nie był zbyt ryzykowny. Chociaż z drugiej strony, kto nie ryzykuje, ten nie ma. Komu brak odwagi, niech siedzi w domu, jak mawiał Mateusz. Tylko że on nie miał rodziny i lubił adrenalinę, której dostarczało mu jechanie po bandzie, a Janusz już od dawna był ustatkowany i ponosił odpowiedzialność nie tylko za siebie, ale przede wszystkim za swoje dwie dziewczyny.

No nic, dzisiaj jednak znowu on odbierze Julkę ze szkoły.

– Czy mogą być naleśniki? – spytał, kiedy już się usadowiła w swoim foteliku na tylnym siedzeniu.

– Mogą być, ale ze wszystkim – zawołała radośnie.

– Dobra, będą ze wszystkim.

Wszystko, w pojęciu Julki, to bita śmietana, cynamon, banan, brzoskwinia, kiwi i mango.

– Jak minął dzień? – zapytał Janusz.

– Dobrze – odpowiedziała. – Tylko ten głupi Adrian znowu mówił, że nie jesteś moim tatą.

Janusz spojrział w lusterko i dostrzegł całkiem beztroską twarzyczkę Julki. Dziewczynka po prostu poinformowała ojca o tym, co się działo w szkole, i widać, że nie miała żadnego problemu z tym, co usłyszała od kolegi.

– Skarbie, a skąd ty wiesz, że Adrian jest głupi?

– No bo gdyby był mądry, toby mi tego w kółko nie powtarzał – wywnioskowała. – Ty mnie nigdy nie wołasz kilka razy na obiad, tylko mówisz, że nie będziesz więcej powtarzał.

– Czy w takim razie, według twojej logiki, ja jestem mądry? – Janusz był rozbawiony.

– A nie?! – dziewczynka szczerze się zdziwiła.

– Kotku, obawiam się, że mądrość nie ma nic wspólnego z powtarzaniem. A co odpowiedziałas temu Adrianowi?

– Że jest głupi – prostota jej odpowiedzi znów rozbawiła Janusza.

– Chyba musimy nad tym popracować.

– Nad jego głupotą?

– Nie, kochanie, nad twoim językiem.

– A co jest z nim nie tak?

– Julcia, co byś powiedziała, gdybym ja ciebie nazwał głupią?

– A za co?

– Nieważne. Po prostu, co byś sobie wtedy pomyślała?

– Że się nie znasz.

– Aha, czyli nie uwierzyłybyś mi?

– No jasne! Chyba tylko głupi by w to uwierzył!

W tej dyskusji Janusz poniósł sromotną klęskę. Julka była dziś nie do przegadania.

– Posłuchaj, możesz tego Adriana nie lubić, ale nie masz prawa nazywać go głupim. Rozumiesz to?

– Nie – odpowiedziała szczerze.

– Ja z tobą oszaleję – jęknął Janusz.

– I będziesz wtedy głupi? – We wstecznym lusterku zobaczył jej łobuzerski uśmiech.

– Umówmy się tak: jeśli za jakieś dwadzieścia lat zrobisz specjalizację z psychiatrii, to wtedy będziesz mogła oceniać, kto jest głupi, a kto nie. Do tego czasu nie obrażaj ludzi.

– A czy ja go obraziłam? Myślałam, że to on obraził mnie!

– Kotku, on powiedział prawdę. I był tylko złośliwy i niegrzeczny, a nie głupi.

Julka wzruszyła ramionami. Chyba straciła zapal do dyskusji.

Temat ojcostwa mieli już przerobiony. Nie było sensu kłamać, ponieważ Julka nosiła nazwisko matki i jeśli nawet udałoby się ją uchronić przed plotkami i domysłami do momentu pójścia do szkoły, wiadomo było, że niezręczne pytania zaczęłyby się w chwili pierwszego kontaktu z innymi dziećmi. Dlatego Janusz z Dorotą nigdy nie robili tajemnicy z tego, że to nie on jest ojcem, i Julka już od dawna o tym wiedziała. Jak się okazało, była to świetna decyzja, która oszczędziła dziecku wielu przykrości i dzięki niej Julia była dziś zupełnie odporna na zaczepki kolegów. Choć, na szczęście, nie były one częste. W jej klasie bowiem zaledwie ośmioro dzieci wychowywało się w pełnych domach, pozostałe były z rodzin patchworkowych i nikomu to szczególnie nie przeszkadzało. Tylko czasem któreś powiedziało coś w złości o kolegach, ale winy za to raczej trzeba by się dopatrywać w rodzicach, a nie w dzieciach. Przecież one same nigdy

nie wpadłyby na to, że być wychowywanym bez ojca lub nie przez biologicznego tatę to coś gorszego czy godnego wyśmiania.

– Wyskakuj, idziemy na zakupy! – Janusz zaparkował w pobliżu bazaru, na którym zwykle zaopatrywali się w warzywa i owoce.

Julka często towarzyszyła mu w tym rytuale, dlatego właściwie nie musiał jej mówić, co ma robić. Doskonale wiedziała, że w bagażniku stoi spory wiklinowy koszyk, z którym będzie szła po bazarowych alejkach, dopóki nie włożą do niego pierwszych zakupów. Wówczas przejmie go Janusz, a ona zajmie się wyszukiwaniem co ładniejszych sztuk owoców.

Najpierw banany. Wyboru dokonała Julia, dużą kiść na dwoje rozłamał Janusz i jedną część, po zważeniu, włożył do koszyka. Wysupłał garść pieniędzy z kieszeni i podał je dziewczynce, by odliczyła odpowiednią kwotę i podała sprzedawcy. Później pojemniczek malin z importu, kilka brzoskwiń i znów ten sam proceder z płatnością. Julia od dawna brała czynny udział w codziennym życiu rodziny z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, była niezwykle żywym dzieckiem i należało zająć ją czymkolwiek tak skutecznie, by nie znała nudy. A po drugie, Janusz marzył, aby w przyszłości jego córka była pracowitą kobietą, która niczego się nie boi, nic jej nie przerasta i wszystkiemu podoła. Dorota niekoniecznie była zwolenniczką takiego wychowywania, ale też nie oponowała, widząc Julię przy pracy, ramię w ramię z ojcem.

Próżniactwo i dwie lewe ręce – oto czego najbardziej nie lubił Janusz. Na szczęście Julka na razie nie wykazywała takich skłonności i chętnie garnęła się do wszystkiego, co tylko mogła robić razem z ojcem. Praca z matką nie sprawiała jej tyle przyjemności, bo często dziewczynka była przez nią karcona. A to, że mąkę rozsypała poza stolnicę, a że się garbi, że robi za dużo hałasu. Dla Janusza nigdy nie było zbyt głośno, zbyt brudno czy też zbyt garbato. I chyba właśnie na tym polegał jego sukces wychowawczy, że miał dla Julki wiele cierpliwości, miłości i nie krył radości ze wspólnie spędzanego czasu.

– Jeszcze jajka – przypomniał sobie.

– To idziemy – zakomenderowała Julia i skręciła w najbliższą alejkę.

Doskonale znała topografię bazaru i po chwili przystanąła przy wysokich stertach jaj wyłożonych w wytłaczankach.

– No dobra, które bierzemy? – Janusz pozwolił wykazać się dziecku.

– Tylko zero może być – odparła Julka. – I duże.

Sprzedawczyni uśmiechnęła się i bez komentarza podała pudełko z dziesięcioma jajkami odpowiadającymi wymogom Julii. Dziewczynka włożyła je do koszyka i tym razem sięgnęła do swojej kieszeni.

– Brakuje, dołóż mi – rozbrajająco uśmiechnęła się do Janusza, którego rozpieęła duma z zaradności córki.

Już wychodzili z bazaru, kiedy Julia przypomniała sobie o mango. Nie było więc rady – musieli zawrócić, bo naleśniki ze wszystkim bez mango nie są naleśnikami ze wszystkim. Taka była jej filozofia.

Dwadzieścia minut później znaleźli się już w domu. Z dużą radością przywitała ich tylko Bida, do powrotu Doroty zostało jeszcze co najmniej kilka godzin.

– Zgłodniałaś?

– Jeszcze jak! – zawołała Julka ze schodów prowadzących na górę.

Oboje szybko przebrali się w domowe stroje i niemal biegiem wrócili do kuchni. Rozpakowywaniem koszyka zajęła się Julia. Przystawiła sobie do zlewu małe schodki, weszła na pierwszy stopień i kolejno myła każdy kupiony owoc i warzywo. Może i robiła to zbyt wolno, zużywając za dużo wody, ale Janusz wolał płacić większe rachunki za wodę, niż mieć w domu królową, która czeka na gotowe.

– Robisz ciasto czy kroisz owoce?

– Kroję owoce – odpowiedziała po namyśle Julka.

I dobrze, że takiego dokonała wyboru. Jak sobie pokroi, tak będzie jadła, gdyby wybrała ciasto, istniało niebezpieczeństwo, że przesadziłaby z proporcjami i trzeba by je wtedy ratować mlekiem lub mąką. Pewne zagrożenie przy krojeniu owoców też co prawda istniało, ale może jednak zachowa wszystkie palce...

Roboty ruszyły. Zgodny tandem pracował pilnie, prowadząc przy tym przyjemną konwersację. Nawet Bida od czasu do czasu parsknęła czy podsunęła swój długi nos do pogłaskania. Julka nie omieszkała też przypomnieć Januszowi, że naleśniki mają być tak cienkie, jak to tylko możliwe i koniecznie chrupiące.

– Koniecznie – powtórzyła.

Podczas gdy on smażył, ona włożyła brudne naczynia do zmywarki, starannie wytarła stół z mąki i soku owocowego, a potem nakryła do obiadu. Stermata naleśników rosła w oczach.

– A kto ubije śmietanę? – zapytał.

– Zapomniałam! – zawołała i już wyjmowała kremówkę z lodówki.

– Dasz radę?! – krzyknął, by usłyszała go w szafce, do której zanurkowała po robot kuchenny.

– Jasne!

Chwilę później robot pracował już na najwyższych obrotach. Pod koniec ubijania Julia dodała trochę cukru, a Janusz chwycił w dłoń cytrynę, podrzucił w górę i kiwnął do Julki. Zrozumiała go bez słów i przytaknęła – wiedziała, że pytał, czy ma dodać skórki z cytryny. Janusz otarł więc trochę i kiedy śmietana była już ubita, dosypał odrobinę dla smaku i aromatu. Obiad był gotowy.

– Zmęczyłam się – oznajmiła Julia, siedząc nad pierwszym naleśnikiem.

– A gdybyś całą robotę miała wykonać sama? – Janusz chciał ją pocieszyć, dając do zrozumienia, że mogłoby być gorzej.

– To bym pomyślała, że jest to wyzysk – uśmiechnęła się najpiękniej, jak potrafiła, i wbiła zęby w kolejny naleśnik.

Gdy po obiedzie wkładali resztę naczyń do zmywarki, Julka korzystając z okazji, że Janusz był pochylony, cmoknęła go w policzek. Zanim zdążyła czmychnąć na górę, chwycił ją w pól i przytulił z całej siły.

– Kocham cię – dodał dla podkreślenia swego uczucia.

– Wiem, tatku – znów ślicznie się uśmiechnęła.

To dziecko nadawało sens i rytm jego życiu. Poza Dorotą była wszystkim, czego mógł pragnąć, o czym marzył, co sprawiało, że czuł się szczęśliwy. Siedem długich lat czekał cierpliwie, aż Dorota zgodzi się wreszcie wyjść za niego, a dopełnieniem tego

szczęścia miało być przysposobienie Julki. Jeszcze tylko kilka miesięcy i będzie mógł być absolutnie spokojny o swoją rodzinę. Albo raczej o swoje miejsce w tej rodzinie, bo dopóki formalnościom nie stanie się zadość, dopóty chyba tkwić w nim będzie gdzieś głęboko ukryta obawa, że Dorota nie jemu jest przeznaczona. A gdyby w jego życiu miało nie być Doroty, nie byłoby też Julki.

– No dobrze, moja panno – ocknął się z zadumy. – Chyba czas do lekcji?

– Ale najpierw spacer z Bidą – zdecydowała.

– Nie – odmówił grzecznie, ale stanowczo. – Ty idziesz na górę, a z Bidą wychodzę ja. I bez dyskusji – dorzucił z uśmiechem, widząc, że mała już otwiera buzię, by zaproponować.

Właściwie Bida nie wymagała długich spacerów, ponieważ podwórze do wybiegania się miała całkiem spore. Była jednak psem tak radosnym i pogodnym, że przebywanie z nią sprawiało dużą frajdę zarówno Julce, jak i Januszowi. Mniej entuzjazmu przejawiała tylko Dorota.

Kiedy Janusz wiozł Bidę z Janowca do Warszawy, po pierwsze nie bardzo wiedział, co z nią zrobić, a po drugie był przekonany, że to pies. Dość szybko jednak się okazało, że to sunia. Kiedy wprowadził ją do domu, Julka z miejsca się w niej zakochała, a Dorota przeciwnie, jakby mniej zaczęła kochać Janusza. Kategorycznie nie zgadzała się na psa w ich domu, argumentując to tym, że będzie śmierdział, gubił sierść i w ogóle nie jest im do niczego potrzebny. A kiedy Janusz bąknął coś w rodzaju: „No ale spójrz, nie szkoda ci tej bidy?“, zmierzyła go tak zimnym wzrokiem, że właściwie gotów był z miejsca skapitulować. Ale nie mógł, bo Julka uderzyła w płacz tak ogromny, że trudno ją było uspokoić.

Janusz jasno zdał sobie sprawę, że zachował się nierozważnie, że powinien najpierw skonsultować się z Dorotą i zrobić wszystko, by Julka psa zobaczyła dopiero wówczas, gdy decyzja o jego zatrzymaniu byłaby podjęta. No ale stało się inaczej i trzeba było ratować sytuację za wszelką cenę, czyli wyszło na to, że Dorota, chociaż jest w mniejszości, odtąd władzę w domu będzie dzierżyć do spółki z Bidą. Bo ta z miejsca zawładnęła sercem córki i ojca. Jeszcze tego samego dnia zaprowadzili ją prawie po sąsiedzku do weterynarza, który wstępnie określił jej kondycję i wiek. Sunia wyglądała na zdrową i mogła mieć co najwyżej półtora roku. Była jedynie zaniedbana i nieco wychudzona, ale szybko przybrała na wadze. Teraz wyglądała naprawdę świetnie i wszystko wskazywało na to, że dobrze jej u Janusza. Nie było w niej lęku i zagubienia ani też krzty agresji, a tego najbardziej się obawiał.

Bilski zarzucił sweter na ramiona i otworzył drzwi. Bida przepchnęła się przed nim i kiedy tylko wyszła na zewnątrz, od razu puściła się przez podwórze. Po chwili znikła gdzieś za domem, węsząc pod krzakami bzu. Janusz stał z rękami w kieszeniach i cierpliwie na nią czekał.

Maj nie rozpieszczał pogodą. Co prawda nie padało, ale temperatura oscylowała ciągle w okolicach dwunastu, trzynastu stopni. Wieczne powietrze było jeszcze chłodniejsze, a wiatr przenikał aż do kości. Wokół niósł się oszałamiający zapach bzów od Kaczewskich. Pomimo zimna Januszowi było bardzo przyjemnie.

Z zamyślenia wyrwał go klakson podjeżdżającego pod bramę samochodu. Obrócił

się i dostrzegł ojca wysiadającego z auta. Przywitali się serdecznie i Janusz zaprosił go do domu. Odkąd kilka miesięcy temu tata przeszedł na emeryturę, nie potrafił sobie jakoś znaleźć miejsca i coraz częściej bywał na Zakopiańskiej.

Antoni Bilski miał trochę ponad sześćdziesiąt lat i wciąż jeszcze wiele wigoru. Nieustannie szukał czegoś, czym mógłby wypełnić sobie czas, i dlatego przyjechał na Saską. Liczył po prostu na to, że syn i wnuczka zapewnią mu choć trochę rozrywki. I miał rację. Julia już zbiegała po schodach po dwa stopnie naraz, by jak najprędzej dopaść do dziadka. Uwiesiła mu się u szyi i zaczęła relacjonować swoje życie od momentu, kiedy się ostatnio widzieli. Czyli jakieś pięć czy sześć dni temu. Wreszcie trochę spowolniła trajkotanie, a to oznaczało, że opowieść zaraz się skończy. Jeszcze parę zdań, może jakaś krótka historyjka i powinno być po wszystkim. Dziadek cierpliwie, z miłością i wielką uwagą wysłuchiwał wszystkiego po kolei, po czym wyciągnął z kieszeni lizaka i wręczył go wnuczce. Mała jeszcze chwilę posiedziała z nimi w kuchni, po czym oznajmiła, że idzie się kąpać.

– Co u was? – zagadnął Antoni, kiedy zostali z Januszem sami.

– Dzięki, okej.

– Jak przygotowania do ślubu? Potrzebujesz pomocy?

– Jasne, możesz wybrać zaproszenia i suknię dla Doroty – powiedział to od niechcenia i z lekkim uśmiechem.

– Jak zwykle zabiegana?

– Nieustannie.

– A na ślub przyjdzie?

– Kiepski żart – Januszowi zadrżało serce. By nie pokazać swego niepokoju, wstał od stołu i poszedł do drzwi, aby wpuścić Bidę.

Antoni tymczasem zapalił gaz pod czajnikiem i przygotował dwie filiżanki.

– Usiądź, ja zrobię. – Janusz sięgnął po pojemnik z herbatą.

Ojciec zajął się więc Bidą. Głaskał ją i przemawiał do niej, a ona po chwili przyniosła mu jakąś zabawkę.

– Powiedz mi, synu, jakie masz plany względem domu po dziadkach?

Janusza zaskoczyło to pytanie. Dotąd ojciec nigdy nie pytał o ten dom. Chociaż dziadkowie w testamencie przepisali go na wnuka, Janusz rzadko w nim bywał. Antoni natomiast od kilku lat w ogóle nie pokazał się w Janowcu.

– Nie mam żadnych planów, a dlaczego pytasz?

– A czy mógłbym pojechać tam na kilka dni? – ojciec odpowiedział pytaniem.

– Tato, to przecież twój rodzinny dom, nie potrzebujesz mojego pozwolenia. Tylko mi powiedz, co ty tam zamierzasz robić?

– Nie wiem – Antoni się zawahał. – Chyba nic. Pomyślałem sobie, że jest wiosna, nie najgorsza pogoda, mam dużo czasu, to odwiedziłbym stare kąty.

Janusz podszedł do komody w przedpokoju i z górnej szuflady wyjął stary klucz z plecionym sznurkiem.

– Proszę. I nie pytaj mnie więcej o pozwolenie. To twój dom.

– Dzięki, synu. – Antoni wziął klucz i poklepał Janusza po ramieniu.

Dopili herbatę i niedługo potem wstali od stołu. Antoni na odchodnym jeszcze raz

podziękował za klucz i pochwalił Bidę, tarmosząc ją za uszy:

– Fajna ta sunia.

– I, o dziwo, jeszcze przy niej nie kicham.

Starszy Bilski spojrział na syna i już otwierał usta, by coś odpowiedzieć, ale z góry właśnie znowu zbiegła Julka i zaczęła żegnać się z dziadkiem wylewnie. Kiedy potem wsiadał do samochodu, przez uchyloną szybę krzyknął do syna:

– Nigdy nie byłeś uczulony na sierść!

Janusz miał wrażenie, że się przesłyszał. Zanim ojciec zdążył odjechać, podbiegł do auta i zatrzymał je.

– Co ty mówisz?!

– Mama tak ci powiedziała, żebyś nie chciał żadnych zwierząt. Trzymaj się, synu – po tych słowach odjechał, zostawiając Janusza w osłupieniu.

Stał jak zamurowany i nie mógł się otrząsnąć z tego kłamstwa, w którym żył przez całe dotychczasowe życie. W dzieciństwie marzył o psie albo kocie, ale w końcu oswoił się z myślą, że te zwierzęta mogą mu wyrządzić dużą krzywdę. Przestał więc ich pożądać i tylko zazdrościł kolegom, którzy wyprowadzali swoje psy na spacer. Sam trzymał się od nich z daleka, wszak stanowiły dla niego zagrożenie. Teraz było mu wstyd, że wierzył w tę bajkę przez ponad trzydzieści lat. Ale jak nie ufać matce?

Dlaczego mu to zrobiła? Stał wciąż w miejscu i intensywnie się nad tym zastanawiał. Odpowiedź była zaskakująco prosta: matką powodował egoizm. Zawsze musiała postawić na swoim, a to był najskuteczniejszy sposób, by nie musieć przekonywać dziecka i wysłuchiwać jego dziecięcych argumentów za posiadaniem zwierzęcia.

W tej chwili uświadomił sobie, jak wielkie podobieństwo łączy Dorotę i jego matkę. Obie są wyrachowane, uparte, ambitne, chłodne. I obie kocha. Czyżby to była jednak prawda, że faceci szukają sobie kobiet na podobieństwo własnych matek? Wzdryg-nął się, sam nie wiedział, czy to na tę myśl, czy z zimna, i krokiem pokonanego wszedł do domu.

Dorota znów wróciła późno. Była jednak miłsza niż poprzedniego dnia, chętnie usiadła z Januszem do kolacji i uroczo wyglądała z odrobiną bitej śmietany w kąci-ku ust.

– Pyszne są te wasze naleśniki – pochwaliła i uśmiechnęła się uwodzicielsko.

Janusz pochylił się nad stołem, położył dłoń na jej smukłych palcach i pogłaskał je delikatnie. W jego geście i spojrzeniu było tyle uczucia, że Dorota nie mogła pozostać obojętna. Przechyliła lekko głowę, końcem języka zlizwała z ust resztki śmietany i zawiesiła wzrok na nim. Był niezwykle atrakcyjny i zadbany. Wiedziała doskonale, że przybrał określony styl ze względu na nią i jej estetyzm. Przykładał dużą wagę do własnego wyglądu, dokładnie komponował cały swój wizerunek z drobnych elementów. Dbał, by buty zawsze pasowały do spodni, a te do koszuli. Zdawała sobie sprawę z tego, że wszystko to robi dla niej, by ją zadowolić, by jej nie zawieść. Gdyby tylko o niego chodziło, z pewnością nie byłby aż tak uważny i niewielkie miałyby dla niego znaczenie, czy dzinsy lepiej się prezentują z koszulą czy T-shirtem.

Była wymagająca, to prawda, ale jednej rzeczy nigdy nie chciała w nim zmieniać. Jego twarzy. Podobała jej się zarówno ogolona, jak i z dwudniowym zarostem. Lubiała,

kiedy włosy lekko podwijały mu się na karku i opadały na czoło, ale gdy miał je starannie przystrzyżone, też wyglądał świetnie. A najpiękniejsze w jego twarzy były oczy. Duże i bardzo niebieskie. I tak cudownie błyszcząły w oprawie czarnych rzęs. Połączenie jego czarnych, lśniących włosów z tymi niebieskimi tęczówkami niejednokrotnie przyprawiało ją o drżenie. Tak jak na przykład teraz.

W takich chwilach czuł się najbezpieczniej. Kiedy Dorota pozwalała sobie na okazanie emocji, gdy widział w niej nie tylko kobietę silną, ale i kochającą, wtedy czuł się naprawdę szczęśliwy i potrzebny. Nabierał wówczas pewności i spokoju, jakby zarzucił kotwicę w cichym i bezpiecznym porcie. Tego właśnie w życiu potrzebował, ale Dorota zazwyczaj serwowała mu raczej niepewne i burzliwe rejsy. Choć byli razem od ponad siedmiu lat, nie mógł się pozbyć poczucia, że ich wspólne życie jej nie zadowala, że to nie jest do końca to, czego by pragnęła. I chociaż starał się zapewnić jej wszystko, co najlepsze, bywały chwile, gdy sądził, że ona wcale tego nie chce. Że nie chce jego.

Na szczęście nie brakowało też dni takich jak dzisiejszy, gdy wszystko było w absolutnym porządku. I na szczęście dzień ślubu przybliżał się coraz bardziej. A to oznaczało, że Dorocie jednak na nim zależy.

Rozdział 4

Maj dobiegał końca, pogoda wreszcie zaczęła się poprawiać i była szansa na naprawdę ciepłe dni. Marta już zupełnie zaaklimatyzowała się na Saskiej Kępie, zrobiła rozpoznanie najbliższej okolicy, ustaliła najkrótsze trasy do pracy, na uczelnię i na Bemowo, do Stanisława Kaczewskiego. Przemierzała je przeważnie na jego starym rowerze i narzuciła sobie całkiem fajny rytm. Dzień rozpoczynała zajęciami na uczelni, których było już naprawdę niewiele, jak to na ostatnim roku, potem pędziła na rehabilitację do pani Kaczewskiej, a na koniec jechała do pracy. Chętnie brała zmiany popołudniowe, choć wieczorami nierzadko brakowało jej już sił. Padała ciężko na fotel i pomimo głodu nie chciało jej się robić nawet najskromniejszej kolacji. Przegryzała tylko jakiś kawałek bułki w drodze pod prysznic, a potem z ulgą i poczuciem niezamarnowanego dnia kładła się do łóżka.

Bywało, że jeszcze od czasu do czasu zadzwonił Rafał, ale zdarzało się to coraz rzadziej. Z początku prosił o spotkanie, potem już tylko pytał, co u niej, aż wreszcie całkiem umilkł. Bardzo jej to odpowiadało. Przy obecnym tempie życia nawet gdyby się chciała zakochać, nie miałyby na to czasu. Tak sobie myślała, ale przyszło jej także do głowy, że jeśli jednak znalazłaby czas, to chciałaby, żeby miłość jej życia nie miała w sobie nic z Rafała, a wszystko z Janusza. Oczywiście chodziło o fizjonomię. O nic innego przecież chodzić nie mogło, bo Marta absolutnie niczego nie wiedziała o swoim sąsiedzie. Miło było tak sobie pofantazjować przed snem o kimś, o kim nie miała nawet najmniejszego pojęcia. Był to dla niej rodzaj relaksu i rozluźnienia po ciężkim dniu. Takie niewinne i nic nieznaczące ćwiczenie umysłu.

Praca w sklepie z asortymentem dziecięcym okazała się wcale nie taka zła. Było to miejsce podobne do sieciówek, w których Marta pracowała już kilkakrotnie, szybko więc wdrożyła się w obowiązki. Któregoś poniedziałku pod koniec maja stała przy wieszakach i porządkowała ubranka, myśląc, że jeszcze tylko jakieś czterdzieści minut i koniec na dziś. Ruch w sklepie powoli zamierał, grupa docelowa jej klientów zapewne szykowała się już do snu w swoich przytulnych łóżeczkach. Wyglądało jednak na to, że ktoś jeszcze czegoś dziś potrzebuje, bo ze sporym hałasem do sklepu weszli tata z córką.

– Jak tu niczego nie znajdziesz, to obiecuję ci, że wcisnę na ciebie swoją niedzielną koszulę i w niej wystąpisz w tym przedstawieniu – groził mężczyzna, uśmiechając się jednocześnie do dziecka.

– Twoje koszule są mało kobiece – dziewczynka odparła bez wahania.

Marta odwróciła się zaciekawiona i nie bez zdziwienia ujrzała swoich sąsiadów. Ale zanim oni ją dostrzegli, jeszcze przez chwilę się przekomarzali.

– Już wolę zakupy z twoją mamą. Wydaje więcej, ale za to mniej gada. – Janusz pociągnął Julkę zaczepnie za kucyk.

– To może ja spróbuję zażegnać ten konflikt – Marta przyszła im z odsieczą.

– O, nasza sąsiadka! – trafnie rozpoznał Janusz.

– Tak, Marta – przypomniała na wszelki wypadek.

– Jasne, pamiętam – uśmiechnął się.

– To w czym mogę pomóc?

– No więc ta oto dama – wskazał na Julkę – właśnie orzekła, że nie ma się w co ubrać, sama rozumiesz... – Zrobiwszy rozbijającą minę, niemo błagał o ratunek.

– Aha – Marta nie kryła rozbawienia. – Codziennie rano mam ten sam problem, więc rozumiem doskonale.

– Za to ja wcale. – Janusz był zrezygnowany i wyczerpany. Prawdę mówiąc, bardziej umęczyły go te dwie godziny włóczenia się po sklepach niż cały dzień w pracy.

– To zrobimy tak – oznajmiła Marta. – Tatę posadzimy wygodnie i proponujemy herbatę, a ciebie zapraszam do przymierzalni.

Z herbaty Janusz nie skorzystał, ale z wygodnego pufa i owszem. Rozsiadł się z wyraźną ulgą, że ktoś wyręczy go w wyszukiwaniu fatalaszków i doradzaniu.

Po krótkim wywiadzie Marta dowiedziała się, że Julka pilnie, oczywiście tylko w jej opinii, potrzebuje stroju na jutrzejszy występ w szkole. A okazja była poważna, bo do zaprezentowania był wierszyk na Dzień Matki. Oprócz wierszyka, rzecz jasna, prezentować się też jakoś musiała ona sama. No i nie było rady, jeszcze dziś ojciec musiał stanąć na wysokości zadania. Bo matka znów była w pracy.

Przez następne pół godziny Julia co chwilę wychodziła z przymierzalni w innym stroju. Marta pomagała jej się przebierać i zachęcała do paradowania przed ojcem. Mała miała ubaw po pachy, a Januszowi było naprawdę wszystko jedno, co córka sobie wybierze.

– Dziewczyny, zdecydujcie się wreszcie na coś! – zawołał. – Głodny jestem.

– Ja też – wesoło dorzuciła Julia.

„I ja” – pomyślała Marta.

Z niemałym trudem udało się w końcu skompletować strój dla młodej damy. Julka wybrała śliczną szarą sukienkę z okrągłym dekoltem, bez rękawów, zapinaną z tyłu na suwak, z zaszewkami i paskiem w talii. Dla ożywienia Marta dobrała jej jasny komin w drobniutkie kwiatuszki z delikatnego jedwabiu. Całości dopełniały balerinki w kolorze komina z małą kokardką z przodu. Julka wyglądała w tym wszystkim naprawdę szykownie.

– Dziękuję ci bardzo – powiedział Janusz z ulgą, gdy regulował rachunek. – Sam bym chyba tego nie zniósł.

– Bardzo proszę – odparła Marta. – To moja praca.

Rozejrzał się wokół i spojrzał na zegarek. Było prawie pusto i dochodziła dwudziesta pierwsza.

– Kończysz już pracę? Może się z nami zabierzesz? – zaproponował.

– Dzięki za propozycję, ale przyjechałam rowerem. Poza tym zejdzie mi tu jeszcze co najmniej kwadrans.

– Żaden problem. Możemy poczekać, a rower na pewno zmieści się do samochodu.

Marta nie dała się długo prosić. Szybko się uwinęła z fiskalnym raportem dobowym i myciem podłogi, zamknęła sklep i chętnie skorzystała z proponowanej podwózki. Janusz zatrzymał się przed swoim wjazdem, czekając, aż brama się rozsunie. Marta w tym czasie podziękowała i chwyciła za klamkę, chcąc wysiąść.

– Co powiesz na kolację z nami? – nieoczekiwanie zaproponował Janusz. – My jesteśmy głodni, a ty?

– Ja też, ale nie chcę wam przeszkadzać. To nieodpowiednia pora na wizyty.

– Marta, chodź do nas – jęknęła Julka.

– Młoda damo – zareagował Janusz – dla ciebie to jest pani Marta.

– Daj spokój, przeszliśmy na ty, jeszcze zanim poznałam ciebie – roześmiała się Marta.

– A widzisz? – krzyknęła Julia zadowolona, że wyszło na jej.

– Burzysz mój autorytet – konspiracyjnie szepnął Janusz.

– Przepraszam – odszepnęła Marta. – To może w ramach rekompensaty ja was zaproszę na kolację. Zrobimy sobie kanapki ze wszystkim. Co wy na to?

– Kanapki z bitą śmietaną? – taki był tok rozumowania Julii, dla której ze wszystkim istniały dotąd jedynie naleśniki.

– Z bitą śmietaną? – powtórzyła zdziwiona Marta.

– No to w końcu z czym? – dociekała Julka.

– No ze wszystkim, czyli masło, wędlina, jajka na twardo, sałata, ogórek, pomidor, szczypiorek, rzodkiewka... – wyjaśniła Marta.

– Dobra – Janusz nabrał wielkiego apetytu na to wszystko. – Chętnie ci pomogę przy kanapkach, ale najpierw wypuszczę Bidę, niech pobiega. Zaraz do was przyjdę.

Dziewczyny poszły do Marty, a on do siebie. Kiedy do nich znów dołączył, zastał Julkę przy stole i Martę krzątającą się przy kuchennym blacie.

– A cóż to? – zapytał córkę. – Czekamy na gotowe? Szybciutko myj łapki i nakrywaj do stołu.

Julka chętnie się poderwała do pracy, ale Marta natychmiast zaoponowała:

– Nie, nie! Nie trzeba. Siadajcie, zaraz wszystko podam.

– Po raz kolejny burzysz dziś mój ojcowski autorytet – zażartował Janusz i uśmiechnął się rozbrajająco. – Pokaż, gdzie trzymasz talerze i sztucce, a Julia się wszystkim zajmie, prawda, kochanie? – zwrócił się do córki.

– Się wie – odparła Julka, wycierając dłonie o własne spodnie.

W ciągu kilkunastu minut kolacja była gotowa. Julka nakryła do stołu, a Marta z Januszem przygotowali całą stertę ogromnie wysokich kanapek ze wszystkim. Wszak niełatwo zmieścić tyle produktów na jednej kromce. Jedli ze smakiem, co rusz zbierając coś z talerza czy stołu, bo a to pomidor się zsunął, a to znów rzodkiewka. Co chwila upijali łyk aromatycznej herbaty i znów wgrzali się w kanapki. Tylko Julia zapijała je czekoladą. Uparła się, że na pewno świetnie będzie się komponowała z tą kolacją i za nic nie dała się przekonać do herbaty. Nieważne, że kilka dni wcześniej twierdziła, że czekolada nie pasuje do mięsa. Jadła więc teraz raczej słone kanapki z niewątpliwie słodką czekoladą i albo jej to rzeczywiście smakowało, albo wstydziła się przyznać do kiepskiego wyboru. Tak czy inaczej była dzielna i nawet pomiędzy kęsami chwaliła:

– Pychota.

– Przyjdź do mnie w sierpniu, wtedy będziesz mogła spróbować naprawdę pysznych kanapek ze wszystkim – powiedziała Marta.

– Dlaczego akurat w sierpniu? – zainteresowała się mała.

– Bo sierpniowe pomidory z własnego ogródka są najlepsze. I w ogóle wszystko wtedy mam z własnego ogródka.

Marta miała rację. Nigdy żaden pomidor ze sklepu nie smakował Januszowi tak, jak te babcine z pola, zrywane gdzieś na przełomie sierpnia i września. Tylko one pachniały naprawdę, oblewane gorącym słońcem Lubelszczyzny. Ich czerwone główki leżały w nagrzonej piaszczystej ziemi, same gorące od parnego powietrza, miały mocny, intensywny ziołowy zapach, rozchodzący się po zerwaniu z gałązek, może mieszkający gdzieś w szypułkach. Janusz doskonale pamiętał, jak stawał pośrodku pomidorowego zagonu i rozglądał się za najpiękniejszymi okazami. Zrywał najczerwieńsze, wycierał o rąbek koszuli i od razu ładował sobie do ust. Dłonie pachniały mu tym ziołowym aromatem, a na języku rozchodził się cudowny smak miąższu. Słodkawy z odrobiną kwasku.

– Jesteś z Kazimierza? – spytał, gdy tylko powrócił myślami z janowieckich pól.

– Tak – odpowiedziała. – A ty co robiłeś wtedy w Kazimierzu?

– Byłem służbowo. Ale też pochodzę z tamtych stron. Moi dziadkowie mieszkali w Janowcu. Właściwie tam się wycho- wałem.

Marcie oczy rozbłysły, kiedy usłyszała o swoich okolicach. Postawiła stopę na podnóżku jego krzesła, oparła łokieć na kolanie i złożyła głowę na dłoni, gotowa do wysłuchania szczegółowych opowieści z rodzinnych stron. W pierwszej kolejności próbowali dociec, czy kiedykolwiek mogli się tam ze sobą spotkać lub choćby minąć w tłumie kazimierskich przechodniów. Bywali w tych samych miejscach, łobuzowali ze swoim towarzystwem przy studni i pod basztą, ale w różnych czasach. Było między nimi dziewięć lat różnicy i nawet gdyby dorastający Janusz spotkał kiedyś Martę, to zapewne nawet nie obejrzałby się za taką smarkulą.

Ustalili zatem, że raczej nie mijali się w dzieciństwie, nie słyszeli też nic nawzajem o swoich rodzinach. Ani Marta nie wiedziała o istnieniu Bilskich z Janowca, ani Janusz o Żmigrodzkich z Kazimierza. Być może jej rodzice mieliby na ten temat coś do powiedzenia albo jego dziadkowie, gdyby żyli, ale wyglądało na to, że Janusz z Martą po raz pierwszy spotkali się dopiero tu, na Zakopiańskiej. Bo to przypadkowe otarcie się w Kazimierzu na -początku maja się nie liczyło.

Mimo to rozmawiali tak swobodnie, jakby znali się od dawna. Czas mijał nieubłaganie, aż wreszcie znużona Julka zaczęła się dopominać, by już wrócili do domu. Rozmowa o starych dobrych czasach wcale nie interesowała jej tak jak ojca. A nawet od samego początku ją nudziła.

– Jasne – ocknął się Janusz. – Masz rację, kochanie, zasiedzieliśmy się. Już dawno powinnaś być w łóżku.

Oboje wstali od stołu. Janusz podniósł swój talerz i sztucce. Julka zrobiła to samo.

– Zostawcie – zaprotestowała Marta. – Ja sobie to wszystko zaraz wrzucę do zmywarki – powiedziała, po czym wyjęła talerz z dłoni Janusza i odstawiła go na bok. – Julia, a ty o której jutro idziesz do szkoły? Możesz do mnie przyjść rano, to cię jakoś fajnie ucieszę. Jeśli chcesz, oczywiście.

– Jasne! – dziewczynka nagle się ożywiła. – A co mi zrobisz?

– Coś wymyślimy – mrugnęła do niej.

Marta odprowadziła ich do drzwi i nie mogąc się powstrzymać, wyszła też na zewnątrz. Otuliła się bluzą, którą na siebie narzuciła, i zaciągnęła się zimnym nocnym powietrzem. Janusz zrobił to samo, Julka zaś krzyknęła radośnie:

– Bida! Co ty tu robisz?!

Wielki owczarek szkocki radośnie skakał wokół dziewczynki.

– To jest Bida? – zawołała zdziwiona Marta. – Ta bestia wyżarła mi jakiś czas temu wątróbkę!

– Jak ty tu weszłaś? – zapytał Janusz, jakby oczekiwał, że pies rzeczywiście mu zaraz odpowie.

– Gdzieś za tymi bzami musi być dziura w ogrodzeniu – wyjaśniła Marta. – Bo jak się już najadła mojej wątróbki, to właśnie tamtędy czmychnęła.

– No dobra, dziewczyny drogie – Janusz zwrócił się jednocześnie i do córki, i do suni. – Tym razem wszyscy wyjdziemy przez furtkę. Bardzo dziękujemy za pyszną kolację i przepraszamy za kłopot. No i jeszcze ja osobiście dziękuję za ratunek w zakupach. Nie rozumiem kobiet. Jak można lubić takie bezsensowne łożenie po sklepach?

– Sam jesteś bezsensowny, tatusiu – rozbijając skwitowała Julka, na co Janusz chwycił ją wpół, przerzucił sobie przez ramię i z takim balastem pomknął do domu. Julka, wisząc głową do dołu, zanosila się od śmiechu.

– Nie wrzeszcz, łobuzie, bo sąsiadów pobudzisz! – Janusz był równie zadowolony jak ona, choć zdecydowanie mniej hałaśliwy.

Marta z uśmiechem zamknęła za nimi drzwi i w zamyśleniu zaczęła sprzątać ze stołu.

– Cześć, mamusiu! – zakrzyknęła Julia z wysokości ramion Janusza, wciąż wisząc na nich głową do dołu.

Wszyscy troje, łącznie z Bidą, wtargnęli do domu, robiąc sporo hałasu.

– Hej, kochanie – Janusz postawił Julię na ziemi i podszedł do Doroty. – Nie spodziewaliśmy się ciebie o tej porze. Gdybyś zadzwoniła, zrobilibyśmy kolację.

– A tak, to zjedliśmy u Marty – poinformowała Julka.

– Już późno, Julio, idź się umyć i do łóżka.

Dziewczynka pod surowym spojrzeniem matki natychmiast sposepniała i straciła dobry humor; stosując się do polecenia, poszła na górę.

Dorota była bardzo niezadowolona, ale na razie się powstrzymywała i usiłowała nie dawać temu wyrazu. Zirykowało ją, że zastała pusty dom, że nikt na nią nie czekał. Postarała się, by wrócić z pracy nieco wcześniej niż ostatnimi czasy, a tu nikogo nie ma. Nie spodziewała się tego, bo zazwyczaj wszystko było podporządkowane jej osobie i jej powrotom. Dziś natomiast zdarzyło się coś, czego nie przewidziała, a bardzo nie lubiła zaskakujących sytuacji. Wzięła głęboki oddech i zmierzyła Janusza zimnym spojrzeniem.

– Kto to jest Marta?

– Nasza nowa sąsiadka.

Dorota podniosła w zdziwieniu brew i łaskawie wysłuchała krótkiej opowieści o Marcie. Naprawdę krótkiej, bo Janusz przecież niewiele o niej wiedział.

Marta coraz więcej przedpołudni miała wolnych od zajęć na uczelni, ponieważ

przygotowywała się do obrony pracy magisterskiej i sporo czasu spędzała na jej pisaniu w domu. Raz w tygodniu, na dwie lub trzy godziny, chodziła na uczelnię, by spotkać się ze swoim promotorem i skonsultować z nim kolejne fragmenty pracy. W pozostałe dni była do dyspozycji pani Kaczewskiej. Jeździła do niej na Bemowo i rehabilitowała ją, by spróbować choć częściowo przywrócić funkcje utracone w następstwie udaru. Starsza pani cierpliwie znosiła bolesne ćwiczenia porażonych mięśni. Przez pierwsze dni pracowały ze sobą prawie bez słowa, ale milczenie nie leżało w naturze pani Kazia, tak więc niebawem żmudnej pracy nad mięśniami zaczęły towarzyszyć rozmowy. W ten sposób Marta stała się też po trosze logopedą, bo ośrodek mowy pani Kazimierzy także w sporym stopniu ucierpiał. Początkowo mówiła z wyraźnym trudem i bardzo niezrozumiale, trzeba było mocno się wsłuchiwać w jej słowa i domyślać kontekstu, ale po mniej więcej dwóch tygodniach Marta nauczyła się ją rozumieć.

Pani Kazia należała do tej najlepszej grupy pacjentów, którzy bardzo chcą powrócić do zdrowia, i robiła wiele, by dopomóc Marcie w jej wysiłkach. Poddawała się cierpliwie wszystkim zabiegom, masażom, rozciąganiom i efekty były naprawdę widoczne. Mowa też znacznie się poprawiła, choć nadal sprawiała jej trudność.

Najczęściej bywały w mieszkaniu same, bo Stanisław Kaczewski korzystał z okazji, że matka ma opiekę, i przeważnie w tym czasie załatwiał na mieście jakieś swoje sprawy.

– A jak tam moje kwiatki, Martusiu? – któregoś dnia powolutku wycedziła pani Kazia.

– Wszystkie żyją – odparła Marta dumna, że żadnego nie uśmierciła.

Pani Kaczewska hodowała na Zakopiańskiej ogromną ilość roślin doniczkowych, których pielęgnacja spadła teraz na Martę i przysparzała jej sporo kłopotu. Musiała bowiem pamiętać, aby je regularnie podlewać, ścierać kurz z liści, oskubywać uschłe części i nawozić. Nie przyznała się jednak, że opieka nad nimi jest dla niej nieco uciążliwa. Z drugiej strony naprawdę przyjemnie żyło się pośród gaju, który tworzyły te mniejsze i większe roślinki. Poza tym bardzo pasowały do ogólnej atmosfery przedwojennego domu na Zakopiańskiej.

– A co ty będziesz, dziecko, robić, kiedy już się obronisz? – spytała pani Kazia innym razem.

– Chciałabym znaleźć pracę w jakimś dobrym ośrodku rehabilitacyjnym. Marzy mi się umowa na czas nieokreślony i takie zarobki, bym wreszcie nie musiała się martwić, jak związać koniec z końcem.

– Koniec z końcem najłatwiej wiąże się we dwoje, Martusiu.

– Ale chyba nie z kimkolwiek? – roześmiała się Marta.

– Toż pewnie – potwierdziła pani Kazia. – Jak dobrze wybierzesz, będzie ci się z takim człowiekiem szło przez życie jak w wygodnych butach.

Kaczewska powoli dobierała słowa i artykułowała je z niemalym trudem, czuło się jednak, że jej umysł jest jasny i błyskotliwy. Funkcji myślenia choroba najwyraźniej nie zaburzyła.

– Żeby to było takie proste... – westchnęła Marta. – Jak wybrać, kiedy oni się jakoś do mnie nie garną. A w każdym razie nie tacy, jakich bym chciała.

– A no właśnie... – zamyśliła się starsza pani. – Pamiętaj, że mężczyźni lubią pokazywać się z pięknymi lalkami, ale żenią się z mądrymi.

– Czyli mam receptę na znalezienie miłości – Marta uśmiechnęła się słabo. – Powinam być i piękna, i mądra.

– Toż jedno nie wyklucza drugiego. – Pani Kazia lekko pogłaskała dziewczynę swą sprawniejszą dłonią. – A masz już kogoś na myśli?

– Nie – odparła Marta. – Ale wiem, jak powinien wyglądać mój ideał – od razu pomyślała o niebieskich oczach i czarnych włosach Bilskiego.

Gdzieś w połowie drogi między Bemowem a Saską Kępą zadzwoniła jej komórka. Marta spojrzała na wyświetlacz, bezwiednie wykrzywiła usta w grymasie i odebrała połączenie. To Rafał przypomniał sobie o jej istnieniu i nalegał na spotkanie. Była wobec niego uprzejma, ale nie pozostawiła mu żadnych złudzeń i wprost powiedziała, że nie chce się z nim widywać, a potem zełgała, że najbliższy weekend zamierza spędzić w Kazimierzu, ponieważ matka trochę niedomaga. Sam więc rozumie, że w tej sytuacji nawet gdyby chciała, to i tak nie znajdzie dla niego czasu. W końcu dał jej spokój i się pożegnał. Po chwili jednak telefon znów się rozdzwonił.

– Jak długo mam ci powtarzać, że się nie spotkamy?! – krzyknęła w słuchawkę, nie sprawdzwszy nawet, z kim rozmawia.

– A to wielka szkoda, bo mam superplan na przyszłość i chcę ci go przedstawić – po drugiej stronie odezwał się kobiecy głos.

– Agata! – zawołała zaskoczona Marta. – Sorry, myślałam, że to ktoś inny. Mów, co to za plan.

– Powolutku, po kolei – odpowiedział radosny głos. – Ty postawisz dobre wino, a ja sprzedam ci swój plan.

– No, super! Raz mogłabyś ty postawić wino, a ja w zamian poopowiadam ci bajki. I zapewniam, że będą równie ciekawe, jak te twoje.

– Wredna babo! – Agata oczywiście wcale nie była zła, tylko droczyła się z Martą. – To zaprosz mnie chociaż do nowego domu.

Agata była serdeczną przyjaciółką Marty ze studiów, już piąty rok trzymały się razem. Ostatnio rzadziej się spotykały, bo każda z nich zajęta była pisaniem magisterki, poza tym Marta z powodu pracy i niemal codziennych wizyt u Kaczewskiej prawie w ogóle nie miała wolnego czasu. Tym razem jednak znalazła go nieco i umówiła się z Agatą na wieczór. Trochę ją ciekawiło, co też przyjaciółka znów wymyśliła.

Wysłała esemesem swój nowy adres i oczekiwała jej przed dwudziestą drugą, czyli po skończonej pracy.

Taksówka zatrzymała się pod wskazanym numerem chwilkę po dwudziestej drugiej. Wsiadła z niej wysoka, zgrabna blondynka dzierżąca butelkę w dłoni. Sięgnęła do kieszeni dzinsów i wyjęła telefon. Po chwili korzystając z asystenta głosowego, wydała komendę:

– Zadzwoń Marta Żmigrodzka. – Następnie przyłożyła aparat do ucha i czekała na połączenie. – Mam nadzieję, że trafiłam. Prawdopodobnie stoję pod twoją furtką, rusz tyłek i wyjdź do mnie – powiedziała, gdy tylko usłyszała głos Marty.

Na powitanie wymieniły się kilkoma miłymi komplementami.

– Mam wino – zawołała Agata z taką dumą, jakby dzierżyła chorągiew wroga zdobytą w zacieklej walce.

– No super, przyjaciółko – ucieszyła się Marta i chwyciła ją pod rękę, by poprowadzić do domu.

Agata od urodzenia była niewidoma, mimo to stopień jej przystosowania do świata i życia był dużo wyższy niż u wielu osób bez jakichkolwiek dysfunkcji. Upośledzenie wzroku w żaden sposób jej nie ograniczało, a jego funkcje przejęły pozostałe zmysły. Dziewczyna miała wyostrzony słuch, węch i dotyk. Intuicję też miała nieprzeciętną. Całości dopełniała uroda, kompensując tę jedną jedyną niedoskonałość. Regularne rysy twarzy, zgrabny nosek i ładne usta, a wszystko to okolone zadbanymi blond włosami – Agata zdecydowanie odpowiadała ideałowi kobiecego piękna. Przy tym jej oczy były całkiem spore, brązowe i równie ładne, jak wszystkie inne detale jej twarzy. Jeśli akurat trzymała laskę schowaną w torebce, w pierwszej chwili niewiele osób zauważało, że jest niewidoma.

Miała w życiu to szczęście, że wychowywała się wśród ludzi mądrych, którzy zadbali o jej kompleksowe wykształcenie i nigdy nie pozwolili, by system zepchnął ją na margines egzystencji. Rodzina zrobiła wszystko, aby uczyła się w szkole integracyjnej, a nie w specjalnej, aby poszła do świetnego liceum i aby pozwolono jej studiować na wymarzonego kierunku. Początkowo władze uczelni obawiały się o zasadność kształcenia osoby niewidomej, szybko jednak się zorientowano, że Agata ma wyjątkowe predyspozycje do prowadzenia fizjoterapii. Wyostrzony zmysł dotyku sprawiał, że jej palce potrafiły dokonywać cudów w trakcie ćwiczeń i masowały po stokroć lepiej niż w przypadku innych studentów.

Marta wprowadziła ją do domu, w krótkich komunikatach informując o schodach, ścianach i meblach po drodze. Agata nie musiała zwiedzać nowego mieszkania przyjaciółki. Owszem, była go ciekawa, ale jej sposób poznawania nie polegał na przejściu przez dom, tylko na wsłuchaniu się w jego odgłosy. I poznaniu jego zapachów.

Zanim usiadły przy lampce wina, przespacerowały się mimo wszystko po parterze, by Agata zapamiętała jak najwięcej szczegółów i mogła poruszać się po nim samodzielnie. Słysy powoli, Marta co chwilę wypowiadała pojedyncze słowa ostrzegające przed przeszkodami, a Agata wyciągniętymi przed siebie dłońmi poznawała dom i kształty znajdujących się w nim mebli i sprzętów.

– No dobra – odezwała się wreszcie. – Starczy na razie. Czas coś wypić.

Marta zostawiła ją w salonie, a sama poszła do kuchni po wino i przekąski. Wyjęła z lodówki przygotowaną przed godziną deskę serów i otworzyła butelkę. Zniosła to do salonu i wróciła jeszcze po kabanosy i winogrona. Agata natychmiast bezbłędnie wyczuła wszystko, co znalazło się na ławie.

– Jak ci się tu mieszka? – spytała, gdy wypity pierwszy łyk.

Marta rozpoczęła swą opowieść i nie skończyła dopóty, dopóki nie opowiedziała dosłownie wszystkiego, co działo się w jej życiu w ciągu ostatnich tygodni. Tak więc Agata dowiedziała się o pani Kaczewskiej, o nowej pracy w sklepie dziecięcym, o telefonach od Rafała, no i wreszcie o mężczyźnie idealnym, czyli Januszu Bilskim.

– Ha! – zawołała uradowana Agata. – Panna wybredna wreszcie się zakochała?!

– Oszalałaś?! – odparła oburzona. – Mówię tylko, że taki typ faceta podoba mi się najbardziej. A nie, że się w nim zakochałam, wariatko! Poza tym, on jest ustabilizowany tak bardzo, jak to tylko możliwe, ma córkę i prawie żonę. – Dołała wina do obu kieliszków. – I nie jestem wcale wybredna – znów się oburzyła.

– Ale Rafała nie chciałaś.

– Bo nie jest w moim typie i lubi narzekać. A ja nie lubię.

Wieczór dawno przeszedł w noc, a dziewczynom wciąż nie brakowało tematów. Rozmawiały dojrzałe i poważnie, ale w niektórych momentach obie zachowywały się jak podlotki i trajkotały bez opamiętania. Najbardziej niepoważne były w trakcie rozmów o mężczyznach. Wtedy też najlepiej im się piło.

– Pochwal się wreszcie tym swoim nowym planem na życie! – Marta przypomniała sobie, że coś takiego obiecała Agata, kiedy do niej zadzwoniła. – Chyba że to był tylko pretekst do spotkania.

– A nie – Agata wyprostowała się dumnie. – To nie był pretekst. Mam dobry plan, posłuchaj.

Całkiem rzeczowo opowiedziała Marcie o tym, co ostatnio wymyśliła. Otóż usłyszała od kogoś, że w pewnym biurowcu rusza całkiem interesujący projekt. Ma się otworzyć w nim coś na kształt salonu masażu dla pracowników mieszczących się w biurowcu firm, tak by każdy, kto ma ochotę, mógł z niego korzystać w czasie przerw w pracy. Wiadomo przecież, że człowiek zrelaksowany jest bardziej efektywny. Jeśli pomysł będzie się cieszył zainteresowaniem, być może salon poszerzy działalność i udostępni swoje usługi także innym.

Agata słyszała, że mają ruszyć z tym lada moment i z jakichś sobie tylko znanych powodów uznała, że spróbuje się tam zahaczyć. Wiedziała, że nadaje się do tej pracy, nie miała tylko pewności, czy uda jej się przebić przez stereotyp szufladkujący ją pośród ludzi, którzy powinni tkwić beczynnie na rentach i nie mieć żadnych planów ani ambicji. Była jednak zdeterminowana, by spróbować, choćby nawet miała ponieść klęskę.

– Jak mi się nie uda, to przyjdę ci się wyplakać – ostrzegła. – Albo wejdę z tobą w spółkę i założymy razem swój salon masażu.

– Chętnie, kochana – odparła Marta. – Tyle że moim jedynym kapitałem są własne ręce. Na nic więcej nie możesz liczyć.

– I tyle mi właśnie potrzeba! – Stuknęły się kieliszkami.

Tę noc Agata spędziła na Zakopiańskiej w salonie na kanapie.

– Dorota, zrozum, że nie wszystko da się załatwić przez telefon, internet i Mateusza. Naprawdę muszę tam pojechać. – Janusz właśnie rozpętał burzę, informując narzeczoną, że wyjeżdża na trzy dni do Lwowa.

Oczywiście pierwsze, co zrobił, to zaproponował, by pojechała razem z nim, ale natychmiast odmówiła i zarzuciła mu jeszcze, że się z nią nie liczy i znika akurat wtedy, kiedy ona tak poustawiała swoje zajęcia, by móc wreszcie zająć się organizacją ślubu. Spodziewała się, że on jej w tym pomoże. Na co on wyjaśnił, że gdyby tylko wiedział, że ona ma takie plany, z całą pewnością zostałyby w Warszawie, ale teraz wszystko jest już zorganizowane, kontrahenci umówieni, Mateusz przygotowany do wyjazdu, hotel zarezerwowany, bilety na samolot kupione.

- Kochanie, mogłaś mi powiedzieć, co planujesz – rzekł przeprasząco.
- Ty też mogłeś – sarknęła.
- Leć ze mną – poprosił jeszcze raz. – Krótki odpoczynek dobrze nam zrobi, ciągle się mijamy, to może chociaż tam pobędziemy trochę razem.
- Nigdzie się nie wybieram. – Dorota była nieprzejednana.

Kilka dni później Janusz z Mateuszem znaleźli się na pokładzie samolotu, który w godzinę przeniósł ich do Lwowa. Zamówiona taksówka czekała na lotnisku, by szybko i wygodnie dowieźć ich do usytuowanego przy ulicy Teatralnej hotelu Leopolis.

Było piękne czerwcowe popołudnie, parę minut po godzinie szesnastej czasu miejscowego, panowie rozlokowali się w swoich luksusowych pokojach, ale nie zamierzali w nich przesiadywać. Wstępny plan jutrzejszego spotkania z nowymi lwowskimi współnikami opracowali jeszcze w Warszawie i częściowo dopięli go w samolocie, dlatego teraz mogli wybrać się do miasta. Postanowili, że dopóki nie załatwią spraw służbowych, nie będą szukać żadnych rozrywek, ale chodząc ulicami starego Lwowa, rozglądali się uważnie, wypatrując lokalu, do którego można by ewentualnie wpaść jutro wieczorem i miło spędzić czas przy dobrym trunku.

Miasto tętniło życiem, ludzie spacerowali, zwiedzali i tłumnie wypełniali wszystkie okoliczne restauracje, okupując zarówno ich wnętrza, jak i ogródki. Klimat Lwowa był nie do opisania i przekazania. Należało tu po prostu przyjechać, stanąć na kilkusetletnim bruku, głęboko zaczerpnąć powietrza i zachłysnąć się atmosferą tego wiekowego miasta.

Nic tu nie wskazywało na dramat wschodniej Ukrainy. Ludzie pragnęli normalnego życia i Lwów takie właśnie im dawał. Sprzyjał rozwojowi i wprawiał w szampański nastrój. Stał się po prostu modny. Zwłaszcza młodzi masowo garnęli się do tej stolicy Wschodniej Galicji w poszukiwaniu lepszego świata. Jedyнным dysonansem były dwa wozy bojowe ustawione przy prospekcie Swobody, kilkaset metrów od gmachu Teatru Opery i Baletu, przywiezione ze wschodniej Ukrainy i podziurawione jak sito. Na całym prospekcie tętniło życie, grała muzyka, słyszeć było śmiechy, stukot szpilek i pobrękiwanie wznoszonych w głośnych toastach kufli z piwem. A pośrodku tej wrzawy dwa przestrelone kulami auta. Turyści przystawali na chwilę w zadumie, robili selfie na ich tle, pięknie się przy tym uśmiechając, i odchodzili w fantastycznych nastrojach.

We Lwowie wojny nie było. Ilekroć jednak miasto pragnęło odetchnąć z ulgą i żyć pełną piersią, wówczas odzywało się echo konfliktu na wschodzie. Od pewnego czasu prawie nie było dnia, by nie grzebano jakiegoś bohatera na Łyczakowskim cmentarzu wojskowym. Kilku pierwszych poległych za wolną Ukrainę pochowano przy wejściu głównym, pozostali już się nie mieścili i byli chowani po drugiej stronie cmentarza. Świeże groby tonęły pod wieńcami ozdobionymi niebiesko-żółtymi szarfami.

Było jeszcze jedno miejsce we Lwowie, gdzie nastrój człowieka zmieniał się diametralnie, tym razem na widok dziecięcego origami. To wewnątrz kościoła jezuitów na Katedralnej. W tej starej świątyni, w której Sowietci urządzili magazyn książek i gdzie składowali zbiory dawnego Ossolineum, od kilku lat mieścił się kościół garnizonowy i tu właśnie odprawiano msze pogrzebowe żołnierzy, którzy oddali swe życie za wolną Ukrainę. W czasie gdy ogromny tłum odprowadzał trumnę na Łyczaków, ulice Lwowa

zamykano, ruch samochodowy zamierał. A w kościele pozostawały jedynie białe gołębie origami zawieszane na cienkich nitkach wysoko, u sklepienia. Były ich setki. Zrobione rękami małych sierot, których -ojcowie -polegli w walce o pokój.

I to było jedyne, co nie współgrało z radosnym rytmem miasta, co na chwilę wprawiało w zadumę i zakłopotanie.

Późną kolację Mateusz zaproponował w Lewym Brzegu, który się mieścił w piwnicy opery lwowskiej. Podczas swojego poprzedniego pobytu we Lwowie dobrze się postarał, by poznać szlak restauracji i piwiarni miasta, i teraz uchodził za eksperta. Weszli do lokalu od wschodniej strony opery. Kilka metrów pod nimi, podziemnym korytarzem, toczyły się wody Pełtwi, którą zasklepiono tam pod koniec XIX stulecia.

Zjedli sutą kolację i popili piwem. Lokal miał świetny klimat, na ścianach trochę bieli, trochę czerwonej cegły, a na niej reprodukcje znanych malarzy i instrumenty muzyczne. Brakowało im jednak widoku na miasto, wyszli więc i przenieśli się na ulicę Ormiańską, gdzie na kolejne piwko przysiedli w ogródku Gazowej Lampy.

Gdzieś pomiędzy przyjemnym gawędzeniem z Mateuszem a sączeniem pszenicznego piwa Janusz na chwilę zadzwonił do Doroty. Odebrała, ale wciąż była niezadowolona z jego wyjazdu, dlatego obrażonym głosem odpowiadała mu półsłówkami. Przepraszanie jej nie miało sensu, bo ona wtedy tylko się nakręcała i zrzucała całą winę za zaistniałą sytuację na Janusza. On oczywiście nie czuł się winny, ale do tego się nie przyznał. W końcu miał dość tej nieprzyjemnej rozmowy i szybko się pożegnał. Jeszcze tylko na koniec spytał, czy Dorota znalazła wreszcie jakąś sukienkę do ślubu, bo jak dotąd marnie jej to wychodziło. A to czasu nie miała, a to wybór był zbyt mały...

– Tak, znalazłam – odpowiedziała lakonicznie i dodała coś jeszcze o drobnych poprawkach krawieckich.

„No, przynajmniej to się udało” – pomyślał.

Drugi dzień we Lwowie był bardzo pracowity i obiecujący. Po wczesnym śniadaniu panowie przystąpili od razu do interesów. Pieszko poszli na ulicę Wałową, gdzie w ogromnej nowej kamienicy świetnie skomponowanej stylistycznie z sąsiadującymi budynkami Mateusz wraz z ukraińskimi współnikami wynajął sporą powierzchnię na ich nowe biuro. Janusz wciąż miał trochę obaw, ale skoro podjął pierwsze kroki, to teraz nie zamierzał się wycofywać. Na miejscu czekali już na nich ich nowi współpracownicy, przeszli zatem od razu do rzeczy. Wiele spraw było do omówienia i zorganizowania, więc zajęło im to dużą część dnia. Pracowali nad laptopami, przeglądali stopy zbindowanych danych i raportów, słuchali, jaką wizję rozwoju firmy mają ukraińscy kontrahenci. Wreszcie, po kilku godzinach pracy, Janusz z Mateuszem oraz dwoje Ukraińców wybrali się razem do Centaura przy rynku na wyśmienity obiad podlany małą wódeczką.

Późnym popołudniem wrócili do hotelu. Janusz planował jeszcze wyskoczyć do miasta, by poszukać jakichś drobnych upominków dla swoich pań, ale Mateusz tak długo wiercił mu dziurę w brzuchu, aż w końcu namówił go na wyjście do knajpy.

– Stary, zakupy zdążysz zrobić jutro – przekonywał. – A dzisiaj musimy zajrzeć do Kumpla.

– Masz tu jakiegoś kumpla? – Janusz był wyraźnie zdziwiony. – Kiedyś ty się

zdążył zakumplować?

– Nie marudź, tylko chodź.

Krakowskim targiem Janusz wynegocjował jednak godzinkę odpoczynku w hotelowym pokoju. Na podbój miasta umówili się na osiemnastą.

Po szybkim prysznicu Bilski włożył wygodne jasne dżinsy i białą lnianą koszulę bez kołnierzyka. Kiedy zszedł do lobby, Mateusz już na niego czekał.

– No, to ruszamy. Portfel masz?

Mieli do przejścia jakieś siedemset metrów. Przy pięknej pogodzie spacer był prawdziwą przyjemnością. Po kilkunastu minutach doszli do ulicy Wynnyczenki, gdzie na wprost dawnych murów obronnych i dużego zegara z kwiatów Mateusz lewą ręką zatrzymał maszerującego wciąż Janusza, a prawą wyciągnął przed siebie.

– Jesteśmy na miejscu. To jest Kumpel. – Weszli do środka i usiedli przy jednym ze stolików.

Z zewnątrz lokal niczym się nie wyróżniał. Ot, knajpa jedna z wielu, nawet nie w zabytkowej kamienicy. Wewnątrz zaś czekały na gości dania kuchni regionalnej, metrowa kiełbasa i miedziane kadzie do warzenia piwa umieszczone pośrodku sali. Ale restauracja Kumpel miała coś jeszcze. Coś, co sprawiło, że Mateusz zapragnął tu powrócić. To piwny cycuś. Janusz z zaciekawieniem przyglądał się metalowej rzeźbie, która przedstawiała nagą kobietę od nosa po górną partię ud. Mniej więcej na wysokości trzustki i żołądka znajdował się prostokątny otwór mieszczący nieduży kufel.

– Pogłaszczemy cycusia? – Mateusz szelmowsko podpuszczał kolegę, na co ten spojrzał zdziwiony. – Chodź! Może nam się uda.

Janusz pozostał jednak przy stole i z zaciekawieniem obserwował przyjaciela, gdy ten ruszył wprost do rzeźby. Przystanął, podciągnął rękawy i odwróciwszy się na chwilę do Bilskiego, mrugnął porozumiewawczo, po czym położył dłonie na piersiach z brązu. Chwilę obmacywał je i dotykał, ale bez żadnego skutku, zmienił więc taktykę i przeszedł na subtelne pieszczoty. Pod wpływem delikatnego głaskania do kufelka pod żebrami pociekł strumyczek piwa. Z kąta sali dobiegły ciche brawa i gwizd. Janusz był rozbawiony, a Mateusz dumny. Ponowił czułości, ale udało mu się zapełnić kufel zaledwie w dwóch trzecich. Uśmiechnięty od ucha do ucha wrócił ze zdobyczą do stolika.

– I jak ci się podoba?

– Stary, co to za machina? – Janusz próbował zgłębić tajniki tej zabawnej konstrukcji.

– Nie wiem, chyba ma jakieś czujniki. – Obaj spojrzeli w stronę piwodajnej rzeźby, gdzie swych sił próbował już kolejny klient. Chyba był bardziej wprawiony, bo szybko i bez wysiłku napełnił sobie kufel po brzegi.

Posiedzieli jeszcze kwadrans, po czym Mateusz dał sygnał do wymarszu – chciał coś jeszcze pokazać przyjacielowi.

– A teraz do Prawdy – wydał komendę, ruszając w kierunku ratusza. – Tam na pewno będą świetne dziewczyny.

Teatr Piwa Prawda to kolejny świetny adres na kulinarnej mapie Lwowa. Doskonale usytuowany, w starej części miasta, stosunkowo młody trzypoziomowy lokal w stylu fabrycznym. Cegła mieszała się tu z dużą ilością stali, a na podłogach leżały

drewniane deski. Nie było romantycznie, ale za to z charakterem i klimatem. Na drugim poziomie, na podłodze z grubego szkła, znalazło się miejsce dla dziewięcioosobowej orkiestry dixielandowej. Młodzi muzycy grali trzy razy w tygodniu, wieczorami, od czwartku do soboty.

Dochodziła dwudziesta, powietrze nie było już gorące, ale do zachodu słońca zostało jeszcze z półtorej godziny. Tłumy na ulicach i w restauracjach zapowiadały, że miasto zapewne nieprędko pójdzie spać.

W Teatrze Piwa był prawie komplet. Mateusz wszedł pierwszy i rozejrzał się po parterze. Tu znajdowała się część sklepowa z wielkimi kadziami, w której można było kupić warzone na miejscu różne piwa. Obaj, niezainteresowani zakupami, ruszyli po czerwonych schodach z kraty pomostowej na pierwsze piętro. Po krótkiej lustracji dostrzegli jeden wolny stolik w pobliżu orkiestry, a w każdym razie z dobrym widokiem na nią. Bez namysłu zajęli miejsca i już po chwili podszedł do nich młodziutki kelner z kartą piw. Wybór był duży, ale warzonych na miejscu oferowano tylko cztery. Między innymi czekoladowe. Z ciekawości wzięli dla spróbowania po każdym rodzaju.

Orkiestra właśnie zasiadała na swoich czarnych obrotowych taboretach i zaczynała stroić instrumenty. Atmosfera była nie do opisania. Lokal pełen ludzi, gwarno i tłoczno, ale niesamowicie przyjaźnie. Wielkim atutem było to, że dopóki klient miał pełne kieliszki i talerze, kelnerzy się nie naprzykrzali, choć stale obserwowali swój rewir, w każdej chwili gotowi przyjść z pomocą. I kiedy tylko gość wypijał ostatni łyk piwa, kelner zjawiał się nie wiadomo skąd i pytał, czym jeszcze może służyć. W tym wielkim lokalu nikt nie czekał na obsłużenie nawet sekundy.

Janusz z Mateuszem pili jedno piwo za drugim, a tymczasem orkiestra grała już na dobre. Ośmiu trębaczy i perkusista grali światowe szlagiery w fantastycznych aranżacjach. Nawet dyskotekowe kawałki przerobili na elegancki dixielandowy styl.

Publiczność nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Co bardziej wrywni do tańca już podrygiwali między stolikami, reszta zaś wystukiwała rytm o blaty lub przytupywała w podłogę. Po chwili kelnerki zaczęły roznosić puste plastikowe butelki po piwie, stawiały je przy gościach lub wręczały tym, którzy już tańczyli. Każdy instynktownie wiedział, że oto dano mu do rąk najprostszy z instrumentów, by mógł współtworzyć muzykę płynącą po piętrach. Jedni bębnilo butelkami o stoliki lub balustrady, inni uderzali jedną o drugą. I tak było tu co tydzień, od czwartku do soboty.

Mateusz nie dość, że z zapamiętaniem wystukiwał rytm do rozbrzmiewającej muzyki, to jeszcze poderwał się do tańca. Wskoczył na środek i dołączył do bawiących się ludzi. Nie miały znaczenia narodowość, język ani przekonania. Butelki tarabaniły ponad głowami, nogi pląsały żwawo, oczy błyszczały, usta same układały się do uśmiechu. U wszystkich bez wyjątku. Wreszcie Janusz nie wytrzymał sam przy stoliku i też ruszył do grupy, z którą bawił się Mateusz.

Teatr Piwa opuścili grubo po północy. Obaj trochę przeholowali z degustacją, mimo to jeszcze całkiem nieźle trzymali się na nogach.

– To co? – spytał Mateusz po drodze, kiedy już wcale nie tak żwawym krokiem szli ulicą. – Może jeszcze wódeczka u Baczewskich?

– O, nie! – zawołał Janusz. – Nie dam rady. Długi jeszcze ten twój szlak

alkoholowy?

- Jesteśmy mniej więcej w połowie – z dumą odparł Mateusz.
- W takim razie reszta kiedy indziej.
- No, trudno – westchnął Mateusz.

Do hotelu szli długo, choć nie mieli daleko. Krążyli jeszcze po zaułkach i brukowanych traktach Lwowa, niczym dwa lwowskie baciary.

Ranek okazał się ciężki, bo głowy mieli skołowane i bolące. Żeby nie wrócić z pustymi rękami do domu, Janusz wybrał się w okolice pomnika Mickiewicza do sklepu Roshen. Mateusz dobrodusznie towarzyszył mu w wyprawie, choć jego zupełnie nie interesował Roshenowski asortyment. Był to firmowy sklep największego producenta cukierków i czekolad na Ukrainie. Założycielem firmy i jej akcjonariuszem był prezydent Poroszenko.

Janusz przemierzył sklep wzdłuż i wszerz, nie bardzo wiedząc, na co się zdecydować. Julka na pewno czułaby się w nim jak w raju. Wybór był ogromny i wszystko kusilo. Zresztą nie tylko dzieci. Janusza także. Postanowił wreszcie kupić pralinki w blaszanych pudełkach z widokiem Lwowa, wziął też kilka czekolad, cukierki na wagę i zostawił w kasie pięćset hrywien. Teraz był już gotowy do powrotu.

Rozdział 5

– No co ci szkodzi? – Agata nie dawała się zbyć i usilnie przekonywała przyjaciółkę. – Przecież za chwilę i tak zaczniesz szukać pracy, to dlaczego nie razem ze mną?

Rzeczywiście za dwa tygodnie Kazimiera Kaczewska wyjedzie z synem do sanatorium na co najmniej miesiąc, toteż Marta znów będzie musiała rozejrzeć się za jakimś dodatkowym zajęciem, bo z samych zarobków w Atrium nie zdoła się utrzymać. Chciałaby pracować w jakimś salonie masażu albo chociaż jako fizjoterapeutka w przychodni. Nawet już porzysłała CV, ale na razie cisza, nikt nie oddzwaniał. Pomysł Agaty, by zatrudnić się jako masażystka dla zapracowanych biznesmenów – owszem, wydawał się całkiem niegłupi, Marta jednak nie chciała aplikować razem z nią. Gdyby bowiem się okazało, że to ona dostałaby pracę, a nie przyjaciółka, nie potrafiłaby spojrzeć jej w oczy. Nie zamierzała pozbawiać jej czegoś, na czym tak bardzo jej zależało. Gdyby rozmowa kwalifikacyjna została przeprowadzona rzetelnie, z pewnością lepsza okazałaby się Agata, bo co tu dużo mówić – przyjaciółka jest sprawniejszą fizjoterapeutką od niej. Jeśli jednak zadziałają stereotypy, Agata nie dostanie tej pracy ze względu na swoją ociemniałość. Marta zdawała sobie sprawę, że to, co na pozór jest słabą stroną Agaty, w gruncie rzeczy stanowi jej atut. Tylko czy pracodawca zechce się o tym przekonać?

– To może przynajmniej pójdziesz ze mną na rozmowę? – wydawało się, że Agata zaczyna odpuszczać.

– O ile w ogóle cię zaproszą na jakąś rozmowę – powątpiewała Marta.

– Czyli pójdziesz?

– No dobra – skapitulowała Marta. – Pójść mogę.

– Na rozmowę? – Agata próbowała wziąć ją fortelem.

– Ciebie zaprowadzić mogę! – Marta powoli traciła cierpliwość.

Tego wieczoru Agata niczego więcej nie ugrała, ale nie poddała się i drażyła temat tak długo, aż Marta wreszcie dała się namówić i razem z nią złożyła swoje CV. Było o co zawalczyć, ponieważ ów gabinet masażu otwierała sieć, która miała ugruntowaną pozycję na rynku i cieszyła się dobrą sławą. Poza kompleksowymi usługami masażystów oferowała także różnego rodzaju usługi kosmetyczne, od maseczek na twarze i peeling po stylizowanie paznokci.

W połowie czerwca Kaczewscy wyjechali do augustowskiego sanatorium, tak więc Marta została bez przedpołudniowej pracy, na dodatek w Atrium tak się ułożył grafik, że miała dwa dni wolne. Zastanawiała się, co zrobić z tym wolnym czasem. Przeszło jej przez myśl, by odwiedzić rodziców, ostatecznie jednak została w Warszawie i umówiła się z Agatą na wieczornego grilla. Pogoda sprzyjała, a i grill znalazł się w garażu. Nie był może pierwszej nowości, ale po porządnym wyszorowaniu jak najbardziej nadawał się do użytku. Marta wytaszczyła go na tylny ogródek, postawiła przy altance i zabrała się do przygotowania stołu. W lodówce stały zamarynowane mięsa, piwo i wino, a na kuchennym blacie leżały warzywa przeznaczone do sałatek i do grillowania.

Marta była świetną kucharką i miała fenomenalny zmysł kulinarny. Jej potrawy,

poza smakiem, zawsze miały też oszałamiający wygląd. Uwijała się jak w ukropie, by ze wszystkim zdążyć przed przyjściem Agaty. Altanka była wysprzątana, stół przykryty obrusem, a na nim czekały już talerze, sztucce, szklanki, kieliszki do wina i kufle. Raczej będą piły piwo, ale w razie czego nie zabraknie też wina.

– To tak na wszelki wypadek, gdyby nam piwo nie smakowało – zażartowała Agata, stojąc przed furką i machając wódeczką.

– Chodź, kochana, chodź! – zawołała Marta, wychodząc ku przyjaciółce.

Agata szła z białą laską. Jej krok był pewny, bo miała jakąś fenomenalną pamięć i bez problemu poruszała się w miejscach, w których była już chociaż raz.

Butelkę oddała Marcie, po czym złożyła laskę i schowała ją do torebki. Bez trudu odnalazła drogę do altanki, dopiero będąc tuż przy niej, wyciągnęła dłoń przed siebie, by znaleźć wejście, stół i ławkę.

Wieczór był ciepły i bezwietrzny. Nagrzane powietrze miało oszałamiający zapach jaśminu, którego kwiatom ustąpiły już miejsca lilaki. W podwórkowych trawach i krzewach aż roiło się od brzęczących owadów.

Marta rozpałała pod grillem, a kiedy ogień przemienił się w żar, położyła pierwsze mięsa nad paleniskiem. Oczekiwanie na kolację dziewczyny uprzyjemniały sobie pszenicznym piwem i rozmową. Po niedługim czasie po całym ogródku rozniósł się znad grilla lekki dym i rozległo się miłe dla ucha skwierczenie tłuszczu. Zapach był niezwykle kuszący i każdemu głodomorowi mógł pobudzić ślinianki do pracy. Dziewczyny oczywiście cierpliwie czekały, aż mięsa dojdą, ale nagle znalazła się tuż przy nich jedna wygłodniała i skomlała dusza, która czekać nie zamierzała i głośnym szczekaniem dopominała się o jedzenie. Sąsiadka Bida, zwabiona zapewne smakowitą wonią, przedarła się przez dziurę w ogrodzeniu i najwyraźniej postanowiła załapać się na jakąś porcyjkę.

– Kto to? – spytała Agata, słysząc psie popiskiwanie.

– To Bida, suka sąsiada – odparła Marta. – Jest piękna, duża i bardzo łagodna – pogłaskała owczarka po głowie i grzbiecie.

Przyjaciółka wyciągnęła przed siebie dłoń i cmoknęła na psa, przywołując go też po imieniu. Bida była bardzo ufna i przyjazna, bez wahania podeszła do Agaty, jakby знаła ją od dawna. I tak oto siedziały sobie we trzy wokół grilla lub w altance, podjadając co nieco, czekając na kolejne porcje mięs i popijając je piwem. Ścisłej mówiąc, Bida nie została uraczona piwem, ale w zamian dostała miskę z wodą.

Rozmowa toczyła się wokół ich życiowych spraw, czyli wzięty na tapetę swoje niedopisane jeszcze prace magisterskie i zbliżającą się obronę, kreśliły wizje własnej przyszłości. Agata z nadzieją i optymizmem mówiła o tym, że naprawdę widzi siebie w roli masażystki w tym nowo otwieranym gabinecie masażu. Pogadały też trochę o Rafale.

– Jesteś rasową kobietą – zawyrokowała wreszcie Agata. – Sama nie wiesz, czego chcesz.

– Masz rację – odpowiedziała po chwili namysłu Marta. – Ale doskonale wiem, czego nie chcę.

Agata poprawiła się na ławce, położyła łokcie na stole, oparła twarz na dłoniach

i czekała na dalszy ciąg wynurzeń przyjaciółki. Ponieważ ta zbyt długo milczała, ponagliła ją:

– No, to czego nie chcesz?

– Nie chcę mężczyzny, który zawsze najpierw zapyta mnie o zdanie, a zaraz potem powie, że też tak myśli. Nie chcę kogoś, kto ciągle utyskuje na swój los, a winę za jego marność zrzuca na system i polityków. Nie chcę być z kimś, kto do spodni w kant zakłada sportowe buty.

Agata parsknęła w tym momencie.

– Przepraszam, mów dalej – zachęciła przyjaciółkę, wciąż się śmiejąc.

– Ciebie to bawi, bo tego nie widzisz, i myślisz, że to nieistotne. – Marta próbowała się tłumaczyć. – Ale ja nie chcę patrzeć przez resztę życia na kogoś takiego. Nie chcę być z kimś, kto nie lubi ludzi. Nie chcę też fantasty, który naobiecuje mi Bóg wie co. Nie chcę mężczyzny, który boi się pracy. I nie chcę być przez kogokolwiek szarpana – tu pomyślała o zachowaniu Rafała, kiedy w maju byli razem w Kazimierzu.

– Napijmy się, bo jakoś ponuro się zrobiło. – Agata wyciągnęła rękę i ostrożnie wymacała butelkę z piwem. Marta podała jej otwieracz, po czym ona otworzyła butelkę tak zgrabnie, jakby wszystko widziała. Chwyliła swój kufel, lekko go przechyliła, włożyła do niego palec i dotąd wlewała piwo, aż palec zamoczył się w alkoholu. Wtedy odstawiła butelkę na bok i upiła duży łyk.

– No, to mów dalej – zachęciła Martę.

– To już koniec – uśmiechnęła się. – Tyle chyba wystarczy?

– A brzydki może być? O urodzie nic nie mówiłaś.

– Może – tym razem śmiech Marty był wesoły. – Ale przystojnym też nie pogardzę.

– A ja to chyba bym się każdym zadowolila – westchnęła Agata. – Aby mnie tylko chciał.

– Fatalne myślenie, kochana! – Marta absolutnie nie zgadzała się z taką filozofią. – Jesteś piękną, mądrą i wartościową kobietą.

– Tylko ciut wybrakowaną – Agata siliła się na żart.

Zawsze była przebojowa i odważna, mimo to czasem dopadała ją myśl, że jest gorsza od innych dziewczyn. Wiele zawdzięczała swoim rodzicom, którzy wychowali ją na osobę samodzielną i dzielnie walczącą z przeciwnościami losu. Wpoili jej, że tylko silni są w stanie spełniać swoje marzenia, była więc silna. I po cichu marzyła, że spotka kogoś, kto ją pokocha. Ale tego marzenia jakoś nie potrafiła zrealizować. Może jednak jest zbyt słaba?

– No dobra – szybko odzyskała dobry humor. – Czyli doskonale wiesz, kogo nie chcesz. A masz jakiś ideał?

– Oczywiście – Marta powiedziała to z pewną dumą. – Mieszka za płotem – dodała.

Janusz spodobał jej się chyba jeszcze w Kazimierzu, kiedy tak zabawnie opychał się kogutami. Uświadomiła to sobie dopiero tu, na Zakopiańskiej. Lubiła całą jego fizyczność, patrzenie na niego sprawiało jej przyjemność, ale najbardziej kupił ją swoją miłością do Julki. Więzy, która ich łączyła, wprost fascynowała Martę; obserwując ich

oboje, niejednokrotnie doszła do wniosku, że właśnie taki mężczyzna bardzo by ją interesował. Rzecz jasna sam Janusz odpadał z oczywistych względów, lecz gdyby trafił jej się jego klon, byłaby zachwycona. Bywało, że rozmyślała sobie o kimś takim jak on tuż przed snem lub leżąc wygodnie w wannie.

Agata już otwierała usta, by dokładniej wypytać o ten ideał, gdy właśnie zza płotu dobiegł męski głos:

– Bida, chodź tu! – zawołał i zaraz zagwizdał.

Pies, rozłożony w altance, podniósł się i nastawił uszu, ale chyba nie zamierzał wracać do domu.

– Bida! – ponownie zawołał Janusz.

Marta wyszła z altanki i podeszła pod krzewy bzu. Bida ruszyła za nią.

– Cześć, sąsiedzie – przywitała się. – Twój pies jest u mnie.

Było już ciemno, ulicę rozświetlały latarnie, ale w ogródkach panował mrok, dlatego Janusz musiał wyteżać wzrok, żeby poprzez gęste zarośla dostrzec sąsiadkę.

– Zapraszam na karkówkę i piwo – zachęciła go Marta. – No i po psa – dodała ze śmiechem.

Janusz spojrzął za siebie, na dom, w którym spała Julka.

– Okej, ale tylko na chwilę. – Pobiegł do drzwi, zamknął je na klucz i szybko przeszedł na działkę Kaczewskich.

– To jest najlepsza fizjoterapeutka w Warszawie – Marta przedstawiła przyjaciółkę. – A to mój nowy sąsiad.

Janusz i Agata wymienili swoje imiona i kurtuazyjne formułki, że im miło i przyjemnie, po czym Agata wyciągnęła przed siebie prawą dłoń, a on ją uścisnął. Jej twarz i wzrok skierowane były przed siebie, nieco poza sylwetkę Janusza, lecz on zupełnie tego nie zauważył.

Marta przyniosła nakrycie dla gościa. Właściwie nie był głodny, ale zapachy z grilla tak kusiły, że nie potrafił sobie odmówić. Piwa także. Początkowo rozmowa dotyczyła Bidy i tego, jak wprosiła się na kolację, ale szybko przeszli na inne tematy. Bilski był swobodny i naturalny, podobnie Agata. Tylko Marta zrobiła się jakaś spięta, choć nie dawała tego po sobie poznać. Janusz niczego nie zauważył, natomiast intuicja i wyostrzone zmysły przyjaciółki nie dały się oszukać. Od razu wyczuła, że Marta przybrała jakąś pozę. Nie zdradziła się jednak ze swoim odkryciem.

Oczywiście Janusz nie byłby sobą, gdyby nie wspomniał o Julce. Opowiedział, jaka była zachwycona swoim występem w przedstawieniu z okazji Dnia Matki, jak koleżanki zazdrościły jej fryzury i stroju. Podziękował jeszcze raz Marcie za pomoc, a potem jakoś od słowa do słowa doszli wreszcie do jego pracy. Pochwalił się, że rozkręca firmę we Lwowie i że niedawno stamtąd wrócił. Zdradził też, co robi i gdzie pracuje w Warszawie. I w ten sposób odkryli, że salon masażu, do którego dziewczyny złożyły CV, otwiera się w jego biurówcu.

– W takim razie – oznajmił – jak tylko zaczniecie tam pracę, to chętnie was odwiedzę.

Martę przeszedł dreszcz na te słowa. Chyba wyobrazila sobie, jak masuje jego ciało. I natychmiast uznała, że musi przestać marzyć.

Ulicą powoli przejechał samochód i zatrzymał się tuż za domem Kaczewskich. Janusz spojrział przez ażurowe ściany altanki i dziękując za dożywienie Bidy oraz jego, zaczął żegnać się z dziewczynami.

– Jeszcze raz dziękuję, ale będę już leciał, bo moja Dorota wróciła. Idziemy, Bida.

– To zaprosz ją do nas, chociaż na chwilę – zaproponowała Marta, trochę z grzeczności, a trochę z ciekawości, bo dotąd nie miała okazji poznać sąsiadki.

Janusz poszedł do siebie, a kiedy Dorota wysiadła z auta na podjeździe przed garażem, przywitał się z nią:

– Cześć, kochanie – pocałował ją w policzek.

– Gdzie byłeś? – Dorota spytała oschle. – Piłeś.

– Bida mi uciekła i musiałem iść po nią. A potem jeszcze chwilę zostałem u Marty na grillu. – Brzmiało to tak, jakby się tłumaczył. – Może wstąpimy do niej na moment, przedstawię was.

– To chyba nie pora na gościnę. – Dorota była niezadowolona. – Gdzie Julia?

– Śpi – odparł. – Chodź, nie wypada uciekać. Tylko na chwilę – poprosił.

W końcu Dorota ustąpiła. Choć była zła na Janusza, nie dała tego po sobie poznać i Marcie pokazała pogodną i uśmiechniętą twarz. Podziękowała za jedzenie. Po kilku minutach niezręcznej rozmowy pożegnała się z obiema dziewczynami i wyszła. Janusz poszedł za nią. Prawie jednocześnie z miejsca poderwała się też Agata, wysunęła się zza stołu i szukając rękami oparcia, stanęła pod krzewem jaśminu. Janusz obejrzał się nieoczekiwanie, ale dopiero gdy znalazł się w domu, dotarło do niego, że przyjaciółka sąsiadki jest chyba niewidoma. To spostrzeżenie nie dawało mu spokoju. Nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że siedział obok niej tyle czasu, a niczego nie zauważył. Dziwiło go to i jednocześ-nie jakoś niepokoiło.

– Jest aż tak przystojny? – Agata wyrwała przyjaciółkę z zamyślenia, kiedy ta wyjmowała naczynia ze zmywarki.

– Słucham? – Marta zdawała się nie rozumieć.

– Pytam, co on takiego w sobie ma, że kiedy przyszedł, tobie napięły się chyba wszystkie mięśnie i ścisnęła krtań.

– Co? – Marta oparła się o kuchenny blat, zwracając się twarzą do przyjaciółki.

Właściwie nie zamierzała zaprzeczać temu skądinąd słusznemu spostrzeżeniu. Doskonale zdawała sobie sprawę, że przy Januszu robi się spięta i bardzo chce się pokazać z jak najlepszej strony, zabłysnąć i urzec go. Nie wiedziała tylko, że jest to aż tak widoczne. Wcale nie chciała się przy nim zmieniać w kogoś, kim nie jest, i nawet nie potrafiła stwierdzić, od kiedy ta jej gra trwa. Uświadomiła jej to dopiero teraz Agata.

– Wygłupiłam się? – zapytała z obawą.

– Nie – uspokoiła ją Agata. – Ale nigdy dotąd nie bywałaś jednocześnie tak podekscytowana i nieporadna.

– Nieporadna? – Marta była bliska załamania. Tak bardzo chciała dobrze wypaść, a okazuje się, że była jak słoń w składzie porcelany. Ale w którym właściwie momencie?

– Spokojnie, on niczego nie zauważył – pocieszyła ją Agata.

„Skąd ty to wszystko wiesz?” – pomyślała Marta, lecz nie zadała tego pytania. Wolą nie słyszeć już niczego kompromitującego. A na przyszłość postanowiła lepiej się

maskować. Jeszcze nie miała pojęcia w jaki sposób, ale na pewno skuteczniej.

– Tak naprawdę, to on jakby ciebie nie zauważał – kontynuowała Agata. – W każdym razie odbiera cię nie tak, jakbyś tego chciała. Jesteś dla niego sąsiadką, a nie kobietą.

Marta stęknęła.

– Zakochałaś się? – Agata była bezlitosna.

– Nie – odparła zgodnie z prawdą Marta.

– To o co chodzi, bo nie rozumiem?

Marta zacisnęła pięści i bąknęła ze złością coś na kształt „eehhh”, po czym wplotła dłonie we włosy i, jakby ze wstydu, zakryła oczy łokciami.

– Jaka ja jestem głupia – jęknęła łzawym głosem.

Agata odstawiła od ust kubek z kawą i zwróciła głowę na wprost przyjaciółki, jakby chciała ją prześwidrować swymi niewidzącymi oczami. Nic nie mówiąc, czekała na wyjaśnienia.

– Nie zakochałam się – odezwała się wreszcie Marta. – Nie mam w zwyczaju zakochiwać się w cudzych facetach. Chcesz wiedzieć, o co chodzi?

– Dawaj – zachęciła Agata.

– Chodzi o to, że odkąd go poznałam, to mi się po prostu chce.

– Jezu! – zawołała Agata. – Co ci się chce?!

– Wszystko mi się chce, rozumiesz?

– Nic a nic – przyznała Agata.

– Chce mi się ruszyć ostro z miejsca, znaleźć porządną pracę, nie jakiś tam sklep...

Chce mi się coś osiągnąć w życiu. Chcę żyć w poczuciu bezpieczeństwa i wiem, że mogę to osiągnąć własnym wysiłkiem. Chcę kupić sobie jakieś mieszkanko na obrzeżach miasta, choćby na stuletni kredyt, wiem, że mam siłę na nie zapracować. Chce mi się po prostu działać.

– Marta, przecież tobie zawsze się chciało działać. Nigdy nie byłaś leniwa.

– Ale teraz czuję, że chce mi się jeszcze bardziej – zapewniła. – Przy Rafale tak nie było. On mnie jakoś dołował. Sama jego obecność podcinała mi skrzydła i odbierała wszelki zapał... Teraz rozumiesz?

– Jakby troszkę bardziej – Agata była rozbawiona. – Tylko dlaczego wybrałaś akurat zajętego faceta, żeby cię dopingował? Rozejrzyj się, są chyba na świecie jacyś wolni...

– Wcale go nie wybierałam. Tak wyszło. – Wzruszyła ramionami.

Może i go nie wybierała, ale naprawdę go lubiła i chętnie wracała do niego myślami. Poza tym było w nim jeszcze coś, co ją nakręcało. On osiągnął wyższy poziom egzystencji niż ona i to właśnie było to, za czym podświadomie zawsze tęskniła, lecz dopiero poznanie Janusza na dobre obudziło w niej to pragnienie. Zawsze wiedziała, że nie chce powielać modelu życia własnych rodziców i sióstr, ale to Bilski i jego córka natchnęli ją, by naprawdę zaczęła myśleć nad swoją przyszłością, nad poprawą własnego życia.

Janusz stał się dla niej pewnego rodzaju wzorem, podświadomie chciała mu dorównać. Imponowało jej, że ma własną firmę, którą wciąż rozwija. Podobała jej się jego

inteligencja, szarmanckość i elegancja. Wprost uwielbiała obserwować jego relację z córką. I po cichu zazdrościła Dorocie takiego mężczyzny. Właśnie „takiego”, a nie „tego”. Skrycie zaczynała marzyć, że kiedyś spotka kogoś bardzo podobnego do Janusza. Kogoś, kto będzie ją wspierał i kochał tak, jak on kocha Julię i Dorotę. Nawet jego podejście do Bidy było po stokroć lepsze i bardziej ludzkie niż to, jakie widywała u siebie w domu. W pojęciu jej ojca pies był po to, by stać przy budzie na łańcuchu.

Ale po tym, co usłyszała od Agaty, postanowiła sobie, że za wszelką cenę postara się panować nad swoim ciałem i emocjami, by nie daj Boże, nie skompromitować się przed Januszem.

Podczas gdy przyjaciółki rozmawiały o Bilskim, on leżał w łóżku i przyglądał się śpiącej Dorocie. Dochodziła trzecia nad ranem, za oknem budziły się pierwsze ptaki. Ich świergot na tle jaśniejącego na wschodzie nieba był być może irytujący dla śpiących, ale na Janusza podziałał pobudzająco. Miał ochotę wyskoczyć z łóżka, wziąć zimny prysznic i szybko zebrać się na jakąś wycieczkę. Miał też wielką chęć ucałować Dorotę i mocno ją przytulić. Kiedy spała, była taka delikatna i piękna. Włosy leżały rozsypane na poduszce, powieki lekko drgały, a pierś kusząco podnosiła się pod cienką poszwą. Dotknął delikatnie jej policzka i pogładził po głowie. Lekko się poruszyła i po chwili otworzyła oczy.

– Przepraszam, nie chciałem cię zbudzić – wyszeptał.

Uśmiechnęła się ciepło, co w jej przypadku nie było wcale takie oczywiste. Zazwyczaj surowa i niedostępna, w tym momencie była przeciwieństwem samej siebie. Wyciągnęła rękę spod kołdry i położyła mu dłoń na piersi. Smukłymi palcami pieściła jego tors, przesuwając je w górę i w dół. Dreszcze, które poczuł, wzbudziły w nim pożądanie, pochylił się więc ku niej i delikatnie musnął ustami jej policzek. Zamruczała coś zachęcająco i przyłgnęła do niego, pobudzając swym dotykiem wszystkie jego mięśnie.

Czuł, że Dorota po raz pierwszy od dłuższego czasu jest cała jego. Domyślał się, że jej umysł wreszcie nie jest niczym zajęty, a ciało pragnie miłości jak kiedyś. Poczul się znów kochany i ważny.

Rozdział 6

Na ostatni dzień czerwca Marta z przyjaciółką zostały zaproszone na rozmowę kwalifikacyjną do nowo otwieranego salonu masażu. Ona miała stawić się na dziesiątą, Agacie zaś wyznaczono godzinę trzynastą. Obie były ogromnie zestresowane, ale nie zapomniały też o tym, żeby dobrze wyglądać. Kwadrans przed umówioną porą Marta stanęła przed wielkimi szklanymi drzwiami i zadarła wysoko głowę, aby dostrzec ostatnie piętro olbrzymiego wieżowca. Odetchnęła głęboko, założyła za ucho wymykający się kosmyk włosów, bezwiednie wyprostowała plecy, wypinając przy tym pierś do przodu, nerwowo poprawiła na biodrach spódnicę, po czym zrobiła pierwszy krok. Czerwone szpilki zastukały o chodnik i fotokomórka rozsunała przed nią dwa skrzydła szerokich drzwi. Jej serce niebezpiecznie przyspieszyło rytm, a głowa pełna była chaotycznych myśli. Marta nijak nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego nagle pocą jej się dłonie, a nogi ma jak z waty. Ostatecznie już nie raz starała się o pracę, bywała na rozmowach kwalifikacyjnych, zna własną wartość i wie doskonale, że jest dobra w swoim fachu. Skąd zatem ten stres?

Kiedy tylko przekroczyła próg biurowca, poczuła obezwładniające onieśmienie i natychmiast przystanęła. Nigdy dotąd nie była w podobnym miejscu, gdzie szyk, elegancja i bogactwo były z każdego, nawet najdrobniejszego elementu architektury i wystroju. Przestrzenne lobby ze szkła i stali szlachetnej, lśniące kamienne posadzki, wielokondygnacyjna otwarta przestrzeń nad głową, eleganccy ochroniarze i uprzejme pracownice recepcji – wszystko to sprawiało, że Marta czuła się nieswojo. Na szczęście założyła najlepsze ciuchy, jakie miała, i to nieco ją podbudowywało, choć i tak wiedziała, że ma w sobie coś z kopciuszka.

W recepcji spisano jej dane, wręczono identyfikator gościa i wskazano drogę. Niepewnym krokiem weszła do windy, by wjechać na dwudzieste czwarte piętro. Było za pięć dziesiątą, kiedy stanęła przed drzwiami, za którymi odbywał się casting na najlepszego masażystę. Poza nią czekało jeszcze kilka innych dziewcząt i jeden chłopak. Rozmowy nieco się przeciągały i Marta została poproszona do środka z dwudziestominutowym opóźnieniem. Choć wewnętrznie trzęsa się jak galareta, wiedziała, że musi zrobić dobre pierwsze wrażenie. Zmusiła więc ciało do pewnego kroku i wyprostowanej postawy. Podniosła też wyżej podbródek, po czym tak uzbrojona wkroczyła do pokoju, w którym zastała dwóch mężczyzn i kobietę. Usiadła na wskazanym krześle i cierpliwie czekała, aż odnajdą jej CV i przejrzą je pobieżnie. W nieco napiętej atmosferze padło kilka rutynowych pytań o jej studia, dotychczasowe doświadczenie zawodowe, umiejętności interpersonalne, następnie zaproszono ją do przyległego pokoju, który tymczasowo pełnił funkcję gabinetu spa. Czekał tam na nią mężczyzna w białym szlafroku popijający kawę z jednorazowego kubka, gotowy po raz kolejny poddać się zabiegom. Marta zaprosiła go na leżankę, zdjęła żakiet, potarłszy dłonie, rozgrzała je nieco i przystąpiła do prezentacji swoich umiejętności. Dała z siebie wszystko, wykorzystwała znane jej najlepsze techniki masażu, wcześniej wypytując klienta o jego zdrowie i ewentualne przeciwwskazania do zabiegów.

Po wszystkim grzecznie jej podziękowano i obiecano standardowo, że w ciągu tygodnia ktoś się z nią skontaktuje. Po jedenastej wyszła z przyjemnie klimatyzowanego biurowca i zaciągnęła się gorącym powietrzem warszawskiej ulicy. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko czekać, czy się odezwą, czy nie. Do przesłuchania Agaty pozostała jeszcze ponad godzina, Marta wybrała się więc na szybki lunch. Przysiadła w ogródku włoskiej restauracji i zamówiła kawę oraz sałatkę. Zadzwoiła też do przyjaciółki i umówiła się z nią za pół godziny przy wejściu do biurowca.

Idąc na dzisiejszą rozmowę kwalifikacyjną, nie miała szczególnie wielkiej ochoty na tę pracę, ale teraz czuła, że jednak chętnie by ją podjęła. Prawdopodobnie urzekły ją bogactwo i elegancja budynku, specyficzny klimat dostatku i wyobrażenie, że zapewne pracują tu ludzie o wysokich aspiracjach, niemałej kulturze i obyciu. Marta nigdy nie była interesowna, ale zawsze miała ambicje, by ustawicznie poprawiać komfort własnego życia. I właśnie dziś dostrzegła możliwość wspięcia się na wyższy szczebel w hierarchii kariery. Nagle bardzo zachciało jej się należeć do tych wszystkich ludzi, którzy co rano przestępują próg takiego luksusowego wieżowca. Nagle zaczęło jej bardzo zależeć. Kto wie, może nawet bardziej niż Agacie.

No właśnie, Agata... Skierowała myśli ku przyjaciółce i podświadomie już zaczynała układać scenariusze wspólnej pracy. Co prawda trochę powątpiewała, by obu mogło się udać dostać tę pracę, ale przecież siła wyobraźni i marzeń jest wielka.

„Może jednak się uda...” – pomyślała i wstała od stolika, kładąc na nim pięćdziesięciozłotowy banknot.

Kiedy podeszła pod biurowiec, Agata już na nią czekała. Była równie spięta, jak ona sama przed trzema godzinami. Marta dokładnie opisała jej wszystko, co zapamiętała – od wejścia aż po pokój, w którym odbywały się rozmowy. Dla Agaty każda informacja była na wagę złota, dlatego Marta mówiła jej, ile kroków jest od drzwi do krzesła, gdzie znajduje się biurko, a gdzie leżanka. Przyjaciółka słuchała uważnie i w pamięci kreśliła wirtualną mapę. Potem razem wjechały na dwudzieste czwarte piętro i podeszły pod pokój, przed którym wciąż stała grupka ich konkurentów.

– Dziękuję ci bardzo, ale już idź – Agata zwróciła się do niej serdecznym, choć stanowczym tonem.

– Może jednak poczekam tu na ciebie?

– Nie – odpowiedziała. – Muszę sobie dać radę sama. Jeśli chcesz, to zaczekaj na dole.

Marta nie oponowała. Wiedziała, że Agata poradzi sobie bez problemu. Wiedziała też, że tak długo, jak tylko się da, nie przyzna się, że jest niewidoma. Nie ze wstydu, ale by nie traktowano jej ulgowo i z litością.

Kilkanaście minut później poproszono ją na rozmowę. Weszła do pokoju z dobrze udawaną pewnością siebie i grzecznie się przywitała. „Dzień dobry”, które usłyszała w odpowiedzi, pozwoliło jej odpowiednio ustawić głowę i skierować niewidzące spojrzenie we właściwą stronę. Wiedzieć, gdzie jest jej rozmówca, to dla niej połowa sukcesu.

– Proszę, niech pani usiadzie – odezwał się jeden z mężczyzn przeprowadzających rekrutację.

W tym momencie serce Agaty podskoczyło niemal do gardła, a pamięć gorączkowo odtwarzała wskazówki Marty:

„Cztery duże kroki do przodu i lewą ręką dotkniesz stołu. Na podłodze leży wąski chodnik, uważaj, by się o niego nie po-tknąć”.

Informacje przyjaciółki były bezcenne, ale na szczęście dopomógł jej także jeden z mężczyzn, który chyba musiał stać tuż przy krześle, bo usłyszała, że je odsuwa. Uznała, że pewnie w dżentelmeńskim geście odstawia je od stołu, by mogła swobodnie usiąść. Powstały przy tym hałas pozwolił jej dokładnie ocenić odległość, którą miała do pokonania. Podniosła stopę i pewnym krokiem ruszyła przed siebie. Raz... dwa... but opadł na coś miękkiego... trzy... wciąż miętko... i cztery... Gdy minimalnie wysunęła lewą dłoń do przodu, opuszki palców dotknęły plastikowego oparcia. Z ulgą zacisnęła dłoń na krześle, po czym pewnie usiadła, zwróciła twarz tam, skąd dochodziły ledwie słyszalne odgłosy oddechów, i zmusiła oczy, by wpatrywały się w rozmówców tak, aby sprawiały wrażenie zdrowych i widzących.

Rozpoczęła się rozmowa, bardzo oficjalna i rzeczowa. W pierwszych minutach nic nie wskazywało na to, by którykolwiek z rekruterów spostrzegł ułomność Agaty, jednak przy kolejnym pytaniu kobieta z komisji utkwiała spojrzenie w siedzącej naprzeciw dziewczynie i bezwiednie zmarszczyła czoło, jakby coś jej się nagle przestało zgadzać, choć sama nie była pewna, co dokładnie zwróciło jej uwagę. Rozmowa trwała dalej.

Rutynowo pytano Agatę o studia, zawodowe plany na przyszłość, dyspozycyjność i dlaczego zdecydowała się starać o pracę właśnie tutaj. Odpowiadała przekonująco, spokojnie i szczerze, po czym wreszcie poproszono ją o zaprezentowanie swoich umiejętności. Gotowa była do prezentacji, lecz zanim wstała z krzesła, wzięła głęboki oddech i jakby z obawy, że choćby najmniejsza zwłoka spowoduje, że za chwilę stchórzy i nic nie powie, szybko wyrzuciła z siebie:

– Jestem niewidoma, ale w niczym mi to nie przeszkadza. Jestem też świetną fizjoterapeutką i masażystką.

Po tych słowach zapadła niezręczna cisza. Troje ludzi za stołem nerwowo spoglądało na siebie. Byli tak zaskoczeni jej wyznaniem, że nie wiedzieli, jak powinni się zachować. Kobieta spuściła głowę, jeden z mężczyzn nerwowo pocierał dłonie i dopiero drugi zdobył się wreszcie na odwagę i przemówił, obracając w palcach jej CV:

– No cóż... trochę nas pani zaskoczyła. Dlaczego nic pani o tym nie pisze w życiorysie?

– A zaprosiliby mnie państwo wtedy na rozmowę? – odpowiedziała pytaniem, a wobec ich milczenia mówiła dalej: – Jakie miałabym wówczas szanse, aby dowieść swoich umiejętności? Skoro już tu jestem, to proszę mi pozwolić pokazać, co potrafię.

Rekruterzy znów nerwowo wymienili spojrzenia.

– No cóż... – z ociąganiem odezwała się tym razem kobieta. – Nie wątpimy w pani umiejętności, jednak wobec opóźnienia, jakie mamy, nie każdego zapraszamy do masażu. Całkowicie pani ufamy, ale teraz już dziękujemy... Oddzwonimy do pani w ciągu kilku dni.

Rozmowa była skończona. Agata wstała, wyprostowała się niczym struna i choć czuła się załamana, opuściła pokój z wielką godnością. Na korytarzu zacisnęła wargi aż

do bólu, by nie wydać z siebie krzyku i powstrzymać szloch. Upokorzenie i przejaw dyskryminacji, które właśnie ją spotkały, sprawiły, że pomimo bardzo urażonego ego wzięła się w garść i mocno postanowiła, że się nie rozsypie. Nerwowo poprawiła włosy, zaczerpnęła głęboko powietrza i ruszyła przed siebie, dotykając co chwilę ściany. Doskonale pamiętała topografię piętra i bezbłędnie dotarła do windy. Namacawszy guzik, cierpliwie czekała. Szum rozsuwających się drzwi i charakterystyczny sygnał dźwiękowy wskazywały, że może zrobić już krok i wejść do kabiny. Chociaż wewnątrz panowała cisza, Agata doskonale wiedziała, że nie jest sama, ponieważ wyczuwała ledwie słyszalny świst ludzkich oddechów i intensywną woń perfum. W windzie było dwóch mężczyzn. Wszedłszy do środka, stanęła od razu z brzegu, zmuszając tym samym jednego z nich do przesunięcia się w bok. Trzymała głowę prosto i przywołała na usta swój najpiękniejszy uśmiech. Była to poza, która miała uchronić ją przed ściskającym gardło płaczem.

– Parter? – zapytał jeden z mężczyzn.

– Poproszę – odpowiedziała i wyczuła, że się do niej zbliżył, by na panelu wcisnąć guzik.

W milczeniu dotarli na dół. Kiedy drzwi kabiny się rozsunęły, Agata odważnie wyszła pierwsza, pamiętając, że przed sobą ma ogromną przestrzeń lobby i nie natknie się tu na żadną przeszkodę, chyba że niechcący wpadnie na kogoś. Jej dwóch towarzyszy wyszło tuż za nią, jeden powoli zmierzał ku wyjściu, drugi natomiast długo obserwował jej oddalającą się sylwetkę, wreszcie rozejrzał się na lewo i prawo, po czym podszedł do siedzącego na kanapach kolegi.

– Stary, chyba wreszcie się zakochałem – obwieścił na wstępie.

– Który to już raz w tym roku? – spytał Janusz Bilski, który właśnie czekał na przyjaciela, by wyskoczyć z nim na późny lunch.

– Nie żartuj – odparł urażony Mateusz. – Tym razem to na poważnie. – Mówiąc to, puścił łobuzersko oko, co oznaczać miało, że sam nie bierze swoich słów całkiem serio.

– Niech ci będzie – odpuścił Janusz. – A kim jest ta szczęściara?

– Nie wiem – odpowiedział. – Ale pięknie się do mnie uśmiechała.

Wspólnik Bilskiego należał do mężczyzn bardzo kochliwych. Aktualnie był samotny, nieustannie jednak rozglądał się za kobietami i często je zmieniał, bynajmniej nie dlatego, że mu się nudziły, tylko, jak mawiał, wciąż nie trafiał na tę właściwą i jedyną. Cekał jej z utęsknieniem i upatrywał w każdej kolejnej znajomej. Jego związki były krótkie, burzliwe i bardzo namiętne. Janusza już nawet zaczynało dziwić, że Mateusz od ponad miesiąca jest wolny i nie wspominał o żadnej kobiecie nawet podczas podróży do Lwowa. Szczególnie podczas tego typu wyjazdów przyjaciel wdawał się w gorące, choć krótkie romanse, które nierzadko przyplącał złamanym sercem. Już gotów był sądzić, że wspólnik jest może chory albo dopadła go depresja. Teraz jednak stwierdził, że wszystko jest w normie, i w spokoju poszedł z nim na obiad. Mateusz dość szybko przestał rozwodzić się o swojej nowej muzie i całkowicie oddał się tematom biznesowym. Przy lunchu omawiali lwowskie interesy i zgodnie uznali, że znów powinni się wybrać na Ukrainę, ponieważ tamtejszy rynek ma naprawdę spory potencjał i przed ich filią otwierają się duże możliwości. Trzeba tylko wszystkiego porządnie dopilnować.

Marta nie musiała o nic pytać. Po minie Agaty widziała, że spotkanie nie

zakończyło się pomyślnie. Odczekała jednak, aż przyjaciółka sama zechce jej streścić przebieg rozmowy, i tylko pogłaskała ją po ramieniu. A gdy już wszystkiego się od niej dowiedziała, powstrzymała się od słów pocieszenia, ponieważ Agata nie znosiła litości. Jedyne komentarz, na jaki sobie pozwoliła, brzmiał:

– Chuj z nimi, Agatko.

Kawał drogi przeszły w milczeniu, tylko od czasu do czasu wymieniały jakieś drobne spostrzeżenia i uwagi.

– Kawa czy piwo? – spytała Marta, kiedy weszły na most Poniatowskiego, zostawiając za sobą lewobrzeżną Warszawę.

– Nigdy nie popijaj porażek alkoholem – ostrzegła rozgoryczona Agata. – Bo nawet się nie spostrzeżesz, kiedy stoczysz się na dno.

– Uuu... – zawołała Marta. – A zatem kawa?

Szły powoli przez most. Marta spoglądała na Wisłę, a Agata wystawiała twarz do wiatru. Do przejścia zostało im jeszcze jakieś półtora kilometra, a że pokonały już sporą odległość, z każdą minutą wlokły się coraz wolniej, wygłodniałe i smętne.

Na Zakopiańską dotarły tuż przed szesnastą, wstąpiwszy uprzednio na bazarek. Kiedy wtaszczyły do domu siate z produktami potrzebnymi na szybki obiad, tak naprawdę najchętniej wyciągnęłyby się wygodnie na kanapie, w końcu jednak głód okazał się silniejszy od zmęczenia i bez zbędnych ceregieli we dwie zabrały się natychmiast do gotowania. Marta wstawiła wodę na farfalle i umyła szpinak, Agata zaś wyszorowała cytrynę i otarła z niej skórkę na drobnej tarce. W kuchennych czynnościach w niczym nie ustępowała Marcie. Różniły je jedynie zmysły, których używały do pracy. Wzrok, na którym polegała Marta, przyjaciółka świetnie zastępowała dotykiem. Jej wyczulone opuszki palców wymacały najpierw deskę, potem tarkę, a fantastycznie wyćwiczona orientacja i pamięć zakodowały brzegi naczyń i kuchennego blatu. Skórka otarta z cytryny opadała dokładnie na środek drewnianej deski. Po cytrynie przyszła kolej na parmezan i jego wiórki także znalazły się tam, gdzie powinny.

Marta przełożyła makaron *al dente* na durszlak, a potem wprawnym ruchem przerzuciła z powrotem do garnka. Dodała kilka łyżek kwaśnej śmietany, wbiła jedno jajko, wszystko podlała odrobiną przegotowanej wody i mieszając, podgrzewała na małym ogniu. Po minucie czy półtorej dodała skórkę z cytryny oraz dwie garście szpinaku, po czym doprawiła do smaku białym pieprzem i solą. Po kuchni rozeszły się aromaty orzeźwiającej cytryny i ostrego pieprzu. Trzy minuty później kokardki z dodatkami były już na talerzach i czekały jedynie na skropienie oliwą i posypanie parmezanem. Marta przeniosła talerze z blatu na stół, a Agata podała wodę z cytryną i miętą.

– Smacznego – odezwały się niemal jednocześnie, co wreszcie wywołało na ich ustach uśmiech.

Obiad zjadły prawie w milczeniu, jedynie z rzadka rzucając jakąś obojętną uwagę. Agata była przygnębiona, bo już nie pierwszy raz w życiu spotkała się z dyskryminacją, Martę zaś dręczyły wyrzuty sumienia, że mimo woli stanowiła konkurencję dla przyjaciółki.

– Nie powinnam iść na tę rozmowę – odezwała się wreszcie.

– Nie gadaj głupstw. To przecież nie twoja wina – odpowiedziała Agata. – I nic do rzeczy nie mają tu także ci wszyscy inni, którzy też starali się o tę pracę. Moim problemem są ludzie decydujący o wyborze kandydata. Marta, ja nie przegrałam z wami, tylko z tymi, którzy rekrutują. Wiem, że jestem lepsza od większości kandydatów, ale nawet nie miałam możliwości, by to pokazać. Tobie taką możliwość dano... A mnie nie – stwierdziła rozżalona. – I to jest właśnie niesprawiedliwe – dodała ciszej i pociągnęła łyk wody.

Agata zawsze prowadziła bardzo aktywne życie i robiła to samo, co wszyscy jej pełnosprawni rówieśnicy. Nie uczęszczała do specjalnych szkół, nie oczekiwała taryfy ulgowej, korzystała tylko z nowoczesnych technologii, które zastępowały jej wzrok. Programy czytające i niewielkie modyfikacje w metodach stosowanych przez uczących ją nauczycieli pozwoliły jej bez przeszkód skończyć szkołę, zdać maturę i nawet pójść na studia. Przez wszystkie te lata zdążyła się nauczyć, że to nie własne ciało ją ogranicza, ale ludzie dookoła. To oni najchętniej odsunęliby ją na margines, niechby siedziała sobie w domu na jakiejś niskiej rencie, bo przecież ktoś taki nie może być przydatny społeczeństwu, a już na pewno nie w systemie pracy. Przy pierwszym kontakcie Agata prawie zawsze była na przegranej pozycji. Wzbudzała zachwyty chłopaków i młodych mężczyzn, ale z daleka, dopóki nie zauważyli, że jest niewidoma. Kiedy to dostrzegali, tracili zainteresowanie. Aplikując na wyższą uczelnię, także nie miała łatwo, powątpiewano, czy zdoła na bieżąco realizować program. Nalegała, więc dano jej szansę.

Przy dalszym kontakcie Agata zawsze zyskiwała. Nieoczekiwanie okazywało się bowiem, że radzi sobie świetnie, jest pracowita, ambitna, nie oczekuje taryfy ulgowej i nierzadko jest lepsza w tym, co robi, od swoich rówieśników. Tyle że szansę na ten drugi kontakt nie zawsze dostawała. Tak jak dziś, na rozmowie kwalifikacyjnej...

Z początkiem wakacji Janusz stanął wobec problemu związanego z opieką nad Julką – po prostu nie miał z kim zostawiać jej w domu, kiedy sam był w pracy. Na Dorotę raczej nie można było liczyć, bo lato to pełnia sezonu turystycznego. W domu bywała rzadko, z doskoku, cedując całą opiekę nad dzieckiem na narzeczonego. Odkąd jego ojciec wyjechał do Kazimierza, nie mógł też liczyć na niego. Pozostawała jeszcze matka Janusza, ale ta z trudem znosiła dziecięce towarzystwo. Prawdę mówiąc, nigdy nie zdołała zaakceptować Julki i na każde „babciu” reagowała zaciskaniem zębów i skrywanym grymasem niezadowolenia. Krystyna Bilska była kobietą bardzo surową, apodyktyczną i nieskorą do empatii. Miała o sobie bardzo wysokie mniemanie, nosiła się prosto oraz dosłownie i w przenośni zadzierała głowę do góry. Męża ceniła znacznie mniej, a o synu może i byłaby dobrego zdania, gdyby na przeszkodzie nie stanęła przed kilku laty Dorota z Julką. Krystyna błędnie sądziła, że to jej zdanie jest jedynie słuszne, że tylko ona ma właściwe poglądy, a każdy, kto śmiał myśleć inaczej, zaliczany był do kategorii motłochu. Często tak mawiała o ludziach. Jej dyktatorskie zapędy psuły wszelkie relacje, ale ona uważała, że problem tkwi w innych, nie w niej. Próbując scharakteryzować ją w jednym zdaniu, należałoby powiedzieć, że to taki rodzaj człowieka, co w pogardzie ma innych ludzi. Taka właśnie była Krystyna.

Janusz nawet nie próbował prosić matki o to, by popilnowała Julki. Bo nawet jeśli się zgodziła, to zapewne tylko na jeden dzień, a i to z ciężkim westchnieniem

i wywracaniem oczami. Z pomocą przyszła mu Marta. Podczas przyjemnej sąsiedzkiej pogawędki przez płot mimochodem wspomniał, jaki ma kłopot, i nieoczekiwanie usłyszał, że Marta bardzo chętnie zajmie się jego córką w te dni, kiedy do pracy szła na popołudnie. Lubiła Julkę i perspektywa spędzania czasu z nią była całkiem miła.

Janusz miał świadomość, że to rozwiązanie jest tylko tymczasowe. Nie mógł przecież liczyć na to, że Marta będzie niańczyć małą aż do końca wakacji.

Na razie jednak kryzys został zażegnany i pierwszy tydzień lipca mijał już zorganizowany. Janusz spokojnie siedział w pracy, Dorota w domu bywała gościem, a Marta, zgodnie z obietnicą, opiekowała się Julką. Właściwie to Julka nie wymagała wielkiej opieki, po prostu z rana, gdy wstała, schodziła do kuchni na śniadanie przygotowane przez Martę, a potem zabierały Bidę i przenosiły się za płot, do domu Kaczewskich. Tam Marta czasem przeglądała jakieś żurnale, przysiadła do maszyny i tworzyła drobne cacka, którymi Julka niezmiennie się zachwycała. Podobało jej się wszystko: apaszka przerobiona na pasek do spodni, skrócona spódnica, którą dwa dni wcześniej wyszukały razem w second-handzie, czy fantazyjnie uszyta torebka. Mała przy Marcie czuła się rewelacyjnie i ani trochę się nie nudziła. Przed wyjściem do zieloniaka czy na spacer nad Wisłę Julka bez najmniejszych ceregieli domagała się jakiejś wystrzałowej fryzury i już po chwili była czesana i stylizowana, by potem dumnie nieść głowę po parnych warszawskich ulicach.

Niecałe dwa tygodnie po rozmowie w biurowcu do Marty zadzwoniono z informacją, że jest jedną z kilku osób zakwalifikowanych do pracy na stanowisku masażystki. W pierwszym odruchu aż podskoczyła z radości i Julkę, która akurat się nawinęła, cmoknęła w czoło. Kiedy zapytano ją, czy nadal jest zainteresowana zatrudnieniem, gorąco zapewniła, że tak. Poproszono ją zatem, by jeszcze tego samego dnia przyszła z książeczką zdrowia podpisać umowę.

– Przepraszam – spytała na koniec. – Czy Agata Jaskólska także dostała pracę? – Właściwie wiedziała, że szanse przyjaciółki są znikome, mimo to tliła się w niej resztką nadziei, że może jednak wszystko dobrze się ułoży.

– Nie jestem upoważniona do udzielania informacji na temat innych osób – odpowiedziano jej oschle. – Rozumie pani, ochrona danych osobowych.

– Oczywiście, przepraszam.

Po skończonej rozmowie natychmiast zadzwoniła do Agaty z pytaniem, czy odezwali się także do niej. Niestety, było tak, jak przypuszczały – Agata odpadła z rywalizacji już w przedbiegach.

Sytuacja zrobiła się niezręczna. Z jednej strony Marta była w wyśmienitym humorze, a z drugiej jej przyjaciółka przeżywała gorycz porażki.

– Gratuluję ci – Agata powiedziała najcieplej, jak tylko potrafiła, choć do oczu napłynęły jej łzy. – Naprawdę – zapewniła szczerze.

– Agata... – wtrąciła Marta – tak mi przykro... Nie wiem, co mam ci powiedzieć...

– Daj spokój. Przyjmiesz mnie dzisiaj z butelką wina? – rzuciła nieco weselej. – Opiłybyśmy twój sukces.

– Jasne, że przyjmę. – Marta nadal czuła się niezręcznie i trochę się obawiała

spotkania z przyjaciółką, ale przecież nie będzie przed nią uciekać.

Jeśli miała zdążyć do nowej pracy, musiała prawie zaraz wyjść z domu. Wzięła więc szybki prysznic, założyła lekką sukienkę, przeczesła włosy palcami, chwyciła Julkę za rękę i poszły. Po drodze zadzwoniła do Janusza, chcąc go uprzedzić, że będzie w jego biurcu i że w drodze wyjątku chciałyby na czas załatwiania formalności z nowym pracodawcą podrzucić mu na krótko Julkę. Jego telefon był jednak wyłączony, nie było więc rady – dziewczynka musiała pojechać z nią na dwudzieste czwarte piętro i poczekać chwilę pod drzwiami.

– Tylko pamiętaj – Marta po raz kolejny wkładała jej do głowy – nigdzie się stąd nie ruszaj.

– Nie zamierzam – odpowiedziała poważnie Julia.

– Czekaj tu na mnie – rzuciła jeszcze raz w drzwiach, zanim weszła do środka.

Formalności nie trwały długo, pokrótce poinformowano ją o godzinach pracy, działaniu kasy fiskalnej, zasadach sprzedaży karnetów i usług jednorazowych, po czym przedstawiono jej umowę do podpisania. Zatrudniano ją na okres próbny, a z jej szybkich wyliczeń wynikało, że powinna otrzymać jakieś tysiąc siedemset złotych do ręki. Nie były to kokosy, ale nawet taka kwota znacząco podreperuje jej budżet.

Po kilkunastu minutach wyszła z gabinetu i od razu zobaczyła Julkę stojącą na korytarzu pod ścianą ze swoim ojcem. W pierwszej chwili się przestraszyła, że będzie rozgniewany za to, że zostawiła małą bez opieki.

– Już jestem... Przepraszam, czy coś się stało? – spytała gorączkowo. – Zostawiłam ją tylko na chwilę. Ale to było niemądre, przepraszam.

– Spokojnie – Janusz powiedział to ciepło i z uśmiechem. – Wszystko jest w porządku. Możemy ci już gratulować?

– Tak... – W jej głosie czaiła się niepewność. – A skąd ty się tu wzięłaś?

– Zjeżdżałem właśnie na dół i gdy na tym piętrze drzwi windy się otworzyły, zobaczyłem własne dziecko. Więc wysiadłem. Powiedz, od kiedy zaczynasz? – zmienił nagle temat.

– W przyszłym tygodniu. Za osiem dni.

Stojąc tak na korytarzu, Marta poczuła się szczęśliwa. I to z dwóch powodów. Cieszyła ją ogromnie perspektywa nowej pracy, ale jeszcze bardziej uradował ją widok Janusza. Odniosła wrażenie, że jest jej naprawdę życzliwy, i po raz kolejny uświadomiła sobie, że właśnie u boku takiego mężczyzny widziałyby się oczami wyobraźni w przyszłości. Wiedziała, że to nie -będzie Janusz, ale niechby miał chociaż kilka jego cech. Niech będzie nie mniej przystojny, niech uśmiecha się tak samo jak on i przede wszystkim, niech ma tyle serca do dzieci co -Janusz do Julki.

– Idziemy, Julka! – przestała wreszcie marzyć i zwróciła się do swojej podopiecznej. – Musimy jeszcze wstąpić do sklepu po coś na kolację.

– O, właśnie! – Janusz podchwycił temat. – Może dziś kolacja u mnie? Uczymy twój sukces. Co ty na to?

– Dziękuję, ale już zapowiedziała się Agata. Zapraszam więc do mnie.

Janusz zaproszenie przyjął, choć wolałby, aby kolacja odbyła się u niego, bo w ten sposób chociaż częściowo odwdzięczyłby się jej za opiekę nad Julką. No ale cóż...

Przygotowania szły dziewczynom całkiem sprawnie, choć w nastrojach były różnych. Julka kręciła się po całej kuchni jak żywe srebro i szczebiocąc, pomagała, jak potrafiła, a czasem trochę przeszkadzała. Marta z kolei pracowała w skupieniu, z bezwiednie zmarszczonym czołem, i chwilami zamyślała się tak bardzo, że nawet nie słyszała, co mała do niej mówi. Podnosiła wtedy na nią rozkojarzone spojrzenie, odpowiadała coś w pośpiechu i znów popadała w zadumę. Bała się dzisiejszego spotkania z Agatą. Był to irracjonalny strach, podskórny i paralizujący. Połączony z obawą, że ich mocna przyjaźń właśnie została wystawiona na próbę. Przez chwilę nawet żałowała, że dała się namówić na tę rozmowę kwalifikacyjną. Ale jednocześnie obok żalu czuła też odrobinę nieśmiałej radości. I tę radość właśnie miała sobie teraz za złe. Zrugwała się w myślach, że jest wredną, egoistyczną babą, bo kiedy przyjaciółce się nie powiodło, ona ma bardziej ochotę się cieszyć, niż z nią płakać. Przemknął jej też przez głowę pomysł, by może jednak nie przyjmując tej posady, wówczas byłaby *fair* wobec Agaty i przyjaźń trwałaby nienaruszona. Lecz na taki gest nie potrafiła się zdobyć. Aż tak wielkoduszna nie była. Zresztą jaki to miałyby sens? Chyba tylko taki, że na jej miejsce natychmiast wskoczyłby ktoś inny, ale na pewno nie Agata.

Pośród takich rozmyślań mijało jej popołudnie i nieuchronnie zbliżała się chwila, gdy będzie musiała spojrzeć przyjaciółce w oczy. Nie miało najmniejszego znaczenia, że Agata jest niewidoma, bo wszystkie pozostałe zmysły miała tak wyostrzone, że nic nie było w stanie umknąć jej uwadze.

Stół do kolacji nakryła w obszernej kuchni Kaczewskich i pootwierała okna na przestrzał, by wpuścić do środka przyjemne wieczorne lipcowe powietrze. Od kilku tygodni temperatury za dnia dochodziły do trzydziestu stopni, wiatru niemal nie było, a gęsta, duszna zawiesina przesycona żarem bijącym od nagrzanego asfaltu i betonu skutecznie utrudniała ludziom egzystencję. Dopiero wieczorami można było złapać oddech i poczuć lekki, przyjemny powiew.

Agata zjawiała się przed umówioną godziną. Otworzyła niezamkniętą na klucz furtkę i pomagając sobie laską, weszła po schodkach do domu. Tu także nic jej nie zatrzymało, drzwi były niedomknięte, jedynie ciekawski nos przyjaznej Bidy wcisnął się jej w dłoń, a psie cielsko na chwilę zatarasowało wejście.

– Marta, jesteś? – zakrzyknęła. – Czy już cię ukradli? – dopytała z uśmiechem. – Cześć, mała – przywitała się z Julką, którą bezbłędnie rozpoznała po drobnych dziecięcych kroczkach.

– Cześć – odpowiedziała rezolutnie dziewczynka. – Popatrz, jaki mam dziś fajny warkocz – pochwaliła się i sięgnawszy po dłoń Agaty, przytknęła ją do swoich włosów, by przyjaciółka Marty swoimi wrażliwymi palcami mogła ocenić wyjątkowość jej fryzury.

Julka, odkąd Marta któregoś razu przedstawiła jej Agatę, zaakceptowała dziewczynę taką, jaka była. Owszem, niemal od razu spytała z dziecięcą ciekawością, jak to jest nie widzieć, w jaki sposób odróżnia się wtedy kolory i dzień od nocy, z wielkim zainteresowaniem obmacała białą laskę, przespacerowała się z nią po domu, udając niewidomą, ale przez jej siedmioletni umysł nigdy nie przeszła myśl, że Agata jest jakaś inna. Agata to Agata. Jest fajna, i już.

– Mogę się do czegoś przydać? – Agata wyczuła, że w pobliżu jest już także jej przyjaciółka.

– Nie, już wszystko gotowe. Siadaj! – Marta mówiła obojętnym tonem, jakby starała się wyczuć nastrój drugiej strony. – Zaczekamy jeszcze na Janusza. Może masz ochotę na kawę?

Agata, przenikliwa jak zwykle, doskonale wiedziała, jakie obawy ma Marta. Zdawała sobie sprawę, że przyjaciółka jest rozdarta między zadowoleniem a dyskomfortem. Wiedziała też, że jeśli teraz nie zareaguje odpowiednio, to na ich przyjaźni może cieniem położyć się praca, której obie chciały, a dla jednej nie starczyło.

– Gratuluję ci! – Mówiąc to, sięgnęła do plecaka po butelkę wina i wręczyła ją Marcie. – Naprawdę szczerze ci gratuluję. I niczym się nie przejmuj. Bierz śmiało tę robotę i nie miej żadnych skrępułów. To nie ty jesteś winna mojego niepowodzenia, przecież wiesz.

Marcie troszkę ulżyło, bo w głosie przyjaciółki nie usłyszała nuty fałszu. Ale i tak było jej jakoś głupio, że jednocześnie będą zaraz opijać i sukces, i porażkę. Wyobrażała sobie, że Agata musi się czuć okropnie.

Rzeczywiście Agacie nie było łatwo, miała w sobie wiele żalu, ale przywykła już do tego, że co innym przychodzi z łatwością, ona musi wywalczyć.

Janusz dotarł z kilkuminutowym opóźnieniem, dzierżąc butelkę wina w dłoni i bukiet kolorowych mieczyków. Również pogratulował Marcie nowej pracy, życzył powodzenia i podziękował za opiekę nad Julką. Gdy mówił to wszystko, po jego czole spływały małe kropelki wody, bo nie zdążył wysuszyć włosów po prysznicu. Marta przyglądała mu się z wyraźną rozkoszą, a kiedy zbliżył się do niej, by musnąć w podziękowaniu jej policzek, serce wyrwało jej się z piersi i z łomotem podskoczyło do gardła. To było tak przyjemne, że na moment zapomniała o Agacie i Julce, a nawet o całym świecie. Szybko jednak się otrząsnęła i usiłowała powrócić do równowagi, chociaż gdy zmieszana zaprosiła gości do stołu, policzki płonęły jej rumieńcem.

Wieczór upływał w bardzo miłej atmosferze. Marta rozluźniła się nieco pod wpływem wina i zachowania Agaty, która naprawdę nie była na nią zła. Julka hasała po ogrodzie z Bidą, a Janusz przyglądał się z zadowoleniem wszystkim paniom i sącząc piwo, zastanawiał się, dlaczego nigdy przy Dorocie nie jest tak odprężony i swobodny. Dziwiło go nawet, że tak świetnie się czuje w towarzystwie dopiero niedawno poznanych osób, sądził bowiem, że na coś takiego trzeba pracować latami. Ale, jak widać, nie o czas tu chodzi, tylko o ludzi, z którymi się go spędza.

Obserwując obie dziewczyny, po męsku oszacowywał ich urodę. Stwierdził, że Agata ma bardzo regularne rysy twarzy, co z pewnością podoba się facetom. Marta z kolei miała w sobie powiew świeżości, wiecznie rozwichrzoną czuprynę, która dodawała jej dziewczęcego uroku, roziskrzona skośne oczy i figlarne dołeczki w policzkach. To wszystko też się mogło podobać facetom. Jemu się podobało. Przyznać jednak musiał, że najbardziej interesowała go wciąż Dorota. Lubił jej zawsze staranny i nienaganny mocny makijaż, ciemne proste włosy, nawet sztywność jej postawy go pociągała. Może gdyby tylko miała trochę więcej serca i czasu dla dziecka, tyle właśnie co Marta, wtedy byłoby naprawdę idealnie. O sobie jakoś w tym wszystkim nie pomyślał, skupił się na Julce

i zupełnie nie dostrzegł, że dla siebie pragnął właściwie tego samego: więcej czasu i uwagi Doroty. Poza tym wszystko było w porządku. Po ślubie Dorota zapewne trochę zmieni tryb życia i więcej czasu poświęci rodzinie. Tak właśnie myślał, choć sam nie wiedział, skąd miał takie przekonanie.

Po dwudziestej drugiej Julka padła wyczerpana w jednym z pokoiów na górze, Bida razem z nią, a przy stole w kuchni wciąż lało się wino dla kobiet i piwo dla Janusza.

– Rozmawiałem dziś z moim ojcem i ustaliliśmy, że na tydzień lub dwa odwiozę Julkę do niego. Czyli pojutrze jedziemy do Janowca, więc jeśli masz ochotę odwiedzić rodziców, możesz się z nami zabrać – zwrócił się do Marty.

Upiwszy trochę wina, zamyśliła się na moment, po czym odpowiedziała:

– Bardzo chętnie, tylko jutro muszę zajrzeć do Atrium, złożyć wypowiedzenie i jeżeli to załatwię, to jadę z wami. Jak długo tam będziecie?

– Dwa, góra trzy dni – odparł. – Mam dużo pracy, Mateusz jest we Lwowie, a ja muszę ogarniać wszystko tu, na miejscu.

– Dobra, to jutro dam ci znać, czy wybiorę się z wami.

Pomysł wyjazdu Marta uznała za bardzo dobry. Dawno nie była u rodziców, a krótki odpoczynek przed nową pracą na pewno jej się przyda.

Pora była już całkiem późna, jedzenia i wina ubywało, nikomu jednak nie chciało się kończyć tego przyjemnego wieczoru. Siedzieli więc dalej, dolewając sobie do kieliszków i rozmawiając o wszystkim. O nowej pracy Marty także. Dziewczyny opowiedziały Januszowi, jak wyglądała rekrutacja, wspomniały też, w jaki sposób potraktowano Agatę.

– Marta, masz jakąś oliwkę do ciała? – spytała nagle Agata.

– No mam, ale po co ci ona?

– Przynieś, zobaczysz.

Marta, nic nie rozumiejąc, podniosła się z krzesła i poszła do łazienki po oliwkę. Janusz czekał w skupieniu.

– Wstawaj – rozkazała mu Agata. Była lekko wstawiona, ale nie na tyle, by nie wiedzieć, co robi.

– Po co? – zdziwił się Janusz.

– Powiesz mi szczerze, co sądzisz o moich umiejętnościach. Ale naprawdę szczerze – odeszła od stołu, zdjęła koszulę i została w cienkim topie. Energicznym ruchem skręciła włosy i wsunęła je pod ramiączko biustonosza, tak by jej nie przeszkadzały. Nieco chwiejnym krokiem podeszła do zlewu, umyła dłonie, po omacku sięgnęła po ścierkę i wytarła je. W tym momencie weszła do kuchni Marta.

– Do salonu – zakomenderowała Agata.

Janusz spojrział z niepokojem na Martę, ale ona już wiedziała, co zamierza przyjaciółka. Kiwnęła mu głową i się uśmiechnęła. Agata chciała komuś pokazać, co potrafi, żeby nie stracić pewności co do swoich umiejętności. Oczekiwała od Janusza potwierdzenia własnych kwalifikacji i tym na razie będzie musiała się zadowolić. Po prostu potrzebowała usłyszeć, że jest dobra w swoim fachu. Marta mogłaby ją o tym zapewniać w nieskończoność, ale słowa uznania od kogoś obcego będą dla niej bardziej wiarygodne.

Bilski miał drobne opory, lecz wobec nieustępliwości Agaty skapitulował. Śmiało podeszła do niego, położyła mu ręce na ramionach i sprawdziła, w co jest ubrany. Dotknęła jego koszuli, potem opuściła ręce niżej i namacała dżinsy.

– Rozepnij guzik w spodniach – mówiąc to, już rozpinęła mu koszulę, a po chwili ściągnęła ją z niego. Stał osłupiały i zdezorientowany. Także trochę wystraszony.

– Żartujesz... – wydukał.

– Ani trochę – odpowiedziała. – Rozpinaj i kładź się na kanapie.

Spojrzał na Martę w poszukiwaniu ratunku, ale zobaczył jedynie pełen uśmiech na jej ustach i zaczepny chochlik w oczach.

– Nie marudź. Nie będziesz żałował, przekonasz się – zapewniła go.

Agata lekko popchnęła go przed siebie. Zrobił krok do przodu, jeszcze raz zerknął na Martę i wreszcie niepewnie ruszył do kanapy. Usiadł na brzegu i czekał. Był bardzo spięty i najchętniej by się stąd zmył, ogarnął go jednak wstyd, że ma chęć uciekać jak tchórz.

Agata tymczasem stanęła obok niego i ciepłymi dłońmi dotknęła jego karku. Mięśnie miał twarde jak stal, a serce tak mu się tłukło, że słyszała jego przyśpieszone bicie. Delikatnie, bez pośpiechu, wędrowała po jego szyi, łopatkach i ramionach. Przesuwała palcami po skórze, uciskała, rozmasowywała i cierpliwie czekała na rozluźnienie. Po chwili rzeczywiście się odprężył, przymknął oczy i czekał na ciąg dalszy.

– Połóż się – polecenie było tak stanowcze, że nawet się nie zastanawiał, co ma robić.

Położył się posłusznie i znowu czekał. Agata wyciągnęła rękę po oliwkę. Marta natychmiast podała ją przyjaciółce i w skupieniu przyglądała się rozgrywającej się przed nią scenie. Agata wymacała kolaniem mniej więcej połowę długości kanapy i podniosła nogę, zamierzając usiąść Januszowi na biodrach.

– Na brzuch! – krzyknęła i zerwała się jak oparzona, kiedy się zorientowała, że siedzi raczej na jego genitaliach niż na po-śladkach.

Przestraszony Janusz wykonał polecenie, a Marta z trudem stłumiła śmiech. Dla pewności, że tym razem wszystko jest, jak być powinno, Agata wyciągnęła przed siebie dłoń i natknęła się na podłużny rowek wzdłuż pleców. Teraz mogła już usiąść. Objęła jego biodra kolanami i pochyliła się w stronę karku.

Oczywiście gdyby był jej klientem w salonie masażu, nigdy nie usiadłaby na nim, ale tutaj nie miała wyjścia, ponieważ kanapa była niska i umożliwiała dostęp do niego tylko z jednej strony. Będąc w takiej pozycji, mogła masować mu plecy zarówno z lewej, jak i z prawej strony.

Jej ruchy były precyzyjne, mocne, zdecydowane i przynosiły Januszowi niemałą ulgę i przyjemność. Każdy jej dotyk był wielokrotnie przećwiczony, perfekcyjny. Zabieg trwał kwadrans. W tym czasie Marta zachłannie przyglądała się masażowi i zazdrościła Agacie tak bliskiego kontaktu z Januszem. By nie dopuszczać do siebie żadnych niedorzecznych mrzonek, wzięła się do sprzątanania ze stołu. Ale ukradkiem i tak zerkała za siebie.

– No i jak? – spytała zasapana Agata. – Skorzystałbyś z moich usług ponownie?

– Tylko z twoich – Janusz wydyszał z przekonaniem z twarzą wciśniętą w kanapę.

Agata wiedziała, że nie kłamał, i poczuła wielką satysfakcję.

– To na koniec coś jeszcze. Trzymaj się, bo tego nie zaznasz w salonie u Marty.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Agata wyjęła schowane pod topem włosy i pozwoliła im swobodnie opaść na ramiona. Zsunęła się nieco niżej, na uda Janusza, szybkim zdecydowanym ruchem chwyciła jego spodnie, które dzięki rozpiętemu guzikowi ześlizgnęły się o trzy czy cztery centymetry. W ten sposób uzyskała dostęp do dolnej partii jego pleców, tuż nad pośladkami, i zanim on zdążył zaproponować, pochyliła się nad nim i znów delikatnie dotknęła jego mięśni palcami. Włosy czule muskały mu skórę i zwielokrotniały doznania. Janusz był w siódmym niebie. Co chwilę przez krzyż przebiegały mu ciarki i dreszcze; w ostatniej chwili się powstrzymał, by z rozkoszą nie westchnąć.

Marta dopijała resztkę wina i od czasu do czasu zaglądała do salonu.

„Panie Boże, jeśli gdzieś po świecie chodzi drugi taki Janusz, błagam, zatrzymaj go dla mnie” – pomyślała.

Agata podniosła się i stanęła przy kanapie, czekając na reakcję Janusza. Pot spływał jej strużką po czole, a oddech miała przyśpieszony.

– Nigdy nie byłem u masażysty. Wszyscy są tacy?

– Nie – odpowiedziała mu Marta. – Ona jest najlepsza.

Agata czuła się dowartościowana. Miała pewność, że Janusz jest pod dużym wrażeniem jej umiejętności. I tyle musiało jej na razie wystarczyć, nic więcej nie mogła zrobić, nikogo do siebie przekonać. Pozostawało jej czekać, aż znów dostrzeże jakąś szansę i spróbuje ją wykorzystać. Najważniejsze to się nie poddawać.

– Ty też jesteś taka dobra? – spytał szeptem Janusz, kiedy wychodził od Marty ze śpiącą Julką w ramionach.

– Agata jest lepsza – odpowiedziała. – Ale i ja umiem niemało.

– Z chęcią sprawdzę. – Puścił do niej oko i podziękował za bardzo miły wieczór. – Będę reklamował ten twój salon i jego usługi.

Rozdział 7

Wizyta w Janowcu przedłużała się Antoniemu Bilskiemu ponad zaplanowany czas. Zamierzał spędzić w nim tylko kilka dni, tymczasem mijał już trzeci tydzień, a on wciąż jeszcze nie postanowił, kiedy wróci do Warszawy. Przez pierwsze dni nie wychodził daleko poza dom, przewietrzył go porządnie, wysprzątał, wyszperaną w starej szopie kosą przyszytył wybujałą trawę na podwórzu i wokół domostwa, zrobił rekonesans szkód, które powstały od jego ostatniej wizyty. Obecny obraz rodzinnej siedziby był przytłaczający. Dom i budynki gospodarcze coraz bardziej chyliły się ku ziemi, ich los zdawał się przypieczętowany. Antoni miał przed oczami niemal ruinę, na widok której serce ścisnęło mu się z żalu. Ot, co pozostaje po ludziach – skorupy ich doczesnego bytowania i ziejąca pustką ziemia. Ta ziemia, która przed laty tętniła życiem, była bezpieczną przystanią i dawała pewność, że zawsze będzie tu na człowieka czekać.

Przykro było na to wszystko patrzeć, dlatego Antoni zakasał rękawy i starał się doprowadzić obejście jako tako do porządku. Jednak tu potrzebne były albo ogromne nakłady na ratowanie tego, co jeszcze pozostało, albo ostateczna decyzja o rozbiórce.

W ciągu tygodnia wokół obejścia zrobiło się przede wszystkim czysto. I samo to już wystarczyło, że milej patrzyło się na ten niewielki domek. W drugim tygodniu Antoni wytknął wreszcie nos poza Janowiec i przejechał się do Kazimierza. Miasteczko tętniło życiem, jak zwykle latem zalewane przez turystów, a we wtorki, czyli w dzień targowy, również przez miejscowych. I właśnie we wtorek Antoni wybrał się na spacer znajomymi ulicami. Plac wokół studni zastawiony był samochodami, parasolami i stołami, na których oferowano szeroki asortyment towarów. Były garnki emaliowane, ostrzałki do noży, kasze i soczewica pakowane po pół kilograma w pończochy, dziecięce wiatraczki, słomiane kapelusze, słowem: czego dusza zapragnie. Bilski wybrał sobie solidną miotłę, czajnik z gwizdkiem, uzupełnił też braki w artykułach spożywczych i obładowany zakupami wrócił do Janowca.

Wieczorem, kiedy upał trochę zelżał, wyszedł przed dom, usiadł na poszarzałej od starości ławeczce i zatopił się w rozmyślaniach. Ciszę parnego wieczoru zaczęły zaburzać krzyki jaskółek. Ptaki, które spędzały gorący dzień ukryte w gniazdach, teraz w szalonym pędzie kręciły kółka, polując na owady. Antoni podniósł w zaciekawieniu głowę, przyjrzał się zwinnym akrobacom i znów popadł w zadumę.

Przesiedział tak ze dwie godziny: odpoczywał, wsłuchiwał się w przestrzeń i w siebie, po czym sięgnął do kieszeni po telefon i zadzwonił do żony. Gdy usłyszał w słuchawce jej oficjalne „halo”, przez chwilę stracił ochotę na rozmowę. Nie rozłączył się jednak. Spytał, co w Warszawie, co porabia, czy wszystko u niej w porządku. Na każde z pytań odpowiadała grzecznie, ale zdawkowo, nie było w jej głosie niczego, co by wskazywało, że się cieszy, słysząc męża. Cała Krystyna. Pozbawiona emocji, wycofana, oziębła i niezainteresowana tym, co u niego. Nie spytała, co robi, jak mu się tam mieszka, ani też kiedy wraca do domu. Właściwie wcale go to nie zdziwiło. Krystyna była po prostu sobą.

– A może byś do mnie na weekend przyjechała? W niedzielę razem wrócimy do

Warszawy? – zaproponował w nadziei, że żona skorzysta z jego zaproszenia.

– O, nie, dziękuję – wycedziła powoli, aby na pewno ją zrozumiał. – Nie zamierzam nocować w brudzie i smrodzie.

Dotknęła go tym, lecz powstrzymał się od komentarza. Mruk-nął coś tylko na pożegnanie i zakończył rozmowę. Następnie westchnąwszy ciężko, oparł głowę o nagrzaną za dnia ścianę domu. Tak właśnie czuł się ostatnimi czasy: jakby dobrnął w swoim życiu pod jakiś mur. Dopóki zdrowie mu dopisywało, nie zastanawiał się wiele nad sobą. Żył pracą, dni mijały, przechodziły w miesiące, a te w lata, aż wreszcie organizm zawołał o wytchnienie. Antoni nękany dużymi wahaniami ciśnienia, niemiarowym rytmem serca przystopował nieco, odwiedził lekarzy i zastanowił się nad sobą. Wrócił pamięcią do szczenięcych lat, gdy beztriosko biegał po janowieckich łąkach, zakochiwał się co tydzień i co tydzień był kim innym w swych marzeniach: policjantem, strażakiem, a raz nawet księdzem. Kim jest dzisiaj, do czego doszedł, co go w życiu ominęło? Takie pytania zadawał sobie, kiedy w panice próbował uspokoić własne serce. Niczego nie żałował, tego jednego był absolutnie pewien, ale kiedy uświadomił sobie, że rozgrywa już drugą połowę swego meczu, pomyślał, że być może czas najwyższy zmienić taktykę. I wtedy więcej uwagi poświęcił żonie i synowi. Tych dwoje stanowiło cały jego świat, to dla nich pracował i żył. Dumny był z Janusza, cieszył się jego szczęściem, kochał wnuczkę i nie wyobrażał sobie, że mogłoby jej nie być. Co do żony, coraz częściej dostrzegał, że łączy ich wieloletnie przyzwyczajenie. Z pewnością nie można tego nazwać miłością. Był niemal pewien, że Krystyna go nie kocha. Powątpiewał nawet, czy kocha syna. Bo że nie kocha Julki, to widział jak na dłoni. Jeśli jego żona ma jakieś uczucia, to skrywa je naprawdę głęboko, a jedyne, na co ją stać, to niechęć do męża, oschłość dla syna, co najwyżej tolerowanie wnuczki i ignorowanie przyszłej synowej.

Jak u każdego człowieka, również w jej przypadku cechy charakteru wyostrzały się wraz z wiekiem. Młodzieńcza stanowczość i upór przerodziły się z czasem w zajadłość, lekceważenie innych przeszło w arogancję, skłonność do mówienia bez ogródek, co myśli, zamieniło się w zwykłą złośliwość, a skrywana do czasu dwulicowość teraz objawiała się hipokryzją.

Antoni miał coraz mniej cierpliwości do żony, aż wreszcie zdezerterował na głuchą wieś, by trochę odpocząć i przemyśleć to i owo. Co lepsze: trwać w przyzwyczajeniu czy poszukać swojego miejsca na ziemi? Może jednak na starość niczego nie należy zmieniać? Sam nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Dręczące go egzystencjalne pytania ustąpiły nieco, gdy częściej zaczął wychodzić do ludzi. Najpierw wybrał się na spacer pod ruiny zamku Firlejów w Janowcu, gdzie z zaciekawieniem przyglądał się zarówno murom, jak i turystom. W następnych dniach zszedł nad Wisłę, gdzie przybijają statki z Kazimierza, wsiadł na jeden z nich i przeprowił się na drugi brzeg, przy kazimierskiej promenadzie. Poziom wody był coraz niższy, ale rzeka wciąż jeszcze była spławna.

Wszedł w ulicę Nadwiślańską, potem odbił w Tyszkiewicza. Szedł właściwie bez celu, rozglądając się wokół, jakby w poszukiwaniu dawnych cieni. Całe to miasto było kiedyś jego życiem, tu miał przyjaciół, znajomych, tu są jego korzenie. Rozmyślając tak, nagle zawrócił w Podzamcze. Przyśpieszył kroku i wreszcie dotarł do Lubelskiej. Jeszcze

tylko chwilka i znalazł się przed kościołem farnym. Włożył ręce do kieszeni i stał tak, zdając się zastanawiać nad dalszą drogą. Jeśli obejdzie kościół i pójdzie w prawo ulicą Zamkową, dotrze do zamku i baszty. Jeśli zaś skręci przy kościele w lewo, w Puławską, będzie się piął wciąż w górę, mijając szeregi ciasno ustawionych urokliwych starych domków kuszących turystów tabliczkami „wolne pokoje”. Przed wielu laty była to jedna z jego ulubionych uliczek, cel młodzieńczych wędrówek.

Postanowił zaryzykować i ruszył w lewo. Choćby chciał przyśpieszyć kroku, to nie mógł, bo strome podejście stanowiło spore wyzwanie dla jego mocno skołatanego serca. Szedł więc powoli, noga za nogą, posapując troszeczkę, przystając i rozglądając się na boki.

„Spacer sentymentalny” – pomyślał i uśmiechnął się do siebie.

Kiedy pokonał już prawie połowę ulicy, zatrzymał się i spojrzał w lewo, gdzie rozciągał się piękny widok na Wisłę. Nic go tu nie przysłańało: dołem widać wstęga ulicy, a równolegle do niej płynęły spokojne wody rzeki. Gdy zwrócił wzrok w prawo, zobaczył wrośnięty w zbocze Góry Zamkowej piętrowy dom z kamienia, jakich wiele przy tej ulicy. Ten jednak był dla niego szczególny. Na pozór nie wyróżniał się niczym, stara furтка i brama, stare mury, małe podwórko, mnóstwo krzewów i drzew rosnących za nim. Podobny widok można było ujrzeć przy innych budynkach na Puławskiej. Ale to był dom rodzinny Grażyny Barańczakówny. Chyba nigdzie indziej nie przyjmowano go tak serdecznie, częstując plackami pieczonymi na płycie kaflowej kuchni oraz kubkiem zbożowej kawy. Pamiętał, jakby to było wczoraj, a to już ponad czterdzieści lat minęło.

Dom był taki sam jak w jego pamięci, ale jakie są szanse, że w środku krząta się właśnie Grażynka? Zapewne nikłe, bo przecież wyjechała do Francji studiować malarstwo i wyszła tam za męża.

„Prędzej spotkałbym ją nad Loarą niż nad Wisłą” – pomyślał Antoni i ruszył w drogę powrotną.

Tymczasem w domu rzeczywiście krzątała się kobieta. Chodziła z konewką od okna do okna, podlewając kwiaty, a kiedy znalazła się na piętrze, żaden płot ani krzew nie zasłaniał jej widoku na ulicę. Odsunęła lekko firankę, wlała wodę do doniczki i odruchowo spojrzała w dół. Na brukowanej ulicy stał mężczyzna wpatrzony w Wisłę. Akurat gdy odeszła krok od okna, on spojrzał na dom, a jej wydało się, że przygląda mu się zbyt długo jak na przypadkowego turystę. Obserwowała go zza firanki i zastanawiała się, kto to taki. Chodziło wtedy wielu ludzi, prawie sami obcy, turyści; nigdy dotąd nie zadawała sobie pytania, kim są. Dziś jednak nie mogła oderwać wzroku od tego człowieka. Im dłużej się w niego wpatrywała, tym bardziej nabierała przekonania, że go zna. Jeszcze nie wiedziała skąd, ale jej umysł już pracował na najwyższych obrotach, szukał w zakamarkach pamięci, by wreszcie wysłać jej jasny sygnał, dać znak i nadzieję.

– Antek? – szepnęła do siebie z niedowierzaniem.

Natychmiast odstawiała konewkę, zeszła po schodach, wyszła na dwór, szybko przecięła podwórze i niemal wybiegła na ulicę, ale nikogo już na niej nie było. Może gdyby ruszyła w dół, miałyby szansę się przekonać, czy wzrok jej nie zwiódł, czy dobrze rozpoznała znajomego sprzed lat. Nie zrobiła tego jednak, tylko zawróciła do domu, coraz bardziej pewna, że musiała się pomylić.

Dwa dni później Antoni znów wybrał się do Kazimierza. Po nic, bez celu, chyba tylko po to, by czymkolwiek wypełnić czas. Przespacerował się po rynku, ale z powodu natłoku turystów szybko stamtąd uciekł i wdrapał się mozolnie na Górę Trzech Krzyży. Ale i tam nie brakowało wycieczkowiczów. Zrozumiał, że w Kazimierzu o tej porze roku wszędzie są ludzie. Począł, aż jedyna ławeczka na szczycie trochę się zwolni, przysiadł na jej brzegu i spróbował zapomnieć o dobiegającym zewsząd gwarze. Przyglądał się dachom urokliwych kamieniczek, podziwiał wijącą się dołem Wisłę i jej wciąż ubywające wody, które odsłaniały coraz większe łachy piasku. Miasteczko było piękne – kolorowe w samym centrum, porośnięte bujną zielenią na wzgórzach dookoła, zwieńczone błękitną wstęgą wody.

„Obrazek idealny” – pomyślał i przyłożył dłonie do oka w taki sposób, jak kiedyś podczas zabaw w fotografa, jakby kadrował i zamykał to miasto w ramach. Mglisto przypominał sobie, że to chyba Przyboś powiedział o Kazimierzu, że już tyle razy go przemalowywali, iż jest nie do rozpoznania bez ramek.

Ludzie wchodzili i schodzili, a Antoni wciąż siedział na Górze Trzech Krzyży. Zamyślił się tak głęboko, że przestała docierać do niego wrzawa i wszelkie dźwięki. Dopiero gdy upał dopiekł mu już nieznośnie, podniósł się z ławeczki i powoli ruszył w dół.

Zmierzał w kierunku parkingu, na którym zostawił samochód. Po drodze rozglądał się po stoiskach z pamiątkami wystawionych na ulicach i patrzył na sklepowe wystawy. Wszędzie kicz i tandeta przeplatały się z prawdziwą sztuką. Obok wypalanych ceramicznych naczyń stały na półkach chińskie kubki, przy tanich reprodukcjach o uwagę przechodniów walczyły olejne obrazy miejscowych artystów. Wszedł do jednego z takich pamiątkarskich sklepików, bo w oknie zobaczył coś, co od razu zwróciło jego uwagę. Niewielki pejzaż malowany akwarelami. W środku było ich więcej. Obrazki stały na półkach i wisiały na ścianach, w różnych formatach, przeważały A4. Prawie każdy przedstawiał Kazimierz, jego uliczki i zabytki. Antoni podszedł bliżej i wnikliwie je oglądał. Nie znał się na sztuce, ale do tych akwareli przyciągnęły go wspomnienia sprzed lat. Pamiętał, jak pięknie podobne widoczki malowała właśnie Grażyna. Wszystkie pejzaże były zachwycające i nie sposób było się na któryś zdecydować. Każdy był sygnowany podpisem umieszczonym w prawym dolnym rogu. Przyjrzał się dokładnie największemu, na którym podpis był najwyraźniejszy i odczytał: „G. Fleuri, 2015”. Nic mu to nie mówiło, ale ta akwarelka wydała mu się najładniejsza, zdecydował się więc na nią. Krajobraz Kazimierza okolony był szerokim *-passe-partout* w kolorze kawy. Antoni zapłacił, jednak zamiast wyjść z galerii, jeszcze raz podszedł pod ścianę z akwarelami i znów się w nie zapatrzył.

– Podobają ci się? – usłyszał kobiecy głos i odwrócił się gwałtownie.

W drzwiach stała szczupła kobieta, na oko jego równolatka, ubrana w długą zwiewną spódnicę, biały T-shirt i sandały z mnóstwem odbijających światło cekinów czy jakichś kryształków. Na głowie miała kolorową chustę zawiązaną w coś na kształt turbanu, a pod pachą trzymała dużą teczkę.

Antoni zaniemówił na jej widok i odezwał się dopiero po chwili, nie mając cienia wątpliwości, że to ona.

– Grażyna?

Wystawiała w tej galerii na sprzedaż swoje prace i właśnie przyniosła kolejną ich partię. To, że się spotkali, było czystym przypadkiem i Antoni aż do tej chwili nie miał pojęcia, że nabył jej obraz. Domyślił się tego, kiedy dostrzegł teczkę, którą trzymała.

– To jesteś ty? – wskazał na podpis w rogu akwareli.

– *Oui, monsieur.* – Położyła teczkę na ladzie i podeszła, by uściskać go serdecznie. – Masz trochę czasu?

– Nawet gdybym nie miał, to i tak cię teraz nie wypuszczę – uśmiechnął się do niej. – Musisz mi streścić ostatnie czterdzieści lat życia.

– Ja też chętnie posłucham o twoich czterech dziesięcioleciach, ale daj mi jeszcze chwilkę.

Zabawiła w galerii kilka minut, oddała nowe prace na sprzedaż, odebrała wynagrodzenie za dotychczas sprzedane i była wolna. Zaprosiła Antoniego do siebie na obiad, na co chętnie przystał.

W domu nic nie było takie, jak zapamiętał z dawnych lat. Przeprowadzono generalny remont, po piecach kaflowych i kuchni węglowej nie pozostał nawet ślad, schody zrobiono zupełnie nowe, okna wymieniono, cały dom umeblowano na nowo. W pokojach królowały prace Grażyny, niektóre wisiały na ścianach, inne leżały na komodach, a jeszcze inne poprzypinane były do sztalug.

Jedynie obiad był jak kiedyś. Ze względu na doskwierający upał zjedli gotowane ziemniaki podane z chłodnym zsiadłym mlekiem. Przez cały czas opowiadali sobie nawzajem, jak potoczyły się ich losy. Siedzieli naprzeciwko siebie przy stole w kuchni i rozmawiali swobodnie, jak dwoje dobrze sobie znanych ludzi.

– Kiedy wróciłeś do Polski? – zapytał.

– Siedemnaście lat temu – odpowiedziała.

– Dlaczego? Zawsze mi się wydawało, że każde miejsce jest lepsze od Polski.

– Bo nic mnie tam już nie trzymało – odparła z pewną nostalgią w głosie.

Spojrzał na nią uważnie i podniósł brwi do góry. Czekał cierpliwie, aż zechce rozwinąć swą myśl.

– Dziewiętnaście lat temu zmarł mój mąż. Jeszcze przez dwa lata próbowałam tam jakoś żyć, ale coraz trudniej wiązałam koniec z końcem. Wiesz, by swobodnie uprawiać wolny zawód, trzeba mieć szczęście albo dodatkowe źródło dochodów. Moje źródło wyschło wraz ze śmiercią Fabiena. No i wreszcie się zdecydowałam i wróciłam do rodziców.

– I z nikim się już nie związałaś?

– Owszem, ale zwykle raczej na krótko. Jakoś nigdy nic z tego nie wychodziło. – Zamyśliła się na moment. – A ty? Dlaczego jesteś tu sam?

– Zrobiłem sobie krótki urlop. Żona została w Warszawie, nigdy nie lubiła jeździć do Janowca. Ale lada dzień przyjedzie syn i podrzuci mi wnuczkę pod opiekę.

– Ile masz dzieci?

– Tylko Janusza. A ty?

– Ja nie miałam dzieci. Dawniej liczyła się tylko praca, a teraz mogę jedynie tego żałować. Jestem sama jak palec i wcale nie jest mi z tym dobrze. Jak długo zamierzasz tu

zostać? – zmieniała temat.

– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Im dłużej tu siedzę, tym mniej myślę o Warszawie.

– Kiedy tylko zechcesz, zawsze możesz do mnie wpaść. Będzie mi bardzo miło – zapewniła.

Dokończyli jedzenie w milczeniu. Grażyna podniosła się zza stołu i zabrała się do sprzątanania. Antoni podawał jej naczynia do zmywania, a potem odbierał je od niej i wycierał. Grażyna zrobiła kawę. Usiedli z nią na dworze, pod parasolem.

– Dlaczego nam nie wyszło? – zapytał po długim milczeniu. – Dlaczego myśmy się rozstali?

– Mówisz o tym naszym chodzeniu ze sobą? – uśmiechnęła się do wspomnień. – Najwyraźniej to nie było nic trwałego.

– No wiesz, mów za siebie – udał oburzonego. – Ja cię wtedy kochałem na śmierć i życie.

– Ja ciebie też – odpowiedziała z uśmiechem. – Ale najwyraźniej nie wystarczy kochać.

Dopili kawę, wymienili się numerami telefonów, po czym Antoni się pożegnał, obiecując, że będą utrzymywali kontakt.

Wracając do Janowca, myślał tylko o Grażynie. Próbował przypominać sobie kadry sprzed wielu lat, lecz czas i niedoskonała pamięć skutecznie zatarły ich ostrość. Chaotyczne obrazy migwały mu przed oczami, nie potrafił dostrzec koloru jej włosów, nie pamiętał dotyku jej palców, nie znał już zapachu jej skóry, mimo to wiedział, że to właśnie z Grażyną, a nie z Krystyną, kojarzą mu się najpiękniejsze chwile. Nie bez powodu zapytał ją dzisiaj, dlaczego się rozstali. Naprawdę nie pamiętał, co dokładnie między nimi zaszło. Nie było żadnej spektakularnej kłótni ani zdrady, dlaczego zatem? Czyżby po prostu zabrakło im chęci na budowanie trwałego związku? A może byli zbyt ciekawi świata, wyruszyli go odkrywać i nigdy nie wrócili?

Jeszcze długo dumał nad sobą i Grażyną, lecz nie doszedł do żadnej konkluzji.

– Tatusiu, ja nie chcę jechać do dziadka. – Julka siedziała na tylnej kanapie zapięta w foteliku i marudziła.

– No niemożliwe – zgryźliwie odpowiedział Janusz, spoglądając we wsteczne lustro. – Do ukochanego dziadka nie chcesz?

– Do dziadka to bym i chciała – odparła nadąsana. – Ale żebyś ty tam został i żeby mama też była.

– Czy księżniczka ma jeszcze jakieś życzenia?

– Nie, to wszystko – naburmuszyła się jeszcze bardziej.

– Skarbie – teraz Janusz mówił już poważnie – wiesz przecież, że na razie nie mamy innego wyjścia. Ja muszę chodzić do pracy i mama także. Marta też zaraz zaczyna pracę i nie będzie już mogła się tobą zajmować. Na kilka dni zostaniesz u dziadka i jestem pewny, że nie będziecie się nudzić. A potem mama będzie brała mniej zleceń i zostanie z tobą do końca wakacji.

Najspokojniej jak potrafił tłumaczył córce, dlaczego ją wywozi, ale czuł się przy tym paskudnie. Naprawdę wierzył, że Dorota niedługo skończy wreszcie z tą harówką

i zajmie się Julką oraz przygotowaniem do ślubu. Wczoraj solennie mu to obiecała i kurczowo trzymała się tej wersji.

– No ale co ja tam będę robić? – Julka nie odpuszczała.

– Jak to co? – Do rozmowy włączyła się Marta. – Kazimierz jest piękny, będziesz go zwiedzać. Zobacysz, spodoba ci się.

– A jak ładnie dziadka zbajerujesz – dopowiedział Janusz, bo znał umiejętności córki – to zabierze cię do Magicznych Ogrodów.

– A co to takiego? – zainteresowała się Julka.

– Zobacysz – odparł tajemniczo Janusz.

Julka dała się wreszcie udobruchać. Zanim dojechali do Otwocka, była już w całkiem dobrym nastroju.

Janusz spoglądał co pewien czas w lusterko, w którym widział nie tylko radosną twarz córki, ale i długą psią kufę z wywalonym długim jęzorem, co uznawał także za wyraz zadowolenia. Iście wakacyjny obrazek rodziny wybierającej się na urlop. Tylko miejsce obok niego zajmowała nie ta kobieta, która ten obrazek powinna dopełniać. Od czasu do czasu zerkał na Martę, obserwował jej profil oraz jeden dołeczek w policzku i nie mógł zrozumieć, dlaczego Dorota nie może siedzieć tu zamiast niej. Było mu przykro, bo czuł wyraźnie, że zajmuje drugie miejsce w jej życiu. Na pierwszym zawsze była praca i na razie nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek miało być inaczej. Jeszcze jakiś czas temu wierzył, że ślub przyniesie dobre zmiany, ale teraz już sam w to wątpił. Dorota chyba nie chce niczego zmieniać, tak więc wszystko będzie jak dotąd. Może dotrwają w ten sposób do emerytury i wtedy sobie wszystko odbiją.

Pocieszył się nieco tą myślą, co poprawiło mu humor na tyle, że z nieco innej perspektywy pomyślał o Marcie. Przyszło mu do głowy, że kiedyś jakiś mężczyzna będzie bardzo szczęśliwy, że ma ją u swego boku. Jest ładna, ambitna, ma świetny kontakt z dziećmi, no i, co najważniejsze, często bywa w domu i ma czas dla bliskich. Nie pierwszy raz dostrzegał jej zalety, ale jak dotąd nigdy nie pomyślał o nich w takim kontekście. Nie przyszło mu nawet do głowy, że ona mogłaby być ładna dla niego. Że dla kogoś innego, owszem, ale że dla niego?

Marta zaś coraz częściej zazdrościła Dorocie, bo sama chciałaby znaleźć właśnie takiego mężczyznę jak Janusz. Pragnęła, by ktoś opiekował się nią jak on Julką i kochał ją tak jak on Dorotę. Takiego życia chciała dla siebie, teraz była już tego pewna. Jeszcze dwa miesiące wcześniej, w maju, kiedy stała obok Rafała, nie była pewna niczego, nie miała żadnej wizji swojej przyszłości. Teraz wiedziała już dokładnie, do czego będzie dążyć. Postanowiła, że postara się znaleźć sobie mężczyznę, w którego towarzystwie poczuje się równie bezpiecznie jak przy Januszu.

– Powiedz mi, jak dojechać pod twój dom – odezwał się, kiedy już znaleźli się w Kazimierzu.

Marta poprowadziła go przez całe miasteczko, aż do ulicy Słonecznej, gdzie prawie na samym końcu stał niemal stuletni dom wymagający od dawna remontu. Zatrzymał samochód przed drewnianą bramą i wysiadł razem z nią, by podać jej walizkę z bagażnika.

– Może jednak wejdziecie chociaż na herbatę?

– Innym razem – odparł. – Ojciec pewnie już od rana na nas czeka.
– Jak chcesz. W takim razie do zobaczenia! – Wzięła od niego walizkę i zamierzała odejść, ale on jeszcze zatrzymał ją na chwilę.
– Widzimy się pojutrze? – upewnił się.
– Jeśli tylko nie zapomnisz po mnie wstąpić – zażartowała. – Trzymaj się, mała! – zawołała do Julki i pomachała jej na pożegnanie.
– Ty też – dziewczynka odpowiedziała takim samym gestem i nawet przesłała buziaka.

Ciągnąc walizkę po nierównym gruncie, Marta weszła na podwórze i wdeptując niechcący w kurze odchody, dotarła wreszcie pod drzwi. Tam oskrobała porządnie buty o wystający z kamiennego schodka kawałek metalu, nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. Uderzył ją smród gotującej się kapusty pomieszany z zapachem starego kota. Domu nie wietrzono od dawna.

Usłyszawszy odgłos otwieranych drzwi, z pokoju wyszedł ojciec, a zaraz za nim pojawiła się matka. Na widok córki szczerze ucieszyli się oboje i czym prędzej zaczęli szykować stół do obiadu.

– Powoli, powoli – zaoponowała Marta. – Nie jestem głodna. Najpierw się przebiorę, a potem się zobaczy.

W tym zaduchu i tak niczego by nie przełknęła. Tak było tu zawsze. Jako dziecko nie zwracała na to uwagi, bo myślała, że tak po prostu ma być. Zresztą może bałagan był wtedy mniejszy, bo matka była młodsza i jeszcze jako tako dbała o obojcie. Z wiekiem wyraźnie starała się coraz mniej. A kiedy Marta zaczęła chadzać do koleżanek i przekonała się, że jej dom nie do końca jest typowy, nie chcąc wstydzić się przed przyjaciółkami, z całych sił starała się dbać w nim o porządek i utrzymywać podstawowy ład. Łatwe to nie było, bo w dwóch pokojach gnieździło się osiem osób i nie każda z nich przejmowała się wyglądem domu. Czasem któraś z sióstr, szykując się na randkę, zabierała się do porządków, ale przeważnie dbała o to Marta. Matka co prawda się nie leniła, ale najwyraźniej nie miała talentu do sprzątanania, bo wokół niej zawsze jakoś robił się bałagan. A to okruchy po chlebie zgarniała wprost na podłogę, a to nie zauważyła, że na stole są lepkie kręgi po kubkach. Marta natomiast widziała to wszystko i póki mieszkała z rodzicami, starała się jakoś temu zaradzić. Teraz za nic w świecie nie chciałaby tu wrócić i dlatego za wszelką cenę zamierzała utrzymać się w Warszawie.

Nie wątpiła, że jej rodzice bardzo kochali wszystkie swoje córki i chcieli dla nich jak najlepiej, tyle że ich wymagania wobec życia nie były wielkie. Zupełnie jakby urodzili się bez ambicji. Wystarczało im całkowicie, że córki wychodziły za mąż i wyprowadzały się do teściów. To, że nie zdobywały porządnego wykształcenia, nie miało większego znaczenia. A to, że ich córkom i zięciom często brakowało pieniędzy, według rodziców też nie było ich winą. Winę za to ponosił rząd, który nie robił przecież nic, aby polepszyć młodym egzystencję. Taką filozofię wyznawali państwo Żmigrodzcy i całkiem spokojnie i beztrąsko wiodli swój żywot na peryferiach Kazimierza. Jedynie Marta z całej ich rodziny miała widoki na lepsze życie. Była inna, jakby nie wrodziła się ani w ojca, ani w matkę.

W sumie bardzo dobrze się stało, że Janusz odmówił wstąpienia na herbatę.

Spaliłaby się chyba ze wstydu. Jak zrobi generalne porządki, to może za dwa dni będzie mogła tu kogoś zaprosić. Przebrała się zatem szybko, pootwierała okna na oścież i ruszyła do roboty. Dopiero gdy ogarnęła z grubsza, usiadła i była w stanie coś zjeść.

Zaczynało się już ściemniać, kiedy pod dom zajechało nie pierwszej młodości audi. Z samochodu wysiadł szwagier Marty i jej siostra Monika. Przynieśli ze sobą dwie zgrzewki piwa i po krótkiej wymianie zdań podzielono się na obozy. Szwagier z teściem i piwami zasiedli przed telewizorem przy jakimś meczu, matka poszła do kuchni, a Marta z siostrą wyszły na podwórze.

– Opowiadaj, jak ci tam w tej stolicy?

– Coraz lepiej – pochwaliła się Marta. – Za chwilę zaczynam nową pracę w salonie masażu, mam gdzie mieszkać, jak dobrze pójdzie, to we wrześniu będę się bronić. A co u ciebie?

– Czy ja wiem? – Monika się zawahała. – Radek dopiero wrócił z Niemiec, pracuje dorywczo na czarno, ja ciągle nie mogę znaleźć żadnej roboty. Czyli bez zmian.

Marta wyczuła w jej głosie cień niezadowolenia. Specjalnie się temu nie dziwiła, bo kto w takiej sytuacji byłby szczęśliwy?

– Czasami się tak zastanawiam, że może trzeba by wreszcie stąd wyjechać? – Monika spojrzała na siostrę, jakby szukała w jej wzroku zachęty.

– Jakaś sezonowa robota za granicą?

– Myślałam raczej o Polsce, tylko gdzieś na zachodzie.

– A o czym konkretnie? Radek też by tam czegoś sobie poszukał?

Monika znowu się zawahała, jakby nie była pewna, czy powinna rozwinąć swoją myśl.

– Radek raczej by tam ze mną nie pojechał.

– Ale dlaczego? Co was tu trzyma? Młode małżeństwa nie powinny być daleko od siebie. Może to dobry pomysł, żebyście wyrwali się z tej monotonii.

– Chyba odejdę od Radka – wyznała wreszcie Monika, ścisząc głos do szeptu.

Martę zamurowało. Doskonale pamiętała, jak jeszcze niedawno siostra świata poza nim nie widziała i jak w ogóle jej nie przeszkadzało, że jest tylko po zawodówce, że nie rwie się do roboty i że raczej nie ma żadnych perspektyw. Czyżby taka wielka miłość miała trwać tak krótko?

– Jak to? – zapytała.

– Marta, co ty wiesz o Rafale?

– Co? – Nie zrozumiała. – O jakim Rafale?

– Tym twoim – wyjaśniła Monika.

– On wcale nie jest mój – zaprzeczyła energicznie. – I co on w ogóle ma do rzeczy?

– To, że przyjechał tu jakiś czas temu, bo podobno i ty miałaś tu być.

Rzeczywiście. Marta przypomniała sobie, że chciał ją odwiedzić w Warszawie, a ona skłamała, że jedzie do Kazimierza i nie będzie miała dla niego czasu. Nie sądziła, że zechce przyjechać aż tutaj. I nie miała pojęcia, że to zrobił.

– Rafał tu był? I rodzice go przenocowali?

– Nie. Rozminął się z nimi. Kiedy tu przyszedł, nikogo nie było w domu.

Natknęłam się na niego, jak szedł przez rynek. Myślałam, że przyjechał z tobą, ale powiedział, że chciał ci zrobić niespodziankę.

Marta osłupiała.

– Dość szybko doszliśmy do wniosku, że go oszukałaś, i widziałam, że jest mu nieswojo. Chyba czuł, że zrobił z siebie głupka. Gdyby miał czym wrócić, pewnie od razu ruszyłby w drogę powrotną.

– Zabrałaś go na noc do teściów? A co na to Radek?

– Nie. Radek był wtedy w Niemczech – wyjaśniła. – Ale nie mogłam go przecież zostawić tak samego, nie? Wynajął sobie nocleg na Zbożowej. Poszliśmy razem na kolację, wypiliśmy trochę piwa i było bardzo przyjemnie.

– Monika! – krzyknęła Marta. – Co ty, do cholery, mówisz?!

– Mówię, że to fajny facet, a ty spuściłaś go na drzewo.

– Gdyby był fajny, to bym się go trzymała. – Martę zirytował wyrzut siostry.

– To opowiedz mi, jaki on jest naprawdę – poprosiła Monika.

– Po co?! Żebyś sobie mogła wybrać: on albo Radek? To chore.

– Mogłabyś mnie nie oceniać?! – teraz Monika się zezłościła. – Jesteś jak pies ogrodnika.

– Przespałaś się z nim?

– A jakie to ma dla ciebie znaczenie? Przecież wypięłaś się na niego!

– Czyli się przespałaś!

Monika nie zaprzeczyła.

– Rób, jak chcesz – Marta wreszcie odpuściła. – Ale to nie jest facet dla ciebie.

– Dlaczego?

– Bo zamienisz siekierkę na kijek! Nie widzisz tego? Masz jednego nieroba, a za chwilę weźmiesz sobie drugiego.

– Nie obrażaj mnie – Monika próbowała się bronić.

– Dziewczyno, czego ty chcesz od życia? Spójrz na naszych rodziców. Tego chcesz? Chcesz żyć samą miłością i nie mieć nic ponad to? Zamierzasz żyć za najniższą krajową i wydać na świat kolejne nieszczęśliwe pokolenie? Co przekażesz swoim dzieciom? Na kogo je wykształcisz? Jak ty w ogóle możesz patrzeć na ten brud, którym matka z ojcem obrastają? Nie rozumiem was ani trochę! Chcesz znać moje zdanie? Proszę bardzo! Nie ma właściwie żadnej różnicy, którego wybierzesz. Obaj raczej pociągną cię w dół niż w górę.

– Myślisz, że jesteś lepsza od nas? – Monika była wściekła. – Jakim prawem tak do mnie mówisz?!

– Jestem przede wszystkim ambitna. I tym się właśnie różnimy. Nie zadowolę się żadnymi substytutami i nie spocznę, dopóki nie osiągnę zamierzonych celów. A jakie są twoje dążenia?

Monika milczała. Po policzkach spływały jej łzy, ale w ciemności Marta tego nie widziała. Zrozumiała, że doprowadziła siostrę do płaczu, kiedy ta pociągnęła nosem. Nie chciała zrobić jej przykrości, ale jakoś nie mogła się powstrzymać. Wydawało jej się, że skoro mówi prawdę, to postępuje właściwie. Teraz miała co do tego wątpliwości.

– Przepraszam – głos jej złagodniał. – Nie chciałam cię urazić. Monika, zrozum,

Rafał to nie jest dobra inwestycja. On tylko dużo mówi i obiecuje, i na tym koniec. Nie daj się nabrać na jego słówka. I uważaj na niego, kiedy jest po alkoholu. Przypuszczam, że ma ciężką rękę.

– Uderzył cię?

– Nie, ale próbował mnie szarpać. I wtedy sobie obiecałam, że nie zrobi tego już nigdy więcej. Jak widzisz, nie rzucam słów na wiatr. Ja już z nim kłopotów mieć nie będę. A ty zrobisz, co zechcesz.

Monika się uspokoiła, ale jakoś trudno było jej uwierzyć w to, co mówiła Marta. Sądziła, że siostra trochę ją oszukuje, i wcale nie poczuła się zniechęcona do Rafała.

– Niepotrzebnie tu dziś przyjechałam – Monika rzuciła w ciemność i poszła do domu.

Chwilę później razem z Radkiem wsiedli do auta i pojechali do siebie. Marta także nie była zadowolona z przebiegu tej wizyty. Chciała dla siostry jak najlepiej, ale Monika chyba opacznie ją zrozumiała. Trudno, to jej życie i jeśli je sobie zmarnuje, to na własne życzenie. Marta przynajmniej ją ostrzegła.

– To tutaj znalazłeś Bidę? – Julka pierwszy raz w życiu była w Janowcu i w domu rodzinnym swego dziadka.

– Tutaj – potwierdził Janusz. – Pilnowała obojczyka jak swojego. – Poglaskał psa po głowie.

Po skończonej kolacji Julka z Bidą zabawiały się w aportowanie patyków, a Janusz z ojcem zasiedli z piwkami pod gruszą.

– Przyznaj się, uciekłeś, staruszkule? – Janusz ostatnie słowo wypowiedział z uśmiechem.

– Troszkę uciekłem – nie ukrywał Antoni. – Zasiedziałem się w tej Warszawie i zapomniałem o paru ważnych rzeczach. Jeszcze trochę tu pobędę i wróci mi świadomość tego, co istotne.

– A konkretniej? – Janusz pogubił się w filozofii ojca.

– Synu, jesteś zadowolony ze swojego życia? – Antoni jakby zboczył z tematu, ale tylko pozornie.

– Jestem – odparł Janusz po chwili zastanowienia.

– No widzisz, a ja nie. – Ojciec pokiwał wymownie głową. – Kiedyś byłem, ale to minęło i nawet nie zauważyłem kiedy. I o to mi właśnie chodzi. Przegapiłem moment, w którym trzeba było skierować swoje życie na nieco inne tory, by wciąż być zadowolonym. Teraz być może jest już za późno.

– Na co? – Janusz wciąż nie rozumiał.

– Na zmiany, synu. Kilka dekad temu czułem się szczęśliwy i dumny, bo miałem młodą żonę, małe dziecko i niezłą pracę. I wtedy wszystko było w porządku, byłem zadowolony, bo czułem się potrzebny. Miałem cel, rozumiesz? A teraz?

– Straciłeś sens? – Janusz nigdy w ten sposób nie rozmawiał z ojcem i nie przypuszczał, że kiedykolwiek mogą go dopaść rozterki egzystencjalne.

– Tak jakby – przyznał Antoni. – Chyba dopadł mnie syndrom pustego gniazda, rozumiesz? Ty poszedłeś na swoje, a my z matką nie mamy już o czym rozmawiać, nic nas nie łączy.

Janusz od dawna wiedział, że rodzice nie mają ze sobą wiele wspólnego, ale nie zastanawiał się nad tym jakoś szczególnie. Nie roztrząsał tematu, sądząc, że to zupełnie normalne w pewnym wieku. Młodość przecież już przeżyli, więc czym niby mieliby się zająć teraz? Chyba tylko trwaniem obok siebie do końca. I właśnie przy okazji tej rozmowy uświadomił sobie, że ojciec prawdopodobnie się boi, że jedyne, co mu pozostało, to cierpliwe czekanie na śmierć, i pewnie przeraża go świadomość, że tylko ona może mu się jeszcze przytrafić, że po drodze nie ma już nic innego. Straszna to była myśl, ogromnie przytłaczająca. Sprawiała, że Januszowi zrobiło się bardzo żal ojca.

– Długość ludzkiego życia znacznie się w ostatnim czasie wydłużyła – ciągnął swą myśl Antoni. – Przy odrobinie szczęścia może mam jeszcze przed sobą jakieś dwadzieścia lat. To całkiem sporo, by w tym czasie coś jeszcze zrobić, zobaczyć, poużywać życia.

To prawda. Życie seniora wcale nie musi być pasmem bólu i notorycznego siedzenia w fotelu. Janusz w duchu przyznawał rację ojcu i zaczynał rozumieć jego rozterki. Nie odważył się tylko zapytać, czy w tym jego nowym życiu znajdzie się miejsce dla matki. Przeczynał nieśmiało, że być może jednak nie.

„Niech sobie robią, co chcą – pomyślał. – Przecież są dorośli”.

– Masz rację, tato. Masz rację. – Tymi słowami bardzo podniósł Antoniego na duchu i utwierdził w przekonaniu, że może jeszcze warto przebudować swoje życie.

Janusz nie spodziewał się, że ojciec tak się przed nim otworzy i zdradzi mu swe sekrety, obawy i nadzieje. Dzieci chyba nie powinny słuchać takich wynurzeń własnych rodziców, nie są na to przygotowane. Bo nie traktują rodziców jak istoty, którymi mogą targać emocje, i dlatego bywają w szoku, gdy widzą matkę czy ojca miotanych falami różnych namiętności. W oczach dziecka to rodzaj nienormalności. Dlatego Janusz był lekko skołowany i zdezorientowany. Cokolwiek jednak stanie się dalej, postanowił, że nie będzie w nic ingerował. Niech rodzice robią, na co mają ochotę.

Resztę wieczoru poświęcił na dzikie szaleństwa z Julką i Bidą. A siedzący wciąż pod gruszą Antoni długo jeszcze słyszał radosny pisk wnuczki niosący się po całej okolicy.

Następny dzień Janusz próbował spędzić na lenistwie, ale ponieważ beczynne siedzenie nie było w jego naturze, dość szybko się znudził. Wytrzymał w domu do obiadu i więcej nie dał rady. Łaził bez celu po zdziczałym i po pas zarośniętym trawą sadzie, przechodził z cienia w cień i popijał wodę mineralną schłodzoną przez ojca w studni głębinowej. Miał pewien plan na dalszą część dnia, wciąż jednak było za gorąco, by wystawiać się bez wyraźnej potrzeby na niemiłosiernie palące słońce. Z trudem dotrwał w tej beczynności do siedemnastej i wtedy zadzwonił do Marty.

– Hej, co robisz? – zapytał.

– Łażę z kąta w kąt – zaśmiała się.

– Mam tę samą przypadłość – przyznał. – W takim razie co powiesz na coś orzeźwiającego albo na kolację?

– Bardzo chętnie, bo już mnie tu szlag trafia z nudów. Gdzie i o której?

– Zaraz pod twoim domem? Przyjadę do ciebie.

– Poczekaj, poczekaj – zaoponowała delikatnie. – Spotkajmy się przy promie.

– Dobra, daj mi pół godzinki.

Oboje w tym czasie szybko doprowadzili się do porządku. Janusz zostawił Julkę pod opieką Antoniego, wskoczył do auta i niedługo potem był już na promie. Kiedy z niego zjeżdżał, dostrzegł zbliżającą się w jego kierunku Martę. Jej widok sprawił mu prawdziwą przyjemność, nawet sam się temu zdziwił, nie roztrząsał jednak przyczyn tego stanu.

„Nie ma co filozofować – pomyślał, przypominając sobie wczorajsze rozważania ojca. – Trzeba żyć”.

Podjechał do Marty i właśnie zamierzał wysiąść z samochodu, by otworzyć jej drzwi, lecz nie zdążył, bo ona od razu chwyciła za klamkę i już była w środku. Po klimatyzowanym wnętrzu rozszedł się miły orzeźwiający zapach zielonej herbaty. Janusz nieświadomie zaciągnął się nim i przymknął powieki.

– To co robimy? – Marta cieszyła się jak dziecko.

– Może wszystko? – zaproponował trochę dwuznacznie -Janusz.

Odwróciła głowę w jego stronę i przyglądając mu się, czekała, aż rozwinie swą myśl. Bo choć rozumiała grę słów, to nawet nie śmiała pomyśleć, że „wszystko” to może być naprawdę wszystko. Tak pięknie z pewnością nie będzie. Czekaając na dalszy ciąg, uniosła brew do góry.

– Zamek, baszta, Trzy Krzyże, a potem Manufaktura Czekolady i spacer nad Wisłą? Co ty na to? – zapytał. – Coś wyrzucamy, coś dokładamy? A może chcesz coś zupełnie innego?

– Wszystko mi się podoba, akceptuję.

Kazimierz chyba nie miał przed nimi żadnych tajemnic, ale oboje tak dawno go nie zwiedzali, że mieli ochotę przemierzyć go wzdłuż i wszerz. Zresztą wszystko lepsze od nudy, która ich dopadła przed południem.

– A gdzie Julka? – spytała Marta. – Byłam pewna, że weźmiesz ją ze sobą.

– Podrzuciona dziadkowi – uśmiechnął się Janusz. – Zawiedziona?

– Troszeczkę – przyznała. – Pewnie by się jej spodobał taki spacer.

– Jakby dzisiaj z nami poszła, to czym by ją dziadek zabawiał za kilka dni? Trzeba jej dozować emocje, żeby się tu za szybko nie znudziła.

Janusz zaparkował auto na Nadwiślańskiej i, zanim ruszyli pieszo w trasę, wstąpili do sklepu po zimną wodę. Potem powoli, bez pośpiechu, wspięli się na ruiny zamku. Wiszące coraz niżej nad linią Wisły słońce oświetlało okolicę złotymi promieniami, przydając całemu krajobrazowi niezwyklego ciepła, i wzmacniając intensywność barw. Czerwone dachy kamienic były jeszcze czerwiejsze, wody rzeki lśniły kobaltem, a łachy piasku wydawały się pomarańczowe. Kazimierski pejzaż był niezwykle urokliwy. Oboje się nim zachwycali i robili sobie nawzajem w tej złotej godzinie zdjęcia, na których ich twarze wyglądały na śniade, a włosy lśniły mocniej niż w rzeczywistości.

Wejście na basztę sobie odpuścili, ale za to chwilę spędzili na Górze Trzech Krzyży. Usiedli na udeptanej nagiej ziemi i popijając wodę z butelek, patrzyli przed siebie. Od czasu do czasu wymieniali jakieś uwagi, wypytywali też o siebie. Znow próbowali dociec, czy w przeszłości mogli się gdzieś na kazimierskich ulicach spotkać, ale znowu nie ustalili w tej kwestii niczego konkretnego.

– Co byś powiedziała na jeszcze jedno miejsce? – Janusz wpadł właśnie na pewien

pomysł. – Masz siłę?

– A na co? – zapytała trochę ospale Marta.

– Spacer na Albrechtówkę.

– O! – zawołała rozochociona. – Całe wieki tam nie byłam! Idziemy!

Szlak był prawie pusty, jedynie z rzadka mijali pojedyncze pary czy małe grupki ludzi. Do przejścia mieli ze cztery kilometry, miejski bruk pod stopami zamienił się w asfalt, a potem w piaszczysto-kamienistą ścieżkę, która pięła się w górę po wapiennym stoku Albrechtówki. Wieczne powietrze przyniosło wreszcie trochę wytchnienia od upału dnia, a widok roztaczający się ze wzgórza zapierał dech w piersi. Marta z Januszem przystanęli i wpatrzyli się w panoramę Wisły. Jej brzegi, bardziej w tym roku piaszczyste niż zwykle, urzekały pięknem. Po drugiej stronie rzeki stał na wzgórzu zamek janowiecki, a trochę bardziej w lewo rozciągała się Krowia Wyspa. Miał rację stały bywalec Kazimierza, Lauterbach, mówiąc, że „nikt z niczego się tu nie wyleczy, chyba tylko z monotonii mazowieckich piasków i lasków”; mówił też, że „tu można odetchnąć szeroko, można malować, pisać lub próżnować...”. Tutaj monotonii nie uświadczysz.

Na tym wzgórzu Marta z Januszem także zrobili sobie całą serię zdjęć, po czym nieśpiesznie ruszyli w drogę powrotną. Do ulic miasta dotarli po dwudziestej. Zaczynał zapadać zmrok, dalsze zwiedzanie nie miało więc sensu. Na Krakowskiej wstąpili do Faktorii na kawałek ciasta i kawę. W lokalu pachniało oszałamiająco. Świeżo palona kawa mieszała się z zapachem czekolady, a wybór wszystkiego był tak bogaty, że oboje złożyli zamówienie na chybił trafił. Czekoladowo-pomarańczowy tort i kawa Galapagos wprawiły Martę w stan upojenia – zapadła się w wygodnej kanapie, zajadała ze smakiem i pomrukiwała od czasu do czasu na znak rozkoszy – Janusz z kolei popadł w zachwyty nad kawą Jemen Matari.

Dzień dobiegał kresu, ociężale podnieśli się z wygodnych siedzisk i spacerkiem przeszli do samochodu. Janusz podwiózł Martę pod jej dom i podziękował za wspaniały wieczór. Ona też uważała go za bardzo udany i dawno nie czuła się tak zrelaksowana jak dziś.

Umówili się na powrót do Warszawy, po czym się rozstali.

Rozdział 8

Pomimo w sumie bardzo udanego pobytu w Kazimierzu powrót do warszawskiej rzeczywistości wcale nie był dla Marty przykry. Zostały jej zaledwie dwa dni do rozpoczęcia nowej pracy; spędziła je intensywnie, kończąc pisanie pracy magisterskiej. Wpadła też do galerii handlowej, żeby kupić sobie parę rzeczy dla odświeżenia garderoby. W sieciówkach znalazła kilka fajnych bluzek, spódnicę i parę spodni, co znacząco poprawiło jej nastrój. Zdawała się w ogóle nie zauważać nieprzyjemnie ciężkiego i gęstego miejskiego powietrza, które uciskało płuca w południe i dopiero pod wieczór dawało odrobinę wytchnienia. Kazimierz miał jednak lepsze powietrze, bez dwóch zdań.

Pierwszy dzień w pracy poświęcony był wyłącznie sprawom organizacyjnym. Wszyscy pracownicy byli nowi, więc rozpoczęto dzień wspólną kawą i zapoznaniem się. Potem nastąpiło szkolenie, które miało obeznać masażyстів ze sprzętem zgromadzonym w salonie. Omówiono też zasady BHP, a na koniec każdemu wręczono potwierdzenie ukończenia szkolenia. Ostatnim elementem tego długiego dnia był przydział do gabinetów. Salon miał pracować na dwie zmiany, aż do godziny dwudziestej drugiej, by szansę skorzystania z niego mieli nawet najwięksi pracoholicy kończący pracę nocą. Tak więc do każdego gabinetu przyporządkowano po dwóch pracowników. Jeden obstawiał poranną zmianę, drugi – wieczorną. Gabinetów było pięć, zatrudnionych masażyстів – dziesięcioro. Marcie przypadło pracować do spółki z Mikołajem. Wyglądał na sympatycznego trzydziestolatka, a jaki był naprawdę, to się dopiero okaże.

Drugi dzień w pracy wciąż był dniem wdrażania. Jeszcze nie ruszyła praca na dwie zmiany, wszyscy przyszli na pierwszą i spędzili czas na dostosowywaniu gabinetów do własnych potrzeb, czyli nadawali im ostatnie szlify. Marta z Mikołajem zgodnie poukładali ręczniki, kaptcie, prześcieradła i szlafroki, plastry detoksykujące, balsamy, kremy, olejki eteryczne i kamienie do masażu, jedynie w kwestii ustawienia stołu do masażu nieznacznie się poróżnili, bo Marta widziała go bliżej okna, a on twierdził, że lepiej będzie bliżej ściany. Doszli jednak do porozumienia i ostatecznie oboje byli zadowoleni ze swojego gabinetu.

Reklamy obwieszczające otwarcie salonu zostały zamieszczone w prasie i internecie, dodatkowo rozniesiono ulotki po całym biurowcu oraz kilkunastu sąsiednich budynkach. Na dzień otwarcia kuszone dużymi rabatami, tak więc spodziewano się, że pierwsi klienci nie zawiodą.

Zespół masażyстів co nieco już o sobie wiedział, ale dodatkowo skrzyknął się jeszcze na popołudnie integracyjne. Osiem osób wybrało się razem na piwo. Wszyscy byli młodzi i pełni zapału do pracy, Marta czuła, że znajdzie z nimi wspólny język. Przeszło jej też przez myśl, że i Agata bez trudu by się wśród nich zaaklimatyzowała. Wypili po dwa piwa i rozeszli się do domów, bo przecież nie wypadało zaczynać pierwszego dnia pracy na kacu.

Wieczorem Marta poczuła, że dopada ją trema, i jakoś nie mogła znaleźć sobie miejsca w mieszkaniu. Wyszła więc do ogrodu, by po prostu pogapić się w niebo albo pokrażyć wokół domu.

Powietrze intensywnie pachniało maciejką z ogrodu Bilskich. Przymknawszy oczy, Marta wdychała je zachłannie. Wtem zza krzewów rozległo się szczekanie Bidy. Obróciła się i w ciemności dostrzegła nie tylko psa, ale i Janusza. On też stał pośrodku trawnika i zdawał się rozmyślać.

– Cześć, sąsiedzie! – zawołała.

– Hej, sąsiadko – odpowiedział wesoło. – Spać nie możesz?

– A ty? – odpowiedziała pytaniem.

– Czekam na Dorotę, zaraz powinna przyjechać.

– Szczęściara z niej – powiedziała szczerze to, co myśli.

Janusz nie bez satysfakcji przyjął ten komplement. Nie żeby jakoś szczególnie potrzebował pochwał, ale to było bardzo miłe. I w duchu właściwie przyznał Marcie rację: Dorota naprawdę powinna się cieszyć, bo on rzeczywiście jest fajnym facetem. Bardzo poprawił mu się nastrój po tej krótkiej wymianie zdań i podbudowany wrócił do domu. Szkoda tylko, że od Doroty tak rzadko słyszał słowa uznania.

Niedługo potem jego partnerka podjechała pod dom, wysiadła z auta i wolniej niż zwykle weszła do środka. Janusz wyjrzał z kuchni, by się z nią przywitać.

– Zmęczona? – zapytał z troską w głosie. – Nie pracuj tyle. Przecież wcale nie musisz.

Wrócił do kuchni, wstawił wodę na herbatę i położył na stole dużą salaterkę w jednej trzeciej wypełnioną mieszanką sałat z sosem winegret. Dorota zatrzymała się w drzwiach, obserwując go bacznie. Głowę oparła o framugę i stała tak w milczeniu. Janusz podniósł wzrok znad kuchennego blatu i uśmiechnął się do niej.

– Kochanie, tak nie można. Za czym ty tak gonisz?

– Chyba masz rację – powiedziała dziwnie spokojnym głosem. Nie było w nim właściwej jej zadziorności. – Powinnam zwolnić tempo.

– Już dawno powinnaś. Usiądź, zjemy kolację.

– Nie jestem głodna – odparła, ale umyła ręce i mimo wszystko usiadła do stołu.

Przyglądał się jej uważnie, jak powoli podnosiła jedzenie do ust i przeżuwała od niechcenia. Zawsze miała zadatki na pracoholiczkę, ale ostatnio już naprawdę przesadzała. Prawie wcale się nie widywali; gdyby policzyć czas spędzany razem, to tygodniowo wyszłoby może kilkanaście godzin. To nie jest normalne, nawet przy jej trybie pracy. Co się z nimi stało? I kiedy?

– Pójdę pod prysznic – bąknęła cicho.

Janusz wolał nie pytać, czy może iść z nią. Podniósł się z krzesła i zaczął sprzątać po kolacji. Nawet nie zauważył, kiedy przejął wszystkie domowe obowiązki. Fakty były takie, że od pewnego czasu sam prowadził dom, bo Dorota była w nim gościem. Aż trudno uwierzyć, że w tym wszystkim jakoś udało się prawie dopiąć przygotowania do ślubu. O dziwo, niemal wszystko było już załatwione. I była to głównie jego zasługa.

Janusz wypuścił jeszcze na chwilę Bidę do ogródka i po kilku minutach sam poszedł pod prysznic. W łazience nie opadła jeszcze para po kąpielii Doroty. Krople wody spływały po szklanych ściankach prysznica i lustrze, a w powietrzu unosił się zapach jej balsamu do ciała. Stanął w mokrym brodziku i odkręcił kran. Szkło kabiny znów pokryło się parą.

Chwilę później wszedł do sypialni. Jego połowa łóżka czekała na niego nietknięta, obok leżała Dorota. Oddychała miarowo i bez wątpienia już spała. Wsunął się delikatnie pod kołdrę i wtulił w jej ciało. Oplótł ją ramieniem, a kiedy dotknął jej łydki swoją zimną stopą, wzdrgnęła się przez sen. Odgarnął jej długie włosy, by móc ustami musnąć jej kark. Lekko się poruszyła, ale nie zbudziła.

Pierwszy masaż był dla Marty bardzo stresujący. Chociaż była świetnie przygotowana, i tak zjadała ją trema. Wszystko wykonywała zgodnie z instrukcją, wręcz podręcznikowo. Dopiero pod koniec zabiegu rozluźniła się na tyle, że przestała się zastanawiać, co ma robić, i przeszła na działanie instynktowne. To była zdecydowanie lepsza metoda – należało po prostu zaufać sobie.

Pierwsi klienci pojawili się od razu pierwszego dnia, zapewne skuszeni atrakcyjną ceną. Kolejni zapisywali się już na następne terminy. Wszystko wskazywało na to, że interes ma szansę się rozkręcić. Z każdym dniem Marta była coraz pewniejsza siebie i coraz lepiej się czuła w gabinecie. Zaczęła nawet dostawać napiwki. Zmiany dzienne były bardziej obłożone, ale na wieczornych także nie brakowało klientów. Niektórzy przychodzili z ciekawości, inni z prawdziwej potrzeby, a jeszcze inni być może uciekali w ten sposób przed samotnością czekającą na nich po powrocie do domu.

W drugim tygodniu pracy do Marty na masaż przyszła kobieta z tego samego biurowca, która leżąc na stole, zwierzyła się, że przyszła się zrelaksować, ponieważ za godzinę ma bardzo ważne spotkanie biznesowe, od którego wiele zależy. Słyszając to, Marta mimochodem delikatnie zasugerowała, że rozluźnienie i relaks to jedno, ale odpowiedni wizerunek to drugie, i zaproponowała, że poprawi jej trochę fryzurę. No i to był strzał w dziesiątkę. Pocztą pantoflową bardzo szybko rozeszła się wieść, że w pięć minut można się u niej tak uczesać, że niejeden stylistka fryzur mógłby się schować.

Oczywiście jej usługi fryzjerskie sprowadzały się co najwyżej do drobnych zabiegów i korekt, bo przecież nie miała tam ani szczotek, ani żadnego innego sprzętu, ale jeśli klientka, wychodząc, wspominała coś o włosach, wówczas Marta podnosiła jej grzywkę, zaczesywała figlarnie jakiś kosmyk do tyłu czy poprawiała troszkę upięcie. Robiła to za darmo, czasem otrzymując co prawda napiwek, sądziła jednak, że to za masaż.

Informacja o wykonywaniu przez Martę dodatkowych usług szybko doszła do szefostwa. Ale nie zmyto jej za to głowy, tylko zrobiono dokładne rozeznanie w potrzebach rynku, a z tej analizy wynikało, że istnieje pewna nisza, którą warto by wypełnić. Jako że Marta była również wykwalifikowaną fryzjerką, i to w dodatku dobrą, zwiększono zakres jej obowiązków i któreś soboty w ekspresowym tempie przebudowano gabinet, tak by za dostawioną gipsową ścianką i drzwiami mógł stanąć fotel fryzjerski, lustro i szafka na potrzebne przybory. I tak oto salon oferował dodatkową usługę: szybkie czesanie kobiet biznesu przed rozpoczęciem długiego dnia pracy lub tuż przed wyjściem na ważne spotkanie. Marta była zachwycona. Mogła robić wszystko to, co lubiła, i jeszcze w dodatku otrzymywała za to wynagrodzenie.

– Opowiadaj, jak ci tam jest? – spytała Agata któregoś wieczoru, kiedy spotkały się na Zakopiańskiej na ploteczkach.

Marta z podekscytowaniem opisywała nowych znajomych, gabinet, pierwszych

klientów i swoje wrażenia, a Agata przysłuchiwała się z uwagą. Nie było w niej odrobiny żalu do przyjaciółki, nie mogła tylko się pogodzić z ludzką ignorancją, która powodowała, że takie osoby jak ona wykluczano ze społeczeństwa. A tyle się mówi o wyrównywaniu szans i aktywizacji zawodowej ludzi z dysfunkcjami. Jak widać, to wszystko pozostaje tylko w sferze planów i na papierze, w praktyce świat wygląda zupełnie inaczej i jest wciąż pełen barier. O ile bariery architektoniczne sukcesywnie znikają z ulic, o tyle bariery w ludzkich głowach miały się świetnie. To nie mury ograniczały i blokowały Agatę, ale wykształceni, inteligentni ludzie, którzy wątpili w jej zdolność do efektywnej pracy.

– Marta, naprawdę zupełnie niepotrzebnie masz skrupuły – próbowała uspokoić przyjaciółkę, wiedziała bowiem, że ona wciąż ma wyrzuty sumienia i jest jej niezręcznie rozmawiać o salonie, choć cała aż się gotuje, by podzielić się swoją radością. – Wcześniej czy później dla mnie też się coś znajdzie. Nie zamierzam do emerytury siedzieć na rencie. – Na to stwierdzenie obie się roześmiały.

Antoni i Julka pozostawieni sami sobie nie tracili czasu i codziennie robili małe wycieczki. Zaczęli od zamku w Janowcu. Julka z ochotą wspięła się po schodach na sam jego szczyt, a kiedy już wyżej wejść się nie dało, zażądała od dziadka, by ją podniósł, bo chciała wszystko dokładnie zobaczyć, mury zaś były dla niej za wysokie. Była bardzo ciekawa wszystkiego, zadawała mnóstwo pytań, czym wprawiała Antoniego w zakłopotanie, gdy na przykład nie znał odpowiedzi. Kiedy zeszli na dół, oczywiście obowiązkowa była wizyta w zamkowym sklepiku z pamiątkami, a potem krótka przysiadka w kawiarnianym ogródku na trzy gałki lodów dla wnuczki i kawę dla dziadka.

W następnych dniach wybrali się do Kazimierza i po kolei zwiedzali wszystkie zabytki i punkty widokowe. Julka codziennie wracała do domu obłowiona w mniej lub bardziej sensowne pamiątki, z wielką radością wymalowaną na jej ślicznej buzi. Puławy i Nałęczów także obejrzelikompleksowo, a na koniec zostały im Magiczne Ogrody w Janowcu. To miejsce pochłonęło dziewczynkę na cały dzień, była zachwycona wszystkimi atrakcjami i wieczorem z trudem dała się zabrać z powrotem do domu. Tyle przyjemności i urozmaicenia, ile dziadek zafundował jej w ciągu kilku dni, nie miała chyba dotąd przez całe swoje życie.

Kiedy pomysły na aktywne spędzanie czasu z wnuczką już się wyczerpały, Antoni zadzwonił do Grażyny po podpowiedź, co mógłby jeszcze z nią zrobić. I tak zaczęła się krótka, choć intensywna znajomość Julki z najprawdziwszą malarką, która jej szalenie imponowała.

Na początek Grażyna zaprosiła ich do siebie na obiad. Może nie była to szczególnie pociągająca rozrywka dla tak żywotnego dziecka jak wnuczka Antoniego, ale kiedy tylko Julka zobaczyła na ścianach oraz na półkach kolorowe akwarelki, wpadła w zachwytk i w tym właśnie miejscu postanowiła, że zostanie wielką artystką, oczywiście malarką. Grażyna szybko złapała z nią wspólny język i zapewniła jej kolejne dwa dni niesłabnących atrakcji. Urządziły sobie plener malarski: spacerowały po uliczkach, wdrapały się na wzgórze zamkowe, nie rozstając się z farbami i pędzlami. Grażyna malowała szybko i z łatwością, Julka starała się być dokładna, ale jej widoczki znacznie odbiegały od tego, co widniało na kartonie u malarki. Zupełnie jakby malowały dwa różne

pejzaże, a patrzyły przecież na ten sam krajobraz.

Na szczęście Julka wcale się nie przejmowała swoimi niepowodzeniami, a jej dziecięce prace miały w sobie wiele uroku. Grażyna w pewnym momencie przestała malować pejzaże, skupiła się na Julce i spod jej pędzla wyszedł cykl bardzo zręcznych podobizn dziewczynki. W ciągu dwóch dni Julka została uwieczniona na kilkunastu różnych portretach, a z dwóch czy trzech kartek spoglądał także Antoni. Kiedy dziewczyny zapamiętałe pracowały, on przysiadł gdzieś z tyłu i z ogromną przyjemnością je obserwował, odpoczywając i relaksując się przy tym. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat poczuł się naprawdę dobrze. Tak powinna wyglądać rodzina – śmiech dziecka i radość dziadków. To było miejsce Krystyny, tyle że ona, niestety, nigdy nie chciała go zająć, a ta obca kobieta idealnie wkomponowała się zamiast niej.

Od kilku dni w mieście trwało spore poruszenie, na dużym rynku budowano scenę, na małym także, rozstawiano namioty i letnie kina. W Kazimierzu i Janowcu w początkach sierpnia miał rozpocząć się kolejny festiwal Dwa Brzegi. Grażyna jak co roku cieszyła się już na wystawy, koncerty i spotkania autorskie i oczywiście zaproponowała Antoniemu, aby też się z nią na coś wybrał. On zaś miał ochotę skorzystać z propozycji, niczego jednak nie obiecał, bo zaplanował już wyjazd do Warszawy. Co prawda na razie tylko odwoził Julkę, czyli mógłby zaraz wrócić, ale tego już Grażynie nie powiedział. Sam nie wiedział, co dalej zrobić ze swoim życiem i czy ma jeszcze ochotę mieszkać w Warszawie. Zresztą nie o miejsce tu chodziło, ale o żonę. Nie miał pojęcia, co zostanie po powrocie, czy Krystyna przez tę krótką rozłąkę odpoczęła i odechciało jej się dalszych zwad, czy też przeciwnie, znów nie będą umieli się porozumieć. A może zaproponuje jej przyjazd na festiwal? Może jeszcze uda im się coś naprawić? W gruncie rzeczy wszystko zależało od niej, bo on już od dawna nie miał pomysłu na ich małżeństwo.

*

Julka dość niechętnie wracała do Warszawy, ale – jak to z dziećmi bywa – kiedy już znalazła się na miejscu, uradowana wyściskała psa, ojcu rzuciła się na szyję, jakby nie widziała go od miesiący, i ucieszyła się na widok mamy, która, o dziwo, była w domu. Nag-le wszystko zaczęło jej się podobać.

Janusz też był szczęśliwy, ponieważ znów miał przy sobie swoje dwie najważniejsze kobiety. Króciutka rozłąka, a tyle frajdy w nagrodę. Dorota zamierzała wreszcie nieco przystopować z pracą i do końca wakacji zająć się Julką oraz ostatnimi przygotowaniem do ślubu, dzięki czemu Janusz będzie mógł się skupić na rozwijaniu swojej firmy. Co prawda wszyscy pracownicy, a przede wszystkim Mateusz, bardzo się starali i pracowali w pocie czoła, ale większe zaangażowanie Janusza było jak najbardziej wskazane, zwłaszcza że oddział lwowski miał coraz więcej zamówień na ich oprogramowanie i różne aplikacje, zatem pracy przybywało.

Przez kilka kolejnych dni w życiu Bilskiego wszystko układało się nadzwyczaj pomyślnie. Chwycił wiatr w żagle i nabrał ogromnej energii do działania. Z tej radości, która go rozpierała i którą chciał się z kimś podzielić, zadzwonił do Marty. Odebrała, ale nie miała czasu z nim rozmawiać, bo była w pracy. Przeprosił i już chciał się rozłączyć,

kiedy spytała:

– O której wychodzisz dziś z biura?

– Nie wiem, pewnie po osiemnastej – odpowiedział. – Dlaczego pytasz?

– To dobrze się składa – stwierdziła zadowolona. – O szóstej mam wolną godzinę, więc może byś wreszcie przyszedł zobaczyć, jak pracuję? Wstyd, sąsiedzie, jesteś codziennie zaledwie kilka pięter wyżej, a jeszcze mnie nie odwiedziłeś – dodała, śmiejąc się.

– Właściwie czemu nie? Chętnie wpadnę.

Nawet nie wiedział, ile radości sprawił Marcie tą obietnicą.

*

Już przed osiemnastą Marta nerwowo nasłuchiwała kroków na korytarzu i co chwilę zerknęła w lustro. Z każdą minutą była coraz bardziej spięta i podekscytowana. Czekwała na Janusza, jakby miał ją zabrać na wymarzoną randkę. Kiedy uświadomiła sobie, że nie powinna tak myśleć, skarciła się w duchu za swoją niedojrzałość. Wiadomo przecież, że Janusz nie jest dla niej i nie ma najmniejszego znaczenia, że ona tak bardzo go lubi. Czowała, że i on darzy ją sympatią, to jednak za mało, by miała prawo marzyć o czymkolwiek więcej. Mimo wszystko wyczekiwała go z niecierpliwością.

Przyszedł kilka minut po osiemnastej. Stał w drzwiach rozpromieniony i serdecznie się z nią przywitał.

– No, klimatycznie tu u ciebie. – Wbił dłonie w kieszenie spodni i rozejrzał się dookoła.

Gabinet był przestronny, ściany w kolorze kakao zdobił złoty nadruk. Z małych kinkietów rozlewało się przytłumione ciepłe światło. Z głośników zawieszonych w rogach gabinetu rozchodziła się relaksacyjna muzyka, a w całym pomieszczeniu unosił się aromatyczny zapach gardenii.

W takich warunkach pracowała Marta. Miała oczywiście możliwość sterowania natężeniem światła oraz zapachów i wybrała stosowną do okoliczności kompozycję.

– To co, zaczynamy? – wskazała ręką na stół i już sięgała po szlafrok.

– Myślałem, że sobie porozmawiamy.

– Porozmawiamy, czemu nie? – odparła wesoło. – Przy masażu. Może tak być?

Spojrzał na nią uważnie i zawahał się przez moment, ale gdy sobie przypomniał, jaką przyjemność sprawił mu masaż Agaty, zdecydował się na propozycję Marty. Wziął od niej szlafrok, na co ona wskazała mu ręką drzwi łazienki, w której znajdował się także specjalnie zaprojektowany kącik do przebierania.

– Proponuję szybki prysznic – zawołała przez drzwi. – Chyba że chcesz mieć wtarty w skórę całodzienny brud i pot. I pamiętaj, że najlepiej się masuje bez bielizny – dodała od niechcienia, nie zamierzając go bynajmniej przestraszyć.

– Ty będziesz bez bielizny? Tak ci jest wygodniej? – odkrzyknął, przybierając wesoły ton, chociaż minę miał niewyraźną. Właściwie to najchętniej by uciekł. Nie podobał mu się pomysł, że ma się obnażyć przed Martą.

– Myślałam raczej o tobie – drażniła się z nim – ale klient nasz pan.

Marta w czasie, kiedy on brał prysznic, założyła prześcieradło na stół

i przygotowała zrolowane ręczniki. Po chwili Janusz wyszedł z łazienki owinięty szlafrokiem i potwornie spięty. Gdyby tylko wiedział, jak bardzo ona była spięta, na pewno trochę by mu ulżyło.

– Gotowy?

– Nie – odrzekł zgodnie z prawdą i stał bezradnie w sporej odległości od niej, a ten cholerny szlafrok nie miał nawet kieszeni, by móc gdzieś podziąć ręce.

Jego skrępowanie było bardzo wyraźne, jej natomiast mniej. W każdym razie Marta żywiła taką nadzieję. Jeszcze chwila, a spotkanie, które miało być przyjemnością, okaże się całkowitą klapą. Prawdopodobnie należałoby przyjąć zasadę, że masażystka nie powinna masować sąsiada. Chyba że sąsiad bardzo tego chce. A jej sąsiad raczej nie pałał wielką ochotą. Żeby uratować sytuację, wzięła głęboki oddech, pięknie się uśmiechnęła i zakomenderowała:

– Zapraszam na stół.

On również zaczerpnął powietrza i kręcąc głową, nieśmiało podszedł na wskazane miejsce. Próbując wybrnąć z twarzą z tej krępującej sytuacji, postanowił ją odwrócić i zrobić wszystko, by to Marta miała powód do skrępowania, a nie on. Spojrzał więc odważnie prosto w jej twarz i utkwiał w niej wzrok. Po pierwsze: przetrzymać przeciwnika. Nie spuszczać z niej oka, najpierw usiadł na stole, a potem powoli położył się na brzuchu. Dopóki mógł, utrzymywał z nią kontakt wzrokowy. To rzeczywiście dało mu pewną przewagę, bo stała wpatrzona w jego twarz i nie miała ani czasu, ani odwagi, by spojrzeć gdziekolwiek indziej.

– No dobra – odezwała się, kiedy już leżał twarzą w dół. – Czyli masaż przez frotté? To nie musiałeś się myć – trochę sobie z niego kpiła.

Zacisnął zęby i lekko unióś się na rękach, by rozwiązać szlafrok i go zdjąć, ale w pozycji pośladkami do góry łatwe to nie było. Tym bardziej że pośladki miał gołe, a nie chciał świecić nimi przed Martą.

– Może ręcznik? – Pogrywała sobie, wymachując zrolowanym materiałem.

Wyciągnął dłoń i sięgnął po ręcznik, lecz nic z nim nie zrobił. Czekał. I ona także.

– Odwróć się – ni to poprosił, ni warknął.

– To ja może zaproponuję ci meliski? – uśmiechnęła się uroczo i powoli podeszła do szafki przy ścianie, na której stały filizanki. Dała mu tym samym czas, by okrył się ręcznikiem.

– Obawiam się, że to mi nie wystarczy – odpowiedział. – Jestem zły i melisa nic tu nie pomoże. Nie miałem zamiaru ani brać kąpieli, ani się rozbierać, ani leżeć tu przed tobą.

Był podenerwowany i mówił szczerze. Próbował jakoś wybrnąć z całej tej dziwacznej sytuacji, ale przecież nie będzie uciekał przed masażem. Ludzie przychodzą tu z własnej woli, więc i on chyba jakoś to przetrwa.

– Nie marudź – roześmiała się. – Wstydzisz się?

– Tak! Wyobraź sobie, że tak.

– A czego się wstydzisz? – drażyła. – Czy masz tam coś, czego bym nie widziała?

– Marta... – jęknął. – Nie dobijaj mnie, bo sobie pójdę – zagroził.

Mimo wstydu i onieśmienia napięcie jednak zelżało, a Marta przestała się nad

nim pastwić.

Położyła dłonie na jego karku i kciukami wykonała kilka okrężnych ruchów. Mięśnie były napięte niczym struny i rozluźnić je nie było łatwo.

– Uuu... Cały jesteś taki sztywny? – pozwoliła sobie na ostatni żart.

– Rozczarowałabyś się – odgryzł się.

Przez resztę masażu była już bardzo profesjonalna i zajęła się nim jak każdym innym klientem. Pozwoliło mu to wreszcie naprawdę się odprężyć i zapomnieć o wcześniejszym zakłopotaniu. Marta była bardzo dobra w swoim fachu, jej dotyk sprawił mu wiele przyjemności i nawet nie oponował, kiedy się zbliżała niebezpiecznie blisko jego pośladków. Nie przekroczyła jednak żadnej granicy.

– Marta?... – odezwał się po długim milczeniu. – Co robisz jutro wieczorem? Pracujesz?

Zastanowiła się nad ewentualnym wydzwiękiem tego pytania. Właściwie mogłoby być wstępem do jakiegoś zaproszenia. Na randkę na przykład... Ale aż tak naiwna nie była. Wiedziała, że musi się w nim kryć jakieś drugie dno.

– Wieczorem jestem wolna – odpowiedziała wreszcie. – Dlaczego pytasz?

– A mógłbym mieć do ciebie prośbę?

– No nie wiem... – znów zaczęła się z nim droczyć.

– Ej! – zawołał. – To by mogła być drobna rekompensata za to, że mnie tak dzisiaj udreńczyłaś – uśmiechnął się do niej przymilnie.

– Czyli że jestem ci coś winna?!

– Takie małe zadośćuczynienie. Proszę... – zwrócił się naprawdę wdzięcznie.

– No dobra, o co chodzi? – zmiękła.

– O Julkę. Zająłabyś się nią jutro? Chciałbym zabrać Dorotę na kolację.

Dziwnie nieprzyjemnie było jej tego słuchać, ale nie odmówiła pomocy. Za to, że poczuła gdzieś w środku ukłucie zazdrości, zintensyfikowała masaż. Najlepiej, jak potrafiła, rozmasowywała wszystkie mięśnie pleców, sięgając dłońmi niby niechcący gdzieś w okolice brzucha, a potem zakreśliła kręgi i dotknęła brzegu ręcznika i najniższych partii pleców. Widziała, że Janusz zaciska nerwowo dłonie i oddech mu przyspieszył, uznała więc cel za osiągnięty.

Kiedy poszedł do łazienki się ubrać, Marta zwinęła przeście-radło i wbiła w nie palce, wpatrując się bezmyślnie w ścianę.

– Dzięki – Janusz wyszedł z łazienki i oddał jej szlafrok oraz ręcznik. – Przestraszyłaś mnie trochę, ale masaż uważam za udany – uśmiechnął się.

– Przepraszam – odwróciła się do niego. – Przeholowałam. To się więcej nie powtórzy. Nie byłam profesjonalna i trochę mi wstyd.

– I bardzo dobrze – zabrzmiało to tak, jakby kopał leżącego. – Niech cię trochę podreńczy sumienie, jak i ty mnie dreńczyłaś. – Teraz już wyraźnie stroił sobie żarty. – Ile płacę?

Pomimo stresu, jaki Marta zafundowała mu na początku, wyszedł z gabinetu rozluźniony i w bardzo przyjemnym nastroju. Cieszył się już na jutrzejsze romantyczne sam na sam z Dorotą. Poza tym odniósł wrażenie, że Marta była przez chwilę w jego towarzystwie onieśmielona, i miał nadzieję, że spowodował to jego urok osobisty.

Świadomość tego mile polechtała jego męskie ego.

Przed dwudziestą drugą Marta wysprzątała gabinet po swojej zmianie i poszła do łazienki się przebrać. Następnie wyjęła z szafy niedużą torbę sportową. Rozsunęła zamek, sprawdziła, czy ma strój kąpielowy, i wrzuciła jeszcze ręcznik. Dobrodziejstwem pracy w tym nowoczesnym biurowcu była możliwość korzystania z dobrej bazy sportowej. Poza salonem masażu mieściły się w nim także siłownia, sauna oraz basen. Marta zarzuciła torbę na ramię i wyszła z gabinetu. Kilka minut później szykowała się już do pierwszego skoku do wody. O tej porze zazwyczaj nie było tu nikogo, co bardzo jej odpowiadało. Cały basen miała niemal do wyłącznej dyspozycji. Pływała długo, a jej myśli bez przerwy krążyły wokół Janusza. Rozmyślała głównie o tym, że go bardzo lubi, ale też o jego świetnym ciele i niezwykłych niebieskich oczach w oprawie czarnych rzęs.

Rozdział 9

Na dwudziestą pierwszą Janusz zarezerwował stolik w Moonsferze. Wysłał Dorocie esemes z informacją, by nie planowała niczego na wieczór, bo ma dla niej niespodziankę. W pracy był tak rozkojarzony, że nie potrafił wykorzystać czasu efektywnie i zamiast skupić się na językach programowania, rozmyślał o swojej kobiecie. Po siedemnastej nie mógł już dłużej usiedzieć w miejscu i po prostu wyszedł z biura.

Miasto przeżywało właśnie największą falę upałów. Temperatura na bezwietrznych, rozgrzanych od gorącego asfaltu i betonu ulicach dochodziła do czterdziestu stopni. Skwar narastał z każdym dniem i gdy już się zdawało, że osiągnął apogeum, dobę później okazywało się, że może być jeszcze gorzej.

Janusz wsiadł do klimatyzowanego auta i w drodze do domu podjechał na Mokotowską, aby wstąpić do jednego z butików. Wkroczył do sklepu i niemal od razu zatrzymał wzrok na granatowej sukience Antares projektu Zienia. Nie zastanawiając się wiele, kupił ją, a potem zahaczył o kwiaciarnię, skąd wyszedł z pięknym bukietem czerwonych róż. Wszystko to robił z myślą o Dorocie i dzisiejszym wieczorze. Nie wątpił, że pięknie jej będzie w tej sukni na tarasie Moonsfery.

Podeksytowany podjechał wreszcie pod dom. Wsiadłszy z samochodu, zabrał z siedzenia pasażera zapakowaną w elegancki karton sukienkę oraz kwiaty. Szybko podszedł do drzwi. Miał nadzieję, że prezent się spodoba.

Przekręcił klucz w zamku i nacisnął klamkę. Ujrzał przed sobą Dorotę, która ciągnęła dużą walizkę, robiąc przy tym sporo hałasu. Gdy go zobaczyła, w jej wzroku pojawił się strach. Bez słowa wpatrywała się w niego. Nie spodziewała się go o tej porze w domu.

Rozejrzał się wokół i znów przeniósł spojrzenie na nią. Niczego nie rozumiał.

– Znów wzięłaś jakieś zlecenie? Przecież obiecałaś, że przez jakiś czas nie będziesz pracować.

– Nie idę do pracy – wyjaśniła po cichu, nie patrząc mu w oczy.

– A więc dokąd idziesz?! – Nie takiego widoku się spodziewał. Coś tu było nie tak – w przedpokoju stały trzy duże walizki, a czwartą Dorota właśnie próbowała wyciągnąć na zewnątrz, ale Janusz zatrzymał ją w drzwiach.

– Gdzie jest Julka?! – zawołał coraz bardziej przerażony. – U Marty?

– Nie – odpowiedziała cicho. – Przepuść mnie.

– Co tu się do cholery dzieje?! – wrzasnął i chwycił ją za ramiona, mocno potrząsając. Kwiaty wysunęły mu się z ręki, a pudełko spadło na szafkę.

– Przepraszam cię, Janusz – próbowała mówić spokojnie, lecz głos łamał jej się z emocji. – Próbowałam. Naprawdę próbowałam, ale nie umiem tak żyć.

– Jak, do cholery?! – Tym razem opanował się i nie dotknął jej. – Co zrobiłem nie tak?! W którym momencie?!

Z dłonią wciąż zaciśniętą na rączce walizki wbiła w -niego wzrok. Nie potrafiła pozbierać myśli i w kilku rzeczowych zdaniach podsumować tych wszystkich lat spędzonych razem. Podskórnice chyba zawsze czuła się przy nim osaczona jego

opiekuńczością i miłością. I cały czas tęskniła. Za czymś nienazwanym, nieprzeżyтым, nieodgadnionym. I czekała. Ale nic takiego się nie zdarzyło.

– Co było nie tak? – zapytał spokojniej po dłuższej chwili. – Co z nami będzie?

– Janusz, nas już od dawna nie ma. Naprawdę tego nie czujesz?

– Co będzie z Julką?! – znów zaczął krzyczeć, przejęty paniką. – Gdzie ona jest?

Co jej powiedziałaś?!

– Jest w domu – odparła. – Ona to zrozumie.

– Julcia! – zawołał gdzieś w przestrzeń z nadzieją, że mała zaraz do niego zejdzie, przytuli się, a to będzie znaczyło, że wszystko jest w porządku.

Wyglądało jednak na to, że poza nimi w domu jest tylko Bida, która przestraszona ich krzykami przycupnęła pod stołem w kuchni.

– Nie krzycz tak. Tu jej nie ma – powiedziała Dorota. – Przepuść mnie.

– Gdzie jest moje dziecko?!

Po raz kolejny odważnie spojrzała mu w oczy i nie spuszczać z niego wzroku, oświadczyła:

– To jest moje dziecko.

Wyraźnie nie chciała z nim walczyć, na każdy jego krzyk próbowała odpowiadać spokojnie i cicho, choć, jak nigdy, cała była w emocjach. Zdawała sobie sprawę, że wyrządza mu wielką krzywdę, że nie zasłużył na to porzucenie, ale czuła, że musi tak postąpić. Wiedziała także, że właśnie funduje Julce wielką burzę w jej dziecięcym świecie, miała jednak nadzieję, że córka szybko oswoi się z nowym życiem.

– Nie możesz mi tego zrobić. Ja kocham to dziecko, wiesz przecież... – W tym momencie po jego policzkach potoczyły się łzy. Dorota uderzyła w najczulszy punkt. – Nie możesz... nie możesz... – Więcej nie zdołał powiedzieć, załamał mu się głos.

Oparł się bezradnie o futrynę. Dorota wykorzystała ten moment i wyszła. Dźwignęła dwie walizki naraz i zaniósła je do samochodu. Po chwili wróciła, aby zabrać dwie pozostałe. Janusz osunął się po framudze drzwi na podłogę i siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Płakał, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą się stało. Zupełnie jakby wyparł ze świadomości każde słowo Doroty.

– Przepraszam... – powiedziała, wychodząc, na co on nawet nie podniósł głowy.

Od wschodu niebo zaczynało ciemnieć złowieszczo i od czasu do czasu dało się słyszeć przytłumiony daleki grzmot. Marta siedziała w domu i zgodnie z umową czekała, aż Janusz przyprowdzi do niej Julkę. Dochodziła już dwudziesta, a on ani nie przyszedł, ani nie zadzwonił. Wybrała się więc do sąsiadów, aby sprawdzić, co się dzieje. Zadzwoniła do drzwi, jednak nikt jej nie otworzył. Spróbowała drugi raz i znów nic. Już miała odejść, ale w ostatniej chwili nacisnęła jeszcze na klamkę, która niespodziewanie ustąpiła i drzwi się lekko uchylły. Marta powoli weszła do środka i jako pierwszą dostrzegła Bidę, a tuż obok niej siedzącego pod ścianą Janusza. Nawet nie podniósł na nią wzroku. Gapił się bezmyślnie w jakiś daleki punkt, ocierał od czasu do czasu policzki i nic nie mówił.

– Boże, Janusz, nic ci nie jest? – Martę przeraził jego widok. – Co się stało?

Odpowiedziała tylko cisza. Bida wstała z podłogi i podszedłszy do niej, wcisnęła jej w dłoń swój mokry nos. Marta pogłaskała ją odruchowo, wciąż nie odrywając wzroku

od Janusza.

– Przyszłam po Julkę – odezwała się nieśmiało. – Tak jak się umawialiśmy, pamiętasz?

Spojrzał na nią błędnym wzrokiem.

– Odeszła – rzekł cicho.

Za oknem rozległ się grzmot, głośniejszy niż poprzednie. Marta nie wiedziała, co powiedzieć. Co to znaczy, że Julka odeszła? Boże, chyba nic jej się nie stało? Bała się zapytać.

– Dorota ode mnie odeszła i zabrała mi córkę – dodał po długiej chwili, westchnął i znowu ukrył głowę w dłoniach.

Na dworze znów zagrzmiało. Marta obejrzała się przez ramię i poczuła jakiś wewnętrzny chłód. Bida zrobiła się niespokojna i z podkulonym ogonem wcisnęła się jej między nogi. Janusz, na pozór otepiały, tkwił niewzruszenie pod ścianą.

W rzeczywistości zaś serce rozrywało mu się na tysiąc kawałków, bo bezpieczny świat, który stworzył swoim kobietom i sobie, właśnie runął. A może zawsze był fikcją i tylko jemu się wydawało, że wszystko było w najlepszym porządku. W niczym nie mógł znaleźć pocieszenia. Wyrzucał sobie, że niedostatecznie zachęcał Dorotę do małżeństwa, gdyby bowiem już wcześniej zgodziła się za niego wyjść, zdążyłby przysposobić Julkę i dziś miałby prawo chociaż się z nią widywać. Nie mógł sobie wybaczyć, że tak karygodnie naraził ją na obecne problemy i że nie był bardziej stanowczy. Sprawę ślubu i adopcji trzeba było przeprowadzić siedem lat temu, tak długo nakłaniać Dorotę, aż wreszcie zrozumiałaby jego dobre intencje. Bo przecież miał dobre intencje. Pokochał to dziecko jak swoje, a ona go teraz brutalnie z nim rozdzieliła. Im dłużej siedział na podłodze, tym bardziej narastała w nim złość. Nie na Dorotę, na siebie.

Marta wciąż stała jak osłupiała, nie mając pojęcia, jak zareagować. Wreszcie podeszła do niego i przykucnęła. Ani drgnął. Teraz wyraźnie widziała łzy w jego oczach. Wyciągnęła nieśmiało dłoń i dotknęła jego palców. Miała ochotę mocno go przytulić, lecz jej na to nie pozwolił. Podniósł głowę, skierował na nią szkliste spojrzenie, ale jego wzrok przeszył ją na wskroś, jakby wcale jej tu nie było.

– Psa muszę wyprowadzić. – Wstał powoli, odsunął się od niej i przeniósł obłąkane spojrzenie na Bidę.

Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Pies pobiegł za nim. Wiatr wzmagął się coraz bardziej i gnał stalowe chmury. Grzmoty niosły się z groźnym pomrukiem nad całą stolicą, a błyskawice cięły niebo. Nad Warszawą zaczynała się pierwsza tego lata burza.

Janusz stał na podwórku i nawet nie zauważył, że Bida już dawno uciekła przed deszczem do domu. W otwartych drzwiach stała Marta; niemal czuła jego ból. Nie miała bladego pojęcia, jak temu zaradzić, ale gdyby tylko wiedziała, pomogłaby Januszowi bez wahania. Podeszła wreszcie do niego i spojrzała mu w oczy. Łzy dawno pomieszały się z deszczem i teraz już całą twarz miał mokrą. Włosy w wilgotnych strąkach opadały mu na czoło, koszula i spodnie przykleiły się do ciała, a on stał nieruchomo, wpatrzony nie wiadomo gdzie.

Deszcz był ciepły, ale bardzo intensywny. Wystarczyło kilka chwil, by Marta także całuteńka przemokła.

– Wejdz do środka – położyła dłoń na jego ramieniu.

– Tak... – odparł po chwili, kiedy zdał sobie sprawę, że ona mówi do niego.

Odwrócił się, wciąż odrętwiały, po czym poszedł do domu. Wyraźnie nie szukał teraz towarzystwa, toteż Marta ruszyła do siebie.

– Jestem obok! – krzyknęła jeszcze na odchodnym poprzez szum deszczu i grzmotów. – Gdybyś potrzebował... – dodała.

– Mamusiu, niech to się wreszcie skończy... – Julka jęczała ze łzami w oczach, przestraszona burzą. – Ja chcę do domu.

– Skarbie, już ci mówiłam, że teraz tutaj jest nasz dom. – Dorota starała się być cierpliwa i z czułością zwracać się do córki, ale najchętniej podniosłaby głos. – Myślałam, że sobie to wyjaśniłyśmy.

Julka słyszała wyraźnie każde słowo, i to nie raz, ale i tak wciąż nic nie rozumiała. Od kilku godzin błagała, by wróciły do ojca i psa, ale mama była nieugięta. Pokrętnie tłumaczyła, że teraz tatuś ma bardzo dużo pracy i nie można mu przeszkadzać, a na domiar złego przedstawiła jej jakiegoś wujka, który właśnie siedział na kanapie i czekał nie wiadomo na co.

Nowy dom był dla Julki pułapką pełną strachów. Nie wiedziała, w której części Warszawy się znajduje ani dlaczego ma teraz w nim mieszkać. Nie umiała się odnaleźć w zupełnie obcym otoczeniu – nie potrafiła nawet zapamiętać rozkładu pokoiów.

Nowy wujek miał na imię Piotr i wydawał się całkiem sympatyczny, tylko nie wiedzieć czemu, jakoś tak przytulał się do mamy, jakby i on bał się burzy. Na powitanie wręczył Julii pluszowego misia i zaprowadził ją do nowego pokoju. A kiedy mama pojechała gdzieś na dość długo i w końcu wróciła z walizkami, on był z nią przez cały czas i próbował wymyślać różne zabawy. Do wieczoru było jako tako, chwilami nawet fajnie, ale kiedy Julka wreszcie zażądała od matki, by wróciły na Zakopiańską, w głowie jej się pomieścić nie chciało, gdy usłyszała, że tam już nie jest jej dom. Jak to możliwe, że rano jeszcze był, a teraz już nie? Miała mętlik w głowie i w żaden sposób nie potrafiła sobie tego wszystkiego rozsądnie poukładać. W końcu się rozplakała i chlipała jeszcze długo. A potem zasnęła snem płytkim i niespokojnym.

Dorota dopiero wtedy mogła wrócić do Piotra.

– No i jak? – zapytała, siadając mu na kolanach. – Jakoś cię nie zjadła.

– Nie było tak źle – przyznał. – Chyba się dogadamy.

Więcej już nie rozmawiali o Julce.

Od następnego dnia została zatrudniona opiekunka, która miała się zajmować Julką, gdy Dorota z Piotrem byli w pracy. W grafiku Doroty nic się nie zmieniło, wciąż brała wszystkie zlecenia na wycieczki, jakie tylko dała radę wykonać. Piotr także dużo pracował w swojej korporacji, tak więc opiekunka była niezbędną.

Dziewczynka czuła się nieszczęśliwa i tęskniła za Januszem z każdym dniem coraz bardziej. Już dawno by do niego zadzwoniła, ale matka długo jej tłumaczyła, że tatuś ma teraz bardzo ważny projekt w pracy i prosił, by mu nie przeszkadzać. Tyle zrozumiała, więc nawet nie podchodziła do matczynej komórki. Swojej zaś nie miała.

*

Janusz myślał, że oszaleje. Pierwszą noc bez dziewczyn przesiedział prawie w bezruchu zupełnie po ciemku. Dzień nie przyniósł mu żadnego ukojenia; został w domu, snując się po nim i przysiadając wśród kilku lalek pozostawionych w dziecięcym pokoju. W szafach świeciły puste półki. Serce mu się rozdzierało na ich widok.

Komórka dzwoniła wielokrotnie, ale żadne połączenie nie było od Doroty, więc nie odbierał. Zdecydowana większość to telefony od Mateusza, który nie był zadowolony, że wspólnik zawala pracę. Domyślał się, że pewnie romantyczna kolacja przedłużyła mu się na rano, ale to jeszcze nie powód do wa-garów.

Oczywiście Janusz próbował skontaktować się z Dorotą, jednak przez cały dzień włączała się poczta głosowa. Nie wiedział, gdzie jest jego córka, i odchodził od zmysłów na myśl, że ten koszmar może nigdy się nie skończyć.

Pod wieczór Mateusz postanowił pojechać na Zakopiańską i nawtykać kumplowi, że przez cały dzień go lekceważył. Zanim jednak wyszedł z biurowca, wstąpił jeszcze do salonu masażu, bo przypomniał sobie, że pracuje w nim sąsiadka Janusza. Miał szczęście, Marta akurat była w pracy. Zaczekał, aż skończy masaż i wszedł do gabinetu.

– Dzień dobry, Mateusz Rogalski – wyciągnął do niej dłoń. – Przepraszam, czy to pani jest sąsiadką Janusza Bilskiego?

– Tak – odpowiedziała trochę przestraszona. – Czy coś mu się stało?

– Liczyłem, że pani mi odpowie na to pytanie.

– Marta jestem – przedstawiła się z nieznacznym uśmiechem. – A pan to zapewne jego wspólnik?

– Dokładnie. I wkurza mnie ten dupek, bo przez cały dzień nie mogę się do niego dodzwonić.

– Ja tak samo.

Marta uznała, że skoro ma przed sobą przyjaciela Janusza, to chyba powinna mu powiedzieć, co się wczoraj stało. Martwiła się bowiem o Bilskiego i Mateusz spadł jej jak z nieba.

– Zawsze była wyrachowaną suką, tylko ten głupek nie chciał tego widzieć – Mateusz spuentował ostatnie osiem lat życia Janusza.

Dzięki Marcie mniej więcej wiedział, czego może się spodziewać na miejscu. Oczekiwał kumpla w rozsypce i takiego też zastał. Janusz otworzył mu drzwi dopiero po którymś dzwonku z kolei i bez słowa wpuścił go do środka.

– Dobra – zaczął bez ceregieli – mniej więcej wiem, co się stało, i mam kilka pomysłów, jak przez to przebrnąć. Po pierwsze: mogę się uzalać nad twoim losem i powtarzać ci, że wszystko się jeszcze ułoży. Po drugie: mogę wreszcie głośno powiedzieć, co myślę o Dorocie. Po trzecie: mogę się z tobą upić. Która wersja najbardziej ci odpowiada?

Janusz spojrzał na niego jak na błazna.

– Spadaj – rzucił po długiej chwili.

– Kiedy zamierzasz przyjść do pracy?

– Nie wiem.

– A co zamierzasz dalej robić w życiu?

Teraz Janusz spojrzał na niego jak na wroga i w ogóle nic nie powiedział.

Wizyta Mateusza nie była długa. Janusz wyraźnie nie chciał towarzystwa, zamierzał sam trwać w swojej udręce. W tej sytuacji należało zostawić go w spokoju, dać mu czas i czekać. Po wyjściu współnika Bilski poszedł do pokoju Julki, usiadł na jej łóżku i ściskając w dłoni jedną z lalek, znów się rozplakał.

W takim stanie trwał niemal przez tydzień. Prawie nie jadł, nie pił alkoholu, chcąc zachować trzeźwość umysłu, rzadko wychodził do spożywczego i równie rzadko brał prysznic. Dbał jedynie o psa, wypuszczając go na dwór i dosypując mu karmy do miski.

Po sześciu dniach na wyświetlaczu jego komórki pojawił się numer Doroty. Szybko odebrał połączenie i krzyknął do słuchawki:

– Halo, Dorota?!

– Tatusiu, czy masz już czas? – Julka spytała drżącym głosem.

– Kotku, zawsze mam dla ciebie czas. – Serce tłukło mu się jak oszalałe. – Gdzie jesteś, skarbie?

– Mamusia mówiła, że nie można ci przeszkadzać, bo pracujesz. – Teraz już płakała.

– Juleczko, ty mi nigdy nie przeszkadzasz. – Głos mu się łamał, a podbródek niebezpiecznie drżał. – Powiedz mi, gdzie teraz jesteś?

Dorota nie robiła z córki zakładnika, próbowała normalnie ułożyć sobie życie na nowo i dzień po przeprowadzce wyjaśniła jej, gdzie dokładnie są i że teraz tutaj jest ich nowy dom. Julia podała więc ojcu adres, na co on szybko wziął prysznic, przebrał się, wskoczył do auta i pognął do Magdaleny.

Niecałe dwie godziny później był na miejscu. Stał przed piękną nową willą i nacisnął dzwonek domofonu. Po chwili w drzwiach domu pojawił się mężczyzna, który nie otworzył mu furtki, tylko wyszedł do niego.

– Dzień dobry, panie Bilski. Wiedziałem, że kiedyś pana spotkam, ale nie sądziłem, że tak szybko. – Piotr był uprzejmy i raczej nastawiony ugodowo.

– Chcę zobaczyć się z córką – odpowiedział oschle Janusz.

– Julia teraz śpi i nie będę jej niepokoił.

– Wpuść mnie – syknął. – Chcę zobaczyć się z dzieckiem!

– Proszę się nie awanturować, bo będę zmuszony wezwać policję. O ile mi wiadomo, to nie jest pańskie dziecko. Przykro mi, ale Dorota nie upoważniła mnie do rozmowy z panem. Żegnam.

Gdyby nie dzielił ich solidny płot, Janusz z pewnością rzuciłby się facetowi do gardła. Doskonale wiedział, że Julia czeka na niego i może nawet spogląda gdzieś przez okno w stronę furtki, dlatego powstrzymał się przed robieniem awantur. Szybko zrozumiał, że nie zostanie wpuszczony do tego domu, nie miał przecież żadnych praw do dziecka.

Powrót do domu był gorzki. Łzy znów niekontrolowanie napływały mu do oczu. Co dziwne, potrafił nie rozmyślać o Dorocie, ale w żaden sposób nie umiał uwolnić się od tęsknoty za Julią.

Nie wiedział, że w tym samym czasie córka zanosila się od płaczu, ponieważ tata nie przyjechał, bo nie mógł się wyrwać z pracy. Mimo że obiecał.

Następujące po sobie dni wcale nie były łatwiejsze, czas nie leczył ran, wręcz

przeciwnie – wszystkie były wciąż na nowo rozdrapywane. W końcu Janusz znalazł jednak w sobie siłę, by wyjść z domu i zamknąć kilka ważnych spraw. Odwołał ślub, rezerwację lokalu, orkiestrę, fotografa i kamerzystę. Druku zaproszeń odwołać nie zdążył, bo kiedy przyszedł do drukarni, czekały już gotowe do odbioru. Zapłacił, wziął pakunek i rzucił go na tylną kanapę samochodu. Tak oto na sześć tygodni przed ślubem został sam, bez narzeczonej i córki. Potem zebrał się w sobie na tyle, że wreszcie po kilkunastu dniach zjawił się w biurze. Jego przykra historia była tu tajemnicą poliszynela, ale nikt nie odważył się pisać choćby słówkiem na ten temat. Odgrywano przed nim farsę, w którą całkiem chętnie wszedł, bo nie miał najmniejszej ochoty zwierzać się komukolwiek. Nawet Mateusz w sumie niewiele wiedział. Nie rozkleił się przed nikim poza Martą. Zresztą gdyby wtedy nie przysłała do niego, z pewnością i ona nie zobaczyłaby go w tak kiepskiej formie. Zacisnął zęby i powoli zaczynał odbijać się od dna.

Ostatnim naprawdę trudnym momentem była rozmowa z rodzicami. Ojciec przyjął jego lakoniczną informację o rozstaniu z wielkim i prawdziwym współczuciem, matka natomiast trochę musiała udawać, że jest jej bardzo przykro. Najbardziej przejmowała się tym, że wkrótce wszyscy znajomi i reszta rodziny dowiedzą się o skandalu, jaki przytrafił się jej synowi. Uważała, że właściwie dobrze się stało, że ten związek się rozpadł, bo dopiero teraz jej syn będzie mógł znaleźć sobie kogoś odpowiedniego. Chciała, aby Janusz był szczęśliwy, ale niekoniecznie z Dorotą. Była jednak na tyle uprzejma, że nie powiedziała tego wszystkiego głośno.

Marta dwa lub trzy razy w tygodniu chodziła na basen. Zawsze bardzo późnym wieczorem, kiedy miała niemal pewność, że będzie tam sama. Czasem umawiała się na wspólne pływanie z Agatą. Pokonywały kilka długości, wychodziły z wody i zmęczone opadały na leżaki lub pozostając w wodzie, opierały przedramiona na brzegu, kładły na nie głowy i swobodnie machając nogami, plotkowały.

Właśnie w jeden z takich wieczorów na basenie pojawił się Mateusz. W uszach miał słuchawki i podrygiwał w rytm muzyki. Położył ręcznik na leżaku przy wejściu, rzucił wzrokiem na wyświetlacz komórki, po czym ją również odłożył, wyjął słuchawki z uszu i wszedł do wody. Całkiem spokojnie zaczął płynąć do przeciwległego brzegu. W dwóch trzecich długości zszedł tuż nad dno i nurkując, płynął dalej.

Uczepione brzegu basenu dziewczyny krzyknęły równocześnie i gwałtownie odwróciły się w kierunku tafli wody. Tuż przed nimi wyłonił się Mateusz, który niemal je staranował. Przestraszyli się wszyscy troje; hala pływalni była duża, a światło przyćmione i zapewne dlatego nie zauważyli siebie nawzajem. Nawet wyczulona na dźwięki Agata straciła czujność.

– Przepraszam – zawołał Mateusz. – Bardzo przepraszam, myślałem, że jestem sam. – Mówiąc to, zaczesywał mokre włosy do tyłu, by woda przestała zalewać mu oczy. – Marta? – dopiero po chwili ją rozpoznał.

– Boże, ale mnie przestraszyłeś.

– Naprawdę nie chciałem... – Zamierzał dodać coś jeszcze, ale urwał i przyjrzał się uważniej Agacie. Chociaż światło było słabe, a ona miała mokre i przyklejone gładko do głowy włosy, i tak rozpoznał, że to ta sama dziewczyna, która mignęła mu przed paroma tygodniami w windzie i lobby biurowca. Zapomniawszy języka w gębie,

wpatrywał się w nią bezczelnie.

Agata oczywiście wyczuła napięcie, nie знаła jednak jego przyczyny. Trzymała twarz na wysokości twarzy Mateusza i czekała na jakikolwiek gest, słowo czy ruch, by mogła się upewnić, że właściwie zlokalizowała jego położenie.

Z przedłużającego się milczenia wybawiła ją Marta, przedstawiając ich sobie. Kiedy Mateusz wyciągnął dłoń z wody, by się przywitać, cichy plusk pomógł Agacie ją namierzyć. Bezbłędnie trafiła swoją dłonią.

Mateusz uznał ten dzień za jeden z najszcześniejszych w swoim życiu. Nawet nie śmiał marzyć, że jeszcze kiedykolwiek zobaczy tę dziewczynę, a tu proszę, wręcz dostrzegał już pewne szanse na ponowne spotkanie, skoro ona zna Martę, a Marta zna Janusza. Przecież z tego da się zrobić całkiem przyjemną randkę.

Dziewczyny uznały, że wystarczy im już sportu na ten wieczór, wyszły więc z wody i wytarły się ręcznikami, opuściły pływalnię. Mateusz odprowadził je wzrokiem aż do samych drzwi, a dokładniej rzecz ujmując – wiodł spojrzeniem tylko za Agatą. Potem jeszcze dosyć długo pływał, a przez cały ten czas towarzyszył mu obraz nowo poznanej ładnej dziewczyny.

Rozdział 10

Wrzesień był bardzo ciepły i słoneczny. Temperatura spadła już co prawda sporo poniżej trzydziestu stopni, ale jak na końcówkę lata pogoda była wciąż wspaniała.

Mijały tygodnie, a Janusz nadal nie miał kontaktu ani z Julką, ani z Dorotą, która konsekwentnie nie odbierała telefonów i nie reagowała na pozostawione na poczcie głosowej wiadomości. Musiała rzeczywiście być bez serca, skoro tak kategorycznie i brutalnie odcięła dziecko od ojca.

Janusz pozbierał się już na tyle, że nawet zdobył się na to, iż prawie bez emocji przeszedł po domu i pozbierał do kartonowego pudła resztę rzeczy, których nie zabrała ze sobą Dorota: kilka jej bluzek, jakieś kosmetyki, parę płyt CD oraz trzy książki. Z pokoju Julki nie ruszył niczego. Matka co prawda spakowała ją dokładnie, ale kilka drobiazgów przeoczyła: jakąś zawieruszoną pod łóżkiem spinkę do włosów, lalki, jeden kapeć wsunięty pod fotel, książeczki na dobranoc... Wszystko to stanowiło dla niego teraz relikwie, do których zaglądał co wieczór, dotykał ich z namaszczeniem i -przysiadawał wśród nich na brzegu łóżka.

Pierwszego września zamiast pojechać od rana do pracy, poszedł pod Julki szkołę. Czekał niecierpliwie, czy zobaczy ją w tłumie dzieciaków, ale szybko zrozumiał, że niepotrzebnie się łudził. Przecież nikt nie będzie jej tu woził z Magdalenki. Zawiedziony pojechał w końcu do pracy.

Mateusz próbował odwrócić jego myśli od dziecka i raz po raz zaczynał rozmowy na najróżniejsze tematy. Przeważnie potwornie nimi nudził przyjaciela, ale się nie poddawał, bo przecież musiał coś zrobić, by jego wspólnik wreszcie -powrócił do żywych.

– Słuchaj, pamiętasz, jak jakieś dwa, trzy miesiące temu wspominałem ci o dziewczynie, którą spotkałem w naszym lobby?

Janusz nie podniósł nawet wzroku znad monitora, sądząc, że za chwilę znów usłyszy coś banalnego.

– Nie – odparł jedynie.

– Jak to: nie? – Mateusz lekko się zirytował. – Taka ładna. Wyszła z windy, a zaraz potem z budynku. Zwróciłem na nią uwagę... Nie pamiętasz?

Bilski odłożył myszkę i spojrzał na kumpla. Coś mu rzeczywiście świtało, ale Mateusz przecież niejednokrotnie zauważał piękne dziewczyny.

– Ta, co się w niej od razu zakochałeś? – Janusz lekko się uśmiechnął.

– Eee tam... – zachnął się Mateusz.

– O ile pamiętam, tak właśnie wtedy powiedziałeś – Janusz wyraźnie kpił. – Chyba, że to jednak nie o tę chodzi.

– O tę, o tę – potwierdził gorączkowo Rogalski.

– No? I co z nią? – zainteresował się wreszcie Janusz.

– Właśnie wczoraj ją znowu spotkałem – pochwalił się Mateusz. – W bardzo przyjemnych okolicznościach... – dozował napięcie. – Była prawie naga...

Janusz był niemal pewien, że Mateusz wymyśla kolejną bzdurę, byle tylko

zawracać mu głowę.

– I na pewno wołała do ciebie z ekranu telewizora. – Musiał jednak przyznać, że na chwilę poprawił mu się humor.

– Stary, ja ją naprawdę spotkałem! U nas na basenie!

– Tak? – Janusz znów zobojętniał.

– Tak! I była razem z twoją sąsiadką!

– Z Martą? – tym razem się zdziwił.

– O, wreszcie odrobina zainteresowania, przebłysk myślenia! – zawołał Mateusz.

– Chcesz powiedzieć, że twoja miłość – powiedział to z przekąsem – zna się z Martą?

– Najwyraźniej.

– A imię jakieś ma?

– Agata – oznajmił nie bez dumy Mateusz.

– Agata?

– Głuchy jesteś? Agata – potwierdził na wszelki wypadek. – Stary, jak ona na mnie patrzyła... – chwalił się.

– Agata? – Janusz nie miał pewności, czy przyjaciel przypadkiem nie pomylił jej z Martą.

– No Agata, Agata! A o kim mówimy?!

– No nie wiem. Chyba o Agacie, przyjaciółce Marty. Albo i nie... – Janusz trochę się już zagubił.

– Żebyś ty wiedział, jaka ona jest ładna.

– Agata? – Janusz znów powtórzył z niedowierzaniem. – Wiem, znam ją.

– Agatę? I nic mi do tej pory nie mówiłeś?!

– Ale że co? – Janusz się roześmiał. – Że znam Agatę?

– Że znasz taką fajną dziewczynę, i w dodatku moją dziewczynę.

– A ona jest twoja?

– No chyba bardziej moja niż twoja! To ja ją wypatrzyłem wtedy w lobby!

– Ale to na pewno ta sama?

– Na pewno ta sama, która była w lobby, tylko nie wiem, czy to ta, którą ty znasz. Mam jednak sposób, żeby to ustalić. – Mateusz był wyraźnie podekscytowany. – Zaprosisz mnie i obie dziewczyny do siebie na grilla i wtedy się wszystkiego dowiemy.

– Nie robię żadnego grilla.

– A właśnie że robisz.

– Jestem pewien, że nie robię.

Minęło już siedem tygodni, odkąd Antoni Bilski wrócił z Janowca do Warszawy. Początkowo miał ochotę znów pojechać w rodzinne strony, ale okoliczności sprawiły, że przestał o tym myśleć. Miły stan ducha wywołany spotkaniem Grażyny minął, kiedy Januszowi życie wywróciło się do góry nogami. Odwołanie ślubu i nagłe zniknięcie wnuczki bardzo odbiły się także na samopoczuciu dziadka, który chodził smętny z kąta w kąt i zwyczajnie tęsknił za małą. Gdy dopadał go wyjątkowo nieznośny smutek, szukał wtedy kontaktu z Krystyną, ponieważ uważał za oczywiste, że w trudnych chwilach ludzie sobie bliscy powinni trzymać się razem. Zaparzał więc dwie kawy, stawiał filiżanki

obok siebie na małym stolyczku, przysiadł na fotelu i cierpliwie czekał, aż żona do niego dołączy. Przychodziła, dmuchała w gorący napój, pociągała łyk czy dwa i pozornie wszystko wyglądało jak trzeba – mąż i żona wspierający się w kłopotach.

Jednak była to fikcja. Krystyna z dużo większym spokojem niż mąż podeszła do nieszczęścia syna. Owszem, współczuła mu, ale potrafiła znaleźć w tej sytuacji także pozytywy. Uważała bowiem, że teraz Janusz ma wreszcie szansę trafić na kobietę odpowiednią dla niego. Naprawdę w to wierzyła i życzyła mu szczęścia, tylko, na Boga, niech da już sobie spokój z tą Dorotą! Przecież ona wcale nie była taka wspaniała. Co do dziecka – przemilczała tę kwestię, bo cóż miała powiedzieć? Że znajdzie sobie inne? Niby troszkę żałowała małej Julki i chyba nawet niełatwo jej było przyjąć, że pewnie już jej nie zobaczy, ale przecież są większe tragedie na świecie. Tu przynajmniej wszyscy żyją.

Antoni nie pojmował chłodu żony.

– Nie taką cię pamiętam sprzed lat – kwitował za każdym razem i odchodził do kuchni z pustą już filiżanką.

– Ty też już nie jesteś taki sam – odpowiadała bez emocji, po prostu stwierdzając fakt.

– Chciałbym na jakiś czas pojechać do Janowca – oznajmił w końcu któregoś dnia.

– A co ty będziesz robił w tej ruinie? – zdziwiła się.

– Będę myślał – odparł wymijająco. – Może wybrałabyś się ze mną? – Podjął chyba ostatnią próbę ratowania małżeństwa.

– Dziękuję – odmówiła. – Klimat Warszawy bardziej mi służy.

Tak więc nie dogadali się znowu.

Antoni odczekał do wieczoru i pojechał na Zakopiańską. Janusz wciąż był przygnębiony, chyba nie miał żadnego sprecyzowanego celu na przyszłość, ale mimo wszystko szedł do przodu. Dobrze i to. Antoni nie tracił nadziei, że kiedyś musi mu się przecież polepszyć i znów nabierze ochoty do życia.

– Jak tam, synu? – niezbyt zgrabnie zagał rozmowę. – Radzisz sobie jakoś?

– Jakoś – odpowiedział.

– Mogę ci pomóc?

Takich pytań Janusz słyszał już dziesiątki. Dobijały go i szalenie irytowały.

– Tylko jedna osoba mogłaby mi pomóc – odparł. – I tylko w jeden sposób.

Antoni przyjrzał mu się uważnie.

– Naprawdę byłbyś w stanie przyjąć ją z powrotem? Po tym, jak z tobą postąpiła?

– Zrobiłbym wszystko, by odzyskać córkę. – Janusz odwrócił twarz do ściany, by ojciec nie widział jego drżącego podbródka i napływających do oczu łez.

Wielka miłość do Doroty zdecydowanie wygasła, wręcz chyba przerodziła się w nienawiść. Zaczynał nią gardzić, a myśl o niej budziła w nim gniew, agresję i odrazę. Tylko tak się złożyło, że był przy niej ktoś, na kim mu bezgranicznie zależało. Dla odzyskania Julki byłby gotów schować wszystkie swoje żale oraz śmiertelnie urażoną dumę i z powrotem przyjąć Dorotę pod swój dach. Tak mu się wydawało.

– Tato, przecież jej miejsce jest tutaj – odezwał się po długiej chwili. – Ona tu spędziła całe swoje życie, nie zna innego domu. Tu miała kochającego ojca i matkę. Tu była jej rodzina! I nadal powinna być!

Antoni zbliżył się do syna i otworzył ramiona, jakby chciał go przytulić. Janusz jednak mu na to nie pozwolił. Zrobił krok w tył i zrećźnie przeszedł do kuchni. Po drodze pogłaskał nieodstępującą go ani na chwilę Bidę. Tylko ją przytulał przez ostatnie tygodnie i tylko jej bliskość tolerował.

– Synu, dasz sobie radę?

– Jasne. Nie musisz się o mnie martwić.

– Właściwie to wstąpiłem do ciebie z pewną sprawą... – zaczął Antoni i urwał. – Chciałbym pojechać do Janowca. Mogę się tam zatrzymać?

– Tato, co to za pytanie? Przecież już ci mówiłem, że to przede wszystkim twój dom.

– No właśnie nie do końca.

– W każdej chwili mogę go na ciebie przepisać. W zasadzie tak byłoby nawet lepiej. Ja się tam nie przeniosę, a on tylko stoi i niszczeje.

– Nie, synu, niech wszystko zostanie, jak jest. Ja chciałbym jedynie przez jakiś czas tam pomieszkać.

– Matka? – Janusz wiedział, przed kim ojciec próbuje się ukryć.

– No, nie przesadzajmy – Antoni się roześmiał. – Powiedzmy, że nie tylko tobie jest ciężko.

– Słaba to pociecha. – Janusz też spróbował zdobyć się na uśmiech. Podeszedł do komody, wyjął z szuflady klucz na plecionym sznurku i wręczył go ojcu.

– Proszę usiąść – młoda kobieta wskazała Dorocie miejsce w niskiej szkolnej ławce. – Dziękuję, że znalazła pani czas, aby przyjść.

– O co chodzi? – Dorota była jak zwykle elegancka i wyniośle poważna.

– Mamy pewne kłopoty z Julią. Dziewczyńce najwyraźniej niełatwo jest zaaklimatyzować się w grupie rówieśniczej.

– To niemożliwe – przerwała Dorota. – W poprzedniej szkole nic takiego nie miało miejsca.

– A tutaj tak – odparła wychowawczyni. – Julia jest labilna emocjonalnie, stroni od kolegów, wręcz odpycha ich od siebie i nie uważa na lekcjach. Czy takie rzeczy dostrzegła pani już wcześniej?

– Oczywiście, że nie. Przecież mówiłam.

– Proszę pani, mam wobec tego pewną propozycję. Chcemy objąć Julię pomocą szkolnego psychologa. To jej pomoże odnaleźć się w nowym środowisku.

Dorota była zaskoczona. Owszem, widziała, że w domu Julka jest zupełnie inna niż przed kilkoma miesiącami, ale sądziła, że już jest lepiej, że córka powoli przyzwyczaja się do Piotra i przestaje tęsknić za Januszem. Fakty były jednak inne. Julia zamknęła się w sobie, wycofała i po kryjomu ciągle płakała za ojcem. Z rozrzewnieniem wspominała też dziadka i psa oraz bezpieczny dom na Zakopiańskiej. Gdyby tylko dano jej wybór, bez zastanowienia pobiegłaby do Janusza i została z nim na zawsze. Jeśli to samo zrobiłaby mama, byłoby cudownie, ale jeżeli wołałaby zostać z wujkiem Piotrkim, to Julia nie miałaby nic przeciwko temu. Jedno wiedziała na pewno: jeśli nie może być i z mamą, i z tatą, to wołałaby zamieszkać z tatą. Przecież mamy i tak prawie nie ma w domu. A wujek? To całkiem obcy pan, który -prawie się do niej nie odzywa, bo chyba nie wie,

o czym mógłby z nią porozmawiać.

Dorota przestała się łudzić, że wszystko wraca do normy. Wychowawczynie jasno powiedziała, że Julka ma problem, z którym sobie nie radzi, i trzeba jej pomóc, aby się z nim uporała, zanim będzie za późno.

Wieczorem usiadła z Piotrem na kanapie i przy lampce wina próbowała poruszyć z nim ten temat. Niecierpliwił się, kiedy opowiadała o wizycie w szkole, bo zdecydowanie bardziej wolałby w tym momencie poświęcić całą swoją uwagę Dorocie. Ona jednak była uparta.

Wysłuchał jej w milczeniu, lecz nie udzielił żadnej rady, bo na dzieciach po prostu się nie znał. Poza tym trochę już się rozczarował wspólnym życiem z Dorotą. Dopóki spotykali się ukradkiem w mieście czy nawet tutaj, u niego w domu, wszystko było jakieś inne, bardziej urokliwe, ogniste i namiętne. Odkąd natomiast wprowadziły się do niego, czar jakby prysł, a Dorotą musiał dzielić się też z Julką. Prawdę mówiąc, bardziej mu odpowiadało, gdy dzielił się nią z Januszem.

Zbliżała się ostatnia sobota września i Janusz robił się coraz bardziej niespokojny. Choć nic nie mówił, Mateusz wyczuł jego napięcie i po raz kolejny próbował wprosić się do niego na imprezę. Myślał, że to dobry pomysł, by w ten sposób odwrócić uwagę kumpla. Bilski jednak znowu kategorycznie odmówił. Mateusz bardzo żałował, ponieważ liczył na to, że przy okazji mógłby zająć się też nieco sobą i poflirtowałby z Agatą.

Wobec uporu Janusza zmuszony był udać się po pomoc do Marty. Zajrzał do jej gabinetu, ale była zajęta, umówili się więc na nieco później. Siedział w biurze i niecierpliwie czekał.

Wreszcie się doczekał i ponownie wszedł do salonu.

– Słuchaj, jest sprawa – zaczął niemal w drzwiach.

– Siadaj – Marta wskazała mu krzesło do masażu.

Bez większego zastanowienia skorzystał z zaproszenia i usiadł jak na fotelu dentystycznym.

– Odwrotnie – pouczyła go Marta.

– Jak odwrotnie? – zdziwił się, bo nie wiedział, jak inaczej można dosiąść ten mebel.

– Twarzą do zagłówka – wyjaśniła.

Wstał i przyjął pozycję jak na klęczniku czy koniu.

– No więc jest sprawa – zaczął jeszcze raz. – Trzeba ratować Janusza.

Marta podeszła do niego i dotknęła jego karku. Miał mocno napięte mięśnie pleców, jak większość pracowników siedzących za biurkiem.

– Mogę? – spytała, próbując dosięgnąć do guzika jego koszuli.

Podniósł głowę z zagłówka, nie kryjąc zaskoczenia.

– Właściwie to chciałem pogadać.

– Gadaj – uśmiechnęła się. – A ja będę masować. Może tak być?

– Może – zgodził się i zdjął koszulę.

– To co się dzieje z Januszem? – Próbowała być opanowana, ale z jakiegoś powodu czuła niepokój.

– Jutro jest termin jego ślubu.

- Nie wiedziałam.
- No i już czas najwyższy wyciągnąć go do ludzi. Kiedyś przecież musi się z tego podnieść, tak czy nie?
- Kiedyś musi... – Marta nie miała żadnej rady dla niego. – Co proponujesz?
- Imprezę. U niego.
- A on o tym wie?
- Wie i odmówił.
- No to po sprawie – skwitowała.
- No ale chyba po to są przyjaciele, żeby pomagać, nie uważasz?
- Zgadza się – potwierdziła. – Ale on chyba wyraził się jasno? To jeszcze nie czas, dajmy mu spokój.
- Ile można czekać? Ta suka zostawiła go prawie dwa miesiące temu, a on ciągle nie może się pozbierać do kupy.
- Bo ją kochał. Miłości nie zapomina się tak łatwo.
- Ona nie była warta jego miłości. – Mateusz robił się coraz bardziej zły.
- Ale Julka była – trafiła w sedno Marta.
- No tak – przyznał.

Marta kategorycznie odmówiła przygotowywania potajemnej imprezy i z pomysłu Mateusza nic nie wyszło. Był tym bardziej niezadowolony, że w tej sytuacji rozwiały się także jego własne nadzieje. Nie upiecze jednak dwóch pieczeni na jednym ogniu.

Marta nie była pewna, czy dobrze zrobiła, odmawiając mu. Januszowi rzeczywiście przydałby się kontakt z ludźmi, ale skoro od nich stroni, to widocznie wciąż jeszcze przeżywa tę swoistą żalobę. Człowiek wszystko przeboleje, tylko potrzebuje na to czasu. A widać czas Janusza jeszcze się nie skończył.

Wieczór Marta spędziła z książkami. Na ostatni dzień września miała wyznaczony termin obrony pracy magisterskiej i każdą wolną chwilę poświęcała na naukę. Ciągłe jej się wydawało, że czegoś nie umie, szukała nerwowo w podręcznikach, czytała, powtarzała, a zaraz potem znów natykała się na coś, czego, jak sądziła, jeszcze nie umiała. I tak w kółko od kilkunastu dni. Początkowy stres, który był konstruktywny, teraz przeradzał się powoli w destruktywną panikę. Chciała, by ten koszmar wreszcie się skończył, bo taka nerwówka była ponad jej siły. Agata jakoś lepiej radziła sobie ze stresem, ponieważ z natury była spokojniejsza i bardziej pewna siebie. Ona również miała termin obrony wyznaczony na trzydziestego września.

Po kolejnej dużej dawce nauki Marta wyszła przed snem zaczerpnąć świeżego powietrza i dotlenić spracowany mózg. Już dawno minęła pierwsza i cała Zakopiańska spała. Prawie absolutnej ciszy nie zakłócał żaden szmer ani hałas samochodów. Od czasu do czasu zaszeleścił tylko jakiś uschły liść na lilakach. Marta włożyła ręce w kieszenie dzinsów, przymknęła oczy, podniosła twarz ku niebu i głęboko wciągnęła rześkie powietrze. Wtem o jej nogi otarło się jakieś włochate cielsko. Krzyknęła przestraszona i spojrzała w dół. Pogodna kufa Bidy wpychała się pod jej rękę w poszukiwaniu pieszczot.

- Hej, sunia. Co ty tu robisz? A gdzie twój pan? Zostawił cię na noc na dworze?

Janusz tymczasem stał u siebie na podwórku i oddawał się dokładnie temu samemu co Marta – odprężeniu. Gdy usłyszał hałas, podszedł do płotu.

- Bida, wracaj natychmiast.
- Cześć, sąsiedzie – Marta rzuciła przyjaźnie.
- Cześć – z jego tonu trudno było wywnioskować, w jakim jest nastroju. –

Dlaczego nie śpisz?

– Jakoś nie mogę. A ty?

– Jakoś nie mogę – odpowiedział jej własnymi słowami. – Czy ja też mogę do ciebie zajrzeć?

– Jasne, zapraszam. – Nie spodziewała się, że będzie skłonny wyjść ze swojej skorupy, ale bardzo ją to ucieszyło. Pobieгла do furtki i przekręciła klucz.

Wszedł na podwórko, pogłaskał rozradowaną Bidę i spojrzał na Martę. W mdłym blasku ulicznych latarni ukazała się jego posmutniała twarz. Ciągle przeżywał swoją małą apokalipsę.

– W domu jest taka martwota – powiedział ze skargą w głosie. – Nie mogę w nim wytrzymać.

– Możesz do mnie wpadać, kiedy tylko będziesz miał ochotę – zasugerowała. – Właściwie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę jestem blisko ciebie.

– Rzeczywiście – spróbował się uśmiechnąć. – Albo tutaj, albo w biurówcu. Cały czas jesteś obok.

– I chciałabym ci pomóc, ale nie wiem jak. – Gdy spojrzała na niego, nie odwrócił wzroku.

– Nie możesz – powiedział smutno. – Nikt nie może. Sam się z tym muszę uporać.

Nie potrafiła się powstrzymać i położyła mu dłoń na ramieniu. Drgnął lekko, jakby sobie tego nie życzył, więc szybko się wycofała. W ułamku sekundy chwycił ją delikatnie za nadgarstek i przesunął palcem po jej palcach. Nie było w tym śladu erotyzmu ani choćby najdelikatniejszej pieśczoćy, to był tylko desperacki gest, a mimo to jej ciało przeszło dreszcz. Janusz zamknął jej drobne palce w swojej silnej dłoni i po chwili wahania przytulił ją mocno do siebie. Nie wiedziała, że zrobił to tylko dlatego, by nie zauważyła jego łez.

Po długiej chwili uspokoił się nieco i odsunął ją delikatnie. Dygotała z emocji.

– Zmarzłaś? – zapytał, błędnie rozumiejąc jej drżenie. Zdjął zarzucony na plecy sweter i założył jej na ramiona.

Nie było jej zimno. Przeciwnie, przez jej ciało przepływał dziwny prąd, który ją ogrzewał, umysł zaś zaczynał niebezpiecznie przekłamywać rzeczywistość, bo oto dała się zwieść chwili i pozwoliła sobie na piękną fantazję o imieniu Janusz. Nigdy nie była marzycielką i nie ulegała emocjom, ale teraz nie miała ochoty dłużej się okłamywać. Stojąc przed chwilą w objęciach Janusza, uświadomiła sobie, że jest nim bardzo zainteresowana. Jeszcze moment, a mogłaby zrobić coś głupiego i nieodpowiedzialnego. Mogłaby mu oświadczyć na przykład, że się w nim zakochała.

„Idiotka” – pomyślała i niemal zaraz wróciła do rzeczywistości.

– Powinniśmy już wrócić do siebie – Janusz powiedział prawie szeptem. – Śpij dobrze, sąsiadko.

Cmoknął na Bidę i oboje ruszyli do siebie, powłócząc noga za nogą. Marta zamknęła za nimi furtkę i weszła do domu. Ale zasnąć nie mogła jeszcze długo.

Janusz też przewracał się z boku na bok. Rozmyślając, nieoczekiwanie dostrzegł pewien progres. Otóż poza Julią i Dorotą w jego głowie znalazło się tej nocy miejsce także dla Marty. Lubił ją i darzył zaufaniem. Właściwie poza ojcem i Mateuszem ufał tylko jej. Sam nie wiedział, w którym momencie stała mu się bliska i ważna. Zapewne nie spostrzegł tego wcześniej, bo nie była nachalna i absorbująca.

*

Następnego przedpołudnia odsypiającą zarwaną noc Martę obudził dzwonek telefonu.

- Będiesz za godzinę w domu? – Monika była wyraźnie podekscytowana.
- Za godzinę tak – odpowiedziała zasnana Marta. – Ale za trzy będę w pracy.
- Dobra, to spróbuję szybko do ciebie dotrzeć, siostrzyczko.
- A co ty robisz w Warszawie? – Marta nie kryła zdziwienia.
- Zaczynam nowy rozdział – zawołała wesoło siostra.

Czterdzieści minut później obie siedziały już przy kawie. Monika była zupełnie inną dziewczyną niż podczas ich ostatniego spotkania w Kazimierzu. Jej oczy lśniły, uśmiech nie schodził z twarzy, zmieniła też styl ubierania się na bardziej kobiecy. Coś musiało się wydarzyć w jej życiu.

Marta nie musiała długo czekać, by poznać te nowiny.

- Wyjeżdżam do Wrocławia.
- Na wycieczkę...? – Usiłowała sobie wmawiać, że to jest prawdziwy powód wypadu siostry.
- Nie – Monika odarła ją ze złudzeń. – Na zawsze.
- Z mężem... – Marta wciąż miała nadzieję.
- Przeciwnie. Z kochankiem.
- Nie mówisz poważnie...
- I to wszystko dzięki tobie, Martusiu – powiedziała z wdzięcznością, jej siostra zaś nie dowierzała własnym uszom.
- Chwila – zaoponowała. – Po kolei, bo nic nie rozumiem.

Okazało się, że kiedy Marta ostatnio nawrzucała siostrze, że przez całe życie zadawała się jedynie namiastkami i wszystko wokół niej jest byle jakie, Monika uznała że ona sama też jest byle jaka i zdecydowała postawić wszystko na jedną kartę, i zaryzykować. Słowem: poszła za głosem serca, dała szansę sobie i Rafałowi, definitywnie skreśliła męża, złożyła wniosek o rozwód i właśnie wyjeżdżała układać sobie życie z prawdziwą miłością. Tak to mniej więcej zrelacjonowała Marcie, nie kryjąc szczerego zadowolenia.

- A co na to Radek?
- Wpadł w szal, myślałam, że mnie rozszarpie na kawałki. Ale już jest spokojniejszy.
- A rodzice?
- Nie odzywają się do mnie – mówiąc to, Monika nieco straciła pewność siebie.
- A rozumiesz, że nie masz już odwrotu? Że właśnie spaliłaś za sobą wszystkie mosty?

– Wiem – Monika odpowiedziała z powagą. – Ale miałaś rację, moje życie nie było nic warte.

– Zrozumiałaś mnie całkiem opacznie. Nie mówiłam, że twoje życie jest do dupy, tylko że Rafał jest nic nie wart. Nie ty, wariatko, tylko on. To chciałam ci powiedzieć. A ty właśnie z nim wiążesz swoją przyszłość. Nie o to mi chodziło.

Monika nie zabawiła długo na Zakopiańskiej, ponieważ śpieszyła się na pociąg do Wrocławia. Mimo że zrobiła w swoim życiu rewolucję, nie opuszczała jej nadzieja, że zdoła pięknie wszystko odbudować. We wszystkim, co mówiła, brakowało rozsądku, za to infantylności i naiwności było aż nadto, ale to już nie pora, by ją pouczać. Za dużo zburzyła. Teraz można było ją jedynie wspierać w dążeniach do celu. Tylko do jakiego? Monika przepełniona była wiarą i zapałem do przedsięwzięć, których nawet nie nazwała. Ot, po prostu, będzie zmieniać życie! Tylko w jaki sposób? Tym bardziej więc należało życzyć jej szczęścia. I Marta życzyła go siostrze naprawdę szczerze.

Sobotni popołudniowy dyżur w salonie masażu był bardzo spokojny. Przyszło zaledwie trzech klientów, dzięki czemu Marta miała sporo czasu dla siebie. Koledzy też się nie przepracowywali. Na godzinę przed zamknięciem zajrzał do niej Robert, masażysta z sąsiedniego gabinetu. Wypili razem herbatę i porozmawiali o wszystkim i o niczym. Cały zespół masażystów to ludzie na ogół przed trzydziestką, ambitni i raczej przebojowi. Marta czuła się wśród nich całkiem dobrze, co dawało jej duży komfort pracy. Najlepiej dogadywała się z Mikołajem, z którym dzieliła gabinet, i z Robertem, który coraz częściej wpadał do niej na kawę i pogaduszki. Był wysokim, bardzo szczupłym blondynem z kucykami i nie krył swego zainteresowania koleżanką po fachu. Raz czy dwa wybrali się razem na piwo i nie był to czas stracony, ale Marta wiedziała, że ich koleżeńska znajomość chyba raczej nigdy nie przerodzi się w nic więcej.

– Nie wybrałabyś się dziś ze mną do klubu? Potańczylibyśmy trochę... – zaproponował Robert.

– Może innym razem – odmówiła dyplomatycznie. – Zmęczona jestem. Za kilka dni mam obronę i zakuwam po nocach.

– Jasne, rozumiem. – Robertowi zrobiło się i głupio, i przykro, że mu odmówiła. – To połóż się, rozmasuję ci kark.

– Nie, dzięki. Pójdę zaraz popływać, w wodzie się rozluźnię. – Dostrzegła, że poczuł się nieswojo. – Ale dziękuję za propozycję, kiedyś z pewnością skorzystam – uśmiechnęła się przyjaźnie, chcąc rozładować napiętą atmosferę.

Po wyjściu Roberta usiadła na chwilę w fotelu i zamyśliła się. Może zbyt pochopnie mu odmówiła? Prawda jest taka, że bardzo go polubiła i chętnie spędzała z nim krótkie chwile w przerwach w pracy. Może powinna jednak zrobić jakiś krok do przodu? Tak dobrze zaczyna jej się układać w życiu, ma gdzie mieszkać, posada wydaje się stabilna, z napiwków wyrabia prawie drugą pensję, za chwilę się obroni, to może już czas najwyższy pomyśleć o kimś do pary?

Wstała, zrobiła porządek w gabinecie i sięgnęła po torbę z ręcznikiem i kostiumem kąpielowym. Następnie zgasiła światło i zamknęła drzwi na klucz. Czas na relaks.

Weszła do wielkiej hali pływalni. Światła były przyćmione jak zwykle; widocznie większość korzystających z basenu preferowała takie właśnie oświetlenie. Po chwili

Marta się zorientowała, że nie jest sama. Ktoś był w połowie długości basenu i błyskawicznie przesuwał się dalej. Chyba pływał na czas, bo pędził jak szalony, aż woda rozpryskiwała się daleko na boki. Marta przystanąła na moment. Mężczyzna dotarł do brzegu, odbił się od niego rękami i zamierzał ruszyć z powrotem, ale zauważył, że ma publiczność. Zatrzymał się więc, odgarnął włosy z czoła i spojrzał na nią. On pierwszy ją rozpoznał.

– Cześć, sąsiadko! – zawołał.

– Janusz?! – zdziwiła się. – Przepraszam, nie chciałam ci przeszkadzać.

– Śmiało – przywołał ją ręką. – Nie przeszkadzasz.

Wciąż stała bez ruchu, nie mogąc się zdecydować, czy powinna się wycofać, czy skorzystać z zaproszenia, bo mimo wszystko nie wyglądał na szczególnie ucieszonego z towarzystwa. Był raczej przygaszony i smutny. Jego obecność tutaj potwierdzała, że Mateuszowi nie udało się namówić przyjaciela na imprezę. Wreszcie zdecydowała, że jednak zostanie. Podeszła do leżaków, położyła ręcznik na jednym z nich i zdjęła szlafrok. Janusz obserwował ją uważnie, ale w chwili, gdy skakała do wody, płynął już kraulem na drugi koniec basenu.

Marta nie umiała wyczuć, czy wolno jej poruszać się po całej długości basenu, czy też Janusz życzy sobie raczej choćby namiastki samotności i w związku z tym nie powinna się do niego zbliżać. Nie chciała być natrętna, wołała, aby to on dał do zrozumienia, czego oczekuje. Nie miała pojęcia, czego może chcieć facet w dniu swojego niedosłanego ślubu.

Tymczasem Janusz też sondował sytuację i czekał na pierwszy krok z jej strony, ale widząc, że ona zachowuje się z dystansem wobec niego, podpłynął wreszcie do niej. Uśmiechnęła się. Jej mokre włosy sprawiały wrażenie o ton ciemniejszych niż normalnie. Milczenie dodatkowo wzmagало i tak wyczuwalne napięcie. Wreszcie Marta nie wytrzymała:

– Jak sobie radzisz?

To było wyjątkowo niefortunne pytanie. Rozdrażniła go nim tylko, bo poruszyła kwestię, o której od tygodni na próżno próbował zapomnieć. Stwierdził jednak, że w tej dziewczynie jest coś, co go rozczuła i powoduje, że nie potrafiłby chyba wyładować na niej swojej frustracji. Zamknął oczy i zacisnął pięści, a potem bezradnie zanurzył dłonie w wodzie.

– Przepraszam... – szepnęła, zrozumiawszy swój nietakt, i już zamierzała zostawić go samego, ale wtedy on chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

Była przestraszona i zaciekawiona zarazem. Ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Wpatrywała się w niego hardo i czekała na jego ruch. On zaś przyglądał się jej uważnie i jednocześnie zastanawiał, czy poddać się nieoczekiwanemu pragnieniu, które zrodziło się w nim przed chwilą. Czuł, że jego zmysły szaleją, szukając ujścia dla emocji, które ostatnio nim targały. Wiedział, że jeszcze chwila i spróbuje oszukać samego siebie, zastąpić utraconą miłość i wmówić sobie, że Marta może zająć miejsce Doroty.

Prawą dłonią dotknął jej karku i lekkim ruchem przyciągnął ją ku sobie. W wodzie było to szczególnie łatwe, zwłaszcza że ona nie stawiała oporu. Serce zaczęło mu bić szybciej, poddanie się szaleństwu było coraz bardziej kuszące. Pochylił się i delikatnie ją

pocałował. Nie oponowała, więc sprawdzał dalej, na ile mu pozwoli. Odgarnął włosy z jej czoła i znów ją pocałował. Tym razem nie była bierna, odpowiedziała na pocałunek, zakładając mu ręce na szyję. Teraz działał już tylko instynktownie i całował coraz zachłanniej. Sięgnął pod wodę i dotknął jej uda na skraju jednoczęściowego kostiumu. Drugą ręką zsunął ramiączko z ramienia. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy poczuł iskrę pobudzającą go do życia, a wzrastający poziom adrenaliny popychał go do działania.

Obserwując ich, można by pomyśleć, że tych dwoje prowadzi ze sobą zażartą walkę. A oni tylko coraz bardziej zapamiętale i z pasją się całowali. Wreszcie Janusz oderwał się od niej na chwilę i spojrzał jej prosto w oczy. Była zaskoczona, ale w dalszym ciągu czekała na krok z jego strony. Dziś to on rozdawał karty.

Jego oddech był szybki i urywany, jej również. Ujął w dłonie jej twarz i zaczął ją znowu namiętnie całować. Przyjemne ciepło rozpląnęło się po całym jego ciele. Po chwili przerwał, ponownie spojrzał w jej oczy i przytknął czoło do jej czoła. Słyszał bicie jej serca.

– Nie chcę tak... – szepnął. – Nie mogę.

– Janusz... – jęknęła.

– Nie chcę, żebyś była zamiast...

Czar prysł. Marta odsunęła się od niego upokorzona. Miała ochotę zapaść się pod ziemię. W najśmielszych marzeniach nie sądziła, że kiedyś przytrafi im się taka bliskość, a kiedy jednak się zdarzyła – w najmniej oczekiwanym momencie dostała kosza. Janusz rozpalil w niej namiętność, pobawił się nią i porzucił. Tak się w każdym razie czuła.

– Przepraszam – tylko tyle powiedział, wychodząc z basenu.

Miała ochotę stamtąd uciec, ale to on opuścił pływalnię jak tchórz, zostawiając ją bliską płaczu, pełną wstydu, ale i tłumionego gniewu.

Rozdział 11

Przez trzy kolejne dni Marta na zmianę uczyła się, chodziła do pracy i wciąż rozmyślała o tym, co zaszło na basenie. Na wspomnienie tamtego wieczoru po jej ciele rozchodził się ekscytujący dreszcz, a zaraz potem wyrzucała z siebie krótko i gwałtownie:

– Dupek!

W dniu obrony pracy magisterskiej spotkała się z Agatą na korytarzu. Obie były bardzo eleganckie i bardzo zestresowane. Czas pozostały do egzaminu starały się wypełnić beztruskimi pogaduszkami o wszystkim i o niczym, co nie było wcale łatwe.

Wreszcie obie zostały poproszone na rozmowę; weszły do dwóch sąsiadujących sal i po kilku słowach wstępu przewodniczących komisji rozpoczęły prezentację swoich prac. Kwadrans później przystąpiono do zadawania im pytań, których tak bardzo się bały, tymczasem odpowiadały na nie bez zająknięcia. Na koniec poproszono, by wyszły na korytarz, a kiedy ponownie stanęły przed swoimi komisjami, obie usłyszały, że obroniły się na piątkę. Obie też odetchnęły z wielką ulgą, wręczyły członkom komisji po kwiatku i podziękowały im za życzenia powodzenia w życiu.

– Czy nie wolałaby pani pracować jako rehabilitant z rekonwalescentami niż masażystka snobistycznych pracowników korporacji? – zapytał Martę już na odchodnym jej promotor.

– Tak, praca w służbie zdrowia byłaby bardziej zgodna z ideą fizjoterapii, panie profesorze, ale dla mnie priorytetem jest utrzymanie się w Warszawie. Dlatego wzięłam taką posadę, jaka mi się trafiła. I, z całym szacunkiem, nie zdarzyło mi się dotąd masować żadnego snoba. To są ludzie jak my wszyscy. – Jeszcze pół godziny temu nie odważyłaby się w ten sposób odpowiedzieć, ale po egzaminie zrobiła się bardziej pewna siebie.

Kiedy wyszła na korytarz, Agata już na nią czekała.

– No i jak? – spytała z niecierpliwością.

– U mnie pięć – pochwaliła się Marta. – A u ciebie?

– Też.

Uściskały się serdecznie i ze szczęścia wydały cichy pisk.

– Idziemy w miasto czy do mnie? – Marta już snuła plany opijania sukcesu.

– Do ciebie, jeśli można – poprosiła Agata.

Wieczór zapowiadał się całkiem przyjemnie. Dziewczyny zorganizowały naprędce jedzenie i alkohol, zadbały też o nieco większe towarzystwo. Po dziewiętnastej na Zakopiańską zawitały dwie koleżanki z ich roku oraz troje masażystów z pracy Marty, w tym Robert. Siedem osób hucznie oblewało dwa tytuły magistra.

Przed domem zatrzymało się sportowe auto. Wskoczył z niego Mateusz i biegiem popędził do furtki, bo padał intensywny deszcz, a potem zadzwonił do drzwi. Przyjechał po komputer, w którym były jakieś szalenie ważne materiały, a który Bilski zabrał z biura do domu.

Janusz niespecjalnie śpieszył się z otwieraniem.

– No, stary, co tak długo? Moknę tu! – Mateusz był w całkiem dobrym humorze, jak zwykle zresztą.

– Właż – Janusz wpuścił go do przedpokoju. – Zaraz ci przyniosę tego laptopa.
– Tak w progę? – Wspólnik nie dał się zbić z tropu. – I pewnie od razu mam sobie iść?

– A mógłbyś?

– Mógłbym, ale mam ochotę na kawę.

– Skoro musisz... – Janusz zamknął za nim drzwi, wskazał ręką kuchnię i po drodze klepnął go po ramieniu. – A może piwo?

– Autem jestem – odmówił Mateusz. – Lecę w przyszłym tygodniu do Lwowa. Wybierz się ze mną? – zaproponował.

– Nie ma takiej potrzeby. Dasz sobie radę sam. Ja mam sporo roboty na miejscu.

– Pewnie, że dam sobie radę, ale moglibyśmy znów pozwiedzać stare miasto. No wiesz, od lokalu do lokalu – kusił.

– Nie mam ochoty.

– Jak chcesz – westchnął Mateusz i zapatrzył się na działkę Kaczewskich.

U Marty w kilku oknach świeciło się światło i nie trzeba było specjalnie wyęzwać słuchu, by usłyszeć gwar ludzkich śmiechów i muzykę.

– Czy to w tym domu mieszka Marta? – zapytał.

– Tak – odparł Bilski.

– Stary, u niej jest jakaś biba. Chodź, wbijemy do nich, może jest tam i Agata.

– Jeśli Marta robi imprezę, to są duże szanse, że Agata też przyszła – potwierdził Janusz. – Chcesz, to idź, ale beze mnie.

– Jak to bez ciebie? Ty musisz być, przecież sam się tam nie wproszę.

– Ja się też tam nie wproszę – Bilski był nieugięty. – Młodzież dobrze się bawi i raczej nie potrzebuje towarzystwa.

– Jaka młodzież? – oburzył się Mateusz. – Daj spokój, to tylko kilka lat różnicy. Czeka! – zawołał po chwili. – Daj kalendarz, może ona ma dzisiaj imieniny.

– Kto?

– Ktokolwiek. Szukam pretekstu, stary.

Mateusz wyjął smartfona z kieszeni i szybko przejrzał internet. Tego dnia imieniny obchodzili Zofia i Grzegorz. Ale było coś jeszcze.

– Dziś jest Dzień Chłopaka, wiedziałeś?

– Nie, nie wiedziałem – całkiem szczerze roześmiał się Janusz. – I jak to wykorzystasz?

– Zobaczysz – rozejrzał się dookoła, lecz nie znalazł tego, czego szukał. – Prowadź do barku – rozkazał.

Janusz podszedł do jednej z szafek w pokoju i otworzył ją na oścież. Stało tam kilka butelek różnych wódek, parę win i jakiś likier.

– Piwo jest w lodówce, jakbyś chciał.

– Dzięki – odparł Mateusz. – To mi wystarczy – sięgnął po czerwone wino. – Idziesz ze mną?

– Nie – odpowiedział. – Ty naprawdę zamierzasz tam pójść?

– Oczywiście. Najwyżej mnie wyrzuci.

– Możliwe, że świętuje koniec studiów – Janusz pomyślał o tym już wcześniej, ale

nie miał pewności. – Chyba w tym tygodniu miała się bronić.

– No, to w tej sytuacji obowiązkowo trzeba jej pogratulować! – Mateusz nie zastanawiał się już ani chwili i zdecydowanym krokiem wyszedł od Janusza. Myśl, że może zaraz zobaczyć Agatę, dodawała mu skrzydeł. W ogóle nie zważał na to, że właśnie robi z siebie głupka, wpraszając się na imprezę do obcego przecież domu.

Otworzono mu po drugim dzwonku. W drzwiach stała zaskoczona Marta, a za jej plecami w najlepsze trwała zabawa.

– Czy tutaj ktoś został magistrem? – Mateusz przywołał na twarz swój najbardziej czarujący uśmiech.

– Owszem, a gdzie o tym mówili?

– Za płotem – odparł z rozbijającą szczerością.

– Jeśli masz ochotę świętować z nami, to zapraszam.

Mateusz odczo skorzystał z zaproszenia i wszedł do środka. Szybko przebiegł wzrokiem po siedzących przy stole gościach i jeszcze zanim Marta zdążyła go przedstawić, już wiedział, że jest tu i Agata. Odwróciła lekko głowę w jego kierunku, ale zdawała się go nie zauważać albo może po prostu nie przypominała go sobie. Czyżby był aż tak pospolity? Ta myśl nieprzyjemnie go ukłuła.

Gdy gospodyni wprowadziła go do pokoju, wśród ogólnego gwaru i dźwięków muzyki zawołał:

– Dobry wieczór państwu.

– Mateusz? – dopiero na dźwięk jego głosu Agata zareagowała. W jej pytaniu było niedowierzenie, ale i przyjemne zaskoczenie.

Udało mu się zająć miejsce obok niej, co go bardzo ucieszyło. Marta natychmiast podała mu talerz i kieliszek. O resztę zadbał sam, nie bez pomocy nowych znajomych, którzy odczo polewali w szkło. Okazało się, że znajomi Marty to wcale nie taka młódź, jak sugerował Janusz. Średnia wieku wynosiła jakieś trzydzieści lat. Byli to ludzie poukładani, wykształceni i pracujący, choć w tej chwili wyluzowani na maksa. Co chwilę wznoszono jakieś toasty, a to za gospodynię i jej obronę, a to za zdrowie, w końcu też za miłość i szczęście.

Alkohol łął się strumieniami i z każdą chwilą coraz bardziej rozluźniał atmosferę. Marta po raz pierwszy od dawna dała się ponieść szaleństwu i już nieźle szumiało jej w głowie. Agata zresztą też piła niemało i była lekko wstawiona. Mateusz, mimo spóźnienia, dość szybko nadrabiał zaległości i już prawie doścignął resztę rozbawionego towarzystwa. Dawno tak dobrze się nie bawił, chyba ostatnio we Lwowie.

Ludzie wstawali od stołu, tańczyli, rozmawiali gdzieś po kątach, znów zasiadali do jedzenia i picia, po czym następowała rotacja, zmieniali się rozmówcy i tancerze, i tak w kółko. Mateusz całą uwagę poświęcał prawie wyłącznie Agacie, która dzięki swoim nieprzeciętnie wrażliwym zmysłom wyczuła, że przyjaciel Janusza jest nią w jakimś sensie bardziej zainteresowany niż pozostałymi dziewczynami, co ogromnie jej pochlebiało. Rozmawiali ze sobą swobodnie i w ogóle nie brakowało im tematów, zupełnie jakby znali się od dawna.

Równie sympatycznie czas płynął Marcie, którą przez cały wieczór adorował Robert. W sposób taktowny i grzeczny, co doceniała.

– Agata, a ty nie chciałaś pracować razem z Martą? – nagle zaciekawiał się Mateusz.

– Chciałam, ale to mnie tam nie chcieli – powiedziała z wyraźnym żalem.

– Zrobili duży błąd – do rozmowy włączyła się Marta. – Bo Agata jest o wiele lepsza ode mnie.

– Daj spokój – przyjaciółka natychmiast straciła humor, podniosła się z krzesła i chwiejnym krokiem powoli poszła do łazienki.

Gdy Mateusz obejrzał się za nią, dostrzegł nie bez zdziwienia, że wchodząc do toalety, nie włączyła sobie światła. Pomyślał, że pewnie będzie zaraz płakać w ciemności.

Agata aż tak zadowolona nie była. Dopadł ją po prostu krótkotrwały spadek formy, ale rozpacz wcale nie zamierzała. Tym bardziej że wieczór był naprawdę udany. Z łazienki poszła do kuchni, by z lodówki wziąć zimny sok. Tutaj także nie włączyła światła. Zamknęła lodówkę i nagle poczuła za plecami czyjąś obecność. Chociaż jej zmysły były już nieco przytępione przez alkohol, rozpoznała jednak wyraźny zapach wody kolońskiej Mateusza.

– Chcesz coś do picia? – spytała, sądząc, że Mateusz czegoś szuka.

– Nie – odparł w mroku. – Chcę ci tylko powiedzieć, że szalenie mi się podobasz – postąpił o pół kroku do przodu, czym przyparł ją do lodówki.

– Nic o mnie nie wiesz...

– Wiem, że mi się podobasz.

Słyszała to kilkakrotnie w swoim życiu. Pierwsze wrażenie potrafiła zrobić całkiem niezłe i oszukać każdego, nie radziła sobie natomiast z drugim. Wtedy zawsze przegrywała i pozostawała sama ze swoim przekleństwem – ślepotą. Nie miała najmniejszej ochoty na kolejną porażkę, ale jednocześnie Mateusz ją intrygował. Być może pod wpływem alkoholu straciła czujność oraz poczucie rzeczywistości i wiedziała, że jeszcze chwila, a da się porwać czarowi jego słów.

Musnął jej dłoń. Stała przed nim wyprostowana, z mocno bijącym sercem. Głowę trzymała prosto, oczy skierowała na jego klatkę piersiową. On ujął ją delikatnie za podbródek i uniósł go nieco, patrząc jej w twarz. Była piękna, ale jakby zgasły w niej emocje. Czuł bicie jej serca, lecz w oczach była pustka. Zignorował to i pochylił się nieco, by ją pocałować. Poruszyła się nerwowo, zupełnie nie wiedząc, jak dalej postąpić. Było dla niej jasne, że Mateusz wciąż jeszcze się nie domyślił, że ona jest niewidoma. Nie chciała go oszukiwać i nie miała też złudzeń, co się stanie, kiedy wyzna mu prawdę. Mimo to odwzajemniła pocałunek. Gdy tylko poczuł jej przyzwolenie, zaczął całować śmieiej i żarliwiej. Bardziej namiętnie. Podniosła rękę do jego twarzy, by wreszcie zrobić to, na co miała ochotę już od dawna. Chciała zobaczyć, jak on wygląda. Dotknęła nieśmiało jego czoła, przesunęła dłonią po włosach, oczach i nosie. Potem zatrzymała palce na ustach. Było to przyjemne, ale dla niego zaskakujące. Zastygli w bezruchu.

„A więc to jest ta chwila – pomyślała ze smutkiem Agata. – Zaraz powie, że musi już iść”.

Nie powiedział tak ani też nie wyszedł, tylko bardzo uważnie się jej przyjrzał. Zaczynało do niego docierać.

– Agata... – urwał, bo nie miał pojęcia, jak zadać to pytanie.

– Naprawdę nie wiedziałeś? – W jej głosie był smutek.

– Nie – odparł zszokowany. – Jesteś taka piękna, że nic innego nie miało znaczenia. – Próbował jeszcze być szarmancki, ale oboje wiedzieli, że czar prysł.

Z sytuacji wyratował ich alkohol i reszta gości. Gdy oboje wrócili do pokoju, do stołu, sięgnęli znowu po swoje kieliszki i powoli, choć nie bez trudu, udało im się wejść w rozmowę z innymi.

W tym czasie u drzwi wejściowych znów rozległ się dzwonek. W progu stał Janusz.

– Cześć – powiedział całkiem swobodnie, bo długo to ćwiczył w domu. – Czy mój kumpel nie przeszkadza ci za bardzo? Jakby co, mogę go zabrać – dodał z uśmiechem.

Marta rozpromieniła się na jego widok. W jednej chwili zapomniała mu całe upokorzenie, które zafundował jej na basenie, odpychając ją.

– Wejdz – chwyciła go za rękę i wprowadziła dalej. – Mateusz raczej nigdzie się na razie nie wybiera.

Gdy Janusz wszedł do pokoju, hałas imprezy nieprzyjemnie podrażnił mu uszy. Zdecydowanie nie był w nastroju do zabawy, czego nie można było powiedzieć o jego współniku. Siedział przy stole z kieliszkiem w ręce i rozmawiał o czymś z zapalem z jedną z masażystek z salonu. Przyjścia przyjaciela nawet nie zauważył.

Marta postawiła dodatkowe nakrycie na stole i wskazała sąsiadowi miejsce. On jednak zanim usiadł, podszedł do Mateusza i klepnął go w ramię.

– Stary, może byśmy poszli do domu?

– Jeszcze nie – odparł przyjaciel, znacznie bardziej pijany, niż był jeszcze przed chwilą.

Janusz usiadł przy Agacie i rozpoczął z nią konwersację. Ona także miała już sporo alkoholu we krwi. W pewnym momencie uderzyła go myśl, że jak na faceta bardzo zainteresowanego Agatą, to Mateusz trzyma się od niej chyba zdecydowanie zbyt daleko. Nic z tego nie rozumiał, bo przecież kiedy kumpel wyrwał się na tę imprezę, jego celem była wyłącznie Agata. Najwyraźniej coś mu się po drodze musiało zmienić.

Robert podszedł do Marty, która szykowała coś w kuchni.

– Pomóc ci? – spytał z troską.

– Jeśli chcesz, to sprawdź, komu trzeba wymienić talerzyk.

W mig wykonał polecenie, przyniósł brudne naczynia do kuchni i wziął czyste nakrycia. Szybko rozstawił je na stole i powrócił do niej.

– Kawy? – zapytała.

– Chętnie – Robert zachłannie się przyglądał, jak Marta krząta się przy ekspresie. – Dziękuję, że mnie zaprosiłaś.

– Zaprosiłam tych, których lubię – uśmiechnęła się i pozwoliła mu się przytulić.

Janusz zerkając na nią z salonu, doznawał jakiejś nieuzasadnionej i irracjonalnej zazdrości. Wysoki typek przy Marcie wyraźnie go irytował i psuł mu i tak kiepski nastrój. Bilski nie najlepiej się czuł w tej atmosferze zabawy i luzu. Wypił ze dwie czy trzy kolejki, pogratulował dziewczynom udanej obrony, po czym zdecydował się na powrót. Marta nie próbowała go zatrzymać. Właściwie nawet miałyby na to ochotę, ale się nie odważyła, bo sama nie wiedziała, w jakich teraz są relacjach. Czy jest to rodzaj

koleżeństwa, przyjaźni czy może jednak coś jeszcze innego?

– Mateusz, chyba już pora kończyć imprezę – Janusz znowu poklepał kumpla po ramieniu. – Chodźmy do domu.

Tak, dla Mateusza zabawa skończyła się już jakiś czas temu, od pewnego momentu tylko grał, że się dobrze bawi, i dlatego zbyt dużo pił. Posłuchał więc Janusza, wstał z kanapy, pożegnał się ze wszystkimi, nawet z Agatą, choć chłodno, i chwiejnym krokiem wyszedł na zewnątrz. Janusz także grzecznie pożegnał się z gośćmi i na końcu zbliżył się do Marty.

– Miło było cię zobaczyć – powiedział ciepło i z uśmiechem.

– Ja też się cieszę, że przyszedłeś.

Byli dość oszczędni w słowach, ale te dwa zdania wystarczyły, by oboje nabrali nadziei, że kiedyś być może znowu będą potrafili rozmawiać ze sobą tak swobodnie, jak przed tym nieszczęsnym spotkaniem na basenie.

Było oczywiste, że Mateusz nocuje u Janusza. Dostał poduszkę, koc i butelkę wody na kaca. Wziął szybki prysznic i nieco otrzeźwiony wyszedł z łazienki.

– Wiedziałeś? – zapytał Janusza.

– O czym?

– O Agacie. Że jest niewidoma.

– Wiedziałem.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– A czy to miało jakieś znaczenie?

– Nie – skłamał Mateusz. – Czy coś jeszcze zataiłeś?! – wściekał się.

– Tak – Janusz droczył się z nim. – Fantastycznie masuje.

– A ty skąd to wiesz?

– Bo miałem tę przyjemność. – Z satysfakcją się przyglądał, jak doprowadza kumpla do szewskiej pasji.

Nad Kazimierzem roztaczała swój czar złota polska jesień. Wielobarwna roślinna szata na nadwiślańskich brzegach i okolicznych wzniesieniach czyniła całą okolicę niezwykle malowniczą, wręcz magiczną.

Antoni Bilski prawie każdy dzień spędzał z Grażyną w jej domu przy Puławskiej lub spacerując z nią ulicami miasteczka i wąwozami. Wdzięczny był losowi za to, że jeszcze okazał mu łaskę i pozwolił zaznawać tyle szczęścia. Rok czy dwa wcześniej nie przypuszczałby nawet, że porzuci warszawską monotonię i chłód małżeńskiego stadła dla dawnej miłości, która widocznie po tylu latach wciąż jeszcze się w nim tliła.

Grażyna na nowo stała się dla niego ciepłym domowym ogniskiem, przyjaciółką i natchnieniem. Utożsamiała wszystko, co najlepsze, i samą swoją obecnością sprawiała, że znów miał ochotę żyć. Niczego od niego nie chciała, nie oczekiwała, dzieliła z nim swój czas i tak cudownie się do niego przytulała. Była wszystkim tym, czym nie była Krystyna. I to stanowiło jej największą wartość. Grażyna to radość i zadowolenie z tego, co jest. Cała była spokojem i stabilnością, pomimo artystycznej duszy, która wyrывała się w świat. To przy niej Antoni odpoczywał najpełniej, to ona dawała mu poczucie, że jest potrzebny. Sam nawet nie wiedział, kiedy to wszystko się stało, w którym momencie zapragnął pozostać na Lubelszczyźnie już na zawsze. Myślał o tym coraz częściej

i stopniowo dojrzywał do tej decyzji. Czuł, że chyba właśnie zatacza krąg w swoim życiu. Wyszedł przed laty z Janowca, by znaleźć cel i szczęście gdzie indziej, dożył do emerytury, wychował wspaniałego syna, a teraz znów wraca do korzeni i pierwszej miłości. Odrobił całe swoje ziemskie przeznaczenie i może wreszcie trochę odetchnąć. Tak się właśnie teraz czuł. I nieśmiało odważał się myśleć, że może jeszcze coś przed nim jest, może nie dobiega na razie do brzegu, a jego księga jest wciąż otwarta. Prawdopodobnie nie w połowie, ale też nie blisko końca. Bardzo na to liczył.

W październikową niedzielę odwiedził go Janusz. Dobrze, że się zapowiedział, bo mógłby nie zastać ojca w domu. Antoni przygotował obiad i cierpliwie czekał, aż syn wyjawi mu cel wizyty, ale okazało się, że całkiem spontanicznie zapakował Bidę do samochodu i po prostu uciekł z Warszawy, nie mogąc już znieść swojej samotności. Niedziele i święta były najgorsze, bo nie mógł iść nawet do biura.

– Zamierzasz tu zimować? – Janusz zażartował, zupełnie nie wiedząc, że ojciec rzeczywiście nosi się z takim zamiarem.

– Szczerze mówiąc, lepiej mi tu niż w Warszawie.

– Naprawdę? I mógłbyś tak po prostu się tu przenieść? A co z matką?

– Synu, nie jesteś już dzieckiem, musiałeś zauważyć, że mnie i matki nic już nie łączy. My się nawet nie lubimy.

To prawda. Janusz wiedział to od wielu lat. Nawet czasem się zastanawiał, dlaczego w ogóle się pobrali, bo prawie nigdy nie byli w niczym zgodni. Mieli odmienne spojrzenie na świat, wyznawali inną hierarchię wartości i różnili się też poziomem empatii. Nie stanowili także dowodu na to, że przeciwieństwa się przyciągają. Raczej na odwrót, między nimi zawsze zgrzytało, a żyli obok siebie przez cztery dekady chyba tylko dlatego, że nauczyli się schodzić sobie z drogi. Jeśli zatem obojgu takie rozwiązanie zapewni spokój, to może rzeczywiście powinni się rozstać?

– Nie masz czasem wrażenia, że coś przegapiłeś? – zapytał po długiej chwili Janusz.

– Już nie, a wiesz dlaczego?

Spojrzał pytająco na ojca.

– Bo właśnie zaczynam nadrabiać stracone lata. Tobie też tego życzę.

– Stracone lata? Mówisz o mnie i Dorocie?

– Tak, synu. To już przeszłość i czas pomyśleć o przyszłości. Rusz wreszcie z miejsca, bo w przeciwnym wypadku ockniesz się zbyt późno, by cokolwiek zaczynać. Uwierz mi, wiem, co mówię.

– Trudno tak po prostu zapomnieć. Kochałem ją. I wiem, że ona też mnie kiedyś kochała.

– Tak, jak wszystko się dobrze układało, to może i kochała, ale kiedy zaczęło się psuć, nie zrobiła nic, by ratować wasz związek. Synu, na dobry czas każda jest dobra, ale na zły tylko ta jedyna. I to jej powinienesz szukać.

Janusz zamyślił się nad słowami ojca, miło zaskoczony jego mądrością życiową. Chyba miał rację i radził mu szczerze, tylko jak takie rady wcielić w życie, kiedy serce ciągle krwawi? Choć Janusz musiał przyznać w duchu, że jego tęsknota i ból dotyczą już prawie wyłącznie Julii. Do Doroty czuł coraz większą niechęć i był na nią wściekły. Ale

ze stratą dziecka wciąż nie potrafił się uporać.

– Może wybierzesz się ze mną do Kazimierza? – zapytał Antoni. – Chciałbym ci kogoś przedstawić.

Janusz nie miał nic przeciwko temu, a nawet był ciekaw, kto tak pięknie inspiruje ojca do filozofowania.

Antoni zadzwonił do Grażyny i poprosił, by przyszła do Bajgla na kawę.

– Chciałbym przedstawić cię synowi – poprosił. – I jeśli możesz, weź ze sobą kilka akwarelek Julki.

Spotkali się późnym popołudniem w restauracji, ojciec na jej widok wyraźnie się ożywił. Przedstawił ją, wyjaśniając, że jest jego przyjaciółką z młodości.

– Czyli to pani tak zafascynowała Julkę? – Janusz przypomniał sobie, jak mała z zachwytem opowiadała o wakacjach w Kazimierzu.

– Ma pan fantastyczną córkę – zapewniła go i sięgnęła do torby. – Proszę, przyniosłam tu coś, co zostało nam z wakacji.

Podawała mu plik niedużych malowideł na kartonie. Część z nich stanowiły nieudolne prace Julii, a reszta przedstawiała ją razem z dziadkiem na tle Kazimierza. Januszowi gardło ścisnęło się ze wzruszenia, poczuł, że do oczu napływają mu łzy. Pohamował je w ostatniej chwili.

– Mogę je zatrzymać?

– Oczywiście. Są pańskie.

Długo przyglądał się akwarelkom, nie mogąc obronić się przed wspomnieniami. Dopił kawę, potem szybko się pożegnał i pojechał do Janowca po Bidę, a stamtąd wrócił do Warszawy.

W stolicy padał deszcz. Kiedy zatrzymał się na Zakopiańskiej przed domem, wysiadł szybko, by nie zmoknąć, i kątem oka dostrzegł parę idącą pod parasolem.

– Cześć, sąsiedzie – zawołała do niego Marta.

– Cześć – odpowiedział tuż przed furtką.

– Skąd wracasz?

– Byłem w Janowcu, u ojca. – Janusz nie był szczególnie rozmowny i już zamykał za sobą bramkę, zmierzając do domu.

– Jeszcze pies! – zawołała wesoło, widząc, że zapomniał o Bidzie i zostawił ją na ulicy. Wrócił szybko, gwizdnął na sukę i pobiegli razem do drzwi.

Marta z Robertem przystanęli pod jej furtką.

– Bardzo ci dziękuję za miły wieczór. – Robert pochylił się nad nią i delikatnie pocałował ją w policzek.

– To ja ci dziękuję – odparła nieco spięta, bo nie bardzo wiedziała, co powinna zrobić. Robert chyba miał nadzieję, że zaprosi go do środka, ona zaś wolałaby z niczym się nie śpieszyć. Co prawda czuła się przy nim dużo lepiej niż przy Rafale, ale nie do końca wiedziała, czy Robert to jest ten.

– Pójdę już – odezwał się wreszcie Robert, widząc, że lepiej będzie się nie narzucać. Znów się lekko nachylił, pocałował ją w policzek, po czym zebrał się na odwagę i musnął także jej usta. Przymknęła oczy i odwzajemniła pocałunek, lecz prawie zaraz odsunęła się od niego. – Dobrej nocy – powiedział i odszedł schowany pod parasolem.

Marta szybko pobiegła do domu. Jej myśli krążyły nieustannie wokół dwóch mężczyzn. Jeden z nich podobał się jej, a drugiemu podobała się ona. To ją ekscytowało i bardzo poprawiało nastrój, bo przyjemnie łechtało jej kobiecą próżność. Robert był naprawdę w porządku, starał się, zabiegał o nią i jeśli nie zrezygnuje, to kto wie, może ona w końcu się zdecyduje i spróbuje z nim być. Coś jednak nieśmiało jej podszeptowało, że prawdziwego szczęścia zaznałaby jedynie przy Januszu. On niezwykle mocno działał na jej zmysły, podobał się jej fizycznie i ogromnie zaimponował jako ojciec. To o nim zaczynała nieśmiało marzyć, to jego dotyk sprawiał, że drżała i czekała na więcej. W dotyku Roberta natomiast nie było niestety tej iskry, która sprawiała, że chciało jej się żyć.

Nagle wpadła na pewien pomysł: podeszła do ekspresu, zrobiła dwie kawy, espresso i americano, ustawiła filiżanki na drewnianej tacy i szybko przemknęła do Janusza. Może nie było to najrozsądniejsze, lecz chyba tego właśnie potrzebowała. Trudno, najwyżej ją przepędzi i wtedy ona już nigdy nie będzie go nagabywać. Ma przecież swój honor.

– Świetna kawa z odrobiną deszczówki – przywitała go z uśmiechem, kiedy zdziwiony otwierał jej drzwi. – Mogę?

– Jasne, zapraszam – powiedział raczej przez grzeczność, odszedł jednak od drzwi, wpuszczając ją do środka. – Myślałem, że masz randkę.

– Już nie – odparła z uśmiechem. – Teraz mam czas na kawę. – Podała mu espresso.

– I tak nie śpię po nocach, nie trzeba mi kawy – powiedział, biorąc od niej filiżankę.

– W takim razie espresso będzie dla mnie, a ty masz americano. – Szybko zamieniła filiżanki. – Co u ciebie? – próbowała rozkręcić rozmowę.

– Jak odpowiem, że nic, to będzie najtrafniejsza odpowiedź. – W jego głosie wciąż był smutek.

Marta odstawiła kawę i spojrzała na niego uważnie. Zdała sobie sprawę, że chyba niepotrzebnie przyszła, bo on wyraźnie nie chce jej towarzystwa. Zrobiło jej się głupio i przykro.

– Przepraszam, nie powinnam była. – Odwróciła się i już zmierzała do drzwi.

– Zaczekaj! – Janusz zrobił kilka szybkich kroków i zastąpił jej drogę. – Nie chciałem być nieuprzejmy...

– W porządku. – Jakoś nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. – Nie będę ci dłużej przeszkadzać. – Próbowała go wyminąć, ale on skutecznie zagroził jej przejście.

– Zostań, proszę... – Jego głos był zgaszony, a niebieskim oczom brakowało blasku.

Została, lecz postanowiła, że tylko dopije kawę i zaraz sobie pójdzie. Zaprosił ją do salonu. Usiadła naprzeciw -niego w fo-telu.

– Wciąż nie jesteś w dobrej formie – zauważyła. – Jak mogę ci pomóc?

– Jest dobrze – skłamał.

– Przecież widzę... – Nachyliła się w fotelu tak, że była teraz bliżej niego.

– Nie jestem stworzony do samotności – przyznał się wreszcie. – Jest mi źle, bo

nie mam się kim opiekować. Chcę znów przytulić Julkę, chcę słyszeć w domu jej śmiech, chcę chodzić na wywiadówki i pleść jej warkocze. – Oczy miał szkliste, ale za wszelką cenę starał się pohamować płacz.

– Boże, żeby mnie ktoś tak kochał... – wyrwało się Marcie z nutką zazdrości.

Spojrzał na nią nieco zbity z tropu.

– Że co? – zapytał. – Że wywiadówki i warkocze? – uśmiechnął się wreszcie.

– Nie, baranie! – zawołała. – Miłość! Rozumiesz? Chodzi mi o to, że też chcę być tak kochana jak Dorota.

Znów podniósł na nią wzrok.

– Nie kocham Doroty – powiedział oschle. – Zniszczyła wszystko, co budowałem przez ostatnie osiem lat. Jak można kochać kogoś takiego? Myślę, że jej nienawidzę – dodał po chwili.

– A ja myślę, że mylisz nienawiść ze zranioną miłością. – Wstała z fotela i postanowiła wreszcie się pożegnać. – Gdybyś szukał towarzystwa, to zapraszam po sąsiedzku lub na masaż. Cześć.

Wyszła od niego niezadowolona. Przekonała się bowiem, że jeszcze wiele wody upłynie, nim on zdecyduje się na powrót do życia.

Tydzień później Robert zaprosił Martę na wesele swojego kuzyna. Początkowo zamierzał iść na nie sam, w końcu jednak w ostatniej chwili zaproponował Marcie, by mu towarzyszyła. Zgodziła się bez najmniejszych oporów, bo przecież i tak nie miała nic lepszego do roboty. Ciągle była sama, a Roberta ostatecznie lubiła. Bawili się wyśmienicie, wytańczyli się za wszystkie czasy i nawet nieco się do siebie zbliżyli. Marta pozwalała mu się przytulać, trzymać za rękę i całować, co on chyba uznał za zachętę.

Po całonocnym szaleństwie zamówili taksówkę, a kiedy na nią czekali, Robert zapytał:

– Jedziemy do mnie czy do ciebie?

Marta w jednej sekundzie straciła dobry humor, ponieważ bezpośredniość tego pytania kazała jej przypuszczać, że Robert traktuje ją przedmiotowo. Może gdyby wypila tej nocy nieco mniej alkoholu, być może potrafiłaby właściwie ocenić jego zachowanie, które nie było bynajmniej nastawione tylko i wyłącznie na nieczne wykorzystanie. A ona tak właśnie je rozumiała. Robert powoli, ale coraz bardziej zakochiwał się w Marcie i teraz był już całkiem poważnie zadurzony. Owszem, miał wielką ochotę kochać się z nią i sądził, że ona też tego chce, i tylko dlatego odważył się zadać to pytanie, które tak bardzo ją zbulwersowało.

– Ja jadę do siebie, a ty gdzie chcesz – odpowiedziała mu opryskliwie.

– Marta, nie chciałem być nietaktowny. – Nachylił się, by ją pocałować, na co ona odsunęła się nerwowo. – Przepraszam. Myślałem, że też tego chcesz.

– Nie mów mi, czego chcesz! – krzyknęła i w tym momencie podjechała taksówka.

– W takim razie – odparł najspokojniej, jak umiał – pozwolisz, że odwiozę cię do domu?

– Okej, ale tylko odwieziesz – zastrzegła.

W taksówce się pogodzili. Marta spuściła trochę z tonu, ochłonęła i nawet doszła do wniosku, że niepotrzebnie zepsuła atmosferę. W sumie chłopak miał podstawy, by

oczekiwać wreszcie czegoś więcej. Zwłaszcza po ich wspólnej zabawie na weselu.

Na Zakopiańskiej oboje wysiedli z taksówki, ale Robert kazał kierowcy zaczekać. Marta podeszła do furtki, po czym wróciła jeszcze do niego i wspiawszy się na palce, pocałowała go. Rozpromienił się i odpowiedział długim, namiętym pocałunkiem.

– Dobranoc – powiedziała wreszcie, po czym uśmiechnęła się uroczo, odsłaniając dołeczki w policzkach.

– Dobranoc – odpowiedział i jeszcze raz ją pocałował.

Następnie wsiadł do taksówki i odjechał.

Marta sięgnęła do wewnętrznej strony furtki, gdzie miała zwyczaj pozostawiać klucz w zamku. Przekręciła go i weszła na podwórko. Kiedy była już pod drzwiami, uświadomiła sobie, że nie ma torebki. Prawdopodobnie zostawiła ją w taksówce, więc jak tylko Robert to zauważy, z pewnością wróci pod jej dom. Cierpliwie czekała zatem kilkanaście minut, marząc coraz mocniej, bo październikowy świt był zimny i wilgotny.

Upłynął kwadrans, może więcej, a Robert nie przyjeżdżał. Marta coraz bardziej się denerwowała i nie miała pomysłu co dalej. W torebce zostawiła klucze, portfel i komórkę. Adresu Roberta nie знаła. Cóż zatem było robić w tej sytuacji? Postanowiła poszukać tymczasowego schronienia u Janusza.

Nacisnęła dzwonek u drzwi. Dość długo stała, zanim jej otworzył. Z pewnością wyrwała go ze snu, bo był cały w nieładzie. Włosy opadały mu niesfornie na czoło, miał bose stopy i dżinsy, w których nie zdążył dopiąć guzika. Wyglądał kusząco.

– Zgubiłam klucze do domu – przyznała się. – Mogę wejść?

– Jasne, wchodź – wydukał zdziwiony. – A skąd wracasz o tej porze?

– Ślub – rzuciła niejasno.

– Wzięłaś ślub? – uśmiechnął się do niej.

– Nie – odparła. – Tylko tańczyłam i piłam.

– No właśnie widzę. – Janusz wziął ją za rękę i poprowadził do salonu. – Co się stało?

– Nie wiem, zostawiłam gdzieś torebkę. Nie mam kluczy, portfela i komórki. Poza tym jest okej.

– Jesteś głodna? – zapytał z troską.

– Nie. – Siedząc naprzeciw niego, przyglądała mu się z zaczepnym uśmiechem.

– Co jest? – Poczul się nieswojo pod jej spojrzeniem.

– Nic – odparła, wciąż się uśmiechając. – Czy mi się zdaje, czy chyba trochę się o mnie martwisz.

– A mam jakiś wybór? – Też się do niej uśmiechnął. – Zostałaś bez dachu nad głową. Zaczekaj chwilę.

– Nigdzie się nie wybieram – odparła trochę sennie. – Nie mam dokąd.

Wstał i poszedł na górę. Chwilę później przyniósł dwa ręczniki, swój T-shirt, bokserki i szczoteczkę do zębów.

– Proszę, na razie musi ci to wystarczyć. Potem pomyślimy co dalej.

Wzięła przyniesione przez niego rzeczy i podziękowała. Zanim ruszyła pod prysznic, zrzuciła wysokie czerwone szpilki i zostawiła kurtkę na kanapie.

Podczas gdy ona brała kąpiel, Janusz przygotował dla niej pokój gościnny. Powlókł

świeżą pościel i postawił na stoliku przy łóżku butelkę wody oraz szklankę. Potem zszedł na dół, a gdy zobaczył rozrzucone buty i kurtkę, zatrzymał się na chwilę. Od kilku miesięcy nie widział w swoim domu damskiej garderoby. Ten drobny nieporządek sprawił mu w gruncie rzeczy radość, bo był namiastką normalności. Zebrał szpilki z podłogi, sięgnął po kurtkę i odniósł wszystko do przedpokoju.

– Janusz... – zawołała szeptem spod łazienki, jakby się obawiała, że śpi.

Podniósł się z kanapy i poszedł na górę. Stała pod drzwiami. Uroczo wyglądała w męskim stroju. To, że miała na sobie bokserki, musiał sobie wyobrazić, bo jego T-shirt sięgał jej aż do połowy ud.

– Chodź, posłanie już na ciebie czeka. – Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. – Może być?

– Dziękuję – odpowiedziała rozczulona. – Ratujesz mi życie.

Zostawił ją w pokoju i zszedł jeszcze do kuchni. Wyjąwszy z lodówki wodę gazowaną, napił się wprost z butelki. Potem wrócił na górę i zajrzał do łazienki. Powietrze było jeszcze w niej gorące i wilgotne po kąpielu Marty; na brzegu wanny leżała jej sukienka i stanik, a w samym rogu drabinkowego grzejnika wisiały wciśnięte, jakby chciały się ukryć, pończochy i figi do wyschnięcia. Na widok tej damskiej bielizny Januszowi zrobiło się ciepło i przyjemnie, krew zaczęła szybciej krążyć. Wyszedł szybko, a potem jeszcze długo nie mógł zasnąć.

Późne przedpołudnie przywitało Martę bólem głowy i psim sapaniem. Gdy otworzyła jedno oko, dostrzegła tuż przy twarzy mokry rudy nos Bidy.

– Cześć, sierściuchu – szepnęła czule, na co sunia natychmiast zareagowała lizaniem. – Ej, co to za poufałość?

Odsunęła się od niej i sięgnęła po wodę. W gardle jej zaschło, czuła tępe pulsowanie w skroniach. Odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka. Za oknem było szaro, wiał silny wiatr, targając prawie nagim krzewem jaśminu. Jesień w pełni, a w jej sercu jakoś tak dziwnie ciepło.

Boso zeszła do kuchni. Janusz siedział przy stole, pił kawę i pochylał się nad laptopem. Na jej widok podniósł głowę i uśmiechnął się serdecznie.

– Dzień dobry – przywitał ją. – Jak spałaś?

– Dziękuję – odpowiedziała radośnie. – Ja i Bida wyspałyśmy się przednio.

– O, to przepraszam za dyskomfort. Trzeba było ją wyrzucić.

– Głowa mi pęka – zmieniła temat.

– To może kawy? Albo tabletkę? – zaproponował i już wstawał, by nalać wody do czajnika. – Chyba nie powinnaś tyle pić.

– Dzięki za troskę, tatuśku – roześmiała się i natychmiast skrzywiła, bo ból głowy narastał.

Postawił czajnik na kuchence, nasypał kawy do filiżanki i odwrócił się do niej, bezwstydnie się w nią wpatrując. Zbyt szeroki T-shirt odsłaniał jej ramię i całkowicie zakrywał bokserki. Chyba że ich wcale nie włożyła. Poczul, że miałby ochotę to sprawdzić.

Marta podeszła do laptopa i zerknęła na godzinę.

– Już południe – stwierdziła.

– I co z tego? – zapytał i wlał wrzątek do filiżanki. – Przecież dzisiaj niedziela – dodał.

– Tak, ale mam dużo do zrobienia.

– To znaczy? – zapytał.

– Muszę w jakiś sposób dostać się do domu, a najlepiej odzyskać torebkę.

– Gdzie ją zgubiłaś?

– Sądziłam, że w taksówce. Myślałam, że Robert mi ją odwiezie. Chyba że jej nie zauważył.

– A jeśli nie w taksówce?

– To musiała zostać w domu weselnym. W kościele ją miałam. Potem na weselu też. Widocznie zapomniałam ją zabrać.

– Jeśli tylko na weselu nie było żadnego złodzieja, to powinnaś ją odzyskać. Musisz się jakoś skontaktować z nowożeńcami albo z obsługą lokalu.

Janusz rozumował całkiem logicznie, tyle że jedyną osobą, którą znała na tej uroczystości, był Robert. A numer do niego miała w komórce, na pamięć go nie znała, czyli skontaktować się z nim nie mogła. Sięgnęła po laptopa i wpisała w przeglądarkę nazwę domu weselnego. Janusz wyjął z kieszeni swój telefon i podał go Marcie. Po dłuższej chwili dodzwoniła się tam, ale usłyszała, że nikt nie znalazł żadnej torebki. Ten trop prowadził zatem donikąd. Musiała więc koniecznie jakoś nawiązać kontakt z Robertem. Bez trudu odnalazła go na portalu społecznościowym i wysłała do niego wiadomość. Opisała mu problem i czekała. Miała nadzieję, że zaraz się odezwie, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Co ja powiem panu Stasiowi? Co on sobie o mnie pomyśli? – Załamana wyciągnęła ręce na stole i położyła na nich głowę. – Przecież on mnie stąd wyrzuci, bo uzna, że jestem nieodpowiedzialna.

– Spokojnie – potargał jej włosy. – Coś na to poradzimy – pocieszał.

– Kurczę, nawet nie mam jak się stąd ruszyć. Chyba że w weselnej kiece.

– Jak dla mnie, możesz chodzić w tym, co masz na sobie. Wyglądasz znakomicie.

– Nie kop leżącego! – zawołała.

– Mówię serio. Masz ładnie wyeksponowane ramię i nogi.

Wiedziała, że z niej drwi, postanowiła więc go nieco podręczyć. Wstała od stołu, wygięła się kuszaco do tyłu i spojrzała mu prosto w oczy. Jej piersi zarysowały się wyraźnie pod zbyt obszernym podkoszulkiem i podniecająco uwypukliły się sutki. Podniosła nogę i oparła bosą stopę o jego udo. Widział wyraźnie swoje bokserki. Marta kokietowała, kusila i igrała z ogniem. Nie posunęła się jednak dalej.

– Tak mam chodzić po domu? – mruknęła, dotykając swojego uda.

Chwilę później zaprzestała tej gry i wróciła na krzesło. Janusz był ugotowany. Gdyby posunęła się o krok dalej, możliwe, że nie oparłby się jej urowi. Miał ochotę ją dotykać i pieścić, ale na szczęście w porę się zatrzymała.

Dopijając kawę, co kilka minut sprawdzała, czy Robert się nie odezwał. Niestety, nie było od niego żadnej wiadomości.

– Zgłodniałaś? – zapytał Janusz, kiedy stanął przy otwartej lodówce.

– Troszeczkę – przyznała.

Wspólnie zabrali się do przygotowania obiadu. Marta bardzo chętnie poddawała się jego wytycznym i skrupulatnie wykonywała polecenia. Ją kręciło to, że w kuchni dyryguje nią facet, a jego podniecało nieco rozneglizowane jędrne ciało Marty.

Janusz obrał ziemniaki i pokroił w cienkie plastry. Marta zajęła się krojeniem papryki, cebuli, pora i brokuła. Po kuchni rozchodziły się przyjemne zapachy warzyw, które dobrze ze sobą wymieszali i umieścili w wysmarowanym masłem naczyniu żaroodpornym. Na wierzchu Marta położyła pokrojoną w paski pierś kurczaka, a Janusz podgrzewał w tym czasie słodką śmietankę z bulionem. Potem rozlał ją równomiernie na warzywa i na końcu posypał żółtym serem, który starta Marta. W kuchni pachniało coraz bardziej. Zapiekanka dochodziła w piekarniku prawie godzinę, kusząc ich aromatem sera, warzyw i mięsa. Wreszcie po czternastej zasiedli do obiadu.

– Mam propozycję – odezwał się Janusz. – Jeśli chcesz, to mogę cię podwieźć do jakiejś galerii na zakupy. Chyba że w tym zamierzasz iść jutro do pracy – ruchem głowy wskazał jej skąpy strój.

– Dzięki – odpowiedziała. – Ale wiesz, że to oznacza, że będziesz musiał we mnie zainwestować? Bo jestem bez grosza.

– Trudno, moja strata – roześmiał się.

Gdy Janusz zmywał po obiedzie, ona po raz kolejny zajrzała na Facebook. Robert nadal się nie odezwał. Wstała więc i pomaszerowała do łazienki. Włożyła swoje rzeczy i niezbyt zadowolona zeszła z powrotem do kuchni. Janusz odwrócił się do niej.

– Jak psu z gardła – powiedziała, mając na myśli sukienkę. – Na dodatek gdzieś się paskudnie poplamiałam.

Wycierając ręce w ścierkę, prześwidrowywał ją wzrokiem. Sukienka rzeczywiście nie wyglądała najlepiej, oszczędził jej jednak tej uwagi. Zamiast tego poszedł na górę i po chwili wrócił z eleganckim kartonem.

– Sprawdź, może będzie pasować.

Marta sięgnęła niepewnie po pudło i zanim je otworzyła, zapytała:

– Co to?

– Jedyna kobieca rzecz w tym domu. Śmiało, przymierz.

Zajrzała do środka i zobaczyła granatową sukienkę od Zienia, którą Janusz kupił dla Doroty w dniu, kiedy odeszła.

– Śmiało – powtórzył, widząc, że się waha.

Poczuła się trochę nieswojo, uświadomiwszy sobie, że dostała prezent przeznaczony dla kogo innego. W tej sytuacji jednak nie zamierzała grymasić i doceniła gest Janusza. Mógł przecież tę sukienkę trzymać jak relikwię, a mimo to zdecydował ją oddać. Postanowiła więc nie pokazywać, że ją uraził swoim podarunkiem. Poszła do pokoju się przebrać i po chwili Janusz ujrzał ją na schodach w szykownej sukience bez rękawów, lekko wyciętej pod szyją, skrojonej tak, że wyglądała, jakby składała się z dwóch części. Marta wyglądała w niej bardzo elegancko, a kiedy włożyła swoje czerwone szpilki, kreacja nabrała pazura i zrobiła się niezwykle seksowna.

– Pięknie – Janusz był urzeczony.

– Dziękuję. – Cmoknęła go niespodziewanie w policzek, on zaś nie miał pojęcia, czy dziękuję mu za sukienkę, czy za komplement.

Popołudnie spędzili w galerii handlowej, gdzie Marta zaopatrzyła się w dżinsy, bluzkę, botki, skarpetki i figi. W końcu kiedyś dostanie się przecież do domu, uznała więc, że jeden komplet ubrań jej wystarczy, poza tym nie chciała Janusza narażać na koszty.

A on czuł się świetnie, kiedy towarzyszył jej w poszukiwaniach, oglądał ją w przymierzanych ciuchach i płacił za jej zakupy.

Wieczorem wciąż nie było żadnych wieści od Roberta i wszystko wskazywało na to, że Marta spędzi jeszcze jedną noc u Janusza. W poniedziałek zaczynała pracę od porannej zmiany i dopiero wtedy będzie mogła porozmawiać z Robertem.

Rozdział 12

Kiedy Robert odespał zarwaną weselną noc, późno wieczorem w niedzielę zasiadł przed komputerem, przeczytał wpis Marty i rozpoczął poszukiwania zagubionej torebki. Zadzwoił do nowożeńców, ale oni o niczym nie słyszeli. Przekazali jednak wiadomość dalej i w całkiem niedługim czasie torebka się odnalazła. Wzięła ją ze sobą do domu matka panny młodej, zakładając, że wcześniej czy później ktoś się po nią zgłosi. Robert natychmiast napisał o tym Marcie, ale ona niestety tak późno nie zajrzała już do komputera. Przeczytała wiadomość dopiero w poniedziałek rano i z radości aż uściskała -Janusza przy śniadaniu.

Gdy tylko w pracy wjechała windą na swoje piętro, od razu poszła do gabinetu Roberta. Właśnie układał ręczniki i kiedy zobaczył ją w drzwiach, szczerze się rozpromienił.

– Cześć, kochana – podszedł do niej i ją pocałował. – Proszę, oto twoja zguba. – Sięgnął do wnękowej szafy i wyjął z niej -torebkę.

Marta odetchnęła z ulgą. Wszystko było na miejscu: portfel, komórka i klucze. Kamień spadł jej z serca, że nie grozi jej kompromitacja przed Kaczewskim. Najbardziej bała się tego, że będzie musiała się przyznać do zgubienia kluczy i narażenia go co najmniej na wymianę zamków albo i na włamanie.

Miała kilkanaście nieodebranych połączeń, między innymi od Agaty i Moniki.

– No, nareszcie! – zawołała Agata, kiedy Marta do niej oddzwoniła. – Już się martwiłam, że cię zamordowali na tym weselu. Dlaczego się nie odzywałaś?

– Bo zgubiłam telefon – wyjaśniła.

Potem wybrała numer siostry. Monika próbowała się z nią skontaktować, ponieważ miała dobre wieści i chciała się pochwalić. Oznajmiła, że dostała pracę, i po raz już nie wiadomo który przekonywała, że Rafał to świetny facet, a ona się na nim po prostu nie poznała.

– Gratuluję. I pracy, i faceta. – Marta szczerze dopingowała siostrze, choć równie szczerze wąpiła w Rafała. Wciąż uważała go za męzczyznę niewartego uwagi. – A co to za praca? – O Rafała nie pytała, bo wiedziała, co to za typ.

– Ekspedientka w spożywczym. – Monika była ogromnie zadowolona, jakby dostała pracę marzeń.

Marta sprzedawczynią też w życiu bywała i doskonale wiedziała, że nie ma się czym tak ekscytować, mimo to bardzo się cieszyła, że siostra wreszcie ruszyła z miejsca. Jeśli uda jej się wytrwać w dotychczasowym zapale, to przy odrobinie szczęścia może w końcu jakoś sobie to swoje życie ułożyć.

Robert delikatnie skierował Martę na fotel do masażu i kiedy ona w najlepsze rozmawiała z Moniką, on zaczął rozmasowywać jej kark, lecz nie poprzestał na nim. Jego ręce powoli przesuwały się coraz niżej, sięgały już łopatek i bardziej je gładziły, niż masowały. Marta była nieco zaskoczona rozwojem sytuacji, chętnie się jednak poddawała. Robert stanął tuż za nią, pochylił się jeszcze bardziej i bez trudu wsunął dłoń pod bluzkę, nie przestając delikatnie masować. Kiedy dotarł do stanika i zręcznie wcisnął

pod niego palce, nie miała już ani siły, ani ochoty na dalszą rozmowę z Moniką.

– Muszę kończyć – wysapała w słuchawkę. – Zaraz zaczynam pracę.

Robert pieścił jej piersi i całował po szyi, na co ona odruchowo przeżyła się i mruczała jak kocica, zachęcając go tym do dalszego działania.

– Chodź tu – szepnął jej do ucha i obejmując ją wpół, podniósł z krzesła i obrócił ku sobie.

Był tak wysoki, że musiała się wspiąć na palce, by sięgnąć jego ust. Atmosfera w gabinecie robiła się coraz bardziej gorąca. Robert wciąż ją całował i pieścił, kierując ją w stronę ściany. Kiedy przez dzins dotknął jej pośladka, ocknęła się nieco i nieprzytomnie spytała:

– O której masz pierwszego klienta?

– Zaraz – wysapał.

To ją otrzeźwiło na tyle, że spowolniła oddawanie pocałunków i spróbowała wysunąć się z jego objęć. On jednak ani myślał dać jej spokój.

– Robert... – szepnęła. – Ktoś może wejść.

– No i co z tego? – Nie słuchał jej argumentów, ale czar już prysł i Robert wreszcie odpuścił, bo poczuł, że nie ma już sojusznika w tej jakże podniecającej zabawie.

Marta uśmiechnawszy się zawadiacko, wyraźnie zadowolona z tego, co zaszło, szybko poprawiła sobie bluzkę i włosy.

– O której wykroisz trochę czasu na szybki lunch? – zapytał Robert, kiedy już była w drodze do swojego gabinetu.

– Nie wiem – odparła zalotnie. – Ale mogę po ciebie wstąpić, jeśli chcesz?

– Koniecznie – pocałował ją na odchodne. Znów długo, przeciągle i bardzo namiętnie.

– O, dzień dobry, pani Marto! – wołała z daleka jedna z jej klientek do czesania. – Właśnie miałam nadzieję, że dziś przyjdzie pani troszkę wcześniej.

Gdy Marta energicznie szła do swojego gabinetu, na jej twarzy malował się wyraz niezwykłego zadowolenia.

– Zapraszam panią – wpuściła klientkę przed sobą. – Czeszemy?

– Tak, koniecznie. Wie pani, zależy mi dzisiaj na zrobieniu wyjątkowego wrażenia. Pani mi poprawi fryzurę, a ja już się postaram, żeby wyglądać tak promiennie jak pani teraz.

– Aż tak widać?

– Jeszcze jak – potwierdziła kobieta. – Chyba wyjątkowo udał się pani weekend?

– Nawet bardzo... – Marta roześmiała się szczerze.

Tego dnia miała sporo pracy. Salon prosperował coraz prężniej, klientów wciąż przybywało, a zwłaszcza jej, bo dodatkowo zajmowała się fryzjerstwem. Ten babski kącik był strzałem w dziesiątkę. Niektóre z pań zatrudnionych w biurówcu przychodziły codziennie lub prawie codziennie. Jedne chciały wyglądać dobrze w pracy, inne po pracy i prawie zawsze ze względu na mężczyzn. O ile ubrać się stylowo potrafiły same, o tyle z fryzurą nie wszystkie sobie radziły i Marta była dla nich wybawieniem. Raz czy drugi proponowała też poprawę makijażu i pocztą pantoflową rozeszło się szybko, że w gabinecie Marty można zrobić się na bóstwo od stóp do głów.

Z samych napiwków Marta była w stanie wyciągnąć niewiele mniej, niż wynosiła jej pensja. A jako że ostatnio odpadło jej płacenie czesnego za studia, poczuła się dość bezpieczna finansowo i po raz pierwszy od dawna była spokojna o przetrwanie kolejnego miesiąca w stolicy. Wszystko wskazywało na to, że wychodzi na prostą i po pięciu chudych latach ma szansę na prawdziwą stabilizację. Pewien problem stanowiło jedynie mieszkanie, wiedziała bowiem, że u Kaczewskich długo nie pomieszka. Wcześniej czy później pan Stasio zechce przecież wrócić do domu. Może i ona będzie mogła wrócić na Bemowo, ale czy na pewno? Na razie jednak nie zamierzała się tym przejmować.

Rzeczywiście istniała spora szansa na to, że Marcie się powiedzie. Tak w każdym razie coraz śmiej sobie myślała. Dumna była ze swoich osiągnięć. Cieszył ją tytuł magistra, całkiem dobra praca, no i przede wszystkim skrzydeł dodawała jej czająca się na horyzoncie miłość. Marta czuła, że stopniowo poddaje się fali narastającego pożądania i powoli przekonuje się do Roberta. Jeszcze miesiąc czy dwa wcześniej nie miałby szans przy jej chwilowym zauroczeniu Januszem, ale teraz, w miarę, jak widziała bierność jednego i zaangażowanie drugiego, chyba jednak będzie gotowa zaryzykować i spróbować szczęścia u boku Roberta. Może się uda.

Przed czternastą miała w grafiku wolne pół godzinki, zadzwoniła więc do niego.

– Hej! Jesteś głodny? – spytała.

– Ciebie nieustannie – odparł.

– To zapraszam na obiad – roześmiała się.

Szybko wyskoczyli do pobliskiej włoskiej knajpki, on na spaghetti, ona na sałatkę.

– To chyba twoja sąsiadka? – odezwał się znad talerza Mateusz.

Janusz odwrócił się, by sprawdzić, czy kumpel się nie myli. Kilka stolików dalej rzeczywiście siedziała Marta i była tak zajęta Robertem, że w ogóle nie zwracała uwagi na otoczenie. Bilski wychylił się lekko, by lepiej zobaczyć, w co jest ubrana. Dostrzegł, że ma na sobie bluzkę i spodnie, które kupił jej poprzedniego dnia. Sprawilo mu to dziwną radość. Co do Roberta zaś, uważał, że jest natrętny i za bardzo przysuwa się do Marty. Wyraźnie nie było mu w smak, że ten dryblas siedzi z nią tak blisko. Sam nie wiedział, skąd wzięła się w nim taka postawa psa ogrodnika.

Wychodząc, Marta dostrzegła Janusza i pomachała do niego, przesyłając mu jednocześnie swój najładniejszy uśmiech. Dołeczki w policzkach natychmiast się pogłębiły, a skośne oczy zrobiły jeszcze bardziej skośne. Janusz też się do niej uśmiechnął. Kęs mięsa utkwiał mu przy tym w gardle.

Na koniec zmiany Robert wstąpił na chwilę do Marty, ale że miała klientkę, nie zabawił długo.

– Co powiesz na wieczór u mnie? – szepnął jej do ucha.

– Chętnie – odpowiedziała przymilnie. – Ale nie dziś. Mam już plany.

– Jakie? – trochę się zaniepokoił.

– Agata i sąsiad – odparła.

– Czyli? – Nie zrozumiał.

– Czyli pójdę do sąsiada podziękować, że mnie przygarnął na weekend, a potem będę plotkować z Agatą. Najpewniej o tobie – uśmiechnęła się szeroko.

– To jej też powiedz, że mam na ciebie wielką ochotę – szeptał wciąż do ucha

i ukradkiem dotknął jej pośladków.

W końcu dał jej pożegnalnego całusa i wyszedł. Co do Janusza, Marta mówiła prawdę. Rzeczywiście planowała wpaść do niego z podziękowaniem, ale jeśli chodzi o Agatę – skłamała. Nie była z nią tego dnia umówiona, tylko nie chciała, aby Robert pomyślał, że cały wieczór spędzi u Janusza. Zresztą wcale nie miała zamiaru zajmować mu aż tyle czasu.

Wracając z pracy, wstąpiła do cukierni na Zakopiańskiej, gdzie kupiła mały torcik bezowy. Kilka minut później była już pod domem. Do Janusza chciała zajrzeć późnym wieczorem, ale akurat podjechał pod swoją posesję, przystanęła więc, by się z nim przywitać. W sumie po raz kolejny tego dnia.

– Cześć. Obiad smakował? – zagaił, nawiązując do przelotnego spotkania w restauracji.

– Owszem, dziękuję – odpowiedziała, uśmiechając się uroczo. – Znajdziesz dla mnie chwilę?

– Jasne – odparł. – Kiedy tylko chcesz.

– Teraz? – zapytała nieśmiało.

Weszli do domu. Przy drzwiach stały jej czerwone szpilki, a na kuchennym blacie leżały naczynia po śniadaniu. Janusz poszedł do pracy po Marcie, ale najwidoczniej nie zdążył posprzątać.

– Przepraszam za ten bałagan. – Zawstydział się trochę. – Zaraz go ogarnę.

– Ja właśnie po części w tej sprawie – powiedziała.

– Tak? – zaciekawił się. – Chcesz mi posprzątać?

– Tak jakby – uśmiechnęła się. – Ale najpierw podziękowania. Proszę – wręczyła mu tort. – Za to, że mnie przygarnąłeś jak Bidę.

– Nie ma sprawy. – Był trochę zaskoczony prezentem, nie ukrywał jednak, że sprawił mu radość.

– Pozwolisz, że jeszcze na chwilę wejdę na górę? – Było to raczej stwierdzenie faktu niż prośba, bo Marta już była w drodze na piętro.

Zeszła po kilku minutach, niosąc przed sobą całą naręcz rzeczy: pościel, ręczniki, swój weselny strój i granatową sukienkę.

– Zabieram to do prania – oznajmiła. – Jak wyschnie, to przyniosę. Łóżko uporządkowałam i mam nadzieję, że o niczym nie zapomniałam. Jeszcze raz bardzo dziękuję i już ci nie przeszkadzam. – Powiedziawszy to, skierowała się do wyjścia.

– Hej! – zawołał. – Nie tak szybko. Już robię kawę do ciasta. I daj spokój z tym praniem, zaraz włożę wszystko do pralki i po sprawie.

– O nie! – zaoponowała, przybierając zaczepny ton. – Wybacz, ale facet, z którym nie śpiam, nie będzie prał mojej bielizny.

Spojrzał na nią zaintrygowany i postanowił pociągnąć temat.

– A facet, u którego śpiasz?

– Takiemu też wara od moich majtek!

– Kotku, odzierasz mnie właśnie z mojego największego marzenia. – Przewiercał ją spojrzeniem. – Jak wariat pędziłem tu z biura, by od razu polecieć na górę i zanurzyć się w pościel, w której spałaś, dotykać jej i wachać.

Dłużej nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Był tak komiczny, mówiąc to, że nawet gdyby bardzo chciała uwierzyć choćby w jedno jego słowo, nie dałaby rady. Sam zresztą też w to nie wierzył, droczył się z nią po prostu, za co dostał kuksańca w bok.

– Au! – zawołał i natychmiast oddał.

Nie pozostała mu dłużna, kiedy zaś znów szykowała się do ataku, chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął ku sobie. Zaskoczył ją, mimo to pozwoliła mu się przytulić, a gdy splótł ręce tuż nad jej pośladkami, zrobiło jej się naprawdę przyjemnie.

– Bardzo się cieszę, że jesteś blisko – powiedział cicho i może dodałby coś jeszcze, ale ciekawska Bida właśnie wcisnęła swój długi nos między nich, domagając się pieszczot.

– To co, kroimy tort? – Marta nie bardzo wiedziała, jak powinna się zachować.

Była tak podekscytowana, że wystarczyłby najmniejszy sygnał ze strony Janusza, a chyba od razu straciłaby dla niego głowę. Na szczęście Bida ostudziła nieco emocje i oboje zasiedli do kawy.

Tymczasem w Kazimierzu życie biegło już nieco innym rytmem. Miasteczko robiło się coraz bardziej ospałe, jakby zamierzało zapaść w zimowy sen. Szare dni, deszcze i brak słońca odebrały mu sporo uroku, mimo to wciąż nie brakowało turystów, choć oczywiście teraz przyjeżdżało ich znacznie mniej niż latem.

Antoni Bilski po raz pierwszy od wielu lat był naprawdę szczęśliwy. Uciekł z Warszawy w poszukiwaniu spokoju, a wyglądało na to, że znalazł miłość. Nie było to uczucie szalone i wypalające aż do dna, jakie przytrafia się młodym ludziom. Nie była to erotyczna celebrowanie pożądania ani chwilowe uniesienia i porywy. Jemu i Grażynie przytrafiła się miłość dojrzała, nieśpieszna, taka, co to „życie zna”.

Początkowo pijali razem kawę, jadali obiady, spacerowali i bardzo długo rozmawiali. Któregoś wieczoru ona przeglądała swoje prace, które miała wstawić do galerii, a on siedział okryty kocem i patrzył na nią, popijając herbatę. I zdał sobie sprawę, że tak właśnie może wyglądać szczęście, może być chwilą ciepłej zadumy nad drugą osobą, może być spokojem czy choćby zwykłym spojrzeniem. Odstawił wtedy filiżankę, odsunął koc i podszedł do Grażyny. Przystanął za nią i oparł ręce na jej ramionach. Poruszyła się lekko i pogłaskała go po dłoni, a potem przyłożyła do niej swój policzek. Nie było tak, że poczuli nagłe pożądanie, przypadli do siebie i zaczęli się namiętnie całować. Było to świętowanie i czczenie siebie nawzajem, wystarczyły spojrzenia i dotyk. Antoni przyjrzał się delikatnym zmarszczkom na jej twarzy i powiódł po nich palcem z ogromną czułością. Ona zaś gładziła jego dłonie, wyczuwając nabrzmiałe żyły i ścięgna. Ta delikatność i powolność zawiodła ich wreszcie do łóżka. Kochał ją nieśpiesznie, subtelnie, finezyjnie.

Tak, Antoni Bilski miał romans, zdradzał żonę i już się tym nie przejmował.

Któregoś listopadowego popołudnia, kiedy odpoczywali w fotelach po długim spacerze do Korzeniowego Dołu, Grażyna podniosła się, podeszła do biurka, na którym leżały złożone jej prace, i wybrała jedną z nich. Potem zbliżyła się do regału z książkami i przesunęła palcami po ich grzbietach, wyraźnie szukając jednej, konkretnej. Znalazła ją po chwili i zaczęła kartkować. Kiedy trafiła na to, o co jej chodziło, uśmiechnęła się do siebie i usiadła przy biurku. Odwróciła wybraną akwarelę i przepisała

na nią coś z książki. Następnie podeszła do Antoniego i wręczyła mu obrazek. Znał go. Kiedy nad nim pracowała, on krzątał się po podwórku, grabiąc opadłe liście. Akwarela przedstawiała go w słomkowym kapeluszu na tle zamkowego wzgórza. Na odwrocie Grażyna napisała fragment z Tuwima, zmieniając rodzaj na żeński:

„Szukałam tego w Paryżu,
szukałam w Berlinie i Rzymie,
A to za oknem było
i miało polskie imię”.

Antoni był wzruszony. Wstał, ujął jej dłoń i nisko się pochylając, ucałował ją z namaszczeniem.

– Grażynko... – tylko tyle zdołał powiedzieć przez zaciśnięte gardło.

– Tak właśnie myślę – odezwała się. – Czuję, że moje życie zatoczyło krąg i powróciło do ciebie. Mam wrażenie, że te wszystkie lata bez ciebie były daremne i jałowe. I zupełnie nie wiem, dlaczego wtedy, przed czterdziestu laty, pozwoliłam ci odejść.

Tak mijał czas w Kazimierzu. Bez pośpiechu, wśród wzajemnego szacunku, zrozumienia i dojrzałej miłości.

Warszawa tak kochać nie umiała. Tu wszystko pędziło na zatracenie i opierało się na tymczasowości. Dziś jest, jutro nie ma – oto zasada stolicy. Dotyczyła niemal wszystkiego. Pracy, szczęścia, miłości. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Marta też trochę wpadła w taki rytm. Większość czasu spędzała w pracy, z Robertem raczej się mijała, bo w listopadzie grafiki im się rozjechały, krótkie wolne chwile spędzała na basenie, a Janusza nie widywała wcale. Jakby się rozplynęła.

W połowie listopada dostała umowę o pracę na czas nieokreślony i ze względu na dodatkowe obowiązki fryzjerki otrzymała też niewielką podwyżkę. Przemebrowano także jej gabinet. Mikołaj został przeniesiony do Roberta i jego zmienniczki, Marta zaś została sama.

– Co u was w firmie? – Masowała właśnie Mateusza i korzystając z okazji, podpytywała o Bilskiego.

– A co, nie widzisz się z Januszem? – Mateusz wyraźnie zakładał, że spotykają się regularnie.

– Ostatnio jakoś nie – odparła. – To co u niego?

– Chyba lepiej. Jeszcze rok, może dwa i wyliże się całkiem po tej harpii.

– Taką długą rekonwalescencję mu wróżysz? – Marta siliła się na luz.

– No wiesz, skoro nikt chłopakowi nie chce pomóc, to mu zejdzie jeszcze trochę. – Nagle jęknął pod wpływem silniejszego ucisku. – Szczerze mówiąc, przez moment nawet myślałem, że to ty go wyciągniesz z dołka.

– Ja? – Marta nie kryła zaskoczenia. – W jaki sposób?

– Wydawało mi się, że między wami iskrzy. Ale chyba już zgasło – zaśmiał się.

– A propos – odbiła piłeczkę – a mnie się wydawało, że między tobą a Agatą coś się dzieje.

Zapadła cisza. Mateusz zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Co u niej? – Spróbował wreszcie wysondować, starając się nie zdradzić swoich

uczuc.

– Nie wiem, co ci odpowiedzieć. Ją o to powinieneś zapytać, ale pewnie tego nie zrobisz, bo jesteś tchórz. – Marta postanowiła postawić na szczerość. – Ładna jest, prawda?

– Tak – odparł po chwili wahania. Nie wiedział, do czego Marta zmierza.

– Każdy facet jest wzrokowcem?

– Nie wiem... Chyba... – Wciąż nie wiedział, co jest grane.

– A na co patrzycie w drugiej kolejności? Jak już się upewnicie co do urody?

Uniósł się lekko na stole i odwrócił do niej twarz.

– Uważaj, bo za chwilę obnażysz swoje klejnoty – zażartowała, widząc, że ręcznik niebezpiecznie zsuwa mu się z bioder. Chwycił go mocno i opadł znowu na stół. – No, to co kontemplujecie w kobiecie po urodzie? Kiedy dochodzicie do wnętrza?

– O co ci chodzi? – Poczul się atakowany.

– O to, że jesteś dupek. – Ucisnęła mocno mięśnie ud, aż stęknął. – Uciekłeś, zanim poznałeś ją całą. Nie wiesz, że jest wrażliwa, mądra, bardzo lojalna i oddana. Nie możesz tego wiedzieć, bo nie dałeś jej szansy – znów ucisnęła przesadnie silnie. – Ta jej ułomność, przed którą uciekłeś, nauczyła ją widzieć i czuć dużo więcej. I gdybyś tylko zechciał zostać przy niej trochę dłużej, sam byś się przekonał, ile jest warta. Nawet nie wiesz, co przeszło ci koło nosa.

Mateusz nie miał pojęcia, że jego chwilowe zainteresowanie Agatą było aż tak widoczne. Sądził, że nikt go nie zauważył, może z wyjątkiem samej Agaty.

– Dobra! – krzyknął – Już wystarczy! – Przytrzymał ręcznik i zeskoczył gwałtownie ze stołu. – Najpierw uporządkuj swoje relacje, a dopiero potem zajmuj się moimi. – Był wściekły. Ubrał się szybko i na odchodne trzasnął drzwiami.

Marta prychnąwszy, wzruszyła ramionami. Zupełnie nie wiedziała, co miał na myśli, każąc jej zrobić porządki w swoim życiu.

– Duppek! – zawołała za nim dla rozładowania emocji.

Nagle drzwi ponownie się otworzyły i Mateusz wsadził głowę go gabinetu.

– Wariatka! – wrzasnęła i od razu mu ulżyło.

– Wariatka! – powtórzył, kiedy tylko znalazł się z powrotem w biurze.

– Kto? – zainteresował się Janusz.

– Ta twoja sąsiadeczka! – wyładowywał na nim swoją złość.

– O, czyżby masaż się nie udał? – Janusz zaczął kpić.

– Czy ty wiesz, co zarzuciła mi ta durna baba?!

– No co? – Janusz był coraz bardziej zaciekawiony.

– Że uciekłem przed Agatą! Rozumiesz?! Że ja uciekłem!

– No... – odparł Bilski. – Przecież to prawda.

– Co?! – Mateusz nie wierzył w to, co słyszał.

– Stary, daj spokój. Obaj wiemy, że spietrałeś.

– Bo mnie oszukała!

– A w którym momencie?

– Dobrze wiesz! – bronił się. – Nie powiedziała, że jest nie-widoma.

– A czy ty jej powiedziałaś, że chrapiesz?

– Co? To nie to samo! Zresztą ja wcale nie chrapię – oburzył się.

Awantura rozpoczęta w salonie u Marty, a skończona we własnym biurze tak bardzo poruszyła Mateusza, że nie mógł się zupełnie skupić na dalszej pracy. Wrzało w nim i kipiało, lecz mimo podrażnionego ego i dumy własnej zaczął troszkę inaczej patrzeć na sytuację. Wciąż miał żal do Agaty, ale przemknęło mu też przez myśl, czy Marta przypadkiem nie ma racji. Zaintrygowało go, co mogły znaczyć jej słowa, gdy powiedziała, że on nie ma pojęcia, z czego tak łatwo zrezygnował. Nurtowało go to ogromnie, nic jednak nie wskazywało na to, by kiedykolwiek miał zaspokoić swoją ciekawość.

Januszowi trudno było się skupić na pracy w tej ciężkiej atmosferze, wziął więc marynarkę z oparcia krzesła i wyszedł z biura. Kilka chwil później stanął pod drzwiami Marty i zapukał. Gdy usłyszał „proszę”, otworzył. Oparł się o framugę, włożył ręce do kieszeni spodni i przyglądał się jej, jak porządkuje stół po Mateuszu.

– O co chodzi? – podniósłszy głowę, spojrzała na Bilskiego.

– Przyszedłem sprawdzić, czy jesteś w podobnym nastroju jak mój wspólnik – uśmiechnął się.

– Poskarżył się na mnie? – odwzajemniła uśmiech.

– I to jak – Janusz bawił się setnie.

– Usłyszał tylko trochę prawdy – powiedziała Marta na swoją obronę. – Agata to fantastyczna dziewczyna i nie zasługuje na takiego dupka.

– Nie, no z tym dupkiem to trochę przesadziłaś – stwierdził łagodnie Janusz. – Powiedziałbym, że chłopak trochę się po-gubił.

– To chyba podobnie jak ty? – Szła za ciosem, gotowa wygarnąć jeszcze więcej prawdy. Janusz wyjął ręce z kieszeni, zamknął drzwi i zbliżył się do niej.

– Też chcesz mi coś powiedzieć? – spytał zaczepnie, nie spuszczając z niej wzroku.

– Nie – zrejterowała. – Nie potrzeba mi dwóch wrogów. Wystarczy, że Mateusz się obraził.

– A jak tam twoje życie? – spytał uszczypliwie. – Robert szczęśliwy?

– Dlaczego nie zapytasz, czy ja jestem szczęśliwa?

– A jesteś? – Serce lekko mu zadrżało przed jej odpowiedzią.

– Mogłam być, gdyby taki jeden dupek nie uciekł. – Utkwiła w nim wzrok i czekała na ripostę.

Podobała mu się taka zadziorna i bezkompromisowa. Miał ochotę podejść do niej i ją pocałować. Patrzyła na niego nieustępliwie i dla dodania sobie animuszu podniosła głowę i wyprostowała plecy, wypinając tym samym pierś do przodu. Założył ręce do tyłu i zrobił krok w jej kierunku, przez cały czas patrząc jej w oczy. Pochylił się i dotknął ustami jej warg. Drgnęła lekko, ale stała w miejscu.

– Można się w tobie zakochać, złośnico. – Uśmiechnął się, po czym zrobił dwa kroki do tyłu. – Szczęściarz z tego Roberta.

– Przyszedłeś się ze mną drażnić? – Dopiero po dłuższej chwili odzyskała mowę.

– Nie, chciałem ci pogratulować wstrząśnięcia Mateuszem. Może wyciągnie z tego wnioski.

Nie wydawało jej się, że był to prawdziwy powód jego wizyty. Prawdopodobnie przyszedł z ciekawości i nie sądził, że w taki sposób się wszystko potoczy. Więcej ze sobą nie rozmawiali. Janusz wyszedł, pozostawiając Martę w osłupieniu i z przyjemnym biciem serca. Sam był w podobnym stanie, lecz za nic by się do tego przed nią nie przyznał.

Marta do końca dnia pracowała sumiennie. Janusz najpierw ją podburzył i rozzłościł, flirtując jednocześnie, a potem pozwolił, by poczuła niedosyt. Po tej krótkiej wymianie zdań obudziło się w niej mnóstwo emocji, którym należało dać ujście, najlepiej przez jakiś wysiłek fizyczny. Jej myśli bez przerwy niebezpiecznie krążyły wokół Janusza, postanowiła zatem wyciszyć je wieczorem na pływalni. W wyobraźni już widziała, jak pokonuje na czas kilka długości basenu, bijąc dłońmi w lustro wody. Tego jej trzeba było, by pozbyć się Bilskiego z pamięci.

Z tej przyjemnej udręki wyrwał ją w końcu Robert. I poszła nie na basen, tylko do kina. Obrazy szybko następowały po sobie na wielkim ekranie, muzyka i dialogi dudniły, ale o czym był film, nie bardzo wiedzieli, zajęci budowaniem napięcia między sobą. W ciemności sali kinowej Robert pozwolił sobie powędrować dłonią pod jej sweterek, by tam kreślić palcem jakieś szlaczki na jej gładkiej skórze.

Po seansie poszli do Sphinx na nieromantyczną kolację, a potem Marta wreszcie dała się zaprosić Robertowi do jego domu. Mieszkał sam w dwupokojowym mieszkaniu na Ursynowie. Wyglądało na to, że jest pedantyczny i porządnicki. Chyba że liczył na wizytę Marty i zdążył się do niej zawczasu przygotować.

– Napijemy się wina? – zaproponował, trochę spięty.

– Chętnie – odparła, po czym wspiąwszy się na palce, założyła mu ręce na szyję i rozchyliła językiem jego wargi.

Ta odwaga, o którą siebie nawet nie podejrzewała, sprawiła, że zarówno jej, jak i jemu szybciej zaczęło bić serce. Robert namiętnie odpowiedział na pocałunek i na razie zapomniał o winie.

– Wino... – szeptem przypomniała Marta, kiedy złapała oddech. Robert mruknął coś niechętnie i odrywając od niej usta, ale wciąż nie spuszczać z niej wzroku, sięgnął do szafki po czerwone wino.

Na moment emocje trochę opadły – wzięli kieliszki i upili łyk czy dwa, lecz już po chwili Robert podszedł do niej, wyjął kieliszek z jej ręki, po omacku odstawił na stół i pochylił się nad nią, całując zachłannie i przyciągając ją do siebie. Gdy jęknęła upojnie, postanowił nie przedłużać tej gry: wziął ją na ręce i bez najmniejszego trudu zaniósł do sypialni. Nie przestając się całować, gorączkowo zdejmowali z siebie nawzajem ubrania. Im bliżej ona była nagości, tym bardziej on był niecierpliwy. Szaleństwo, które ich ogarnęło, zdawało się nie mieć końca. Z narastającą żądzą Robert zsunął się nieco z Marty i zachłannie pokrywał pocałunkami całe jej ciało. Ona przymykała oczy z rozkoszy i wila się pod nim, nie mogąc się już doczekać, kiedy poczuje go w sobie. Wreszcie sięgnął do nocnej szafki po prezerwatywę, założył, następnie powoli i delikatnie wszedł w nią. Marta wolała się nie zastanawiać, czy ten kondom czekał na nią, czy też na jakąkolwiek inną dziewczynę. W tej chwili myślała tylko o swojej rozkoszy.

Upojna noc trwała długo i przyniosła obojgu kochankom całkowite spełnienie. Tuż

przed zaśnięciem Marta pomyślała, że być może do swojego całkiem niezłe poukładanego życia pora dołożyć kolejny element stabilizacji. Spojrzała na śpiącego Roberta i oparła głowę na jego ramieniu. Poruszył się lekko i objął ją. Była spokojna, zadowolona i prawie zdecydowana, by na dłużej wpuścić Roberta do swojego życia. Wiedziała, że jeszcze go nie kocha, ale już lubi, i to chyba jest dobry początek udanej relacji.

Rano Robert wyszedł do pracy, pozostawiając ją senną w swoim łóżku. Dziś czekała ją popołudniowa zmiana, dlatego się nie śpieszyła. Wylegiwała się do dziesiątej, potem wzięła prysznic, zjadła chrupiącą bułeczkę z konfiturą, bo Robert zdążył kupić przed wyjściem świeże pieczywo, i wreszcie opuściła jego mieszkanie, zamykając je dodatkowym kompletem kluczy, który zostawił dla niej z miłym liścikiem na stole w kuchni.

Poziom endorfin w jej organizmie wyraźnie się podniósł, ponieważ szła do metra z uśmiechem na twarzy, nawet nie zauważając ostrego, zacinającego wiatru. Wsiadła w centrum i przesiadła się do autobusu na Saską Kępę. W domu przebrała się, zjadła na szybko naleśniki i popędziła do pracy. Po drodze poplotkowała trochę z Agatą przez telefon i umówiły się na następny dzień na Zakopiańskiej. W planach miały ciąg dalszy plotkowania.

Zanim przyjęła pierwszą klientkę, do gabinetu zajrzał Robert. Jego dyżur dobiegał już końca, a nie wyobrażał sobie, by mógł wyjść z salonu bez pożegnania z nią.

– Cześć, kochanie – po raz pierwszy zwrócił się tak do niej i czuł się z tym świetnie. – Myślę o tobie od rana. – Przystanął tuż obok i wsunawszy dłoń za pasek jej spodni, pocałował ją czule.

Uśmiechnęła się i na chwilę poddała fali budzącego się na nowo pożądania.

– Widzimy się wieczorem? – Robert był bardzo niecierpliwy.

– Raczej nie – odpowiedziała z przeproszającą miną. – Późno dziś kończę. Ale może jutro? U mnie?

Nie do końca był usatysfakcjonowany, ale przystał na propozycję. Do gabinetu weszła klientka Marty, musieli się zatem rozstać. Pożegnali się szybkim całusem i Marta wróciła do rzeczywistości.

Po pracy poszła zrelaksować się na pływalnię. Jak zwykle o tej porze było pusto, co ją bardzo ucieszyło. Wskoczyła do wody i energicznie zaczęła płynąć przed siebie. Pokonując drugą długość basenu, usłyszała trzaśnięcie drzwi i zobaczyła w nich Mateusza. Przystanął w pół kroku, wyraźnie się zawahał. Wyglądał, jakby zamierzał zawrócić, Marta jednak szybko zareagowała i zatrzymała go.

– Nie uciekaj! – zawołała. – Chodź, zmieścimy się oboje. Mogę nawet obiecać, że się do ciebie w ogóle nie odezwę. – Pamiętając, że ostatnio rozstali się w wojennej atmosferze, teraz próbowała trochę naprawić ich relacje.

Ruszył powoli z miejsca, ostentacyjnie omijając ją wzrokiem, i położył swoje rzeczy na leżaku. Gdy przyglądała mu się z uśmiechem, korciło ją, by znów go w jakiś uszczypliwy sposób zaczepić. Powstrzymała się jednak.

Wszedł na dwumetrową wieżę i bez chwili namysłu wskoczył do wody. Po sekundzie wybił się na powierzchnię i ruszył z impetem na Martę. Minawszy ją o włos, najszybciej, jak potrafił, płynął dalej. Kiedy dobił do brzegu, natychmiast zawrócił

i powtórnie szarżował. W Marcie obudziła się wściekłość. Spojrzała na zbliżającego się Mateusza i ruszyła bezpośrednio na niego. Woda z pluskiem rozchlapała się na boki, a oni byli coraz bliżej. Płynęli prosto na siebie. Zanosilo się na to, że jeśli któreś nie ustąpi, to niechybnie się zderzą. W ostatniej chwili Marta odbiła nieznacznie, zmieniając kurs. Mateusz, kipiący wściekłością, najwyraźniej nie zamierzał skapitulować i gdyby nie jej rozsądek, zapewne by ją staranował.

– Hej, co jest?! – krzyknęła wystraszona, czując zagrożenie z jego strony.

On chyba nie usłyszał, zwolnił jednak i obejrzał się za nią. Zdawał sobie sprawę ze swojego irracjonalnego zachowania, ale nie potrafił inaczej. Wiedział, że Marta nie jest niczemu winna, że na własne życzenie zerwał cienką i kruchą nić porozumienia, która dopiero powstawała między nim a Agatą. Wyrzucał sobie, że zachował się tak prostacko wobec niej, tak przewidywalnie, poszedł po linii najmniejszego oporu i po prostu się wycofał. Nie był z siebie zadowolony, ale też duma nie pozwalała mu przyznać się do błędu i dlatego tak się teraz miotał, wyładowując się na Marcie.

W samą porę drzwi znów się otworzyły i do hali wszedł Janusz. Marta odetchnęła z ulgą.

– Co się tu dzieje? – Janusz chyba widział ostatnie sekundy szarży Mateusza.

– Nic! – krzyknęła Marta i trzymając się drabinki, wychodziła z basenu. – Twój kumpel to nie tylko dupek, ale i świr!

Zabrała ręcznik i szybko zniknęła. Osłupiały Janusz wskoczył po chwili do wody. Panowie urządzili sobie wyścigi, które uwolniły nieco emocji i zmniejszyły poziom adrenaliny w ich ciałach.

– Zmieniłaś się ostatnio – zauważyła następnego dnia Agata, siedząc u Marty na kanapie z nogami podciągniętymi pod siebie oraz z kieliszkiem białego wina w ręce. – Jesteś szczęśliwsza.

– Jestem – potwierdziła ze śmiechem Marta.

– A coś więcej? – Przyjaciółka nie odpuszczała. – Robert czy Janusz?

– Dlaczego Janusz? – Marta szczerze się zdziwiła.

– Nie udawaj. Przyznaj, że zawrócił ci w głowie.

– Może trochę... Na początku... Ale mnie nie chciał. – Marta zrobiła smutną minę.

– Bo był na chwilę przed swoim ślubem, wariatko! – Agata wybuchła radosnym śmiechem. – A teraz już nie jest!

– A teraz jest Robert – obwieściła Marta.

– I jest okej?

– Bardzo okej – zapewniła.

– Twój wybór. – Agata trochę powątpiewała w siłę miłości Marty do Roberta, ale przyjmowała to do wiadomości. – A gdybyś mogła wybrać?

– Między Robertem a Januszem? – Marta się zastanowiła. – Ale nie mam wyboru. – Nie dała się jednak podpuścić. – A gdybyś ty mogła być z Mateuszem? – odbiła piłeczkę.

– Choćby został jedynym facetem na ziemi, nie sądzę, że mogłabym z nim być – Agata spoważniała. – I nie dlatego, że nie jest mnie wart, tylko dlatego, że mnie zranił

i zawiódł. Wstydził się mnie, a to go dyskwalifikuje na zawsze. Ale wiesz co? Jeśli trafiłaby się okazja, to chciałabym mu pokazać, co stracił. No wiesz... na przykład przespacerować się nago przed jego nosem, rozmasować mu plecy... ba, zaprosić go do mojego własnego gabinetu masażu...

Marta słuchała z coraz szerzej otwartymi oczami, aż wreszcie nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Żartujesz? – naprawdę nie wiedziała, co sądzić o słowach Agaty.

– Nie – przyjaciółka odpowiedziała zupełnie serio. – Chciałabym zdobyć dobrą pozycję zawodową, by udowodnić temu ignorantowi, że zbyt pochopnie mnie przekreślił.

– Ty chcesz się na nim zemścić! – Marta aż się podniosła z wrażenia. – Knujesz zemstę! – W jej głosie była ekscytacja.

– Wcale nie. – Agata, w przeciwieństwie do przyjaciółki, była spokojna i opanowana. – Tylko bardziej niż kiedyś zależy mi na osiągnięciu sukcesu. I nie poddam się, dopóki nie zdobędę tego, co sobie założyłam.

Porażki zawsze Agatę wzmacniały i powodowały, że potrafiła ze zdwojoną siłą walczyć o swoje. To rzadka, ale fantastyczna cecha. Odkładała na bok urażoną dumę, podnosiła głowę i szła prosto do celu, pomimo kłód pod stopami.

Marta aż tak silna nie była. Może właśnie dlatego jej fascynacja Januszem pozostała jedynie w sferze marzeń, bo zabrakło jej odwagi, by o niego zawalczyć. A może to było zbyt słabe zauroczenie?

Późnym wieczorem do dziewczyn dołączył Robert. Porzuciły wówczas poważne sercowe tematy i zajęły się lżejszymi sprawami, a on z rozbawieniem przyglądał się nieco wstawionym kobietom i słuchał ich żartobliwych wywodów, które skupiały się głównie na facetach. Obraz męskiego rodu, jaki wyłaniał się z ich rozmowy, nie był korzystny. Mimo to on podchodził do tego pobłaźliwie, składając wszystkie ich złośliwości wymierzone w mężczyzn na karb wypitego przez nie wina.

Przed północą Marta z Robertem odprowadzili Agatę do nocnego autobusu, a sami spacerkiem wrócili na Zakopiańską. Jak na koniec listopada pogoda była całkiem niezła. Nie lało, wiatr prawie ustał, a temperatura jeszcze nie spadła poniżej zera. Przecierające się z chmur niebo odsłaniało piękną pełnię. Marta szła wtulona w Roberta, dzięki czemu było jej znacznie cieplej. Śmiejąc się, weszli do domu i nawet nie zauważyli, że po sąsiednim podwórku biegał pies, a obok niego stał jego pan.

Janusz cierpliwie czekał na Bidę, wcisnąwszy zgrabiałe ręce w kieszenie kurtki. Słyszając dochodzącą z sąsiedniej działki rozmowę i śmiech, obrócił się i dostrzegł Martę w objęciach znajomego dryblasa. Jakoś instynktownie nie lubił Roberta. Weszli do domu, śmiech ucichł, a on poczuł wtedy nieoczekiwany ucisk w żołądku i skrzywił się w grymasie niezadowolenia. Dziwił się, skąd u niego taka reakcja.

W domu Marta dopiła jeszcze wino, które zostało na dnie jednej z butelek, i śmiało przytuliła się do Roberta. Jego reakcja była natychmiastowa. Odpowiedział pocałunkami i pieszczotami, którym ona chętnie się poddawała.

– Chyba jestem pijana – zauważyła wesoło.

– Zaledwie wstawiona – odparł, zdejmując z niej koszulkę.

Rozdział 13

Grudniowa Warszawa zrobiła się ładna i nastrojowa. Ulice ozdobione były bożonarodzeniowymi dekoracjami, a w sklepach sączyła się świąteczna muzyka. Marta w wolnych chwilach chodziła po galeriach handlowych, wyszukując drobne upominki pod choinkę dla najbliższych. Jak większość warszawiaków dała się porwać czarowi nadchodzących świąt.

W salonie miała mniej klientów niż zazwyczaj, pewnie dlatego, że każdy był zabiegany i po skończonej pracy myślał już o świątecznych przygotowaniach. Któregoś ranka spojrzała w swój grafik i zaskoczona zobaczyła, że na wieczór ma wpisanego Janusza. Zdziwiła się bardzo, bo nie sądziła, że on jeszcze kiedykolwiek zechce skorzystać z jej usług. Myślała, że poprzednim razem wystraszyła i onieśmieliła go na zawsze.

Przez cały dzień czekała na niego z niecierpliwością. Było w tym czekaniu trochę ciekawości i podenerwowania przed spotkaniem, było też nieznaczone drżenie serca – tylko właściwie dlaczego? Na to pytanie nawet nie próbowała sobie odpowiedzieć.

– Cześć – powiedział cicho i nieśmiało, stając wreszcie w drzwiach jej gabinetu. – Mogę?

Gdy spojrzała na niego, rozpromieniła się nieco sztucznie.

– Zapraszam, przecież się zapisałeś. Jestem do twojej dyspozycji. – Rozłożyła szeroko ręce na znak potwierdzenia swojej deklaracji.

Zamknął drzwi i nieco odważniej ruszył dalej. Podczas gdy Marta przygotowywała się do pracy, on wziął kilkudziesięciosiekundowy prysznic. Kiedy wyszedł z łazienki z ręcznikiem owiniętym wokół bioder, wydawał się już całkiem swobodny.

Tym razem Marta zamierzała być absolutnie profesjonalna, na wstępie opisała więc rodzaj masażu, po czym przystąpiła do pracy. Postanowiła też ograniczyć rozmowę, by nie prowokować zbędnych komentarzy. Janusz leżał spokojnie, z twarzą skierowaną ku podłodze, i relaksował się pod dotykiem jej zręcznych dłoni. Głowę miał pełną przeróżnych myśli i obrazów. Przy relaksacyjnej muzyce płynącej z głośników oddalał się czasem w stan półświadomości i wtedy fakty mieszały mu się z fikcją. Przeżywał coś na kształt retrospekcji, w którą wdzierały się elementy baśni. Rozmyślał o tym, że zbliżają się święta, które po raz pierwszy od dawna spędzi sam. Miał przed oczami roześmianą buzię Julii, która nagle przemieniała się w piękną i beznamietną twarz Doroty, a ta zaraz potem przeistaczała się w postać roześmianej Marty. Wtedy opanowywał go lęk, który powodował ucisk w gardle i odbierał mu powietrze. Była to klasyczna panika, z którą sobie nie radził. Dlatego przyszedł dziś do Marty. Chciał chociaż przez godzinę się odprężyć i zaznać spokoju. Sam się temu dziwił, ale właśnie jej gabinet uznał za odpowiednie miejsce do autoterapii.

Ciepłe ręce Marty zręcznie rozbijały jego spięte mięśnie i gładko ślizgały się po ciele. Chwilami niemal go nie dotykała, tylko ledwie muskała, a zaraz potem silnie naciskała kłębem kciuka lub łokciem. Po kilkunastu minutach takiego wysiłku była zmęczona, mimo to niestrudzenie masowała dalej.

Z każdą chwilą traciła dystans godny profesjonalistki. Janusz nie był już anonimowym pacjentem, jedynie przez chwilę potrafiła tak o nim myśleć, potem patrzyła na niego jak na mężczyznę, podziwiając jego umięśnione ciało. A kiedy jeszcze przypominała sobie ich krótkie zbliżenia i kilka pocałunków, poczuła, jak robi jej się gorąco, i resztką sił powstrzymała się, by nie pochylić się nad nim i nie szepnąć mu czegoś czułego do ucha.

Zresztą Janusz nie był typowym klientem. Choćby się tego wypierał, mimo wszystko łączył go jednak emocjonalny stosunek z Martą. Po chwili udręki rozluźnił się nagle pod wpływem jej kojącego dotyku i poddał się wzbierającej fali pożądania. Czuł mrowienie i narastające ciepło rozchodzące się po całym ciele.

– Odwróć się! – Marta nieoczekiwanie wyrwała go z tego błogo-stanu.

Otworzył oczy, podniósł lekko głowę i wsparłszy się na dłoniach, obrócił się i położył na plecach. Pod głowę wsunęła mu zrolowany ręcznik. Kiedy się nad nim pochylała, jego nozdrza wyczuły delikatną woń zielonej herbaty, przebijającą przez wonne olejki unoszące się w powietrzu.

Teraz zajęła się jego mięśniami naramiennymi i piersiowymi, a kiedy doszła do mięśni brzucha, nie wytrzymała dłużej i chwycił ją za nadgarstek.

– Coś nie tak? – spytała, próbując ukryć podniecenie.

Wciąż trzymając ją mocno za rękę, spojrzał jej głęboko w oczy. Oddech oboje mieli przyspieszony. Janusz wyciągnął przed siebie drugą rękę i objął Martę w pasie. Była jak zahipnotyzowana, jakby nie miała własnej woli. Przyciągnął ją do siebie. Nachylna nad stołem, straciła równowagę i opadła na niego, w ostatniej chwili podtrzymując się dłonią. On uniósł nieco głowę i dotknął czołem jej czoła, przymykając przy tym oczy. Położywszy rękę na jej karku, pocałował ją delikatnie. Ona też opuściła powieki.

Resztką świadomości i zdrowego rozsądku podpowiadała jej, że robi błąd i niepotrzebnie komplikuje sobie życie, ale nie słuchała tego głosu. Czekwała na kolejny krok Janusza.

Nie leżał już na stole, tylko usiadł i pieszcząc kciukiem kark Marty, całował ją zapamiętale. Prawie odchodziła od zmysłów, gdy rozpiął zatrzask jej służbowego kitla i dotknął koronki stanika. Potrzebowała bardzo dużo silnej woli, by zaprotestować.

– Nie... – szepnęła ledwo słyszalnie, co on zignorował. – Janusz, proszę...

Ocknął się, oderwał wargi od jej ust i czekał na wyjaśnienia. Ponieważ milczała, znów zaczął ją całować, a ona po raz kolejny poddała się tej magii.

– Przestań! – Zmusiła się wreszcie, by odejść od niego o krok; drżącymi dłońmi zapinała bluzkę. – Ja nie chcę być zamiast. – Doskonale pamiętała, co powiedział jej na basenie.

– Przepraszam. – Opuścił wzrok i zsunąwszy się ze stołu, ruszył w stronę łazienki. – Przepraszam... Przez chwilę myślałem, że to się może udać.

– Trzeba było się zdecydować kilka miesięcy temu – Marta odważyła się na słowa prawdy. – Wtedy to się mogło udać, dziś już nie.

Zapadła uciążliwa cisza. Gdy Janusz był już gotowy do wyjścia, Marta ledwo powstrzymała łzy.

– Chciałbym, żebyśmy jeszcze kiedyś potrafili ze sobą rozmawiać – rzekł,

naciskając klamkę, a potem wyszedł, oglądając się jeszcze przez ramię.

– Ja też bym chciała – szepnęła Marta do siebie, nie mogąc już dłużej powstrzymać łez.

Minęła dłuższa chwila, zanim się pozbierała. Potem, wytarłszy zapłakaną twarz, wyłączyła muzykę i pogasiła światła. Była potwornie rozdygotana, nie miała pojęcia, czy postąpiła właściwie, jakiś wewnętrzny głos ganił ją za decyzję, jaką podjęła.

Powoli poszła do windy, zjechała na dół i opuściła budynek. Wtuliła nos w ciepły komin i wlokąc się noga za nogą, szła przed siebie ze wzrokiem utkwionym w ziemi. Wieczorna Warszawa była nadzwyczaj spokojna, na chodniku nie było nikogo poza nią. Z podziemnego parkingu biurowca wyjechał mercedes GLK i płynnie włączył się do ruchu. Widocznie Januszowi też zajęło trochę czasu dojście do siebie, skoro opuszczał biuro dopiero teraz. Zauważywszy Martę, uchylił prawą szybę.

– Zrozumiałem, że dałaś mi kosza – próbował być zabawny, lecz w jego głosie słychać było smutek. – Ale pozwól chociaż odwiedzić się do domu.

Marta drgnęła, podniosła wzrok i przystanęła.

– Zaraz będę miała autobus – odmówiła.

– Daj spokój – nie dawał za wygraną. – Przecież jedziemy w jednym kierunku. Wskakuj.

Ustąpiła. Podeszła do samochodu i usiadła z przodu. Prawie całą drogę przebyli w milczeniu, wreszcie zatrzymali się na Zakopiańskiej pod jego bramą. Marta wyszła bez słowa, on także. Nie zamierzał robić niczego wbrew jej woli ani też próbować uwodzić ją po raz kolejny. Wprawdzie miał na to wciąż wielką ochotę, ale rozumiał odmowę i szanował jej decyzję. Pogodził się z przegraną.

– Marta... – Chciał jedynie życzyć jej dobrej nocy, ale wyszło mu coś zupełnie innego. Gdy musnął dłonią jej policzek ledwo widoczny spod komina, odniósł wrażenie, jakby ona na coś czekała, nie ruszała się bowiem z miejsca, chociaż należałoby się spodziewać, że będzie przed nim uciekać. Skoro jednak została, odważył się spróbować jeszcze raz. Ujął jej twarz w dłonie i pocałował.

– Marta... – zaczął znowu. – Chyba się zakochałem...

Na te słowa skapitulowała. Po raz kolejny napłynęły jej do oczu łzy, a nogi odmówiły posłuszeństwa. Uchwyciła się kołnierza jego kurtki – już nie miała siły na opór. Nawet nie chciała się opierać.

– Chodź – wziął ją mocno za rękę i poprowadził do swojego domu.

Samochód zostawił na ulicy, podobny los czekał też Bidę, która z radością przywitała pana w drzwiach i korzystając z okazji, od razu wymknęła się do ogrodu.

Janusz był odurzony radością i zarazem bał się, że Marta za chwilę się spłoszy i ucieknie. Ona z kolei bała się pożądania, które się w niej obudziło i pewnie zaraz wprowadzi chaos w jej żmudnie układane życie. Pełni obaw, ale i namiętności byli już w połowie drogi do jego sypialni. Kurtki zostały na dole, buty też, sweter zdjął z niej na schodach, resztę, poza bielizną, porzucili na podłodze w sypialni.

– Co ja wyprawiam? – tylko tyle zdążyła powiedzieć, zanim na dobre zamknął jej usta namiętym pocałunkiem.

Położył ją na łóżku i oparłszy się na łokciach, zawisł tuż nad nią. Czuła na sobie

jego silne ciało, gdy dłońmi pieścił jej skronie i przeczesywał włosy, cały czas ją całując. Pomrukiwała z rozkoszy i rewanżowała się pieszczotami. Delikatnie musnął ustami szyję, pieścił ją językiem i schodził coraz niżej, ku piersiom. Dotknął koronki jej biustonosza, potem wsunął dłoń do miseczki i delikatnie uwolnił pierś spod bielizny. Przez moment znów całował jej usta, po czym wrócił ku piersiom. Dłużej już nie miał siły prowadzić tej gry wstępnej, sięgnął ręką do jej bioder i jednym ruchem zdjął z niej koronkowe figi. Rozchyliwszy jej uda, całował ich wewnętrzną stronę, posuwając się coraz wyżej, aż do łona. Martą wstrząsała dreszcz rozkoszy, lekko uniosła jedną nogę. Janusz wykorzystał ten moment, by w nią wejść. Poruszał się powoli i delikatnie, cały czas patrząc jej w oczy, chociaż ona w upojeniu raz po raz przymykała powieki, przygryzając przy tym wargę. Chwycił jej prawą nogę i założył ją na swoje ramię. Przyśpieszył nieznacznie swoje ruchy i pochylił się nad nią jeszcze bardziej. Fala zbliżającego się spełnienia rozlewała się po całym ciele Marty, które drżało z rozkoszy. Janusz także był już bliski apogeum. Zdążył w samą porę z niej wyjść i ejakulował na jej brzuch.

Na koniec jeszcze mocno ją pocałował, rozchylając jej usta językiem. Ona odwzajemniała każdy jego gest i pieszczotę. Była szczęśliwa. Położyła na szali swoje życie, ale na razie nie żałowała.

Janusz też odczuwał ogromną radość i ulgę. Był jej wdzięczny, że mu się oddała; zamierzał otoczyć ją opieką i troską. Naprawdę miał taki plan.

– Chyba się w tobie zakochałem – szepnął jej do ucha.

– Chyba? – odpowiedziała z uśmiechem. – Kiedy będziesz miał pewność?

– Zaraz – wymruczał wtulony w jej piersi, które znów pieścił.

Marta w chwilowym przypiływie świadomości przypomniała sobie o Bidzie.

– Pies – powiedziała. Janusz pominął to milczeniem. – Pies na dworze – wyraziła się jaśniej.

W końcu dotarło do niego. Niechętnie, ale wyszedł z łóżka, włożył dżinsy i boso zbiegł na dół, by wpuścić Bidę do domu.

Marta, czekając na niego, przywoływała w myślach obrazy sprzed chwili. Odtwarzała w pamięci dotyk czułych rąk Janusza, zapach jego skóry, ciepłe spojrzenie błękitnych oczu. Wszystko to wywoływało uśmiech na jej twarzy i kolejną falę pożądania. Nagle jednak uśmiech zniknął z jej ust. Ujrzała bowiem przed oczami szczupłą sylwetkę Roberta, którego jedyną wadą było to, że nie jest Januszem. Poczuli się dosyć nieswojo, uświadomiwszy sobie, z jaką łatwością zdradziła go z Bilskim. Jeszcze wczoraj gotowa była budować fundamenty pod swoje stabilne życie z Robertem, a dziś bez większych oporów i wahań to wszystko zburzyła. Poczuli nagły przypiływ strachu oraz obawę, że Janusz tylko się z nią zabawił, a Robert już jej nie zechce. Jeden nierozważny krok, ślepe poddanie się namiętności i można stracić tak wiele.

Ogarniającą ją panikę stłumił wreszcie Janusz, gdy wrócił do sypialni. Kiedy od progu uśmiechnął się czule, wszelkie strachy natychmiast odpłynęły, a Marta znów dała się ponieść namiętności.

Jeśli Marta sądziła, że teraz wszystko samo idealnie się poukłada, to była w błędzie. Zauroczenie czy też zakochanie nie oznacza bowiem, że życie zaczyna nagle płynąć odpowiednim torem i po prostu robi się cudownie. Owszem, jest cudownie, ale tylko pod

pewnymi względami. W jej przypadku na przykład magiczny był seks, zachwycały ją pobudki przy Januszu i zasypianie u jego boku. Poranna kawa z nim smakowała lepiej niż normalnie, nawet czekanie na niego wydawało się porywające.

Przestaje jednak być tak cudownie, gdy trzeba ponieść konsekwencje swoich czynów i wreszcie coś powiedzieć dotychczasowemu partnerowi. Można przez jakiś czas go jeszcze zwodzić, oszukiwać, nie chcąc go zranić, ale nie ma to przecież sensu, a nawet jest okrutne. Bo z trudem znosi się wtedy dotyk rąk, które jeszcze tak niedawno dawały spełnienie i poczucie bezpieczeństwa, z lekkim zniecierpliwieniem przeczekuje się moment, gdy on się pochyla i całuje delikatnie jak kiedyś, ale nam to już przeszkadza.

Robert dosyć szybko się zorientował, że coś się zmieniło. Przychodził do gabinetu Marty, przytulał ją i całował, ona jednak spinała się natychmiast, z trudem przywoływała na twarz sztuczny uśmiech i szukała jakiegokolwiek wymówki, by go do siebie nie dopuścić. Gdy zapraszał ją do siebie, wciąż nie miała czasu, przeważnie wymawiała się Agatą. Początkowo sądził, że może narzucił zbyt duże tempo i trochę się wystraszyła, dlatego niespecjalnie się przejął tym nagłym dystansem. Kiedy jednak po kilku dniach czuł coraz większy chłód z jej strony, zaczynał rozumieć, że ją traci. Tylko na razie nie wiedział dlaczego.

– Powiedz mi, co się dzieje? – zapytał ją któregoś wieczoru w gabinecie. – Widzę przecież, że coś jest nie tak.

Marcie brakowało odwagi, by spojrzeć mu w oczy. W końcu zebrała się w sobie, podniosła wzrok i otworzyła usta.

– Robert... – zaczęła, lecz głos zaraz uwiązł jej w gardle. – Chyba nic z tego nie będzie, przykro mi – dokończyła wreszcie, czując, jak serce łomocze jej w piersi.

– Domyślam się tego od kilku dni – odpowiedział ze smutkiem. – Tylko nie mogę pojąć dlaczego?

– Zakochałam się... – wyznała wreszcie.

– Rozumiem, że nie we mnie? – spróbował wysilić się na żart, ale mu nie wyszedł.

– Przepraszam... – nie umiała wyjaśnić nic więcej.

Stał pośrodku gabinetu jak odurzony. Domyślał się, że nie wyjdzie od niej z dobrymi wieściami, nie sądził jednak, że sobie z nimi nie poradzi. Czuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę. Wreszcie ruszył z miejsca i powoli, ciężkim krokiem skierował się ku drzwiom.

– Robert... – chciała jeszcze coś dodać.

– Nie, kochanie. – Wiedział, że zwraca się do niej w ten sposób po raz ostatni. – Przyjaźni z tego nie będzie. – Wyszedł, cicho zamykając drzwi.

Marta nie była z siebie zadowolona. Doprowadziła do sytuacji, w której ktoś musiał ucierpieć, by ktoś mógł się cieszyć. Paskudnie się czuła, wiedząc, że skrzywdziła Roberta, ale jednocześnie już z niecierpliwością czekała na wieczór i na Janusza.

W przedostatnim dniu pracy przed końcem roku do gabinetu Marty nieśmiało zajrzał Mateusz. Złość do niej dawno mu już minęła i korzystając teraz ze świątecznej atmosfery, postanowił zawrzeć pakt o nieagresji.

– Mogę? – zapytał, zanim wszedł.

– No nie wiem – roześmiała się Marta na jego widok. – Trochę się boję.

– Będę grzeczny – obiecał.
– I nie masz ochoty się ze mną bić?
– Mam ochotę nawet cię udusić – odparł wesoło. – Ale znaj łaskę pana! Daruję ci.
– O! Jaki łaskawca z ciebie! – zawołała. – Dzięki ci, o panie! A tak serio, co cię do mnie sprowadza?

– Czas pojednania – błaznował dalej. – I ochota na mały masażyk – dodał.
– Biedaku! Ale to przecież nie jedyny gabinet masażu w tym biurówcu. Nie musiałeś się korzyć i przychodzić akurat do mnie – dodała rozbawiona.

– No wiesz, nie mam ochoty świecić tyłkiem w każdym gabinecie – odparował natychmiast. – Tu się już oswoiłem.

– Ale może ja nie chcę więcej oglądać twojego chudego tyłka? – Marta drwiła sobie z niego.

– Ja wiem, że ciebie teraz interesuje tylko jeden tyłek – odparował.

– Czyli faceci też plotkują – stwierdziła.

– Troszeczkę – mrugnął do niej zadziornie. – To jak z tym masażem? Znajdziesz dla mnie czas?

Spojrzała w grafik. Następnego dnia miała wolne terminy i przed południem, i po południu, ale wpisała go jako ostatniego, ponieważ przyszedł jej do głowy pewien pomysł. A jemu nawet odpowiadała późna godzina, bo i tak nic go nie gnało do pustego domu. Umówili się zatem, a zaraz po jego wyjściu Marta zadzwoniła do Agaty.

– Słuchaj – zaczęła rozmowę bez zbędnych wstępów. – Hodujesz dalej marzenie o zemście na Mateuszu?

– Nie! – przyjaciółka odpowiedziała z lekkim oburzeniem. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Szkoda, zdawało mi się, że kiedyś miałaś na to ochotę – zignorowała jej pytanie. – Dupkowi przydałaby się nauczka.

Marta wyłożyła pokrótce swój plan i, o dziwo, Agata wcale jej nie wyśmiała. To, co zaproponowała, było nieco infantylne, ale mógł wyjść z tego całkiem dobry żart. Oczywiście w mniemaniu ich obu, nie Mateusza.

– Cholera! – zawołała na koniec Marta. – Mogą mnie za to wywalić z roboty, ale niech tam! Chętnie obejrzę sobie jego minę.

Następnego dnia Marta miała trudności ze skupieniem uwagi podczas kilku masaży poprzedzających wizytę ostatniego klienta. Godzinę przed pojawieniem się Mateusza do gabinetu weszła Agata. Marta posadziła ją przed lustrem, po czym zajęła się jej włosami i poprawiła makijaż. Po tych zabiegach koleżanka wyglądała olśniewająco.

Czekając na Mateusza, siedziała schowana za ścianką w części fryzjerskiej. Czas zaczynał jej się dłużyć, w końcu miała coraz większą ochotę, by stamtąd uciec.

– To głupie – powiedziała do Marty i już wstała, by zebrać się do wyjścia, przyjaciółka jednak przytrzymała ją za rękę.

– Głupie, ale należy mu się. Zobaczysz, będzie skomlał o więcej.

Ostatnie zdanie przekonało Agatę. Skoro on mógł odebrać jej nadzieję i pozbawić złudzeń, ona także zburzy mu spokój ducha. Była pewna, że potrafi tego dokonać. O umówionej godzinie do gabinetu wkroczył Mateusz i pełen animuszu najpierw

skierował się do łazienki, by przygotować się do masażu. Kiedy z niej wyszedł, Marta zaprosiła go na stół i założyła mu opaskę na oczy.

– A to po co? – zdziwił się.

– Dla głębszych doznań – wyjaśniła słodko.

Nie podejrzewając niczego, położył się na brzuchu i czekał na masaż.

– Gotowy? – spytała Marta.

– Jasne – odparł.

– To nic już nie mów i się odpręż.

Po cichutku, niemal bezszelestnie sięgnęła za ścianę i podprowadziła Agatę pod stół. Sama zaś zdjęła buty, wzięła je do ręki, na palcach podeszła do otwartej szafy i ostrożnie wyjęła torbę z ekwipunkiem na basen. Delikatnie nacisnęła klamkę i wyslizgnęła się na korytarz. Czekala ją godzina pływania w trakcie pracy. Miała nadzieję, że nie spotka ją za to dyscyplinarne zwolnienie.

Agata tymczasem, z mocno bijącym sercem, bez trudu odnalazła plecy Mateusza i przystąpiła do pracy. Jej wyczulone palce z ogromną precyzją uciskały napięte mięśnie i przynosiły ulgę Mateuszowi. Przez kwadrans masowała go z zachowaniem wszelkich norm i zasad, wreszcie jednak odważyła się i przeszła na masaż erotyczny. Dotknęła jego ramienia i używając odrobiny siły, zmusiła go, by położył się na plecach.

– Mam się odwrócić? Dlaczego nic nie mówisz? – zamiast odpowiedzi poczuł kolejny nacisk i już bez zbędnych dyskusji wykonał polecenie. – A, rozumiem, to taka gra? Dobra, ty tu rządzisz – poddał się z ochotą.

Agata przyłożyła dłonie do jego skroni i ciepłymi palcami rozcierała skórę. Po chwili wczepiła się we włosy i kolistymi ruchami masowała skórę głowy. Na Mateusza spłynęła kolejna fala rozluźnienia, aż jęknął z błogością. Agata przeszła do uszu. Bardzo delikatnie masowała małżowiny, nie omijając strefy erogennej. Mateusz bezwiednie rozchylił usta i głęboko westchnął. Uśmiechnęła się, słysząc i czując do jakiego stanu go doprowadziła.

– Jezu... – nie wytrzymał wreszcie. – Czy Janusz wie, co ty wyprawiasz?

– Yyy-yyy – Agata zaprzeczyła niewyraźnym mruknięciem, by nie zdradził ją głos.

Teraz śliskimi od olejku palcami przesunęła po jego torsie. Gdyby tylko pozwolił sobie na całkowite rozluźnienie, zapewne szczytowałby w tym momencie lub dosłownie za chwilę. Nigdy nie czuł się podobnie, nie miał pojęcia, że na jego ciele znajduje się tyle receptorów odbierających wyrafinowane bodźce. Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, co ta Marta z nim wyprawia i jaki ma w tym cel? Jeśli Janusz ma z nią tak codziennie, to on mu z całego serca zazdrości.

Agata przesuwiała dłonie wzdłuż jego ciała i była już niebezpiecznie blisko ręcznika na biodrach. Dotknęła jego brzegu, a potem położyła mu dłonie na udach i zaczęła masować pachwiny i wewnętrzną stronę ud. Sama była podniecona równie mocno jak on.

Dłużej już nie mógł tego znieść. Usiadł na stole i zerwał przepaskę z oczu. Agata dopiero teraz poczuła prawdziwy strach i panikę. Sytuacja zabrnęła za daleko. Plan był inny: miała rozgrzać Mateusza, pokazać mu, z czego tak pochopnie zrezygnował, a potem wymknąć się z gabinetu, pozostawiając go w niedosycie. Teraz było już za późno.

Siedział osłupiały na stole i rozglądał się po gabinecie w poszukiwaniu Marty.

– O co tu, do cholery, chodzi? – spytał zdezorientowany. – Co to za babski spiszek?!

– Myślę, że jesteś przystojny... – Agata zniżyła głos, by dodać mu zmysłowości.

Dopiero teraz miała okazję poznać jego anatomię. Przy poprzednich spotkaniach nie odważyła się dotknąć niczego poza twarzą.

Złość mieszała się w nim z pożądaniem. Ewidentnie padł ofiarą oszustwa i jakiegoś paskudnego żartu, za co naprawdę miał ochotę udusić Martę, lecz doznania, jakich dostarczyła mu Agata, brały górę nad wściekłością. W tej chwili pragnął ich jeszcze więcej. Chciał wciąż być tak masowany i doprowadzany do szaleństwa.

– Agata... – wyrwało mu się niemal z czułością. – Myślałem o nas...

– Nie ma żadnych nas – odparła twardo. – I nigdy nie było – dodała.

– Bo byłem głupi! – O dziwo, ulżyło mu, kiedy to wykrzyczał.

– Byłeś – potwierdziła szeptem i mimo wszystko postanowiła mu to jeszcze dobitniej udowodnić. Dotknęła jego twarzy, kciukiem przesunęła po policzkach i pocałowała go, wsuwając język do jego ust. Jęknął z rozkoszy, którą natychmiast mu odebrała, cofając się o krok od niego.

– Nie graj na moich uczuciach – zażądał ostro, próbując wyrównać oddech.

– To samo mogłabym powiedzieć tobie... Pamiętasz? Pamiętasz, jak chętnie przysiadłeś się do mnie na imprezie? A na basenie nic w tobie nie drgnęło? A potem zagrałeś na moich uczuciach. Tobie wolno, a mnie nie?! – syknęła ze złością i niewiele myśląc, sięgnęła dłonią pod ręcznik okrywający jego biodra.

Palce Agaty przesuwały się po jego przyrodzeniu, wywołując nagły odpływ krwi z mózgu. Przymknął oczy i stęknął.

– Nie dowiesz się, z czego tak pochopnie zrezygnowałeś. – Agata znów się od niego odsunęła, teraz już naprawdę mając zamiar wyjść z gabinetu.

Na chwilę wróciła mu świadomość i przyskoczył do niej, chwytając ją za nadgarstek. Zdecydowanie przyciągnął ją ku sobie, aż poczuła na udach jego nabrzmiały członek. Nie pytał, czy może, tylko zaczął ją żarliwie całować, najpierw po twarzy, potem przywarł do ust, a na końcu zaczął pieścić szyję i piersi. Agata stopniowo traciła silną wolę. Wprawdzie położywszy dłonie na jego torsie, próbowała go odepchnąć, on jednak wyczuł, że przestaje mu się opierać, i skwapliwie wykorzystał ten sygnał.

– Drzwi... – wysapała.

Zlekceważył to i dalej zachłannie ją całował. Agata zdobyła się jednak na trochę więcej oporu i jeszcze raz powiedziała:

– Zamknij drzwi.

Błyskawicznie przekręcił klucz i natychmiast do niej wrócił. Chwytał ją w pasie i posadził na stole. Spódnica podniosła się na udach i odsłoniła koronkę cielistych pończoch. Mateusz po prostu oszalał z pożądania, w tym momencie jej ułomność nie miała żadnego znaczenia.

Tak wspaniałego seksu nie doświadczył nigdy w życiu. Jej oczami były dłonie, błędziła nimi po całym jego ciele i pobudzała coraz to nowe partie mięśni do wręcz konwulsyjnych skurczów.

– Jezu... – jęknął. – Gdzieś ty się tego wszystkiego nauczyła?

– Nazwałabym to talentem lub kompensacją. Nauka zna coś takiego, a ty? – Była w tym nuta złośliwości, ale on chyba jej nie wyczuł.

– Chodź – powiedział czule i zapiął jej spódnicę. – Teraz pójdziemy na kolację, a potem do mnie.

– Teraz każde pójdzie w swoją stronę. – Agata oznajmiła to z ciężkim sercem, ale była pewna, że robi dobrze. Sytuacja wprawdzie trochę wymknęła się spod kontroli, lecz może to i lepiej, bo Mateusz teraz dotkliwiej odczuje konsekwencje tego, że się jej wstydział.

– Jak to? – zbaraniał.

– A co myślałeś? Że zechcę mieć do czynienia z człowiekiem, który się mnie wyparł? Który uciekł, bo popsułabym jego wizerunek? Myślisz, że marzę o tym, aby być z kimś, komu swoją ułomnością zaburzam jego przestrzeń życiową? – mówiąc to, czuła łązy pod powiekami, była jednak twarda i trzymała się wciąż prosto, dumnie podnosząc głowę.

– Przepraszam... – tylko tyle zdołał wydukać, nim przytłoczyła go ciężarem winy.

Aby mimo wszystko się nie ugiąć, Agata musiała jak najszybciej wyjść z gabinetu. Przekręciła zatem klucz i niemal wybiegła na korytarz. Mateusz w osłupieniu siedział wciąż na stole.

– Możesz wracać – Agata przez telefon poinformowała przyjaciółkę. – Plan zrealizowany. Zdzwonimy się, pa.

Marta przepłynęła basen paręnaście razy, wymokła jak śledź przed marynatą, a potem wynudziła się jak mops i nawet trochę zmarzła. W drzwiach gabinetu minęła się z Mateuszem, który ledwo ją zauważył, tak był oszołomiony i jednocześnie zgnębiony. Obejrzała się za nim zdziwiona. Była bardzo ciekawa, co też zaszło przed chwilą.

Rozdział 14

Zbliżały się święta, a śniegu wciąż nie było. Nad całą Polską rozciągał się ciepły niż, który przyniósł szare, gęste chmury. Namiastkę bożonarodzeniowej atmosfery budowały jedynie świetlne dekoracje na ulicach i w witrynach sklepowych oraz reklamy w telewizji. Gdyby nie to, pomyśleć by można, że jest dopiero późny październik.

Marta, zakochana po uszy, zupełnie nie przejmowała się pogodą, jej życie toczyło się wyłącznie wokół Janusza, oboje byli bardzo szczęśliwi. Na kilka dni przed Wigilią usiedli przy obiedzie i zaczęli wspólnie się zastanawiać, jak i gdzie spędzić święta. Janusz, jako jedynak, dotąd zawsze był na wigilijnej kolacji u rodziców, przez ostatnie siedem lat z Dorotą i Julką, ale w tym roku rodzice spędzali ten czas osobno. Matka spakowała trochę swoich rzeczy i pojechała z wizytą do brata mieszkającego w Kaliszu. Antoni jeszcze w listopadzie oznajmił jej, że wypalił się w małżeństwie i nie jest w stanie zaoferować jej absolutnie niczego poza rozstaniem. Było mu obojętne, czy formalnie się rozwiodą, czy też nie, w każdym razie oświadczył, że żyć z nią nie chce. Krystyna poczuła się przede wszystkim szalenie urażona, ale w gruncie rzeczy przyjęła tę informację ze spokojem.

– Zrobisz, co zechcesz – odpowiedziała Antoniemu bardzo wyraźnie i powoli. – Całe życie byłeś nikim i nikim pozostaniesz. Beze mnie będziesz jeszcze bardziej nikim.

W tej sytuacji Janusz mógł spędzić święta z ojcem w Janowcu, z Martą w Warszawie lub z jej rodziną w Kazimierzu. Zdecydowali się na wyjazd do Janowca, by móc odwiedzić zarówno jego ojca, jak i jej rodziców. Ze względu na to, że dom dziadków Janusza za bardzo nie nadawał się do mieszkania zimą, a i u Marty nie było warunków do przyjmowania gości, zarezerwowali sobie na cztery noce apartament w hotelu Kazimierzówka. Matka Marty przewracała oczami, że jak to tak, dom rodzinny na miejscu, a jaśnie pani jakby obca była i rodziny nie miała, pokój w hotelu wynajmuje. Miała oczywiście jak najlepsze intencje i była gotowa upchnąć córkę z prawie narzeczonym w byle jakim kącie, ale we własnym domu. Polska gościnność ponad wszystko.

Marta jednak postawiła na swoim, ponieważ odrobinę się wstydziła skromnych warunków u rodziców. Wystarczy, że Janusz będzie u nich jadał świąteczne obiady, spać już nie musi. Poza tym w hotelu będą mieli swobodę i więcej intymności. Bidę zakwaterowali u Grażyny, do której Antoni przeniósł się już niemal na stałe.

Zameldowali się w Kazimierzówce na dzień przed Wigilią i jeszcze przed wieczorem pojechali do rodziców Marty. Przyjęto ich bardzo serdecznie. Co jak co, ale Żmigrodzcy gościnni i rodzinni byli zawsze. Dom był pełen dzieciarni, bo zjechały się siostry z rodzinami, zrobiło się gwarno i wesoło. Nie zabrakło też Moniki, która odważyła się wreszcie przedstawić Rafała i przyjechała z nim na kilka dni. Janusz, mimo początkowego stresu wywołanego poznaniem mnóstwa nowych osób, szybko poczuł się całkiem swobodnie, dzięki między innymi, a może przede wszystkim, bimberkom pana domu.

Kobietom nie brakowało zajęć w kuchni, panowie okupowali pokój, a dzieci,

robiąc wiele hałasu, ubierały choinkę. Janusz nigdy nie przeżył tak gwarnych świąt. Bardzo podobało mu się to nowe doświadczenie. Jednak od czasu do czasu, na przykład w przerwie w jakiejś rozmowie, z nostalgią i żalem wspominał Julkę. Wiele by dał, by mogła być teraz wśród tej wrzawy. Z pewnością bawiłaby się świetnie. Jeśli zaś chodzi o Dorotę, z zadowoleniem stwierdzał raz po raz, że Marta całkowicie wypełniła jej miejsce. Tylko wciąż nie mógł się pogodzić z utratą Julki.

Do hotelu wrócili nocą, ale zasnęli długo, długo potem.

W wigilijny poranek umówili się z Antonim na Puławskiej. Z hotelu mieli niedaleko – najpierw stromo w dół, zakręt przy kościele i znowu stromo pod górę. U Grażyny było cicho, nastrojowo i na pierwszy rzut oka widać było, że ona i Antoni są jak dobrze zestrojony mechanizm. Z przyjemnością się na nich patrzyło. Starszy Bilski też się cieszył, obserwując syna – wyglądało na to, że chyba pogodził się już z niedawną stratą i poza Martą świata nie widział.

Kolację wigilijną zjedli u Marty. Na stole pojawił się zestaw dań, które w jej rodzinnym domu od lat niezmiennie królowały w ten dzień. Nigdy nie były unowocześniane, nie zmieniano receptur, nie wymyślano cudaczných przybrań na półmiskach. Odkąd Marta pamiętała, na stole królował karp usmażony w najprostszy sposób, barszcz z uszkami lepionymi przez matkę, marynowane śledzie, suszone grzyby obsmażane w jajku i inne równie zwyczajne dania. Tym razem nie było inaczej. Janusz zajadał ze smakiem, choć z początku zdziwiła go prostota potraw. U jego matki zawsze wszystko musiało być wydumane, według najnowszych przepisów i dobrane pod kolor. Przy tym stole czuł się jednak zdecydowanie lepiej.

Po kolacji nastąpiło rozpakowywanie prezentów, które czekały pod sporej wielkości drzewkiem. Dzieci obdarowano głównie zabawkami i słodyczami, mężczyźni dostali drobne części garderoby, matka Marty nazbierała sporo kuchennych gadżetów, a Marta weszła w posiadanie kilku książek. Janusz też otrzymał książkę. Rytuał odpakowywania i oglądania podarunków trwał dość długo. Po nim nastął czas śpiewania kolęd. I tutaj Janusz znów był zaskoczony i jednocześnie ucieszony, bo każdy mógł śpiewać tak, jak umiał najlepiej, i nikt się nie złościł, że słychać było jakąś fałszywą nutę, że ktoś zgubił rytm, a ktoś inny śpiewa zbyt wysoko czy też ośmielił się pomylić tekst. U Krystyny coś takiego by nie przeszło. Od razu wywróciłyby oczami i zde gustowana ruszyłyby do kuchni, by zająć się zmywaniem po kolacji.

– Masz fantastyczną rodzinę – Janusz szepnął Marcie na ucho, kiedy wszyscy razem szli na pasterkę.

Po mszy każdy ruszył w swoją stronę: Marta z Januszem poszli do hotelu, siostry z mężami wróciły do swoich domów, tylko Monika z Rafałem udali się z rodzicami na Słoneczną.

W hotelowym pokoju na Martę czekał szampan i truskawki, które Janusz zamówił ukradkiem przed wyjściem na wigilijną kolację. Oprócz tego w apartamencie stał też wysoki, prosty szklany wazon, a w nim pyszniło się chyba ze sto czerwonych róż. Bez liści, bez żadnych ozdób, tylko na wysokich nóżkach czerwone pełne kwiaty. Marta zaniemówiła z wrażenia i odwróciła się do stojącego za nią Janusza z pytającym wyrazem twarzy.

On najpierw zdjął z niej kurtkę, potem odwiesił też swoją i nieco stremowany podszedł do stolika. Wyjął jedną różę z wazonu, sięgnął po małe pudełko leżące przy wiaderku z szampanem, otworzył je i sztywnymi palcami wyjął pierścionek z różowego złota o pięknym ametystowym oczku z cudownym szlifem. Martę zamurowało.

– Kochanie... – Janusz miał nogi jak z waty i głos mu drżał jak nigdy – ...jeśli starczy ci sił, by wytrzymać ze mną do starości, to uczyni mi ten zaszczyt i zostań moją żoną, proszę...

Nie przykleknął, bo zapomniał, ale za to podał jej kwiat i trzęsącą się dłonią wsunął pierścionek na jej palec. Marta się popłakała. Ze szczęścia. Potem rzuciła mu się na szyję i zasypała pocałunkami. Teraz mógł już otwierać szampana.

– Jezu, jak się bałem – przyznał po chwili i odetchnął z ulgą.

– Że odmówię? – Marta rozpromieniona podziwiała pierścionek.

– Tak – odparł i pocałował ją namiętnie.

– No wiesz... może bym i odmówiła – przyszła jej ochota na żarty – ale jak inaczej dostałabym taki pierścionek?

– Zołza... – szepnął tak czule, jakby to był największy komplement.

Tej nocy prawie nie spali i następnego ranka spóźnili się na świąteczne śniadanie do Grażyny.

Marta była chyba najszczęśliwszą kobietą w Kazimierzu. Aż bała się tak o sobie myśleć, by niczego nie zapeszyć. Tylko raz czy dwa przemknęło jej przez myśl, że jakoś tak dziwnie szybko wszystko się toczy – zaledwie od miesiąca są parą, a tu już zaręczyny.

Nie przyszło jej do głowy, że Janusz mógł oświadczyć się z obawy, iż jeśli tego nie zrobi, to ona odejdzie i znów zostanie sam. Takie właśnie irracjonalne strachy go dopadły i postanowił im zaradzić. Zapomniał chyba tylko, że kiedy Dorota chciała odejść, to nie przeszkodziły jej w tym ani zaręczyny, ani rychły termin ślubu.

Święta minęły w cudownej atmosferze, Marcie wręcz nie chciało się wracać do Warszawy. Ostatniego wieczoru wybrali się z Januszem do hotelowego spa, by jeszcze bardziej się zrelaksować, ale ona przy okazji chciała wyszpiegować, jak tu wszystko jest zorganizowane i czy może lepiej niż u niej. A jeśli lepiej, to czy da się coś przeschepić na warszawski grunt. Poddali się całej serii przeróżnych zabiegów i przy okazji leniwej wymiany zdań z masażystami Marta pochwaliła się, że też jest z branży. Od słowa do słowa przeszli do rozmów na tematy zawodowe i w którymś momencie uprzejmy młody masażysta zapytał:

– A może chciałaby pani zmienić pracę? W Królu Kazimierzu potrzebują dobrego masażysty. Od zaraz, szukają kogoś z polecenia, sprawdzonego i niezawodnego.

Marta zainteresowała się propozycją. Sama nie zamierzała ruszać się z Warszawy, pamiętała jednak o przyjaciółce. Postanowiła jak najszybciej przekazać jej tę wiadomość. Kiedyś przecież musi się jej wreszcie poszczęścić. Kto wie, może właśnie teraz.

Wieczorem długo wisiła na telefonie z Agatą. Po zdaniu relacji z minionych świąt i opisanu urody ametystu wspomniała o wakacie na hotelowego masażystę.

– Co ci szkodzi spróbować? – przekonywała, choć właściwie wcale nie musiała, bo Agata zawsze gotowa była dużo zrobić, by udowodnić, że jest pełnowartościowym członkiem społeczeństwa. Przeprowadzka to dla niej nic wielkiego, zaledwie kolejne

wyzwanie i nowe doświadczenie.

Następnego dnia narzeczeni wrócili już do Warszawy.

Agata niemal bez wahania zdecydowała się skorzystać z szansy, o której powiedziała jej Marta. W Warszawie nic ją już nie trzymało, nie miała więc oporów, by spróbować szczęścia gdzie indziej. Wyjazd był jej nawet na rękę, bo od ostatniego spotkania z Mateuszem nie mogła sobie znaleźć miejsca. Coś ją uwierało i nie pozwalało zaznać spokoju. Serce, mimo protestu rozumu, wrywało się do Rogalskiego. Agata była jednak zbyt dumna i uparta, by poddać się emocjom. Zacisnąwszy zęby, postanowiła przetrwać trudny czas i za wszelką cenę zachować rozsądek.

Na początku stycznia pojechała do Kazimierza, aby aplikować na masażystkę w hotelu Król Kazimierz, tym razem jednak zamierzała być dużo bardziej asertywna i przebojowa niż podczas poprzedniej rozmowy kwalifikacyjnej. Nawet jeśli po raz kolejny nie zdobędzie pracy, zrobi wszystko, by rekruterzy zobaczyli, jakie są jej rzeczywiste umiejętności.

Podróż przebiegła bez żadnych kłopotów, ale przejście przez Kazimierz okazało się wyzwaniem. Obce miasto, bruk na ulicach, które zdawały się nie mieć żadnego logicznego porządku, biegly jak chciały, raz w górę, raz w dół, przecinając się ze sobą pod kątami dalekimi od prostych. Niewidoma Agata szła powoli i nie bez trudu po śliskich kocich łbach. Na Lubelszczyźnie w Nowy Rok spadł śnieg i wciąż jeszcze się utrzymywał. Dała jednak radę i, choć zmęczona, stanęła wreszcie w drzwiach Króla Kazimierza z najpiękniejszym ze swych uśmiechów na twarzy i z rumianymi od mrozu policzkami. Gdy przeszła przez wielki hotelowy hol, u jej boku natychmiast pojawiła się recepcjonistka gotowa służyć pomocą. Agata wzięła dwa noclegi w pokoju standard, co mogło trochę zrujnować jej budżet, miała jednak nadzieję, że koszty się zwrócą.

Organoleptycznie poznawała strukturę luksusowego obiektu i już po godzinie, gdy się odświeżyła i pięknie ubrała, gotowa była przystąpić do realizacji swojego niezbyt dopracowanego planu. Najpierw zeszła do restauracji na późny obiad. Kiedy podszedł do niej kelner, nie tylko złożyła zamówienie, ale również zasypała go całą serią pytań o hotel, miasto i parę innych rzeczy. Chodziło jej o to, by z jak największą liczbą osób nawiązać uprzejmy kontakt i nie być anonimowym gościem. Przeczynała, że jeśli uda jej się zapisać w pamięć ludziom, to być może będą o niej rozmawiać. A jeśli będą rozmawiać, mogą też w odpowiednim momencie wymienić się różnymi informacjami o niej. Jeżeli tylko zdoła dobrze się zareklamować, wówczas wieść o niej, niczym forpoczta, będzie szła przed nią. Plan był mało precyzyjny, może nawet słaby, mimo to Agata uznała, że nie zaszkodzi spróbować.

Wychodząc z restauracji, przystanąła w recepcji i tam też wdała się w rozmowę. To samo zrobiła w hotelowym korytarzu, gdy natknęła się na pokojówkę wychodzącą z odkurzaczem z sąsiedniego pokoju.

Późnym wieczorem postanowiła skorzystać z kilku zabiegów spa. Uznała, że nie zawadzi porozmawiać i tam oraz choćby pobieżnie zapoznać się z topografią lokalu. Oferta spa okazała się bogata, ale Agata wybrała to, co najbardziej ją interesowało, czyli masaże. Po godzinie relaksu była wypoczęta, trochę zaznajomiona z masażystą oraz uboższa o ponad dwieście złotych.

Po dwudziestej wyszła przed hotel, by odetchnąć świeżym mroźnym powietrzem. Nie przeszkadzało jej, że dookoła dawno już zapadła noc. Gdy całe życie spędza się w ciemności, pory dnia przestają mieć znaczenie.

Stała opatulona po czubek głowy w miękkiej szali. Kurtkę miała ciepłą i grubą, na nogach dżinsowe rurki, trochę zbyt cienkie, a na stopach porządne buty o antypoślizgowej podeszwie, obszyte na zewnątrz na prawie całej wysokości rudym futrem. Zajęło jej chwilę, zanim zdecydowała, w którą stronę ruszyć. Wreszcie zrobiła jeden krok i drugi, a przy trzecim znalazła się twarzą w twarz z mężczyzną, który bardzo się śpieszył do hotelu i zaklął zirytowany:

– Cholera jasna! Jak pani chodzi?

– Przepraszam – rzuciła Agata bynajmniej nie zrażona, następnie wyjęła z kieszeni laskę, rozłożyła ją i powoli zeszła w dół Puławskiej.

Następnego ranka spytała w recepcji, gdzie i kiedy może się spotkać z osobą odpowiedzialną za rekrutację. Bardzo uprzejmie odpowiedziano jej, że szef prawdopodobnie w ciągu dnia będzie w hotelu. Obiecano jej też, że niezwłocznie poinformują go o tym, że Agata chce z nim rozmawiać. Zatem na wszelki wypadek pozostała na miejscu i nigdzie się nie wybrała.

Po szesnastej rzeczywiście zadzwoniono do jej pokoju i poproszono o zejście do baru. Poprawiła sobie włosy, przeciągnęła bezbarwną pomadką usta, chwyciła teczkę z życiorysem i wyszła z pokoju. Serce tłukło jej się ze strachu, ale starała się iść najpewniej, jak mogła, odwołując się do pamięci i wyostrzonych zmysłów. Laskę zostawiła w pokoju.

Wreszcie dotarła do baru i przystanąła w wejściu. Gdy weszła, z wysokiego białego krzesła przy barze w kształcie łodzi podniósł się mężczyzna, zapiął marynarkę i ruszył w jej kierunku.

– Witam panią – jego głos przyjemnie wibrował. – Daniel Kossowski, HR-manager hotelu. Czy to pani chciała się ze mną -spotkać?

– Dzień dobry – podała mu dłoń. – Agata Jaskólska. Mam dla pana pewną ofertę. I odnoszę też wrażenie, że już się spotkaliśmy – dodała z absolutną pewnością. – Chyba wczoraj przed wejściem do hotelu...

Tak, facet, który się na nią wczoraj zdenerwował, stał teraz przed nią z zażenowaną miną. Tyle że ona tego nie widziała.

– Najmocniej panią przepraszam. Moje zachowanie było wysoce nieodpowiednie.

– Ojej! – zawołała. – Zrobiło się trochę sztywno!

Gdy zaprosił ją do stolika, bardzo szybko się zorientował, że jest niewidoma. Niestety, trzy posiłki w restauracji to trochę za mało, by Agata mogła czuć się pewnie oraz śmiało iść przed siebie.

– Czy mogę pani pomóc? – Kossowski podstawił jej ramię, z którego chętnie skorzystała.

– Dziękuję bardzo – powiedziała, siadając już przy stoliku.

Kiedy podano im kawę, manager przeszedł od razu do sedna, pytając o cel spotkania. Agata podsunęła mu CV i jednocześnie wyłożyła, po co przyjechała. Był uprzejmy, grzeczny i bardzo uważał, by jej niczym nie urazić, ale jednocześnie wiedział

już prawie na pewno, że to nie jej szuka. Na razie jednak nie powiedział tego wprost. Agata reklamowała siebie, jak umiała, on wprawdzie nie mówił nie, mimo to czuła, że nie jest dobrze. Część oficjalna wyraźnie nie przyniosła spodziewanego rezultatu, toteż Agata postanowiła przypuścić ostatni szturm.

– Świetnie wyczuwam, że zamierza mi pan kulturalnie podziękować. I jestem pewna, że robi pan błąd. Czy znajdzie pan dla mnie jeszcze kwadrans?

– Tak... – zawahał się. – Oczywiście, ale wybaczy pani, nie rozumiem po co.

– Proszę pana, tak się składa, że ludzie nie wierzą mi na słowo. Dlatego będę wdzięczna, jeśli zechce pan pójść ze mną do jednego z gabinetów masażu i pozwoli mi zademonstrować, co potrafię. Kwadrans – przekonywała – a potem zrobi pan, co zechce.

Kossowski był poważnym facetem i dotąd nigdy nie przeprowadzał rekrutacji na własnej skórze, lecz upór Agaty był tak niebywały, że postanowił sprawdzić, czy ona przypadkiem się nie przechwala. Poszedł z nią do gabinetu, lecz sam nie poddał się próbie. Poprosił jedną z masażystek, by położyła się na stole i oceniła umiejętności kandydatki.

Godzinę później Agata była już w swoim pokoju i nalewała wody do wanny. Kossowski nie dał jej na razie żadnej odpowiedzi, ona jednak była z siebie bardzo zadowolona i uważała, że spisała się na medal. Włożyła w demonstrację całe serce.

Po dwudziestej w pokoju odezwał się telefon. Dzwoniono z recepcji z pytaniem, czy znalazłaby chwilę na spotkanie z Kossowskim. Ubrała się błyskawicznie i dziesięć minut później już siedziała przy restauracyjnym stoliku.

– Czy zechce pani poświęcić mi kwadrans? – zapytał na wstępie.

– Pan dał mi kwadrans, zatem i ja dam panu – odpowiedziała wesoło. – Słucham.

– Czy mogę być z panią szczerą?

– A do tej pory pan nie był? Udawał pan coś? Czyżby więc i pan nie różnił się od większości ludzi?

– Niech pani nie wzbudza we mnie poczucia niepopelnionej winy. – Kossowski nie dał się podejść. – Mam do pani parę pytań, ale ostrzegam, że mogą być niedelikatne. Jeśli mam ryzykować i zatrudnić panią, najpierw chciałbym wiedzieć kilka rzeczy. Zatem: kontynuujemy rozmowę czy rezygnuje pani?

– Proszę pytać.

– Dziękuję. W takim razie mam propozycję. Zapraszam panią na spacer do rynku i kawę w dobrym lokalu.

Powoli wyszli z hotelu. Agata była nieco zdezorientowana, ale Kossowski wyjaśnił, że chce się tylko upewnić, czy ona podoła pracy. Zamierzał ją po prostu obserwować w trakcie tego spotkania, by zobaczyć, w jaki sposób radzi sobie w codziennym życiu. Jak pokonuje nieznaną przestrzeń, czym rekompensuje sobie brak widzenia, czy jest komunikatywna i jak szybko się aklimatyzuje. Lojalnie uprzedził ją, że może zadawać drażliwe pytania, a nawet być wścibski, lecz nie może przecież narazić na szwank dobrego imienia hotelu.

Agacie początkowo trochę trudno było rozmawiać z nim całkiem otwarcie, ale gdy już usiedli u Fryzjera, zażenowanie minęło i rozmawiała z nim tak szczerze, jak chyba dotąd zdarzało jej się tylko w obecności Marty. Kossowski dotknął jej wielu czułych punktów, obnażył głęboko skrywane kompleksy. Nie miała mu tego za złe, przeciwnie,

pokładała wielką nadzieję, że szczerść jej się opłaci.

– Kiedy pani wyjeżdża z Kazimierza? – zapytał przy wyjściu od Fryzjera.

– Jutro po południu.

– Czy ewentualna przeprowadzka nie byłaby dla pani kłopotem? Przemyślała pani to wszystko przed przyjazdem tutaj?

– Proszę pana – odparła bardzo poważnie – ja nie mogę sobie pozwolić na wybrzydzenie. Jak się pan zapewne domyśla, pracodawcy mnie nie rozchwytyją, tylko najchętniej omijają szerokim łukiem. Wiem jednak, że jeśli dostanę szansę, to jej nie zmarnuję.

– Dziękuję za poświęcony mi czas. Proszę mi wierzyć, że wiele się dzisiaj nauczyłem. – Kossowski pożegnał się w hotelowym holu i standardowo obiecał, że się odezwie.

Agata była bardzo podekscytowana. Chociaż wiedziała, że podczas nietypowej rekrutacji pokazała się z najlepszej strony, nie miała niestety pewności, czy dostanie tę pracę.

Po obiedzie następnego dnia ruszyła w drogę powrotną do Warszawy. Gdy wysiadła pod Pałacem Kultury i Nauki, poczuła osiadające jej na twarzy drobne płatki śniegu, które natychmiast topiły się na ciepłych policzkach i na nosie. Chodniki były śliskie i zabłocone rozdeptanym śniegiem, szła więc powoli, by nie stracić równowagi. W kieszeni kurtki poczuła nagle wibracje, a zaraz potem rozbrzmiała muzyka. Wyjęła telefon i usłyszała, jak aplikacja kolejno odczytuje cyfry numeru dzwoniącego do niej.

– Halo? – powiedziała.

– Dzień dobry, z tej strony Daniel Kossowski z hotelu Król Kazimierz. Czy pani Agata Jaskólska?

– Tak – odparła zdziwiona, że jednak się odezwał. – Dzień dobry.

– Pani Agato, miałem przez panią nieprzespaną noc. – Jego głos był pogodniejszy niż wczoraj. – Czy nadal chce pani z nami pracować?

– Oczywiście! – Ogarnęła ją taka radość, że z trudem powstrzymała się przed niekontrolowanym okrzykiem.

– W takim razie zaczyna pani od lutego.

– Naprawdę? To nie żart?

– Oczywiście na początek okres próbny – zastrzegł delikatnie.

– Jasne!

– Aha, i jeszcze w styczniu szkolenie. Muszę mieć pewność, że nie poprzestawia mi pani ścian w hotelu ani sobie nic nie robi, poruszając się po nim.

– Rozumiem – trochę nawet ją rozbawił tym, co powiedział.

– Halo?! Marta?! – Agata po prostu musiała natychmiast zadzwonić do przyjaciółki. – Jak u ciebie z czasem? Pijemy dziś czy jutro? U mnie czy u ciebie? Mam tę robotę! Słyszysz?!

– Wow!... Gratuluję! – Marta wrzasnęła do słuchawki. – Kochana, teraz jestem w pracy i skończę późno. To może jutro? Może być u mnie.

Były zatem umówione. Trzeba tylko jakoś doczekać do jutra, co okazało się nie lada wyzwaniem, bo Agatę wprost rozpierało szczęście.

Kiedy weszła już do domu, zadzwoniła Marta.

– Agatko – powiedziała przymilnie – mamy z Januszem taki pomysł, żeby przy okazji uczcić nasze zaręczyny. Chcielibyśmy zrobić to w towarzystwie przyjaciół. Co ty na to?

– Jasne, pijemy! – zawołała rozradowana.

– Ale tak dokładnie, to mieliśmy na myśli ciebie i Mateusza. Razem. Pod jednym dachem...

Agata zamilkła na moment, ale szybko odzyskała rezon. Może to i lepiej, że ten dupek zobaczy ją na imprezie z okazji jej sukcesu? Ona zrobi się na bóstwo i jeszcze raz mu pokaże, co stracił. A niech tam, nie będzie przecież przed nim uciekała.

– Wiesz co, wszystko mi jedno – próbowała nie okazywać emocji. – Niech sobie przychodzi, nie będzie mi przeszkadzał.

No, to teraz tym bardziej trudno będzie doczekać do jutra. Bo choć Agata udawała, że Mateusz ją nie interesuje, nie miała nic przeciwko temu, by być świadkiem jego klęski, tego, jak się gryzie i żałuje, że jej nie docenił.

Wreszcie przyszło wyczekane jutro i Agata zjawiła się na Zakopiańskiej na długo przed godziną rozpoczęcia imprezy. Niemal wymusiła na zapracowanej w kuchni przyjaciółce, by zrobiła ją na bóstwo. W tej sytuacji Janusz sam musiał zająć się przekąskami i szykowaniem reszty jedzenia.

Mateusz przyszedł o czasie, z kwiatami dla gospodyni i wódką dla jej narzeczonego. Co do Agaty, uznał, że jej prezentu nie musi dawać, wszak to nie ona go zaprosiła. Grzecznie pogratulował jej pierwszej pracy, a potem już tylko się dręczył. Wieczór był co prawda bardzo przyjemny, ale towarzystwo rozpromienionej i pięknej Agaty po prostu go bolało. Po dwudziestej pierwszej bez zapowiedzi zjawiła się Monika.

– A co ty tutaj robisz? – Marta zaniepokoiła się, widząc siostrę w drzwiach. – Wchodź, nie marznij – wciągnęła ją za rękaw do środka.

– Jestem nie w porę? – Po jej minie nie dało się rozpoznać, czy przyjechała ze świetnymi nowinami, czy też wprost przeciwnie.

– Ależ skąd! – zapewniła Marta. – Bardzo w porę! Właśnie opijamy nasze zaręczyny i nową pracę Agaty. Rozumiem, że zostaniesz na noc?

– Chętnie – Monika uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Miły wieczór trwał dalej, a nawet coraz bardziej się rozkręcał, bo Monika była wyjątkowo towarzysko usposobiona, dużo mówiła, sporo piła i brała udział w dyskusji prawie na każdy temat. Agata z Martą opowiadały sobie nawzajem wrażenia z zaręczyn i rekrutacji. Panowie również bardzo się udzielali, choć może mniej mówili, za to więcej pili.

Jedynym aktorem na tym spotkaniu był Mateusz, który przez cały wieczór grał obojętnego, a w gruncie rzeczy z trudem panował nad emocjami. Niewykluczone, że także Monika grała jakieś przedstawienie. Marta siostrzanym zmysłem wyczuwała, że coś się musiało stać, skoro Monika przyjechała z Wrocławia bez zapowiedzi.

W pewnej chwili Agata wyszła do kuchni zrobić sobie kawę. Mateusz bez wahania podniósł się od stołu i ruszył za nią.

– Też chcesz kawy? – Agata bez trudu się zorientowała, kto za nią przyszedł.

– Nie – odparł Mateusz. – Chciałbym tylko z tobą porozmawiać.
– Nie mamy o czym – odpowiedziała grzecznie, lecz stanowczo.
– Agata, posłuchaj... – zaczął niezbyt zręcznie. – Chcę cię przeprosić.
– Okej – weszła mu w słowo. – Więcej nie musisz mówić.
– Ale chcę. Wtedy w gabinecie... To były najbardziej ekscytujące chwile w moim życiu. Byłaś fantastyczna. Dziękuję ci.

– Zapamiętaj je, bo więcej takich nie będzie – wzięła w dłoń filiżankę i zamierzała wrócić do salonu.

– Poczekaj, proszę. Wiem, rozumiem, że chciałaś mnie ukarać za moje uprzedzenia i ignorancję. I udało ci się.

– No to świetnie. A teraz mnie przepuść – stał tuż przy niej i zagradzał jej drogę.

– Agata... – zignorował jej prośbę – ...spodobałaś mi się od pierwszego spotkania. Szłaś wtedy przez biurowe lobby i byłaś taka piękna. Potem zobaczyłem cię na basenie i później tutaj, na Saskiej...

– A potem to wszystko spieprzyłeś – dokończyła, nie owijając w bawełnę. – Pomyślałeś, że nie będę pasować do twojego otoczenia i dałeś nogę. Może miałeś rację... – zawiesiła głos. – Po co przy młodym, zdolnym współwłaścicielu świetnie zapowiadającej się firmy niewidoma dziewczyna? Przecież ktoś taki znajdzie sobie lepszą, bez widocznych wad. Zejdź mi z drogi – teraz już wręcz warknęła na niego.

– Tak, masz rację – szepnął z desperacją. – Tak wtedy myślałem. Ale wiem, że popełniłem straszny błąd, za który wciąż płacę.

– Doprawdy? – drwiła.

– Tak, bo mogliśmy być razem, a nie jesteśmy.

– I nie będziemy.

– Kiedy się wtedy kochaliśmy, czułem, że nie byłem ci obojętny. Nie uwierzę, że zrobiłaś to z wyrachowania i chęci zemsty.

– Nigdy się nie dowiesz, co mną wtedy powodowało.

– Spróbujmy zacząć od początku, proszę – wydał z siebie niemal żebraczy jęk.

– Nie – szła w zaparte. – Gdybym przyjęła twoją propozycję, przez całe życie bym się zastanawiała, ile razy jeszcze się mnie wyprzesz i w jakich sytuacjach będziesz się mnie wstydził. Jak cię ktoś raz zawiedzie, to może zrobić to ponownie, dlatego nie złożę w twoich rękach swojego życia.

– Jesteś bardzo surowa – zauważył. – Nie zostawiasz mi cienia nadziei, a ja nie ukrywam, że się w tobie zakochałem.

– To są tylko słowa, a ja ufam czynom. Kawa stygnie, więc daj mi wreszcie spokój.

Pierwszy toast, jaki Mateusz wznosił po tej rozmowie, brzmiał:

– Wypijmy za błędy!

Po pewnym czasie błysnęła jeszcze jedną mądrością, skierowaną tym razem nie do wszystkich, tylko do narzeczonych:

– Nie patrzcie, kochani, w życiu zbyt daleko, bo może się okazać, że to, co jest najważniejsze, macie cały czas tuż obok siebie. Kiedy człowiek wyostrza wzrok, by dostrzec dal, rozmazuje mu się obraz tego, co najbliżej. A właśnie tam może być jego

szczęście – podniósł kieliszek i wychylił do dna.

Wokół stołu zapadła cisza. Wreszcie Janusz pochylił się nad Martą i szepnął, tak by wszyscy usłyszeli:

– Jak to dobrze, że nie byłem dalekowzroczny, bo nie zauważyłbym swojej sąsiadki – uśmiechnął się pięknie i pocałował narzeczoną, co rozładowało nieco napiętą atmosferę.

Późną nocą świętowanie miało się ku końcowi. Mateusz zamówił taksówkę i pojechał do domu, Agata ulokowała się do snu w najodleglejszym pokoju Kaczewskich, Janusz został przez Martę wyprawiony do własnego łóżka w domu obok, a ona z Moniką, opatuliwszy się jedną kołdrą, usiadły w jej sypialni.

– Pogadamy sobie? – zaczęła niby od niechcienia Marta.

– Miałaś rację, siostrzyczko.

– A jaśniej?

– Rafał to bokser – Monika szepnęła zawstydzona.

Marta nagle spoważniała; zabrakło jej słów.

– I leń – dodała jeszcze ciszej Monika, a zaraz potem rześiste łzy potoczyły się po jej twarzy. – Dużo mówi o swoich zamiarach, ale nic nie robi, żeby je wcielić w życie. Wiesz, że w promieniu pięćdziesięciu kilometrów nie ma żadnego uczciwego pracodawcy ani odpowiedniej roboty? – Uśmiechnęła się przez łzy. – Po prostu nie opłacało mu się pracować, wyobrażasz sobie?

– Uderzył cię? – Marta najbardziej to chciała wiedzieć, ale nie z ciekawości, tylko z troski.

– Raz – Monika skuliła się, opierając brodę na kolanach. – I jeszcze dzisiaj... – dodała.

Marta ciężko westchnęła. Gdyby ten drań tylko nawinął jej się pod rękę, toby mu nie darowała.

– Gdzie są twoje rzeczy? Dlaczego przyjechałaś bez walizki? Mam nadzieję, że nie zamierzasz do niego wrócić?

– Ja nie mam dokąd wracać. – Monika była wyraźnie przerażona. – Mąż mnie nie przyjmie, do rodziców wstyd, do Wrocławia strach...

– Zostaniesz ze mną – dla Marty było to oczywiste. – Łatwo nie będzie, ale poradzimy sobie. Wcześniej czy później znajdziesz pracę i jakoś wszystko się ułoży – pocieszała siostrę.

Usnęły dopiero nad ranem, snem niespokojnym i płytkim. Janusz zbudził je na późne śniadanie. W kuchni czekały świeże pieczywo i drożdżówki z cukierni na Zakopiańskiej.

Do pracy Marta szła na popołudnie, więc godziny przedpołudniowe spędziła z siostrą i Agatą, lecząc tępy ból głowy po nocnej imprezie. Około południa rozległ się dzwonek do drzwi i Marta poszła otworzyć. W progu stał Rafał; przywitał się jakby nigdy nic, uśmiechnięty i beztroski.

– Ale masz tupet, ty draniu! – krzyknęła. – Wynoś się stąd!

Za jej plecami pojawiła się owinięta w gruby bury sweter Monika.

– Marta... – poprosiła – zostaw nas samych.

– Żartujesz?! Zamierzasz rozmawiać z tą kanalią?! Rozum ci odjęło?!

W głowie jej się nie mieściło, jak siostra może chcieć się z nim jeszcze widzieć, jednak nie zdołała jej tego zabronić. Monika długo rozmawiała z Rafałem, który był miły i grzeczny i oczywiście zapewniał ją o swych uczuciach oraz o tym, że znajdzie dobrą pracę. Miał już nawet jedną na oku. I tak skołował Monikę, że ta po dziesięciu minutach zebrała się i poszła z nim na dworzec. Marta była w szoku. Agata także, ale nic nie mogły poradzić na jej naiwność.

– Monika – Marta próbowała jeszcze przekonać siostrę – zrozum, że jeśli on raz poważny się podnieść na ciebie rękę, to zrobi to samo i drugi raz. Tacy nie przestają. To ich sposób na własną małość i kompleksy.

On tego nie słyszał, bo stał już na dworze, a Monika niestety nie dała przemówić sobie do rozsądku. Pożegnała się szybko i wyszła.

Rozdział 15

W drugiej połowie stycznia po zimie w Warszawie nie został już nawet ślad. Pogoda była depresyjna, brakowało słońca, dokuczały silne podmuchy wiatru i zacinający deszcz, a ciśnienie to szło w górę, to znów spadało na łeb na szyję, przyprawiając wielu o ból głowy.

Marta tymczasem, unoszona porywami namiętności, żądz i czułości, niemal już na stałe zamieszkała u Janusza, u Kaczewskich zaś jedynie od czasu do czasu doglądała kwiatów i opróżniała skrzynkę pocztową z nadmiaru reklam. Zresztą Stanisław Kaczewski zadzwonił do niej niedawno i poprosił o spotkanie. Po intensywnej rehabilitacji oraz pobycie w sanatorium jego matka częściowo odzyskała sprawność, dzięki czemu on miał teraz wreszcie czas, by zastanowić się na spokojnie, co dalej. Zaprosił Martę na Bemowo, bo nie mógł opuścić matki. Marta dowiedziała się, że Kaczewscy nie potrzebują dwóch mieszkań, toteż jedno zapewne zechcą sprzedać. Stanisław nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji, ale raczej wystawi na sprzedaż dom na Zakopiańskiej, ponieważ na stare lata w bloku będzie mu zdecydowanie wygodniej.

Informacja ta tylko przyspieszyła ostateczną przeprowadzkę do Janusza: Marta znalazła wreszcie czas i przeniosła do niego wszystkie swoje graty.

Nieznosną aurę przetrwała więc głównie dzięki temu, że była stale czymś zajęta. Zaangażowała się też mocno w pomoc Agacie przy organizacji nowego miejsca do życia. Wspólnie pakowały jej walizki i nawiązały niemal stały kontakt telefoniczny z Antonim, który wraz z Grażyną dołożył wielu starań, by wynająć Agacie jakiś porządną kąt w Kazimierzu.

Wszystko układało się pomyślnie.

Janusz od kilku dni przychodził rano do pracy i wychodził z niej późnym wieczorem, wziął bowiem na siebie część obowiązków Mateusza, który wyjechał do Lwowa pod pretekstem dopilnowania filii. Był to jednak drugorzędny powód jego wyjazdu. On po prostu uciekł, bo nie potrafił w inny sposób poradzić sobie z koszem, jaki dostał od Agaty. Wyrzucał sobie, że koncertowo wszystko zepsuł, choć dotąd zawsze uważał się za oświeconego i bardzo tolerancyjnego człowieka sukcesu. Okazało się jednak, że w konfrontacji z innością Agaty poległ na całej linii, i wyszedł z niego abderyta. Nigdy nie podejrzewał, że może nim być, ba, wręcz był pewien, że jest niezwykle elastyczny i życzliwy wobec wszelkich odrębności.

Mateusz wiedział, że popełnił ogromny błąd, stygmatyzując Agatę i unikając jej. Nieistotne, że trwało to krótko i szybko zrozumiał swoje potknięcie. Cenę płacił teraz wysoką. Agata nie odbierała od niego telefonów, a na przyjęciu u Marty bardzo wyraźnie powiedziała, że nie jest w stanie mu zaufać.

Nie mogąc sobie z tym wszystkim poradzić, rzucił się w wir pracy na Ukrainie, sądząc, że nadmiar obowiązków pomoże mu stłumić tęsknotę za nią.

Janusz tymczasem tkwił po uszy w robocie papierkowej. Bardzo jej nie lubił, to była działka Mateusza, on najchętniej zajmował się programowaniem. Kiedy zadzwonił telefon, właśnie przeglądał faktury i dosyć długo nie mógł zlokalizować swojej komórki,

która leżała gdzieś na biurku w bliżej nieokreślonym miejscu. Wymacał ją wreszcie i nie patrząc na wyświetlacz, odebrał połączenie.

– Halo, Janusz? – Na ten głos Bilski poderwał się z miejsca jak oparzony. Faktury i segregatory posypały się na podłogę, ale on zdawał się tego nie zauważać.

– Dorota?... Co z Julką?! – Skoro dzwoniła, to na pewno musiało coś się stać z dzieckiem.

– Jest zdrowa, spokojnie. – Dorota jak zawsze mówiła chłodno, z typową dla siebie wyższością. – Przepraszam, że cię niepokoję, ale chciałabym się z tobą spotkać... – W słuchawce zaległa cisza, Dorota wyraźnie czekała na reakcję Janusza.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy wielokrotnie rozmawiał z nią w myślach. A raczej prowadził monolog, bardzo głośny, z dużą dawką emocji i pretensji. Zarzucał jej brak serca, egoizm, a nawet ją wyzywał. Tak, przeklinał i ubliżał jej. Mówił wszystko to, czego nie powiedział jej nigdy w twarz, bo była przecież boginią i matką jego największego skarbu. Kiedy odeszła, nie szczędził jej inwektyw i obelg, wszystkie przetaczały się przez jego głowę i choć niewypowiedziane, to jednak utkwily mu w pamięci. Wielokrotnie wyobrażał sobie, co jej powie, kiedy zobaczy ją na ulicy, w restauracji czy parku. Bo istniało przecież takie prawdopodobieństwo, że przypadkiem się spotkają. Sądził, że bez wahania wyrzuci jej prosto w twarz cały ten jad, który zdążył w sobie wyhodować.

Teraz jednak, gdy nadarzyła się ku temu okazja, stał zbaraniały i nawet jedno złe słowo nie przychodziło mu na myśl. Przed oczami miał tylko Julkę. Widział jej śmiejące się oczy i niemal słyszał piskliwy śmiech z radości.

– Co się stało? – tylko tyle zdołał powiedzieć.

– Nic – Dorota albo kłamała, albo z jakiegoś powodu nie chciała mówić. – Spotkamy się?

– Kiedy? – zapytał, a serce znów tłukło mu się jak oszalałe.

– Możesz dzisiaj?

– Tak – odparł niepewnie, uświadamiając sobie, że to nie on dyktuje warunki. – Weźmiesz ze sobą Julię?

– Nie. Ona jest w szkole.

– Daj spokój, już są prawie ferie – zebrał.

– Nie – powiedziała bardzo stanowczo.

Mimo wszystko nie odważył się jej odmówić, bo miał iskierkę nadziei, że następstwem spotkania z nią będzie być może kiedyś, choćby w jakiejś dalekiej przyszłości, zobaczenie się z Julką.

Prawie wybiegł z biura i tak bardzo się śpieszył, że do restauracji, w której się z nią umówił, dotarł sporo przed czasem. Ona przyszła z piętnastominutowym spóźnieniem, była opanowana, trzymała się prosto i sztywno jak zwykle, a przy tym była niezmiennie piękna.

– Dzień dobry – powiedziała bez emocji i niewiele myśląc, przysunęła się do niego, by pocałować go w policzek, on jednak odchylił się szybko i zmierzył ją najzimniejszym spojrzeniem, na jakie było go stać.

Miał całą godzinę, by przygotować się na to spotkanie, i choć wróciły wszystkie

lęki i cała przeszłość stanęła mu znów przed oczami, zdołał przybrać maskę obojętności i udawać doskonale beznamiętnego i chłodnego.

Usiedli naprzeciw siebie.

– Co u ciebie? – Dorota odezwała się pierwsza po dłuższej chwili milczenia.

– Świetnie, dziękuję. – Obojętność, którą okazywał Janusz, była wręcz doskonała, choć wiele go to kosztowało. – Czy tylko po to do mnie zadzwoniłaś, by się dowiedzieć, jak żyję?

– Nie – odparła, patrząc mu prosto w oczy. Nie straciła nic ze swojej hardości. – Chcę porozmawiać o Julce.

Jego sercem targnął gwałtowny skurcz, żołądek podszedł mu do gardła. Na dźwięk ukochanego imienia łzy niebezpiecznie napłynęły mu do oczu. Zamrugał gwałtownie i upił łyk wody. Na szczęście podszedł kelner, co dało mu czas na pozbieranie się.

– A kiedy ja chciałem porozmawiać o Julce, miałaś mnie w dupie i ani razu nie odebrałaś telefonu! Ani razu! – syknął wściekły, z satysfakcją, że wreszcie może jej wygarnąć choć część tłumionych od pół roku żalów. – Wiesz, jak bardzo kocham to dziecko, a mimo to bez skrępowań mi je odebrałaś! I co najważniejsze: jak jej mogłaś coś takiego zrobić!

– Janusz... – Dorota chyba nie była w bojowym nastroju, bo nie reagowała na jego wyrzuty. – Julka chodzi na terapię do psychologa...

– Dlaczego?

– Bo sobie nie radzi z rzeczywistością. Tak mówi terapeuta...

– Jezu! – nie wytrzymał. – Co z ciebie za matka!

– Przestań! – warknęła. – Nie przyszedłam tu, żeby słuchać -kazań.

– A po co, do cholery?!

– Chcę ci coś zaproponować... – Umilkła, sprawdzając, czy jest zainteresowany.

– Co? – głos mu drżał, bo domyślał się, że chodzi o dziecko.

– Widzenie z Julką. – Wciąż bacznie obserwowała jego reakcję.

– Posłuchaj, co ty mówisz! Oferujesz mi widzenie, jakbym odsiadywał jakiś wyrok? Czy ty w ogóle rozumiesz, na co skazałaś swoją córkę i mnie? Pomyślałaś o tym? – Sam się sobie dziwił, że potrafił powiedzieć to tak spokojnie.

– Czyli rezygnujesz?

– Wiesz, że za Julką wskoczyłbym w ogień. I wiesz, że wcale nie rezygnuję. Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Przecież nie jesteś głupia. Ale mam też nadzieję, że jesteś świadoma tego, że cię nienawidzę. Chcę, żebyś to wiedziała.

– Domyślałam się – odparła sucho.

– Na ile w takim razie łaskawie wyrażasz zgodę? – mówił z wyraźną pogardą. – Dasz nam godzinę czy mniej?

– Przestań. Nie musisz być nieuprzejmy.

– Nieuprzejmy?! – Zmierzył ją surowym spojrzeniem.

– Co powiesz na tydzień ferii z Julką? Czy to jest propozycja do przyjęcia?

Zamurowało go. W najśmielszych marzeniach nie mógł sądzić, że nagle otrzyma możliwość spędzenia tygodnia z córką. Był oszołomiony i uszczęśliwiony, ale za wszelką cenę postanowił ukryć te emocje. Nie chciał, by Dorota widziała, ile od niej zależy i jak

bardzo ma go w garści.

– Co to znaczy: tydzień z Julką? Codziennie przez kilka godzin? Mam ją odbierać i dowozić do Magdaleny? Czy u mnie przez siedem dni?

– U ciebie przez cały tydzień. Odpowiada ci to?

– Co jest grane, Dorota? Dlaczego kupczysz dzieckiem? – Powątpiewał, czy kontakt z nim ma być jedynie terapią dla Julki, wietrzył w planie Doroty jakieś drugie dno, ale na razie nie mógł zrozumieć, o co jej tak naprawdę chodzi.

– Jesteś w błędzie – odparła spokojnie. – Psycholog mówi, że spotkanie z tobą może na nią wpłynąć pozytywnie, dlatego ci je proponuję. Jaka jest twoja decyzja?

– Oczywiście, że przystaję na propozycję – warknął. – Czyli tydzień u mnie?

– Tak, ale tylko pod warunkiem, że ona tego zechce.

– Nie rozmawiałaś z nią o tym?

– Najpierw chciałam się upewnić, że nie obiecuję jej niczego na próżno.

– Dobra, ale mam tydzień na wyłączność, bez twoich wizyt. To znaczy, jeśli Julia zechce się z tobą spotkać czy całkiem wrócić, to ci ją zawiozę, natomiast ja nie chcę cię widzieć na oczy. – Mówiąc to, przechylił się przez stół i utkwiał w niej zimne spojrzenie. – I od razu oświadczam, że prawdopodobnie zabiorę ją do Kazimierza, do ojca.

– W porządku. – Dorota nie miała żadnych zastrzeżeń, bo doskonale wiedziała, że powierzenie Julii Januszowi niczym jej nie grozi, ponieważ i on, i jego ojciec kochają jej córkę nad życie.

W kilku zdaniach omówili parę kwestii technicznych, po czym Janusz wstał od stolika.

– Nie mam więcej czasu dla ciebie. Zadzwoń, o której mam przyjechać po Julię.

– Dam ci znać – zgodziła się. – Wyślę ci adres esemesem.

– Znam adres. – Znów spojrzał na nią z pogardą. – Twój facet nie przekazał ci, że u was byłem?

– Wspominał... – Dorota nieznacznie spuściła wzrok. – Ale my już nie mieszkamy w Magdalence.

Janusz drgnął. Czy jej słowa oznaczały, że przeprowadzili się we troje, czy też one nie mieszkają już z Piotrem? Bardzo go to interesowało, mimo to nie próbował dociekać. Nie da Dorocie tej satysfakcji i nie pokaże, że się nią interesuje.

– W takim razie wyślij mi adres – powiedział najoschlej, jak potrafił, i wyszedł z restauracji.

Był w rozsypce. Spotkanie to kosztowało go wiele nerwów, a najwięcej energii stracił na ciągłe udawanie. Nieokreślone poczucie niepewności i lęk mieszały się w nim z radością. Te ambiwalentne uczucia wytrącały go z równowagi i zaburzały poczucie rzeczywistości, bo zaczynał wspominać przeszłość lub, co bardziej niebezpieczne, nieśmiało pozwalał sobie na fantazjowanie, że tak się rzeczy poukładają, iż odzyska jeszcze Julkę.

Do biura już nie wrócił, bo i tak nie byłby w stanie skupić się na pracy ani w ogóle na czymkolwiek innym niż córka. Już układał w głowie plan, co będą robić w ferie, dokąd pojedą, co jej kupi. Nawet nie brał pod uwagę tego, że ona może nie chcieć widzieć ojca,

który przez pół roku był tak zapracowany, że nie znalazł dla niej ani chwili. Ale przecież nie miał pojęcia, że Dorota taką właśnie informacją karmiła Julię przez minione miesiące.

Kiedy Marta wróciła z pracy, zastała Janusza przy szklaneczce whisky. Nie był to typowy widok, ponieważ pił tylko okazjonalnie.

– Ciężki dzień? – spytała, podchodząc do niego, by się przywitać.

– Dziwny – odpowiedział. – I bardzo emocjonujący. – Czułym gestem przyciągnął ją ku sobie. Gdy usiadła mu na kolanach, wtulił się w jej szyję i poczuł lekką woń zielonej herbaty. – Kocham cię – szepnął.

– Ja ciebie też... – Wyjęła szklanekę z jego ręki, po czym pochyliła się do jego ust i pocałowała go namiętnie.

– Ale wiesz, że kocham też Julkę... – powiedział z lekką obawą.

Odsunęła się nieco, by lepiej widzieć jego twarz. Zaskoczył ją. Oczywiście nie stwierdzeniem, że kocha Julię, tylko tym, że mówi to akurat teraz.

– Wiem – odrzekła. – I tą miłością właśnie mnie kupiłeś. – Uśmiechnęła się i czule pogłaskała jego lekko zarośnięty policzek. – Twój niezwykle kontakt z Julką i twoja miłość dla niej sprawiły, że się tobą w ogóle zainteresowałam. Pomyślałam, że facet, który tak mocno kocha dziecko, musi też bardzo kochać swoją kobietę. I nawet zazdrościłam wtedy Dorocie... – przyznała się nieśmiało.

Tym razem to on ją pocałował.

– Spotkałem się dziś z Dorotą – oznajmił szybko.

Wyczuł, jak jej ciało się napina i sztywnieje. Siedząc nadal na jego udach, przymknęła oczy i opuściła głowę. Milczała. Liczyła się z tym, że kiedyś jego przeszłość może do nich powrócić jak bumerang, i zgodziła się na to, decydując się być z nim. Nie miała mu tego za złe, nagle jednak ogarnął ją strach, jakaś irracjonalna panika, że coś się wydarzy. Coś niedobrego.

– Co u niej? – spytała z trwogą.

– Właściwie nie wiem – odpowiedział po chwili. – Nie pytałem. Rozmawialiśmy o Julii i postanowiliśmy, że wezmę ją na ferie.

Marta znów milczała, tymczasem Janusz potrzebował od niej choćby małego sygnału, że popiera jego decyzję i ją rozumie. Bardzo zależało mu na jej wsparciu, a wobec jej zagadkowego milczenia nie wiedział, czego się spodziewać.

– Nie gadzasz się? – spytał, głaszcząc ją po dłoni.

– Co ty mówisz, Janusz? Jak mogłabym się nie zgodzić? Przecież to twoje dziecko.

– Prawo mówi co innego – odparł smutno.

– Prawo jest bezduszne. – Wstała z jego kolan, usiadła na kanapie i zaczęła głaskać Bidę. – Jesteś ojcem Julki. Ona to wie, ty to wiesz i Dorota też to wie.

Był jej wdzięczny, że go rozumiała i nie próbowała oponować ani nie robiła scen zazdrości. Sięgnąwszy znowu po szklanekę i pociągnąwszy łyk whisky, zamyślił się na chwilę.

Marta też się zadumała. Janusz był w błędzie, sądząc, że nie poczuła zazdrości. Owszem, poczuła. Tyle że nie z powodu Julki, ale Doroty. Marta doskonale pamiętała jej elegancką postać, urodę, styl i tę wyższość, która jej nie pozwalała zadzierzgnąć tak swobodnych kontaktów sąsiedzkich, w jakie wszedł Janusz. Podświadomie wyczuwała,

że Dorota, jeśli nią nie gardzi, to co najmniej ją lekceważy, co też miłe nie było. A teraz po raz pierwszy w życiu Marta poczuła się zagrożona. Bo po raz pierwszy kochała prawdziwie.

„Strach ma wielkie oczy” – pomyślała, próbując odpędzić niepokojące myśli. Następnie wstała z kanapy i powoli powlokła się pod prysznic. Gorąca woda złagodziła nieco napięcie, a kiedy dołączył do niej Janusz, nagle wszystko wróciło do normy.

Nowe życie Agaty nabierało rozpędu. Od półtora tygodnia mieszkała w Kazimierzu i coraz lepiej się tam odnajdywała. Grażyna znalazła dla niej bardzo przyjemne samodzielne mieszkanie w jednej ze starych, ale odrestaurowanych kamieniczek i wspólnie z Antonim zajęła się nią jak członkiem rodziny. Oboje oprowadzili ją po całym mieście, lecz z niełatwą topografią Kazimierza Agata początkowo radziła sobie dosyć słabo. Kiedy wychodziła sama do sklepu czy na krótki spacer, prawie zawsze musiała pytać kogoś o wskazówki i o drogę. Wiedziała, że w końcu nauczy się tego miasta, ale zanosilo się na długą naukę. Na szczęście z pomocą przyszła jej kreatywna jak zawsze Grażyna. Kupiła mnóstwo plasteliny, zniosła do domu jakieś pudła ze sklepów i wyjęła z szuflady plan miasta. Razem z Antonim przez dwa dni budowali makietę Kazimierza, starając się zachować proporcje i poprawnie odwzorować układ ulic. Agata także miała w tych pracach znaczący udział, ponieważ dostała do rolowania wiele kawałków plasteliny, które Antoni z Grażyną przyklejali potem starannie do kartonów, robiąc z nich krawężniki ulic, kazimierskie wzgórza i Wisłę. Do budowy makiety wykorzystano także pudełka po zapalkach, lekach oraz różne inne drobiazgi, jak choćby nakrętki od butelek czy patyki. Miniatura Kazimierza pozwoliła Agacie poznać wreszcie rynek i wychodzące z niego ulice.

Prawdziwa i szczegółowa makietka miasta znajdowała się w kamienicy Celejowskiej, tyle że miała dwie wady. Po pierwsze, ukazywała topografię z roku 1910, a po drugie, można ją było wyłącznie oglądać. Tak więc dla Agaty była bezużyteczna.

Odkąd zaczęła swoimi wrażliwymi palcami systematycznie uczyć się miasta, jej życie szybko stało się łatwiejsze. A dzięki czasowi spędzonemu na tych naukach w domu Grażyny między nią, malarką i Antonim nawiązała się szczególna nić porozumienia pozwalająca im wszystkim spędzać długie zimowe wieczory w ciekawy sposób. Pijali razem herbatki, Grażyna chętnie opowiadała o francuskim etapie swojego życia, Antoni gmerał coś śrubokrętem w starym radiu, a Agata w tym czasie studiowała makietę, pytając niekiedy o historię Żydów kazimierskich, losy zamku czy o legendę Góry Trzech Krzyży. Interesowali ją także ludzie, wypytywała więc o Kuncewiczową, Wołka, Hartwiga i Olbrychskiego.

Przedpołudnia zaś mijały Agacie w zupełnie innej atmosferze: poznawała tajemnice Króla Kazimierza, zwiedzała hotelowe korytarze, restaurację i cały kompleks spa, by przystąpić do pracy jak najlepiej przygotowana.

Daniel Kossowski towarzyszył jej podczas niektórych spacerów, służył radą i pomocą, zresztą podobnie jak pozostali współpracownicy. Widać było, że cały zespół jest przychylnie do niej nastawiony i szybko ją zaakceptował.

Przeprowadzka do Kazimierza miała na nią zbawienny wpływ z kilku powodów. Najważniejsze było oczywiście zdobycie pracy i, co za tym idzie, znaczne podniesienie

poczucia własnej wartości. Poza tym prawie nie miała czasu na rozmyślanie o Mateuszu.

Bo to wcale nie było tak, że Rogalski jest jej obojętny i odesłanie go z kwitkiem przyszło jej łatwo. O nie! Musiała użyć całej swej silnej woli, by zrobić, co zrobiła. Najchętniej wybaczyłaby mu z miejsca i dała się przeprosić, ale czy potrafiłaby mu prawdziwie zaufać, tego pewna nie była. A żyć z kimś, w kogo wątpi, nie chciała. Tak więc przeprowadzka spadła jej jak z nieba, bo pozwalała zagłuszyć tęsknotę i dawała nadzieję na inne, może lepsze życie. Agata wierzyła bowiem, że sobie ze wszystkim poradzi i kiedy przyjdzie pora, spotka ją też i miłość. Najważniejsze, by jej nie przegapić. Czy może już ją przegapiła?

Po dwóch dniach Dorota znów zadzwoniła do Janusza. Tym razem nie był już tak rozstrojony i przejęty, mimo to po telefonie robota też nie szła mu najlepiej, ponieważ gorączkowo rozmyślał o coraz bliższym spotkaniu z córką.

– O której i gdzie mam po nią przyjechać? – zapytał.

– Mam jutro spotkanie w centrum, to mogę ci ją podrzucić – odparła. – Tylko bądź w domu.

Nie mógł się już doczekać. Na Julkę czekały pełna lodówka, dom wysprzątnany na błysk i prezenty: puzzle, trzy książeczki i zestaw do kreatywnego malowania.

Następnego dnia po południu pod dom Bilskiego podjechał samochód. Natychmiast otworzyły się w nim drzwi. Niemal jednocześnie otworzyły się też drzwi domu. Janusz od godziny siedział w oknie i wyglądał na ulicę.

– Tatusiu! – Julka pędziła ku niemu z wyciągniętymi ramionami, z buzią roześmianą od ucha do ucha.

Janusz natychmiast wybiegł jej na spotkanie, chwycił ją w objęcia i mocno ją do siebie przytulił. W policzki łaskotało go futerko jej kaptura.

– Cześć, kochanie – szeptał czule, z trudem powstrzymując łzy.

– Tatusiu, jak dobrze, że znalazłeś dla mnie wreszcie czas – trajkotała Julia.

– Kotku... – jęknął tylko, bo cóż jej miał powiedzieć? Że przez te wszystkie miesiące matka ją okłamywała?

Dorota wysiadła z auta, wyjęła walizkę z bagażnika i też weszła za furtkę. Janusz podniósł na nią wzrok.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Bida! – Uradowana Julia wyrwała się ojcu i pobiegła do psa, który witał ją z dziką radością, skacząc i głośno szczekając.

– Wejdiesz do środka? – Janusz próbował być uprzejmy.

Dorota nawet miała ochotę przyjąć zaproszenie, ale w chwili, gdy otwierała usta, by mu odpowiedzieć, z domu wyłoniła się Marta.

– Śpieszę się – rzuciła, ale wciąż stała w miejscu.

– Dzień dobry – nowa lokatorka domu uśmiechnęła się nieznacznie, podeszła do Janusza i wzięła go za rękę.

Dorota była zaskoczona, przybrała jednak właściwą jej wyniosłą pozę, by nie zdradzić swych emocji. Marta tymczasem podeszła do Julki, która wciąż nie mogła nacieszyć się psem. Wystarczyło na nią spojrzeć, by się przekonać, jak bardzo jest szczęśliwa, że widzi znów wszystkich tych, których kojarzy z najlepszym czasem

swojego życia.

– Co ona tu robi? – Dorota nie była w stanie dłużej wytrzymać w niepewności.

– To moja narzeczona – odparł Janusz i z satysfakcją patrzył na jej osłupiałą minę.

– Ach, tak... Gratuluję. – Chociaż bardzo się starała, nie potrafiła ukryć konsternacji. – Muszę już iść, gdybyś czegoś potrzebował, to dzwoń. Julia! – zawołała do córki. – Jadę już! Baw się dobrze!

– Pa, mamusiu! – odkrzyknęła dziewczynka, nawet nie patrząc na matkę.

W domu zrobiło się nagle wesoło i gwarno. Julka zdominowała wszystko, wszędzie było jej pełno – a to siedziała Januszowi na kolanach, a to szalała na podłodze z Bidą, a to męczyła Martę, aby zrobiła jej kolejną wymyślną fryzurę. Janusz nie mógł oderwać oczu od córki, kiedy starym zwyczajem razem zabrali się do szykowania obiadu. Julia nie chciała nawet słuchać, by miała siedzieć jak gość i jedynie się przyglądać. Krzątała się zatem po kuchni jak dawniej, kroїła warzywa i nakrywała do stołu. Zachowywała się absolutnie normalnie i nic na razie nie wskazywało, że to dziecko ma jakiegokolwiek problemy emocjonalne.

Przy obiedzie Janusz zadawał sporo pytań, na które Julka chętnie odpowiadała. Dowiedział się w ten sposób, że w Magdalence było do bani, bo wujek Piotr niezbyt lubi dzieci, a na pewno się na nich nie zna, właściwie to chyba też nie zna się na mamie, bo też jakby jej nie lubił. Julka opowiadała bez żadnych zahamowań, często uzupełniając relację o swoje dziecięce odczucia i spostrzeżenia.

– Kiedy wyprowadziłyście się od wujka? – zapytał niby od niechcienia Janusz.

– Mmm... – Julka grzebała widelcem w talerzu i wzniosła wzrok na sufit, myśląc intensywnie. – Jakoś po świętach.

– A jak ci się teraz mieszka z mamą?

– Może być – odparła. – Jest lepiej niż z wujkiem. A dlaczego nie możemy tu wrócić?

Bezpośredniość tego pytania oszołomiła Janusza. Marta utkwiała w nim spojrzenie, również ciekawa jego odpowiedzi.

– Skarbie – odezwał się po dłuższej chwili. – Dla ciebie zawsze tu będzie miejsce.

– Tylko dla mnie? – Julka przełknęła kęs. – Przecież mamy ciągle nie ma, więc może też by się tu czasem zmieściła, jak już wróci z pracy?

Prostolinijność jej myślenia wywołała uśmiech na twarzy Janusza i zaniepokojenie Marty.

– Julka... – próbował nadać swojemu głosowi żartobliwy ton – ...długo nad tym myślałaś?

– Jak coś jest logiczne i oczywiste, to w ogóle nie trzeba nad tym myśleć – odparła zadowolona z siebie.

– Jasna sprawa – zgodził się z nią Janusz.

Dzień upływał im w fantastycznych nastrojach i wreszcie wszystko było jak powinno. Nawet Marta przestała odczuwać lęk, który zupełnie nieoczekiwanie ogarnął ją na wieść o wizycie Julki. Podświadomie obawiała się, że mała nie zaakceptuje jej u boku ojca, ale był to chyba strach na wyrost. Julia bowiem odnalazła się w tej zmienionej sytuacji bez żadnego problemu, właściwie zachowywała się tak samo jak przed

rozstaniem rodziców, zupełnie jakby w minionych miesiącach nic się nie wydarzyło.

Wieczorem, kiedy Janusz poczytał jej trochę, pocałował na dobranoc i zamierzał już wyjść z pokoju, spytała cichutko:

– Tatusiu, czy naprawdę nie możemy do ciebie wrócić?

Serce mu się ścisnęło na te słowa. Usiadł znów przy niej i pocałował w czubek głowy.

– Julka... – zaczął, nie bardzo wiedząc, co ma dalej mówić. – Pamiętaj, że ten dom zawsze będzie twój. I jeśli tylko mama się zgodzi, możesz tu być, kiedy tylko chcesz. I nigdy nie było inaczej – zapewnił.

Siedziała na łóżku, bacznie mu się przyglądając.

– Kotku – kontynuował – jakiś czas temu mama podjęła decyzję, że nie chce już tutaj mieszkać. Ale nie chodziło o to, że nie podobał jej się ten dom. Mama postanowiła, że nie chce mieszkać ze mną. Wolą mieszkać z wujkiem Piotrkim. Dorośli tak czasem mają, że dokonują różnych wyborów i zmieniają w swoim życiu różne rzeczy, wiesz? – Julka wzruszyła ramionami.

– Pokłóciliście się? – spytała.

– Nie – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– To dlaczego się wyprowadziłyśmy?

– To trudne, Julciu. – Znów pocałował jej włosy. – Mama myślała, że tak będzie lepiej.

– Dla kogo? Bo dla mnie było dużo gorzej. Wujek mnie nie lubił. I ja jego też.

– Skarbie, przez ostatnie pół roku trochę się zmieniło. Popatrz, ty mieszkasz teraz z mamą, a ja z Martą. Za jakiś czas weźmiemy ślub.

– Z mamą miałeś wziąć ślub – zauważyła.

– Tak, ale się nie udało. Tak po prostu wyszło.

– Lubisz ją?

– Kogo? Martę? – Pokiwała głową na znak, że o nią jej chodzi. – Bardzo. A ty ją lubisz? – Bał się odpowiedzi, czekał na nią z niecierpliwością.

– Lubię – Julka chyba nie była zazdrosna o miejsce Marty w życiu Janusza.

– To bardzo się cieszę, bo zamierzam spędzić z wami wspaniały tydzień. Gdybyście się nie lubiły, byłoby to trudne. – Nie mógł się powstrzymać przed kolejnym pocałunkiem. – Jutro jedziemy do dziadka. Co ty na to?

– Naprawdę? – Julia aż podskoczyła na łóżku i zarzuciła ojcu ręce na szyję.

Janusz wrócił do sypialni, delikatnie wsunął się pod kołdrę, by nie zbudzić Marty, ale ona wciąż jeszcze nie spała. Znowu ogarnął ją lęk. Strach, który odszedł po obiedzie, wrócił po ciemku ze zdwojoną siłą i nękał ją bezlitośnie. Kiedy więc tylko poczuła tuż przy sobie ciało Janusza, przylgnęła do niego i ogromnie się ucieszyła, gdy ją objął, pocałował i ukoił jej niepokój cudownym seksem.

*

Antoni na widok wnuczki wzruszył się do łez.

– Jak ty urosłaś, kochanie! – zawołał łamiącym się głosem i mocno ją uściśnął, a potem wycałował i zakręcił nią jak na -karuzeli.

– Dziadku, kłujesz! – Julka piszczała z radości, kiedy z nią wirował i przyciskał swój policzek do jej delikatnej twarzyczki. – Agata! A! I ciocia Grażynka! – Julia nie wiedziała, do której z nich przykleić się najpierw.

Janusz z Martą trzymali się nieco z boku, obserwując całą scenę. Bilski mocno ściskał dłoń narzeczonej i uśmiechał się raz po raz, a Marta przytuliła się do niego czule. W domu przy Puławskiej panował nastrój sielanki. Przy wspólnym stole do obiadu zasiadło sześć osób, z czego tylko dwie były ze sobą spokrewnione, co nie przeszkadzało im wcale tworzyć udanej rodziny. Takiej patchworkowej, można by rzec. Antoni żył z Grażyną prawdopodobnie zgodniej niż kiedykolwiek z Krystyną. W drugiej połowie życia znalazł wreszcie prawdziwy spokój i najprawdziwszą miłość. Dojrzałą, piękną, wyrozumiałą, łaskawą.

Janusz spoglądał też na Agatę, która wrosła już niemal na stałe w scenerię tego domu i była w nim na tyle rozeznana, że bez najmniejszych kłopotów przygotowywała obiad razem z Grażyną, a potem całkiem sprawnie pomagała przy sprzątanii ze stołu. Marta z Julką też krzątały się razem z nimi, toteż panowie zostali sami w salonie z kieliszkami koniaku w dłoniach.

– Jak Julka? – spytał Antoni. – Bardzo się zmieniła?

– Nie, jest prawie taka sama – odparł Janusz, z rozczuleniem zerkając do kuchni. – Tylko nie mogła zrozumieć, dlaczego nie może z Dorotą wrócić na Saską.

– Jak jej to wytłumaczyłeś?

– Pokrętnie. Co miałem jej powiedzieć? Że jej matka puściła mnie w trąbę i teraz nie chcę jej znać, bo mógłbym niechcący napluć jej w twarz? Albo wydrapać oczy?

Antoni ze zrozumieniem pokiwał głową i pociągnął łyk koniaku. Janusz uparcie wpatrywał się w swój kieliszek, potem na sekundę podniósł wzrok na ojca i znów zatopił go w al-ko-holu.

– Pięknie razem wyglądacie. Marta chyba naprawdę lubi Julkę – zauważył Antoni.

– Tak, one bardzo się lubią. Na szczęście... Kocham je obie – dodał Janusz po chwili.

– Może dogadasz się jakoś z Dorotą, żeby pozwoliła ci częściej widywać się z dzieckiem? Mam nadzieję, że to nie jest jednorazowe spotkanie?

– Nie wiem, tato – przyznał Janusz. – Chciałbym, żeby pozwoliła na więcej.

Antoni poklepał go pocieszająco po ramieniu.

Dziewczyny wróciły z kuchni z parującymi filiżankami kawy i usadowiły się przy swoich mężczyznach. Agata zajęła pusty fotel, a Julia pobiegła za Bidą do drugiego pokoju.

– O czym plotkowaliście? – ze śmiechem zapytała Grażyna. – Pewnie o nas?

– Też. O naszych miłościach – Antoni puścił do niej oko.

– Czyli o nas – odpowiedziała sobie.

– No wiesz, nie tylko ciebie w życiu kochałem... – drażnił się z nią, na co ona szturchnęła go łokciem.

– To powiedz mi, ile kobiet w swoim życiu kochałeś? I za co?

– A ty nie wiesz, że kocha się za nic? – Antoni sądził, że wymiga się w ten sposób od odpowiedzi.

– Nie zgadzam się, że kocha się za nic – zaprotestowała Grażyna. – Tylko miłość rodziców do dziecka i odwrotnie może być za nic. Jedynie rodzic może bezinteresownie kochać rozpuszczone, leniwe i niewiele warte własne dziecko i jedynie dziecko może kochać bezinteresownie swojego wiecznie pijanego i pastwiącego się nad nim rodzica. Każda inna miłość jest za coś. Za pieg na nosie, ciepły dotyk, pachnącą kawę z rana, za dołeczek w policzku... – mówiąc to, spojrzała na Martę i uśmiechnęła się do niej, Janusz zaś pochylił się ku narzeczonej i pocałował w ten dołeczek.

– Tak, tylko dziecku przysługuje miłość bezinteresowna. – Agata włączyła się do rozmowy. – Na każdą inną trzeba solidnie zapracować. A ile potem się namęczyć, żeby jej nie zepsuć...

– Masz jakieś wieści od Mateusza? – Januszowi nie wiadomo czemu nasunęło się skojarzenie z przyjacielem.

– Odkąd wszystko zepsuł, to nie – Agata powiedziała to całkiem swobodnie, czym nieco rozładowała zbudowany przez Grażynę nastrój powagi i od razu zrobiło się luźniej i weselej.

Przed kolacją Agata wymknęła się z Martą z Puławskiej, by do woli mogły sobie poplotkować. Nie widziały się od trzech tygodni, czyli w ich przypadku zdecydowanie za długo. Żadna rozmowa telefoniczna nigdy nie zastąpi babskich pogaduszek twarzą w twarz, z winkiem w rękę.

Agata zaprosiła przyjaciółkę do swojego mieszkania. Usadowiły się najpierw przy kuchennym stole, Marta jednak nie mogła usiedzieć w miejscu i po kilku chwilach podeszła do okna.

– Agata! – zawołała z zachwytem. – Czy ty wiesz, jaki ty masz widok za oknem?

– Mówią, że ładny – odparła.

– Boże! – zachwycała się Marta. – Czerwone dachy kamienic i kościoła, a dalej wysoki zamek.

– Ciebie to jeszcze fascynuje? Przecież to twoje miasto – Agata nie bardzo rozumiała żywiołowego zachwyty przyjaciółki.

– Z mojego domu widać tylko pola i łąki, a tu jest cudownie!

– Wina?

– Koniecznie! – zawołała Marta.

– Jak ci tam w narzeczeńskim stanie? – spytała Agata, gdy znowu obie usiadły przy winie.

– Chyba jestem do niego stworzona – odparła. – Janusz jest cudowny... – rozmarzyła się. – A jak tobie się tu żyje?

– Jestem gotowa zapuścić tutaj korzenie. Nie chcę zapeszać, ale jest dobrze. Grażyna z Antonim bardzo mi pomagają, a praca – chyba naprawdę się do niej nadaję.

– A Mateusz?

– Nie ma Mateusza – szybko odparła z nutką nostalgii.

– Nie uważasz, że jesteś zbyt surowa? Nie docenił cię, zrobił błąd, ale przecież się pokajał. Myślę, że on się w tobie zakochał, a jeśli nawet to nie była miłość, to na pewno bardzo poważnie zawróciłaś mu w głowie.

– Nie wiem, może masz rację... – Agata zadumała się na chwilę.

– Przecież wiem, że on tobie też nie był obojętny.
– Zranił mnie i to go dyskwalifikuje. – Agata była nieprzejednana. – Może to po prostu nie było to.
– A skąd to wiesz?
– To się czuje. A dlaczego ty nie chciałaś Rafała?
– Bo to był leń i drań. A Mateusz to wykształcony, pracowity, poukładany i porządny facet.
– A dlaczego nie chciałaś Roberta? – Agata dalej wyliczała jej byłych facetów.
– O, to nie tak! – broniła się Marta. – Roberta to właściwie chciałam. To dobry chłopak. Tylko miał to nieszczęście, że pojawił się Janusz.
– Janusz, moja droga, pojawił się znacznie wcześniej, ale jakoś nie zwracał na ciebie uwagi...
– ...bo się żenił – dokończyła z niezadowoleniem Marta. – I czasem sobie myślę, że moje życie w gruncie rzeczy zależy od tej Doroty. Obca baba zdecydowała o tym, z kim jestem. Gdyby nie odeszła od Janusza, pewnie byłabym nadal z Robertem.
– A teraz? Nie masz wrażenia, że jakby wróciła?
– Nawet tak nie mów! – krzyknęła.
Niestety Marta wiedziała, że Agata może mieć rację. I to psuło jej humor.

*

Ferie mijały w świetnej atmosferze. Julia wniosła do życia najbliższych tyle radości, że Janusz po cichu zaczynał obmyślać plan, jak przekonać Dorotę do częstszych wizyt córki. Tymczasem oddawał się beztroskim zabawom, dotrzymując córce kroku w psotach i figlach. Śniegu wciąż nie było, musieli więc znaleźć inny atrakcyjny sposób na spędzanie zimowego czasu. Spacerów po Kazimierzu owszem, odbywali, ale w ogólnej szarzyźnie mrocznych dni nie były one tak przyjemne jak latem. Dlatego Janusz zaordynował wycieczkę. Najpierw wpadł na pomysł, by pojechali do bałtowskiego JuraParku, potem jednak zmienił zdanie i wybrał Nową Dębę, gdzie postanowił zafundować Julce warsztaty malowania ozdób choinkowych. Kiedy tylko podzielił się swoim pomysłem z córką, ta wpadła w zachwyt i zaczęła go całować, skakać i pisać z radości. Marta także była bardzo ciekawa tych zajęć, a i Grażyna nieśmiało spytała, czy może się z nimi zabrać. Antoni jakoś nie przejawiał szczególnego zainteresowania, został więc w domu, obiecując, że będzie czekał na nich z pyszną kolacją.

Janusz na wszelki wypadek zadzwonił jeszcze do fabryki bombek, by się upewnić, czy nie wybierają się na darmo i czy na pewno załapią się na warsztaty.

Wyjechali z Kazimierza o ósmej rano i dotarli na miejsce po nieco ponad dwóch godzinach. Po drodze dziewczyny urządziły sobie w aucie istic królewskie śniadanie, niekoniecznie dbając o stan skórzanej tapicerki. Grażyna wzięła ze sobą termosy z kawą i herbatą, kanapki z wędliną, serem oraz warzywami i hojnie obdzielała nimi współtowarzyszy podróży. Bardzo jej odpowiadało, że jej rodzina nagle tak znacząco się powiększyła, i nie miało znaczenia to, że jest to sytuacja przejściowa, a rodzina bardzo przyszywana. Pozwoliła sobie marzyć, że Janusz z Martą i Julką mimo wszystko będą jednak częstymi gośćmi w jej progach.

Janusz raz po raz zerkał z uśmiechem we wsteczne lusterko i przyglądał się matkującej wszystkim Grażynie. Nie dała sobie wytłumaczyć, że dziś już nie ma potrzeby, by zabierać w podróż taką ilość prowiantu, bo całkiem nieźle można zjeść coś po drodze.

– Dobra, dobra – mówiła. – Znam ja te fast foody. Nic nie zastąpi porządnego domowego jedzenia.

– Też tak uważam – odezwała się Julka, wpychając kolejny kęs bułki do buzi.

Po dziesiątej wjechali na parking przed fabryką i zaparkowali obok turystycznego autokaru. Julia najchętniej od razu pobiegłaby do środka, kazano jej jednak poczekać, aż reszta wycieczki będzie gotowa. Najdłużej gramoliła się Grażyna, ponieważ musiała pochować do toreb termosy i uprzątnąć papierki po kanapkach. W końcu ruszyli na spotkanie z przygodą. W każdym razie Julka tak to wszystko odbierała, natomiast jej ojciec, Marta i ciocia Grażynka byli nieco mniej zaaferowani. Weszli do sporego budynku, który od drzwi aż po przeciwległą ścianę pełen był ozdób choinkowych, a także przystrojonych choinek. Chociaż Boże Narodzenie już dawno minęło, w tym miejscu atmo-sfera świąt utrzymywała się przez cały rok; w przyzakładowym sklepie można było kupić bombki też przez dwanaście miesięcy.

– Wow! – na widok pstrokatej masy ozdób na ścianach Julka wydała z siebie okrzyk zachwytu.

– Ożeż ty... – jęknęła także Grażyna, której artystyczne oko było bardzo wyczulone na kształty i barwy.

Wszyscy stali w osłupieniu, nie wiedząc, od czego rozpocząć zwiedzanie hali. Z pomocą przyszedł im pracownik firmy, który poinstruował ich o obowiązujących zasadach.

– Proszę zdjąć kurtki i powiesić na wieszakach. – Wskazał ręką odległy kąt, gdzie piętrzyły się inne okrycia. – Potem zapraszam pod tamte drzwi. Tam dołączą państwo do grupy zorganizowanej i z nią proszę poruszać się dalej.

Posłusznie wykonali polecenie, przez cały czas zachłannie rozglądając się dookoła i nie mogąc oderwać oczu od tych wielobarwnych lśniących wspaniałości. Podeszli wreszcie do nietypowych wymiarów stołu pokazowego, za którym siedział młody chłopak i wydmuchiwał ze szklanych rurek okrągłutkie bombki. Obok stała kobieta i objaśniała każdy kolejny etap produkcji takiej ozdoby. Zarówno Julka, jak i reszta przyglądali się i słuchali jak zahipnotyzowani. Kiedy nastąpiła demonstracja srebrzenia bombek, dziewczynka po raz kolejny wydała okrzyk zachwytu i podekscytowana ścisnęła Grażynę za rękę. W tej fabryce one obie były chyba najbardziej pochłonięte tym, co im pokazywano.

Po pokazie dmuchania grupę zaproszono do sali, w której trwał proces dekorowania ozdób. Kilka kobiet w kitlach siedziało pośród farb, klejów oraz brokatów, wykonując żmudną i precyzyjną pracę. Dzieciaki z grupy, do której dołączyli, z ogromnym zainteresowaniem zaglądały kobietom przez ramiona, żywo komentowały i nie mogły się nadziwić, że to wszystko jest takie piękne. Wreszcie grupa wyszła z sali, ale ekipa Janusza jeszcze w niej pozostała. Głównie z powodu Grażyny, która wdała się w żywą rozmowę z pracownicami. Wszak wszystkie były artystkami.

Po wyjściu z sali podeszli do ogromnego drewnianego stołu o trudnym do

określenia kształcie, pośrodku którego wyrastało wysokie, smukłe drzewo o całej koronie opasanej czerwonymi lampkami choinkowymi. Przy tym stole dzieci odwiedzające fabrykę dekorowały własne bombki. Poprzednia grupa właśnie odchodziła od niego, zrobiło się więc luźno i Julka oraz jej najbliżsi przystąpili do pracy. Każdy dostał dużą bombkę i mógł ją przystroić wedle własnej fantazji. Do dyspozycji mieli kleje, brokaty i pędzle. Wszyscy bawili się setnie, malując własne cuda, ale tak naprawdę jedynie Grażyna tworzyła sztukę. Reszta była raczej kiczem, lecz nikt się tym nie przejmował.

Julka próbowała klejem wymalować postać Bidy, a wyszedł jej raczej krzywy koń lub osioł. Posypała go obficie srebrnym brokatem i w końcu zamiast srebrnej Bidy wyłonił się srebrny koń. Janusz nie wysilił się specjalnie: cienkim pędzlem wysmarował na czerwonej bombce aktualną datę i posypał ją złotym brokatem. Marta z kolei wyczarowała z brokatu kilka serduszek w różnych kolorach. Grażyna za to malowała klejem esy-floresy, zachowując symetrię, dzięki czemu wyszły jej naprawdę piękne wzory. Kiedy obsypała swoją bombkę brokatami, Julka westchnęła z zazdrości.

– Wow! Jakie to cudne, ciociu!

Grażynie było mało, więc poprosiła o kolejną bombkę. Tym razem obróciła się za siebie i szybko wybrała jeden z wielu wiszących na ścianie modeli. Zerkając co chwilę na niego, przenosiła wzór na swój egzemplarz. Zwinnymi ruchami pędzla stworzyła jakies wzgórze, posypała je srebrnym brokatem, potem wykonała znów kilka machnięć klejem i niebieskim brokatem, na koniec jeszcze dwa pociągnięcia pędzlem i jeszcze raz srebrny brokat. Wreszcie oczom oglądających ukazał się kościół na ośnieżonym wzgórzu.

Kiedy już nasycili się zdobieniem, wyruszyli na zwiedzanie całej ekspozycji. Bombki były wszędzie, wypełniały ściany od podłogi na wysokość co najmniej dwóch metrów, leżały też w wielu gablotach. Ułożone według kolorów, wielkości, kolekcji, kształtów. Wymalowane we wszystkie wzory świata – kwiatki, kropki, kreski, krzyżyki. Piękne były wszystkie, ale prawdziwy majster-sztyk stanowiły te zrobione na podobieństwo jaj Fabergé, misternie zdobione farbami, brokatem, perełkami i dżetami. Julka bezustannie coś pokazywała, odwracała się z zachwytem do Grażyny i żywo z nią dyskutowała. Marta z Januszem też byli zainteresowani, ale chyba nieco mniej.

Ostatnim etapem wycieczki była długa wizyta w przyzakładowym sklepie. Janusz tu już się poddał i uciekł do auta, pozostawiając dziewczyny buszujące między półkami. Nie mogły się zdecydować, co kupić, wkładały do koszyka różne bombki, potem je wyjmowały, bo trafiały na jeszcze ładniejsze i niejednokrotnie wracały po te porzucone. W sklepie zostawiły fortunę. W siatce Marty znalazła się wielka bombka do stojaka, kilka kompletów dużych nietuzinkowo zdobionych, cała gama drobnych bombek kupowanych na sztuki, świecznik świąteczny, no i oczywiście nie mogła się powstrzymać przed kupnem jaja Fabergé. Było wielkości indyczego jaja, najtańsze kosztowało siedemdziesiąt złotych, ale żadna inna ozdoba nie mogła się z nim równać pod względem urody i unikatowości.

Grażyna też kupiła niemało. Wzięła między innymi bardzo elegancki komplet sześciu dużych bombek w kolorze lśniącej czerni z elementami złotego brokatu. Kiedy Janusz zobaczył, jak obładowane wychodzą ze sklepu, złapał się za głowę, a potem miał spory problem, by ułożyć w bagażniku wszystko tak, by nic się nie potłukło.

– Oszalałyście – skomentował wreszcie. – Skąd weźmiecie takie duże drzewka, by pomieściły te skarby?

W drodze powrotnej zatrzymali się w Sandomierzu. Julka znów piszczła z radości, widząc te same ulice, którymi co czwartek pędził na rowerze jej ulubiony serialowy bohater. Wyraziła wielką nadzieję, że może trafią akurat na kręcenie kolejnego odcinka popularnego telewizyjnego serialu, ale tyle szczęścia niestety nie miała.

Obiad zjedli w hotelowej restauracji przy rynku, z widokiem na ratusz. Dzień był tak obfity w atrakcje i emocje, że Julia długo wieczorem opowiadała dziadkowi, jakie cuda widziała, i z tej ekscytacji aż nie mogła zasnąć.

Rozdział 16

Tydzień spędzony z Julką niestety minął szybko, na szczęście Dorota ugięła się pod jękami małej i kupiła jej komórkę, która służyła dziewczynce wyłącznie do częstych rozmów z ojcem.

Z początkiem marca Janusz zadzwonił do Doroty i umówił się z nią we włoskiej knajpce, gdzie czasem jadał lunch w przerwie w pracy. Zdziwił się nieco, ponieważ sądził, że przekonanie jej do tego spotkania nie będzie łatwe, tymczasem zgodziła się bez wahania.

– Dziękuję, że zechciałaś przyjść. – Tym razem był dużo bardziej uprzejmy niż poprzednio. – Na co masz ochotę? – spytał, gdy podeszła do nich kelnerka.

– Przejdźmy do rzeczy. – Dorota wciąż była sobą i szybko narzuciła oficjalny ton rozmowy.

– Okej – zgodził się na jej warunki. – Powiedz, co z Julką? Co mówi psycholog?

– Jeszcze nie byliśmy na kolejnej wizycie, ale już widzę, że jest lepiej. Zrobiła się spokojniejsza i na razie nie ma żadnych skarg ze szkoły.

– To dobrze. – Janusz poprawił się na krześle i oparł łokcie o stół. – A teraz powiedz mi szczerze: sądzisz, że ta zmiana ma związek z tygodniem spędzonym u mnie?

Dorota chyba zastanawiała się nad odpowiedzią, bo przez chwilę milczała. Wreszcie spojrzała mu odważnie w oczy i przyznała:

– Myślę, że tak. Julka jest radosna i co wieczór opowiada mi, o czym rozmawiacie przez telefon.

– Posłuchaj, Dorota... – zawahał się. – Kocham to dziecko, chyba wiesz o tym?

– Tak – potwierdziła. – Wiem, że zawsze ją kochałeś.

– I nadal kocham – zapewnił. – Dlatego zależy mi na tym, żeby była szczęśliwa.

Nie chcę się z tobą kłócić, ale muszę ci coś wreszcie powiedzieć. Nam nie wyszło, wybrałaś inne życie, trudno... Sądzę, że dokonując tego wyboru, kierowałaś się tylko własnym interesem. Pozwól mi dokończyć – wtrącił, widząc, że ona już otwiera usta, by się bronić. – Że nie myślałaś wtedy o mnie, to nawet rozumiem. Ale że nie przejęłaś się własnym dzieckiem, to jest karygodne. Ja sobie jakoś radzę, jak widzisz. Ty chyba też. Ale Julka ciągle ponosi konsekwencje twoich decyzji. Gdybyśmy pobrali się wcześniej, a teraz rozwiedli, miałbym prawo do widywania się z córką. Niestety, wszystko potoczyło się inaczej, uważam jednak, że ze względu na nią mimo wszystko powinniśmy się dogadać... – zawiesił głos.

– O czym ty mówisz?

– Przyznaj mi prawo widywania się z Julką. Chyba tyle możesz dla niej zrobić? Ustalmy dni i godziny wizyt. Mogę po nią przyjeżdżać do ciebie, a potem odwozić. Może spędzać u mnie weekendy, i nie tylko. Chcę partycypować w kosztach jej utrzymania i kształcenia.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Myślisz, że pozwolę obcej kobiecie wychowywać moje dziecko?! – syknęła, mając na myśli Martę.

– A wujek Piotr mógł ją wychowywać?! – odparował. – Spróbujmy zachowywać

się tak, jakbyśmy byli po rozwodzie. Uważam, że dwoje rozsądnych ludzi potrafi się dogadać, jeśli tylko chce. Ja chcę, a ty?

– To nienormalne – stwierdziła po namyśle Dorota. – Jaki facet chciałby łożyć na nie swoje dziecko?

– Kochający. – Spojrzał jej głęboko w oczy. – Co o tym myślisz? Wydaje mi się, że to rozsądna propozycja. W obecnej sytuacji chyba najlepsza.

– Nie wiem – powiedziała. – Muszę się zastanowić, ale nie liczę na wiele.

– Chcesz mi zrobić na złość? Naprawdę cię nie rozumiem... – przyznał. – To po co do mnie dzwoniłaś przed feriami? Żeby mi ją podrzucić i swobodnie pilotować jakąś wycieczkę? Tylko o to ci chodziło? Miałem nadzieję, że w końcu zaczęłaś myśleć o Julce, ale jak zwykle ty jesteś najważniejsza.

Dorota wstała od stolika. Rozmowa była skończona.

– Cześć – powiedziała ostro i szybko wyszła, by nie zdążył jej zatrzymać.

Janusz miał rację. Dorota wiedziała o tym doskonale, ale nie zamierzała przyznawać się przed nikim do własnych błędów. Przez całe życie raczej szła w zaparte, niż potwierdzała własne pomyłki. Trudno jej było uznać swoją winę nawet przed samą sobą, a co dopiero przed innymi. Wiedziała jednak, że decyzja o odejściu od Janusza przyniosła same złe następstwa. Od tamtego czasu w jej życiu nie wydarzyło się nic dobrego. Początkowa fascynacja Piotrem to jedyne, co dostarczyło jej radości. Ale i to uczucie szybko wygasło i szczęścia jej raczej nie przyniosło. Dwoje dorosłych ludzi dało się porwać namiętnościom i żądzom, niszcząc przy tym świat dookoła.

Dopóki Dorota grała na dwa fronty, wszystko układało się fantastycznie. Piotr był wtedy czuły, kochający i taki cudownie inny niż Janusz. Decyzja o odejściu od Bilskiego zapoczątkowała całą serię kłopotów. Okazało się bowiem, że życie z Piotrem i Julką pod jednym dachem było chwilami wręcz nieznośne – on nie miał najmniejszej ochoty wychowywać cudzego dziecka, a ono nie zamierzało nawet dać mu szansy na ułożenie jako takich relacji. Zarówno Dorota, jak i Piotr dużo pracowali, a Julia zakłócała im rytm zajęć, bo przecież należało zaprowadzić ją do szkoły, a później odebrać, przygotować obiad, odrobić z nią lekcje, znaleźć czas na zabawę. Dorota zachodziła w głowę, jak to możliwe, że Janusz wcześniej wszystko tak świetnie organizował.

Czar prysł. Wielka miłość kwitła, dopóki była skrzętnie trzymana w tajemnicy. Kiedy natomiast w końcu wyszła na światło dzienne, przestała w ogóle istnieć, rozplynęła się jak w oparach mgły i znikła zupełnie. A potem proza życia dopadła Dorotę bardzo dotkliwie i teraz właściwie nie radziła sobie już z niczym. Najchętniej wróciłaby na Zakopiańską, lecz w obecnych okolicznościach nie istniała na to szansa. Może gdyby u boku Janusza nie było tej sąsiadeczki... Niestety, wszystko wskazywało na to, że ona zadomowiła się u niego już na dobre.

Dorota myślała głównie o sobie. Zastanawiała się, w jaki sposób chociaż częściowo powrócić do stanu sprzed pół roku, by znów móc swobodnie zająć się pracą. Wszystko byłoby dużo łatwiejsze, gdyby nie ta Marta... Janusz z pewnością przyjąłby powrót jej i Julii z wielką radością. Znała go przecież doskonale i wiedziała, że ona i dziecko są dla niego bardzo ważne. Tylko ta cholerna Marta!

Agata klęczała w kuchni na podłodze i obiema dłońmi uważnie badała każdą deskę.

Zdawało jej się, że przeszukała już każdy centymetr podłogi, ale po zgubionym złotym kolczyku wciąż nie było ani śladu. Wpełzła po raz drugi pod stół i w skupieniu sprawdzała miejsca wokół drewnianych nóg. Ciszę panującą w całym domu rozerwał nagle głośny dźwięk komórki. Agata tak się go wystraszyła, że gwałtownie podniosła głowę i uderzyła nią o blat stołu. Odruchowo przyłożyła rękę do stłuczonego miejsca i wtedy przeszył ją kolejny silny ból. Tym razem wierzchem dłoni przejechała po spodniej części blatu i poczuła, jakby coś rozdarło jej skórę. Zaklęła siarczyście i oparłszy plecy o nogę stołu, usiadła i ścisnęła bolącą dłoń. Telefon wciąż dzwonił, oznajmiając, że to Grażyna. Agata straciła na chwilę poczucie orientacji i jak zbity pies siedziała wciąż pod stołem. Chciało jej się płakać. Komórka wreszcie zamilkła.

W końcu na czworakach wypełzła spod stołu. Namacała kant blatu, chwyciła się go i powoli wstała. Pamiętając o zgubionym kolczyku, ostrożnie sunęła stopami po podłodze, by go nie rozdeptać. Doszła do zlewu i odkręciła wodę. Czowała, że jej dłonie są brudne, nadusiła więc dozownik z mydłem i zaczęła je starannie myć, po chwili jednak syknęła z bólu. Pod skórą miała prawdopodobnie wbłą drzazgę. Opłukała dłonie z mydła i delikatnie osuszyła je ścierką. Doszła do wniosku, że sama sobie nie poradzi, powoli przeszła więc do pokoju, gdzie sięgnęła po komórkę i oddzwoniła do Grażyny.

– Cześć, Agatko – malarka odebrała już po pierwszym sygnale. – Nie przeszkadzam ci? Jak ty, dziecko, jutro pracujesz? Masz wolne popołudnie? Bo jeśli tak, to może wpadłabyś do nas na obiad? Antoni ukręci maku, a ja zrobię do niego kluski. Co ty na to? – Ponieważ Grażyna mówiła jednym tchem, Agata nie miała możliwości wstrzeć się z odpowiedzią na którekolwiek z pytań. Wyczekała aż do końca i dopiero wtedy się odezwała.

– Chętnie. Jutro mam wolne, ale dziś potrzebuję pomocy. Zechce pani do mnie przyjść?

Grażyna bardzo się zdenerwowała, słysząc te słowa, na szczęście Agata zaraz ją uspokoiła, wyjaśnwszy, o co chodzi. Pół godziny później już otwierała jej drzwi.

– Bardzo dziękuję, że zechciała pani przyjść – powiedziała z lekkim zażenowaniem. – I przepraszam, że panią fatygowałam...

– Daj spokój, dziecko! – Grażyna, jak zwykle tryskając energią, weszła do środka.

– Stop! – krzyknęła Agata, usłyszawszy, że jej gość wybiera się do kuchni. – Tam gdzieś leży mój kolczyk, właśnie go szukałam i tak paskudnie się poobijałam.

– Aha, to po kolei – zadysponowała Grażyna. – Najpierw zajmijmy się tobą.

Zdjęła płaszcz i buty, torebkę rzuciła z daleka do pokoju, celując w kanapę. W mieszkaniu od razu zrobiło się gwarno i wesoło.

– Pokaż tę rękę! – Malarka założyła okulary wyciągnięte z kieszeni swetra i głośno syknęła na widok rany. – Gdzie masz pęsetę?

– Nie mam – odparła Agata.

– No jasne – zreflektowała się Grażyna. – Niby co byś miała nią robić?

– Właśnie – potwierdziła Agata.

– No to igłę...

– Niestety...

– W takim razie wzywamy pogotowie. – To był żart, który poszkodowana pojęła

dopiero po chwili i roześmiała się równie głośno jak jej wybawicielka.

– A co mi się właściwie stało, pani Grażynko? Bo jakoś tak patrzę i patrzę, i nic nie widzę – Agata śmiała się z samej siebie.

– Duża i brzydka zadra weszła ci głęboko pod skórę. Pęseta załatwiłaby sprawę, ale w tej sytuacji będziemy musiały przejść się do mnie. Boli? – spytała z troską.

– Jak nie dotykam, to nie – odparła.

– A wodę utlenioną albo spirytus masz?

– Tak, wodę mam. Jest w łazience, przyniosę.

– To ja przyniosę. – Grażyna była już w drodze. – Gdzie? W szafce?

– Tak. Górna półka.

Po chwili miejsce z zadra zostało zdezynfekowane wodą utlenioną, a Grażyna z czeluści swojej dużej kolorowej torby wyjęła plastry, które nosiła na wszelki wypadek, na przykład gdyby obcierały ją buty.

– Dobra, teraz się ubieraj i pójdziemy do mnie – zaordynowała, kiedy już zakleiła ranę.

– A może zanim wyjdziemy, pomoże mi pani znaleźć kolczyk? – Agata czuła się trochę niezręcznie, zmuszając Grażynę do czołgania się po podłodze.

– Nie ma sprawy – odrzekła artystka i już dokładnie penetrowała deski. – A jak on wygląda? Opisz mi go.

– Hm, to nie takie łatwe... – bąknęła Agata, mimo wszystko podjęła wyzwanie. – Mały, złoty sztyft z niewielkim szmaragdem.

Nie potrafiła opisać go precyzyjniej, na szczęście przypomniała sobie, że na stole leży drugi kolczyk. Sięgnęła po niego.

– Taki... – Na otwartej dłoni podała go Grażynie.

Poszukiwanie zajęło sporo czasu. Okazało się, że kolczyk potoczył się pod kuchenkę gazową i został znaleziony niemal przypadkiem. Grażynie zabrakło już pomysłów, gdzie jeszcze by tu zajrzeć, i bez większej nadziei na sukces ręką drewnianej łyżki machnęła jeszcze na oślep pod meblami. Spod kuchennych szafek wygarnęła parę kłębków kurzu, a spod kuchenki wytoczył się kolczyk. Był cały, jedynie lekko przykurzony.

– Ha! – zawołała Grażyna. – Mam go!

– Dziękuję pani bardzo. – Agata przyklękła obok kuchenki i po omacku odnalazszy twarz swojej wybawicielki, cmoknęła ją z radości w policzek.

– No, to teraz możemy już iść – oznajmiła artystka, z trudem podnosząc się z podłogi i otrzepując kolana oraz dłonie.

Jakieś trzydzieści minut później były już na Puławskiej.

– Zdejmuj kurtkę i się rozgość, a ja zaraz zorganizuję jakieś narzędzia. – Grażyna roztarła zmarznięte dłonie i popędziła do łazienki.

– Cześć, Agatko! – Antoni z uśmiechem wyciągnął do niej rękę, by odebrać okrycie. – Co to za wypadek ci się przytrafił? Będziesz żyła? – zażartował.

– No, tak myślę. – Agata próbowała odpowiedzieć w równie lekkim tonie, lecz nie wiedzieć czemu, robiło jej się coraz smutniej.

Grażyna umyła ręce i podeszła do niej z igłą, pęsetą i spirytusem salicylowym.

Najpierw odkleiła plaster i przyjrzała się ranie przez zsunięte na czubek nosa okulary. Drzazga tkwiła głęboko i była długa, ale raczej nie stanowiła żadnego zagrożenia. Agata krzywiła się trochę przy jej podważaniu igłą i wyciąganiu pęsetą, jednak dzielnie wytrzymała do końca. Gdy Grażyna podczas tej operacji kilkakrotnie spojrzała na nią znad okularów, poza niewielkim grymasem bólu na twarzy dostrzegła czające się pod powiekami łzy. Nie sądziła, by ich powodem była zadra. W milczeniu wykonała zabieg, na koniec przemyła rozdartą skórę spirytusem, osuszyła wacikiem i zakleiła świeżym plastrem. Jednocześnie kiwnęła Antoniemu głową, by zniknął z pola widzenia. Początkowo jej nie zrozumiał i uniósł brwi zdziwiony, machnęła więc zdecydowanie ręką, jakby próbowała go przegonić. Jednocześnie posłała mu też piękny przeprasający uśmiech. Wreszcie chyba pojął jej intencje, bo pomaszerował na górę, dzierżąc pod pachą plik gazet i kubek z herbatą w dłoni.

– Dziękuję – odezwała się Agata po skończonej operacji. – Bardzo pani dziękuję.

– Agatko, coś ci dolega, prawda? – Grażyna była niezwykle spostrzegawcza i jednocześnie troskliwa.

– Nie, nic mi nie jest.

– Jeśli nie chcesz mówić, okej, rozumiem, ale nie kłam. – Malarka przeszła do kuchni i wyjęła z lodówki napoczętą butelkę białego wina. – Napijesz się ze mną winka?

– W sumie... chętnie – w głosie Agaty było lekkie wahanie.

Grażyna usiadła naprzeciw niej, nalała wina do kieliszków, po czym dotknąwszy szklaną nóżką dłoni Agaty, podała jej lampkę.

– Mężczyzna? – artystka próbowała dociec przyczyny stanu dziewczyny.

– Skąd taki pomysł? – Wyglądało na to, że niechcący rozbawiła Agatę, która wreszcie szczerze się uśmiechnęła.

– A nie? – malarka była wyraźnie rozczarowana. – Myślałam, że młode dziewczyny często miewają takie problemy.

– Pani Grażynko, proszę sobie wyobrazić, że mnie to nie dotyczy. Jakoś, o dziwo, nawet nie widzę żadnego faceta na horyzoncie. – Agata znów się roześmiała.

– Coś cię jednak gryzie – Grażyna nie dawała się zbyć.

Agata opuściła głowę i lekko zakołysała kieliszkiem. Zanim odpowiedziała, pociągnęła łyk wina, westchnęła i zamyśliła się, przygryzając wargę. Potem głośno wypuściła powietrze z płuc i znów upiła trochę wina. Grażyna dołała jej jeszcze i cierpliwie czekała, aż dziewczyna wyrzuci z siebie to, co ją gryzie. Nie było to łatwe, bo w zasadzie trudno jednoznacznie nazwać jej problem. Był niesprecyzowany, a może nawet wydumany, w każdym razie nienamacalny. Chodziło raczej o pewien niepokój duszy, który kielkował w Agacie od pewnego czasu i wreszcie nabrzmiał do bólu. Przez prawie dwadzieścia lat życia rodzice uczyli ją samodzielności i robili wszystko, by wychować ją na silną, pewną siebie i wartościową kobietę. Przez ostatnie pięć lat próbowała sobie udowodnić, że ich wszystkie wysiłki nie poszły na marne i że radzi sobie doskonale. Właściwie była tego nawet pewna, a pewność tę przypieczętowało zdobycie upragnionej pracy. Lecz wystarczył jeden drobny incydent ze zgubionym kolczykiem, by Agata dotkliwie się przekonała, że zawsze będzie miała pod górkę. Cokolwiek w życiu osiągnie, przyjdzie jej to z większym trudem niż innym ludziom. Wszystko będzie

okupione co najmniej podwójnym wysiłkiem, a porażki czyhać będą na każdym kroku. To, co dla innych jest drobnostką, dla niej będzie wyzwaniem. Każde przejście pieszo po mieście, zakupy w samoobsługowym, a nawet zwykle posprzątanie mieszkania. Dla ludzi jest to błahostka, dla niej wielki wyczyn.

Co spowodowało, że nagle zaczęła wątpić w siebie i nie dowierzać własnym możliwościom? Stan ten pojawił się u niej niedługo po odtrąceniu Mateusza. To wtedy właśnie straciła stabilność i zaczęła się huśtawka emocjonalna, ostatnio doskwierająca coraz bardziej i burząca spokój, na który ciężko pracowała przez ćwierć wieku, czyli całe życie. Swoje zrobiła też zapewne przeprowadzka do zupełnie obcego miejsca, odseparowanie od przyjaciół i znajomych, a także – paradoksalnie – praca, w której starała się wypaść jak najlepiej, co również przysparzało jej wiele stresu. To wszystko razem się nawarstwiło i spowodowało, że Agata straciła sterowność.

– Nie panuję nad swoim życiem. Nie mam nad nim kontroli – wyrzuciła z siebie wreszcie i poczuła ulgę. – Niczego nie jestem już pewna.

– A kiedyś byłaś? – spytała Grażyna.

– Tak – odparła z przekonaniem. – Kiedyś wiedziałam, czego chcę, i śmiało do tego dążyłam. Dziś niczego nie wiem.

– To chyba oznacza, że gdzieś po drodze zrobiłaś fałszywy krok, masz wątpliwości co do któregoś?

– Sama nie wiem... Co mogłam zrobić źle? Skończyłam studia, przeprowadziłam się tam, gdzie dostałam pracę – wymieniała. – Tylko tyle. Nic więcej...

– A ten chłopak, o którym tak gorączkowo rozmawiałaś z Martą? – Grażyna parę razy słyszała, jak Agata przez telefon wymienia uwagi z przyjaciółką i żarliwie zarzeka się przed czymś.

– Mateusz? – zdziwiła się Agata. – To pomyłka.

– Na pewno? – Grażyna zorientowała się, że chyba właśnie doszły do sedna problemu.

– Kiedyś, przez krótką chwilę, miałam nadzieję, że jest inny niż reszta facetów, ale się pomyliłam. Wyparł się mnie i uciekł – powiedziała z nieskrywanym żalem i przełknęła kolejny łyk wina.

– Kochana! – wykrzyknęła Grażyna, poklepując ją po kolanie. – Wszyscy mężczyźni są tacy sami. To nasze zakochanie sprawia, że widzimy ich innymi, niż są. W gruncie rzeczy oni wszyscy są do siebie podobni, a na pewno podobnie myślą. Trochę jakby... – zadumała się, szukając odpowiednich słów – ...zerojedynkowo. U nich wszystko jest albo czarne, albo białe. Nie ma nic pośrodku. A u nas, sama wiesz, cała paleta barw i odczuć. Może dlatego się nie dogadaliście? I może warto spróbować jeszcze raz? – zasugerowała.

– Wstydział się mnie – wyznała z trudem Agata. – To jak mogłabym być z kimś takim?

– A jeśli popełnił błąd i wie o tym? Jak ma się zrehabilitować, skoro nie chcesz o nim słyszeć?

– Nic z tego – odparła Agata, wzruszając ramionami. – Już za późno... Przepadło...

– To smutne – Grażyna była bardzo przejęta. – Nie wiem, czy on zasługuje na kolejną szansę, ale ty na pewno. Daj ją sobie. Choćby po to, by uspokoić sumienie.

– Moje sumienie? – zaperzyła się. – Ono jest czyste.

– Ale nie daje ci spokoju – zauważyła artystka. – I dlatego trzeba przedsięwziąć jakieś kroki. Uważaj, Agatko, bo tak się zapędziłaś w tej swojej zemście, że możesz sobie zmarnować życie.

– W jakiej zemście? – spytała, jakby nic nie rozumiała.

– Próbujesz dać mu nauczkę, a sama na tym cierpisz. To nie ma sensu, dziecko. – Grażyna znów wlała wino do pustych już kieliszków. – To, czego szukasz, może być tuż obok ciebie. Nie przegap tego. Ja swoje szczęście znalazłam po czterdziestu latach, choć kiedyś miałam je już w garści. Nie popełnij takiego błędu, bo na wiele rzeczy po latach może być za późno. Chociażby na dzieci.

Mimowolnie podsłuchujący to wszystko z góry Antoni lekkim ruchem głowy przytakiwał słowom Grażyny. W oczach zakręciły mu się łzy. Rozpierała go duma, że związał się z tak mądrą kobietą. Jednocześnie uświadomił sobie, że jest pewna sprawa, którą należy czym prędzej uporządkować i zamknąć. Postanowił, że musi pojechać do Warszawy.

– Julka, przestań marudzić i kończ to śniadanie! – Dorota traciła już do córki cierpliwość. – Dziecko, zrozum wreszcie, że ja naprawdę nie mam czasu i zaraz muszę wyjść.

– Ale mam! – Julka próbowała się targować. – Przecież dzisiaj jest wolny dzień. Dlaczego muszę iść do szkoły, kiedy nie będzie w niej nikogo?

– Będą nauczyciele! – Dorota krzyknęła z łazienki, gdzie poprawiała fryzurę i nakładała błyszczak na usta. – Poza tym już ci tłumaczyłam, że muszę iść do pracy!

– Ale ja nie chcę! – Julia stawiała się coraz bardziej nieprzejednana i była bliska łez.

– No już! – ponaglała ją matka, wybiegając z łazienki. – Ruszaj się, Julcia! – Chwyła córkę za rękę i pociągnęła do przedpokoju. – Zakładaj kurtkę i biegnijmy.

– Mam! – Julia tupnęła nogą i trzęsącym się głosem zawołała: – Dlaczego ty mnie nie słuchasz? Z tobą w ogóle nie można się dogadać! Ja chcę do taty!

Dorota przewróciła oczami i delikatnie wypchnęła córkę na klatkę schodową. W pośpiechu zamknęła drzwi i zbiegła po schodach, wciąż pokrzykując na dziewczynkę. Ostatnio zupełnie się nie dogadywały. Julia była nie do wytrzymania i nie próbowała nawet zrozumieć, że matka usiłuje pogodzić intensywną jak zwykle pracę z prowadzeniem domu i opieką nad nią.

Zagórna coraz częściej niechętnie stwierdzała, że odkąd porzuciła Janusza, jej życie kompletnie się posypało. W pojedynkę nie dawała sobie z niczym rady. Chociaż wciąż pracowała, i tak ledwie starczało jej na opłacenie mieszkania, wyżywienie i bieżące potrzeby. Poza tym Julka przeważnie jako ostatnia opuszczała szkolną świetlicę, a rankami była pierwszym dzieckiem w szkole. Zatrudniona na kilkanaście dni w miesiącu opiekunka zażądała takiej stawki, że Dorota musiała brać dodatkowe zlecenia, by ją opłacić. Chodziła jak w kieracie i nie miała ani czasu, ani nawet ochoty, by przysiąc z córką do lekcji czy choćby pogawędzić z nią wieczorem. Od dawna marzyła, by wróciły

tamte dni, kiedy większość domowych obowiązków spoczywała na barkach Janusza, a ona nawet nie do końca była ich świadoma. Ze smutkiem stwierdziła, że popełniła duży błąd, porzucając go, i że chętnie by do niego wróciła. Miała wielką ochotę znów w pełni oddać się podrójom i tłumaczeniom, a dziecko podrzucić Januszowi. Tylko honor jej na to nie pozwalał. Przynajmniej na razie.

Tak myślała, kiedy wiozła Julkę do szkoły. Po drodze jednak trochę zmieniła zdanie. Gdy córka poszła do szatni się rozebrać, ona podeszła do dyżurującej nauczycielki i poinformowała, że być może dzisiaj Julię odbierze po południu ktoś inny. Napisała upoważnienie na nazwisko Janusza i oświadczyła, że to ojciec dziewczynki. Julce nic o tym nie powiedziała, bo nie była jeszcze pewna, czy rzeczywiście będzie zmuszona zwrócić się do niego po pomoc.

W ten wielkopiątkowy dzień Julia była jedynym dzieckiem w szkolnej świetlicy, a opiekę nad nią sprawowało aż pięciu nauczycieli. Dla dziewczynki było to wyjątkowo okropne przeżycie i czuła się tak, jakby siedziała w szkole za karę.

Dorota biegiem popędziła do samochodu, aby zdążyć na umówioną godzinę do grupy francuskich biznesmenów. Pracowała dla nich do trzynastej, a zaraz potem zadzwoniono do niej z jednego z biur turystycznych. Z powodu nagłej choroby jednej z pilotek pilnie szukano zastępstwa i pomyślano właśnie o niej. Zaoferowano jej atrakcyjne płatne siedem dni w Grecji z grupą polskich turystów, którzy pewnie uciekali z kraju przed nudą Wielkanocy.

Aż jej się oczy zaświeciły, gdy usłyszała tę propozycję, bo ona też miała wielką ochotę odetchnąć i uciec, odmówiła jednak ze względu na Julię. Mimo to wciąż nie mogła przestać myśleć o tej ofercie i w końcu zadzwoniła do Janusza. Odebrał prawie natychmiast i chwilę później się dowiedział, że spędzi całe święta z córką. Nie robił Dorocie wyrzutów, że porzuca dziecko w tak ważne dni, prawie się nie odzywał. Był tak uszczęśliwiony z jej wyjazdu, że nie mógł się go wprost doczekać.

Dorocie zależało na czasie, bo musiała się przecież jeszcze spakować, podała mu więc adres szkoły, mieszkania i poprosiła, by o piętnastej odebrał Julkę, a potem wstąpił z nią po jej rzeczy.

*

– Tatko! – wrzasnęła Julka, kiedy po południu dostrzegła Janusza w drzwiach świetlicy. Od razu rzuciła mu się na szyję.

Mały dziecięcy świat znów zaczynał być kolorowy. A kiedy na dodatek zobaczyła, że jadą razem do jej nowego mieszkania, przemknęło jej przez myśl, że wszystko wraca na swoje dawne tory. Gdy więc Janusz zerkał na nią w lusterku, widział szczęśliwe i uśmiechnięte dziecko.

– Mamusiu, wyjeżdżamy gdzieś? – spytała z nadzieją w głosie, kiedy po wejściu do mieszkania spostrzegła dużą walizkę matki i swoją mniejszą. – I tata z nami pojedzie? – Odwróciła się rozpromieniona do Janusza.

– Nie, skarbie. – Dorota była dużo miłsza niż rano. – Ja muszę wyjechać służbowo, a ty spędzisz święta z tatusiem. Może tak być?

Julia milczała. Oto dawano jej jednocześnie powód do wielkiej radości i do

ogromnej złości. Cieszyło ją, że znów będzie mogła spędzić trochę czasu z ojcem, ale chciałaby, żeby była z nimi również mama. Nie do końca zadowolona, wsiadła znowu do samochodu i machając matce na pożegnanie, pojechała na Saską Kępę.

Rozdział 17

Coraz dłuższe i cieplejsze dni, nieśmiało zieleniące się krzewy żywopłotów, błękitniejące niebo, a na nim widoczne od czasu do czasu bociany – wszystko to przepowiadało rychłą wiosnę. Nie jakąś tam astronomiczną czy kalendarzową, ale najprawdziwszą, najpiękniejszą polską wiosnę na Lubelszczyźnie. Powietrze zaczynało pachnieć delikatnym aromatem forsycji, obłądną wonią pierwszych nieśmiałych fiołków i wychylającą się nad ziemię trawą. Zimowe szarości z każdym dniem ustępowały miejsca coraz bardziej jaskrawym barwom. Cały świat piękniał wokół, a Antoni dostrzegał wszelkie zachodzące zmiany ze szczególną radością.

Tego dnia wsiadł z rana do auta i wybrał się do Warszawy. Skłoniła go do tej podróży podsłuchana niechcący rozmowa Grażyny z Agatą. Pod jej wpływem doszedł do wniosku, że nie ma więcej czasu do zmarnowania i powinien wreszcie wyjaśnić wszystko do końca. Wciąż czuł, że wisi nad nim przerwane warszawskie życie. Uznał, że dłużej tak nie sposób egzystować, a i obie jego kobiety zapewne oczekują jasnej i przejrzystej sytuacji.

Wieczorem poprzedniego dnia zadzwonił do Krystyny i spytał, czy może ją odwiedzić. Nie powiedział w jakiej sprawie. Ona zaś, z właściwą jej oschłością, powoli cedząc słowa, łaskawie pozwoliła mu na widzenie.

„To nie będzie łatwy dzień” – pomyślał, dojeżdżając do Warszawy.

Zastanawiał się, jak się ma przywitać z żoną. Uściskiem dłoni, przytuleniem, całusem w policzek, zwykłym „dzień dobry, jak się masz?”. Czy powinien stanąć przed nią z kwiatkiem? Bo tak z gołą ręką to może nie wypada? Ale biorąc pod uwagę sprawę, w jakiej do niej się wybiera, zapewne i tak niczego by od niego nie przyjęła.

Mimo wszystko zdecydował się na ciastka z cukierni i przed południem zadzwonił do jej drzwi. Gdy czekał, aż mu otworzy, myślał, że serce wyskoczy mu z piersi.

– Do czego to doszło – powiedziała Krystyna z przekąsem zamiast powitania. – Żeby mąż dzwonił do własnych drzwi.

– Dzień dobry – przywitał ją Antoni. – Widzę, że jesteś w doskonałej formie. Proszę, to dla ciebie. – Wyciągnął dłoń z paczuszką ciastek i wszedł do mieszkania.

Krystyna, nie okazując jakichkolwiek emocji, ruszyła przed nim do pokoju, usiadła w fotelu i odłożyła na ławę pakunek od męża. Nie zamierzała go otwierać ani nawet proponować mu herbaty.

Wizyta była konieczna i należało ją po prostu przetrwać, jednocześnie starając się uzgodnić jak najwięcej. Antoni nie zamierzał ukrywać, że przyjechał do żony, by omówić warunki rozwodu. W tej chwili swojego życia tego właśnie chciał, nie wyobrażał sobie bowiem dalszej egzystencji bez uczynienia tego kroku. Czuł jednoznacznie, że dla Krystyny nie ma już miejsca ani w jego sercu, ani w życiu.

– Co, romans dobiegł końca i mąż marnotrawny wraca na łono rodziny? – cedziła skrupulatnie każde słowo, z wyrazem satysfakcji wpatrując się w Antoniego. Nie wyobrażała sobie, by mógł przyjechać w jakiegokolwiek innej sprawie. Spodziewała się, że będzie się przed nią kajał i błagał o wybaczenie, przyznając pokornie, że popełnił

największy błąd w życiu, kiedy odszedł od niej. Już miała ułożony w głowie scenariusz, jak najdotkliwiej go upokorzyć, a potem wspaniałomyślnie okazać mu akt łaski.

– Przeciwnie – odchrząknął nerwowo i odważnie podniósł na nią wzrok. – Przyjechałem, by się z tobą rozmówić w kwestii rozwodu. – Czekał na jej reakcję, ale z wrażenia chyba na moment odjęło jej mowę.

Gdyby choć raz przemknęło jej przez myśl, że Antoni pojawi się w takiej sprawie, ani słówkiem by się nie zdradziła, że jest pewna jego powrotu. Była na siebie wściekła, że tak łatwo odkryła karty i w sumie ośmieszyła się przed nim. Teraz najchętniej rzuciłaby się mu do gardła albo chociaż wypchnęła go za drzwi, kończąc tym samym rozmowę. Przelknęła jednak gorycz porażki i po prostu zacisnęła pięści i zęby. Potrzebowała dłuższej chwili, by odzyskać równowagę i zastanowić się nad nową strategią. Poprzednia właśnie wzięła w łeb.

– Sądzę, że dla ciebie nasze małżeństwo też od dawna jest fikcją – Antoni podjął znów temat, widząc, że żona nie ma nic do powiedzenia. – Od lat przecież nic nas nie łączy. Myślę, że nawet mnie nie lubiłaś.

– Przyszedłeś się tego dowiedzieć? – warknęła lodowatym tonem.

– Nie, oczywiście, że nie. – Poprawił się nerwowo na krześle. – To zresztą już bez znaczenia. Przyszedłem, by pozamykać wszystkie nasze sprawy.

– Ooo – udała zdziwienie. – A jakież to my jeszcze mamy sprawy?

– No, niestety, jeszcze mamy – westchnął.

Jak to w małżeństwach bywa, łączyło ich kilka kwestii urzędowych: mieszkanie zapisane było na nich oboje, na rachunkach za gaz, czynsz, wodę, ogrzewanie i wywóz śmieci figurowali też we dwójkę. Samochód także był współwłasnością Krystyny i czas najwyższy to wszystko uregulować. Jedyne, co przestało ich łączyć, to miłość.

– Nie myśl sobie, że cokolwiek pozwolę ci stąd zabrać. – Krystyna była wprawdzie opanowana, ale posykiwała groźnie i sprawiała wrażenie, jakby szykowała się do ataku. – Jeśli stąd wyjdiesz, to goły jak święty turecki, rozumiesz? Niech się tobą zajmie ta lafirynda. Ode mnie nie dostaniesz niczego – każde słowo artykułowała tak dobitnie, jakby rozmawiała z kimś czytającym z ruchu ust.

– W to nie wątpię – odparł spokojnie Antoni i odważnie spojrzął jej w oczy. – Byłbym głupi, gdybym liczył na cokolwiek. Pozwolisz jednak, że zabiorę wszystko to, co sam sobie kupiłem – powiedziawszy to, wstał i podszedł do pawlacza, w którym leżała jego stara walizka.

Widać było, że Krystyna zagotowała się ze złości, głosu jednak nie podniosła. Poczzerwieniała jedynie na twarzy i próbowała zastąpić mu drogę.

– Sądzę, że mam prawo do tej walizki. Kupiłem ją, kiedy się wybierałem w delegację, pamiętasz? A teraz spakuję do niej swoje ubrania. Możesz być spokojna, wezmę tylko te, które sam kupowałem. Resztę możesz wyrzucić, jeśli chcesz.

Swoim opanowaniem doprowadzał żonę do wściekłości. Stała za nim, bezradnie posapując. Starał się ją ignorować i powoli pakował swoje rzeczy. Większość zabrał jeszcze jesienią, a teraz wkładał do walizki odzież głównie letnią. Bardzo się pilnował, by wziąć naprawdę tylko to, co sam kupił. Część ubrań kupowała mu Krystyna, ale robiła to rzadko i prawie zawsze były to rzeczy z second-handów. Sama zresztą też ubierała się

niemal tylko tam. W porównaniu z kolorowymi i oryginalnymi strojami Grażyny wyglądała bardzo ubogo, szaro i niegustownie, a od tyłu jej sylwetkę można by wziąć nawet za męską. Nie żeby Antoni miał coś przeciwko temu. Już dawno przywykł do stylu żony, był mu on w zasadzie obojętny, tyle że w obliczu tych jej wszystkich niekobiecych strojów teraz tym bardziej doceniał smak i klasę Grażyny.

Pakowanie zajęło mu nie więcej niż kwadrans. Domknął walizkę i postawił ją w przedpokoju, po czym wstąpił jeszcze do pokoju i usiadł przy stole. Krystyna myślała, że za chwilę wyjdzie z siebie; dosłownie resztką sił opanowywała emocje, którym w końcu uległa i ona. Widząc, że mąż jeszcze nie zamierza opuścić mieszkania, stanęła po przeciwnej stronie stołu i czekała.

– No... – zaczął po chwili. – Co powiesz na rozwód?

– Nigdy ci go nie dam – wycedziła.

– Byłbym zdziwiony, gdybyś się zgodziła – powiedział łagodnie, czym jeszcze bardziej ją rozwścieczył. – Posłuchaj uważnie i zastanów się, która opcja bardziej ci pasuje. Bo którąś wybrać musisz... Rozwódzimy się, nie chcę tego mieszkania, nie chcę podziału majątku, bierz sobie wszystko, mnie zależy tylko na spokoju. To moja pierwsza propozycja. Jeśli jej nie zaakceptujesz, druga jest taka, że idę do prawnika i zrzekam się wszelkich praw do mieszkania i wszystkiego, czego jestem współwłaścicielem. Nie chcę być związany z tobą żadną fakturą ani rachunkiem do opłacenia. Wszystko ci zostawiam. – Antoni obawiał się, że w akcie zemsty Krystyna może na przykład przestać płacić rachunki i zadłużyć mieszkanie. Chciał uniknąć kłopotów, dlatego za wszelką cenę postanowił się od niej formalnie odciąć.

– Wynos się! – wybuchła wreszcie. – Nie chcę cię znać! A o rozwodzie możesz sobie jedynie pomarzyć!

– W takim razie dziś idę do prawnika i składam pozew o rozwód. – Antoni wstał i wyszedł z pokoju. – Aha, jeszcze jedno. – Zatrzymał się tuż przed drzwiami wyjściowymi. – Skoro nie masz prawa jazdy, to uważam, że sprawiedliwie będzie, jeśli ja zatrzymam samochód. Chyba że jednak go chcesz? – widział, jak Krystyna purpurowieje na twarzy.

– Wyjdź stąd!

– Żegnam cię – wciąż mówił spokojnym głosem. – I pomyśleć, że kiedyś naprawdę cię kochałem... – Gdy wyszedł na klatkę schodową, usłyszał, jak z impetem trzasnęła drzwiami.

To była dla Antoniego bardzo trudna rozmowa. Chociaż na pozór wydawał się niezwykle spokojny i opanowany, w środku dygotał. Haust świeżego powietrza pomógł mu odzyskać równowagę; powolnym krokiem poszedł do samochodu.

– Dziękuję – Antoni odsunął talerz i wytarł usta serwetką. – Kocham cię, wiesz?

Grażyna posłała mu najpiękniejszy ze swych uśmiechów. Bała się jego dzisiejszego wyjazdu do Warszawy oraz konfrontacji z żoną. Strach i nieco wybujała wyobraźnia podpowiadały jej, że w Warszawie mogą się wydarzyć różne rzeczy. Krystyna mogła na przykład przyprawić go o zawał albo spowodować, że Antoni jednak postanowi wrócić do niej. Kamień spadł Grażynie z serca, kiedy zobaczyła, jak zajeżdża wieczorem przed dom i parkuje auto w jej garażu. Potem wszedł na górę, przytulił ją i pocałował. Wtedy

miała już pewność, że wybrał życie z nią.

Wstała od stołu po zjedzonym obiedzie i wciąż się uśmiechając, podeszła do Antoniego. Stanąwszy tuż za nim, czule przeczesła palcami jego siwe włosy, potem oparła brodę na jego głowie i oplótła go ramionami. On położył swoje duże dłonie na jej smukłych palcach, a potem pochylił nisko głowę i ucałował je z niezwykłą nabożnością.

– Dasz się zaprosić na spacer nad Wisłę? – zapytał, kiedy razem wkładali naczynia do zmywarki.

– Proponujesz mi randkę? – spytała zaczepnie, z błyskiem w oku.

– Tak – cmoknął ją w policzek. – Pierwszą tej wiosny i na pewno nie ostatnią.

Nieśpieszny rytm małego miasteczka cudownie nastrajał zarówno Antoniego, jak i Grażynę. Zeszli powoli Puławską w dół, trzymając się za ręce i mocno wciągając w płuca rześkie powietrze. Z każdym dniem robiło się coraz cieplej, a prognozy na najbliższe dni były jeszcze bardziej obiecujące. Ludzie tłumnie wychodzili na ulice i spacerowali w wiosennych promieniach słońca. Co odważniejsi w samych T-shirtach dumnie wypinali swe poblądłe zimą ciała.

Antoni bez słowa prowadził Grażynę na Albrechtówkę. Od czasu do czasu spoglądał na nią i chwytając w przelocie jej spojrzenie, uśmiechał się, a niekiedy pochylał i całował ją w skroń. Wyglądali na równie szczęśliwych i zakochanych jak wszystkie pary młodych ludzi, które mijali po drodze.

– Nawet nie wiesz, jak się dzisiaj bałam – Grażyna wreszcie przerwała milczenie.

– Niepotrzebnie – uspokoił ją. – Moje małżeństwo od wielu lat jest fikcją i żaden cud nie zdołałby go naprawić.

– Opowiesz mi coś o twojej żonie? Jaka ona jest? – Grażyna dotychczas nigdy nie pytała Antoniego o jego relacje z Krystyną, choć bardzo była ich ciekawa. Z biciem serca czekała na odpowiedź.

Przez chwilę znów szli w ciszy, bo Antoni próbował zebrać myśli.

– Poznałem ją, kiedy była studentką – zaczął wreszcie. – Niewysoka, drobna szatynka o zimnych oczach – mówiąc to, zamyślił się głęboko. Grażyna cierpliwie czekała na dalszą część opowieści. – Tak, oczy miała zimne przez całe życie. To się nigdy nie zmieniło. Ani przy mnie, ani nawet kiedy pojawił się Janusz. Ten sam chłód spojrzenia miała też Dorota. Kto wie, może właśnie dlatego mój syn się w niej zakochał, bo pod wieloma względami przypominała mu matkę?

– Tak zapamiętasz Krystynę, jedynie jej chłodne spojrzenie? – zdziwiła się Grażyna. – A coś dobrego?

Antoni nieznacznie się uśmiechnął i spojrzał na Wisłę, jakby w jej wodach próbował odnaleźć ślady własnej przeszłości.

– Jest inteligentna – dodał po chwili. – Urzekła mnie łatwością, z jaką przyswajała wiedzę. Była prymuską na swoim roku. Bardzo mi to imponowało i dlatego trzymałem się blisko niej. Uważałem, że warto iść przez życie z mądrą kobietą. Dziś myślę trochę inaczej.

Grażynę zastanowiły jego ostatnie słowa. Nie wiedziała, czy są dla niej komplementem, czy wręcz przeciwnie. Przystanęła na moment i pociągnęła go za rękę.

– Myślisz, że teraz idziesz z głupią kobietą? – próbowała nadać głosowi

żartobliwy ton, ale słabo jej to wyszło.

– Nie, nie! – zawołał przestraszony, że ją uraził. – Chciałem jedynie powiedzieć, że szczęście dwojga ludzi nie zależy od mądrości rozumianej jako inteligencja, tylko od tak zwanej życiowej mądrości, rozumiesz?

Grażyna pokręciła przecząco głową.

– Chodzi mi o to, że nie musisz rozumieć praw Newtona czy znać wszystkich afrykańskich stolic. Wystarczy, że rozumiesz mnie i moje potrzeby. A jeśli przy tym jeszcze choć trochę mnie kochasz, to już szczęśliwszy być nie mogę. Teraz wiesz, co miałem na myśli?

– Tak – roześmiała się Grażyna – teraz już wiem. Chcesz chyba powiedzieć, że przez życie najpewniej idzie się z człowiekiem, który cię po prostu lubi.

– Co najmniej lubi – poprawił ją Antoni z wyraźnym naciskiem na słowa „co najmniej”, po czym pocałował ją w usta.

Powolnym krokiem dotarli wreszcie na Albrechtówkę i przez kwadrans to rozglądali się dookoła, podziwiając piękną panoramę wiosennych łąk wokół Kazimierza, to znów przytulali się do siebie z miłością. Obojgu wciąż trochę trudno było uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę oraz że jeszcze i dla nich los okazał się łaskawy. Spotkanie się i zejście na nowo po tylu latach było nieoczekiwanym szczęściem, dlatego zamierzali dołożyć wszelkich starań, by to dojrzałe uczucie w sobie pielęgnować i podsycać nawzajem.

– Wracajmy, robi się chłodno. – Antoni objął Grażynę i przyciągnął do siebie.

Nad Kazimierz od północnego zachodu nadciągały ciemnoszare chmury zwiastujące pierwszą tej wiosny burzę. Towarzyszył im daleki głuchy trzask grzmotów i coraz silniejszy wiatr.

Marta włożyła sweter i nim otworzyła drzwi na dwór, zapięła go pod samą szyję.

– Bida, chodź szybko! – zawołała i zaraz potem zagwizdała, licząc na szybszą reakcję psa. – No chodź, sunia! Bo zimno!

Burza nagle przysła i równie nagle zaczęła się odsuwać na południowy wschód, pozostawiając jednak po sobie nieprzyjemny wiatr, chłód i wilgoć w powietrzu. Bida wpadła do domu zmoczona, ale radosna, jak to zwykle ona.

Popołudnie na Zakopiańskiej mijało wśród aromatu kakao i świeżych, chrupiących kajzerek z masłem. Julia zajadała je ze smakiem, od czasu do czasu częstując pod stołem psa. Marta z nieskrywaną przyjemnością zerkiała na nią z salonu, gdzie prasowała właśnie stos świeżych koszul Janusza i kilka swoich sukienek.

– Czemu się tak uśmiechasz? – Uwadze bystrej Julki nic nie umknęło.

– Naprawdę? – Marta podniosła wzrok z wyrazem zdziwienia i się uśmiechnęła, tym razem już zupełnie świadomie.

– Babcia Krysia kiedyś mówiła, że sam do siebie to się głupi śmieje – oznajmiła dziewczynka, po czym przełknęła kęs bułki i upiła łyk kakao.

– Tak mówiła? – Marta zdziwiła się jeszcze bardziej i jeszcze szerzej się uśmiechnęła. – Nie wiem, jak to jest z głupimi, ale jestem pewna, że szczęśliwi też czasem śmieją się sami do siebie.

– No może... – Julka była gotowa się z nią zgodzić, choć nie wyglądała na

całkowicie przekonaną.

Marta prasowała niemal mechanicznie i uśmiechała się przy tym zupełnie bezwiednie. Uwaga Julki sprawiła jednak, że się zastanowiła nad własnym samopoczuciem. Ostatnio było wyjątkowo dobre, ponieważ kilka poprzednich miesięcy w życiu Marty wypełniały same sukcesy i nieustające powodzenie. Jeszcze niedawno nawet by nie przypuszczała, że żelazko i męska koszula będą jej się tak przyjemnie kojarzyć, a dziś stanowiły potwierdzenie jej zadowolenia. A nawet szczęścia. I poczucia bezpieczeństwa.

Pochyliła się nad deską do prasowania i wróciwszy do pracy, zatopiła się w rozmyślaniach. Świadomość, że znalazła swoje miejsce na ziemi, dawała jej spokój. A to miejsce to nie tylko dom, ale przede wszystkim kochany mężczyzna, dobra praca i wspaniałe dziecko, które, choć obce, również bardzo kochała. Mimo to czasem, w przyływie jakiegoś irracjonalnego strachu, dopadała ją krótka i bolesna myśl, że to wszystko jest zbyt piękne i w każdej chwili może się skończyć. Jej serce zamierało wtedy na moment i po sekundzie znowu ruszało galopem, aż musiała brać głęboki oddech, by je uspokoić. Ale teraz prasowała w poczuciu błęgiego szczęścia i wielkiej nadziei, że uczciwie zapracowała na wszystko to, co ma, i nikt ani nic tego nie zmieni.

Z zamyślenia wyrwał ją zgrzyt klucza w drzwiach i tupot galopującej pod nie Bidy. Po chwili do salonu wszedł Janusz i od razu rzucił do swoich dziewczyn:

– Cześć, widziałyście tęczę?

Julka natychmiast zerwała się od stołu i przetykając ostatni kęs bułki, dopadła okna w kuchni.

– Nie widziałam! Gdzie?! – krzyczała podniecona. – Tato, no gdzie ta tęcza?!

– Nie z tej strony – odpowiedział Janusz. – Z twojego pokoju będzie najlepiej widać. – Chciał jeszcze coś dopowiedzieć, ale Julka już pędziła na górę, zwrócił się więc do Marty:

– Jak minął dzień, kochanie? – Stał tuż za nią, chłodnymi palcami odgarnął włosy z karku i pochylił się, by ją pocałować.

– Myślałam, że dobrze. – Marta zmrużyła oczy i dała się ponieść ciepłej fali, która ją ogarnęła. – Ale coś mi się zdaje, że dopiero teraz będzie dobrze. – Odwróciła się i ująwszy jego twarz w dłonie, wsunęła mu język między wargi i cicho mruknęła z rozkoszy.

Rozochocony Janusz całował ją coraz mocniej i zachłanniej, jednocześnie nasłuchując, czy nadal są sami w salonie. Po chwili, jakby ściągnął córkę myślami, na schodach rozległ się tupot dziecięcych stóp. Marta odsunęła się gwałtownie, choć niechętnie, pozostawiając go z przyśpieszonym oddechem i iskrą w oku. Z drżącymi rękami powróciła do prasowania.

– Ale ładna! – wołała podekscytowana Julka. – Widziałam ją całuteńką! Tylko jakoś szybko zbladła – dodała zawiedziona.

– To co, dziewczyny, szykujemy kolację? – Janusz chwycił Julkę, gdy przemykała przez salon, podniósł ją do góry i szybko odstawił na podłogę, czym wzbudził jej radosny pisk i śmiech.

– Ja właśnie zjadłam i nie jestem głodna – oznajmiła. – A ty rób, co chcesz.

– Och, dziękuję jaśnie pani za pozwolenie – Janusz ugiął się w głębokim ukłonie przed córką. – Jesteś, pani, nazbyt łaskawa – zawołał teatralnie, czym znów wywołał jej głośny śmiech. – A co pani będzie robić, kiedy ja będę jadł? – wciąż nie wychodził z roli.

– Pani chętnie by wyszła z psem na spacer – Julka zabawnie wydeła usteczka w dzióbek, kokieteryjnie wysunęła prawą stópkę i ledwo powstrzymywała się od śmiechu.

– Jest za zimno – wtrąciła Marta. – Przecież Bida niedawno była na dworze.

– Nie jest wcale tak zimno – Janusz bez zastanowienia podkopywał jej autorytet. – Jest tylko mokro. Jeśli założysz kurtkę, czapkę i kalosze, to na chwilę możesz zabrać psa na podwórko. – Spojrzał na córkę i puścił do niej oko.

Julka z radością pobiegła do szafy po ubranie, a w ślad za nią Bida, jakby wszystko zrozumiała.

Marta stała przy desce i ze zdziwieniem wpatrywała się w narzeczonego. Przejrzała go i była prawie pewna, że liczył na dalszy ciąg ich słodkiego *tête-à-tête*. Myśl ta polectała ją przyjemnie, nie zamierzała jednak się do niej przyznawać.

– Jak mogłeś wypchnąć dziecko za drzwi dla swoich niecznych planów? – szepnęła, udając oburzoną, podczas gdy w jej głosie więcej było ponętnego kuszenia niż przygany.

– E tam... – Janusz przymilał się do niej z uśmiechem, podchodząc coraz bliżej. – Niech się dziecko trochę dotleni...

– No dobrze... – skapitulowała Marta. – Niech się dotleni. – Wyłączyła żelazko, odstawiła je na bok i powoli zaczęła składać deskę, a potem chwyciła za wieszaki z wyprasowanymi koszulami. Wyglądało na to, że droczy się z Januszem.

– Zostaw to – szepnął jej wprost do ucha, całując je przy tym.

– A może i ty byś poszedł się dotlenić? – Marta wyraźnie z niego kpiła. – Bo jeśli nie... – zamruczała i musnęła wargami jego usta – to tlen za chwilę zupełnie zniknie z twojej głowy...

– Obawiam się, że już zniknął... – znów szepnął do jej ucha i teraz ona z trudem panowała nad sobą.

Przez minutę, może dwie, całowali się namiętnie i przytulali, ale nic ponadto. Pożądanie rozpałiło się w nich do granic wytrzymałości. Oboje marzyli tylko o jednym, potrafili jednak zapanować nad gorączką własnych ciał, i przez całe popołudnie oraz wieczór żarliwie spoglądali na siebie nawzajem, dyskretnie dotykali się mimochodem i w ten sposób zwielokrotniali obietnicę nadchodzącej cudownej nocy. Napięcie, które budowali w sobie, potęgowało poczucie szczęścia i na pewno podnosiło poziom endorfin w ich rozpalonych ciałach.

– Lepiej zanieś je na górę. – Marta mrużąc oczy i wciąż całując Janusza, sięgnęła za siebie i namacawszy kilka koszul, wcisnęła mu je do ręki.

– Nie mam czasu – powiedział ledwie słyszalnie, wziął jednak wieszaki i spróbował oderwać od niej usta. Nie było to łatwe, udało mu się dopiero za trzecim razem.

Gdyby nie świadomość, że w pobliżu jest dziecko, które w każdej chwili może się pojawić, z pewnością nie czekaliby aż do nocy.

W kieszeni Janusza rozdzwonił się telefon. Niezadowolony, że ktokolwiek ma

czelność przeszkadzać mu w takiej chwili, gotów był go zignorować, ale Marta skorzystała z chwili jego nieuwagi i odstawiała deskę do garderoby. Janusz spojrzał na wyświetlacz i przyłożył komórkę do ucha.

– Co jest, stary?

– Nie przeszkadzam? – kurtuazyjnie zapytał Mateusz i nie zamierzając czekać na odpowiedź, od razu próbował przejść do sedna. – Mam dla ciebie...

– Przeszkadzasz – przerwał mu Bilski.

– A... – Mateusz chyba poczuł się trochę zbity z tropu, szybko jednak odzyskał rezon. – Ale i tak mam dla ciebie kilka papierów do wglądu... – zrobił pauzę, czekając na reakcję przyjaciela.

– To pilne? – Janusz miał nadzieję, że papiery mogą poczekać do jutra.

– No raczej.

– W takim razie wpadnij – westchnął Bilski, chociaż przeczuwał, że dokumenty są jedynie pretekstem do spotkania. Wiedział, że Mateusz nigdy nie był samotnikiem, ale odkąd dostał kosza od Agaty, z jakiegoś powodu przestał szwendać się po klubach i stał się prawie odludkiem. A że nie leżało to zupełnie w jego naturze, szybko się tym zmęczył, czego skutkiem były takie właśnie jak przed chwilą próby wproszenia się do przyjaciela.

– Kochanie! – zawołał Janusz, schodząc z góry. – Mamy coś na stół?

– A ja się nadam? – zażartowała Marta, podsycając wciąż jeszcze niewygasłe napięcie.

– Jasne – pocałował ją w policzek. – Ale nie zamierzam się tobą dzielić.

– Będziemy mieli gości? – zdziwiła się.

– To raczej stały bywalec – odparł. – Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza?

– Mateusz? – domyśliła się. – No co ty, to żaden problem. Chyba że... – wsunęła dłoń pod jego koszulkę. – Chyba że zostanie zbyt długo...

– O, nie! – zawołał Janusz znęcony wizją namiętnej nocy. – Już ja się postaram, by wyszedł o czasie.

– Tato, popatrz, co ja mam! – krzyknęła kilkanaście minut później rozradowana Julka, gdy wpadła do domu z dużą paczką ukraińskiej chałwy i torebką wyładowaną po brzegi smakołykami od Roshena.

– Skarbie – strofował ją Janusz – kulturalniej by było, gdybyś raczej zawołała: Patrzcie, kogo wam przyprowadziłam!

– No chyba sam to widzisz, więc po co mam tak mówić? – broniła się rezolutnie Julia. – A że mam cukierki, tego nie widziałeś – dowodziła dalej swego.

– Cóż, najwyraźniej jestem mniej atrakcyjny niż słodycze – roześmiał się Mateusz, witając się z gospodarzami i im także wręczając drobne upominki z Ukrainy, gdzie spędził ostatnie dwa tygodnie.

Marta dostała czarną koszulkę z ręcznie wyhaftowanymi polnymi kwiatami na piersi. Janusz natomiast otrzymał cały zestaw alkoholi. W Inianej torbie z nadrukowanym widokiem Lwowa był zakarpacki koniak, klukwówka, ziołowa nalewka Vigor, a do tego wszystkiego sało w czekoladzie, lwowskie andruty i wielkie opakowanie czebureków z różnymi farszami.

– Chyba rozumiecie, że musiałem do was dzisiaj przyjść, bo przecież grzechem

by było, gdyby tyle dobra się zmarnowało. – Mateusz uśmiechnął się przepaszająco.

– Jasne, bracie! – Bilski poklepał go po ramieniu, oglądając każdą rzecz po kolei. – Ale to chyba dla Julki? – spytał, podnosząc sało do góry.

– Boże broń! – teatralnie zakrzyknął Mateusz. – To dla nas pod wódeczkę.

Zdziwili się oboje, bo ani Marta, ani tym bardziej Janusz nie mieli w zwyczaju zagryzać alkoholu czekoladkami. Nie wiedzieli jednak, że w środku kryje się słonina. Co do czebureków zaś, już na pierwszy rzut oka uznali zgodnie, że do wódeczki takie pokażne pierogi będą jak znalazł.

– Jakim sposobem przewiozłeś tyle jedzenia przez granicę? Można tak? – dociękała Marta.

– Nie można – odpowiedział Mateusz z rozbajającym uśmiechem. – Miałem trochę szczęścia.

– Przemycieś? – W głosie Janusza pojawiło się coś na kształt niedowierzania.

– No ale warto było – tłumaczył się przyjaciel.

– A nie wstyd by ci było, gdybyś wpadł na szmuglowaniu pierogów? – Marta wyobraziła sobie tę niemal absurdalną sytuację i się roześmiała.

– Przeciwnie – zgrywał się Rogalski. – Wyobrażam sobie, jakim bohaterem stałbym się w waszych oczach – zażartował, mrugnawszy do niej okiem.

– O, tak! – zawołała. – I przez następne pół wieku w rodzinie Bilskich krążyłaby anegdota o dzielnym przemytniku, a ty grzałbyś się w blasku sławy.

– Nie drwij, kobieto. Lepiej odgrzej te czebureki.

Niebawem na stole pojawiły się ukraińskie alkohole, sało i ciepłe czebureki oraz półmisek z polskimi wędlinami, sałatka, pewnie raczej dla Marty niż dla panów, i smakowite koreczki na zagryzkę.

Najpierw Janusz z Mateuszem zajęli się dokumentami, które były pretekstem do spotkania. Podczas gdy oni przeglądali zamówienia złożone ostatnio w ich lwowskiej filii, Marta poszła z Julką na górę, by odrobić z nią lekcje i przygotować plecak na następny dzień. Kiedy pół godziny później zeszła na dół, panowie rozpoczynali już degustację i ochoczo sięgali po sało. Rozgryźli czekoladę i poczuwszy na języku to, co było pod nią, spojrzeli po sobie niepewni. Mateusz szybko wyciągnął rękę po butelkę i rozlał następną kolejkę. Marta, widząc ich nietęgę miny, zrozumiała, że w tym przypadku raczej wódka będzie na zakąskę niż odwrotnie. Sama nie odważyła się spróbować tego osobliwego smakołyku. Co do czebureków zaś, wszyscy z przyjemnością stwierdzili, że są wyjątkowo smaczne. Mateusz marudził wprawdzie, że jedzone od razu, wprost z głębokiego oleju, są o niebo lepsze niż te odgrzewane, ale i tak zrobiły na Zakopiańskiej furorę. Ich chrupiąca złota skórka i zapach wydobywający się z wnętrza kusiły i obiecywały niebo. Kiedy wgryzali się w nie ze smakiem, trzymając je po prostu w rękach, po palcach spływał im aromatyczny mięsny sos. Pierogi były niemal wielkości dłoni i chociaż Marta już przy drugim poczuła, że jest naprawdę najedzona, była tak ciekawa innych farszów, że podgryzała kolejne od Janusza.

Wieczór okazał się bardzo udany, w salonie Bilskiego było wesoło i pachniało tak smakowicie, że aż Bida chwilami nie wytrzymała i popiskiwała pod stołem, domagając się kęsów grubo siekanej tłustej wieprzowiny z czebureków. Jedynie Julce nie przypadło

do gustu serwowane tego wieczoru menu, dlatego zaszyła się w swoim pokoju i prawie z niego nie wychodziła, układając puzzle.

Pod koniec wizyty, kiedy poruszyli już niemal każdy temat, Mateusz niby od niechcienia zapytał o Agatę. Bardzo się starał, aby w jego głosie nie pojawiła się żadna zdradziecka nuta, a w oczach nie zapaliła się płomienna iskra. Zapytał niby tak po prostu, z czystej ciekawości. W każdym razie chciał, aby tak to zabrzmiało. I Janusz rzeczywiście nie inaczej odebrał jego pytanie. Marta natomiast od razu nastawiła uszu i spojrzała na niego podejrzliwie.

Opowiedzieli mu pokrótce o pracy Agaty i o tym, jak bardzo jest z niej zadowolona. Marta dodała jeszcze małe kłamstewko, że przyjaciółka ma świetnego szefa, z którym ma równie świetny kontakt. Janusz spojrzał na nią zdziwiony, ale gdy dostał szturchańca pod stołem, zrozumiał, że ma się nie wtrącać.

Marta chciała się przekonać, czy Mateusz nadal żywi jakieś uczucia do Agaty i dlatego sprzedała mu fałszywą historyjkę o szefie, mając na myśli Daniela Kossowskiego. Gdy wspomniała o nim, dostrzegła lekki grymas na twarzy Mateusza, zupełnie jakby nagły skurcz chwycił go za szczękę. Szybko się jednak opanował i w milczeniu wysłuchał opowieści do końca.

– To dobrze, że się jej układa – podsumował, a Marta wyczuła w jego słowach pewien smutek.

Kwadrans później Mateusz podniósł się od stołu, podziękował za kolację i zamówił taksówkę. Gospodarze odprowadzili go do furki i tuż przed jego odjazdem Marta rzuciła znienacka:

– A może wybrałbyś się z nami kiedyś do Kazimierza?

– Dziękuję – odparł zaskoczony – ale to chyba nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego? – Marta nie poddawała się tak łatwo. – Robi się coraz cieplej, zapraszamy cię na piknik w pięknym plenerze.

Mateusz spojrzał na Janusza, jakby szukał u niego ratunku.

– Jasne, to świetny pomysł – Bilski podtrzymał propozycję narzeczonej. – Ulokujemy się w Janowcu, ojciec przecież tam praktycznie nie bywa, więc mamy całą chatę dla siebie. Pogrillujemy, pograsz nam na gitarze, rozpalimy ognisko, a jak będziesz miał ochotę, to zrobimy ci wycieczkę krajoznawczą.

– Dzięki, pomyślę. – Mateusz wpadł w popłoch, ale na szczęście wyratowała go podjeżdżająca właśnie taksówka. – Dobranoc.

– Kochanie – Janusz zwrócił się do narzeczonej, kiedy kolega już odjechał – czy ty się bawisz w swatkę? Przecież to niepoważne. I jeszcze mnie wciągasz w te babskie gierki?

– Może troszeczkę... – przyznała Marta. – Ale czy to źle?

– A czy Agata jeszcze nie dość wyraźnie pokazała, że nie chce mieć nic wspólnego z Mateuszem?

– Ty chyba ślepy jesteś. Naprawdę sądzisz, że Agata nic nie czuje do Mateusza?

– Owszem, czuje – odparł. – Chyba nienawiść albo złość. Przecież nie z miłości dała mu kosza.

– A jakie to ma znaczenie, że dała mu kosza? – roześmiała się Marta.

– Twoim zdaniem nie ma? – Teraz to Janusz był bardzo zdziwiony. – Wobec tego ja już nic a nic nie rozumiem.

– No i dobrze... – szepnęła mu uwodzicielsko do ucha. – Ważne, że ja wszystko rozumiem.

Noc była gwieździsta i lekko chłodna, ale bardzo przyjemna. Marta przyłgnęła do Janusza i pocałowała go namiętnie. Odpowiedział jej tym samym i wszystko wskazywało na to, że rozpoczęta przed kilkoma godzinami gra zmysłów za chwilę znajdzie swój finał w sypialni.

– Chodźmy do domu – zaproponował i wziął ją na rękę.

Rozdział 18

Z każdym kolejnym wiosennym dniem na mieście przybywało kolorów, zarówno wśród ludzi, którzy coraz śmieiej sięgali po nasycone intensywnymi barwami ubrania, jak i w przyrodzie, która na najbliższe pół roku żegnała się z szarzystą. Brzegi Wisły pokrywały się nieśmiałą zielenią świeżych traw i pobudzonych do życia krzewów, a przydomowe ogródki oraz parki buchały żółcieniem forsycji. Zaraz po nich z ogromnych pąków rozwijały się przepiękne kwiaty magnolii i przyciągały wzrok bielą i purpurą. Zagony żonkili i narcyzów tworzyły żółte i białe kobierce. Zaczynał się kwiecień.

Pogoda była wysmienita, w dzień słońca rtęci podnosiły się do kilkunastu stopni, niebo bywało przeważnie bezchmurne i błękitne, wiatr ciepłą falą owiewał Warszawę i tylko popołudniami zdarzały się krótkie, choć intensywne deszcze, po których każdy skrawek ziemi zieleniał w szaleńczym tempie, a drzewa rozwijały liście.

Cała Zakopiańska piękniała, a Marta z Januszem tryskali radością i szczęściem; czuli się tak, jakby chwycili Pana Boga za nogi.

Życie Doroty Zagórnej było może mniej szczęśliwe, ale coraz bardziej poukładane, co też ją cieszyło. W ciągu ostatnich kilku miesięcy wyraźnie dotarło do niej, że odchodząc od Janusza, popełniła największy błąd swego życia. Kiedy go zostawiała, była przekonana, że miłość do Piotra zapewni jej szczęście. Niestety, ogromnie się pomyliła. Janusz przede wszystkim stanowił solidną podporę w prozie życia – brał na siebie większość obowiązków domowych i prawie wszystkie związane z wychowaniem Julki. A to zapewniało Dorocie swobodę i pozwalało na rozwój kariery, na czym jej przecież tak bardzo zależało. Piotr dawał jej wprawdzie wielkie miłosne uniesienia, ale w końcu przygniotła ich zwykła szara codzienność. Z dwojga złego wołała już nudę przy Januszu niż niemożność poradzenia sobie z prostymi sprawami dnia powszedniego przy Piotrze. Gdyby czar jednego i zaradność drugiego dało się połączyć – wtedy byłaby przeszczęśliwa. A że taka fuzja nie wydawała się możliwa, zatęskniła za Januszem.

Za późno jednak, bo u jego boku tkwiła uparcie ta mała prowincjonalna gąska, która nie grzeszyła ani szykiem, ani klasą, a w jakiś tajemniczy sposób zdobyła jego serce i miała czelność zastąpić ją, kobietę elegancką i niepospolitą. Jak ona tego dokonała, Dorota doprawdy nie umiała pojąć.

Na razie starała się odsuwać od siebie nieprzyjemne myśli o własnych błędach oraz o Marcie u boku Janusza. Trudno, jest jak jest, chwilowo niczego nie da się zmienić, pozostawało więc tylko zaakceptować sytuację lub ostatecznie zaprzestać kontaktów z Bilskim. Odkąd jednak je odnowiła jakiś czas temu, życie jej i Julki zaczęło się stabilizować i na nowo układać. Chaos wywołany związkiem z Piotrem zdawał się ustępować miejsca dawnemu porządkowi. Dla Doroty było to jak wybawienie, bo mogła wreszcie spokojnie zająć się pracą, przyjmować wszystkie zlecenia, a nie tylko wybrane i, co najważniejsze, Julka przestała być stałą bywalczynią szkolnej świetlicy.

Wciąż jeszcze wiele spraw było do załatwienia, ale Dorota już widziała światelko w tunelu. Na szczęście Janusz nie potrafił żyć bez Julii, dlatego chętnie i niemal

z wdzięcznością korzystał z każdej darowanej mu przez Dorotę chwili z dzieckiem. Janusz dla dobra Julii rzeczywiście był w stanie zrobić wiele, nawet utrzymywać stały i niemal życzliwy kontakt z jej matką, nie zamierzał jednak w jakikolwiek sposób znów się od niej uzależnić. Chociaż jeśli chciał opiekować się Julką, musiał liczyć się ze zdaniem Doroty. Był to więc jednak pewien rodzaj zależności, i to może nawet dosyć niezdrowej.

Co do sytuacji prawnej, ta nie zmieniła się ani na jotę. Pomimo więzi łączącej Janusza z dzieckiem wedle prawa wciąż byli dla siebie obcy, co mogło powodować sporo komplikacji w życiu codziennym. Najmniejszą z nich było odbieranie Julki po lekcjach. Tu wystarczyła pisemna zgoda Doroty. Aż strach pomyśleć natomiast, co by się stało, gdyby Julia, będąc pod jego opieką, potrzebowała nagłej pomocy szpitalnej. Jeśli jeszcze do tego zdarzyłoby się, że jej jedyna opiekunka, czyli matka, przebywa akurat za granicą, mogłyby być z tego duże kłopoty.

Wszyscy wiedzieli, że wiecznie tak być nie może, ale na razie nikt nic z tym nie robił. Janusz bał się zaproponować jakiegokolwiek rozwiązanie, by nie rozwścieczyć Doroty, co mogłoby skutkować ponownym odebraniem mu dziecka. Dorota zaś najchętniej cofnęłaby czas do tamtego feralnego sierpniowego dnia, gdy wyszła z walizkami z Zakopiańskiej, ale takiego cudu nie potrafiła przecież dokonać. Gdyby jednak mogła, wzięłaby ślub z Januszem i zgodziła się na przysposobienie Julki. A że go nie kocha? To nic, żyła z nim przecież przez prawie osiem lat i ostatecznie nie było tak źle. Że brakowało jej w tym związku ognia? Ale za to miała poczucie bezpieczeństwa, a to może jest nawet ważniejsze od namiętności, do której tak tęskniła. Teraz wyrzucała sobie, że była zbyt naiwna i nieuważna. Sięgała gdzieś hen, nad horyzonty, podczas gdy to, co najważniejsze, zawsze było tuż obok.

Tak, cofnięcie czasu byłoby najlepszym rozwiązaniem, ale w istniejących okolicznościach trzeba by wymyślić coś innego. Tylko co? Tego Dorota jeszcze nie zdołała sprecyzować, choć powoli w jej głowie zaczynał kiełkować pewien plan.

*

– Cześć – rzuciła w słuchawkę któregoś kwietniowego przedpołudnia. – Znajdziesz dziś dla mnie pół godzinki?

Janusz właśnie wyszedł z gabinetu Marty i zmierzał do swojego biura. Z jakiegoś powodu telefon od Doroty wcale go nie zaskoczył, wywołał jedynie na jego twarzy coś na kształt grymasu. Skoro Zagórna prosi o spotkanie, to zapewne chce na dłużej zostawić u niego Julkę. Ostatnio bywało to prawie normą. Cieszyły go wszystkie wizyty córki i nie wyobrażał sobie bez nich życia, ale jednocześnie doskonale wiedział, że jest traktowany instrumentalnie. Stąd ten wyraz niezadowolenia na jego twarzy.

Nie odmówił jednak spotkania i godzinę później elegancka i sztywna jak zwykle Dorota stanęła w drzwiach jego gabinetu.

– Napijesz się czegoś? – zaproponował oschle, przybierając równie oficjalną postawę co ona.

– Chętnie kawy – odparła i nie czekając na zaproszenie, usiadła przy małym stoliku pod oknem.

– Co tym razem cię do mnie sprowadza? – zapytał z nutą ironii w głosie, stawiając przed nią filiżankę.

– Oczywiście Julka – odpowiedziała.

– Oczywiście – powtórzył za nią z przekąsem.

Dorota wiedziała, że nie ma już przed sobą Janusza sprzed miesiący czy lat. Doskonale wyczuwała, że całkowicie wymknął się spod jej kontroli i nie jest już od niej zależny. Skoro zatem nie posiada już żadnej władzy nad nim, powinna zachowywać spokój, a nawet chwilami uległość, jeśli chce coś z nim ugrać. Dlatego postanowiła z pokorą znosić jego uszczypliwości. W każdym razie do czasu.

– No, to o co chodzi? – odezwał się wreszcie po dłuższej chwili ciszy.

– Jeśli chcesz, to możesz zająć się Julią w przyszłym tygodniu.

Janusz przysiadł na brzegu biurka i odruchowo zmarszczył czoło. Przygryzł wargę i zacisnął dłoń na blacie. Milcząc, wnikliwie przyglądał się Dorocie. Spostrzegła jego niezadowolenie i nerwowo poruszyła się na krześle.

– Jakaś ty łaskawa... – fuknął wreszcie. – A co ty będziesz robić w tym czasie?

– Przepraszam... – zreflektowała się.

Wiedziała, że przeszarżowała i w ten sposób do niczego nie dojdzie. Rozmowę należało zacząć jeszcze raz, zupełnie inaczej.

– Dostałam ofertę pilotowania wycieczki. Siedem dni we Francji. Jeśli nie masz czasu dla Julki, oczywiście nie przyjmę tej propozycji, ale jeśli chciałbyś wziąć ją do siebie, to...

– To co?! – warknął, wchodząc jej w słowo.

Dorota podniosła dumnie głowę i wbiła w niego wzrok. Przełknęła czające się na końcu języka ostre słowa, po czym wzięła głęboki oddech.

– Cholera, Dorota! – Janusz nie wytrzymał. – Czy ty nie widzisz, co wyprawiasz?! Podrzucasz mi dziecko jak psa, z którym nie masz czasu wyjść na spacer! Tak nie można!

– Myślałam, że zależy ci na widywaniu Julki. – Opanowała się i mówiła najspokojniej, jak umiała.

– Nie odwracaj kota ogonem! Doskonale wiesz, że kocham ją i zrobię dla niej wszystko. Ale czy chociaż przez chwilę pomyślałaś, jak bardzo nieodpowiedzialnie zachowujemy się wobec niej?

Dorota milczała. Chyba nie pojmowała, co on miał na myśli.

– A jeśli, nie daj Boże, przy jakiegokolwiek kontroli drogowej policja zapyta, kim jestem dla Julki? Albo jeśli potrzebować będzie pomocy lekarskiej? Pomyślałaś o tym? Przecież służby gotowe są oskarżyć mnie o bezpodstawne przetrzymywanie obcego mi dziecka! A jak mnie wezmą za jakiegoś kidnapera?! Możemy sobie ściągnąć na głowę poważne kłopoty, kto wie, może nawet kuratora albo sąd rodzinny! I ty też możesz mieć przez to problemy! Mogą ograniczyć ci władzę rodzicielską, bo nie radzisz sobie z córką! Rozumiesz?!

Dorota zastygła w osłupieniu. Owszem, zawsze cechował ją dość daleko posunięty egoizm, ale nigdy lekkomyślność, w każdym razie nie zdawała sobie sprawy z tej cechy swego charakteru. I teraz, gdy Janusz podzielił się z nią wszystkimi obawami, ona także zaczęła mieć wątpliwości. Gdyby Julce rzeczywiście przytrafiło się coś pod jego opieką,

nie miałyby żadnego prawa, by o niej dysponować, i mimo najszczerzej chęci nie byłby w stanie jej pomóc. I wówczas ruszyłaby cała machina biurokratycznych procedur. A w ślad za nią seria przykrych konsekwencji.

– Dorota, przecież ja i Julka formalnie jesteśmy sobie obcy. Żaden urzędnik nie uwzględni naszej więzi – mówiąc to, nieco złagodniał i spojrzał na nią nieco cieplej.

– Masz rację... – przyznała cicho.

– Nie chcę się kłócić – dodał. – Wiesz przecież, że zawsze chętnie zajmę się Julią... Boję się tylko, czy uda się nam ją wychowywać na tych zasadach, albo raczej przy ich braku, aż do jej pełnoletności. – Po ostatnich słowach próbował się uśmiechnąć, ale raczej słabo mu to wyszło.

– To co robimy? – W tym momencie wyszła cała bezradność Doroty.

– To co zawsze – odparł już całkiem łagodnie. – Ja się nią zajmę przez tydzień, a ty w tym czasie będziesz się modlić, żeby nic się nie wydarzyło.

Omówili jeszcze tylko szczegóły wyjazdu Doroty oraz opieki nad Julią, ona w tym czasie dopiła kawę, po czym bez zbędnego przedłużania wizyty wstała, gotowa do wyjścia.

– Dziękuję, że mimo wszystko chcesz mi jeszcze pomagać. – W jej ustach brzmiało to jak wdzięczność, co należało docenić.

– Bo kocham to dziecko – Januszowi głos zaczął się łamać. – Ale chyba wiesz, że jedynym wyjściem w tej sytuacji byłoby przysposobienie?

– Wiem – odparła. – I wiem też, że teraz nie jest to już możliwe.

– To prawda – zgodził się z nią.

Odprowadził ją do drzwi i bardzo się zdziwił, gdy wyciągnęła do niego dłoń i po raz kolejny podziękowała. Nie wiedział, że ten gest był pierwszym w kierunku zmiany ich relacji, dlatego odebrał go błędnie jako wyraz wdzięczności.

– Co powiesz na weekend w Kazimierzu? – Janusz pochylał się nad ubraną jedynie w skąpe majteczki Martą i kusząco szeptał jej do ucha.

– Ja w Kazimierzu, a ty we mnie? – spytała rozanielona.

– Świetny pomysł. – Delikatnie i powoli całował płatek jej ucha.

– Mnie też się podoba. – Prężyła się jak kotka, czekając na dalsze pieszczoty. – Ale nie ociągaj się tak – ponagliła go – masuj.

Janusz posłusznie powrócił do przerwanej masażu i najlepiej, jak potrafił, przesuwał ciepłe dłonie po jej plecach, od czasu do czasu zapuszczając się w okolice piersi i brzucha. Marta była rozluźniona, podniecona i promienna. Wreszcie nie wytrzymała już dłużej i uniosła się na rękach, by obrócić się na plecy. Ta pozycja jeszcze bardziej podobała się Januszowi. Miał teraz swobodny dostęp do jej kształtnych piersi i ledwo skrytego pod koronką bielizny łona.

– Masuj... – szepnęła, gdy tak się w nią zapatrzył, że zamarł w bezruchu.

– Ile można masować? – Udał znudzonego i energicznie zdjął z niej bieliznę.

– No, może masz rację – skapitulowała i śmiejąc się głośno, objęła go za szyję i pocałowała namiętnie w usta.

Seks z nią był czystą rozkoszą. Zawsze żywo reagowała na jego pieszczoty, oddawała je w dwójnasób i nie pozwalała wątpić, że jest naprawdę szczęśliwa.

A wówczas i on był szczęśliwy, zadowolony z siebie i spełniony. Była kompletną przeciwnością Doroty i ciągle nie mógł się nadziwić, że tak bardzo pociąga go jej spontaniczność, szczery śmiech i radosne usposobienie. Jeszcze w ubiegłym roku pewien był, że kocha dokładnie coś innego – galanterię i dostojność, jedynie z rzadka okraszone cieniem uśmiechu. Dziś pewien był, że kocha luz, naturalność i bezpretensjonalność, cechy nierozdzielnie związane z Martą. Pewien był, że kocha właśnie Martę, a nie Dorotę.

– Powtórz o tym Kazimierzu, bo trochę byłam rozkojarzona. – Pół godziny później Marta uśmiechnęła się zniewalająco i po raz kolejny pocałowała Janusza.

– Teraz to ja jestem rozkojarzony – mruknął, muskając językiem jej wargi.

Po chwili oparł się na łokciu i wsparłszy głowę na dłoni, zaproponował, by w ten weekend, kiedy Julia będzie z nimi, pojechali do Kazimierza. Już dawno tam nie byli. Marta chętnie spotka się z rodzicami i Agatą, a Julka z pewnością ucieszy się z wizyty u dziadka. No i u cioci Grażyny, która wkupiła się w jej łaski właściwie nie wiadomo kiedy.

Piękna pogoda dodatkowo zachęcała do takiej wycieczki, toteż Marty wcale nie trzeba było namawiać. Musiała tylko zamienić się z kimś w pracy, by zyskać wolną sobotę, ale to nie powinno stanowić problemu.

– A co byś powiedział, by zaprosić też Mateusza? – spytała ni stąd, ni zowąd.

– Ej, co ty kombinujesz?

– Nic – odparła, robiąc niewinny dzióbek. – Pomyślałam tylko, że mogłoby być miło.

– Albo niemiło – rzucił.

– Dlaczego? – udawała naiwną. – Przecież to twój przyjaciel.

– I dlatego nie chcę wsadzić go na minę – wyjaśnił.

– A na Agatę? – spytała dwuznacznie.

– Tym bardziej – odparł. – Ona gotowa go znów przepędzić na cztery wiatry.

– A jeśli nie? – droczyła się Marta.

– Wolałbym tego nie sprawdzać. I tobie też nie radzę. Zostaw ich w spokoju.

– Zostawię na pewno – obiecała – ale najpierw trzeba im dać szansę. Obawiam się, że bez nas te uparciuchy nie zrobią nic, by się spotkać.

– A które z nich ma ochotę na takie spotkanie? – Janusz nie miał pojęcia, skąd u Marty ta nagła pewność, że Agata z Mateuszem mają się ku sobie.

– Jak ty nic nie rozumiesz... – westchnęła.

– Chyba masz rację, nic nie rozumiem – potwierdził. – Wiem jedynie, że kiedyś tak się pokłócili, że do dziś się nie cierpią.

– Nie sądzę... – powątpiewała. – Sprawdźmy to?

– Wolałbym nie, ale widzę, że cię nie przekonam.

Marta objęła go za szyję i przytuliwszy się mocno, pocałowała go po raz nie wiadomo który tego dnia.

– Jesteś bardzo mądrym facetem – powiedziała. Naprawdę tak myślała, ale w tym momencie chciała mile połechtać jego męskie ego.

Zjedli szybkie śniadanie i równie szybko zebraли się do pracy, a po południu tylko

na chwilę wstąpili do domu po Bidę i cały przyjemny, ciepły wieczór spędzili na spacerze po Lasku Bielańskim.

Agata miotała się po swoim kazimierskim mieszkaniu. Już drugi dzień była podenerwowana i podekscytowana jednocześnie. W pracy ledwo mogła się skupić na obowiązkach, a w domu, z braku zajęcia, chodziła tam i z powrotem, rozmyślając o przedwczorajszej rozmowie z Martą. Przyjaciółka zapowiedziała swój przyjazd do Kazimierza, i to była bardzo dobra wiadomość. Natomiast z równowagi wyprowadził ją fakt, że Marta zamierzała zorganizować w Janowcu jakieś ognisko czy po prostu spotkanie i zaprosiła też Mateusza. A najbardziej irytowało ją to, że w głębi ducha cieszyła się na tę wizytę.

Jakiś czas temu Grażyna trafnie zdefiniowała źródło wszelkich jej niepokojów i od tamtej chwili do jej świadomości nachalnie wdzierał się Mateusz. Artystka miała rację: to jego wspomnienie sprawiało, że Agata momentami traciła pewność siebie i budził się w niej irracjonalny lęk oraz przecucie, że gdzieś po drodze popełniła błąd.

Po rozmowie z Martą obawa ta powróciła ze zwielokrotnioną mocą i nie dawała jej spokoju. Chciała czy nie, Agata musiała przyznać przed samą sobą, że jeszcze nie całkiem wyleczyła się z zauroczenia Mateuszem. Była to konstatacja bardzo niepokojąca, ponieważ wynikało z niej, że ona wcale nie jest sobie sterem i okrętem, a jej życiem zaczynają kierować czynniki zupełnie od niej niezależne. I z tym się właśnie nie mogła pogodzić.

W czwartkowe popołudnie pod dom Bilskiego podjechał samochód, z którego natychmiast wyskoczyła mała dziewczynka, a zaraz za nią wysiadła jej matka. Janusz akurat był na zewnątrz, więc Julka od razu rzuciła mu się w ramiona.

– Cześć, skarbie – powiedział z czułością i pocałował córkę na powitanie. – Nawet nie wiesz, jak za tobą tęskniłem.

– Jeśli tak jak ja za tobą, to wiem – odparła rezolutnie mała.

Dorota podeszła do nich i czekała cierpliwie, aż się sobą nacieszą. Wreszcie uwagę Julki przyciągnęła Bida i wtedy Janusz mógł przejąć od Zagórnej torbę z rzeczami dziewczynki.

– Wejdiesz do środka? – zaproponował, choć miał nadzieję, że odmówi.

– Dziękuję, śpieszę się – odparła.

Zamienili ze sobą kilka słów, a na odchodne Dorota podeszła nieco bliżej i wyciągnęła ku niemu dłoń. Uścisnął ją, bo nie pozostawiła mu wyjścia, a nie chciał być gburem. I wówczas zupełnie niespodziewanie zrobiła jeszcze jeden krok, lekko wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek.

– Dziękuję ci za pomoc. Jak wrócę z Francji, to się odezwę. Cześć. – To wszystko powiedziała na jednym wydechu, by przypadkiem jej nie przerwał, po czym niemal natychmiast się cofnęła i ruszyła do samochodu.

Ten mały niezobowiązujący gest był drugim krokiem w jej planie. Ale tego Janusz się nie domyślił. Stał osłupiały i przyglądał się, jak wyprostowana niczym struna Dorota podchodzi do furtki, a potem wsiada do samochodu i po chwili znika z pola widzenia.

Z wysokości pierwszego piętra całą scenę obserwowała Marta i była nią równie zaskoczona jak Janusz, a na pewno znacznie bardziej przestraszona. Potem wszystko

wróciło do normy, w domu rozlegał się przyjazny szczebiot Julki, a Janusz był czuły i kochający jak zwykle.

Następnego wieczoru Bilski z narzeczoną, córką i psem powoli opuszczali zakorkowaną Warszawę, kierując się na południowy wschód. Do Janowca dotarli po ponad trzech godzinach. W starym domu po dziadkach czekał na nich Antoni z Grażyną. Od rana szykowali dla nich nocleg, wietrząc i odkurzając jedyny pokój, jaki się tam znajdował, i małą kuchnię. Starszy Bilski nie zaglądał tu od miesiąca czy nawet dwóch, cały swój czas spędzając z Grażyną w Kazimierzu. Oboje serdecznie zapraszali Janusza z rodziną na Puławską, ale on grzecznie podziękował, mówiąc, że nie chce im dezorganizować życia. Prawdziwy powód odmowy zaś był po prostu taki, że wolał pobyć tylko ze swoimi dziewczynami. Poza tym skoro zaprosił Agatę, Mateusza i ojca z Grażyną, a nawet rodziców Marty na ognisko w sobotę, uznał, że logistycznie będzie mu łatwiej, jeśli od razu rozlokuje się w Janowcu.

Dzięki sporemu wysiłkowi ojca i Grażyny warszawiacy przyjechali niemal na gotowe. Dom był porządnie wysprzątny, wywietrzony, a Antoni nawet przepalił w starych piecach, by trochę zmienić powietrze. W chlebaku czekało mnóstwo świeżego pieczywa, w lodówce nie brakowało artykułów pierwszej śniadaniowej czy też kolacyjnej potrzeby oraz kilku butelek piwa. Wielki bojler nad wanną przez półtorej godziny grzał wodę, tak więc od razu po podróży można było się umyć, nie szcękając zębami z zimna. Grażyna zadbała też o stronę estetyczną i na stole w kuchni oraz w pokoju zagościły piękne bukiety żonkili i narcyzów.

Stary dom, pomimo że od lat nieremontowany, wciąż spełniał swe funkcje i, choć nie zapewniał komfortu, zaspokajał podstawowe potrzeby. W ten późny wiosenny wieczór tętnił życiem i jak w czasach swej świetności przyjmował gości. Towarzystwo było wyjątkowo radosne i głośnie. Najhałaśliwsza była oczywiście Julka, lecz kiedy poszła spać, wcale nie zrobiło się mniej gwarnie, bo przy stole wciąż rozmawiano i wymieniano się poglądami na najprzeróżniejsze tematy.

Antoni z Grażyną zostali w Janowcu na późnej kolacji, a zaraz po niej wstali od stołu, zbierając się do powrotu. Marta spojrzała na Janusza i nieśmiało spytała, czy nie miałby nic przeciwko temu, by wybrała się na pogaduchy do Agaty. Zamierzała skorzystać z podwózki Antoniego i przenocować u przyjaciółki.

– Kotku, wcale mnie nie zaskoczyłaś swoim planem – roześmiał się. – I tak bardzo długo bez siebie wytrzymałyście, więc jedź i plotkuj do woli – zadrwił, puszczając do niej oko.

– Dzięki. – Cmoknąwszy go w policzek, od razu zerwała się z miejsca.

Antoni z Grażyną włożyli już kurtki i wyszli przed dom, gdzie czekali na Martę.

– Może jednak weźmiesz samochód – zaproponował Janusz i sięgnął po kluczyki leżące na szafce. – Jak już się nagadacie, to może wrócisz do mnie? Będę czekał niecierpliwie. – Ostatnie słowa szepnął jej wprost do ucha i zaraz potem pocałował ją w usta.

– A jeśli będę miała ochotę na wino? – droczyła się Marta.

– Większą niż na mnie? – Znów ją pocałował, tym razem w szyję.

– Pamiętasz, że w tym domu jest jeden pokój i jedno dziecko? – zaśmiała się

figlarnie.

– Oczywiście – odparł. – Jest też mały tapczan za kuchennym piecem. To co, powiem ojcu, że może już jechać?

– No dobra – zgodziła się, biorąc od niego kluczyki. – Ale nie obiecuję, że wrócę tej nocy – zastrzegła i cmoknęła go w policzek.

– I tak będę czekał... – westchnął. Gdy przyciągnął ją do siebie, jego dłonie od razu zgubiły się gdzieś pod jej koszulką.

Chwilę później wsiadła do samochodu i powoli ruszyła. Choć od ośmiu lat miała prawo jazdy, wciąż nieswojo czuła się za kierownicą, bo rzadko prowadziła. Właściwie zaczęła jeździć dopiero, odkąd związała się z Januszem, ponieważ wcześniej po prostu nie miała dostępu do samochodu. Początkowo miała obawy, ponieważ jego auto było sporych rozmiarów, ale stopniowo się przekonywała do niego i prowadziła coraz pewniej. Po pustych, dobrze jej znanych rodzimych drogach jechało jej się nawet lepiej niż po tłocznej Warszawie. O tej porze prom już nie kursował, musiała więc nadłożyć sporo drogi i pojechać przez Puławy. Prowadziła ostrożnie, bez pośpiechu, i dopiero po czterdziestu minutach zaparkowała pod kamienicą Agaty. Oczywiście zapowiedziała się z wizytą jeszcze w drodze z Warszawy. Nie obiecała wprawdzie, że na sto procent uda jej się do niej wpaść tego samego wieczoru, ale miała na to dużą nadzieję. No i nie pomyliła się – Janusz nie miał nic przeciwko jej planowi.

Przegadały ze sobą kilka godzin. To spotkanie szczególnie potrzebne było Agacie, bo choć otoczona życzliwością Antoniego i Grażyny, mimo wszystko czuła się osamotniona po wyprowadzce z Warszawy i nagłym odcięciu od przyjaciół, zwłaszcza od Marty. Jej także dobrze zrobiło sam na sam z przyjaciółką, mimo że jej życiem absolutnie zawładnął pewien mężczyzna, a także dziecko i pies. Agata natomiast tyle szczęścia nie miała i w Kazimierzu czuła się trochę jak na emigracji. Oczywiście nie narzekała, lecz Marta szybko wyczuła, że przyjaciółka jest w nie najlepszej formie.

– Ale przy ognisku jutro się widzimy? – spytała nie do końca pewna, czy Agata nie spróbuje się czymś wymówić.

– No, ja może niekoniecznie... – nawiązała żartobliwie do swojej ułomności. – Ale przyjadę na pewno.

– A już myślałam, że będę musiała cię błagać.

– Dlaczego? – Agata udała oburzenie. – Przecież zawsze pierwsza stawiałam się u ciebie na imprezach – dodała na swoją obronę.

Potem Marta zapytała o pracę. I tu Agata wreszcie się rozpromieniła i zaczęła z entuzjazmem opowiadać. Chwaliła wszystko, co związane było z Królem Kazimierzem. Rozpływała się też w zachwycie nad Danielem Kossowskim i resztą zespołu.

– No właśnie – zainteresowała się Marta. – A jak faceci? Są tu jacyś ciekawi i do wzięcia?

– Hm... – Agata zamyśliła się odrobinę, po czym zadrwiła z samej siebie: – Jakoś żadnego nie widzę. – Obie zaniósł się śmiechem.

– To może jednak rozważyłabyś ponownie kandydaturę Mateusza? – nieśmiało zasugerowała Marta.

Agata zmarszczyła czoło. Przyjaciółka trafiła w czuły punkt, a ona nie wiedziała,

co ma jej na to odpowiedzieć. Po własnych przemyśleniach oraz po rozmowach z Grażyną zastanawiała się niekiedy, czy nie powinna dać sobie jeszcze jednej szansy. O ile, oczywiście, jest to nadal możliwe, bo przecież nie można wykluczyć, że tym razem to Mateusz da jej kosza i boleśnie odrzuci jakiejkolwiek propozycje z jej strony, choćby najbardziej niezobowiązujące. Jednym słowem: Agata miała ochotę spróbować, ale się bała. Ogarniał ją strach przed upokorzeniem i odrzuceniem, czyli dokładnie przed tym, co sama zafundowała Mateuszowi. Może gdyby wszystko dało się rozpocząć zupełnie od nowa, jakby nic się między nimi nie stało, jakby nie było jego szczeniackiego strachu przed jej niepełnosprawnością i kary, którą mu perfidnie za to wymierzyła...

Agata była dumna z siebie, że mimo wszystko nie spytała, czy Mateusz też będzie na jutrzejszym ognisku. Po prostu honor jej na to nie pozwalał, ale jednocześnie zachodziła w głowę, jakiego fortelu użyć, aby się tego dowiedzieć, a jednocześnie nie zdradzić się ze swymi uczuciami. Na szczęście Marta przyszła jej z pomocą i w kolejnej godzinie ploteczek obwieściła, że Mateusz, owszem, został zaproszony, ale się pokrętnie wymigał i odmówił przyjazdu. Agacie zrobiło się bardzo przykro. Chociaż trzymała fason i próbowała walczyć z narastającą frustracją, Marta od razu wyczuła jej rozczarowanie.

– Głowa do góry – próbowała ją pocieszać. – Jeszcze nie raz będzie okazja do spotkania.

– Wcale nie mam ochoty się z nim spotykać – skłamała Agata i tym samym ucięła temat.

Do Janowca Marta dotarła po drugiej nad ranem. Najciszej, jak umiała, wzięła szybką kąpiel i na palcach weszła do pokoju, po czym wślizgnęła się pod kołdrę i przyłgnęła do Janusza, by jak najszybciej ogrzać się jego ciepłem. Obudził się na chwilę, objął ją ramieniem i już prawie zasypiając, pocałował.

– Kocham... – szepnęła mu do ucha Marta.

– Nie... – zaprzeczył prawie całkiem nieprzytomny. – To ja kocham.

Rozdział 19

Dzień rozpoczął się przelotnym ciepłym deszczem tuż przed wschodem słońca, a zaraz potem w krzewach i zaroślach odezwały się pierwsze ptasie trele, które szybko przybrały kształt cudownego wiosennego koncertu. Właśnie te dźwięki zbudziły po szóstej Janusza i potem nie mógł już w żaden sposób zasnąć. Wymknął się więc po cichu z łóżka, włączył bojler, by zagrzzać trochę wody do kąpieli, i postawił czajnik na kuchence gazowej. Po kilku minutach po kuchni rozszedł się orzeźwiający aromat kawy. Niewiele myśląc, Janusz narzucił na ramiona polarową bluzę, chwycił parujący kubek, po czym klepnąwszy się w udo, przywołał Bidę i razem wyszli przed dom. Stanęli w ogródku – pies zabawnie uniósł nos do góry i pokręcił nim, jakby zamierzał zaraz kichnąć, Janusz zaś z rozkoszą pociągnął łyk kawy, zanurzył palce w psiej sierści i przymrużył oczy, zaciągając się rześkim powietrzem. W zaroślach nieopodal rozległ się krzyk bażanta.

– Chodź, piesku – Janusz znów klepnął się w nogę, by przywołać Bidę. – Obejrzymy sobie nasze królestwo.

Otworzył starą zmurszałą furtkę i wyszedł na ścieżkę, która prowadziła do leciwego sadu. Drzewa były obsypane kwieciami niczym śniegiem. Śliwy i czereśnie już prawie przekwitwały, za to na jabłoniach i gruszach pąki dopiero strzelały, ukazując niczym niezmaconą biel lub biel przełamana różem i purpurą na brzegach delikatnych płatków.

Janusz rozejrzał się zachłannie wokół, potem podniósł wzrok na górujący ponad zieleniejącymi konarami odległych drzew zrujnowany zamek Firlejów. Przed laty był to dla niego zupełnie normalny widok, miejsce codziennego życia, dziś natomiast spoglądał na to wszystko jak zaciekawiony turysta. Dawniej zamek stanowił taki sam zwyczajny element architektury, jak choćby stodoła dziadków, teraz zaś Janusz zaczął odkrywać tę okolicę całkiem na nowo i doceniać jej niezwykłą urodę. Nie każdy mógł spędzać dzieciństwo na tak malowniczej prowincji.

– Tutaj jesteś – usłyszał za plecami ciepły głos Marty.

Podeszła do niego uśmiechnięta i na przywitanie pocałowała go, a potem sięgnęła po kubek z jego dłoni i dopiła ostatnie łyki prawie już zimnej kawy.

– Pięknie tu – zauważyła. – Jakoś nigdy dotąd nie zwracałam szczególnej uwagi na urok tych stron.

– Właśnie o tym samym myślałam... Dla mnie po prostu żyli tu dziadkowie. I tyle.

– A dla mnie był to dom i nic więcej – dodała.

– Może powinienem wreszcie zrobić coś z tym miejscem? – zastanowił się. – Nie wiem... Sprzedać albo wyremontować? W obecnym stanie jeszcze dwa, trzy lata i to wszystko się zawali. Może ojciec miałby ochotę tu zakotwiczyć? Jak myślisz?

– Nie mam pojęcia. Myślałam, że on na stałe wprowadził się do Grażyny.

– Nie jestem pewien... – zawahał się Bilski. – A co, jeśli się rozstaną? Wtedy biedak zostanie z niczym. Do matki przecież nie wróci. Zresztą ona i tak by go nie przyjęła. Znam ją świetnie i wiem, jaka potrafi być uparta nawet w błahych sprawach – zamyślił się na chwilę. – A ty? Chciałabyś mieć tutaj domek letniskowy? Czy może gdzieś na Mazurach? Albo nigdzie, tylko będziemy co roku wynajmować pensjonat w innym

miejscu. Co ty na to?

– Nie wiem – roześmiała się. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Gdziekolwiek, byle z tobą – dodała po chwili i przytuliła się do niego. – A może zainwestowałbyś w coś dla Julki?

– Masz rację – pocałował ją w czoło. – Tylko w co? Nie sądzę, żeby była zainteresowana tą posesją. A w każdym razie nie przez najbliższe dziesięć lat albo i dłużej. Może nawet nigdy nie zechce tu przyjeżdżać.

– Tego nie możesz przewidzieć.

– Powinienem wesprzeć ją już dziś, tylko nie mam ochoty płacić Dorocie. Wolalbym bezpośrednio Julce. A na to jest jeszcze za mała. Może założyłbym jej jakąś lokatę? Do osiemnastki powinno się sporo uzbierać. Miałyby na studia i start w dorosłość. Co o tym myślisz?

– Świetny pomysł – potwierdziła Marta, Janusz jednak wyczuł w jej głosie niepewność.

– Hej, kochanie, o co chodzi? – Delikatnie podniósł jej głowę do góry. – Nie podoba ci się, że chcę zadbać o dziecko?

– Boże! Co ty mówisz? – Marta aż podniosła głos z oburzenia. – Oczywiście, że powinieneś zadbać o córkę! Jak mogłeś pomyśleć, że mnie to przeszkadza? Przecież wiedziałam, że biorę sobie faceta z dzieckiem – dodała nieco łagodniejszym tonem. – Kto wie, może gdyby nie Julka, w ogóle nie zwróciłabym na ciebie uwagi – rzuciła zadziornie i szturchnęła go w bok.

– Zakochałaś się w moim dziecku? – zniżył głos, udając, że jej nie rozumie.

– Nie – odparła stanowczo. – Zakochałam się w facecie, który pięknie kocha dziecko.

Pochylił się nad nią i pocałował ją namiętnie.

– W takim razie skąd się wziął ten niewielki grymas na twojej ślicznej buźce? – spytał po chwili.

Odsunęła się nieco i utkwivszy wzrok w ziemi, włożyła ręce do kieszeni bluzy.

– Czasem sobie myślę, że gdyby nie ja, może miałbyś szansę na przysposobienie Julki.

– Kochanie, takiej szansy już nie ma. I to wcale nie przez ciebie – uspokajał ją. – Nie mogę adoptować Julki bez ślubu z Dorotą, bo ona straciłaby wtedy władzę rodzicielską. A przecież nie o to chodzi.

– Tak, ale gdyby nie ja, mógłbyś wziąć ten ślub.

– Oszalałaś! – Janusz powoli tracił cierpliwość. – Skąd przyszedł ci do głowy taki absurdalny pomysł? Jak mógłbym ożenić się z kobietą, która mnie oszukała, zdradziła, zabrała mi dziecko i mnie nie kocha?

– Ale wtedy mógłbyś zostać ojcem Julki – szepnęła.

– Owszem – odparł – tylko żadne z nas nie zniosłoby takiego życia. Zrozum, kochanie, ja chcę być z tobą. Jak ty to sobie wyobrażasz? Ja pod jednym dachem z Dorotą, która mnie nawet nie lubi, i do tego dziecko, które natychmiast wychwytuje wszelkie fałszywe nuty między nami? Skrzywdzilibyśmy się tym wszyscy nawzajem. I jeszcze ty byłabyś ofiarą. To jest niezdrowe i nie wracajmy więcej do tego.

– Ale ostatnio masz coraz częstszy kontakt z Dorotą... Myślałam, że coś jeszcze do niej czujesz.

– Owszem – potwierdził. – Czuję złość i chwilami nienawiść. Chyba nigdy nie będę umiał jej wybaczyć, a już na pewno nie potrafię jej zaufać. I choćby z tego powodu nigdy nie będziemy razem. Nawet dla Julki. Zatrulibyśmy sobie wszyscy życie. – Spojrzał na Martę, próbując odczytać z jej twarzy, czy wierzy jego słowom. – Kotku, nie martw się. Ona odnowiła ze mną kontakt tylko z wyrachowania, bo tak jest jej po prostu wygodnie. Zobacz, podrzuca mi dziecko, a sama w tym czasie może sobie spokojnie pracować. Jestem po prostu lepszy niż niania, bo Julka mnie akceptuje i jestem do jej dyspozycji przez całą dobę. Gdzie Dorota miałaby znaleźć lepszą opiekunkę? Do tego za darmo?

– No, nie wiem... – powiedziała z ociąganiem Marta. – Może masz rację.

– Oczywiście, że mam – uśmiechnął się. – Wracajmy do domu, pewnie Julka już się obudziła.

Niedługo po tym przed dom zajechała Grażyna samochodem Antoniego. Cały bagażnik miała wyładowany wiktuałami na ognisko. Marcie i Januszowi aż zrobiło się wstyd, że sami jeszcze niczego nie przygotowali i inni ich w tym wyręczają. Grażyna nie przywiązywała specjalnej wagi do takich drobiazgów, najwyraźniej była szczęśliwa, kiedy mogła się jeszcze na coś przydać. Odkąd ponownie spotkała się z Antonim, jej życie nabrało rozpędu, smaku i sensu. Nagle znalazła się w otoczeniu ludzi, którzy dodawali jej sił i nadziei, że jeszcze nie wszystko stracone, kto wie, może nawet najlepsze wciąż przed nią. Dlatego z takim entuzjazmem robiła to, co w latach samotnego życia przestało ją interesować: karmiła, bo miała kogo, kochała, bo była kochana, śmiała się, bo miała z kim.

– Jakie macie plany na wczesne popołudnie? – zwróciła się do Marty. – Bo Antoni serwuje dziś gofry własnej roboty. Serdecznie zapraszamy.

Marta obiecała matce, że zajrzą chociaż na chwilę na Słoneczną, dlatego na wizytę u Grażyny zostawało niewiele czasu, jeśli mają zdążyć z przygotowaniem ogniska. Ale Julka, usłyszawszy o gofrach, gotowa była wszcząć bunt i głodówkę, byle tylko pojawić się u dziadka. Przyjęli zatem zaproszenie, uprzedzając jednak, że nie zabawią długo na Puławskiej. Krakowskim targiem osiągnięto kompromis.

Państwo Żmigrodzcy gotowi byli już przed dwunastą poczęstować gości obiadem, ale Marta delikatnie wymówiła się tym, że niedawno zjedli śniadanie. Dostali więc talerz pełen kanapek i żeby nikogo nie obrazić, musieli zjeść chociaż po jednej. Tylko Julce się upiekło, bo naprawdę nie dałaby rady nic w siebie wcisnąć.

Wyglądało na to, że rodziców Marty nie będzie na ognisku w Janowcu. Gorąco dziękowali za zaproszenie, ale uznali, że ich wizyta nie ma sensu, bo nie zdążą na ostatni prom powrotny, a nie będą przecież wracali rowerami naokoło przez Puławy. Na nic zdały się tłumaczenia, że Marta w każdej chwili może ich odwieźć samochodem pod sam dom.

– A, daj spokój, dziecko – uparła się matka. – Wy jesteście jeszcze młodzi, to bawcie się choćby i do rana. Siedźcie sobie przy tym ognisku, podkładajcie drewno i sączcie drineczki. Nam wystarczy, żeście dziś do nas wpadli.

Ze Słonecznej przejechali w kilka minut na Puławską. Julka od razu pobiegła do

kuchni i zniecierpliwiona przyglądała się dziadkowi, jak wlewa ciasto do gofrownicy. By ją czymś zająć, Antoni dał jej tabliczkę gorzkiej czekolady do starcia, a sam ubijał śmietanę. Janusz z Martą siedzieli na kanapie naprzeciw Grażyny i gawędzili o wszystkim i o niczym.

– Mogę obejrzyć te prace? – Marta wskazała głową leżący na komodzie plik akwareli.

– Oczywiście – odparła Grażyna. – Śmiało.

Janusz podniósł się i podał narzeczonej kolorowe kartony. Było ich kilkadziesiąt, w różnych formatach, ale przeważały dwa motywy. Zdecydowaną większość stanowiły kazimierskie pejzaże, a kilkanaście prac przedstawiało Julkę i Antoniego.

– Posiedźcie tak przez chwilę – poprosiła Grażyna, po czym szybko pomknęła do drugiego pokoju.

Zdumieni narzeczeni, nie rozumiejąc, co zamierza, oglądali dalej obrazki. Po chwili Grażyna wróciła ze sztywnym arkuszem ciemnobrązowego papieru i białą kredką.

– Mogę? – spytała. Zamierzała zrobić im portret.

– Oczywiście – ucieszyła się Marta i przybrała sztuczną pozę.

– Nie, nie – zaprotestowała Grażyna. – Oglądaj sobie te prace i w ogóle nie zwracaj na mnie uwagi.

Choć nie było to łatwe, Marta próbowała zapomnieć, że jest obserwowana. Januszowi dużo lepiej z tym poszło, bo zachowywał się zupełnie normalnie i nie myślał o pozowaniu.

Pośród wielu akwarel znajdowała się i ta, na której Grażyna złożyła specjalną dedykację Antoniemu. Marta trzymała obrazek w dłoni i nie mogła się na niego napatrzeć. Poza sylwetką Antoniego widziała najprawdziwszą miłość dwojga dojrzałych ludzi, potwierdzoną cytatem.

– Szukałam tego w Paryżu, szukałam w Berlinie i Rzymie, a to za oknem było i miało polskie imię – Marta przeczytała półgłosem i spojrzała wymownie na Janusza. – Piękne.

– I mądre, prawda? – Grażyna podniosła wzrok znad arkusza. – Ja długo naczekałam się na swoje szczęście. A wy? Znaleźliście już to, co w życiu istotne?

Nie spodziewali się tak głębokiego pytania i zaskoczeni milczeli. Żadne z nich nie było gotowe do filozoficznych wynurzeń, ale w duchu oboje zgadzali się z Grażyną. I czuli, że udało im się znaleźć sens ludzkiej egzystencji, którym według nich była miłość.

Przez kilkanaście kolejnych minut Grażyna była całkowicie pochłonięta rysowaniem. Co chwilę zerkała na swoich modeli i szybkimi, jakby nerwowymi ruchami nanosiła białe kreski na papier. Kiedy uznała, że skończyła, rzuciła krótkie „no” i odwróciła karton, tak by narzeczeni mogli zobaczyć swój portret. Oboje byli pod wrażeniem, ale głośny zachwyt wyraziła przede wszystkim Marta. Słyszając jej radosny okrzyk, do pokoju zaraz wbiegła Julka, a tuż za nią Antoni. Grażyna była bardzo zadowolona ze swojej pracy. Udało jej się uchwycić urodę modeli – Janusz miał gęste, rozwiane włosy, a Marta świetnie zaznaczone skośne oczy i dołeczki w policzkach. Podobieństwo obojga było uderzające.

– No, to teraz zapraszam na gofry – zmienił wreszcie temat Antoni. – Czeka ich

cała wielka sterta.

Oczywiście Julce nie trzeba było dwa razy powtarzać, Grażyna z Antonim poszli za nią, Marta zaś wstrzymała nieco Janusza, by szepnąć mu sam na sam coś do ucha.

– Ty jesteś moje polskie imię – powiedziała i tak się rozczuliła, że aż w oku zakręciła się jej łza.

Janusz przytulił ją z całych sił, pocałował namiętnie i splótnął swoje i jej palce, delikatnie pociągnął za sobą do kuchni.

Po drugiej Marta, Janusz, Julka, pies i gofry na zapas odjechali z Puławskiej i wstąpili jeszcze po Agatę. Ona z kolei zabrała ze sobą zapiekankę do odgrzania i tak zaopatrzeni wszyscy razem ruszyli do Janowca. Antoni z Grażyną obiecali, że przyjadą około siódmej, by załapać się na kielbaski z patyka, których oboje przez całe lata nie jedli, a był to przecież smak ich młodości. Który bowiem mieszkaniec prowincji nie zna kielbasy pieczonej nad ogniskiem? A jeśli do tego jest jeszcze solony i pieczony w taki sam sposób, czyli na kiju, chleb, to niczego już nie brak do pełni szczęścia.

Janusz szybko rozstawił duży namiot ogrodowy, podwijając boczne ścianki, a potem zabrał się do układania szczap w miejscu przeznaczonym na ognisko i zadbał o zapas drewna, dziewczyny zaś szykowały jedzenie i stół pod namiotem. Agata najpierw musiała zrobić rozeznanie w obcym terenie, ale kiedy już poczuła się pewnie na trasie kuchnia–namiot, stała się w pełni wartościowym pomocnikiem, a nawet kucharzem.

Po szóstej wszystko było gotowe i Janusz rozpałił ogień pod polanami. Wszyscy czworo rozsiedli się na starych drewnianych ławach wokół ogniska i czekali na przyjazd Antoniego i Grażyny. Do Janusza zadzwoniła Dorota z ogólnym zapytaniem co u nich i jak się ma Julka. Rozmowa była niedługa, mimo to zdążyła zaniepokoić Martę. Nie trzeba być geniuszem, by zauważyć, że im więcej czasu mijało od chwili, gdy po raz pierwszy od rozstania Dorota pozwoliła Januszowi na spotkanie z córką, tym bardziej relacje między nimi się normalizowały. Zagórna coraz częściej dzwoniła, a nawet zamieniała kilka zdań z Januszem, oddając mu pod opiekę Julkę. Marta odnosiła wrażenie, że jest to z jej strony coś w rodzaju osaczenia. Ich kontakty i rozmowy nigdy nie były długie i zawsze dotyczyły wyłącznie dziecka, lecz dla Marty były trudne do przyjęcia, bo naruszały jej poczucie bezpieczeństwa. Na szczęście Janusz nigdy nie dał jej powodu do niepokoju. Nie czuła, by coś udawał czy kręcił, zawsze w jej obecności odbierał telefony od Doroty i był niezmiennie kochający i lojalny.

Gdy przed siódmą do towarzystwa dołączyli Grażyna z Antonim, rozpoczęli biesiadowanie. Na sprytnie zamontowanej nad ogniskiem sporej blasze piekły się mięsiwa i szaszłyki, natomiast na leszczynowych kijach trzaskały w płomieniach kielbasy oraz rumieniły się kromki chleba. I chyba właśnie te najprostsze dania cieszyły się największym powodzeniem. Jedynie Julka kręciła trochę nosem i narzekała, że tłusto.

– Zostańcie u nas na noc – zaproponował Janusz, widząc, że ojciec i Grażyna nie piją żadnego alkoholu. – Przecież jest na czym spać.

– Nie, kochani – podziękowała Grażyna. – Pobędziemy trochę z wami i wrócimy do siebie. Ale tu przyjemnie – zmieniła nagle temat. – Już nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz siedziałam przy takim ognisku.

Wieczór był chłodny, ale dzięki ciepłu bijącemu od ognia nikomu nie było zimno.

Pod namiotem i przy ognisku panowała sielska atmosfera. Jedzono, pito, a nawet trochę podśpiewywano. Około dziewiątej na drodze rozbłysły światła samochodu, który nagle wyraźnie zwolnił. Janusz uznał, że pewnie ktoś przejeżdżając, zainteresował się co to za zgromadzenie, dopiero gdy auto zatrzymało się przed domem, poszedł sprawdzić, kto się tu zabłąkał.

Po kilku minutach wrócił do reszty, ale nie sam. Obok niego stał Mateusz. Wszyscy, oprócz Agaty, odwrócili się z ciekawości i na moment wokół ogniska zaległa cisza.

– Mamy gościa – obwieścił Janusz.

– Cześć! – zawołała szczerze uradowana Marta. – Jednak jesteś! Nie miałeś kłopotów, żeby tu trafić?

– Żadnych – odparł Mateusz. – Nobla dla tego, kto wynalazł nawigację! – zakrzyknął.

Agata na dźwięk jego głosu zeszywniała, serce podeszło jej do gardła, a puls przyspieszył szaleńczo.

– Dobry wieczór państwu – Mateusz zwrócił się ogólnie do wszystkich, prawdopodobnie by uniknąć powitania z Agatą.

Odpowiedział mu chór przyjaznych głosów i od razu rozpoczęło się częstowanie. Marta przyniosła dodatkowe nakrycie, Grażyna dopytywała, na co gość ma ochotę i co mu włożyć na talerz, a Antoni próbował się przydać przy wyborze trunków. Nawet Bida i Julka wykazały zainteresowanie nowo przybyłym. Jedna merdała radośnie ogonem, a druga zapraszała na ciastko. Tylko Agata siedziała nieruchomo, z twarzą zwróconą ku ognisku.

Mateusz zdecydował się mimo wszystko przyjechać do Janowca, ponieważ coś mu podszeptywało, że może powinien jeszcze raz spróbować szczęścia. Ostatni raz. Jeśli Agata również tym razem go odtrąci, definitywnie przestanie jej się narzucać i pogodzi z porażką. Miał jednakże cichą nadzieję, że czas, który minął od ich ostatniego spotkania, nieco złagodził upór dziewczyny. Liczył na to, że mu uwierzy, gdy się jej przyzna, że uciekł, ponieważ się przestraszył, a nie dlatego, że się jej wstydził. Jedynie tyle miał na swoje usprawiedliwienie. Ufał, że to wystarczy.

Wieczór toczył się dalej i mimo wszystko był przyjemny. Tylko Julka zrobiła się w końcu senna i zaczęła trochę marudzić. Agata zaoferowała się, że odprowadzi ją do łóżka, opowie jakąś bajkę i poczeka przy niej, aż zaśnie, ale Antoni z Grażyną zaproponowali, że zabiorą ją do siebie, żeby zwolnić łóżko dla Mateusza. Małej całkiem to odpowiadało, bo oznaczało czytanie książek z dziadkiem, a następnego dnia rano wspólne śniadanie z nim i ciocią Grażynką.

Tak więc przy ognisku zostały tylko dwie pary plus pies, z czego jedną parę trudno było uznać za parę w określonym tego słowa znaczeniu. W powietrzu wisiała jakaś chmura, która zaburzała harmonię wieczoru i z którą należało wreszcie coś począć. Marta wysłała zatem Janusza do kuchni, aby przyniósł podgrzaną zapiekankę, w skrytości ducha licząc na jego domyślność. Na szczęście tym razem się sprawdził i po dwóch czy trzech minutach z wnętrza domu rozległo się jego wołanie o pomoc. Biedak nie wiedział, czy zapiekanka jest już gotowa. Marta zaś tylko na to czekała. Grzecznie więc przeprosiła gości i szybko pobiegła do niego.

Ogień wciąż trzaskał wesoło i strzelał iskrami w górę, ale poza tym wokół panowała cisza. Agata chrząknęła nerwowo i poprawiła koc, na którym siedziała, tymczasem Mateusz bezczelnie się jej przyglądał, nie mogąc zebrać się na odwagę, by powiedzieć cokolwiek, choćby jakieś jedno słówko dla rozluźnienia atmosfery. Wreszcie też odchrząknął, wstał z ławki i zdobył się na otwarcie ust.

– Czy my się przypadkiem nie znamy? – zaczął niepewnie, licząc na to, że odegranie małego teatrzyku pomoże w przełamaniu pierwszych lodów.

– Nie sędzę – odparła trochę zaskoczona Agata. – Nigdy pana nie widziałam. – To akurat było zgodne z prawdą.

– Może to i lepiej – rzekł zdenerwowany. – To mi pozwoli rozpocząć znajomość z panią z czystym kontem. Jestem Mateusz – wyciągnął do niej dłoń, którą instynktownie bezbłędnie wyczuła i uścisnęła nieśmiało.

– Agata – również się przedstawiła, czując, że to przedstawienie zaczyna ją nieco bawić i powoli nawet ją rozluźnia. – Poznałam kiedyś pewnego Mateusza. Straszny był z niego dupek...

– A czym sobie zasłużył na taką opinię, jeśli można wiedzieć? – Mateusz bał się odpowiedzi, zdawał sobie jednak sprawę, że zyska doskonałą okazję, aby się wytłumaczyć.

– Bał się, że zepsuje sobie wizerunek, pokazując się w moim towarzystwie. Zaburzałam mu swoją osobą jego idealną przestrzeń – powiedziała gorzko.

Była okrutna i najwyraźniej wciąż bolało ją to, że od niej uciekł.

„Mój Boże – pomyślał Mateusz – jedna ucieczka i kilka prób przeprosin, a ona wciąż pamięta tylko to, że raz popełniłem błąd. Za który zresztą słono płacę”.

– Agata, to nie tak – przestał wreszcie grać i po raz kolejny zaczął się tłumaczyć. – Ja się po prostu wtedy przestraszyłem. Chociaż spróbuj mnie zrozumieć, proszę.

– Przez tyle lat wpajano mi, że nie jestem gorsza, budowano moje poczucie wartości, a ty bezmyślnie je nadwątliliś. Nie ty pierwszy zresztą – dodała smutno.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Co jeszcze mogę zrobić, żebyś poczuła się lepiej?

– Nie wiem – odparła bezradnie. – Przez chwilę myślałam, że mógłbyś mnie pokochać...

– Przecież to nic prostszego! Mnie naprawdę na tobie zależy! Jesteś piękna, mądra i masz fantastycznie czułe palce, które doprowadzają mnie do szaleństwa.

– Ale nie mam już do ciebie zaufania – jej głos był coraz smutniejszy. – Zawiodłam się na tobie i nie potrafię ci na nowo uwierzyć.

Nie mógł dłużej tego słuchać. Trudno, zaryzykuje po raz ostatni i rzuci wszystko na jedną szalę. Nie zastanawiając się, podszedł do niej i ujął jej twarz w swoje ciepłe, ogrzane ogniem dłonie. Wzdrygnęła się, ale nie cofnęła. Pozostała na miejscu i czekała na jego kolejny ruch. Wiedziała, że chce dać mu jeszcze jedną szansę, lecz urażona duma nie pozwalała jej tego wyznać. Na szczęście on okazał się wystarczająco uparty i wciąż o nią walczył.

– Zakochałem się w tobie, dziewczyno – szepnął i pochylił się do jej ust.

Pocałował ją bardzo ostrożnie. Rozchyliła wargi i pozwoliła, by jego język

natychmiast wtargnął do jej ust. Czuła strach, ale podszyty wielką nadzieją. Nadzieją na lepsze jutro.

Zapiekanka już dawno była gotowa, toteż Marta z Januszem mieli chwilę dla siebie. Zdażyli się poprzytulać, powlekli czystą pościel dla Mateusza i trochę pożartowali z tych dwojga nieszczęśników, którzy może wreszcie jakoś się dogadają.

– Myślisz, że już możemy do nich wracać? – spytała konspiracyjnie Marta.

– Oj, nie wiem – Janusz był kiepskim ekspertem w kwestiach par. – Ty lepiej się na tym znasz.

– Niby dlaczego? – w głosie Marty zadrżała jakaś zaczepna nuta.

– Oj, bo to takie babskie – odparł. – Kocha, nie kocha, będzie z nią czy nie...

Piwka bym się napił – dodał tęsknie.

– A więc o to chodzi? – roześmiała się serdecznie. – Chłopiec zostawił swoje zabawki przy ognisku i teraz się nudzi? – mówiąc to, zrobiła zabawny dzióbek.

– No bo ile można się godzić? – niecierpliwił się. – Może jednak już pójdziemy?

– No dobrze – uznała Marta i podała mu zapiekankę.

Nad Janowcem trochę pokropiło i towarzystwo zgromadzone przy ognisku w pośpiechu przeniosło się pod namiot. Nikt jednak na razie nie myślał o ucieczce do domu, bo na dłuższy deszcz raczej się nie zanosilo. Pięć minut później rzeczywiście przestało padać.

Wszystko wskazywało na to, że Agata i Mateusz zawarli pakt o nieagresji, starali się bowiem prowadzić zupełnie zwyczajną rozmowę, co jednak po tylu nagromadzonych między nimi żalach łatwe nie było. Nie poddawali się jednak i oboje robili sobie coraz większą nadzieję, że jeszcze zdołają odbudować wszystko to, co tak spektakularnie i lekkomyślnie zniszczyli. Ale głośno tego nie mówili.

Nad ranem towarzystwo poszło wreszcie spać. Mateusz został ulokowany na wersalce w pokoju, Agata na kanapie po przeciwległej stronie Mateusza, a Marta z Januszem zajęli tapczan w kuchni. Bida zaś zwinęła się w kłębek pod kaflową kuchenką.

Zanim Marta zapadła w głęboki sen, usłyszała jeszcze skrzypienie starej podłogi w pokoju, a potem jakby zgrzyt sprężyn w kanapie, ale nie była pewna, czy to Mateusz przeniósł się do Agaty, czy też tylko jej się to przyśniło.

Rozdział 20

W połowie miesiąca kapryśny kwiecień pokazał się z nie najlepszej strony, dmuchając silnym zimnym wiatrem i sprowadzając nad Mazowsze i Lubelszczyznę szare chmury, z których pluł deszczem ze śniegiem. Od listopada różnił się jedynie świeżą zielenią traw i drzew. Po kilku dniach pogoda odrobinę się ustabilizowała, ale wciąż było chłodno i wietrznie, choć na szczęście deszcz padał już tylko sporadycznie.

Janusz wczesnym rankiem odwiózł zakatarzoną Julię pod szkołę, skąd razem z całą klasą wyjeżdżała na pierwszą w swoim życiu szkolną wycieczkę. Dotychczas z wychowawczynią i kolegami wychodziła do kina czy do teatrzyku kukielkowego, tym razem wyjazd był dłuższy i, co najważniejsze, bez rodziców. Od samego rana do późnych godzin popołudniowych dzieci miały spędzić czas w łódzkim lunaparku. Julia żyła tą eskapadą już od kilku dni i nawet najcięższe przeziębienie nie zatrzymałoby jej w domu.

Dorota poprosiła Janusza, by zajął się córką przed wyjazdem, a sama obiecała, że odbierze ją po wycieczce. Przez cały dzień oprowadzała grupę po Warszawie, ale po osiemnastej miała już być wolna.

Janusz, kompletnie niewyspany, przyszedł do pracy dużo przed czasem, ponieważ po odstawieniu Julki do autokaru nie wrócił już do domu. Zaparzył sobie mocnej kawy i zadzwonił do swojej matki. Chociaż żyli w jednym mieście, ich kontakt był zawsze bardzo ograniczony. Kiedy jeszcze mieszkał z rodzicami, Krystyna była tak oschła i surowa, wręcz jakby niezainteresowana własnym dzieckiem, że prawie nigdy nie mieli sobie wiele do powiedzenia. Owszem, widywali się z rana i wieczorami, ale często sprowadzało się to do mijania się w drzwiach lub wymiany kilku zdawkowych zdań w codziennych sprawach. Janusz właściwie nie pamiętał, czy kiedykolwiek rozmawiał z matką tak od serca. Odkąd zamieszkał na Zakopiańskiej, a potem związał się z Dorotą, ich kontakty stały się sporadyczne; spotykali się co najwyżej w święta i imieniny. Przez ostatni rok było jeszcze gorzej, ponieważ dumna Krystyna nie zamierzała dzielić się z nikim swoim upokorzeniem, a rozstanie z Antonim tak właśnie odbierała. Aby jednak jak zwykle jej było na wierzchu, postanowiła pierwsza wykonać odpowiedni ruch, lecz Januszowi nic o tym nie wspomniała. Tak więc z krótkiej rozmowy telefonicznej nie dowiedział się właściwie niczego poza tym, że matka ma się dobrze. W każdym razie powtórzyła to kilkakrotnie, a potem dosyć szybko się rozłączyła, wymawiając się brakiem czasu.

Janusz, siorbiąc gorącą kawę, zadzwonił do ojca. On był dużo bardziej rozmowny i życzliwy, aż chciało się z nim gadać.

– Synu – spytał w pewnej chwili Antoni. – Czy matka dostała od ciebie adres Grażyny?

– Nie – odparł zdziwiony. – Nigdy z nią o was nie rozmawiałem. A dlaczego pytasz?

– Bo wczoraj dostałem polecony z sądu. Matka złożyła wniosek o rozwód.

– Przykro mi – odruchowo odpowiedział Janusz.

– A mnie nie – Antoni był wręcz nad wyraz zadowolony. – Przecież wiedziałem,

co robię, odchodząc od niej. To się musiało tak skończyć i nie ma czego żałować. Zastanawiałem się tylko, skąd ona wzięła adres Grażyny.

– Może wyszukała w jakiejś starej książce telefonicznej i zaryzykowała, że może list dojdzie?

– Możliwe – Antoniemu też przeszło to przez myśl. – Zresztą nieważne. Dobrze się stało, najwyższy czas zakończyć to małżeństwo.

I to był właśnie ten odpowiedni ruch Krystyny. Wolą atakować, niż zostać zaatakowana, złożyła zatem wniosek o rozwód z orzeczeniem o winie, zanim zdążył zrobić to Antoni. W ten sposób oszukiwała samą siebie, że to ona rozdaje karty i decyduje o wszystkim. Ale przecież wyboru dawno już dokonał jej mąż i ona żyła teraz tak, jak on o tym zdecydował, czyli bez niego.

Kiedy Janusz skończył rozmowę z ojcem, właśnie pojawił się Mateusz.

– Nawet kawę już wypileś? – zamiast powitania wskazał głową na opróżnioną filiżankę. – Od której pracujesz?

– Jeszcze nie zacząłem – odparł Janusz i wyjaśnił, skąd to wczesne przyjście do biura.

– Aha – odparł na to Rogalski, uruchamiając laptopa, aby zapaść się przed nim na cały dzień. Janusz jednak próbował mu w tym przeszkodzić.

– Co u ciebie? – spytał ogólnie.

– W porządku – usłyszał równie ogólną odpowiedź, domyślił się jednak, że jest coraz lepiej.

Od kilku dni Mateusz wyglądał na naprawdę zadowolonego i wszystko wskazywało na to, że przyczyną jego dobrego nastroju jest Agata. Janusz wiedział to od Marty, bo gdyby miał liczyć na zwierzenia przyjaciela, to raczej by się ich nie doczekał. Agata niczego mu na razie nie obiecała, ale przynajmniej pozwoliła, aby rozpoczęli swoją znajomość od nowa. Czyli, jak zrozmiał Janusz, dała Mateuszowi szansę, a on starał się tym razem jej nie zaprzepaścić.

– Co tam u Agaty? – Janusz nie odpuszczał i nie bez satysfakcji zadreślał kumpla.

– Okej – odparł sucho, nie zamierzając dodawać nic ponadto.

*

W przerwie na lunch Marta wyszła do włoskiej knajpki i czekając na realizację zamówienia, zadzwoniła do Moniki.

– Hej, siostrzyczko – usłyszała w słuchawce jej ciepły i radosny głos.

– Cześć – odparła trochę zaskoczona, ponieważ ostatnio Monika bywała raczej przygnębiona. – Dawno się do mnie nie odzywałaś i zaczynałam się trochę martwić, ale mam nadzieję, że niepotrzebnie.

– Zupełnie niepotrzebnie. – Jej siostra była nie tylko radosna, ale wręcz podekscytowana.

– Stało się coś?

– Troszkę się u mnie pozmieniało – odpowiedziała Monika.

– O mój Boże, znowu?

– Nie martw się, kochana – zapewniła. – To same dobre -zmiany.

– No to opowiadaj! – Marta wzięła głęboki oddech, gotowa wysłuchać najnowszych rewelacji z życia siostry.

– Po pierwsze... – Monika dozowała emocje – ...znalazłam sobie mały przytulny pokój, a po drugie... – dalej budowała napięcie – rozstałam się z Rafałem. I po trzecie... – teraz nabrała rozpędu i ostatnie zdanie wyrzuciła na jednym wydechu: – zapisałam się do liceum dla dorosłych!

– Powoli, bo nic nie rozumiem.

– Zaczynam nowe życie! – powiedziała Monika.

Marta była w lekkim szoku. Ekscytacja siostry wydawała się podejrzana, postanowiła jednak dać jej szansę na sensowne wyjaśnienie. A nuż okaże się, że tym razem Monika nie była lekkomyślna?

Z jej opowieści wynikało, że któraś z kolei awantura i przepychanki z Rafałem przelały czarę goryczy i Monika na dobre postanowiła od niego odejść. Tym razem była silna i nie dała się przekonać kolejnym zapewnieniom o miłości. Spakowała swoje rzeczy i nie bez strachu się wyniosła. Bała się, że sobie nie poradzi, że nie znajdzie dla siebie żadnego kąta i z podkulonym ogonem będzie zmuszona wrócić do Rafała. Wpadła jednak na pomysł, by pojechać w okolice Wittigowa, gdzie bez trudu znalazła kilka atrakcyjnych ogłoszeń o pokojach do wynajęcia w mieszkaniach studenckich.

Potem przyszła refleksja, że Marta miała rację, twierdząc, że ich rodzina lubi życie w bylejakości i nikt nie zaszczepił siostrze Żmigrodzkiej potrzeby kształcenia. Dopiero patrząc na sąsiadki studentki, niemal rówieśnice, Monice zrobiło się wstyd, że jest wśród nich najslabiej wykształcona, i wtedy obudziła się w niej ambicja, by zrobić coś ze swoim życiem. Dziewczyny wsparły ją i okazały się na tyle uczynne, że zasypały ją przeróżnymi propozycjami samodoskonalenia. Były wśród nich zarówno pomysły absurdalne, jak i całkiem sensowne, jak choćby ten o podjęciu nauki w systemie eksternistycznym. W weekendowej szkole dla dorosłych trwała wtedy przedłużona do końca marca rekrutacja i Monika, za namową nowych koleżanek z mieszkania, zapisała się do liceum. Jeśli będzie wytrwała, to w dwa lata zdobędzie średnie wykształcenie, a może nawet zda maturę.

Marta była dumna z siostry. Po raz pierwszy miała pewność, że Monika podjęła dwie odpowiedzialne i mądre decyzje. Pierwszą było odejście od Rafała, a drugą – rozpoczęcie nauki.

– Bardzo się cieszę i mocno ci kibicuję – zapewniła Marta. – A Rafał dał ci tak po prostu spokój?

– Musisz o to pytać? – Monika wiedziała, że przed siostrą nic się nie ukryje, miała jednak nadzieję, że o to ją nie zagadnie.

– Hej, co jest? – Marta nastawiła uszu, gotowa puścić wiązanek najgorszych inwektyw pod adresem Rafała.

– Nie, nic – odparła Monika. – Znalazł sobie inną, więc mnie dał spokój.

– No i super! Przynajmniej masz z głowy tego damskiego boksera. Słuchaj, a może przeniosłabyś się do Warszawy? – zaproponowała. – Przecież teraz już cię nic nie trzyma we Wrocławiu. – Marta miała na myśli Rafała.

– Jak to?! – obruszyła się Monika. – A praca i szkoła to mało?

– To samo znajdziemy ci tutaj. No i zawsze to bliżej domu.

– Nie, siostrzyczko. Dobrze mi we Wrocławiu.

– Tylko pewnie całą pensję wydajesz na mieszkanie i życie? – Marta nie odpuszczała.

– Lekko nie jest, ale daję radę. I nie namawiaj mnie już, proszę – Monika powoli traciła cierpliwość.

– Okej, jak chcesz – Marta poddała się wreszcie. – Ale pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć – zapewniła.

– Wiem, kochana – Monika lekko się rozczuliła. – I bardzo ci za to dziękuję. Kończę już, bo mnie z pracy wyleją – zażartowała. – Pa!

– Pa – odpowiedziała Marta, podczas gdy w tym momencie za jej plecami wyrósł Janusz.

– Co to za pa? – spytał zaczepnie. – Z kim tak flirtujesz i dlaczego nie zaczekałaś na mnie z obiadem? – pochylił się nad nią i pocałował w policzek, po czym usiadł naprzeciwko.

– Nie czekałam, bo chciałam bez towarzystwa wykonać pewien telefon – zniżyła tajemniczo głos i czekała na jego reakcję.

– Dzwoniłaś do kochanka? – zapytał równie cicho.

– No właśnie – szepnęła z zalotnym uśmiechem.

– A tak poważnie? – Janusz nie miał już ochoty na żarty.

– Ej – wymierzyła mu ponad stolikiem kuksańca w ramię – nie jesteś o mnie zazdrosny?

– A powinienem być?

– Przynajmniej mógłbyś trochę poudawać – dąsała się.

Po tej sympatycznej serii przekomarzań Marta streściła mu rozmowę z Moniką, na co on w dziwny sposób pokręcił głową.

– No co? – spytała, nie bardzo rozumiejąc jego reakcję.

– Nic – uśmiechnął się. – Tylko nie potrafię pojąć, jak wy, kobiety, to robicie?

– Ale co?

– Jak to się dzieje, że z taką łatwością i tak błyskawicznie dowiadujecie się od siebie istotnych rzeczy, a przy okazji mnóstwa nieważnych i banalnych dupereli? W pięć minut potrafisz wyciągnąć całe dwa tygodnie z czyjegoś życia, na przykład Agaty czy, jak przed chwilą, Moniki. A kiedy ja próbuję zrobić to samo z Mateuszem, nie dowiaduję się niczego. Zero – podkreślił. – Rozumiesz? O życiu prywatnym kumpla informuje mnie moja narzeczona. No więc jak wy to robicie?

Marta wybuchła gromkim śmiechem. Naprawdę nie sądziła, że Janusza może męczyć coś takiego.

– Nie wiem – odpowiedziała, nie przestając się śmiać. – Naprawdę nie wiem, jak to robię. Może kobiety mają po prostu lepszy zmysł szpiegowski? Albo ty zadajesz złe pytania?

– Może... – zgodził się i zaczął jeść przyniesione przed chwilą przez kelnera spaghetti.

Po drodze do biurowca Janusz zaproponował Marcie wieczorne wyjście do kina.

Zgodziła się chętnie, ale zastrzegła sobie prawo wyboru filmu.

– Czyli obejrzę sobie dzisiaj komedię romantyczną? – Janusz udawał niezadowolonego.

– A jakie to ma dla ciebie znaczenie? – Marta z kolei udawała święte oburzenie. – Myślałam, że będziesz zainteresowany oglądaniem mnie!

– Kotku, ciebie to ja nie tylko będę oglądał, ale też całował, a jak się uda, to i poobmacuję co nieco.

– No, ja myślę! – rozbawił ją swoim planem na wieczór. – To co, może być komedia romantyczna?

– Jeśli będziesz obok, to może być – odpowiedział i pocałował ją na samym środku chodnika.

Umówili się przed dwudziestą na mieście. Janusz miał jeszcze jakieś dłuższe programowanie w pracy, postanowili więc spotkać się dopiero pod kinem.

*

– Halo?! – obcy kobiecy głos w słuchawce był wyraźnie podenerwowany. Wyświetlony numer nic Januszowi nie mówił. – Czy pan Bilski?

– Tak – odparł, mimowolnie ulegając napięciu. – Słucham?

– Danuta Kotlarska – przedstawiła się kobieta. – Jestem nauczycielką w szkole Julii. Od kilkunastu minut próbuję się skontaktować z panią Zagórną, ale ma wyłączony telefon...

– Co się stało?! – Janusz od razu wpadł w panikę.

– Nic, nic – zapewniła dosyć słabo. – Tylko proszę się nie denerwować. Julia złamała rękę.

– Gdzie ona jest?!

– Jeszcze wszyscy jesteśmy w Łodzi. Julia jest ze mną na SOR-ze i czekamy na założenie gipsu, ale lekarz się upiera, że bez rodzica niczego nie zrobi. No a pani Zagórna nie odbiera telefonu – tłumaczyła bezradnie kobieta.

Janusz wpadł w popłoch i na chwilę stracił głowę. Właśnie wydarzyło się to, czego tak bardzo się obawiał, czyli wypadek, a tylko Dorota miała prawo do decydowania o dziecku. Tego jednak nauczycielce nie powiedział. Zresztą nie musiał, bo ona doskonale wiedziała, że w zaistniałej sytuacji niezbędna jest obecność Doroty, a nie jego. Jednak z powodu niemożności kontaktu z nią porozumiała się z nim, bo co innego miała zrobić? Innego ojca to dziecko nie ma.

Szybko zapisał adres łódzkiego szpitala i wybiegając z biura, zdążył jedynie krzyknąć do Mateusza, że jedzie do szpitala po Julkę. Co kwadrans próbował dodzwonić się do Doroty, ale jej komórka wciąż milczała. Kiedy tłumaczyła, zawsze miała wyłączony telefon. Twierdziła, że to z szacunku dla klientów, którzy przeważnie byli poważnymi biznesmenami i wymagali od niej pełnej dyspozycyjności.

Droga dłużyła się Januszowi tak bardzo, że parę razy próbował przyśpieszyć i nawet jechał dość nieostrożnie. Tuż przed Łodzią udało mu się wreszcie skontaktować z Dorotą, która wpadła w jeszcze większą histerię niż on i bez chwili wahania oznajmiła, że najszybciej, jak się da, przyjedzie do szpitala.

W końcu, po ponad dwóch godzinach, Bilski dotarł do celu. Dobrych kilka minut zajęło mu znalezienie miejsca na parking, a potem odszukanie córki na SOR-ze. Po drodze zadzwonił jeszcze do Marty, bo przypomniał sobie, że przecież umówili się na miście, a w tej sytuacji musiał odwołać pójście do kina. Potem w pośpiechu wbiegł na długi szpitalny korytarz i przemierzał kolejne metry, aż wreszcie za zakrętem dostrzegł Julię siedzącą na krześle pod ścianą, a obok niej nieznaną kobietę. Podbiegł do nich i miał wielką ochotę porwać małą w ramiona, na szczęście jednak w porę sobie przypomniał, że ma złamaną rękę. Przykucnął więc przy niej i głaszcząc ją po włosach, spytał, co się stało. Julia wyglądała na wycieńczoną, miała rozpalone czoło i uciążliwy katar, ale była dzielna i cierpliwie czekała na pomoc. Jednak co się stało, nie bardzo potrafiła wyjaśnić. Z pomocą przyszła nauczycielka. Opowiedziała, jak dzieci bawiły się kolejno na dmuchańcach oraz na karuzelach i podczas przejścia od jednej atrakcji do drugiej Julia po prostu się potknęła i upadła. Na prostej drodze, nikt jej nie popchnął, nie wystawało z chodnika, po prostu stało się. Nawet trudno to nazwać chwilą nieuwagi, bo był to zwykły spacer, a nie żadne szaleństwo na przykład na huśtawkach.

– Jak długo tutaj siedzicie? – dociekał Janusz. – I dlaczego nikt nie zajmuje się moją córką?

– Panie Bilski, niech się pan tak nie unosi, to nic nie da – delikatnie zasugerowała nauczycielka, która sama była zdenerwowana i wiele by dała, by ten dzień wreszcie się skończył. – Lekarz obejrzał Julię, zrobił jej prześwietlenie i stwierdził, że nie ma zagrożenia życia, wobec czego postanowił poczekać na panią Zagórną. No, ale sam pan wie... – tłumaczyła się.

– Ale teraz to już chyba mógłby się ktoś nią zainteresować? Gdzie znajdę tego lekarza?

Do nauczycielki zadzwonił telefon. Po krótkiej rozmowie spytała Janusza, czy mogłaby zostawić Julię pod jego opieką, a sama dołączyłaby do reszty wycieczki, która właśnie szykowała się do powrotu do Warszawy.

– Oczywiście – odparł. – Niech pani jedzie, my już tu sobie poradzimy. Dziękuję – dodał na pożegnanie.

Z jednego z gabinetów wyszedł lekarz i zapewne sądząc, że ma do czynienia z ojcem małej pacjentki, podszedł do Janusza i się przedstawił.

– Dlaczego przez tyle czasu moja córka siedzi na korytarzu i dotąd nikt się nią nie zajął? – Bilski mówił grzecznie, ale stanowczo.

– Stan dziecka jest zadowalający, dlatego postanowiliśmy poczekać na opiekuna prawnego. Zaraz założymy gips i będzie pan mógł zabrać córkę do domu. Proszę podejść do pielęgniarki i podać dane do dokumentacji.

Janusz bez zbędnej zwłoki wykonał polecenie. Z pamięci podyktował pesel Julki, adres, lecz kiedy wymienił swoje nazwisko, pielęgniarka podniosła na niego wzrok.

– Czy pan jest ojcem dziewczynki?

Zawahał się przez moment. Był coraz bardziej wściekły, ale wiedział, że złością i krzykiem nic nie wskóra, a może niepotrzebnie wprowadzić nieprzyjemną atmosferę.

– Nie – przyznał się. – Ale wychowuję ją od urodzenia. Niechże pani nie robi problemów.

– Przepraszam, mam procedury...

– Do cholery! – podniósł głos. – Tam siedzi dziecko ze złamaną ręką i czeka na pomoc, a pani mi tu o jakichś procedurach?

– Proszę na mnie nie krzyczeć. – Pielęgniarka najwyraźniej chciałaby pomóc, ale nie mogła nic zrobić, bo sama naraziłaby się na nieprzyjemne konsekwencje. – Zaraz zawołam doktora, niech on zdecyduje...

Lekarz był nieprzejednany. Uparł się, że bez obecności matki nic nie zrobi.

– A widział pan podpisaną przez matkę zgodę na wycieczkę? Tam jest akapit, że zgadza się na przeprowadzenie niezbędnych czynności w razie wypadku. Pod spodem widnieje jej podpis.

– Widziałem tę kartkę – odparł lekarz. – Proszę mi wybaczyć, ale ona nie ma żadnej mocy prawnej.

– W takim razie po co nauczyciele zbierają takie zgody przed wycieczką?!

– Nie mam pojęcia – przyznał lekarz. – Ale wiem, że dla mnie nie jest to żaden dokument.

Przekonywanie doktora do tego, by założył Julce gips przed przyjazdem Doroty, trwało długo i wsparte było silną argumentacją ze strony Janusza. W głowie mu się nie mieściło, że lekarz odmawia wykonania swoich obowiązków, wręcz mu to zarzucił. Zaczął go nawet posądzać o świadomą opieszałość i brak dobrej woli, choć prawda była taka, że doktor, podobnie jak pielęgniarka, obawiał się, że NFZ nie zrefunduje pobytu Julii na oddziale, i władze szpitala będą miały o to pretensje właśnie do niego. Biurokracja wygrywała ze zwykłym ludzkim podejściem. Janusz z przykrością stwierdził, że lekarze są przede wszystkim urzędnikami, a ich praca przestała być służbą i powołaniem.

Po długich pertraktacjach obolałą i zmęczoną Julię wzięto wreszcie do gabinetu zabiegowego na założenie gipsu. Przeciw-bólowo zaaplikowano jej tylko apap, który właśnie przestawał działać.

Janusz opadł bez sił na krzesło i oparłszy łokcie na udach, wsparł głowę na dłoniach. W takiej pozycji zastała go Dorota, która z impetem wbiegła na oddział i natychmiast zasypała go szeregiem pytań. Zanim Julia wyszła z zagipsowaną ręką, zdążył jej opowiedzieć wszystko, co sam wiedział. W Dorocie jakby obudziło się sumienie. Pod powiekami przyczały się łzy, co było u niej niesłychanie rzadkie. Przez chwilę Janusz nie wiedział, czy rzeczywiście żał jej cierpiącej córki, czy tylko roztkliwia się nad sobą.

Emocje zrobiły swoje. Dorota stała przed Januszem, po jej policzkach płynęły łzy, drżała coraz mocniej. Nie chciał oglądać jej w takim stanie i zupełnie nie wiedział, co zrobić, by przestała tak dygotać. Podszedł więc do niej i przytulił, ale to tylko spowodowało, że zaczęła jeszcze bardziej płakać.

– Ciii... – powiedział, głaszcząc ją delikatnie po włosach. – Będzie dobrze, już nie płacz.

Przez chwilę stali w milczeniu. Wreszcie Dorota zaczęła się uspokajać.

– Widzisz... – odezwał się Janusz – a wszystko mogło się potoczyć zupełnie inaczej... Mogłoby nie być dzisiejszych problemów, gdyby Julia była moim przysposobionym dzieckiem... Ale tobie na tym nie zależało... – dodał ze smutkiem. –

Nie chciałaś mnie.

Dorota cofnęła się o krok i wytarła dłonią zapłakane oczy. Na drugim końcu korytarza, gdzieś za zakrętem, słychać było hałas otwieranych drzwi wejściowych i czyjeś szybkie kroki.

– Ożeń się ze mną... – powiedziała po chwili Dorota niemal błagalnym tonem.

Janusz stał osłupiały i nie wiedział, jak zareagować na jej słowa. Nie tylko on był ich świadkiem. Tuż za załomem ściany stała Marta, która dowiedziawszy się o wypadku, zawróciła z drogi do domu, wpadła z impetem do biura i zmusiła Mateusza, by przywiózł ją do Łodzi. Wiedziała doskonale, że w żaden sposób nie może Januszowi pomóc, ale chciała przy nim być. Słowa Doroty wprawiły ją w osłupienie. Niezauważona przez nikogo tkwiła przez chwilę w miejscu, a potem, z bijącym z trwogi sercem, odwróciła się na pięcie. Wyszła przed szpital i bezradnie oparła się o ścianę. Nie chciała w takim stanie pokazywać się Mateuszowi ani tym bardziej nie miała ochoty na spotkanie z Januszem i Dorotą. Była bliska płaczu.

– Dorota... – zareagował wreszcie Janusz. – Co ty mówisz?

– Słyszałeś. Nie każ mi tego powtarzać. – Duma nie pozwalała jej ponowić swojej prośby, i to trochę otrzeźwiło Janusza.

– Nasz czas minął i dobrze o tym wiesz.

Może dodałby coś jeszcze, ale z gabinetu wyszła Julia. Lekarz ucieszył się, że Dorota wreszcie dotarła do szpitala i z czystym sumieniem zabrał się do uzupełniania dokumentacji. Formalności zajęły dobrą chwilę, w tym czasie Julkę zabrano na ponowne zdjęcie, by sprawdzić, czy rękę dobrze złożono, i dopiero potem wszyscy troje wyszli ze szpitala.

– Marta? – zdziwił się Janusz, widząc ją przy drzwiach wejściowych. – Co ty tu robisz, kochanie?

Stała przemarznięta na dworze, bo na powrót do samochodu Mateusza nie miała ochoty, a na wejście z powrotem do Janusza zabrakło jej odwagi. Miała za to czas, by się zastanowić. Kochała Janusza, była tego pewna, i kochała też jego córkę. Ale wyraźnie czuła, że prędzej czy później los doprowadzi do konfrontacji. Albo dziecko, albo ona.

Za nic w świecie nie chciała, by Dorota zauważyła jej rozterki, dlatego najszybciej, jak umiała, postarała się doprowadzić do porządku, wzięła kilka głębszych oddechów, zamrugła szybko powiekami, by przepędzić cisnące się wciąż łzy, i akurat wtedy Janusz otworzył drzwi i przepuścił przodem Dorotę z Julią. Z Zagórną przywitała się chłodno, natomiast z Julią ciepło i serdecznie.

– Jak się czujesz, skarbie? – spytała szczerze zatroskana.

– Chyba mam grypę – odparła Julia ponuro. – Albo i coś gorszego – dodała w taki sposób, że rozbawiła tym Martę i ojca.

– Na takie „coś gorszego” – odpowiedziała z uśmiechem Marta – to najlepszy będzie chyba rosół.

– O! – ożywiła się Julia. – Tak! Taki twój, z lubczykiem – poprosiła.

Marta nie zdążyła zareagować na jej prośbę, bo do rozmowy wtrąciła się Dorota.

– Chodź szybko do samochodu – powiedziała. – Przy twoim przeziębieniu takie stanie na wietrze to nic dobrego.

Położyła rękę na ramieniu córki i delikatnie pchnęła ją przed siebie. Janusz zdążył jedynie pocałować małą w policzek i obiecać, że jutro z rana ją odwiedzi.

Z powodu zamieszania i nagłego przygnębienia Marta zapomniała podziękować Mateuszowi za podrzucenie jej do Łodzi i poinformować go, że może już wracać. Czekał więc posłusznie na parkingu.

– Bardzo cię przepraszam, że kazałam ci tu stać, ale przyznaję, że zapomniałam o tobie. – Spojrzała na niego z poczuciem winy, gdy wreszcie podeszła do niego z Januszem.

– Dzięki, stary, za pomoc. – Bilski wyciągnął dłoń do przyjaciela.

– Nie ma sprawy. A co z Julką?

– Będzie dobrze. – Janusz wykrzesał z siebie coś na kształt uśmiechu.

Po chwili Mateusz uruchomił silnik i odjechał, a Marta z Januszem ruszyli w kierunku jego samochodu. Wkrótce wyjeżdżali już z Łodzi. Stresujący dzień spowodował, że nie mieli ani siły, ani ochoty na rozmowę. Jechali prawie w milczeniu, Janusz rozmyślał o dziecku i fatalnej służbie zdrowia, a Marta o przyszłości swojego związku. Miała czarne myśli, lecz nie zdradziła się z nimi przed narzeczonym.

Rozdział 21

Pod koniec kwietnia wróciła wreszcie piękna pogoda, temperatura powędrowała przyjemnie w górę, słońce nie musiało się już przebijać przez grubą warstwę chmur, a wiatr nie przeszywał do szpiku kości.

W ogródku Bilskiego szykowały się do kwitnienia napęczniałe tulipany, a za płotem, u Kaczewskich, różowiły się pierwsze bzy.

Właśnie upływał rok znajomości Marty i Janusza. Napięta atmosfera po wypadku Julki wracała do normy i życie na Zakopiańskiej zaczynało biec zwykłym pogodnym rytmem. Narzeczeni nie mogli co prawda dojść do porozumienia co do faktycznej daty ich pierwszego spotkania – Janusz bowiem pierwszy raz zobaczył Martę trzeciego maja, ona natomiast zauważyła go dopiero następnego dnia, kiedy opychał się kazimierskimi kogutami na rynku – i wobec tych rozbieżności musieli pójść na jakiś kompromis.

– Niech ci będzie czwarty maja – skapitulował Janusz, przytulając się do Marty.

Na długi majowy weekend wybrali się do Kazimierza i Janowca. Spacerowali wśród gęstniejącego tłumu turystów, popijali piwo U Fryzjera, a obiady jadali na Słonecznej albo Puławskiej. Spotkali się też z Agatą, a nawet przez chwilę widzieli Mateusza, który był u niej coraz częstszym gościem. Wszystko wskazywało na to, że bliscy Marty i Janusza są zadowoleni i szczęśliwi.

Oni także mieli się zupełnie dobrze, choć Martę od czasu do czasu nawiedzały myśli, po których była rozdygotana i niepewna jutra. Wyczuwała coraz większą niechęć wobec niej ze strony Doroty, która jakoś nad wyraz często ostatnio u nich bywała. Przywoziła Julię, potem ją odbierała, przystawała na dwa słowa w progu lub na podwórku, a nawet raz czy dwa nie odmówiła herbaty, którą kurtuazyjnie zaproponował Janusz.

Najlepszą formą relaksu i odskocznią od problemów był dla Marty niezmiennie basen. Wciąż bardzo chętnie chodziła popływać, a nawet, nie wiedząc kiedy, zwielokrotniła swoje wizyty na pływalni. W pierwszym tygodniu maja, któregoś późnego wieczoru po skończonej pracy sięgnęła po torbę ze strojem i ręcznikami, po czym udała się w wiadomym kierunku. Powitały ją przyćmione światła i zupełna pustka, czyli to, co lubiła najbardziej. Wskoczyła do wody i bez pośpiechu przepłynęła dwie długości, zatrzymała się na chwilę, by złapać oddech, i kiedy znów ruszyła przed siebie, drzwi pływalni się otworzyły i stanął w nich Janusz. Zwolniła i zawisła w miejscu, zbierając dłońmi wodę z twarzy i włosów. Uśmiechnęła się przy tym mimowolnie, na co on odpowiedział także uśmiechem i wskoczył, rozchlapując wodę na boki. Podpłynął do niej i skierował ją ku brzegowi.

– Wiedziałem, że cię tu znajdę – szepnął i nachylił się nad nią, całując jej kark centymetr po centymetrze.

– Miałam nadzieję, że przyjdiesz – odpowiedziała równie cicho i mruknęła z rozkoszy.

Nie przestając jej całować, włożył palec pod szerokie ramiączko kostiumu i powoli je zsunął. To samo zrobił z drugim, odsłaniając jej jędrne piersi, po czym pochylił się

jeszcze bardziej, by móc pieścić jej sutki. Z upojeniem odchyliła głowę, przymrużyła powieki i wczepiła się palcami w jego włosy, masując mu skórę na skroniach. Uwielbiał to. Kochał każdy dotyk jej palców, które znały chyba wszystkie jego strefy erogenne. Odepchnął się lekko od dna i obrócił tak, że Marta przywarła plecami do ściany basenu. Woda zafalowała i z pluskiem szukała poziomu, ale dwa rozgrzane ciała nie pozwalały jej zastygnąć w bezruchu. Janusz coraz niżej zsuwał kostium Marty i nadal całował jej piersi, a potem brzuch, aż woda, zalewając mu twarz, w końcu uniemożliwiła te pieszczoty. Rozebrał ją do naga, odłożył kostium na posadzkę za jej plecami i po chwili uniósł ją lekko do góry. Marta natychmiast oplotła nogami jego biodra i poczuła, jak w nią delikatnie wchodzi. Miała wrażenie, że za chwilę oszaleje z rozkoszy, i tylko z obawy przed echem gromko rozbrzmiewającym po ogromnej hali powstrzymała się od ekstatycznego krzyku.

– O tak... – jęknęła jedynie i przygryzła płatek jego ucha.

– Ratujesz mi życie. – Dorota stała na podwórzu, a tuż przed nią Janusz. – Odbiorę ją za jakieś pięć godzin.

– Wiesz przecież, że Julia może tu też przenocować. Nie musisz po nią przyjeżdżać.

– Wiem – odpowiedziała trochę cieplej niż zazwyczaj. – Jeszcze raz ci dziękuję za pomoc.

Janusz sądził, że po tych zwyczajowych uprzejmościach Dorota pożegna się i pójdzie. Taki też miała zamiar, ale gdy kątem oka dostrzegła ponad jego plecami, że w pokoju na górze poruszyła się firanka, bez chwili namysłu postanowiła zmącić spokój Marty i zasiał w niej niepewność. Podeszła bliżej do nieprzeczuwającego Janusza i chwyciwszy go za szyję, pocałowała w same usta. Trwało to sekundę, nie dłużej, bo Janusz odskoczył od niej jak oparzony, nie kryjąc zdumienia.

– Dorota, do cholery! – krzyknął. – Co to miało być?!

– Przepraszam – uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń, by zetrzeć szminkę z jego ust. – Nie mogłam się powstrzymać.

– Nigdy więcej, rozumiesz? Nie próbuj tego nigdy więcej!

Pod Martą ugięły się nogi. Widziała każdy gest Doroty. Widziała też reakcję Janusza, ale i tak wpadła w popłoch. Jej serce najpierw zamarło, a potem ruszyło w galopie, aż pociemniało jej przed oczami i musiała przysiąść na skraju łóżka, by nie upaść. Na koniec ciężko westchnęła.

Kilka minut później Janusz zastał ją w tej samej pozycji, na brzegu łóżka.

– Co tam, kochanie? – zagadnął i przysiadł obok niej.

– Nic – ocknęła się. Niemal natychmiast wstała i zamierzała zejść na dół. – Trochę boli mnie głowa – skłamała.

Ani słowem nie zająknął się na temat incydentu, którego była świadkiem, co bardzo ją zabolowało. Może gdyby się przyznał, na co poważyła się Dorota, byłoby jej łatwiej przejść nad tym do porządku. Ponieważ jednak zataił to zdarzenie, znów powróciły irracjonalne wątpliwości, które nie dawały jej spokoju już wcześniej.

Marta przestawała ufać Januszowi, nawet nie zdając sobie sprawy, że właśnie o to chodziło Dorocie, która już od jakiegoś czasu konsekwentnie, choć powoli realizowała

swój perfidny i nikczemny plan.

Mijały kolejne dni. Niby wszystko było w porządku, Janusz był czuły i kochający jak zawsze, ale Martę trawił niepokój. Anali-zowała wnikliwie każde słowo i każdy gest narzeczonego i we wszystkim zaczynała węszyć jakieś oszustwo. Z całych sił próbowała się bronić przed tą destrukcją, była jednak bezradna wobec swoich fobii.

Janusz dość szybko zauważył, że z Martą zaczyna się dziać coś niedobrego. Widział, jak nie wiadomo dlaczego nagle popada w zadumę i przez okno w kuchni tępo wpatruje się w pustkę, wyczuwał w niej napięcie. Wreszcie wprost spytał, o co chodzi.

– Nie wiem – odparła zgodnie z prawdą. – Może zbyt pochopnie podjęliśmy decyzję o tym, żeby być razem?

– Co ty wygadujesz? – przestraszył się.

– Jestem przeszkodą na drodze twojej i Doroty – rzekła, patrząc mu ze smutkiem w oczy.

– Marta, kochanie! – Przypadł do niej i w opiekuńczym geście natychmiast objął ją ramieniem. – Ja i Dorota to przeszłość. Nigdy nie będziemy razem. Myślałem, że to wiesz...

– A Julia? – spytała z płaczem.

– A Julia przyjęła to do wiadomości i wiesz dobrze, że wcale nie narzeka.

– Ale adopcja... – nie była w stanie dokończyć myśli, bo jej głos całkiem się załamał.

– Kotku, niedługo ta kwestia przestanie mieć znaczenie – pocieszał ją. – Jeszcze trzy, cztery lata i Julia nie będzie już wymagała takiego nadzoru i opieki, będzie dużo bardziej samodzielna, nie trzeba jej będzie odbierać ze szkoły i pilnować na okrągło. Zobacysz – uśmiechnął się – jeszcze chwila, a rodzice przestaną być dla niej ważni, bo będą się liczyć tylko przyjaciele. Im będzie starsza, tym bardziej świadoma i może kiedyś przyjdzie czas, że sama zdecyduje, z kim chce mieszkać. Będzie dobrze – pogłaskał ją. – Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie – dodał na koniec.

To pomogło tylko na chwilę. Marta uważnie obserwowała relację ojca z córką i doskonale wiedziała, że gdyby Janusz musiał wybierać między nimi, wybrałby Julkę. Była o tym przekonana i bynajmniej nie miała o to do niego pretensji, co nie zmieniało faktu, że czuła się coraz bardziej niepewna jutra. Pełna czarnych myśli brała pod uwagę nawet taki scenariusz, że Dorocie przytrafia się coś złego i wówczas Julia trafia pod pieczę zastępczą, ponieważ jej ojciec nie ma do niej praw, bo w istocie nie jest jej ojcem. To absurd, ale niestety tak jest.

Mijały dni, a w głowie Marty kłębiły się coraz bardziej dokuczliwe myśli. W pewien majowy wtorek poprosiła o chwilę rozmowy z szefową. Zastanawiała się nad tym od jakiegoś czasu i wreszcie zdobyła się na to, by poczynić określone kroki. Niepewność i strach towarzyszące jej od co najmniej kilku tygodni paraliżowały ją i nie dawały spokoju. Musiała z tym coś zrobić.

– Pani dyrektor... – zaczęła nieśmiało – czy byłaby szansa na przeniesienie mnie do waszego oddziału we Wrocławiu?

Kobieta uniosła brwi, nie kryjąc zaskoczenia.

– Pani też? – spytała. – Co się stało, jeśli mogę wiedzieć?

– Jak to: ja też?

– W ubiegłym tygodniu o to samo pytał pan Robert. Pokłóciliście się o coś?

– Robert? Nie wiedziałam... – zawahała się. – Czy to znaczy, że nie ma możliwości przeniesienia?

Marta była na tyle cennym pracownikiem, że szefostwo bardzo chciało zatrzymać ją w Warszawie, ale widząc jej determinację, dyrektorka ustąpiła i obiecała sprawdzić, czy przenosiny są realne. Po dwóch dniach poinformowała ją, że jeśli nadal jej zależy, od dwudziestego piątego może rozpocząć pracę na tym samym stanowisku we Wrocławiu.

Robert przenosił się, ponieważ mimo usilnych starań z trudem przychodziła mu wspólna praca z Martą. Może gdyby wiedział, że ona też zamierza odejść, wtedy zostałby w Warszawie. Jednak nie wiedział i wobec tego wybrał Szczecin.

Marta popadała w paranoję. Miłość do Janusza już jej nie wystarczała, czuła, jak wali się jej świat. Całym sercem pragnęła być z nim do końca życia, uważała jednak, że ich związek jest pozbawiony trwałych fundamentów, wystarczy bowiem jakikolwiek incydent czy ponowny wypadek z Julką, i wtedy wszystko runie, Marta będzie musiała odejść, by ustąpić miejsca dziecku. Albo, nie daj Boże, Janusz ją znienawidzi, że stanęła mu na drodze i przez nią nie zaadoptował małej... Dlatego może lepiej odejść teraz, póki jest jeszcze młoda, i jakimś cudem znajdzie siły, by rozpocząć życie od nowa. Rozważała wyjazd akurat do Wrocławia ze względu na Monikę. Doszła do wniosku, że we dwie będzie im tam raźniej. Wynajmą jakieś małe mieszkanko i rozpoczną wszystko od początku, -wspierając się nawzajem.

Dała sobie kilka dni na podjęcie ostatecznej decyzji i wreszcie w pewien czwartek, gdy Janusz był w pracy, rozpoczęła pakowanie swoich rzeczy. Ponieważ nazbierało się tego całkiem sporo, nie dałaby rady zabrać wszystkiego od razu. Złożyła więc torby, walizki i maszynę do szycia w jednym pokoju, a na dół zniosła tylko największą walizę z najważniejszymi rzeczami i ubraniami.

Zanim wrócił Janusz, siedziała z Bidą i głaszcząc ją, przemawiała do niej smętnie.

– Co tu się dzieje? – spytał, widząc walizkę. – Wyjeżdżasz gdzieś?

Gdy wstała, czuła, jak coraz szybciej bije jej serce, a łzy nie wiadomo skąd cisną się do oczu.

– Odchodzę, Janusz – powiedziała ze ściśniętym gardłem.

Stał przed nią osłupiały i nie wiedział, co zrobić. W pierwszej chwili jej słowa odbiły się od niego i w ogóle nie dotarły. Wreszcie zrozumiał.

– Nie – rzekł. – Nie odchodź, proszę... – jęknął.

W odpowiedzi zdjęła z palca pierścionełki i zamknęła go w jego dłoni.

– Nie rób mi tego – prosił. – Nie ty...

– Tak bardzo pragnęłam z tobą być, że nie chciałam widzieć, że to niemożliwe. Kocham cię, Janusz – płakała – ale Julka powinna być dla ciebie ważniejsza. Zaopiekuj się nią wreszcie na zawsze.

– Marta! – krzyknął ogarnięty paniką. – Kocham cię, nie zostawiaj mnie!

Okrutny los po raz drugi w niego uderzał. Oto kolejna kobieta odchodzi od niego, a on nie może nic na to poradzić.

– Przepraszam – szepnęła Marta. – Naprawdę nie mogę inaczej. Zwracam ci

wolność, bo wierzę, że zrobisz z niej dobry użytek. Byłam zbyt krótkowzroczna – jej słowa były przerywane szlochem. – Oczami wyobraźni widziałam nasze wspólne szczęście, ale zapomniałam o dobru twojej córki. Nie zniosłabym, gdybyś mnie kiedyś znienawidził za to, że stanęłam ci na drodze do adopcji Julii. Ona jest najważniejsza... My sobie jakoś przecież poradzimy, prawda? – Próbowwała zdobyć się na uśmiech, szukając w jego wzroku potwierdzenia.

– Zostań – poprosił szeptem. – Ty jesteś moje polskie imię...

– Do niedawna myślałam to samo o tobie, ale chyba się myliłam... Przepraszam.

Nielatwo jest odejść z ciepłego domu, od kochanego człowieka, lecz Marta w tamtej chwili nie widziała innego wyjścia. Tłumaczyła sobie, że to dla ich wspólnego dobra, choć wcale nie była pewna, czy ma rację. Chwyliła za rączkę walizki i najszybciej jak umiała wyszła z domu. Kiedy w ostatniej chwili obejrzała się przez ramię, zobaczyła, jak Janusz z twarzą ukrytą w dłoniach osunął się po futrynie drzwi wejściowych na podłogę. Serce jej się krajało na ten widok i łzy zalewały policzki.

Z każdym krokiem szła coraz szybciej, szlochając wciąż mocniej i mocniej. Stukot jej obcasów stopniowo zanikał w uszach Janusza i kiedy już prawie zupełnie przestał go słyszeć, poderwał się gwałtownie i pędem rzucił do drzwi. Marta niemal biegiem przemierzała Zakopiańską.

– Marta! – krzyknął z całych sił, lecz uzyskał jedynie tyle, że na moment się odwróciła, po czym jeszcze bardziej przyspieszyła kroku.

Wiedział doskonale, że sprawy zaszły na tyle daleko, że desperacka decyzja Marty nie jest z jej strony żadną grą i jej odejście to nie żaden żart, dlatego na nic się zda ściganie jej teraz, zastępowanie drogi i próby nakłaniania do powrotu. Nie znaczyło to jednak, że pogodził się z sytuacją.

Niemal natychmiast zaczął w panice układać plan. Przecież musi być jakiś sposób, by do niego wróciła.

Długo jeszcze stał przy furtce, otępiały i bezradny. A gdy potem powoli, ze spuszczoną głową, ruszył do domu, przekonywał samego siebie, że przecież jeszcze nie wszystko stracone. Tak bardzo wierzył w miłość Marty, że nie wyobrażał sobie, by potrafiła bez niego żyć. I nie była to wcale wiara człowieka pysznego i próżnego. Wierzył, że jeśli tylko ona kocha go równie mocno jak on ją, to jest jeszcze dla nich szansa. Znow może się wszystko ułożyć. Trzeba tylko trochę czasu, cierpliwości i umiejętnego kierowania swoim losem.

Choć pocieszał się jak umiał, tego dnia nie zaznał już spokoju. Następne także były trudne, wręcz beznadziejne. Marta konsekwentnie nie odbierała telefonów od niego i tylko ogromna siła woli sprawiła, że powstrzymał się od szukania jej u rodziców lub Agaty. Postanowił dać jej i sobie kilka dni na przemyślenia i ochłonięcie. Był to też czas, którego potrzebował, by rozsądnie zaplanować strategię swoich działań. Bo przecież musi podjąć jakieś kroki, by ją odzyskać. Ona sama z pewnością do niego nie wróci.

– To już koniec... – Marta szlochała w słuchawkę i nieelegancko pociągała nosem, siedząc w pustym przedziale pociągu do Wrocławia.

– Halo?... Marta, jesteś tam?! – głos Agaty był coraz bardziej niecierpliwy. – Jaki koniec? O czym ty mówisz?

- Wszystko się skończyło...
- Ale co się stało? – dociekała Agata. – Gdzie ty w ogóle jesteś?
- W pociągu – wyjaśniła w końcu. – Dojeżdżam do Wrocławia.
- Czy coś się dzieje z Moniką? No mówże wreszcie! – krzyknęła.
- Odeszłam od Janusza – głos Marty był ledwie słyszalny.

W słuchawce zaległa cisza. Agacie chyba odebrało mowę.

- Odeszłam, słyszysz? – Marta wciąż szeptała.
- Nie rozumiem – wykrztusiła Jaskólska. – Dlaczego?

Tym razem to Marta nie odzywała się przez dłuższą chwilę.

- Halo!... Jesteś tam?

– Jestem... – Marta przetarła zapłakane oczy wierzchem dłoni i westchnęła ciężko. – To się nie mogło udać...

To była jedna z trudniejszych rozmów w życiu Agaty. Wcale nie ze względu na powagę sytuacji, a z powodu roztrzęsienia Marty. Choć starała się mówić składnie i rzeczowo, myśli jej się rwały, gubiła wątek i chcąc powiedzieć wszystko naraz, niezgrabnie plątała zdania.

– Miałam cię za mądrzejszą – skwitowała wreszcie Agata. – Przecież w ten sposób podajesz Dorocie faceta jak na tacy. Coś ty najlepszego zrobiła?

– Nie dobijaj... – jęknęła Marta. – Tu chodzi o Julię. Niech ją przysposobi. Dziecko powinno mieć ojca.

– To dziecko ma ojca – powiedziała Agata z naciskiem. – Ani się obejrzyysz, jak dorośnie i pójdzie swoją drogą, a ty do końca życia będziesz nieszczęśliwa. Wydaje ci się, że ile jeszcze razy potrzebny jej będzie formalny tatuś? Bo co? Znow złamie rękę? Nie myśl w ten sposób, bo oszalejesz! Nie zakładaj najgorszego. Julię z Januszem łączy silna więź i żaden papierek nie jest im do niczego potrzebny. Marta, zastanów się – Agata nie dawała za wygraną – przecież Janusz i tak nie będzie chciał wrócić do Doroty. Nie po tym, jak go paskudnie potraktowała. Oni już zawsze będą osobno opiekowali się Julią. Co ty sobie wyobrażasz? – zamilkła na chwilę. – Że zamieszkają we troje? Nie sądzę! A może myślisz, że Dorota pozwoli małej przeprowadzić się do niego? To przecież jeszcze bardziej nierealne! Pomyśl tylko! Dziecko zawsze zostaje przy matce. Ty lepiej wracaj i najzwyczajniej się przyznaj, że się wygłupiłaś!

Nie takiej pociechy oczekiwała Marta. Słowa przyjaciółki raniły do żywego, choć wypowiedane były z największej życzliwości. Mimo jej usilnej perswazji Marta nie dała się przekonać i ostatecznie postawiła na swoim. Podświadomość podpowiadała jej, że postąpiła właściwie, a przede wszystkim zgodnie z własnym sumieniem. Ono było teraz dziwnie spokojne. Serce zaś zdawało się rozpadać na kawałki.

Na dworcu we Wrocławiu wysiadła z przekrwionymi od płaczu oczami i zapchanym nosem. Wyglądała jak siedem nieszczęść i bezradnie rozglądała się po peronie. W końcu ruszyła przed siebie, zamierzając jakoś dotrzeć pod drzwi siostry.

Rozdział 22

Janusz wkładał wiele wysiłku w to, by normalnie funkcjonować. Pierwsza doba po odejściu Marty była najcięższa, ale też przełomowa. Uświadomił sobie z całą mocą, że uczucie, które wspólnie budowali i pielęgnowali przez ostatnie miesiące, było prawdziwe i szczere. To przekonanie pozwoliło mu przetrwać najgorsze godziny i chyba tylko dzięki niemu się nie załamał. Pewny siły miłości łączącej go z Martą zaczął stopniowo, krok po kroku, podnosić się i szykować do próby odzyskania kobiety swego życia. Konkretnego planu, co prawda, nie miał, ale wiedział, że na pewno uda mu się podjąć jakieś działania. I wiedział jeszcze jedno: jego sprzymierzeńcem będzie czas. Liczył na to, że gdy opadną emocje, zarówno po jego stronie, jak i po stronie Marty, uda mu się z nią skontaktować i nakłonić do powrotu. Był zdeterminowany, by za wszelką cenę ją przekonać, że popełniła błąd, odchodząc od niego.

„Dopóki kocha, nic nie jest stracone” – pomyślał.

Te pierwsze dni były dla niego dodatkowo trudne, bo musiał najbliższemu otoczeniu spróbować wyjaśnić nagłą nieobecność Marty. Mateusz oczywiście od razu stanął po stronie przyjaciela, zupełnie nie rozumiejąc pobudek jego narzeczonej, natomiast Antoni z Grażyną wprawdzie głośno wyrazili współczucie, ale jednocześnie także podziw dla odważnej oraz mądrej, ich zdaniem, decyzji Marty. Janusz nie dostrzegał w jej postępkach niczego heroicznego i bardzo się dziwił rozumowaniu obojga.

– Mądra dziewczyna – powiedziała z uznaniem Grażyna, a Antoni poparł ją znaczącym kiwnięciem głową.

– Nie widzę w tym nic mądrego – oburzył się Janusz.

– Teraz twój ruch, synu. Poukładaj sobie w życiu wszystko tak, by znalazło się w nim miejsce dla Marty. W tej chwili wszystko zależy już tylko od ciebie.

Tyle Bilski wiedział i bez dobrych rad ojca.

Krystyna, jak zwykle beznamytnie i chłodno, ograniczyła się do kilku słów słabej pociechy i wyraziła nadzieję, a może raczej pewność, że Janusz jakoś sobie poradzi.

Jedyną osobą, która została świadomie okłamana, była Julia. Rezulutna dziewczynka bardzo szybko zorientowała się w nagłej zmianie sytuacji i dociekliwie drążyła temat, szukając powodów zniknięcia Marty. Zdołała jednak dowiedzieć się zaledwie tyle, że Marta musiała na pewien czas wyjechać oraz że jej wyjazd był spowodowany wyłącznie sprawami służbowymi. Mała nie wydawała się przekonana, mimo to nikt nie chciał powiedzieć jej nic więcej. Jedyne jej matka była ostatnio jakaś bardziej zadowolona i tajemniczo uśmiechała się do własnego odbicia w lustrze, gdy poprawiała swój jak zawsze perfekcyjny makijaż.

Wrocław zaoferował Marcie na początek piękną wiosenną pogodę, pracę identyczną z tą wykonywaną w stolicy i właściwie nic ponad to. Przez pierwsze dni siedziała wieczorami skulona w kącie siostrzanego tapczanu, obejmując kolana dłońmi i chowając między nimi głowę, bliska płaczu i pogrążona w smutku, a chwilami ogarnięta paniką. W chwilach, kiedy intensywnie rozmyślała o Januszu i Julce, czuła wyraźnie, jak serce przyspiesza rytm i pędzi niczym oszalałe, budząc w niej paraliżujący strach. Z pełną

świadomością ponosiła konsekwencje podjętego kroku i chociaż czas mijał, cierpiała wcale nie mniej.

Miasto wokół dudniło życiem, ludzkim gwarem, nęciło kolorami ze sklepowych wystaw i drażniło powonieniem aromatami z wielu kafejek oraz restauracji przy rynku. Wszystko to jednak z dwóch powodów pozostawało poza zasięgiem Marty. Po pierwsze, daleko jej było do beztróskiego nastroju, po drugie – bała się trwonić niewielkie oszczędności.

Przez pierwszy tydzień gnieździły się z Moniką w jej niewielkim pokoju w mieszkaniu studenckim, ale trudno było to nazwać wygodną egzystencją, dlatego szybko zaczęły rozglądać się za innym lokum. Udało im się wynająć małe mieszkanie z jedną sypialnią i pokojem połączonym z niewielkim aneksem kuchennym. Czynniki i kaucja jednak wcale małe nie były, a biorąc pod uwagę niewielkie zarobki Moniki, ledwie dopięły majowy budżet.

W dniu wyjazdu Marty z Warszawy Janusz wielokrotnie próbował się do niej dodzwonić, ale ponieważ konsekwentnie nie odbierała telefonu, zaniechał w końcu ponownych prób. Postanowił zaufać czasowi i ratować sytuację delikatnie, bez wywierania na Martę presji, co ona odebrała zgoła inaczej. Z bólem w sercu poczuła się rozczarowana, że tak łatwo dał za wygraną.

Życie jednak trzeba było dalej, toteż próbowała się oswoić ze swoim nowym bytem. Dwudziestego piątego rozpoczęła pracę od krótkiego przeszkolenia. Jak to w sieciówkach, miejsce było bardzo podobne do jej warszawskiego gabinetu, nie miało jedynie części fryzjerskiej. Co do ludzi, jeszcze niewiele o nich wiedziała, ale w pierwszym kontakcie sprawiali zupełnie miłe wrażenie. Jedyny minus nowej pracy to brak basenu w budynku, a nawet w niedalekim sąsiedztwie. Poza tym wszystko było w porządku.

Nowi znajomi niemal od razu zaproponowali Marcie wspólny wieczór przy piwie, ale wymówiła się brakiem czasu i domowymi obowiązkami. Nie chcąc jednak wyjść na nietowarzystką i gburowatą, przy kolejnym zaproszeniu już się nie opierała i któregoś czerwcowego wieczoru wybrała się z grupą nowych kolegów do miasta na lekką kolację. Towarzystwo było wesołe i bardzo otwarte, ale to, co Marta kiedyś lubiła, teraz ją denerwowało i wywoływało w niej smutek i żal. Próbowła się przełamać, rozluźnić i wywołać uśmiech na twarzy, lecz kosztowało ją to tak dużo wysiłku, że wracała do domu wykończona jak po ciężkiej pracy fizycznej.

W kieszeni rozdzwoniła się komórka. Gdy spojrzała na wyświetlacz, ścisnęło jej się gardło. Było to połączenie, którego przyrzekła sobie nie odbierać, a zarazem czekała na nie jak na zbawienie. Przez krótką chwilę w panice zastanawiała się, co zrobić. Odrzucić je, jak to sobie wiele razy solennie obiecała, czy też odebrać i zapomnieć o zakazach rozumu, oddając pole manewru stęsknionemu sercu? Jak na żądanie zapomnieć kochanych ludzi, odwrócić się od nich i spokojnie iść dalej przez życie?

Gdyby Marta dłużej zadawała sobie tego rodzaju filozoficzne pytania, mogłaby zwątpić w sens podjętej z takim trudem decyzji. Codziennie kłóciła się z własnymi myślami i naprawdę już niewiele brakowało, by skapitulowała i, zebrząc o wybaczenie, wróciła do Warszawy. Miała na to ciągłą ochotę i tylko resztką bardzo nadwątlonej woli

powstrzymywała się od tego.

Telefon przestał dzwonić, ale zaraz przyszedł esemes. Drżącą dłonią przesunęła po wyświetlaczu i spojrzała na tekst. „Żyjesz?” Uśmiechnęła się mimowolnie i po krótkim wahaniu wystukała odpowiedź: „Marnie, ale żyję”. Chwilę później przysłała odpowiedź: „Ja tak samo”.

Kolejnych esemesów nie było. Janusz nic już nie napisał ani nie zadzwonił. Ona także.

– Mamo! – wrzask Julki był nieprzyjemny dla ucha i niósł się po całym mieszkaniu.

– Już ci przecież tłumaczyłam. – Dorota była nieugięta i beznamietnie walczyła z nią na argumenty. – Naprawdę nie mogę obejrzeć tego twojego przedstawienia. Rozumiesz to?

– Wiadomo! – Dziewczynka spuściła głowę, wydeła wargi i bykiem spojrzała na matkę. – Ty nigdy nie możesz – z małych ust wydobyło się ciężkie oskarżenie.

– Ale być może tata zdąży – broniła się Dorota.

Klasa Julki przygotowała szkolny teatrzyk i małej bardzo zależało na tym, by wystąpić nie tylko przed cudzymi rodzicami, ale by zobaczyli ją też Janusz z Dorotą.

– Co się z wami porobiło?! – Julia była rozżalona i miała łzy w oczach. – Już wcale nie macie dla mnie czasu! Gdyby Marta była w Warszawie, na pewno przyszłaby mnie obejrzeć!

Dorota drgnęła na dźwięk niemiłego jej imienia i spojrzała surowo na córkę. Miała ochotę podejść do niej i co najmniej potrząsnąć ją za ramię. Zacisnęła jednak pięści i pełna gniewu odrzekła z sarkazmem:

– No jakoś jej tu jednak nie widzę.

Julia swoimi słowami tak bardzo dotknęła dumy Doroty, że ta w odwecie chciała zrobić jej przykrość i już zamierzała wyrzucić z siebie kilka nieprzyjemnych uwag na temat Marty, na szczęście w ostatniej chwili zdołała się powstrzymać. Uświadomiła sobie, że dziecko nie jest właściwym partnerem do takiej rozmowy i nie może jej służyć do wylewania własnych frustracji.

„Nie tędy droga” – pomyślała i zostawiła Julkę samą, trzaskając ze złości drzwiami jej pokoju. W tym momencie było to bodaj najlepsze, co mogła zrobić.

Przedstawienie odbyło się, i to nawet ze sporym sukcesem i króciutkim bisem, ale niestety bez obecności Zagórnej i Bilskiego. Dumna z siebie, choć niepoczyszona Julia wyszła przed szkołę i dopiero tam wypatrzyła ojca zmierzającego w jej kierunku.

– Przepraszam, kochanie – wołał z daleka, usprawiedliwiając swoją nieobecność. – Tym razem naprawdę nie mogłem wyrwać się z pracy.

– Zobaczysz, kiedyś to ja nie znajdę dla ciebie czasu – dąsała się Julia. – Jak będziesz stary i głodny, na przykład... albo jak już będziesz wszystko zapomniał i gubił... – Była gotowa dalej wymieniać, ale Janusz nie potrafił już dłużej się powstrzymać i parsknął śmiechem na te jej groźby.

– Zobaczysz! – oburzyła się, że nie bierze jej słów poważnie.

– No, ale to jeszcze nie będzie tak prędko – zauważył ze śmiechem. – Przecież jeszcze mi daleko do starości.

– Oj, wcale nie tak daleko, jak myślisz.

Gdy spojrział na nią rozbawiony, dostrzegł pełną powagę na jej dziecięcej buzi.

„Jezu, to dziecko naprawdę sądzi, że jestem już stary. Albo prawie stary...” – pomyślał.

– Chodźmy – wziął ją za rękę i poprowadził do auta. – Jedziemy do domu. Zrobię ci obiad, póki jeszcze jestem w stanie.

– Pomogę ci – Julka była już prawie gotowa wybaczyć mu wszystkie przewinienia.

– A jak przedstawienie? Udało się? – zapytał z ciekawością.

– I to jak! – zawołała z dumą Julka. – Żałuj, że nie widziałeś.

Żałował. Bardzo chciał zobaczyć córkę w teatryku, do którego przygotowywała się od wielu tygodni i z przejęciem recytowała swoją rolę, strojąc miny przed lustrem w łazience.

Obiad szykowali już w zupełnie niezłej komitywie, rozmawiając wesoło i odnajdując radość we wspólnej pracy. Janusz pokroił cukinię na kawałki nieco większe od frytek, a Julka wymieszała mąkę z niewielką ilością tartego żółtego sera i sezamu, po czym roztrzepała jajko na osobnym talerzu i po doprowadzeniu go solą oraz pieprzem wprawnie obtaczała w nim słupki cukinii. Potem zanurzała je w mączno-serowo-sezamowej panierce, a Janusz wrzucał na głęboki gorący olej. Po kuchni rozszedł się zapach frytury i przyjemne dla ucha skwierczenie. Usmażoną cukinię jedli palcami, niemal na wyścigi, zanurzając warzywa w miseczce z sosem tzatziki.

– Już nie mogę – obwieściła wreszcie Julka, kiedy poczuła się objedzona jak bąk.

– A ja jeszcze trochę zjem.

– Szkoda, że nie ma Marty, ona bardzo lubi taką cukinię, pamiętasz?

– Pamiętam – Janusz na chwilę przestał przeżuwać i poczuł przykry ucisk w sercu.

Julii zdarzało się czasem tak po prostu wspomnieć Martę. Robiła to wtedy, gdy coś jej się przypominało, jakiś epizod czy sytuacja.

Janusz powiedział córce, że Marta na dość długo wyjechała z Warszawy. Choć mała domagała się wyjaśnień i wytłumaczenia, co tak naprawdę się stało, nikt jej nie powiedział całej prawdy. Żyła zatem w przeświadczeniu, że przyjdzie taki moment, kiedy Marta będzie mogła wrócić do Warszawy i znów zamieszka na Zakopiańskiej. Ale na razie musi pracować we Wrocławiu.

Całej prawdy Janusz nie chciał jej mówić, ponieważ uważał, że to nie są sprawy, które powinny zaprzętać dziecięcy umysł, a poza tym naprawdę wciąż wierzył, że los jeszcze się do niego uśmiechnie i zły czas się odwróci.

– Idę do siebie – obwieściła Julia i cmokając na Bidę, pobiegła na górę.

To dziecko miało świetny dar szybkiej aklimatyzacji, co bardzo pomagało w sytuacji ciągłego przenoszenia się z jednego domu do drugiego. Mała przywykła już, że pomieszkiwała po trochu w dwóch domach, że raz była pod opieką matki, a raz ojca. Czasem tylko zapominała, w którym domu zostawiła piórniki czy bluzkę, ale nie było to dla niej powodem do rozpacz.

– Przepraszam, że tak późno, ale przedłużyło mi się tłumaczenie dla Niemców. – Dorota stała w drzwiach domu Janusza i czekała na reakcję z jego strony.

– Rozumiem – odparł bez emocji. – Ale chyba nie sądzisz, że o tej porze będę budził dziecko, żebyś mogła je wziąć do siebie?

Było już po jedenastej i Dorota nie miała raczej wątpliwości, że Julia już śpi, co oczywiście oznaczało, że zostanie u Janusza do następnego dnia. I to on znów zrobi jej śniadanie i zawiezie do szkoły. Mimo wszystko postanowiła jednak przyjść i spróbować – jeśli nie zabrać córkę do domu, to przynajmniej stworzyć okazję do rozmowy z Januszem.

– Przepraszam – z ust Doroty po raz kolejny padło słowo, którego nieczęsto używała, ale uznała, że ociepli ono jej wizerunek w oczach Janusza. – Masz rację, o tej porze nie powinnam już przyjeżdżać.

– Rzeczywiście dla dziecka to trochę nieodpowiednia pora. – Janusz starał się być uprzejmy.

– A dla ciebie? – Dorota bezceremonialnie próbowała dopiąć swego.

Janusz zmarszczył czoło i nie ruszył się ani o krok, dając do zrozumienia, że nie zamierza wpuszczać jej do środka.

– Skoro jednak już przyszedłam – nie poddawała się – to może znalazłbyś dla mnie pięć minut? Chciałabym porozmawiać o Julii.

– Coś się stało? Bo jeśli nic, to odłożmy może tę pogawędkę na jakąś normalną godzinę – zaproponował oschle.

– Julia robi się naprawdę nieznośna – poskarżyła się.

– O... – uniósł brwi zaskoczony i mimo woli usunął się nieznacznie w drzwiach, z czego Dorota skwapliwie skorzystała. – A mnie się wydaje, że jest wciąż taka sama.

Janusz z pewnością nie nazwałby zachowania Julki nieznośnym. Owszem, zdarzało jej się czasem podnieść głos czy dobitnie wyrazić swoje, niekiedy osobliwe, zdanie, ale to nie jest jeszcze powód do podejmowania jakichkolwiek specjalnych działań. Dziewczynka rosła i wraz z upływem czasu w sposób nieunikniony zmieniało się jej spojrzenie na otaczający ją świat, zaczynały jej imponować różne, nie zawsze godne naśladowania rówieśnicze postawy i zapewne stąd się brały jej humory. Ale zdarzały się naprawdę rzadko i Janusz nie widział w nich niczego niepokojącego. A poza tym w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy zafundowali jej przecież z Dorotą taką zmianę w życiu, że naprawdę trudno w takiej sytuacji dziwić się jej humorom. Janusz był przekonany, że wystarczy tylko nieco więcej stabilizacji i niezachwianego poczucia bezpieczeństwa, a wtedy na pewno wszystko wróci do normy.

– Może masz rację – westchnęła Dorota.

W jej zachowaniu od pewnego czasu nie było ani krzty wyniosłości, agresji i niezadowolenia. Januszowi przemknęło nawet kilka razy przez myśl, że życie w pojedynkę trochę stępiło jej charakterek.

– To o której mogę jutro przyjść po córkę? – Dorota dała w końcu za wygraną i postanowiła oddalić się z Zakopiańskiej.

– Sugerowałbym przed dwudziestą – odpowiedział szybko Janusz z niezamierzonym sarkazmem.

Dorota utkwiała w nim wzrok i już otwierała usta, by w podobnym tonie zripostować, ale się powstrzymała i tylko westchnęła. Kipiała jednak wściekłością, co zdradzały jej mocno zaciśnięte szczęki.

Tak więc tej nocy, wbrew jej planom i zamierzeniom, nie nadarzyła się okazja, by zrobić pierwszy krok w kierunku całkowitego pogodzenia się z byłym narzeczonym. Zagórna nie byłaby jednak sobą, gdyby po raz kolejny nie spróbowała zbliżyć się do obranego celu. To, że tym razem Janusz nie chciał z nią rozmawiać, nie znaczyło przecież, że jutro czy za tydzień będzie tak samo. Już jej w tym głowa, by znalazł dla niej czas, a ona wtedy bardzo się postara, żeby mu przypomnieć, co kiedyś tak w niej ubóstwiał, i robi wszystko, by za tym zatęsknił. Teraz, gdy tamta szara myszka jest już przeszłością, najwyższa pora zawalczyć o powrót do wygodnego życia. Dorota nie miała już ani siły, ani ochoty na samotne macierzyństwo. Wychowywanie Julii zdecydowanie ją przerosło i mimo przekonania o własnej wspaniałości musiała przyznać, że zupełnie sobie nie radzi, zwłaszcza logistycznie. Zbyt często nie mogła lub też nie chciała zgrać harmonogramu swoich zajęć z planem lekcji córki i miała już szczerze dość ciągłej gonitwy i zastanawiania się, czy tym razem zdąży odebrać dziecko ze szkoły, czy też znów się spóźni.

Janusz sprawdzał się w praktycznych sprawach znacznie lepiej od niej i zawsze gdy włączał się do opieki nad Julią, było jej dużo łatwiej. Dlatego Dorota chętnie powróciłaby do swojego poprzedniego życia, mimo że w gruncie rzeczy potwornie ją nudziło; w zamian za komfort spełniania się w swoim zawodzie i za odciążenie w rodzicielskich obowiązkach skłonna była nawet zaakceptować nudnego męża.

– Za chwilę kończę oprowadzanie wycieczki, więc mogę wpaść po Julię. Pasuje ci ta pora? – Tym razem Dorota była gotowa dużo wcześniej odebrać córkę od Janusza.

– Jesteśmy nad Wisłą, Bida właśnie wyprowadza Julkę na spacer – zażartował, trochę zgodnie z prawdą. – Jeśli chcesz, możesz do nas tu przyjechać, ale za dwie godziny mam coś do załatwienia w twojej okolicy, więc mogę ci ją przywieźć.

– Okej, jeśli to nie jest dla ciebie problem, czekam na nią w domu. Dzięki.

Janusz skłamał. Nie miał nic do załatwienia, ale nie miał też szczególnej ochoty widzieć Doroty na Zakopiańskiej. Ostatnio była zbyt natarczywa i odnosił wrażenie, że za wszelką cenę próbowała wepchnąć mu się do mieszkania. Nie chciał być niegrzeczny i trzymać ją w drzwiach, lecz na dłuższą rozmowę i zapraszanie jej do środka też nie miał ochoty. Dlatego uznał, że najlepiej będzie, jeśli odwiezie Julię do niej i od razu zniknie pod pretekstem, że się śpieszy.

Po szóstej Julka stanęła pod drzwiami mieszkania, wspinając się na palce, by sięgnąć dzwonka.

– Ale coś ładnie pachnie – stwierdziła i zabawnie uniosła nos, próbując zlokalizować, skąd dochodzi ten aromat. – Czujesz? – odwróciła się do ojca.

– Czuję – odparł Janusz. – Rzeczywiście ładnie.

W tym momencie drzwi się uchylły i stanęła w nich Dorota z długim dwuzębnym widelcem do drobiu w ręce.

– Miałam nadzieję, że zdążysz na ciepłą kolację – zwróciła się do córki. – Nie stój tak – ponagliła ją delikatnie – wejdź do domu. A może i ty masz ochotę? Zapraszam. – Spojrzała na Janusza wzrokiem łagodniejszym niż zwykle.

Już otwierał usta, by podziękować i grzecznie odmówić, ale Julka go ubiegła.

– No chodź, tato. Przecież sam mówiłeś, że ładnie pachnie. Jak ja się cieszę, że to

u nas takie zapachy! – krzyczała już z łazienki poprzez szum lejącej się z kranu wody.

– Śmiało – zachęcała Dorota. – Na stole czeka cały kurczak z różną i nie bardzo wiem, jak go pokroić. Poza tym same z Julką na pewno nie damy mu rady.

Zawahał się przez moment, ale już tak dawno nie miał w ustach kurczaka z ulicznej budki, że nie mógł się wprost powstrzymać na myśl o chrupaniu pysznej złocistej skórki. Tym bardziej że zarówno Dorota, jak i Julia oddawały mu ją zawsze także ze swoich porcji. Znęcony swoim ulubionym przysmakiem skapitulował i niepewnie przestąpił próg mieszkania Doroty.

Zdjął marynarkę, zarzucił ją na wieszak w przedpokoju, umył ręce nad zlewem w kuchni i podszedł do Doroty, która wbiła szpikulec w mostek kurczaka i nieporadnie dźgała nożem pierś.

– Mogę? – Janusz przejął od niej narzędzia i zajął się porcjowaniem. – Julka, nakrycia.

Dziewczynka przestała chciwie wpatrywać się w mięso i szybko wyjęła z szafki talerze i sztućce.

– Dla mnie skrzydełka! – zawołała, podstawiając ojcu swój talerzyk.

– A coś ty taka niecierpliwa i łakoma? – roześmiał się. – Przecież jesteśmy po obiedzie.

– Ale taki kurczak to jest coś! – odparła radośnie, a on skrycie przyznał jej rację.

– Przepraszam – włączyła się do rozmowy Dorota – ale nie miałam czasu na zrobienie porządnej kolacji. Nie mam ani surówki, ani nawet ziemniaków czy frytek.

– Jest dobrze – uspokoiła ją Julka. – Weźmie się trochę musztardy i ketchupu i będzie idealnie – dodała z zapchaną buzią.

– Julia, nie mówi się z pełnymi ustami – upomniała ją matka.

– Wiem – odparła beztrudno, wciąż przeżuując. – Ale w domu można. W gościach nie wolno. I w restauracji – dodała już wyraźniej, bo przełknęła.

– Jeśli na co dzień będziesz się zachowywać jak świnka, to od święta zdarzy ci się to samo – kontynuowała Dorota. – I będzie ci wstyd, że się zapomniałaś. I co wtedy zrobisz, mądralo?

– Spalę się ze wstydu, mamusi – odpowiedziała rozbrajająco Julka i uśmiechnęła od ucha do ucha, czym rozbawiła zarówno Dorotę, jak i Janusza.

Gdy po kolacji Julia poszła do swojego pokoju, Janusz także podniósł się zza stołu i dziękując za gościnę, zamierzał się pożegnać. Zanim jednak zdążył otworzyć usta, Dorota zwróciła się do niego, bacznie obserwując jego mimikę:

– Zaczekaj, jeżeli możesz... Chciałabym porozmawiać o wakacjach. Jeśli dziś nie masz czasu, to powiedz kiedy.

Bilski zastanowił się przez chwilę i opadł z powrotem na krzesło. Dorota miała rację – wakacje rozpoczynały się za niecałe trzy tygodnie, a to oznaczało, że trzeba będzie inaczej zorganizować opiekę nad Julką.

– Słucham, co proponujesz? – Przeczynał, że ona pewnie ma już jakieś plany, chciał więc się dowiedzieć, ile czasu z córką będzie mu łaskawie darowane tego lata.

W Dorocie zakipsiały emocje, bo doskonale wyczuła złośliwość w tonie Janusza. Gdyby była to rozmowa z partnerem czy mężem, nie omieszkałaby użyć różnych

mocnych słów, by zaznaczyć swoją pozycję. Jednak w sytuacji, gdy wiedziała, że Janusz jest jej niezbędny do realizacji własnych planów, przełknęła jego pytanie wyraźnie podszyte sarkazmem i za wszelką cenę postanowiła nie dać się sprowokować do kłótni czy choćby drobnej wymiany ostrych zdań.

– Powiedz mi, czy ty jeszcze kiedyś będziesz potrafił rozmawiać ze mną normalnie, bez tych uszczypliwości i kąśliwych aluzji? – Spojrzała mu odważnie prosto w oczy. – Wiem, że mi nie wybacysz tego, co zrobiłam, ale naprawdę nie musisz na każdym kroku demonstrować swojej niechęci do mnie. Nie martw się, ja o niej nie zapomnę. Chcesz mnie w ten sposób ukarać? Pamiętaj tylko o Julii... – mówiła spokojnie, Janusz jednak doskonale wyczuł nutkę szantażu w jej głosie.

Po tych słowach w kuchni zaległa niezręczna cisza. Aby ją przerwać i nieco rozładować ciężką atmosferę, Janusz wstał od stołu, sięgnął po talerze i zaczął je przynosić do zlewu. Po chwili dołączyła do niego Dorota. Mijali się ze wzrokiem utkwionym w naczyniach. Po krótkim zastanowieniu Janusz doszedł do wniosku, że Dorota ma rację. Od wielu tygodni przy każdej nadarzającej się okazji traktował ją z góry, pokazywał, że jej nie ufa, i zarzucał, że przedkłada pracę nad dziecko. Wytykał jej błędy i niedoskonałości, bo to był jego sposób na to, by ją ranić. Uważał, że ma do tego prawo i dała mu je ona sama w chwili, gdy od niego odeszła. Ból za ból – może nie była to mądra ani szlachetna taktyka, ale pozwalała odbudować poczucie własnej nadwątlonej wartości. Właściwie dopiero teraz Janusz przyznał sam przed sobą, że kierował się dotychczas niskimi pobudkami i żądzą zemsty.

– Może trochę przesadziłem – tylko na tyle potrafił się przyznać. – To co z tymi wakacjami?

Znów usiedli przy stole. Dorota w zdenerwowaniu gładziła krawędź blatu, a on cierpliwie czekał, aż zbierze się w sobie i powie mu wreszcie, co zamierza.

– Chcesz spędzić trochę czasu z Julką? – spojrzała mu w oczy. – Muszę to wiedzieć, by zaplanować swoje zlecenia w lecie. To czas największego ruchu w turystyce.

A więc znowu praca. Właściwie był niemal pewien, że to będzie raczej rozmowa o pracy niż o dziecku. Głośno jednak tego nie powiedział.

– Po co pytasz? Przecież wiesz, że spędzę z Julią tyle czasu, ile mi go łaskawie podarujesz – w jego słowa znów wdarła się nuta jadu; najwyraźniej wciąż nie umiał nad sobą zapanować.

Dorota odetchnęła z wyraźną ulgą. Od jego decyzji zależała jej praca, a od intensywności pracy – zarobki. Od zarobków z kolei zależał komfort życia jej i córki. Rzeczy, którymi nie zaprzętała sobie głowy przez poprzednie osiem lat życia, teraz stały się priorytetami i znacząco utrudniały jej egzystencję oraz powodowały niepokój.

– Kiedy i na jak długo możesz się nią zająć?

– Może u mnie mieszkać nawet przez całe wakacje, wiesz o tym dobrze.

Na taką odpowiedź Dorota liczyła najbardziej. Wprawdzie nie chciała oddawać dziecka na całe dwa miesiące, ale świadomość, że może to zrobić, uspokajała ją. Miała w planach różne zlecenia, od standardowego oprowadzania po Warszawie po wyjazdy zorganizowane do europejskich i afrykańskich kurortów. Od decyzji Janusza uzależniała wybór ofert. Najintratniejsze były oczywiście wyjazdy zagraniczne, ale wiązały się

z najdłuższą nieobecnością w domu i życiu córki.

– Mogę zająć się Julią powiedzmy od początku lipca. Odpowiada ci?

– Tak, odpowiada – odparła. – Nawet bardzo. Dziękuję.

– Ale żeby było jasne – zastrzegł – w tym czasie mam pełną swobodę i mogę ją zabrać na przykład do dziadka albo na jakąś wycieczkę.

– Tak, zgadzam się na to.

Dorota wiedziała, że Julia jest tak bardzo związana emocjonalnie z dziadkiem, że zabranianie jej kontaktów z nim byłoby okrucieństwem. Nie miała też wątpliwości, że Janusz otoczy jej dziecko najlepszą opieką. Mogli się ze sobą nie zgadzać, nie lubić, a nawet nienawidzić, ale o los Julii była spokojna.

Gdy omówili wszystko, Janusz zaczął zbierać się do wyjścia. Pożegnał się z Julią i już stał w otwartych drzwiach, kiedy Dorota zatrzymała go jeszcze na chwilę.

– Marynarka – przypomniała mu i zdjawszy ją z wieszaka, podała Januszowi.

– Dzięki, zapomniałbym. – Ich dłonie przez ułamek sekundy otarły się niechcący.

– To ja ci dziękuję. – Tak szybko musnęła jego policzek ustami, że nie zdążył się uchylić.

Ten jej niespodziewany gest wprowadził go w konsternację. Janusz wyszedł od niej z dziwnym poczuciem winy i złości na samego siebie, że na moment stracił czujność.

Prawie natychmiast pomyślał o Marcie. Tęsknił za nią i wciąż jeszcze nie nauczył się bez niej żyć. Niemal każda godzina była trudna do zniesienia. Puste noce często mijały bezsennie, ranki dziwnie cicho, a wieczory samotnie. Jedyne czas między ósmą a osiemnastą wydawał się względnie znośny, bo był wypełniony pracą, która czasami pozwalała na chwilę zapomnienia.

Po dwudziestej dotarł do domu, wstawił auto do garażu, po czym wyszedł z uradowaną Bidą na długi spacer wzdłuż Wisły. Czerwcowy wieczór był ciepły i przyjemny, choć od wody ciągnęło lekkim chłodem. Janusz wyjął z kieszeni komórkę, przez chwilę bezmyślnie się w nią wpatrywał, a kiedy uznał, że pora jest jeszcze przyzwoita, wybrał numer Marty. Przez ostatnie trzy tygodnie dzwonił do niej wielokrotnie, ale nigdy nie odebrała. Tylko raz odpisała na esemes. Tym razem znów się nie odezwała. Nie miał pojęcia, jak rozumieć jej zachowanie, ale wierzył, że nie odbiera od niego telefonów, by się nie ugiąć, nie złamać w swym postanowieniu o odejściu. A jeśli rzeczywiście jest tak, jak on myśli, to prawdopodobnie wciąż istnieje szansa, że jeszcze się zejdą. Musi jedynie jakimś cudem przekonać ją do powrotu. Tylko jak? Dobrego planu wciąż nie miał, a przeczuwał, że czas zaczyna, niestety, działać na jego niekorzyść. A to by znaczyło, że pora już na konkretne działania. Przez prawie miesiąc czekał, pozwolił Marcie ochłonąć, pomyśleć, jednak niczego tym nie ugrał. Czas więc na zmianę taktyki.

Nie było dla niego tajemnicą, że Marta wyjechała do Wrocławia. Miał informacje z pierwszej ręki, od Agaty i Mateusza. Wiedział także, że nadal pracuje w tej samej sieci gabinetów, więc odnaleźć ją nie będzie trudno. Musiał tylko się dowiedzieć, którego dnia na jakiej zmianie pracuje. Z tym też nie powinno być kłopotu – liczył na Mateusza i jego doświadczenia u Agaty.

Rozdział 23

Martę wytrącał z równowagi każdy telefon od Janusza. Choć miała jeszcze w sobie tyle silnej woli, by wciąż ich nie odbierać, prawie przy każdym płakała. Z mocno bijącym sercem i załzawionymi oczami wpatrywała się w zdjęcie na wyświetlaczu i z każdą mijającą sekundą coraz bliższa była tego, by wcisnąć zieloną słuchawkę. Katusze, które sobie fundowała, rozstrajały ją i nie pozwalały rozpocząć nowego życia. Bo jak budować nowe, kiedy stare jeszcze nie odeszło?

W układaniu życia na nowo nie pomagali jej także najbliżsi. Owszem, wspierali ją i pocieszali, ale zgodnie przy tym twierdzili, że odejście od narzeczonego było zbyt szlachetne i zupełnie niepotrzebne. Poza tym czyniło Janusza łatwym celem dla Doroty. Zarówno Monika, jak i Agata próbowały ją przekonać, że na jej nierozsądnym kroku zyskać może jedynie Zagórna.

– Nie rozumiem, dlaczego tak łatwo ustępujesz miejsca kobiecie, która zupełnie na to nie zasługuje – mówiła Agata.

Marta miała już dość i robiła wszystko, by nie wdawać się w te wieczne rozmowy o Januszu i rozstaniu. Zmieniała nieudolnie temat, wymigiwała się bólem głowy, zamykała się w pokoju albo uciekała w świat szybko migających obrazów w telewizji. Próbowwała też czytać książki, ale już po kilku akapitach gubiła sens, nie potrafiła się skupić, bo nie wiadomo kiedy jej myśli niezmiennie uciekały w kierunku Zakopiańskiej, Janusza, Julii, a nawet Bidy.

By zabić czas, zaczęła uprawiać jogging. Od pierwszego dnia biegała jak szalona, bez jakiegokolwiek rozgrzewki, bez stopniowego przygotowania organizmu do wysiłku i prawie natychmiast przyplącała to potężnymi zakwasami, ale się nie poddawała. Codziennie z zaciętością pędziła po osiedlowych uliczkach, bez celu, byle przed siebie.

– I tak nie uciekniesz – złowieszczą prorokowała siostra. – Lepiej wzięłabyś się do naprawiania tego, co popsulaś.

Lekko nie było, mimo to Marta się nie poddawała. I choć tęsknota ją powoli dobijała, nie zamierzała się załamywać. Coraz lepiej odnajdywała się w nowej pracy, czasem wybierała się na lunch z kolegami, a nawet bywało, że zwiedzała Wrocław.

Któregoś czerwcowego dnia znów zadzwonił telefon. Marta z obawą spojrzała na wyświetlacz – tym razem dzwoniła Julia. A w każdym razie dzwoniło z jej numeru. Była przekonana, że to Janusz po raz kolejny próbuje się z nią skontaktować i ucieka się do takiego fortelu. W pierwszym odruchu zamierzała zignorować połączenie, nie wybaczyłaby sobie jednak, gdyby to naprawdę dzwoniła Julka. Postanowiła więc zrobić wyjątek i odebrała. Serce jej na moment zamarło, bo była niemal pewna, że za sekundę usłyszy kochany głos Janusza. Po drugiej stronie odezwał się jednak cienki dziewczęcy głosik.

– Czy jeszcze długo będziesz załatwiać te ważne sprawy we Wrocławiu?

Marta stała jak wryta i zupełnie nie wiedziała, jak ma odpowiedzieć na to pytanie.

– Marta? Jesteś tam? – Julia próbowała nawiązać rozmowę.

– Tak, tak, kochanie, jestem... – Odzyskała wreszcie głos i zdołała się odezwać. –

Cześć, skarbie – powiedziała z rozczuleniem, czując, że nagle wzbierają w niej łzy.

– Tata chyba miał rację, to muszą być naprawdę ważne sprawy, bo gdyby nie były, to już dawno byś wróciła, prawda?

– Tata powiedział, że załatwiam ważne sprawy? – Marta próbowała dociec, jaką wersję rozstania Janusz sprzedał córce.

– Tak – odparła. – I obiecał, że jak już je załatwisz, to wrócisz.

Ponieważ Marta długo nie odpowiadała, czym zaniepokoiła małą, ta postanowiła nie odpuszczać.

– Bo wrócisz, prawda? – spytała z nadzieją.

Żmigrodzka poczuła, jak uginają się pod nią kolana; zrobiło jej się nagle duszno, świat dookoła zawirował i miała wrażenie, że jeszcze chwila i jej ciało rozpadnie się na tysiąc kawałków. Co powiedziec małej dziewczynce, która od tygodni czeka i w ogóle nie jest świadoma powagi sytuacji? Jak wyjaśnić, że jej nadzieje są płonne? Jak powiedziec prawdę, by nie zranić małego, kochającego i ufego serduszka? Marta się popłakała.

Julka była jak zawsze uparta i dotąd zadawała pytania, które nie dawały jej spokoju, aż wymogła na Marcie odpowiedź na każde z nich po kolei. Nie satysfakcjonowały ją pokrętne wyjaśnienia ani próby ominięcia sedna sprawy. Marta bardzo się natrudziła, by skierować uwagę dziewczynki na cokolwiek innego, ale Julia była zbyt bystra i rozgarnięta, żeby dać się okpić.

– Jak tylko będę mogła, to przyjadę – Marta wydusiła wreszcie i natychmiast poczuła się podle z powodu tego kłamstwa.

Była pewna, że rozmowa z Julią wyczerpała ją bardziej niż ta ewentualna z Januszem, której tak bardzo się obawiała, gdyby zechciała oczywiście odebrać od niego telefon i ją przeprowadzić.

„Będę się smażyć w piekle” – stwierdziła w duchu, mając na myśli kłamstwa, którymi zbyła Julię. Teraz nic jednak nie mogła już zrobić. Mała tak bardzo ją zaskoczyła swoim telefonem, że nawet nie zdążyła wymyślić jakiegokolwiek przekonującej opowiadki. Powinna przynajmniej lepiej przygotować się na przyszłość.

Telefony od Julki rzeczywiście się nie skończyły, kolejny był już następnego dnia. Tym razem nie wierciła Marcie dziury w brzuchu i nie dopytywała, kiedy wraca, bo cierpliwie czekała na załatwienie tych jej ważnych spraw. Podczas kolejnych rozmów obie coraz swobodniej ze sobą gawędziły, tak samo jak dawniej. Julia opowiadała o utęsknionym i już bliskim końcu szkoły, o Bidzie, a także o Januszu. Paplała o wszystkim, co działo się wokół niej, przeważnie były to drobiazgi i rzeczy mało istotne, z których zbudowane jest dziecięce życie. Marta słuchała tych relacji z bólem serca. Żal jej było, że już nie uczestniczy we wszystkim tym, o czym tak ochoczo i żarliwie opowiadała Julia. Ona z kolei mówiła dużo o nowej pracy i równie dużo o Monice. Głównie po to, by nie mówić o sobie. Bo wtedy musiałaby przyznać, że słabo sobie radzi, że ciągle płacze i tęskni. A tego Julce mówić nie chciała.

– Co robiłaś dzisiaj w szkole? – Janusz dociekał podczas -obiadu.

– O, dzisiaj to wreszcie była porządna szkoła! – zawołała Julia, wciągając do ust kolejną nitkę spaghetti.

– Szkoda, że doceniasz ją dopiero na finiszu – zakpił Janusz. – To czego cię tam

dzisiaj nauczyli?

– Nie chodzi o to, czego nauczyli, ale o to, jak zorganizowali nam czas – wyjaśniła zbyt poważnie jak na swój wiek, czym rozbawiła ojca.

Janusz uniósł w zdziwieniu brwi i uważnie wysłuchał długiej opowieści córki. Jako że rok szkolny miał się ku końcowi i wystawiono już wszystkie stopnie, nauka była, co tu dużo kryć, fikcją. Uczniów przychodziła garstka, jakby dla reszty już zaczęły się wakacje, więc dla tych, którzy mimo wszystko pojawiali się w szkole, zorganizowano dyskusyjny klub filmowy. W sali gimnastycznej wyświetlano filmy, które potem wnikliwie z dziećmi omawiano. Tego dnia akurat puszczono *Podróż za jeden uśmiech* i Julia była oczarowana. Dała się porwać przedstawionej historii, a nawet puściła wodze fantazji i już widziała siebie nad morzem.

– A czy zamiast morza nie mogłaby być Wisła w Kazimierzu? – spytał Janusz.

– U dziadka i cioci Grażynki? – Julce oczy rozbłysły na tę myśl.

– Może być?

– No jasne! – zawołała. – Ale nie tylko, dobrze? – Zrobiła słodką minkę, która niechybnie zapowiadała próbę wymuszenia.

– Co jeszcze? – Janusz był ciekaw, co też ona wymyśliła.

– A może odwiedzilibyśmy Martę? – spojrzała na ojca, próbując odgadnąć jego myśli. – Jeśli ona jest taka zajęta, że nie może przyjechać do nas, to my pojedźmy do niej.

Janusz przestał nagle przeżuwać i zapatrzył się w przestrzeń gdzieś poza plecami Julki. Od trudnej odpowiedzi wybawił go dzwonek u drzwi. Na szczęście Dorota przyszła po córkę trochę wcześniej, niż zapowiadała.

– Właśnie jemy późny obiad, przyłączysz się do nas? – zaproponował tylko po to, by nie drażnić tematu Marty. Miał całkowitą pewność, że Dorota nie pozwoliłaby o niej rozmawiać.

– Właściwie chętnie, czemu nie – odparła i energicznie weszła do kuchni.

Umyła ręce, usiadła naprzeciw Janusza i czekała, aż poda jej talerz z makaronem. Kiedy lekko przechylił się przez stół, by go przy niej postawić, wyciągnęła rękę i szybkim ruchem otarła mu kciukiem kącik ust. Znieruchomiał na moment, po czym się wyprostował i usiadł na swoim miejscu.

– Ubrudziłeś się sosem – wyjaśniła Dorota, oblizując kciuk.

Kiedy godzinę później wychodziły z Julią, puściła córkę przodem, a sama zatrzymała się na chwilę i zniemacka cmoknęła Janusza w policzek.

– Dzięki – rzuciła i szybko wyszła.

Stał w progu kompletnie osłupiały. Nie miał pojęcia, za co mu dziękowała. Za obiad? Za opiekę nad Julką? A może jeszcze za coś innego? Wiedział natomiast, że ani jej podziękowania, ani pocałunek nie przyniosły mu najmniejszej przyjemności. Odkrył to z niemałym zdziwieniem, bo przecież był taki czas w jego życiu, gdy za czułe gesty z jej strony gotów był dać naprawdę wiele. Dziś stały mu się zupełnie obojętne. Dorota nie była już kobietą, dla której chciałoby mu się żyć.

Kiedy posprzątał po obiedzie, wyjął z lodówki piwo i usiadł na kanapie. W uszach wciąż dźwięczały mu słowa Julki. Gdyby jego świat był równie nieskomplikowany jak ten, w którym ona żyła, wstałby teraz z kanapy, wsiadł do samochodu i pojechał do Marty.

Jakie to było proste w oczach dziecka.

Następnego dnia zasiedział się w biurze nad kończeniem jednego z projektów tak długo, że gdy podniósł wzrok znad komputera, za oknem zaczynało się ściemniać. Przetarł dłonią zmęczone oczy, przeciągnął się, aż mu chrupnęło w kościach i pokręcił energicznie głową w lewo i prawo, by rozluźnić napięte mięśnie karku. Przymknął powieki i po raz kolejny zatęsknił za Martą, czując przy tym ból niemal fizyczny. Znużone ciało łatwo dawało się okpić zmysłom, bo właśnie odniósł wrażenie, że wyczuwa przyjemną woń zielonej herbaty. W wieczornej ciszy biurowca nasłuchiwał, czy przypadkiem za chwilę nie rozlegnie się odległy stukot kobiecych szpilek. Może otworzą się drzwi do jego gabinetu i nagle poczuje dotyk kochanej dłoni... Zerwał się szybko z krzesła, sięgnął do szafy po sportową torbę i po kilku chwilach wpadł z impetem na basen. Liczył na relaks po męczącym dniu i uwolnienie się od dosięgających go omamów, ale i tutaj było pełno Marty. A może przede wszystkim tutaj. Pływalnia to przecież jej ulubione miejsce w całym biurowcu i tutaj najchętniej odpoczywała.

By nie zatracić się w pięknych, choć teraz bolesnych wspomnieniach, Janusz wskoczył do wody i z furią popłynął na drugi koniec basenu. Po kilku szybkich i wyczerpujących rundach zatrzymał się wreszcie, zebrał dłońmi wodę z twarzy i włosów, po czym wyszedł i stanął przy leżaku, wciąż ociekając wodą. Gdy sięgał po ręcznik, zahaczył wzrokiem o swoją komórkę. Mrugająca dioda oznaczała nieodebrane połączenie. Choć nie miał już właściwie nadziei, że Marta kiedykolwiek do niego zadzwoni, to nie rozstawał się z telefonem, nie wyłączał go ani nie wyciszał nawet podczas ważnych spotkań i wciąż się łudził.

Zamiast wziąć ręcznik, gorączkowo chwycił aparat i natychmiast go odblokował. Ręce zaczęły mu drżeć, kiedy zobaczył, że stało się niemożliwe i ma nieodebrane połączenie od Marty. Wokół niego była kałuża wody, a on sam już nie wiedział, czy drży z zimna, czy z emocji. Jak najszybciej wybrał jej numer i niecierpliwie czekał, aż odbierze.

– Janusz? – spytała nieśmiało, nie wiedząc, co ma mówić dalej.

– Marta... – odezwał się z tak wyraźną ulgą, że aż wywołał na jej ustach lekki uśmiech. – Marta, kochanie, od tak dawna próbowałem się z tobą skontaktować – mówił coraz szybciej, jakby się bał, że nie zechce dać mu czasu na to wszystko, co miał jej do powiedzenia. – Boże, jak się cieszę, że wreszcie cię słyszę... Nie masz pojęcia, jak tęsknię...

– Janusz – przerwała mu w pół słowa – przepraszam, że cię niepokoję, ale mam do ciebie prośbę...

– Co, kochanie? – nie miał pojęcia co to za prośba, jednocześnie nie bał się jej i wiązał z nią nadzieje.

– Przyślij mi, proszę, resztę moich rzeczy.

To było chyba najbardziej druzgocące zdanie, jakie usłyszał w całym swoim życiu. Oznaczało definitywny koniec i pozbawiało jakichkolwiek złudzeń. Cisza, która po nim zapadła, trwała chyba całą wieczność i była nie do wytrzymania.

– Marta... – jęknął wreszcie. – Co ty mówisz? Pozwól mi do siebie przyjechać... Porozmawiaj ze mną, proszę.

Nie pamiętał, co jeszcze do niej mówił. Chyba błagał i próbował ją przekonać, ale na próżno. Niewzruszenie prosiła tylko o jedno i nie chciała słuchać niczego poza tym.

„Boże, aż tak się co do niej pomyliłem? – pytał sam siebie. – Czy można tak szybko się odkochać?”

*

Nie można. Marta cierpiała tak samo jak Janusz. Także kochała i tęskniła. Goniła resztką sił i z każdym dniem z coraz mniejszym przekonaniem powtarzała sobie, że to wszystko jest dla dobra Julii. Wciąż trwała w swym postanowieniu, choć najchętniej rzuciłaby wszystko i czym prędzej wróciła w bezpieczne ramiona Bilskiego. Chciała być z nim i z Julką. Chciała czuć się potrzebna, kochana i szczęśliwa. Chciała znów być narzeczoną i snuć plany na piękną przyszłość. Jednak nie ona była tu najważniejsza i jej potrzeby liczyły się najmniej. To dziecko powinno być bezpieczne i szczęśliwe, a żeby to było możliwe, ona musiała odejść.

Długo wzdbraniała się przed telefonem do Janusza, lecz naprawdę coraz bardziej brakowało jej swoich rzeczy. Najbardziej zależało jej na maszynie do szycia. W wolnych chwilach zamierzała bowiem powrócić do dorabiania sobie poprawkami krawieckimi. Byłby to też rodzaj terapii, bo wreszcie zajęłaby myśli czymś innym niż własne cierpienie.

Wysłała Januszowi adres esemesem i kategorycznie zabroniła mu przyjazdu. Przyplącała to całonocnym płaczem i kilkoma dniami przejmującej nostalgii. Kolejne dni były wcale nie lepsze, a ich szarość potrafiła nieznacznie rozproszyć jedynie Julia, z którą Marta rozmawiała prawie codziennie.

Dwa dni po telefonie do Janusza kurier przywiózł do Wrocławia ogromną paczkę z rzeczami Marty. Po otwarciu pudła jej oczom ukazała się biała kartka ze słowami: *Kochamy, tęsknimy, czekamy... Mężczyzna, dziecko i pies...* Marta natychmiast się rozkleiła; usiadła na podłodze i przez łzy raz po raz odczytywała tych kilka słów.

Monika powoli traciła już do niej cierpliwość.

– Weź się wreszcie w garść i napraw to, co tak łatwo zniszczyłaś – powtarzała z coraz większą irytacją. – Ze wszystkich Żmigrodzkich tylko ty zawsze wiedziałaś, co robić, i jeśli komuś z nas miałoby się w życiu powieść, to z pewnością tobie. Spójrz na siebie – szarpnęła ją za ramię i zmusiła, by popatrzyła w lustro. – Teraz idealnie pasujesz do naszej rodziny. Jesteś tak samo byle jaka jak my.

Marta odwróciła się przez ramię i tępo spojrzała na siostrę.

– Co ty mówisz? Ty jesteś byle jaka? – zdziwiła się Marta.

– A kto mi tyle razy powtarzał, że w domu przyzwyczajono nas jedynie do bylejakości i musimy zrobić wszystko, by się z niej wyrwać? Kto mi kazał wysoko mierzyć?

– Przestań – Marta nie była w nastroju do dyskusji.

– No co? – drwiła Monika. – Innym łatwo radzić, prawda?

Koniec roku szkolnego był dniem wyjątkowo upalnym. Miasto zalała fala młodych ludzi w galowych strojach i zdawało się, że na ulice wyjechały wszystkie auta stolicy. W południe Julia z rodzicami siedziała przy stoliku w jednej z galerii handlowych i zachłannie piła mrożoną herbatę. Potem czekał ją obiecany zakupowy maraton. Dorota

uparła się, by wyposażyć córkę w parę nowych rzeczy na wakacje, ale niestety nie zdążyła zrobić tego wcześniej. Janusz co prawda nie przejawiał większego zainteresowania chodzeniem w tłumie od sklepu do sklepu, ale kiedy Julia zaczęła jęczeć i żebrać, by po skończonej w szkole akademii poszedł z nimi na zakupy, zgodził się, choć bardzo niechętnie. Wynegocjował dla siebie jedynie tyle, że będzie na nie czekał w kawiarni, przy tym stoliku. Łaskawie się zgodziły, przyjęły od niego kilkaset złotych i ruszyły na polowanie, które trwało prawie trzy godziny.

– Myślałem, że zapomnieliście o mnie i już dawno jesteście w domu – zawołał Janusz, kiedy wreszcie przyszły obładowane torbami.

– Tatusiu, jakie mam ładne ciuszki na wakacje! – zawołała Julia. – I kapelusz! Będzie w sam raz na wyjazd nad morze!

– Ja nie jadę nad morze – odparł Janusz. – A ty się wybierasz? – Wiedział, że jest to ciąg dalszy fascynacji filmem oglądanym niedawno w szkole.

– Kto wie? – Julia zrobiła dzióbek i się uśmiechnęła, wzruszając ramionami.

Przeczuwał, że to jeszcze nie jest koniec tematu. Prawdopodobnie Julka wzięła sobie za cel wyżebrać jednak wycieczkę nad morze, choćby na weekend. I szczerze mówiąc, wcale nie był pewien, czy jej nie ulegnie. Na razie jednak to przemilczał.

– Ale wiesz co?! – Julia zawołała trochę zbyt głośno, bo zwróciła na siebie uwagę kilku obcych par oczu. – Mamy też coś dla ciebie. Za to, że tak grzecznie na nas czekałeś.

Chcąc nie chcąc, Janusz się rozchmurzył.

– Tak, tak – wtrąciła Dorota. – Tylko gdzie to jest? – Szperała po torbach, szukając właściwej. Wreszcie znalazła i wyjęła z niej koszulę w kolorze bładomiętowym z guzikami z masy perłowej.

Przyłożyła ją szybko Januszowi pod brodę, chcąc sprawdzić, czy będzie mu w niej do twarzy, i nie chciała w ogóle go słuchać, kiedy się opierał i tłumaczył, że to zbędny wydatek. Postawiła go w bardzo niezręcznej sytuacji, nie chciał jednak robić scen w publicznym miejscu ani przykrości Julce, która już marszczyła czoło, nie rozumiejąc, dlaczego tata nie chce przyjąć prezentu. W końcu niechętnie wziął od Doroty torbę z koszulą i nawet jej grzecznie podziękował.

– No dobrze, chodźmy wreszcie do domu. To wszystko dla Julii? – spytał, wskazując na torby, gotów je zabrać, ponieważ Julka od tego dnia przez prawie całe wakacje miała mieszkać u niego.

– Czekać... to moje. – Dorota wzięła jedną z siatek. – A reszta jej.

– Podwieźć cię do domu? – Janusz zapytał z grzeczności, chociaż nie miał ochoty tłuc się na drugi koniec miasta.

– Dzięki – odparła. – Zamówię sobie taksówkę.

– A ja mam lepszy pomysł! – zawołała Julia. – Chodźmy jeszcze na lody!

– Wiesz co? Może lepiej zjedźmy lody w domu, chyba jakieś jeszcze są w zamrażarce. Dziś jest wszędzie tak tłoczno, że aż nieprzyjemnie.

– Świetnie! Może być! – Julia była uszczęśliwiona. – Ale mama jedzie z nami!

– No to chyba nie mam wyjścia? – Dorota była bardzo zadowolona z takiego obrotu sprawy, choć starała się tego nie okazywać. Zdradzał ją tylko być może zbyt dobry, jak na nią, humor. W ogóle ostatnio często wydawała się taka, jaką Janusz pamiętał sprzed

ponad ośmiu lat. Uśmiechnięta i całkiem sympatyczna. Taką właśnie ją kiedyś pokochał. Ale teraz nie miało to już najmniejszego znaczenia.

Janusz się nie mylił – w domu rzeczywiście było kilka napoczętych opakowań lodów. Julia z matką zajęły się ich porcjowaniem, a on przygotował aromatyczną kawę. Usiedli przy kuchennym stole i zaczęli jeść. Rozmowa słabo się kleiła, ponieważ Bilski nie miał zbyt wielkiej ochoty na konwersację z Dorotą, a Julka chwilowo odpłynęła, klikając w ekran telefonu.

– Julia, w towarzystwie, przy stole i podczas jedzenia nie wypada zajmować się pisaniem esemesów – zwrócił jej uwagę Janusz.

– Sorki, tato. – Julia nawet nie podniosła na niego wzroku. – Ale to ważne. Zaraz kończę.

– Julia! – ostro upomniała ją teraz matka.

– Już. – Dziewczynka z uśmiechem odłożyła telefon na bok. – Pisałam do Marty.

Dorota zakrztusiła się gorącą kawą, a Janusz wbił wzrok w córkę.

– No co? – Julia nie rozumiała, o co im chodzi, i beztrudno wepchała sobie do ust dużą porcję lodów, zupełnie ignorując rodziców.

To pół godziny wspólnego siedzenia za stołem było dla Janusza wyjątkowo męczące. Złe się czuł w towarzystwie Doroty, krępowało go każde jej spojrzenie i gest.

Ostatni, mocno podtopiony kawałek lodów ześliznął się Dorocie z łyżeczki i spłynął po sukience od piersi aż po uda, znacząc długi czekoladowy ślad.

– Cholera jasna! – zaklęła i zerwała się, by zebrać jak najwięcej mokrej masy i jakoś uratować ubranie. Co mogła, wrzuciła do zlewu, po czym pobiegła na górę do łazienki, by spróbować zaprać materiał.

– Mogę? – Janusz zapukał w nieodmknięte drzwi i wszedł do środka. – Proszę – podał jej świeży ręcznik i już był jedną nogą poza łazienką.

– Dziękuję – Dorota stała tyłem do niego, mimo to doskonale się widzieli w dużym lustrze zawieszonym nad umywalką.

– Drobiazg – odparł z grzeczności, zamierzając wyjść, ale tym razem chwyciła go za nadgarstek i przytrzymała.

– Za wszystko dziękuję – uściśliła.

Spojrzał na nią ze smutkiem i nic nie odpowiedział. Przez głowę zaś przelatywały mu dziesiątki myśli, wyrzutów, skarg, żalów. Nie miał dla niej żadnych miłych słów, toteż wolał po prostu milczeć.

– Nic się tu nie zmieniło – powiedziała chyba tylko po to, by przerwać ciszę.

– Wystarczy, że ja się zmieniłem – odparł oschle.

– Czasem tak się zastanawiam... – urwała na moment – czy znalazłoby się tu dla mnie znowu miejsce...

Janusz przyjrzał się jej uważnie i zrozumiał, że nie było to pytanie retoryczne. Dorota wpatrywała się w niego natarczywie, oczekując odpowiedzi. Przygryzała przy tym wargę – sam nie wiedział, czy z niepokoju, czy próbowała w ten sposób podziałać na jego męską wyobraźnię.

– Żartujesz? – Nie potrafił trzeźwo ocenić sytuacji; nie ufał Dorocie i nie miał pojęcia, w co ona gra.

– Nie. – Zrobiła mały krok w jego kierunku. – Przecież było nam razem dobrze.

– Chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz? W takim razie dlaczego odeszłaś? Dlaczego zniszczyłaś moje życie i naraziłaś przyszłość dziecka? Tak ci było ze mną dobrze, że aż musiałaś uciekać tuż przed ślubem? – starał się nie podnosić głosu, aby Julia nic nie usłyszała.

– Nigdy mi nie wybaczysz? – Za wszelką cenę starała się zachować spokój i pokornie przyjmując wyrzuty, choć wcale nie leżało to w jej naturze. Miała jednak nadzieję, że taka taktyka przyniesie wymierne skutki i pomoże odbudować chociaż częściowo dobre relacje z Januszem.

– Nawet jeśli ci wybaczę, to nigdy nie zapomnę – odparł.

– A Julia? – próbowała jeszcze coś ugrać z innej strony. – Nie chciałbyś, żeby tu znów na stałe zamieszkała?

– A ty razem z nią? – zadrwił. – Wybacz, ale nie skorzystam z takiej okazji.

– A z takiej? – Dorota podeszła całkiem blisko i bez wahania pocałowała go prosto w usta, próbując rozchylić językiem jego wargi.

Przez kilka sekund stał niewzruszony, jakby nie było w nim żadnych emocji. Po chwili jednak się obudziły i instynktownie odwzajemnił pocałunek. Dorota była coraz śmielsza i nie przestając go całować, wsunęła palec między guziki jego koszuli i próbowała je rozpiąć. Kiedy poczuł jej dłoń na piersi, chwycił ją nagle z całej siły za ramiona i odepchnął od siebie. Oddech miał przyśpieszony, oczy przymrużone, a szczęki drgały w nerwowym tiku.

– O co chodzi? – Dorota nadal nie dawała za wygraną. – Przecież chcesz tego.

Te słowa otrzeźwiły go zupełnie i teraz był już absolutnie pewien, że wcale tego nie chce. A w każdym razie nie z nią. Na pewno nie z nią.

– Chyba się trochę zasiedziałaś – powiedział i szybko wyszedł z łazienki.

Na dole Julka kończyła zmywanie talerzyków i filiżanek.

– No, ile można zapierać jedną płamę? – zawołała na widok ojca i zabawnie przewróciła oczami.

– Kotku, to była ostatnia plama w moim życiu. – Podszedł do niej i cmoknął ją w policzek.

– Nie rozumiem. – Spojrzała na niego badawczo. – Skąd wiesz, że ostatnia?

– Na pewno ostatnia. Następnej nie popełnię – powiedział z naciskiem, mrugnawszy do niej.

– Oj, to chyba raczej mama popełniła. – Julka wciąż myślała o plamie na sukience.

– A żebyś wiedziała, mądralo. – Tym razem potargał ją za włosy na czubku głowy.

Chwilę później na dół zeszła Dorota. Jej sukienka wskutek zapierania była porządnie pognieciona na brzuchu i miała sporą plamę po wodzie, a Dorota była po prostu wściekła. Gdyby przez jedną krótką chwilę nie poczuła, że Janusz jej się poddaje, uwierzyłaby, że naprawdę jest mu już obojętna. Ale przecież oddał pocałunek, obudziła w nim emocje i żądze, co znaczy, że z pewnością może jeszcze odzyskać nad nim kontrolę. Tym razem się nie udało, lecz ona jeszcze się nie podda. Spróbuje ponownie, bo ma już dość życia w pojedynkę. Może za wcześnie podjęła tę próbę, może on jeszcze potrzebuje czasu.

Gdy wsiadała do taksówki, prawie zgrzytała zębami ze złości. U Janusza powstrzymywała się od pokazania swojej frustracji, ale teraz już nie musiała. Bezwiednie zmarszczyła czoło i zacisnęła szczęki, nerwowo poruszając nimi w lewo i prawo.

„Cholera jasna! – zaklęła w duchu. – Kto to widział, żeby tak się płaszczyć przed facetem!”

Rozdział 24

Pierwsze dni wakacji Julia spędzała tylko z ojcem, który w dodatku czasem na chwilę wpadał do biura, by popracować nad czymś bardzo ważnym. Z tej krótkiej chwili robiły się zazwyczaj dwie lub trzy godziny i Julia, którą zabierał ze sobą, nudziła się jak mops. Czytała książki, grała na telefonie, ale i tak przeważnie była znudzona. Ciekawiej robiło się tylko wtedy, kiedy Mateusz odrywał się na trochę od swoich zajęć i poświęcał jej nieco czasu. Julka lubiła z nim rozmawiać, bo nigdy nie dał jej odczuć, że nie traktuje jej poważnie.

– Księżniczko, jakie masz plany na resztę wakacji? – zapytał na początku. – Długo jeszcze zamierzasz się tak nudzić?

– No właśnie niedługo – odparła. – Pojutrze jadę do dziadka Antoniego, a potem to się jeszcze zobaczy.

– O... – zainteresował się. – Pewnie tata szykuje ci jakąś niespodziankę? A ty go oczywiście przejrzałaś?

– Nie – odpowiedziała. – Ale mam ochotę na pewną przygodę. Taką, jaka się przytrafiła Dudusiowi i Poldkowi.

I tu nastąpił długi wywód o tym, jak to marzy jej się taka historia, żeby było o czym w szkole opowiadać po wakacjach. Chciałaby się wybrać w podróż pełną emocji i niezwykłych zdarzeń, oczywiście sama, i przeżywać różne niesamowite przygody. Mateusz słuchał uważnie i sondował, ile w tym jest dziecięcej fantazji, a ile determinacji, by tego dokonać. Julka zawsze była rozsądna i nie podejrzewałby jej o taką lekkomyślność, ale widział, że jest zafascynowana filmem i aż jej się oczy świecą, kiedy o nim opowiada. Na wszelki wypadek postanowił więc wspomnieć o tej fascynacji Januszowi, zwłaszcza że Julia prosiła o zachowanie tajemnicy.

– A wiesz, wujku, dokąd bym się wybrała w taką podróż? – zniżyła konspiracyjnie głos.

– No, dokąd? – spytał również szeptem.

– Do Wrocławia, do Marty, ale o tym cicho sza – przyłożyła palec do ust.

– Sza – potwierdził i teraz nie miał już żadnych wątpliwości, że przyjaciel powinien się o tym dowiedzieć.

Zanim Janusz odwiózł Julkę do Kazimierza, Mateusz rzeczywiście zrelacjonował mu swoją rozmowę z nią, nie pomijając zauroczenia, któremu uległa.

– Wiem, wiem – odparł na to Bilski. – Opowiadała mi o tym filmie, ale byłem pewien, że już jej przeszło.

– Ja bym ją miał na oku – zasugerował Rogalski. – W wakacje niejedno dziecko bywa na gigancie.

– Ale chyba nie ośmiolatki? – zaśmiał się Janusz. – Myślę, stary, że masz większą fantazję niż moja córka.

– Zrobisz, jak uważasz. – Mateusz był lekko urażony. – Ale ja bym na twoim miejscu nie lekceważył takich historii.

– Mam lepszy pomysł. Podrzucę ją ojcu i niech on jej pilnuje. – Janusz był

szczerze rozbawiony; nie wyobrażał sobie, by Julka była w stanie wykręcić taki numer.

Pod koniec tygodnia Janusz zawiózł córkę do Antoniego i Grażyny i spędził z nimi dwa dni. Kiedy nachodziła go nostalgia, snuł się kazimierskimi uliczkami, poszedł na Albrechtówkę i do Korzeniowego Dołu, ale w każdym z tych miejsc widział tylko Martę. Była wszędzie, zaprzętała cały jego umysł i wciąż miał wrażenie, że czuje wokół siebie aromat zielonej herbaty. Nieustannie za nią tęsknił i nie potrafił sobie z tą tęsknotą poradzić.

Odrobinę ukojenia przyniosło mu spotkanie z Agatą, z którą umówił się pod Królem Kazimierzem. Kiedy wyszła po skończonej pracy przed hotel, ujrzał kobietę promienną i szczęśliwą. Wyglądała kwitnąco, a uśmiech nie zniknął z jej twarzy. zaproponował obiad U Fryzjera, na co chętnie się zgodziła. Ująwszy go pod ramię, spacerkiem poszli Puławską w kierunku Tyszkiewicza.

– Co u ciebie? – spytał Janusz.

– Pytasz ogólnie, z grzeczności czy o Mateusza? – roześmiała się.

– A odpowiedzi będą rozbieżne?

– No wiesz, ogólnie to ci odpowiem, że jest okej. Jeśli pytasz z grzeczności, powiem: w porządku, dziękuję. A jeśli interesuje cię Mateusz, to chyba będę szczęśliwa. – Jej perlisty śmiech poniosł się po całej sali.

– Chyba będziesz? – Prawdę mówiąc, Janusz sądził, że Agata już jest szczęśliwa.

– Mateusz jest ciągle na cenzurowanym – odparła radośnie. – Ale stara się chłopak, więc chyba dam mu szansę.

Agata niełatwo ufała ludziom. Zbyt często ją ranili i oceniali pochopnie, wyrządzając jej krzywdę. Zanim teraz zupełnie zaufa Mateuszowi, musi być go absolutnie pewna. Wystarczy, że on choć raz się zawaha i zaprze jej, na zawsze dostanie wilczy bilet. I nie będzie litości, bo Agata nie chce i nie potrafiłaby kochać kogoś, kto się jej wstydzi.

– Teraz twoja kolej – znów się uśmiechnęła. – Co u ciebie?

– Chcesz wersję ogólną czy szczerą?

– Tylko szczerą.

– Jest kiepsko – westchnął. – I nie zanoszę się na lepiej.

– Marta jest głupia – zawyrokowała. – Kocham ją, ale jest uparta i głupia.

To spotkanie bardzo podniosło go na duchu. Agata bez ogródek mówiła, co myśli o ich rozstaniu, i choć w pierwszym odruchu pochwaliła przyjaciółkę za niezwykle akt altruizmu wobec dziecka, po głębszym przemyśleniu doszła do wniosku, że nie była to dobra decyzja.

– No nie była! – mówiła z oburzeniem. – Sam pomyśl, czy coś się zmieniło w sytuacji prawnej Julki? Adoptowałeś ją?

– Nie – odparł. – Jest bez zmian.

– No właśnie! To po co było to rozstanie? Cel, który sobie założyła Marta, nie został osiągnięty. Więc można śmiało powiedzieć, że cały ten jej pomysł tylko o dupę potłuc.

– W sumie racja – zgodził się Janusz. – Ale jak jej to wytłumaczyć, kiedy ona nie chce mnie widzieć?

– Bo się boi, że jak cię zobaczy, to już dłużej nie wytrzyma w tym swoim celibacie

i wróci do ciebie z błaganiem, żebyś ją przyjął.

Janusz czuł się coraz lepiej. Może to wszystko były słowa bez pokrycia, ale właśnie takich teraz najbardziej potrzebował.

– Myślę, że jedyną osobą, która mogłaby zyskać na odejściu Marty, jest Dorota – kontynuowała Agata. – Mam rację? Może już nawet robi jakieś przymiarki do powrotu? Naprawdę trzeba być niespełna rozumu, żeby drugiej babie odstąpić takiego faceta!

W tej chwili Janusz się cieszył, że Agata jest niewidoma, bo poczuł, jak płoną mu policzki, a nie chciałby, aby widziała go w takim stanie.

Do końca obiadu wciąż jeszcze rozmawiali o jego sytuacji.

– Powiedz mi, dlaczego nie poczyniłeś jednak kroków, by przysposobić Julkę? Marta naprawdę ci to ułatwiła.

– Gdybym skorzystał z tej okazji, to nie mógłbym później spojrzeć sobie w twarz – odparł. – Kocham to dziecko, ale nie chcę znać jego matki. Nie po tym, co mi zrobiła. Julia też mnie kocha, czasami myślę nawet, że bardziej niż Dorotę. Nie potrzebuję na tę miłość żadnych papierków.

– A jeśli coś się stanie i Julka zostanie sierotą? – Agata czuła się trochę nieswojo, podejmując ten wątek. – Jeśli pójdzie do pieczy zastępczej?

– Nawet nie chcę o tym myśleć – odparł smutno. – Ale jeżeliby do tego doszło, to starałbym się o to, abym ja został ustanowiony jej rodziną zastępczą. Mam nadzieję, że sąd wzięłby pod uwagę więzi łączące mnie z Julią.

– Jakie szanse ma samotny mężczyzna?

– Dużo mniejsze niż żonaty – przyznał.

– No, czyli jednak wychodzi na to, że Marta jest kompletnie głupia – Agata próbowała zażartować. – Nie dość, że cię porzuciła, to jeszcze umniejsza twoje szanse... Daj jej trochę czasu – powiedziała już poważnie. – Przecież kiedyś musi zrozumieć, że popełniła błąd.

– O czym ty mówisz? Ile jej potrzeba tego czasu? Ona nie chce ze mną mieć nic wspólnego.

– Przeciwnie – odparła z przekonaniem. – Jestem tego absolutnie pewna, uwierz mi.

Czy Agata miała rację, czy nie, spowodowała jednak, że Janusz znów zaczął mieć nadzieję, iż jeszcze nie wszystko przepadło.

Następne dwa tygodnie Julia była pod opieką Antoniego i Grażyny. W towarzystwie tak artystycznej duszy jak malarka nie mogło być mowy o nudzie. Całą trójką spędzali dużo czasu w plenerze, Julka brała pierwsze prawdziwe lekcje malarstwa, chodzili na długie spacery, pływali po Wiśle, zwiedzili Lublin i Zamość, a wieczorami jadali lody na kazimierskim rynku. Antoni cały czas pilnie obserwował wnuczkę, czy przypadkiem czegoś nie knuje, ale wszystko wskazywało na to, że zapał do samotnych eskapad i przeżycia szalonych przygód już jej minął. Zachowywała się całkiem normalnie, niczego nie podkradała i nie chowała po kątach ani nie chomikowała pieniędzy, nie zadawała nietypowych pytań, na przykład o odjazdy autobusów. Należało zatem uznać, że podróż za jeden uśmiech wywietrzała już jej z głowy. Antoni był dumny, że to jego zasługa, bo tak fantastycznie zorganizował wnuczce wakacje, że nie szukała

żadnych innych atrakcji.

Pod koniec drugiego tygodnia pobytu Julii w Kazimierzu Mateusz wybrał się na weekend do Agaty. Janusz skorzystał z okazji, by podać przez niego kilka rzeczy dla córki. Rogalski wpadł na Puławską, zostawił paczkę od Janusza i zaprosił Julię na lody w miasteczku. Oczywiście nie odmówiła i kiedy już usiedli w Ambrozji na Sadowej – Mateusz przy mrożonej kawie, Julia przy pucharze lodów – rozpoczęli niezobowiązującą pogawędkę, trochę żartem, trochę serio, raz po raz wybuchali śmiechem i świetnie się bawili.

– Powiedz mi, Julcia – zagadnął w końcu niby od niechcienia Mateusz – jak tam twoje plany wyjazdu?

Julka włożyła do buzi pełną łyżeczkę lodów i czekała, aż się rozpuszczą. Jednocześnie intensywnie myślała nad odpowiedzią. Nie wiedziała, czy może zaufać Mateuszowi i zdradzić mu swój pomysł. Zaryzykowała i opowiedziała, co zamierza.

– Wiesz, prawie codziennie rozmawiam albo esemesuję z Martą – zaczęła. – I ona mówi, że w ogóle nie ma czasu. I że nie może do nas przyjechać. Ale ja przecież mam teraz bardzo dużo czasu, wujku. W końcu są wakacje.

Zgodził się z nią. Na razie wszystko rozumiał. Czekał na ciąg dalszy.

– No i skoro mam ten czas, pomyślałam sobie, że to ja powinnam pojechać do Marty. Tylko zupełnie nie wiem, dlaczego i tata nie ma czasu. Powiedział, że nie odwiedzi Marty, może kiedyś, ale teraz nie ma czasu.

Julka jeszcze wiele razy powtórzyła słowo „czas” i choć mówiła trochę chaotycznie, to jednak w jej wywodzie było sporo sensu. Może nawet więcej niż w rozumowaniu dorosłych, bo oni nie zrobili nic, by się spotkać, a dziecko ukuło całkiem prosty i dobry plan. Najważniejsze to się spotkać. A wszystko inne będzie miało wtedy szansę na pomyslnie rozwiązanie.

– No dobrze – dociekał Mateusz – ale jak ty się dostaniesz do tego Wrocławia, jeśli tata nie może cię tam zawieźć?

– No właśnie – zrobiła smutną minkę. Wyglądało na to, że jest jednak jakiś słaby punkt w jej programie. – Nie mam pieniędzy i nie wiem, jak tam dotrzeć. Chyba powinnam pojechać autobusem do Lublina i się gdzieś przesiąść. Tylko nie wiem, jak długo tam się jedzie. Bo jedzenia też nie mam.

Mateusz był ogromnie ubawiony, ale za wszelką cenę tłumił w sobie śmiech. Podziwiał Julkę za to, że główkowała na potęgę i próbowała samodzielnie zorganizować wyjazd, który dla ośmioletniego dziecka mógł się wydawać wyprawą w kosmos. Miał jednak nadzieję, że ona nie wcieli swoich pomysłów w życie. Mimo to na wszelki wypadek postanowił po raz kolejny ostrzec Janusza.

– Wujku, a może ty miałbyś dla mnie czas?

Tego pytania się nie spodziewał.

– Ale że co? Miałbym cię zawieźć do Wrocławia?

– A mógłbyś? – spytała z nadzieją w głosie. – Tylko żeby tata się nie dowiedział, bo jak mu wspomniałam, że chciałabym odwiedzić Martę, to prawie na mnie nakrzyczał.

– Julka, Wrocław jest bardzo daleko, nie uda nam się tam dojechać i wrócić, tak żeby ojciec się nie dowiedział. To chyba nie jest dobry pomysł. – Nie miał pojęcia, jak

odmówić, by nie zrobić jej przykrości.

– Tak przypuszczałam – westchnęła. – To chyba jeszcze nie jest dopracowany plan. Muszę wymyślić coś innego.

– No – tylko tyle był w stanie odpowiedzieć.

Po lodach poszli po Agatę do hotelu i resztę popołudnia spędzili we troje.

– Posłuchaj, bracie – Mateusz późnym wieczorem zdawał przyjacielowi przez telefon relację z tego, co usłyszał od Julii – twoje dziecko bardzo chce spotkać się z Martą.

– Ja też – odparł. – Problem w tym, że ona nie chce nas widzieć.

– No tego właśnie nie wiesz.

Mateusz usilnie starał się przekonać przyjaciela, by wziął Julkę i razem z nią pojechał do Wrocławia. Wydawało mu się, że na widok stęsknionego dziecka serce Marty musi skapitulować. Janusz jednak nie chciał narażać córki na niepotrzebny stres i rozczarowanie, gdyby miało się okazać, że Marta naprawdę nie chce ich widzieć. Pod pretekstem ochrony dziecka próbował chronić samego siebie. Bał się, że Marta może powtórzyć mu wszystko to, co już usłyszał przy rozstaniu. I co wtedy powinien zrobić? Jak ją przekonać? Bał się konfrontacji i dlatego odwlekał moment spotkania. Póki jej nie widzi, póty jest nadzieja. A kiedy po raz kolejny da mu kosza, wtedy nie będzie już szans na ratowanie tej miłości.

Po rozmowie z Mateuszem nie mógł jednak się uspokoić. Może Julka ma rację i trzeba wreszcie przedsięwziąć jakieś stanowcze kroki, bo ten impas sam przecież nie przeminie.

Gdy rozmyślał o ewentualnych krokach, ogarniał go coraz większy strach, który szybko przerodził się w panikę. Miotał się nerwowo po kuchni i choć było już daleko po północy, nie czuł się ani odrobinę senny czy zmęczony. Umysł pracował mu na pełnych obrotach i przetwarzał setki różnych myśli, planów i scenariuszy. Ostatecznie postanowił, że z rana skontaktuje się z Agatą i poprosi ją, aby jak najszybciej się dowiedziała, w jakich godzinach pracuje Marta.

Podjął wreszcie decyzję. Trudno, raz kozie śmierć, niech się dzieje, co chce, jedzie do Wrocławia. I to nie sam. Uznał, że jeśli ktoś w ogóle jest w stanie zmiękczyć serce Marty, to z pewnością tylko Julka. Na dokładkę dołoży jeszcze psa. Sam może sobie nie poradzić, ale we troje powinno im się udać. W każdym razie taką miał nadzieję.

Od bladego świtu biegał po domu i pakował niewielką walizkę. Na wierzch położył psią miskę, by jej nie zapomnieć. Bida kręciła się koło niej niespokojnie, zaglądając do środka, ale nie znalazła żadnych smakołyków.

Po szóstej rano zadzwonił do ojca i poprosił, by przygotował dla Julki kilka niezbędnych rzeczy: szczoteczkę do zębów, trochę bielizny, spodnie i T-shirt na zmianę. Pośpiesznie wyjaśnił mu, jakie ma zamiary, i poprosił, by na razie nie wspominał o nich Julce. To miała być niespodzianka.

Agata zadzwoniła z informacją, że Marta ma tego dnia popołudniową zmianę i z pracy powinna wyjść po dwudziestej pierwszej. Wiedziała to od Moniki, która bardzo chętnie weszła z nią w konspirację, bo twierdziła, że samotna Marta jest nie do wytrzymania i czas już skończyć tę farsę zwaną rozstaniem.

Około południa Janusz dojechał do Kazimierza. Zastał Julkę z Grażyną przy

sztalugach.

– Tatuś! Bida! – krzyknęła z niedowierzaniem. – A co wy tu robicie? – spytała już dużo ciszej.

– Przyjechaliśmy na obiad – zażartował Janusz, nawiązując do zapachów dolatujących z kuchni.

Antoni właśnie szykował kurki w sosie śmietanowym, a w piekarniku złociły się już łódeczki z ziemniaków obsypane ziołami. Julka naprawdę uwierzyła, że ojciec przyjechał na obiad, i nie podejrzewała niczego poza tym, dlatego po jedzeniu wstała od stołu i zamierzała znów zająć się malowaniem.

– A co byś powiedziała na małą wycieczkę? – zagadnął Janusz.

– Kiedy? – zawołała z sąsiedniego pokoju, z zaciekawieniem wychylając głowę przez drzwi.

– Zaraz.

Oparła się o framugę i badawczo przyjrzała się ojcu. Do wycieczek zawsze przygotowywała się co najmniej dzień wcześniej, nie bardzo więc rozumiała, dokąd i w jakim celu miałyby się odbyć ten proponowany wypad.

– Wracamy do Warszawy? – spytała podejrzliwie.

– A chcesz? – droczył się z nią. – Ja myślałem raczej o przeciwnym kierunku, ale jeśli chcesz do domu... – zawiesił znacząco głos.

– Nie, nie! – zaprzeczyła żarliwie. – Nie chcę do domu. To gdzie w takim razie pojedziemy?

– A Wrocław może być?

Julia zaniemówiła i z wrażenia oczy jej się nienaturalnie rozszerzyły, a dolna szczęka zabawnie opadła.

– Do Marty? – nie dowierzała. – Naprawdę? A wcześniej nie można było? – Nie potrafiła się powstrzymać od tej kąśliwości.

– To jak? Jedziesz ze mną czy zostajesz?

– Żartujesz?! Pewnie, że jadę!

Grażyna podała Januszowi spakowaną torbę z rzeczami Julki i prawie natychmiast ruszyli w drogę. Antoni z Grażyną pomachali im, stojąc w bramie, a potem patrzyli na dwie przytulone do siebie głowy na tylnej kanapie auta.

Było po pierwszej, a przed nimi ponad czterysta kilometrów do przejechania. Według obliczeń Janusza do dziewiątej wieczorem powinni swobodnie dotrzeć na miejsce, jeśli tylko nic nieprzewidzianego nie wydarzy się po drodze. O Julkę raczej był spokojny, nie wiedział natomiast, jak w tak długiej trasie sprawdzi się Bida.

Wszystko szło gładko, jechali przez Radom i Piotrków na Sieradz i Oleśnicę. Tak jak sądził, z Julią nie było kłopotów, ale Bida dosyć szybko się znudziła i wierciła się po samochodzie, na ile tylko pozwalały na to szelki. Musieli więc robić nadprogramowe postoje. Już na pierwszym Janusz się zorientował, że owszem, pamiętał o psiej misce, ale nie spakował ani karmy, ani wody. Miał jedynie gazowaną, ale takiej Bida odmówiła, parskając z obrzydzeniem, kiedy bąbelki uderzały ją po czułym nosie. Zjechali więc na stację benzynową i tam zaopatrzyli psa w karmę oraz wodę i przy okazji siebie w ciepłe kanapki.

– Do kogo piszesz? – zainteresował się Janusz, widząc we wstecznym lusterku klikającą w telefon Julkę.

– Do Marty – odpowiedziała, jakby to było oczywiste.

– Nie wysyłaj jej nic! – krzyknął w panice.

– Dlaczego? – Julia spytała ze stoickim spokojem.

– No przecież robimy jej niespodziankę – wyjaśnił już ła-godniej.

Miał nadzieję, że Julia nie zdążyła się jeszcze pochwalić, że do niej jadą. Gdyby Marta o tym wiedziała, mogłaby zadzwonić i kategorycznie zażądać, by zawrócili do Warszawy, albo skutecznie ich unikać. Janusz był przekonany, że ten wątpliwej jakości plan, który właśnie realizuje, może się powieść jedynie wtedy, gdy wezmą Martę z zaskoczenia. W przeciwnym razie wszystko może szlag trafić i cała nadzieja ulotni się jak kamfora.

– Aha... – odparła Julka. – To trzeba było tak od razu mówić.

– Nie wysłałaś nic jeszcze? – dopytywał z niecierpliwością.

– Nie – odparła.

– No – odetchnął z ulgą. – To schowaj ten telefon i nic nie pisz.

Podróż trwała prawie siedem godzin, czyli sporo dłużej, niż trasa ta zajęłaby samemu Januszowi. Do opóźnienia przyczyniła się zarówno Julka, jak i Bida. Jedna zmitrężyła sporo czasu na jedzeniu w przydrożnej karczmie, druga z kolei domagała się nadprogramowych spacerów. Janusz nie był w stanie niczego przełknąć poza kilkoma gorzkimi kawami. Najważniejsze jednak, że przed dziewiątą wjechali do Wrocławia.

– Tato, kwiaty – rzuciła Julia, kiedy byli już prawie na miejscu.

– Co? – Janusz skupiał się na słuchaniu raczej nawigacji niż córki, więc nie bardzo zrozumiał, co miała na myśli.

– No skoro to jest niespodzianka, to przydałyby się kwiaty – wyjaśniła.

– Aha – odpowiedział. – Może masz rację, ale ja nie mam kwiatów.

– No to kup – Julia wzniosła oczy do nieba i ciężko westchnęła.

W odległości kilkuset metrów, po prawej stronie, widać było rozległy budynek centrum handlowego Marino. Janusz w ostatniej chwili zjechał na parking i zatrzymał auto jak najbliżej wejścia.

– Nie ruszajcie się stąd – rozkazał Julii i psu, po czym wybiegł z samochodu. – Zaraz wracam.

Rzeczywiście po kilku minutach był z powrotem. Wpadł jak po ogień do Tesco i chwycił pierwszy z brzegu bukiet stojący tuż przy kasach.

– Może być? – zapytał córkę, choć i tak nie miał zamiaru wracać po cokolwiek innego.

– Jakieś marne te... – zabrakło jej nazwy kwiatów.

– Goździki – podpowiedział. – Po całym dniu w kubie z wodą i ty byłabyś marna.

Spojrzał na zegarek i z kopyta ruszył z miejsca. Do celu mieli jeszcze około siedmiu kilometrów i na szczęście całkiem puste ulice. W poszukiwaniu odpowiedniego miejsca do zaparkowania okrążyli cały budynek, w którym znajdowały się gabinety masażu. Julia cierpliwie czekała na finisz podróży, czego nie można było powiedzieć o Bidzie. Albo swoim psim instynktem wyczuwała, że dzieje się coś niecodziennego, albo

była po prostu zmęczona, bo skomlała coraz bardziej. Wreszcie Janusz zaparkował, wziął głęboki oddech i wysiadł z auta. Podszedł do tylnych drzwi, założył Bidzie smycz i ją wypuścił.

– Dobra, dziewczyny – zakomenderował. – Ruszamy.

Serce tłukło mu się w piersi tak mocno, jak chyba jeszcze nigdy. Był przerażony i miał ochotę uciec. Julia z kolei była podekscytowana i rozradowana perspektywą spotkania z Martą.

Gdy podeszli do biurowca, Janusz zaczął się rozglądać za dobrym punktem obserwacyjnym. Zamierzał tak się ustawić, by widzieć wychodzących z budynku, a samemu pozostać w ukryciu. Na pierwszy ogień chciał posłać Julkę, bo intuicja podpowiadała mu, że tak będzie najlepiej. Przystanęli po drugiej stronie ulicy, osłonięci zaparkowanymi autami.

– Ukrywamy się? – spytała po chwili Julka, która miała ochotę po prostu wejść do środka, przedstawić się portierowi i pójść do gabinetu Marty.

– No co ty, skąd ci to przyszło do głowy? – Janusz zachnął się zażenowany, że przejrzała go ośmiolatka.

Czekali ponad pół godziny.

– A jeśli nie było jej dziś w pracy? Albo miała poranną zmianę? – dociekała zniecierpliwiona Julka.

– Raczej nie – Janusz też już zaczynał wątpić w powodzenie tego spotkania.

– Jeżeli Marty nie ma w pracy, to może jest w domu? Znasz jej adres? Może byśmy tam pojechali? – męczyła ojca.

– Julia, nie marudź – odparł. – Bo zacznę żałować, że cię zabrałem.

– Tato... – odezwała się znów po chwili. – Ja muszę siku...

– Cholera jasna – zaklął cicho. – A nie możesz poczekać?

Spojrzała na niego z oburzoną miną, ale nie zdążyła mu odpowiedzieć.

– Jest – szepnął podekscytowany i zacisnął dłonie na ramionach córki. – Idź do niej – popchnął ją delikatnie, rozejrzawszy się przedtem, czy nic nie nadjeżdża ulicą.

– A ty? – spytała zdziwiona.

– Ja tu będę stał. Ty będziesz moją forpocztą.

Julka nic a nic z tego nie rozumiała.

– A Bida? – chciała się upewnić, czy pies idzie z nią na pierwszy ogień czy też nie.

– Bida zostaje ze mną – odparł. – Idź już, bo Marta zaraz nam ucieknie.

O nie, do tego Julka nie zamierzała dopuścić. Ruszyła przed siebie, przystając na moment na krawężniku, a gdy się upewniła, że nic nie jedzie, przyśpieszyła kroku i z jezdni zawołała Martę po imieniu. Janusz przyglądał się temu wszystkiemu zza rzędu zaparkowanych aut i sam już nie wiedział, czy dobrze zrobił, przyjeżdżając tutaj. Bida, podobnie jak on, była coraz bardziej nerwowa i dość głośno poszcekiwała.

Janusz przyglądał się, jak jego córka przechodzi przez jezdnię, a Marta przystaje, rozgląda się, po czym przykuca i otwiera ramiona. Widział, jak Julka zarzuca jej ręce na szyję, wtula się w nią, po czym lekko odchyła głowę, by móc ucałować Martę w policzek. Ona zaś oplata małą ciasno w pasie i tuli ją z całych sił, od czasu do czasu odgarniając

z dziecięcego czoła niesformą grzywkę. Januszowi serce się ścisnęło na ten widok i łzy napłynęły mu do oczu. Bida coraz bardziej napinała smycz i rwała się przed siebie. Bilski jeszcze zwlekał.

– Kochanie, co ty tu robisz? – dopytywała Marta. – Skąd się tu wzięłaś?

– Cieszysz się? – Julka była niezwykle uradowana. – Udała się niespodzianka?

– Boże, jak ja za tobą tęskniłam... – Marta znów przytuliła Julkę, a po jej policzkach zaczynały spływać łzy. – Jak ty się tu znalazłaś? Gdzie jest twój tata?

Marta w pierwszym momencie tak się ucieszyła z widoku Julki, że nie zastanawiała się nawet, jakim sposobem mała dotarła do Wrocławia. Dopiero po chwili zaniepokoiła ją ta niecodzienna wizyta. Julia nie miała jednak czasu na wyjaśnienia, bo tuż obok nich wyrósł Janusz i wyrwijąc się przed nim na smyczy Bida, która tak ucieszyła się na widok Marty, że bez ceregieli skoczyła na nią przednimi łapami i lizała ją po policzku.

Janusz milczał. Czuł, że gdy tylko spróbuje coś powiedzieć, głos zaraz mu się załamał i uwięźnie w gardle. Jedną ręką próbował okiełznać psa, a w drugiej dzierżył bukiet goździków, nie spuszczając ani na chwilę wzroku z Marty. Stała przed nim tak zaskoczona, że też nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Nie panowała nad płynącymi z oczu łzami i coraz mocniej zaciskała w swojej dłoni małą piastkę Julki.

– No proszę... – wykrztusiła z siebie wreszcie – góra z górą...

– ...a człowiek z człowiekiem zawsze... – dokończył po cichu Janusz i podał jej bukiet.

Zawahała się, ale w końcu wyciągnęła dłoń po kwiaty i wtedy Janusz wyczuł, jak bardzo cała drży. Gdy dotknął ją ledwie palcami, przeszył go dreszcz. Nie wiedział, czy pozwoli mu się przytulić. Zdawał sobie sprawę, że ma teraz jedyną szansę na naprawienie wszystkiego, co poszło nie tak w ich życiu. Teraz albo nigdy.

– Marta... – niemal jęknął i spróbował wziąć ją w ramiona.

Stała nieruchomo. Zesztywniała, kiedy zbliżył się do niej o krok i zamknął ją w uścisku. Po chwili jednak rozluźniła się nieco i położyła dłoń na jego piersi. Nie potrafiła przy tym opanować narastającego wciąż łkania.

– Przyjechaliśmy tu całą trójką – odezwał się wreszcie Janusz – bo jesteśmy twoją rodziną i bardzo za tobą tęskniliśmy. A rodzina musi trzymać się razem, nie sądzisz?

– Rodzina owszem – odparła po chwili zastanowienia. – Ale ja właśnie zepsułam waszą rodzinę.

– Marta, o rodzinie stanowi nie złożone przed urzędnikiem oświadczenie, ale miłość budowana między ludźmi. Julka i ty jesteście moją rodziną. Bez względu na wszystko, rozumiesz? To was kocham i chcę mieć zawsze przy sobie. Tylko wtedy będę szczęśliwy.

– Tatusiu... – Julka dreptała w miejscu niespokojnie. – Ja też będę szczęśliwa, ale jak wreszcie znajdzie toaletę.

Wobec takiego palącego problemu rozterki Marty i Janusza musiały poczekać. Marta wróciła z Julią do biurowca, a Janusz miał wtedy chwilę, by przemyśleć dalszą strategię. Serce przez cały czas łomotało mu w piersi, a nogi zdawały się uginać w kolanach. Stał jednak prosto i czekał w napięciu.

Po kilku minutach jego dziewczyny, trzymając się za ręce, wyszły z budynku. Ich

widok rozczył go i spowodował, że nabrał więcej odwagi, by zdecydowanie zawalczyć o Martę. Będzie przekonywał ją aż do skutku, by do niego wróciła.

Julka, wciąż trzymając Martę za rękę, wsunęła swoją małą rączkę w dłoń ojca, po czym zawiesiwszy się z całych sił na obojgu, podciągnęła się tak, że zawisała w powietrzu. Po chwili opadła już krok dalej i znów się podciągnęła. Powtórzyła tak kilka razy, chichocząc z radości.

– To dokąd idziemy? – spytała beztrąsko.

Janusz spojrzał ponad jej głowę w oczy Marty, próbując wyczytać w nich odpowiedź. Wciąż nie był pewien jej zamiarów, ale miał ogromną nadzieję, że jeśli nie on, to przynajmniej to dziecko zawładnęło jej sercem na tyle, że nie odsunie go od siebie już nigdy więcej.

– No to chyba do mnie? – spytała retorycznie Marta.

„Jest nadzieja” – pomyślał Janusz i po raz kolejny poderwał Julkę w górę, aż pisnęła z uciechy, po czym rozległo się równie wesołe psie szczeknięcie.